

**POLSKA NA DROGACH
I BEZDROŻACH EUROPY
2017 – 966**



Janusz Ekes

**POLSKA NA DROGACH
I BEZDROŻACH EUROPY
2017–966**

Siedlce 2023

Copyright Spadkobiercy (dzieci prof. Janusza Ekesa) / IKRiBL

PROJEKT OKŁADKI I STRONY TYTUŁOWEJ:
Jadwiga Popowska

REDAKTOR:
Jan Kardaszewicz

KOREKTA:
Katarzyna Kozak

ISBN 978-83-66597-58-7

SKŁAD, ŁAMANIE:
Jadwiga Popowska

WYDAWCA:
Instytut Kultury Regionalnej i Badań Literackich
im. Franciszka Karpińskiego. Stowarzyszenie
ul. M. Asłanowicza 2, lok. 2, 08-110 Siedlce
www.ikribl.com

Spis treści

Od Redaktora	7
Wprowadzenie	15
Rozdział I	
Z Jałty do Brukseli (1989–2017)	35
Rozdział II	
Z Wersalu do Jałty (1918–1945)	52
Rozdział III	
Z Wiednia do Wersalu (1815–1918)	65
Rozdział IV	
Na drodze donikąd (1697–1717)	80
Rozdział V	
Pod Wiedeń (1632–1696).....	137
Rozdział VI	
Do Sztokholmu i do Moskwy (1587–1632).....	144
Rozdział VII	
Nad Bałtyk i nad Morze Czarne (1386–1587).....	246
Rozdział VIII	
Na zachód i na wschód (966–1372).....	291
Polskie doświadczenie.....	318
Katarzyna Kozak	
Pro memoria – profesor Janusz Ekes (1943–2017)	324



Od Redaktora

Nieczęsto publikowane są prace naukowe niedokończone przez autora. Taką właśnie pozycją jest *Polska na drogach i bezdrożach Europy*. W związku z tym jej P.T. Czytelnikom należy się kilka informacji i wyjaśnień.

Jest to praca historyczna, która ma swoją – i to dramatyczną – historię.

W zamierzeniu Autora miało to chyba być jego *opus vitae* – *dzieło życia*. W pewnym sensie absorbujące jego cały dotychczasowy dorobek naukowy – ale niestety nie było mu dane go ukończyć. Jednak w moim najgłębszym przekonaniu ze, względu na to co zawiera, w pełni zasługuje na opublikowanie. Jak najlepsze przygotowanie jej do druku uznałem za mój obowiązek ze względu na pamięć naszej kilkudziesięcioletniej przyjaźni.

Chociaż studiowaliśmy prawie równolegle w Instytucie Historycznym UW, w drugiej połowie lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku, to poznaliśmy się kilka lat później. Janusz Ekes był „świeżo” po doktoracie, ja byłem wówczas kierownikiem działu historycznego w tygodniku „WTK”, w którego profilu tematyka historyczna zajmowała istotne miejsce.

Zawsze byłem pod wrażeniem jego olbrzymiej erudycji i dociekliwości, a przede wszystkim niezależności myślenia – odwagi w stawianiu hipotez i formułowaniu tez. Ceniłem też ujawniany w pewnych momentach „gen przekory”. Przykładowo – podczas gdy od stu kilkudziesięciu lat cała polska historiografia, zarówno akademicka jak i popularnonaukowa, oraz literatura piękna jednogłośnie potępiają szlachecką „złotą wolność”, On swojej pracy o ustroju Pierwszej Rzeczypospolitej dał tytuł *Złota demokracja*. Nie należał do żadnej „szkoły” czy „stajni” historycznej, jak też partii politycznej. Nie znaczy to jednak, że nie miał zdecydowanych poglądów politycznych – w ostatnich latach związany był ze środowiskiem Klubu Jagiellońskiego. Jego podejście do aktualnej polityki cechowała postawa, którą określiłbym jako „szlachetną naiwność” – dziwił się, że politycy nie realizują rzeczy, które ze swej istoty lub ewidentnie są prawdziwe, słuszne, potrzebne. Starałem się Mu to wyjaśniać, ale nie był w stanie trwale się z tym pogodzić.

Posiadał natomiast wysoko rozwinięte poczucie podmiotowości obywatelskiej oraz indywidualnej odpowiedzialności każdego obywatela za państwo. Między innymi dlatego też bardzo aktywnie uczestniczył w publicznej debacie nad nową konstytucją. Tak się złożyło, że brałem udział w pewnym fragmencie tych Jego starań. Pracowałem wtedy w dzienniku „Nowy Świat”. Gdy w końcu 1992 r. prezydent Lech Wałęsa przedstawił *Kartę Praw i Wolności*, która miała stać się częścią ustawy zasadniczej, Janusz przyniósł mi artykuł o wielce mówiącym tytule: *Gwarantka praw czy etykieta reklamowa* zawierający zdecydowaną krytykę tego dokumentu i zarzut ogólnie niedostatecznej aktywności prezydenta w procesie tworzenia nowego ustroju państwa. Udało się mi skłonić zastępcę szefa Kancelarii Prezydenta, prof. Lecha Falandysza, do udzielenia mi wywiadu, w którym – w mniej lub bardziej bezpośredni sposób – polemizował z tezami Janusza. Oba teksty zostały opublikowane na sąsiednich stronach gazety. W moim przekonaniu działający w pojedynkę obywatel – naukowiec niebędący konstytucjonalistą – nie mógł osiągnąć więcej.

Za największy dowód Jego przyjaźni uważam fakt, że w przypadku ważniejszych publikacji – przed złożeniem ich u wydawcy, a często jeszcze w trakcie pisania – zwracał się do mnie z prośbą o ocenę i uwagi redakcyjne, przyjmując je w zdecydowanej większości przypadków. Z największym zainteresowaniem oczekiwałem każdego kolejnego tekstu i nigdy nie spotkał mnie zawód.

Podobnie było też w przypadku – jak miało się okazać – ostatniej Jego pracy. Ponieważ po przejściu na emeryturę wyprowadziłem się z Warszawy kilkaset kilometrów na głęboką prowincję – utrzymywaliśmy kontakt przede wszystkim za pomocą telefonów i poczty elektronicznej. W czerwcu 2016 roku składając mi życzenia imieninowe przy okazji wspomniał, że pracuje nad nową książką i uprzedził, że oczywiście muszę się liczyć z „zatrudnieniem”. W końcu listopada przesłał mi e-maila zawierającego 160 stron tekstu. Do tekstu dołączona była informacja: *Nie wysłałem Wstępu, bo po wczorajszej lekturze muszę go poprawić, ale za to dołączam introdukcję do Jagiellonów, którą skończyłem właśnie i zabieram się do już ostatecznej redakcji rozdziałów o Nich i o Piastach; po czym zrobię 1696-1632. Czytając nie miej litości dla przyjaciela, który Ci będzie za to tylko wdzięczny.* W post scriptum zawarł prośbę: *Wymyśl, proszę tytuły rozdziałów (ale dobre).* Gdy telefonicznie potwierdzałem otrzymanie przesyłki poprosił mnie, abym pomyślał też i o tytule samej książki.

Pomysł był naprawdę oryginalny i fascynujący – przedstawienie zmian miejsca Polski w świecie na przestrzeni dziejów i to metodą „archeologiczną” – rozpoczynając, dosłownie od dnia dzisiejszego, kopanie w głąb naszych dzie-

jów i odślanianie kolejnych epok, aż po rok 966. W trakcie lektury otrzymanego tekstu towarzyszyło mi wrażenie przemieszczania się Polski nie tylko w czasie, ale i w różnych kierunkach w poziomie – stąd nasunął się mi pomysł tytułu: *Polska na drogach i bezdrożach Europy*. Tę propozycję przedstawiłem Autorowi i w zasadzie została zaakceptowana. Spokojnie oczekiwałem na wstęp i kolejne partie tekstu. W międzyczasie wymienialiśmy życzenia świąteczne – na Boże Narodzenie i Wielkanoc. Nie mogąc się doczekać obiecanych tekstów zatelefonowałem do „niesłownego” Autora. Mój telefon odebrany został w szpitalu. Janusz poinformował mnie o swej chorobie. Wiedziałem, że nie jest dobrze, ale miałem nadzieję, że może jednak lekarzom uda się chociażby zahamować postępy choroby i Janusz będzie w stanie dokończyć pracę. Niestety, następny telefon był już od Rodziny informującej o śmierci oraz dacie i miejscu pogrzebu.

W końcu października 2017 roku Rodzina – wiedząc, że posiadam część tekstu – zwróciła się do mnie z prośbą, czy nie byłbym w stanie zrobić czegoś, *aby praca nie poszła na marne*. Z oczywistych względów wyraziłem zgodę i poprosiłem o przesłanie – być może istniejących – dalszych części pracy, a także wszystkich tekstów dotyczących historii polskiej dyplomacji czy w ogóle polityki zagranicznej. Po pewnym czasie otrzymałem pendrive’a zawierającego: ukończone *Wprowadzenie*, będący w znacznym stopniu zaawansowania tekst o epoce Jagiellońskiej, osiemnastostronicowy fragment dotyczący okresu 966-1018 oraz szereg tekstów powstałych w latach wcześniejszych, które mogły być cyklami wykładów lub artykułów. Stwarzało to szansę na podjęcie próby rekonstrukcji brakujących części. Tym bardziej stawało się to możliwe i uprawnione, gdy w trakcie lektury stwierdziłem, że Autor nie tylko pojedyncze zdania czy akapity, ale nawet całe strony z owych wcześniejszych tekstów wykorzystywał w nowej pozycji.

Uważam, że ze względu na nietypowy, daleko szerszy, zakres prac redakcyjnych powinienem przedstawić coś, co można określić, jako „inventaryzację wyjściową” i sprawozdanie z przeprowadzonych zabiegów na tekście.

Jak już wspominałem wcześniej *Wprowadzenie* jest tekstem kompletnym.

Esej pierwszy dotyczący lat 1017-1815 był tekstem ukończonym przez Autora. Zdecydowałem się jednak podzielić go na trzy rozdziały dotyczące kolejno: Trzeciej Rzeczypospolitej, Drugiej Rzeczypospolitej i okresu zaborów, a właściwie dróg prowadzących do odzyskania przez Polskę niepodległości i suwerenności.

Esej drugi (Rozdział IV) – również ukończony – dotyczy lat 1696-1717, okresu od śmierci Jana III Sobieskiego do Sejmu Niemego – pierwszego polskiego sejmiku obradującego pod „przewodnictwem” ambasadora rosyjskiego. Zawiera on próbę odpowiedzi na – rzadko zadawane w polskiej historiografii, ale o kapitalnym znaczeniu – pytanie: Jak to się stało, że Rzeczpospolita, państwo, które pokonało Turcję, to jest jedno z największych mocarstw ówczesnego świata – w zasadzie w ciągu jednego pokolenia – stoczyło się tak nisko, że całkowicie utraciło suwerenność, na którego terytorium na stałe stacjonowały obce wojska; że społeczeństwo, w którym żyło jeszcze tysiące bohaterów spod Wiednia całkowicie abdykowało z uprawiania samodzielnej polityki zagranicznej, zaś w polityce wewnętrznej zadawał się hasłem: *za króla Sasa, jedz, pij i popuszczaj pasa?*

Esej trzeci (Rozdział V) posiadał jedynie numer kolejny i ramy chronologiczne – 1632-1696. Stałem przed największym dylematem w pracy nad tą pozycją i chyba największym w całej mojej karierze redaktorskiej. Czy w tej sytuacji po prostu numer „V” nadać następnemu rozdziałowi – co byłoby oczywistym i w pełni uzasadnionym posunięciem – czy też podjąć próbę choćby częściowej rekonstrukcji, w oparciu o owe wcześniejsze materiały, poglądów Autora na ten okres naszych dziejów? Czy ma to sens i czy mam do tego prawo? Zdecydowałem się jednak na to drugie rozwiązanie. Przede wszystkim ze względu na potencjalnych Czytelników, gdyż pisanie o historii Polski w XVII wieku jest zawsze – i dla czytelników jak i dla autora – nolens volens konfrontacją z Sienkiewiczem. Niestety tekstu dotyczącego ściśle lat 1632-1696, na który przypadły cztery panowania – Władysława IV, Jana Kazimierza, Michała Korybuta-Wiśniowieckiego i Jana III Sobieskiego – znalazłem jedynie dwie strony(!). Zawarta na nich treść stanowi jakby „syntezę syntezy” poglądów Autora. Część Czytelników zaskoczy i zdziwi pogląd Autora, który okres ten zalicza do epoki „apogeum potęgi” Pierwszej Rzeczypospolitej. Z oczywistych względów istniała konieczność skonstruowania „przejścia” do kolejnych epok. Kierunek zawarł Autor w ostatnim zdaniu tekstu o okresie 1696-1717, zapowiadając dokonanie retrospekcji lat od śmierci Jana III Sobieskiego w czerwcu roku 1696 do śmierci Kazimierza IV Jagiellona w czerwcu 1492 roku. Szczęśliwym trafem we wspomnianych wcześniejszych tekstach znajdował się obszerny materiał o europejskiej polityce Polski w latach 1490-1717, co pozwoliło mi owo „przejście” sporządzić.

Esej czwarty (Rozdział VI) najobszerniejszy i całkowicie kompletny Autor poświęcił panowaniu Zygmunta III Wazy, który to król najwyraźniej cieszył się Jego szczególnym uznaniem i sympatią. Janusz Ekes uważa go za

jednego z najwybitniejszych naszych władców i zdecydowanie rozprawia się z „czarną legendą” wytworzoną wokół tego króla przez polskich i obcych historyków.

Esej piąty (Rozdział VII) przedstawia dokładnie dwa stulecia naszej historii – lata 1386-1587 – a więc okres rządów czterech pokoleń Jagiellonów zasiadających na polskim tronie i dwóch pierwszych królów elekcyjnych Henryka Walezego i Stefana Batorego. Nie był on w pełni ukończony.

Rozdział VIII dotyczący okresu piastowskiego powstał z niedokończonego fragmentu (liczącego stron 18) dotyczącego lat 966-1018 i dwóch kilkunastu wcześniejszych tekstów zawierających poglądy Autora odnoszące się do całej epoki Piastów.

Wśród przysłanych mi przez Rodzinę tekstów prawie ze stuprocentowym prawdopodobieństwem udało się mi zidentyfikować tekst, mający stanowić zakończenie. Wskazuje na to data powstania – grudzień 2016 r. i charakter podsumowujący wcześniejsze rozważania, a także i sam jego tytuł: *Zakończenie*. Niestety, również i on był niedokończony. Jak ambitne było to założenie świadczy szereg ważnych i wielce interesujących kwestii, które miały się w nim znaleźć, a które pozostały jedynie wyszczególnione w formie punktów, jak: tradycyjne formy „instynktu państwowego” poszczególnych narodów, partyjny a państwowy charakter polityki zagranicznej, polityka a zasady moralno-religijne – dylemat czego nie możemy, ale co powinniśmy zrobić, czy zagadnienie o charakterze filozoficznym – polityka zagraniczna jako dynamiczna interakcja działań stanowiących elementy procesu i działań doraźnych (procesualizm a momentalizm refleksji i praktyki politycznej)). Po zapoznaniu się z nim zmieniłem jego tytuł – na moim zdaniem – więcej mówiący: *Polskie doświadczenie*.

Istotny element naukowej publikacji historycznej stanowi bibliografia wykorzystanych przez autora źródeł i opracowań. Niestety, w przypadku *Polski na drogach...* Autor nie pozostawił nawet jej fragmentu i nie jest możliwe jej zrekonstruowanie – w trakcie lektury wszystkich materiałów (włącznie z tekstami wcześniejszymi) udało się mi zidentyfikować nie więcej niż 10-15 pozycji. Umieszczenie zaś takiej „bibliografii” – podczas gdy szereg przesłanek świadczy, że w rzeczywistości musiała być bardzo obfita i wielojęzyczna – w moim przekonaniu nie miałoby sensu, a nawet mogłoby być dla części Czytelników dezinformujące.

Książkę zamyka *Pro memoria* prezentujące sylwetkę, drogę zawodową, dorobek naukowy oraz bibliografię publikacji dr. hab. Janusza Ekesa autor-

stwa dr Katarzyny Kozak – doktorantki a następnie Jego koleżanki z Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Przyrodniczo-Humanistycznego w Siedlcach, będącego Jego ostatnim miejscem zatrudnienia.

Teksty ukończone przez Autora poddane zostały jedynie zwykłej „obróbce” redakcyjnej. Lektura tekstów Janusza Ekesa nigdy nie była łatwa. Miał tendencję do konstruowania zdań bardzo rozbudowanych – można powiedzieć „barokowych”. Były one też „gęste” od faktów, dat, nazwisk, miejscowości itd. Nie inaczej było też i w przypadku *Polski na drogach...* Staralem się więc je „rozgęścić” przez dzielenie zdań, zwiększenie ilości akapitów, przeniesienie określonych fragmentów do przypisów, jak w przypadku przedstawiania przez Autora okoliczności objęcia stanowiska premiera przez Winstona Churchilla w maju 1940 roku, gdy przeniosłem do przypisów całą stronę tekstu omawiającą afiliacje polityczne jego przodków i wcześniejszą karierę samego Churchilla.

W przeszłości wielokrotnie takie zabiegi przeprowadzałem w bezpośredniej dyskusji z Autorem, który – jak większość autorów – był przywiązany do swoich konstrukcji czy sformułowań, ale w większości przypadków akceptował moje propozycje. Niekiedy ustępował dopiero przed „szantażem”: „Janusz, jeśli to zdanie ja muszę przeczytać dwa lub trzy razy, to co ma zrobić zwykły czytelnik”. To doświadczenie, jak i ostatnia prośba Janusza: *Janku nie miej litości* były mi bardzo przydatne w samotnej pracy nad *Polską na drogach...* . Chociaż być może komuś będzie trudno w to uwierzyć – ale każdą zmianę wprowadzałem dopiero po wcześniejszej „dyskusji” z Autorem.

Oczywistym obowiązkiem redaktora jest też uzupełnienie stwierdzonych w tekście ewidentnych braków – jak na przykład, gdy mowa jest o ślubach dwóch par a „brakuje” jednej panny młodej. Kolejne zadanie to wyeliminowanie powtórzeń. Przyznaję, że nie byłem w stanie sprawdzić prawidłowości wszystkich dat – dokonałem weryfikacji jedynie tych, które na pierwszy rzut oka lub ze względów logicznych budziły podejrzenia. Przyznaję się też do pewnego odstępstwa od ścisłego stosowania się do obowiązujących zasad ortografii – dotyczy to praktyki Autora pisania pewnych słów – wbrew ustalonym zasadom – z wielkiej litery. Świadomie odstępiałem od poprawek wychodząc z założenia, że ukazuje to stosunek Autora do pewnych wydarzeń, idei, funkcji, itp.

Bardziej skomplikowana była sprawa tekstów niedokończonych, w których pewne partie pozostawały w stadium „fiszek”, czyli kilku czy kilkunastozdaniowych wypisów ze źródeł i opracowań – w części nawet pozostających w formie obcojęzycznej – lub tych rozmiarów tekstów własnych

Autora, ale nie połączonych ze sobą. Dotyczyło to mniej więcej jednej czwartej tekstu o Jagiellonach – przede wszystkim panowania Władysława Jagiełły i tekstu o pierwszych Piastach. Po ich uporządkowaniu – włączając część do tekstu głównego, a część umieszczając w przypisach – starałem się dokonać, na ile było to możliwe, rekonstrukcji tych fragmentów. Było to działanie bliskie układaniu puzzli.

Osobny problem stanowiły fragmenty tekstu wymagające rozwinięcia, wyjaśnienia czy wręcz uzupełnienia o całkiem nową kwestię – wykonanie czego zazwyczaj redaktor sugeruje autorowi, a autor może z tą sugestią się zgodzić lub ją odrzucić. W tej sytuacji z oczywistych względów nie istniała taka możliwość. W wypadkach więc – w moim przekonaniu rzeczywiście niezbędnych – sporządzałem przypis wyraźnie zaznaczając, że pochodzi on od redaktora. Zdarzały się też sytuacje, w których zmuszony byłem zrezygnować z jakiegokolwiek „interwencji” – jak w przypadku *wielkiej schizmy zachodniej (1378-1417)* – chociaż Autor zaznaczył miejsce, w którym zamierzał umieścić tekst omawiający to zagadnienie.

Czym tym razem Janusz Ekes zaskoczył mnie i czym – jestem przekonany – zaskoczy Czytelników *Polski na drogach i bezdrożach Europy*?

Nie spotkałem dotąd pozycji tak dogłębnie wpisującej historię Polski w historię Europy i to z jakimi konotacjami. Jeśli nierzadko trafiają się osoby zmagające się z kompleksem, że „Polacy zawsze byli i są za mało europejscy”, to podczas lektury szybko się go pozbędą.

Pod tym względem niezwykle sugestywny jest opis początków polskiej państwowości, który można sprowadzić do sceny, gdy w europejskim salonie pojawia się dwóch facetów (Mieszko I i Bolesław Chrobry) nie wiadomo skąd przybywających, którzy przez nikogo nie proszeni siadają przy stole, gdzie toczy się gra w pokera i – bez kompleksów nowicjuszy – grają ostro i o wysokie stawki, a do tego najczęściej wygrywają.

Prezentuje też całkiem nową hipotezę przyczyn śmierci św. Stanisława przedstawiając konflikt między królem a biskupem, jako polską odsłonę dzielącego wówczas całą łacińską Europę sporu między papieżem a cesarzem, o prymat w świecie chrześcijańskim i towarzyszącą mu rywalizację dwóch ruchów ideowo-politycznych: gwelfów i gibelinów. Janusz Ekes „klucz gwelfowsko-gibeliński” stosuje do interpretacji także innych wydarzeń polskiego Średniowiecza.

Stwierdza, iż w rzeczywistości pierwszych rycerzy Zakonu Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie – popularnie nazywanych „Krzyżakami” – na ziemi polskie sprowadził wcale nie Konrad Mazowiecki a Henryk Brodaty.

Ukazuje, jak na przełomie wieków XV i XVI Jagiellonowie jednocześnie panują w Polsce, na Litwie, w Czechach i na Węgrzech (w skład których wchodziła Dalmacja). Ich domeny sięgają wybrzeży Bałtyku, Morza Czarnego i Adriatyku – to przecież nic innego, jak realnie istniejące *Trójmorze*.

Dowodzi, że w pierwszym dwudziestoleciu XVII wieku Zygmunt III był dosłownie o krok od skupienia w rękach polskiej linii Wazów tronów w Krakowie, Wilnie, Sztokholmie i Moskwie – co uniemożliwiła mu krótkowzroczność polityczna i egoizm stanowy jego polskich i litewskich poddanych.

Inną oryginalną cechą przedstawiania procesu dziejowego przez Janusza Ekesa jest silne – żeby nie powiedzieć maksymalne – jego spersonalizowanie. Niemal na każdej stronie pojawia się kilka czy kilkanaście postaci. Drobiazgowo odtwarza siatki powiązań koligacyjnych, afiliacji politycznych czy networków ekonomiczno-finansowych i wyznaniowych. Przy każdej nowo pojawiającej się postaci podaje datę jej śmierci. Ma to uzasadnienie zwłaszcza w przypadku władców i papieży, bowiem nie raz zdarzało się, że zmiana na danym stanowisku powodowała natychmiastową zmianę polityki nawet o sto osiemdziesiąt stopni.

Polskie doświadczenie kończy następująca refleksja: specyfika doświadczenia tradycji polskiego sposobu obecności w Europie – gdy była to obecność skuteczna – może być podstawą do rozważań nad modelem polityki europejskiej – nie tylko Polski, ale i Europy – również w wieku XXI. Jednoznacznie wskazuje ona, iż Autor miał nadzieję, że jego praca stanie się również lekturą osób kształtujących świadomość społeczeństwa: dziennikarzy i publicystów oraz realizatorów polskiej polityki zagranicznej: ekspertów i polityków.

Uważam – w swoim oczywiście siłą rzeczy subiektywnym przekonaniu – że zrobiłem wszystko, co było możliwe, aby praca Janusza Ekesa, Uczonego i mojego Przyjaciela, *nie poszła na marne*, to znaczy uzyskała stan umożliwiający jej publikację i satysfakcjonującą lekturę – ale ostateczną instancją to oceniającą będą P.T. Czytelnicy.

Jan Kardaszewicz

Wprowadzenie

To, że przełom XX i XXI wieku stał się świadkiem gruntownej zmiany w światowych stosunkach politycznych, nie podlega dyskusji. Trudno byłoby przecież bronić poglądu, że zmianą taką nie był proces otwarty w pierwszej połowie 1989 roku zmianami ustrojowymi w Polsce, a zamknięty rozwiązaniem państwa sowieckiego, w grudniu roku 1991. Polegał on na likwidacji dwubiegunowej struktury stosunków globalnych, modelowanej przebiegiem II wojny światowej i podtrzymywanej przez następne blisko pół wieku. Podobnie trudno nie dostrzegać widowiskowej zmiany postaci Europy w procesie rozpoczętym na przełomie lat 1991/1992 postanowieniami *Traktatu z Maastricht* i kontynuowanym w przystąpieniu Polski do Paktu Północno-Atlantyckiego w lutym 1999 roku, a do Unii Europejskiej w maju 2004. Wystarczy zestawić statyczną kompozycję obrazu powojennej *Europy Jaltańskiej* z dynamizmem zmian widoku Kontynentu w latach 1992-2004. W latach następnych dynamizm ten nie zmalał. Co więcej, daje się on zauważać w tle rosnącej dynamiki wydarzeń spoza Europy, jeszcze w roku 1986 uznawanych nie za zapowiedź III wojny światowej, a już za jej początek (Alexandre de Marenches).

Ta – przyznać wypada – inna, niż w dawnym modelu dwubiegunowym i znacznie mniej przewidywalna konfiguracja obu procesów, europejskiego i globalnego, stanowi okoliczność ważącą na bezpieczeństwie Polski i Europy w sposób dość oczywisty. Budzi zrozumiały lęk i stwarza potrzebę refleksji, nie pomijającej czynników bardzo istotnych w obu wspomnianych procesach. To jest politycznej kondycji i strategicznego położenia Europy, a także każdego z państw Kontynentu, w więc również – na odpowiednim miejscu – Polski.

Rzecz w tym, że pewne popularne stereotypy myślowe refleksję taką zakłócają. Toteż zanim do niej przejdziemy wypada je przedstawić.

W stereotypów tych w parze pierwszej paradują dwa. Jeden słyhać w haśle uznanym za polityczne, a orzekającym: *gospodarka przede wszystkim*. Drugi – w porzekadle, według którego *ilość przechodzi w jakość*. Tymczasem choćby bli-

skie nam doświadczenia ujawniają jałowość obu stereotypów¹. Historia pokazuje wagę, jaką dla trafnej analizy rzeczywistości ma взгляд na realia zaciemniane tymi stereotypami. Dowodzi, że to realia właśnie polityczne – odkąd można poznawać je wiarygodnie, bo na podstawie źródeł pisanych – determinują położenie we wszystkich sferach życia zbiorowego, nie tylko w gospodarczej. A więc determinują okoliczność, która w każdej z tych sfer sprzyja działaniom o jakości wysokiej, albo proteguje działania o jakości niskiej.

Toteż jako sugestia analityczna w zakresie refleksji nad położeniem politycznym narzuca się raczej hasło *polityka przede wszystkim*. Spostrzeżenie zaś, że *jakość przechodzi w ilość*, sugeruje zasadę, by kierując się ku położeniu analizowanemu, refleksja ta – rzecz jasna nie lekceważąc jego *ilościowych realiów* – głównymi przesłankami jego diagnozy czyniła jego *realia jakościowe*. Mówiąc najogólniej, jego realia instytucjonalne, proceduralne i – że to tak ujmemy – realia ludzkie. To ich stan determinuje jakość działań i ich skutków. Nie jest on przecież stanem, który można by analizować skutecznie bez retrospekcji procesów, jakie do niego doprowadziły. Retrospekcji o stosownej głębi i odpowiednim zasięgu. Słuszność obu sugestii zobowiązuje do ustalenia trzech kryteriów retrospekcji. Kryterium miary *jakości politycznej* realiów tworzących procesy badane oraz kryteriów *głębi* i *zasięgu* retrospekcji, której są one przedmiotem.

Nietrudno jednak zauważyć, że ustaleniu tych kryteriów znowu stają na przeszkodzie stereotypy myślowe bliskie opinii, że *gospodarka przede wszystkim*. Podobnie bowiem czerpią one siłę z popularnego przekonania, za jakim tylko pozornie stoi zdrowy rozsądek. Myślimy o przekonaniu, w świetle którego supremacja sił o naturze materialnej nad siłami intelektu stanowi fakt. Fakt, który jako *pogląd racjonalny* traktuje uznanie supremacji takiej za *zasadę rzeczywistości*, zaś uznawanie jej za naczelną przesłankę analizy i oceny realiów, prezentuje jako *postawę realistyczną*. Tak pojęty *racjonalizm* czy *realizm*, nie mają podstaw empirycznych w historycznym i aktualnym doświadczeniu. Przypadki powoływane w obronie zarówno cytowanego *poglądu*, jak *posta-*

¹ Naturę przecież ściśle polityczną mają działania na przykład komisji trójstronnych, które z udziałem rządu rozwiązują konflikty powodowane tolerowaniem nadrzędności interesu sfery gospodarczej nad interesem sfery publicznej – tak gdy na interes gospodarczy powołują się pracodawcy, jak gdy czynią to pracownicy. Z kolei jakość – tytułem przykładu – piosenki czy samochodu lub informacji, stanowi efekt wyłącznie jakościowo mierzonych walorów ich twórców. Nawet masowe występowanie owych przedmiotów w przestrzeni publicznej nie może przecież zmienić ich jakości, mogąc – gdy ich jakość jest niska – wskazywać jedynie na niską jakość stosunków, które w przestrzeni tej panują i dopuszczają to, a których przyczynami zwykle są materialne ograniczenia możliwości wyboru i niedostatki gustu.

wy, raczej nie dowodzą, by siły o naturze materialnej przeważały nad siłami intelektu. Ukazują bowiem bardziej niedobór sił intelektu po stronie, która konfrontację przegrywa, niż przewagę nad nimi sił materialnych, po stronie wygranej². Nie mniej w inkryminowanym tu przekonaniu znajduje oparcie następna para stereotypów. Tworzą ją stereotypowe wyobrażenie *równowagi sił* i równie stereotypowy zarzut *politycznego idealizmu*, adresowany do tych wszystkich poglądów i postaw, które tak pojętej *równowadze sił* odmawiają wartości poznawczej.

Równowaga sił, to pojęcie niemal równie wiekowe jak sama refleksja politologiczna. Zauważalne jest już u Tukidydesa. Opisywało wprowadzie równowagę sił podmiotów politycznych, ale nie były to podmioty tożsame z państwem. Podmiotem siły nie była tu *polis*, ateńska czy spartańska, a *naród* – Ateńczycy czy Spartanie. Do siły, nie państwa, lecz władcy lub rządu, zbliżone wyobrażenie *równowagi sił* odnosili Machiavelli i Guicciardini. Antyk, Średniowiecze i Renesans upatrywały siłę państwa raczej w jego *sile duchowej* integrującej je wewnątrz. W tym stanie pojęć, niezbędna państwu do obrony jego praw przed zamachami z zewnątrz, a za taką uznawana zawsze, *siła materialna* podobnie nie mogła stanowić o jego sile, jak o sile ramienia stanowić nie może trzymany w dłoni miecz. Absurdalność myśli, że jednak może, dodatkowo potwierdzałoby zresztą dominujące wtedy wyobrażenie państwa, stylizowane w duchu Arystotelesowskiego realizmu, jako rodzaj międzyludzkiej *relacji*, tak jak wszystkie inne *relacje*, choćby rozmowa i przyjaźń, o sile więc nie mierzalnej ilościowo³. Relację taką ujmuje Cycerońskie pojęcie państwa, jako *wspólnoty posłusznych prawu*; wspólnoty przeto silnej nie liczbą *posłusznych* lecz jakością *posłuszeństwa*.

Stereotypowemu dziś wyobrażeniu *równowagi sił*, jako stosunku sił materialnych, którego podmiotami mogą być również same państwa, torowała drogę do popularności znana ewolucja pojęć. Sprawiała ona, że państwo prze-

² Skoro istotę każdej konfrontacji politycznej i militarnej stanowi gra, w której wyniku strona zwycięska narzuca swoją wolę stronie przegranej, to analogii dostatecznej dostarcza przykład konfrontacji, jakiej stronami są ujeżdżacz i koń. W przypadku zwycięstwa ujeżdżacza nikt przecież nie uzna, że zawdzięcza on je niedostatkowi fizycznej siły konia, podobnie jak gdy zwycięża koń, nie sądzi nikt, by wynikało to z niedostatku takiej siły u ujeżdżacza. Jest bowiem oczywiste, że w obu przypadkach decyduje siła intelektualna: w pierwszym jako dostateczna i jako niedostateczna w drugim.

³ Siła państwa jako *relacji*, czyli siła, którą ono przyciąga swych obywateli, nie wynika z ich liczby; nie inaczej jak w przypadkach takich *relacji* i ich uczestników, jak *rozmowa* i rozmówcy czy *przyjaźń* i przyjaciele.

stało być rozumiane jako *relacja* międzyludzka, czy – jak kto woli – społeczna. To jest *relacja*, którą władza – na przykład królewska – jedynie moderuje, podobnie jak w analogicznej *relacji* dialogu czyni to władza moderatora. Skutkiem tej pojęciowej ewolucji stało się substancjalne wyobrażenie państwa, przedstawiające je jako byt samodzielny i odrębny. Byt więc, jaki daje się mierzyć przede wszystkim *ilościowo*, gdy w przypadku *relacji* mówić można o miarach przede wszystkim *jakościowych*. Tę tak doniosłą ewolucję pojęć, promowała synergia dwóch tendencji myślowych – nieco barbarzyńskiego upodobania dla form rozległych fizycznie, z wyrafinowaną Platońską dyspozycją poznawczą, dopuszczającą realne bytowanie bytów idealnych. Wpływ obu tendencji widać było już we wczesno-nowożytnym wyobrażeniu państwa – obrazowanego pod postacią *cielska* o ciężarze łamiącym każdy opór. Tak przedstawiał je Étienne de La Boétie (1549), który upatrywał w nim miazdzącego ludzkość *tyrana*. Nie inaczej widział państwo Tomasz Hobbes (1651) – acz dostrzeganemu w nim *lewiatanowi* przypisywał on siłę opatrnościową – skoro w jego opinii jedynie respekt dla państwa wprowadza ludzkość w ryzy cywilizacji i utrzymuje ją w nich.

Nowe wyobrażenie państwa, utożsamiające jego siłę z jego ciężarem, odczuwanym wewnątrz, jako presja o naturze fizycznej, musiało sugerować myśl, że to nie wola rządzących nim, lecz właśnie ono same sobą, podobną presję wywiera także na zewnątrz. Stąd myśl, że istotę relacji między państwami stanowi mierzony arytmetycznie stosunek ich sił. Przejęli się myślą tą Wolter i król Fryderyk II Pruski w napisanym wspólnie eseju *Anti-Machiavel* (1740); zgodził się z nią David Hume, w *Of the Balance of Power* (1752). Biegnąc dalej, ta sama myśl dotarła do punktu, w którym stosunki wzajemne *państw-lewiatanów* musiały przedstawiać się jako anarchia analogiczna – zdaniem Hobbesa – do panującej w przed-państwowym stanie ludzkości, przez autora *Lewiatana* postrzeganym jako *wojna wszystkich przeciw wszystkim*. Z punktu obserwacji, tak pesymistycznej, niezmienną myśl z optymizmem ruszyła dalej, w poszukiwaniu analogicznego remedium na ówże stan, okrzyknięty rychło *anarchią narodów*. Anarchią sygnalizowaną dwoma faktami. Tym, że przestrzeń stosunków międzynarodowych zamienia się w pole gry, której stawką jest zawładnięcie tą przestrzenią, albo przynajmniej utrzymanie się w niej. Oraz tym, że polityka czasu *pokoju między narodami* stanowi w istocie jedynie konfigurowanie układu ich sił na czas *wojny*. Nie zaskakuje więc, że w takim stanie pojęć, jako poszukiwane remedium okazał się respekt analogiczny do respektu jakim cieszy się *lewiatan*.

To bowiem *anarchię narodów* – jako powodowaną nierównością ich potencjałów materialnych – poskramiać miał respekt ich dla *lewiatana*, pod postacią zasady *równowagi sił* chroniącego pokój w przestrzeni stosunków międzynarodowych. I czyniącego to dwójako: respektem budzonym u graczy z jej pola oraz respektem chcących grę ich zrozumieć.

Rzecz oczywiście nie w tym, że obecność takiego respektu po stronie graczy pokazuje doświadczenie od pryncypów – o czym zresztą mowa też i w *Evangelii*. W tym natomiast, że w przekonaniu dość powszechnym sam taki właśnie respekt wystarcza, by ujawniające jego obecność obserwacje, analizy, oceny i prognozy stanu stosunków międzynarodowych uznać za *realistyczne*. *Realizmowi* tego przekonania – jeśli nie ludowemu, to niejako amatorskiemu – tezy i instrumentarium pojęciowe obu *szkół realistycznych* politologii drugiej połowy XX w. wtórują jedynie pozornie. Ani *szkoła klasyczna* (Hans Morgenthau i Raymond Aron), ani też *strukturalistyczna* (Kenneth Waltz i Robert Gilpin), raczej nie zakładają wyłączności udziału realiów mierzalnych ilościowo, w procesach kształtowania i zmiany *równowagi sił*. Właściwe obu szkołom akcentowanie znaczenia realiów tych, wpisuje się przede wszystkim w polemikę z politycznym *idealizmem*. To jest ze stanowiskiem okazującym respekt wizjom politycznym wprawdzie różnym, ale naznaczonym podobieństwami istotnymi. Podobieństwem ich genezy intelektualnej i perswazyjnej siły, wiążące je z tendencją poznawczą, która dopuszcza realne istnienie bytów idealnych. I właściwym dla wszystkich wizji idealistycznych lekceważeniem ich empirycznych weryfikacji. Jak zaś wiadomo, ekspansja politycznego *idealizmu* objęła nie tylko wewnętrzną sferę życia państwa, gdzie obecność jego inspiracji daje się zauważać w całym diapazonie projektów – od *modernizacyjnych* po *konserwatywne*, czy od *autorytarnych* po *liberalne*. Właśnie zaś widocznej w refleksji nad stosunkami międzynarodowymi ekspansji idei liberalnych stawiały czoło obie *szkoły realistyczne*.

Rzecz przecież i w tym, że refleksja przedstawiana przez *szkołę realistyczną* – przy jej krytycznym stosunku do *idealizmu politycznego* – raczej nie skupia się nad realiami, których natura, jako polityczna, nie podlega sporowi. Myślimy o realiach wiążących się z fenomenem *woli ludzkiej*. Co może dziwić, fenomenowi woli refleksja *idealistyczna* nie poświęca uwagi odpowiedniej, choć to do woli człowieka adresuje ona swe projekty, jakich przedmiotami są realia instytucjonalne i proceduralne sfery wewnątrzpaństwowej i międzynarodowej. Każde z nich zaś wiąże się z wolą ludzką, pojętą jako władza, której posiadanie pozwala człowiekowi stawiać sobie cele i czyni go zdolnym

je osiągać⁴. Wola tak pojęta przecież z wymienionymi realiami spotyka się dwójako – jako jej skutkiem i jej okolicznością. Każde takie spotkanie daje jednostkom i zbiorowościom – albo odbiera im – komfort o doniosłej wadze politycznej, mierzonej wszelako wyłącznie jakościowo. Komfort przeżycia *wolności*, gdy stan realiów odpowiada woli, lub – gdy tak nie jest – jego brak. Tymczasem historyczne doświadczenia przeżyć komfortu w tej mierze, tak jak doświadczenia ich braku, potwierdzają ich wagę.

Trudno jednak sądzić, by realia i wolę kiedykolwiek łączyła harmonia pełna. Nadto przy powszechnej zgodzie, co do pojęć *dobra* i *zła* oraz takiej wierności im w praktyce. Równie słabo wyobrażalna wydaje się także absolutna odwrotność podobnej sielanki. Nie zmienia to faktu, że między oboma stanami skrajnymi mieści się każdy stan realny oraz powodowany nim poziom komfortu jednostek i zbiorowości. Natomiast kieruje to uwagę ku pojęciom *dobra* i *zła* oraz ku instytucjom i procedurom ustrojowym, jako obiektywnym okolicznościom kształtowania się woli – z jednej strony woli rządu a obywateli z drugiej. Obie okoliczności, pojęciowa i ustrojowa, nie pozostają bez wpływu na to, która z alternatywnych jakości cechuje wolę realną – po obu zresztą stronach. Czy jest więc to *wola wolna* czy *wola zniewolona*.

Ujawniając wewnętrzną kondycję państwa, poziom efektywności instytucji i procedur ustrojowych demonstrowuje nie tylko ich zalety i wady, jako instrumentów wyrazu i realizacji woli rządu i woli obywateli. Demonstrowuje też jakość głównego czynnika, który determinuje instrumentów tych stan. Jest nim zawsze *jakość woli* biorącej górę w grze toczonej zawsze na froncie prostopadłym do linii, jaka rozdziela rządzących od rządzonych; co więcej, na froncie rozciągniętym niejako ponad tą linią, bo po obu stronach. Co oczywiste, myślimy o grze jaką po obu stronach, wola zgodna z obowiązującymi wyobrażeniami *dobra* i *zła*, w tym i z tymi, które są fundamentalne dla instytucji i procedur ustrojowych, toczy z każdą wolą mniej integralną. Gra taka toczy się zawsze, zarówno gdy linia dzieląca rząd i obywateli jest linią zwania, jak i gdy wytyczył ją ich kompromis. Zawsze też wola, która w wyniku tej gry bierze górę, determinuje realne działanie ustrojowego instrumentarium; wtedy, gdy osiąga ono założony cel, jak i gdy kończy je skutek odwrotny.

⁴ Jest to *wola* w rozumieniu ścisłym, a nie w potocznym, w jakim jej znaczenie zbliża się do znaczenia słów *chęć* i *zamiar*, gdy osoba mówiąca na przykład „mam wolę, by było dobrze” deklaruje tylko przedmiot swojej *chęci* lub *zamiaru*, bez rękoma, że posiada niezbędną do tego *zdolność*, że to uczyni i że odpowiada za to osobiście.

Rzecz prosta, w konkretnym rozdaniu gry, o jakiej mowa, wola rozstrzygająca wynik bywa w mniejszym lub większym stopniu zgodna z jej trzema czynnikami – z postacią wstępnie założonego celu, z panującymi wyobrażeniami etycznymi i z wolą większości. Co nie mniej oczywiste, to właśnie stopień zbliżenia woli decydującej o wyniku danego rozdania, do tych trzech czynników, pozwala odpowiedzieć na pytanie dotyczące samego pojęcia *jakości woli*. Wysoki stopień zgodności woli zwycięskiej z celem założonym i z wolą ogółu wskazuje wprawdzie, że wola zwycięska była *wolną wolą*, ale jedynie subiektywnie. O tym bowiem, że wola zwycięska jest *wolną wolą* obiektywnie, decyduje definiowanie jej przedmiotu zgodne z zasadą *wolności osądu i decyzji*. Z zasadą więc, wyłącznie która gwarantuje człowiekowi status pana czynów własnych i jednocześnie nakłada nań odpowiedzialność za nie. Która też stąd pozostawia mu wolność wytyczenia – pod odpowiedzialnością taką samą – granic, w jakich zamyka on swoje czyny⁵.

Nie jest zaś mało ważne, że przeżycie zwycięstwa *woli wolnej*, zdeterminowanej tymi granicami, a determinującej cel, jaki się w nich mieści, tym staje się głębsze, im bardziej jest powszechne odczucie, że są to granice sugerowane przez Naturę. Tę samą, która – zdaniem Szkoły Arystotelesa i św. Tomasza z Akwinu – w granicach tych zawiera ludzką wolność, jako jedno z naczelných dóbr człowieka, zarówno danych mu, jak i zadanych, niezbywalnych pod groźbą uszczerbku jego natury. Siła przeżycia zwycięstw podobnych znana jest z historycznych doświadczeń. W historycznym też doświadczeniu mieści się siła przeżycia zwycięstw *woli*, jaka sobie nie narzuca granic równie wyraźnych, a swoje cele stawia poza obszarem obiektywnych i subiektywnych potrzeb ogółu, czasem nawet w niezgodzie z panującymi wyobrażeniami *dobra i zła*. Nigdy zresztą nie jest to wola wyłącznie dyktatora czy wyobcowanego establishmentu władzy. Nigdy bowiem nie obywa się ona bez obecności woli poddania się jej – a więc *woli zniewolonej* – wymuszonej po stronie rządzonych.

Różnica jakości, która przeżycie zwycięstwa *woli wolnej* dzieli od przeżycia zwycięstwa *woli zniewolonej*, zdaje się mieć skutki istotne. Budujący wpływ pierwszego można poznać na widowiskowym przykładzie zwycięstwa *stronnictwa egzekucji* na Sejmie 1562/1563 roku – po dwunastoletniej batalii o re-

⁵ Tak dzieje się nie tylko wtedy, gdy owe granice definiuje *subiektywnie* Kantowski *imperatyw kategoryczny*, ale i wówczas, gdy Szkoła Arystotelesa i św. Tomasza z Akwinu przedstawia je jako determinowane przez *obiektywny porządek naturalny*, skoro – co pokazuje doświadczenie – zdarzają się przypadki wyborów z porządkiem tym sprzecznych.

formę państwa, postulowaną od z góry pół wieku. Sejm ten nie tylko przecież otworzył wielki rozdział historii staropolskiego parlamentu, w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XVI stulecia, wypełniony ustawodawstwem czyniącym z Pierwszej Rzeczypospolitej wzorcowy przykład państwa o *ustroju mieszanym*⁶. Duch republikański, jaki jej instytucje wtedy zreformował, składał dowody swej efektywności w całym trwającym do końca wieku XVI okresie kryzysu, spowodowanego wygaśnięciem dynastii i trzema bezkrólewiami. Do lat jeszcze trzydziestych następnego wieku bronił się przed swymi przeciwnikami, dla których nie do przyjęcia było państwo silne i dopuszczające obywatelski ogół do udziału we władzy. Dowodów siły tego samego ducha nie brakowało i później, kiedy od około połowy XVII wieku instytucje i procedury poczęły wymykać się spod jego władzy – wskutek manipulacji, jakich dopuściła się część elity, którą system ów raził, a jakie zlekceważyła część elity mu wierna. Brak wątpliwości, że to siła tego właśnie ducha, hamując proces rozkładu ustroju i cucąc opinię publiczną, pozwoliła Pierwszej Rzeczypospolitej odeprzeć – choć nie bez strat – inwazje kierowane na nią przez całą drugą połowę XVII wieku ze wszystkich stron i omal bez przerwy. Wszakże dopiero dramatyczne wydarzenia z lat 1696-1717 przyniosły przełom, którego istota sprowadziła się do zwycięstwa woli zniewolonej podwójnie, bo i po stronie elity politycznej i po stronie obywatelskiego ogółu. W przypadku pierwszym niewolona urokiem pojęć dalekich od tradycji republikańskiej i realiów zwłaszcza polskich, czasem też korzyściami płynącymi z wrażliwości na sugestię z zewnątrz. W drugim – niewolona coraz to natarczywiej szerszym i coraz chętniej akceptowanym kłamstwem, że stan rzeczy ustanowiony w dobie przełomu jest równoznaczny ze zwycięstwem ładu republikańskiego. Ze zwycięstwem więc, jakim w dobrze znany sposób delectowała się *epoka sasko-stanisławowska*.

⁶ W wiekach XVI-XVII *ustrój mieszany* stał się synonimem *monarchii konstytucyjnej*, a przez to alternatywą dla obu dominujących tendencji ustrojowych doby nowożytnej – ku *monarchii absolutnej* i *postfeudalnej anarchii*. Jako taki, cieszył się *ustrój mieszany* opinią ustroju optymalnego, gdyż uważano, że jego instytucje i procedury lepiej niż dzieje się to w ustrojach innych, służą harmonii obu naczelných dóbr politycznych – siły państwa i wolności obywatela. Zgadzała się, co do tego, między innymi republikańsin Machiavelli, święty jezuita Roberto Bellarmino i kalwinista Bartholomaeus Keckermann, a z nimi znakomita większość renesansowych i wczesno-nowożytnych pisarzy politycznych, nadto wszystkich wyznań. Dodajmy, że jako *ustrój mieszany* interpretowali ustrój Pierwszej Rzeczypospolitej pisarze nowożytni zarówno polscy jak europejscy; gdy natomiast podjęta w wieku XIX próba ujęcia jego specyfiki terminem *demokracji szlacheckiej* stanowiła nieporozumienie, dotkliwie zubożające poznawczo i szeroko spopularyzowane.

Staropolski przypadek *ustroju mieszanego*, jako czynnika najpierw rozkwitu państwa, a potem jego degradacji dobitnie potwierdza wagę *woli politycznej* i jej *jakości*, jako istotnych czynników gry decydującej o obliczu każdej z kolejnych odsłon historycznego procesu. Gry, która wpływa także na postać stosunków międzypaństwowych. Każdy przecież z możliwych jej wyników, inspirując życie wewnętrzne państwa stanowi istotną przesłankę sposobu bycia państwa w jego stosunkach zewnętrznych. Państwo, którego ład kształtują zwycięstwa woli w istocie wolnej, nad wolą jakkolwiek bądź zniewoloną, wnosi w stosunki międzynarodowe ton na pewno inny niż państwo, gdzie ową tak nieuniknioną grę wieńczą wyniki odwrotne. Stąd mapa odwzorowująca stosunki międzypaństwowe nie może sprowadzać się do obrazu granic państw, oraz wyróżnienia układu aliansów i prezentacji wszystkich sił materialnych, jakimi państwa te i alianse dysponują. Powinna odnotowywać też ów godny uwagi kontrast realiów ustrojowych, dzielący poszczególne państwa niezależnie od granic ich samych, jak i rozgraniczeń ich aliansów. To znaczy kontrast realiów będących wynikami historycznych procesów, które strukturalnie i proceduralnie konstytucyjnym nadawały kształt w kolejnych odsłonach gry, jaka zawsze, w niemałej swej części, pozostaje grą woli wolnej ze zniewoloną.

Ów tak godny uwagi kontrast nie jest jednak przesłanką decydującą o dalszym biegu procesu. Potwierdza to porównanie realiów ustrojowych Pierwszej Rzeczypospolitej z epoki zamkniętej w roku 1652 pierwszym *liberum veto*, z realiami epoki następnej. Jak wiadomo, formalny brak kontrastu instytucjonalnego nie zapobiegł tu kontrastowi praktyki życia. Nie inaczej przebiegu zmian w żadnej z kolejnych odsłon historii stosunków międzypaństwowych nie przesądza kontrast, jaki – w momentach ich otwarcia – odcina państwa determinowane do agresji specyfiką ich struktur i procedur, od inaczej determinowanej reszty. W przebiegu każdej odsłony realia te stanowią okoliczność bez wątpienia nader istotną. Ale z perspektywy całego procesu ujawnia się ona jako tylko jedna z okoliczności dramaturgii bardziej ogólnej i fundamentalnej. Dramaturgia ta bowiem ma za swój przedmiot kondycję pierwszorzędnego dobra człowieka, którym jest wolna wola. Toteż wyniki kolejnych potyczek, możliwych odmian woli, w żadnej odsłonie procesu nie zamykają się sumą zmian wszystkich realiów komponujących układ stosunków wewnątrzpaństwowych i międzypaństwowych – zmian zaszłych od jej otwarcia do zamknięcia. Na otwarciu odsłony kolejnej realia te – razem z towarzyszącym im potencjałem subiektywnych energii woli – stanowią zespół obiektywnych przesłanek *kierunku*, w jakim zmierza proces.

Nie jest to kierunek nieznany. Wiedzie on przecież do naszej współczesności i do jej postaci, która – mimo wszystkich zagadek, jakie jeszcze skrywa przed nami – pozostaje nam znana w miarę dobrze. Tymczasem współczesność, skupiając naszą uwagę niezależnie od stopnia aprobaty jej postaci, nie raz zachęca do próby odpowiedzi na pytanie: na ile jest to postać nieunikniona? Ciekawość kieruje się zwykle ku otwarciu tej właśnie odsłony procesu, która o niej przesądziła. Podważa decyzje wtedy podjęte, stawiając równie znane pytanie: *co by było, gdyby* podjęto decyzje inne i przedstawiając hipotezę powodowanych nimi zdarzeń. Przykładem mogą być wywody hipotetycznych pożytków, jakie dla Polski miałyby wynikać z ewentualnych ustępstw wobec Niemiec i koalicji z nimi w pierwszej fazie II wojny światowej. Wywody podobne zaliczyć jednak wypada do tak zwanej *historii alternatywnej*, przez co z samej natury rzeczy nie stoją za nimi doświadczenia, jakimi dysponuje tylko historia realna. Wprawdzie w znacznym stopniu wynikają one z odruchowego i rozsądnego zwrotu myśli w przeszłość, ale nie dostarczają danych definiujących *kierunek* historycznego procesu, z jego meandrami z odsłony na odsłonę. Walorów poznawczych innych form retrospekcji historii to przecież nie obniża.

Myślimy zwłaszcza o retrospekcji jaka cofając się wstecz – poniekąd pod prąd procesu – podobnie skupia uwagę na bilansach otwarcia i zamknięcia jego kolejnych odsłon. Jednakże nie projektuje jakichś ciągów składających się na nie zdarzeń i ich skutków, alternatywnych w stosunku do tych, które zaszły realnie. Retrospekcja – analizująca ciągi zdarzeń zaszłych realnie w każdej z odsłon, w świetle obu jej bilansów – ujawnia, jakie realia zastane, zdarzenia te odrzuciły, a jakie zachowały i wytworzyły, by je pozostawić odsłonie kolejnej. Pozwala to zbliżyć się do realiów *kierunku*, jakim kolejne odsłony wraz ze swymi aktorami wpisały się w całość procesu. Ale nie umożliwia niemożliwego, to znaczy – zawsze precyzyjnego ustalenia jakości konkretnych aktów woli i rozmiaru ich wpływu. Natomiast zwraca refleksję ku sednu dramaturgii wyborów, jakich dokonywali protagoniści każdej z odsłon. Dramaturgii, która w każdej z nich, pewne wyobrażenia i instytucje obecne w poprzedniej odsłonie, zachowywała lub degradowała, czy wręcz usuwała, często szczepiąc też wyobrażenia i instytucje mające dojrzeć w odsłonie następnej, bądź przygotowując pod nie grunt. I choć jakość konkretnych aktów woli rzadko kiedy daje się mierzyć dokładnie, to właśnie ich gra, kierując zdarzeniami, decyduje o bilansie wymienionych realiów. Stąd bilans ten, jako obiektywny wynik gry aktów woli wolnej i woli

zniewolonej, upoważnia jego analizę niosącą odpowiedź na dwa pytania. O to, jaka wola zadecydowała o stanie wyobrażeń i instytucji na zamknięciu odsłony. I o to, jak ów stan proteguje dobro wolności woli, w porównaniu z odsłonami sąsiadującymi z nią w czasie. Wraz ze stosunkami wewnętrznymi państwa podlegają tej analizie polityka zagraniczna i sytuacja międzypaństwowa.

Rozmiar zmian zaszłych, od lat osiemdziesiątych XX wieku, po pierwsze dziesięciolecie XXI i dynamika procesu uruchomionego przez nie, sprawiają, że retrospekcja niezbędna do ogarnięcia piętrzących się spraw, nie może poprzestać na poszerzeniu jej przedmiotu o realia wykraczające poza zakres rutynowego serwisu *chleba i igrzysk*. Nie wystarczy też pogłębienie analizy, konieczne w przypadku owych nieco lekceważonych dotąd realiów. Konieczne staje się bowiem wydłużenie wstecz owej retrospekcji, ciągnącej pod prąd historii. Wydłużenie jej do punktu, który dawałby dystans proporcjonalny do znaczenia jej odsłony obecnej. Dotyczy to Europy jako całości oraz każdego z jej państw – w tym i Polski. Obok rozmiaru i złożoności zachodzącego dziś procesu jeszcze jeden powód sprawia, że punkt taki jawi się w przeszłości, którą wielu uznać może za zbyt daleką, skoro cofając się w nią odnajdujemy go dopiero na przełomie I i II tysiąclecia. To przecież właśnie wtedy realia oznaczane terminami *państwo* i *naród* zamanifestowały swą obecność jako polityczny węgiel Europy. To właśnie wtedy i właśnie im, zdefiniowane zostały i rzucone te wyzwania kulturowe i geopolityczne, z którymi dziś borykają się one z na tyle mniejszym niż dotąd powodzeniem, by pojawiała się opinia, że dramaturgia aktualnej odsłony dziejów miałaby nieść kres i *narodowi* i *państwu*.

Tymczasem retrospekcję, która sięgnęłaby owej odległej przeszłości, torpedują inne stereotypy. Siłę największą, bo siłę *oczywistości* łatwej do przyjęcia na wszystkich poziomach wiedzy, posiada stereotypowe, a dotkliwie spływające rzeczywistość, wyobrażenie charakteru epoki nam współczesnej. Stereotyp ten akcentuje jej wyjątkowość. Sama wyjątkowość czasu XX i XXI wieku w istocie nie podlega dyskusji, zwłaszcza w sferze dwóch fenomenów. Są to, z jednej strony dobrze znany fenomen niezwykłych osiągnięć nauk przyrodniczych i techniki, z drugiej zaś głęboki kryzys kulturowy Zachodu – kryzys nie zawsze rozpoznawany w całym jego zakresie i dostatecznie ostro, to odczuwany i w innych miejscach globu. Z poczuciem wyjątkowości chwil bieżących wiązać się zwykło pewne lekceważenie minionych – tym większe, im bardziej te drugie są oddalone. Ci, których wyjątkowość ich czasów napawa pesymizmem, wyobcowują się z nich, zaś w minionych upatrują Arkadię, niekiedy marząc o ich przywróceniu, zwykle bez wiary niezbędnej, by tego dokonać.

Natomiast do nielicznych, których wyjątkowość doby współczesnej nastraja optymizmem wyłącznie z racji kryzysu dręczącego kulturę zachodnią, dołączają rzesza wszystkich, którzy ekscytują się dobrobytem uznanym za powszechny – łatwym i widowiskowym choć pozornym – jaki usprawiedliwiać ma jej stan.

Wyjątkowość aktualnej odsłony dziejów Europy zdaje się jednak zasadzać na faktach innych. Na faktach już wspomnianych, a ukazujących analogię chwili obecnej i węzłowych chwil z jej historycznej przeszłości. Myślimy o chwilach, gdy zagrożenie przemocą mobilizuje wolę obrony ładu, w który przemoc ta godzi. I gdy obrońcy oznaczają ów ład nazwą *Europa*. Według poety XI wieku chwila taka nastąpiła trzysta lat wcześniej, w wojnie toczonej przez Karola Wielkiego, jako wodza armii nazwanej przez poetę *europijską*, co historycy idei europejskiej przypominają często. Nie inna przecież świadomość daje się zauważyć ponad tysiąc lat wcześniej, w republikańskim – co wymowne – kręgu przyjaciół Cyncerona. Nie wymaga wyjaśnień sens komplementu, jakim w I wieku przed Chrystusem, Rzymianin Nepos skwitował zwycięstwo o cztery wieki wcześniejsze, a odniesione przez Greka Temistoklesa pod Salaminą, nad połączonymi flotami Persji, Fenicji i Egiptu – *dzięki rozwadze jednego człowieka Grecja pozostała wolna, a Azja uległa Europie*.

Rzecz w miejscu obu przełomowych momentów oraz ich odbicia w świadomości, w procesie, jaki dotąd determinuje kulturową i polityczną postać Europy, oraz związanej z nią całej wspólnoty cywilizacyjnej Zachodu, a jaki zdaje się dzisiaj trwać w chwili analogicznej. W chwili bowiem, która zewnętrznymi zagrożeniami tejże wspólnoty egzaminuje kondycję i solidarność jej podmiotów. Nadto, gdy właśnie w ich genezie i krystalizacji oba wspomniane momenty miały udział walny. Podmiotami tymi były oczywiście monarchie, których geneza przypadła na schyłek I tysiąclecia po Chrystusie, które przetrwały wielki kryzys Zachodu z końca Średniowiecza i początku Nowożytności, a których zróżnicowanie przesądziły czynniki narodowe. To przecież właśnie odnowienie Zachodniego Cesarstwa Rzymskiego przez Karola Wielkiego w roku 800 i sławiąca męstwo jego paladyna *Pieśń o Rolandzie*, uzewnętrzniły klimat, w jakim dojrzewała karolińska wspólnota polityczna, już wtedy pojmowana przez jej elitę jako *respublica christiana*. Wspólnota, która właśnie w wieku X pączkowała monarchiami Italii, Francji i Niemiec, w łączności z procesami analogicznymi, zachodzącymi na Półwyspie Iberyjskim i Wyspach Brytyjskich, jak też w miejscu dotąd historycznie jałowym, w jakim w tym samym czasie pojawiła się Polska. I to te monarchie pięć wieków później, na przełomie Średniowiecza i Nowożytności, zmierzyły się z po-

litycznym wyzwaniem doby Renesansu, to znaczy z wolą zwrócenia ich pod władzę ducha *republikanizmu* – poprzez odrodzenie życia publicznego, analogiczne do zachodzącego wtedy odrodzenia sztuki⁷. Ujmując rzecz skrótom – przez odrodzenie wyobraźni Neposów i postaw Temistoklesów.

Dobrze znana różnorodność odpowiedzi, danych na to wyzwanie przez poszczególne monarchie Europy nowożytnej, wpłynęła w sposób zasadniczy na postać dramaturgii, jaka zdaje się po dziś dzień organizować procesy kształtujące stosunki wewnątrzpaństwowe i międzypaństwowe na Kontynencie. Toteż wyjątkowość sytuacji europejskiej za naszych dni, bynajmniej nie usprawiedliwia ograniczenia perspektywy refleksji nad nią, na przykład do jej przedednia, upatrywanego zwykle w II wojnie światowej. Przeciwnie, wręcz zobowiązuje do retrospekcji całej drogi, którą owe byty tak specyficznie europejskie – jakimi są *państwa narodowe* (*les États-Nations*) – dotarły do tej sytuacji jako jej podmioty. Retrospekcja taka nie może poprzestać na osiągnięciu milowego kamienia Renesansu, położonego pięć wieków temu, kiedy proces formujący państwa europejskie zwrócił się ku oryginalnym standardom greckiego i rzymskiego Antyku, choć w każdym państwie z innym tego skutkiem. Musi dojść do kamienia starszego o dalsze pięć wieków, oznaczającego tychże państw chwilę narodzin i początek procesu.

Tymczasem retrospekcję taką dodatkowo torpeduje stereotyp, ograniczający czasowy zasięg refleksji politologicznej zwykle do połowy XVII stulecia. Opiera się on o swego rodzaju przesąd historyczny, który wprowadzie przytakuje tezie o węgielnej naturze miejsca *państwa narodowego* w realiach Europy nowożytnej i najnowszej, lecz który pozostaje przesądem z tej racji, że jego przesłankami są nie *fakty historyczne* a *idee*.

Komponując popularne ideologie polityczne XIX i XX wieku – od liberalnych i socjalistycznych po konserwatywne – idee te dość zgodnie, mimo różnicy przesłanek, wniosków i ocen, lokalizują realia *państwa narodowego* – niejako embrionalne – pośród skutków dopiero *Wojny Trzydziestoletniej* (1618-1648). Gdy więc analogiczne realia czasu po roku 1648 znajdują jeszcze dla siebie miejsce – zwykle zresztą mało wygodne – w tezie politologicznej, to miejsce bardziej eksponowane oferują realiom wcześniejszym już tylko mity. Popularyzowane różnymi dziedzinami sztuki, prezentują one to, na co stać czasy tak zwanej *kultury masowej*. Zwłaszcza gdy i masy i elity czują się

⁷ Jak w *Rozważaniach nad Dziejami Rzymu Liwiusza* domagał się tego Machiavelli, skądinąd za swą rzekomą sympatią dla monarchii absolutnej przez jednych chwalony, a przez innych ganiony – raczej więc bezpodstawnie w obu wypadkach.

w nich jakby w odzyskanej Arkadii, której niejasno wyczuć niedostatki etyczne i estetyczne znajdują w owych mitach usprawiedliwienie. Prezentowana w nich przeszłość legitymizuje bowiem różne świeże kulturowo opinie, jak choćby o nierozumności wiary w sprawczą moc wolnej woli ludzkiej. Czemu przytakuje i historia urzędowa, pod natchnieniem dowolnej idei.

Jak domyśleć się nietrudno, polska refleksja historyczna, a za nią i polityczna, nie omieszczała przejąć wymienionych stereotypów i dodać do nich paru własnych. Wśród tych drugich, a odniesionych do sfery polityki zagranicznej, miejsce główne zajął stereotyp, który odpowiedzialność za jej stan w wiekach XVI i XVII – w świetle tegoż stereotypu chybiony od początku do końca – spada bezpośrednio na ustrój Pierwszej Rzeczypospolitej, w tym samym świetle wadliwy, jako że parlamentarną kontrolą osłabiający władzę wykonawczą monarchy. Ów absolutystyczny stereotyp autoryzuje zresztą nie tylko *pesymizm* obrazu nowożytnych dziejów Polski, komponowanego z ekspozycją *liberum veto* i w sztafażu mitycznej *anarchii mas szlacheckich*. Dodaje też powagi *optymizmowi* obrazu Polski Piastów, gdzie na pierwszym planie ciężka ręka Mieszków i Bolesławów łamie harde karki wielmożów. Jednak na to dowodów o wymowie i liczbie dostatecznej po prostu brak w źródłach, przy niezłej w nich reprezentacji faktów, które plasują piastowski ustrój polityczny raczej w procesie, jaki konstytucjonalizował europejską monarchię średniowieczną. Także i z tym obrazem realiów wewnętrznych związał się spójny z nim wykład polityki zewnętrznej, akcentujący zbawczy w tej sferze wpływ władzy absolutnej. Wprawdzie oba obrazy powstałe jeszcze w wieku XIX, w czcigodnej *szkole krakowskiej*, padły ofiarą krytyki opartej o fakty źródłowe, to jednak sam stereotyp absolutystyczny przetrwał i nadal odcina refleksję od rzeczywistości, nie tylko zresztą minionej.

Perswazyjną siłą stereotypu absolutystycznego wzmaga kompleks powodowany przez unicestwienie polskiej państwowości w latach 1772-1795, jej nieobecność w latach 1795-1918, oraz jej perypetie w wieku XX. Balast tych faktów obciąża nie tylko większość prób definicji polskiej doktryny dyplomatycznej. Cięży do dziś dnia nie tylko nad interpretacją europejskiej polityki Pierwszej Rzeczypospolitej, czy Polski Piastów i Jagiellonów⁸. Kompleks ów bowiem, sprowadzając

⁸ Czego wyrazem są oba popularne wyobrażenia *polityka piastowska* i *polityka jagiellońska*, jakie wspólnym wysiłkiem obu szkół historii – *krakowskiej* i *warszawskiej* – utrwały mylne przekonanie o zasadniczej niejednorodności polskiej polityki zagranicznej, bo podejmującej ekspansję raz to na zachód, raz to na wschód. A choć żadne z wyobrażeń takich nie wytrzymuje krytyki (o czym będzie jeszcze mowa w tej książce), to jednak wciąż oba służą za podstawy „empiryczne” dwóm konkurującym doktrynom, czy – mówiąc ściślej – *ideom*, *piastowskiej* i *jagiellońskiej*.

wyobrażenie *polityki polskiej* do wyobrażenia *sprawy polskiej*, kolejnym ideom jej rozwiązania nadaje ton ultymatywny, autoryzowany chybionym rygorem tego stereotypu. Ton i rygor kierują się tu oczywiście do wewnątrz, to znaczy do własnej opinii publicznej. W kierowanych na zewnątrz apologiach prawa Polski do suwerenności, kompleks omawiany daje się rozpoznać w ich tonie, bardziej skwapliwym, niż przekonującym. Słabość wywodów ma przyczynę nie tyle w ich skwapliwym tonie – choć taki ton budzi podejrzenie zawsze – ile w słabości argumentów, prezentowanych w dwóch innych, znanych stereotypach.

Pierwszym jest teza Napoleona, zgodnie z którą suwerenność Polski miałyby stanowić gwarancję *równowagi potęg* w Europie, a to wobec znaczenia jej miejsca dla geostrategicznej konstrukcji kontynentu. Według drugiego – prawo Polski do własnego miejsca, miałyby mieć gwarancję w jej obecności w awangardzie duchowych i materialnych przemian Europy. Jak łatwo dostrzec, oba stereotypy apologetyczne współbrzmiały ze wspomnianymi już teoriami, bo z *realizmem* politycznym i z *idealizmem* – w ich redakcjach jeszcze dziewiętnastowiecznych. Współbrzmienie to nie owocowało przecież dla *sprawy polskiej* żadnymi korzyściami, mimo zrozumienia, jakie w europejskim obozie konserwatywnym miała jej apologia *realistyczna*, prowadzona z Hotelu Lambert przez Adama Czartoryskiego, czy też mimo szacunku, jakim europejski obóz liberalny otaczał jej apologetów *idealistycznych*, z demokratycznego odłamu polskiej emigracji, spod znaku Joachima Lelewela. Doświadczenie teoretycznej i praktycznej słabości obu apologii w wieku XIX nie zapobiegło ich recydywie w następnym. Ryzykowna intelektualnie zasada *równowagi sił*, niezależnie od szkół realizmu politycznego, *klasycznej* i *neoklasycznej*, uznawana przez mocarstwa Europy międzywojennej i po II wojnie światowej przez obie potęgi globalne, nadal miała wpływ zasadniczy na ton polskich kalkulacji politycznych. Kolejne też przykłady obu w Europie odwiecznych tendencji politycznych – *modernizacyjnej* i *konserwatorskiej* – dopełniały duet stereotypów. Ten zaś ograniczał zakres analizy położenia i diagnozę kierunku. Inspirując więc refleksję historyczną, poza jej zasięgiem zostawiał realia nader istotne, bo realia kondycji. Kondycji intelektualnej, warunkującej rzetelne rozpoznanie wyzwań czasu i słuszną na nie odpowiedź oraz kondycji moralnej, determinującej wolę, jaka do takiego ich rozpoznania i do dania im takiej odpowiedzi, pozostaje niezbędna.

Rzecz prosta, zagadka źródła kondycji woli i zmian jej stanu, wiąże się z realiami jej przedmiotu i podmiotu. Przedmiotem jest tu oczywiście państwo, którego tożsamość prawną i polityczną nosi miano *Polska*. Nie ulega też wątpliwości, że podmiotem woli jest tu, jak i we wszystkich przypadkach po-

dobnych, człowiek – król, mąż stanu, obywatel. Stąd, co podobnie oczywiste, każde państwo stanowi przede wszystkim przedmiot woli tych, co u jego początku powołali je do bytu. Potencjał woli uaktywnionej u początku państwa – jak każda jakość – ulega przecież osłabieniu, w procesie, który wolę króla-założyciela niejako rozcieńcza w woli jego ministrów i poddanych, gdy ich wolę determinuje jedynie posłuszeństwo. Wyładowujący się w procesie bytowania państwa, potencjał jego woli założycielskiej, doładowują wyłącznie kolejne akty zgodnej z nią woli wolnej⁹. Woli więc niezależnej, nawet od tego godnego uznania szacunku, jakim cieszy się czasem testament przodków. Woli przede wszystkim, którą wywołuje przed wszystkim zachwycenie aktem woli założycielskiej i kolejnych aktów inspirowanych nią, gdy akty te poznane są w ich prawdzie. To w niej tkwi tajemnica źródeł woli i jej jakości. Historia zatem, nazywana przez Cyserona *mistrznią życia*, okazuje się także mistrznią kondycji.

Dwa powszechnie znane fenomeny historyczne zwracają uwagę zaciekawionych ową zagadką woli i kondycji. Jednym jest rozmiar zagrożeń wewnętrznych i zewnętrznych – tak nieuniknionych przy doświadczanej w dziejach specyfice historycznej miejsca, gdzie Pan Bóg dopuścił posadowić Polskę. Drugim – ciągłość, z jaką jej państwo na miejscu tym bytuje już ponad tysiąc lat, a jaką jedynie potwierdzają wyrwy, głęboko wyszczerbione podczas *rozbitcia dzielnicowego* i *rozbiorów*, a mimo to usunięte. Oba fenomeny zdają się dowodzić znacznego rozmiaru potencjału woli, która dała początek bytowaniu polskiego państwa oraz wysokiej kondycji jej podmiotu. Potwierdza to retrospekcja docierając do okoliczności początku, które – jak zobaczymy – już wtedy zdawały się wykluczać jego bytowanie – i tym samym – mogły one woli, jakiej było ono przedmiotem, odmawiać miana woli rozumnej. Po drodze do źródła woli założycielskiej, retrospekcja zatrzymuje się także przy manifestacjach woli zachowawczej, by w ich okolicznościach i skutkach znajdować przesłanki pomiaru kondycji jej podmiotów – a więc czynnych i biernych uczestników kolejnych odsłon historii polskiego państwa.

Co oczywiste, retrospekcja gimnazjonu kondycji polskiej nie przebiega w oderwaniu od retrospekcji gimnazjonu kondycji europejskiej. Oba gimnazjony wiąże wyrazista łączność wydarzeń, jakie składają się na procesy w nich zachodzące, a jaka wynika z tak przejrzystej jedności ich miejsca i czasu akcji. Łączność ta przecież bierze się także z natury samej akcji, skoro jest nią gra, a przede wszystkim z istoty jej stawki. Z jej istoty kulturowej i politycznej – jednocześnie.

⁹ W tym zdaje się kryć przyczyna odruchu, który wielkich mężów stanu – jak Generał de Gaulle – w trudnych sytuacjach kieruje do wybitnych poprzedników z pytaniem, jak oni postąpiliby na ich miejscu.

Istotę tę zdefiniować nie trudno. Jej aspekt kulturowy stylizowała oryginalna po-
znawczo i artystycznie twórczość ojców-założycieli z grecko-rzymskiego Antyku.
Natomiast polityczny aspekt stawki, o której mowa – ściśle związany z aspektem
kulturowym, jako jego konsekwencja – zdefiniowany został ostatecznie na prze-
łomie I i II tysiąclecia po Chrystusie, we wspomnianych aktach początkujących
bytowanie oryginalnej formy życia publicznego, właściwej *państwu narodowe-
mu*. Formy więc, którą demonstrowały *politeia* Arystotelesa i *res publica* Cyce-
rona i która inspirowała republikański nurt tradycji Antyku, a dla której geneza
państwa narodowego była próbą uniwersalizmu. Nadto daje się w gimnazjonie
europejskim zauważyć podobnie fundamentalna dla kondycji kultury, rola po-
wrotów do jej oryginalnych źródeł antycznych.

Powrotem takim była wspomniana już restytucja Zachodniego Cesarstwa
Rzymskiego w roku 800, z jej kulturowym pokłosiem w postaci *renesansu
karolińskiego*, a politycznym w postaci zaczynu dla *państw narodowych*, jakim
stały się monarchie Europy właśnie wtedy formowane w duchu karolińskim.
Powrotem podobnym był renesans *arystotelizmu* w XIII wieku, pełen konse-
kwencji także w sferze refleksji i debaty politycznej, pobudzającej proces kon-
stytucjonalizacji średniowiecznego państwa. Brak wątpliwości, że powrotem
nie innym był Renesans z doby przełomu XV i XVI stulecia – modelowy dla
wyobrażenia renesansu, jako odrodzenia głównie formy klasycznej w architek-
turze i sztukach wizualnych. Wiemy jednak, że obok osiągnięć w dziedzinie
sztuki – brzemienne w ważących na europejskiej umysłowości – renesans zaszyły
na przełomie Średniowiecza i Nowożytności miał istotne osiągnięcia także
jako *renesans polityczny*, choć na pewno mniej rozpowszechnione.

Analiza dramaturgii tych trzech szczególnych odsłon dziejów Europy
dowodzi nader wyraźnie, że Renesans – jako powrót – w żadnej z nich nie
sprowadzał się do działań z natury konserwatorskich. Nie był – mimo nawet
deklaracji woli odbudowy – zabiegiem rekonstrukcji minionego świata, lecz
powrotem do sprawdzonych w nim *zasad*. Zasady te bowiem, ani nie prze-
padły wraz z nim, ani nie przetrwały jedynie w ruinie, wzorem jego budowli.
Z różnych przyczyn nie oświetlające drogi w przyszłość, trwały na jej poboczu,
jak porzucony kompas. Powrót przeto przedstawiał się tu jako podniesienie
kompasu dobrze znanego. Natomiast jako *odrodzenie*, Renesans w każdej swej
odsłonie, mimo swojskości tradycji rozpoznawanej w formach jego tworów
tak łatwo, uderza przecież przede wszystkim tychże form nowością. A to prze-
mawia za poglądem, że powrót także i tutaj pozostawał powrotem do źródła
kondycji niezbędnej na drodze w każdą kolejną przyszłość.

Związek powrotów Polski i Europy do źródeł ich kondycji nie jest przecież związkiem wyłącznie chronologicznym. Zbieżności obu fenomenów w czasie, zwykle towarzyszy – bardziej lub mniej wyraźne – współdziałanie ich protagonistów europejskich i polskich, zawsze mające potwierdzenie w analizie procesu, którego było ono elementem, zazwyczaj też poświadczone faktami dyplomatycznymi. Przede wszystkim jednak związek obu serii powrotów dyktowany jest kulturową tożsamością ich celu. Stąd każdy powrót Polski i Europy do wspólnego źródła ich kondycji, sprzyjając sprawie konkretnych dóbr, jakie tę tożsamość tworzą, poszerza też i szanse samej kultury im właściwej. Ujmując rzecz najogólniej, poszerza szanse życia indywidualnego, w zgodzie z zasadą wolności woli i w owym dobrym świetle, jakiego nie skąpi rzeczywistość poznawana obiektywnie. Poszerza także szanse życia zbiorowości w jego formie naturalnej, to jest w państwie o ustroju, który przyciąga zbiorowe życie inaczej, niż monolog uwagę ludzką, nawet najgłośniejszy. W państwie więc, którego forma konstytucyjna działa na wzór rozmowy, ugruntowanej – jak w materii – w wolnej woli obywateli. Czyli państwie, do jakiego prawo Ateńczycy i Spartanie przyznali sobie i wszystkim mającym się za narody plemionom Hellenów, posłusznym religijnemu autorytetowi świątyni Apollona w Delfach. Nie innym było państwo, któremu wyłączność globalną naród rzymski przyznawał z tej racji, że sprawą wspólną czyniło ono sprawiedliwość. Prawo do takiego państwa – na przełomie er – *Dobra Nowina* przyznała narodom już wszystkim, czyniąc to pośrednio, poprzez zrównanie ich członków wobec Stwórcy.

Trudno nie zauważyć, że powroty do oryginalnych źródeł kondycji zwiększają szansę jeszcze jedną. Szansę współlistnienia *państw narodowych*, które nie przypominają monologu jednego z nich, a ich wszystkich rozmowę, ugruntowaną w ich wolności. To właśnie na nich spoczywa odpowiedzialność za kondycję Europy, weryfikowana stanem ich kondycji własnej.

Odpowiedzialność tę helleńska *politeia* dźwigała skutecznie do chwil, gdy spadek jej kondycji – widoczny choćby już w *Trzeciej Wojnie Świętej* (356-346 przed Chr.), kiedy Ateny i Sparta sprzymierzyły się z rabusiami skarbu świątyni w Delfach przeciw Tebom – otworzył drogę do hegemonii macedońskiej i orientalizacji życia publicznego¹⁰. Kondycji nie innej od tej, którą helleńska *politeia* miała pierwotnie, a której również *res publica* Rzymian zawdzięczała swe

¹⁰ Orientalizacja, widoczna w uniwersalnej z ideowego założenia monarchii Aleksandra Wielkiego, zmieniła wcześniejszy świat *helleński* w świat dla odróżnienia zwany *hellenistycznym*. Jeszcze wyraźniej ujawniły to odłamki powstałe z rozkładu macedońskiego imperium (*diadochie*), co te położone w Europie upodobało do azjatyckich.

zwycięstwo nad systemem hellenistycznych *diadochii*. Podobnie spadek kondycji rzymskiej w dramatycznym ostatnim wieku starej ery – uznanym przez jego świadków za *wielkie delirium* – pozwolił zdeformować ustrój republikański w absolutystyczne cesarstwo. W państwo więc, którego przed polipem biurokracji i upadkiem pod presją mało zaawansowanych kulturowo plemion, nie uchroniło ani jego zaawansowanie rozwoju, ani zasięg globalny. To związanej z jego upadkiem anarchii, toczącej Europę w całym wczesnym Średniowieczu, przy inwazjach z Azji i Afryki, stawili opór bohaterowie *renesansu karolińskiego* oraz kondycja generowanych pod jego auspicjami *państw narodowych*.

W podejmowanych próbach odpowiedzialności za kondycję Europy stan kondycji *państw narodowych* weryfikuje się obiektywnie. Dzieje się tak zarówno na przełomie I i II tysiąclecia, w czasie ich pierwocin, jak i na obecnym przełomie tysiącleci, gdy pojawia się opinia, że jako formy życia politycznego już przebrzmiały, wypada je już złożyć w dziejowym lamusie.

Jednak praktycznej i poznawczej użyteczności tej formy wcale nie przeczą trzy fakty podstawowe. Ani fakt, że natura *państwa narodowego* – jak zresztą każdego – wyklucza, by działań jego nie determinowała zasada prymatu dobra jego podmiotu. Ani też fakt, że w ciągu II tysiąclecia, realia państw europejskich czyniły kryteriom *państwa narodowego* zadość w stopniu bardzo rozmaitym – tak w kolejnych epokach, jak w różnych stronach Kontynentu. Ani wreszcie fakt zaszłych z biegiem tysiącletniego procesu, zmian wyobrażeń o tożsamości europejskiego państwa i samej Europy. Niezależnie bowiem od ich konkretnego stanu historycznego oraz od ich subiektywnych wyobrażeń i ocen, realia zgodne ze standardami *państwa narodowego* i realia zgodne z *europejską tożsamością*, bytują zawsze obiektywnie, w obiektywnej korelacji z realiami analogicznymi, a z nimi niezgodnymi. I niezależnie też od tego, na ile korelacja ta jest uświadomionym wyzwaniem w stosunkach międzypaństwowych – i jak jest ono zdefiniowane – a na ile trwa poza świadomością.

Dla kartezyjskiej jasności wyводу ująwszy rzecz *ilościowo*, można by rzec, że każde konkretne europejskie państwo realnie zawsze zawiera jakiś „procent” *państwa narodowego*, zarazem bytując w politycznych realiach Kontynentu, które można scharakteryzować jako *europejskie* zawsze w jakimś „procencie”. Ta sama konwencja myślowa pozwalałaby więc mówić o niejako *stężeniu* realiów *państwa narodowego* i analogicznie realiów *tożsamości europejskiej*, a przez to również o *mocy* europejskiej zarówno państw realnych, jak też realnej Europy. Nie trudno zauważyć, że oba pojęcia, i *stężenie* i *moc* – swoim metaforycznym urokiem kartezyjskim – aż proszą się, by używać ich do pomiaru nieźle korespondującego

z nimi pojęcia *kondycji*. A przez to, do pomiaru istotnego i podobnie obiektywnego czynnika *koniunktury*, w jakiej definiują się subiektywne zachowania państw i jaka zmienia się pod wpływem ich zachowań – w kolejnych odsłonach dziejów Europy i jej narodów. Jednym z takich zachowań państwa i zarazem przejawem jego kondycji, jest jego polityka zagraniczna. W zmianach koniunktury bilansują się zachowania wszystkich państw w ich stosunkach wzajemnych.

Stąd perspektywa współlistnienia *państw narodowych*, które przypomina jeśli już nie rozmowę, to choćby wspólny spacer w milczeniu, stanowi jedną z obiektywnych miar sensu działań, jakie perspektywę tę urealniają, lub nie. Względ na nią, obiektywizując retrospekcję kolejnych odsłon dziejów stosunków między państwami, obiektywizuje również prezentację działań stosunki te współtworzących, a których podmiotami są państwa. Ten sam przecież względ sprawia, że retrospekcja europejskiej polityki Polski jest nierozłączna z retrospekcją podobnie postrzeganej polityki innych państw Kontynentu

Jest to retrospekcja całości procesu – od jego momentów współczesnych nam, po moment jego inauguracji w połowie X wieku. Przebiegając wstecz – w zbliżeniu umożliwiającym demonstrację faktów miarodajną dla każdej z kolejnych odsłon – czyni to z jednakowym do nich dystansem. To znaczy tak, by stopień nasycenia faktami nie wyróżniał obrazu żadnej z nich. Stąd obrazy odsłon nam bliższych, dobór prezentowanych w nich faktów ograniczają do tych, których wagę – jak można sądzić – kiedyś potwierdzi ich przetrwanie w pamięci historycznej. Podobnie jak pamięć ta potwierdziła wagę faktów bardzo zamierzchłych, a nie uszanowała – nie zawsze z winy stronnicych historyków – wielu faktów ongiś elektryzujących wyobraźnię ludzi ich czasu.

Po drugie, retrospekcja ta podważa stronnice i przewrotne wizje oraz stereotypy, które nie tylko zaciemniają obraz zasług czy błędów lub zaniedbań poszczególnych postaci historycznych, a także przesłaniają istotę całości historycznego procesu, w jakim wraz z Polską trwa Europa już od lat z górą tysiąca.

Po trzecie, ukazuje także istotę polskiej i europejskiej kondycji politycznej, analizowanej z dostatecznym pogłębieniem, w odpowiednio rozległej perspektywie czasu.

Retrospekcję tak właśnie pomyślaną zawierają przedstawione na dalszych stronach poszczególne eseje.

Rozdział I

Z Jałty do Brukseli (1989-2017)

Jeszcze na początku XXI wieku jaśniejsze strony miejsca Trzeciej Rzeczypospolitej w stosunkach międzynarodowych nie budziły wątpliwości. Niestety nie budził ich także brak realnych powodzeń jej dyplomacji. Tej pesymistycznej oceny nie zmieniało zwrócenie Polsce suwerenności w roku 1989 i unormowanie stosunków z Niemcami i z Rosją w latach 1990-1993. Nie przeczył też temu fundamentalny fakt akcesji Polski do NATO – w marcu 1999 roku, jak też do Unii Europejskiej – w maju roku 2004. Do wymienionych bowiem faktów doszło w ramach procesu globalnego, do którego aktorów trudno byłoby zaliczyć Polskę – po II wojnie światowej faktycznie administrowaną przez zarządców inspirowanych i kontrolowanych ze stolicy obcego imperium.

Wprawdzie w obrocie koniunktury, jaki w 1989 roku skorygował świat po-jałtański, miał pewien udział ruch polskiej *Solidarności*. Nie był to jednak udział w jego strategicznym planowaniu i wdrażaniu aktów o charakterze dyplomatycznym czy militarnym. Choć interes Polski w procesie tym został uwzględniony, to nie za sprawą dyplomacji polskiej, wówczas po prostu nie istniejącej. Pośredniczyły tu trzy czynniki. Pierwszy, to dyplomacja Stolicy Apostolskiej. Drugim była wola uczestników procesu korekty, którzy za słuszną uznali myśl o pozytywnej roli suwerenności polskiego państwa. Czynnik trzeci stanowił nacisk, jaki na opinię Zachodu i jego decydentów politycznych wywarli żyjący tam Polacy oraz przyjaciele Polski. Splot tych wszystkich czynników zewnętrznych pozwolił uznać suwerenność Trzeciej Rzeczypospolitej – formowanej w Kraju, w procesie otwartym wiosną 1989 roku przy *okrągłym stole*.

Co prawda udział dyplomacji Trzeciej Rzeczypospolitej przy unormowaniu stosunków z Niemcami i z Rosją był już formalnie podmiotowy. Jednak pozytywna część traktatowego dorobku – w przypadku niemieckim (1991) i w rosyjskim (1992) – stanowiła tylko skwitowanie się Polski, Niemiec i Rosji z zobowiązań, jakie na wszystkie trzy państwa nałożył ich udział – w nowych już formach ustrojowych – w nowym układzie międzynarodowym. W spra-

wach naczelných dyplomacja polska i jej partnerki miały tu do powiedzenia mało. Natomiast w drugorzędnych – gdzie wszystkie trzy miały do popisu pole szersze – wyraźną przewagę korzyści taktycznych nad Polakami osiągnęli Niemcy w większym stopniu, a w mniejszym Rosjanie.

Akcesja do NATO i Unii Europejskiej przedstawiała się podobnie. Jak tam, tak i tu, o biegu sprawy przesądziła koniunktura globalna i analiza korzyści obu Polskę przyjmujących systemów. Tymczasem jej dyplomacja nie zapobiegła mało wysmakowanej choreografii obu akcesji, jaka pozycjonowała Polskę w pozie klienta – nieobytego, ale chętnego słuchać nauk, jakich mu udzielają stali bywalcy lokalu. Trwanie zaś w tej pozie przyczyniło się do kolejnych potknięć w obu lokalach. Zapewne też wyklucza pewniejszą siebie, a cywilizowaną postawę na zewnątrz. Mnoży nieudolność działań w Europie Wschodniej i rozgrzesza z tak – godnej ubolewania – słabej obecności w Azji.

Przyczyny tego słusznie widzi się w moralnym i personalnym osadzie, pozostawionym przez komunizm. Zachowania *brata młodszego* w stosunku do *wielkiego brata* z „obozu”, nie było trudno przestyliżować w celebrę postawy *syna marnotrawnego*, który „wraca do domu”. Łatwo też przychodziło identyfikować we wrażliwych punktach życia publicznego *network*, w takim to duchu procedujący, a pozostawiony przez komunizm. Jednak kłopoty poważniejsze niż sam ów osad, wywoływał stan pojęć podstawowych, definiujących *podmiot* i *przedmiot* polskiej polityki zagranicznej. Ignorowały – i nadal zdają się one ignorować fakt – że *podmiotem* jej jest Rzeczpospolita, jako *państwo*, i że jej *przedmiotem* jest *racja stanu* Rzeczypospolitej – pojęta jako integralność ogółu moralnych i materialnych dóbr Polski.

Rzecz prosta, nad stanem pojęć ciąży tu przeszłość. Ta, w której państwo polskie nie istniało (1795-1918) oraz ta, gdy nie było ono suwerenne (1945-1989)¹¹. Kiedy więc stanowiło – co najwyżej – *przedmiot* polityki międzynarodowej, nazywany *sprawą polską*. Dobre intencje ani adwokatów ani bojowników tej sprawy nie mogą przecież zmienić faktu, że *podmiotami* w niej były mocarstwa decydujące o politycznym kształcie Europy. W sprawie, której *przedmiotem* jest suwerenność Rzeczypospolitej, jej obrońca może przyjąć postawę *klienta* lub

¹¹ Autor reprezentuje pogląd, że funkcjonujące w latach 1939-1944 na emigracji – najpierw we Francji a później w Wielkiej Brytanii – polskie instytucje państwowe (Prezydent, Rząd, Wódz Naczelny itd.) miały obowiązek i – co więcej – możliwość prowadzić w pełni suwerenną politykę realizującą polską rację stanu. Szerzej swoje stanowisko przedstawia w następnym rozdziale [przyj. Red.].

bojownika. Jednak gdy Rzeczpospolita suwerenność posiada, poza *obroną sprawy* traci sens w obu jej odmianach – i *klientalnej* i *bojowej*. Jedyne wówczas sensowna postawa, to postawa *wykonawcy racji stanu* państwa.

Kłopot z pojęciem Rzeczypospolitej jako podmiotu własnych spraw i polityki własnej, powoduje szkodę niejedną. Zdefektowany bowiem przez to stan pojęć rozgrzesza „polityka”, który słabością Rzeczypospolitej usprawiedliwia poddanie jej pod kuratelę alianta. Podobnie dzieje się, gdy „mąż stanu” – choćby dobrem Rzeczypospolitej przejęty był on jak najszczerzej – ustępuje z któregośkolwiek z moralnych lub materialnych dóbr tworzących jej *tożsamość*, co zaś usiłuje on usprawiedliwić „wizją polityczną”, która jego zdaniem ustępstw tych wymaga i jest ich warta. W działaniach inspirowanych takim stanem pojęć łatwo wprowadzić rozpoznać tożsamość polityka, a nie Rzeczypospolitej. Znany od początku Trzeciej Rzeczypospolitej ton prowadzonego w niej dyskursu nie dowodzi, by polityczna tożsamość Polski stanowiła dobro dla jej elity dostatecznie czytelne. Próby przywołania jej, bądź odwołania się do niej, narażają nadal na potępienie różnorakie. Tak zwany *realizm* uznaje za objaw megalomanii narodowej, dla opinii publicznej tym bardziej karygodnej, im łatwiej ulega ona propagandowemu mitowi o „potrząsaniu szabelką”, rzekomo właściwym dyplomacji Drugiej Rzeczypospolitej i zarazem mającym być główną przyczyną jej klęski w roku 1939. Z kolei wszystkie odmiany *idealizmu* za obrazę narodowego ducha przyjmują dowody, że jego tożsamość polityczną zdrowy rozsądek jednak wzmacnia.

Wprowadzić stan pojęć właściwy mediom, a i parlamentom, ukazuje podobne lekceważenie zasad polityki zagranicznej na całym Zachodzie. Tam jednak zagrożeniom stąd pochodzącym stawia opór czynnik w Polsce nieobecny: ciągłość instytucji parających się polityką zagraniczną. Rządowych, które ją praktykują i pozarządowych, które ją śledzą i analizują. Ich wielopokoleniowe doświadczenie zysków i strat, stoi za rutyną pojęć i zachowań. W niej to urzędnicza kadra i jej zaplecze intelektualne, mają bufor łagodzący inwencję kolejnych szefów resortu, czy głów państwa, gdy z jakichś powodów zdarza się im lekceważyć zasadę *racji stanu*. Zasadę, dla której pogarda może należeć do dobrego tonu na uniwersytecie, albo w mediach, co ton dobry definiują i szerzą. Ale załoga urzędnicza dobrze w tradycji osadzonego resortu zagranicznych spraw państwa, dyrektywie utrzymanej w tonie podobnie dobrym, swój kunszt biurokratów – właśnie w obronie *racji stanu* – przeciwstawia wręcz odruchowo. W Trzeciej Rzeczypospolitej rutyny takiej brak. Stąd też dopuszczalność pojęć i zachowań, których skuteczność widzi każdy.

Wyobrażenie *sprawy polskiej* jako przedmiotu, o którego losie decyduje w pierwszym rzędzie proces stosunków międzynarodowych – a nie realizowana podmiotowo, racja stanu polskiego państwa – znalazło potwierdzenie w charakterze procesu, jaki na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku zwrócił Polsce suwerenność. Nadto sama wymowa zmian zaszłych wtedy, jako realizacji sprawiedliwości oczekiwanej tak długo, wzmacniała zaufanie do stanu polityki międzynarodowej, który – zdawałoby się – oddał tę sprawiedliwość Polsce poniekąd samą „siłą rzeczy”, czy też „sam przez się”. Stąd też mogło szerzyć się złudzenie, że aktualną *sprawę polską* wystarcza w ów stan niejako wpisać, by móc czerpać z niego korzyści. I wszystko to czynić w postawie klienta.

Mentalny *klientelizm* sprzęga się tymczasem z ufnością w oba znane wyobrażenia stosunków międzynarodowych – *idealistyczne* (liberalne) i *realistyczne* (konserwatywne) – w ich zresztą dosyć uproszczonych wersjach. Ich wersje oryginalne, nieźle weryfikujące się w specyfice potrzeb amerykańskich, przykrojone do sytuacji polskiej nie oświetlają jej specyfiki dostatecznie ostro. Co więcej, w obu przypadkach wyobrażenie międzynarodowej gry redukują one do zjawisk znanych raczej ze sportu. Skojarzenie *idealistycznej propozycji liberalnej* z zasadą, że „w zawodach nie jest zwycięstwo ważne a udział”, widać w kolejnych aktach klientalnej postawy III RP w relacjach z Zachodem. Postawę podobnie klientalną ujawnia planowanie polityki wobec Wschodu, gdy patrona szuka ono na Zachodzie, w pozornej zgodzie z *realistyczną propozycją konserwatywną*. W przypadkach, gdy towarzyszy jej duch bardziej bojowy – trudno oprzeć się myśli, że jest to realizm inspirowany realiami raczej walki *sumo*, jakie zresztą nie ilustrują dobrze nawet stosunków USA i ZSRS w świecie pojałtańskim.¹²

¹² Sama tradycja polskiego *klientelizmu* – nie jest ani zbyt stara, ani nie przerwana – sięga wstecz ledwie przełomu wieków XVII i XVIII. Przewyciężona u schyłku XIX i reaktywowana podczas II wojny światowej, dopiero w drugiej połowie XX zyskała rangę doktryny, jaką zachowuje i na początku XXI. Tymczasem chłodny przegląd faktów wskazuje nie tylko na korzyści z jej przewyciężenia, to jest odzyskanie niepodległości w roku 1918, oraz utrzymanie dyplomacji Drugiej Rzeczypospolitej w rygorze jaki do wojny, która była wojną nieuniknioną, wprowadził Polskę w konfiguracji – wbrew krytykom – optymalnej, a dającej się wykorzystać suwerennie i z lepszym skutkiem. Fakty przecież pokazują także, jak opłakane bywają skutki wszystkich hołdów składanych tej smutnej tradycji. *Klientelizm* generała Sikorskiego (†1943) wobec aliantów, jaki po wrześniu 1939 roku zniweczył dorobek dyplomacji międzywojennej, wpisał się w cały cykl postaw podobnych i równie nieskutecznych. Znamienny jest moment ich manifestacji pierwszych, jeszcze przed rozbiorem państwa, stanowiącymi – z perspektywy europejskiej – rozwiązanie *sprawy polskiej*, jako przedmiotowej już zupełnie wyrażnie.

Klientalny ton nadziei opinii publicznej i politycznych koncepcji, jakie po roku 1989 towarzyszyły „powrotowi Polski do Europy”, nie dowodził bynajmniej, by do siebie powracała Polska. Według niektórych było to nawet korzystne, skoro powrót do tradycji groził

Co prawda, iluzje te nie były pozbawione wdzięku, a nawet przesłanek racjonalnych. Zachodnia dzielnica Kontynentu, integrowana od końca lat czterdziestych XX stulecia, u schyłku wieku w istocie mogła być postrzegana jako Europa marzeń, które się spełniają. Za taką mieli przecież prawo mieć ją, razem ze zwolennikami poglądu, że „gospodarka przede wszystkim”, kibice rozwoju technologii czy beneficjenci swobody przemieszczania się ludzi, idei i dóbr materialnych. To inicjatywy europejskie przecież pozwalały współza-

recydywą plag właściwych – ich zdaniem – Pierwszej Rzeczypospolitej. Tymczasem plaga *klientelizmu*, w sasko-stanisławowskiej epoce upadku paraliżująca życie wewnętrzne, w epoce świetności w życiu publicznym nie tak jeszcze rozpowszechniona, na stosunki z zagranicą większego wpływu nie miała. Do aktów *klientelizmu* nie dochodziło przecież podczas elekcji królów, gdy były to elekcje w istocie wolne. Zawsze bowiem gdy wybór padał na jednego z kandydatów z dynastii obcych (złotem czy innym obligiem sypali zresztą kandydaci wszyscy), to w każdym wyborze łatwo odczytać jego przesłankę główną. Była nią, zdefiniowana zwykle poprawnie, zgodność kandydatury z potrzebami państwa w zakresie polityki zagranicznej, pojętymi zazwyczaj trzeźwo, a zawsze podmiotowo. Nie inaczej, gdy wsparciem z zewnątrz cieszył się elekt z dynastii własnej, lub któryś z królów-rodaków. Inaczej przecież było, kiedy o elekcji rzec można było wszystko, tylko nie, że była wolna. Pierwszą z rzędu takich właśnie była elekcja króla Augusta II Sasa (†1733) – dokonana i skonsumowana przez elekta pod presją militarną z zewnątrz, w roku 1697. To jej wzorem obie ostatnie elekcje – Augusta III Sasa (†1763) w 1733 roku i w 1764 Stanisława Augusta Poniatowskiego (†1798) – nadały polityce polskiej postać przedmiotu sprawy, którą rozstrzygają siły zewnętrzne. Same rozstrzygnięcia zaś, jeśli nawet zapadają z udziałem czynników wewnętrznych, to udział tych ostatnich jest zawsze co najwyżej klientalny. Tak jak to już było w przełomowych pod tym względem latach 1696-1717.

Porównanie przyjęcia Polski do Unii Europejskiej z przejściem Urzędu królewskiego Pierwszej Rzeczypospolitej przez dynastię saską, z pewnością byłoby ryzykowne. A jednak w klimacie wydarzenia sprzed roku 2004 można przecież znaleźć nastroje bliskie tym, które w roku 1717 towarzyszyły Sejmowi Niememu, kiedy trwający lat dwadzieścia przełom został zamknięty dzięki usługom z zewnątrz. Pozór wynikłych stąd korzyści, jaki był paliatywem na powodowany tym niesmak, generował nawyk, sprzęgnięty z *klientelizmem* i utrwalony wraz z nim. Nawyk ów – pod zaborami i wbrew bliźniaczemu nawykowi rewolucyjnemu – integrował zwolenników ugody z zaborcą. Recydywę jednej z obydwu przypadłości poniekąd mentalnych – za okupacji komunistycznej – Józef Mackiewicz (†1985) identyfikował jako *polrealizm*. Pod zawłaszczonym hasłem realizmu, ta dobrze znana przypadłość samobójczo rozszerza granice zgody na bezwarunkowy dyktat ze strony systemu stosunków wewnętrznych i zewnętrznych. Rażona nią mentalność nie tylko aprobuje rezygnację z oporu materialnego – uprawnioną być może niekiedy – ale uzewnętrznia także nieusprawiedliwioną nigdy gotowość dostosowania się do systemu na warunkach niegodnych. Jakościowych ani ilościowych podobieństw między personalną unią Pierwszej Rzeczypospolitej i Elektoratu Saksonii, a akcesją Polski do Unii Europejskiej wprawdzie więc nie ma, każdy zaś z tych przypadków miał inną dramaturgię. Jednak zachodzi między nimi nader istotne podobieństwo klimatu – promujące go bierność i iluzję działania sił rzekomo wyższych, jaka z niej ma rozgrzeszać.

wodniczyć o prymat w niektórych z tych dziedzin ze Stanami Zjednoczonymi – tam, gdzie one go przejęły. Co więcej, zachodnioeuropejska integracja stanowiła fenomen zdolny budzić optymizm także w sferze politycznej, skoro zdawała się stwarzać możliwość korekty perspektyw globalnych, dotkliwie zawężonych przez pojałtański, dwubiegunowy model „równowagi sił”.

Do pewnej emancypacji Wspólnoty spod dwubiegunowej hegemonii przyczynił się *Traktat Elizejski*, w roku 1963 podpisany przez Charlesa de Gaulle’a (†1970) i Konrada Adenauera (†1967). Zharmonizował on ambicję niezależności Francji z wolą rezygnacji Niemiec z tradycyjnego opierania swego prestiżu o antykontynentalne resentymenty, jakim niekiedy zdarzało się dominować w Anglii i Rosji. Resentymenty te, po roku 1945, zgodziły się z ideą zachowania jedności pokonanych Niemiec za cenę ich neutralizacji, jakiej to ceny, podobnie jak reparacji po wojnie poprzedniej, nie byłyby one w stanie spłacić. Nie dopuściwszy do objęcia rządu w Niemczech przez rzecznika tej idei socjalistę, Kurta Schumachera (†1974), kanclerz Adenauer podporządkował zjednoczenie Niemiec sprawie zjednoczenia Europy, co do którego uważał, że dokonać się musi ono w duchu *Europy Ojczyzn* i objąć wolną Polskę. Jego tandem z de Gaullem – winiącym za jałtańską katastrofę „hegemoniczną tendencję”, jaka w czasie II wojny światowej od polityki amerykańskiej uzależniła brytyjską – miał też swój wpływ na proeuropejską ewolucję tej ostatniej. Dał przecież Anglii niezbędną na nią czas – od roku 1963, gdy na jej akcesję do Wspólnego Rynku nie zgodził się de Gaulle, po lata 1970-1973, w których została ona finalizowana, przy aprobacie prezydenta Georges’a Pompidou (†1974).

Optymizmem zdawały się tchnąć także perspektywy kulturowe Wspólnoty integrowanej w zasięgu matecznika renesansu Karolingów, którzy tu – tysiąc lat wcześniej nawiązując do antycznej tradycji Rzymu – odnowili i poszerzyli Europę jako *rzeczpospolitą chrześcijańską*. Za tym zaś, że nie była to symbolika bez mocy zobowiązującej, przemawiały dwa czynniki. Z jednej strony działała świeża pamięć kataklizmu wojny, naturę źródeł którego – jako wroga tradycji chrześcijańskiego Zachodu – identyfikowało nie zatarte jeszcze wyobrażenie historii Europy i mocnych stron jej kulturowej tożsamości. Czynnikiem drugim, to postawa papieża Piusa XII (†1958), który nie szczędził wyrazów uznania i zachęty inicjatywom, jakie w roku 1957 owocowały podpisaniem *Traktatów Rzymskich*.

Przekonanie polskiej opinii publicznej lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX wieku o naturalności akcesji Polski do Wspólnoty nie mogło przeto budzić zdziwienia. Nie musiał też dziwić brak zastrzeżeń po stro-

nie polskiej w stosunku do *Traktatu z Maastricht*, paraflowanego w grudniu roku 1991 – tydzień przed podpisaniem układu stowarzyszającego Polskę ze Wspólnotą. Wprawdzie w Maastricht, silniej wtedy aniżeli przedtem, dała o sobie znać idea *Ojczyzny Europy* – prezentowana już od dawna, a konkurencyjna dla idei *Europy Ojczyzn*. Jednak sam *Traktat* nie budził wątpliwości co do zasady, że jego strony, to jest państwa narodowe – zobowiązane w nim do współpracy w zakresie sprawiedliwości i ładu publicznego oraz dyplomacji i obrony – zatrzymują w tej współpracy pełną suwerenność. Nie podważała takiego stanu rzeczy *Biała Księga* o stosunkach Polski i Wspólnoty, przyjęta w czerwcu 1995 roku przez Radę Europejską i definiująca zobowiązania rządu polskiego w zakresie przygotowań do akcesji. Jednak już podpisany w październiku roku 1997 *Traktat z Amsterdamu* – modyfikujący *Traktat z Maastricht* – ujawnił upór, z jakim rzecznicy *Ojczyzny Europy* trwali przy swoim, jak i tendencję nową, a dla *Europy Ojczyzn* nie mniej szkodliwą. Ustanawiał nie tylko Urząd do Spraw Wspólnej Polityki Zagranicznej i Bezpieczeństwa, bez rękojmi, że nie posłuży to próbom przelania suwerennych prerogatyw państw członkowskich na Wspólnotę. Nie tylko też nadał Wspólnotie uprawnienie do orzekania sankcji w stosunku do tych państw członkowskich, których polityka wewnętrzna godzi w zasady demokracji, nie zabezpieczając jednak tego uprawnienia przed jego nadużyciami o naturze ideologicznej. Tak oto instytucjonalizując pozory suwerenności Wspólnoty nad jej uczestnikami tworzył *Traktat Amsterdamski* zarazem warunki kreacji podmiotu, którego sama natura mogła delegować do tejże suwerenności dźwignięcia w praktyce. Zasada ta bowiem promowała liderów integracji, dopuszczając możliwość *wzmocnionej współpracy* państw, podejmowanej w wybranej sferze – w tym obrony i spraw zewnętrznych. Perspektywa taka – zadowalająca *euroentuzjastów*, a przez *eurosceptyków* przyjęta jako wyzwanie dla zasady *europeskiej solidarności* – spotkała się ze zrozumieniem po stronie Francji i zjednoczonych już Niemiec. A to – wcale nie wbrew zasługom, jakie dla *Europy Ojczyzn* miał dotąd tandem ustanowiony *Traktatem Elizejskim* – musiało niepokoić zarówno jej rzeczników ze Wspólnoty, jak też otwierającą ostatni rozdział swych starań o akcesję do niej Polskę. Od listopada 1998 roku było jasne, że prowadzony przez eurosceptycznego dotąd gaullistę, prezydenta Jacquesa Chiraca i kanclerza Gerharda Schrödera, euroentuzjastycznego socjalistę, elizejski tandem dokonuje zwrotu rewolucyjnego nie mniej, jak ów sprzed lat trzydziestu pięciu, spowodowany wolą de Gaulle’a i Adenauera. Był to jednak zwrot przecież w kierunku zgoła przeciwnym.

W latach sześćdziesiątych XX wieku *Traktat Elizejski*, kierując swe ostrze przeciwko polityce amerykańskiej – za prezydentów Johna Kennedy’ego (†1963) i Lyndona Johnsona (†1973), administrowanej przez sekretarza stanu Deana Ruska (†1994) – uderzał w tę jej orientację, która za właściwy instrument organizacji globalnego ładu uznawała pojałtański model dwubiegunowy. Dla zachodniej części Kontynentu, jednoczonej z euroentuzjazmem i odrzucającej narodowe kompleksy, ład ten rezerwował osobne miejsce. Tymczasem w latach dziewięćdziesiątych sytuacja przedstawiała się krańcowo inaczej. Radykalna zmiana warty w polityce amerykańskiej, do jakiej doszło w końcu roku 1981 z wyborem prezydenta Ronalda Reagana (†2004), oddała głos nurtowi przeciwnemu, co spowodowało widowiskowy upadek sowieckiego bieguna pojałtańskiego modelu. Wraz z przejściem prezydentury przez Billa Clintona – na dwie kadencje, od stycznia 1993 do stycznia 2001 roku – wróciła przecież do głosu orientacja konkurencyjna, nadto pewna, że nowy model globalny może spożytkować siły, jakie jeszcze nie tak dawno wspierały model stary i miały się w nim dobrze. Wskazywała na to ewolucja wewnętrznego układu sił we Francji i w Niemczech. Animowana po stronie lewicy i liberałów pod rządami socjalistycznymi – francuskim Lionela Jospina (czerwiec 1997-maj 2002) i niemieckim Gerharda Schrödera (październik 1998-listopad 2005) – ewolucja ta konfigurowała wielogłos już znany z innych wystąpień, acz formalnie zdawałoby się, trudny do zestrojenia. W pamiętnym *Traktacie Nicejskim* roku 2000, euroentuzjazm „zielonego” ministra dyplomacji niemieckiej Joschki Fischera korespondował z apelami jego socjalistycznych kolegów z rządu. Wtórowali im weterani z odchodzącego pokolenia niemieckiej socjaldemokracji, na czele z Helmutem Schmidtem – kanclerzem w latach 1974-1982 i już wtedy rzecznikiem integracji europejskiej drogą cedowania Wspólnocie obowiązków tradycyjnie rządowych. Chórowi euroentuzjastów nie omieszkał użyć swego głosu prezydent Francji w dobie kanclerstwa Schmidta i jego przyjaciel, równie niechętny rezygnacji z dwubiegunowego modelu, liberalny konserwatysta Valéry Giscard d’Estaing (w roku 2001 uhonorowany prezesurą *Konwentu Europejskiego*). W lipcu 2003 przedstawił on projekt *Konstytucji dla Europy* – odrzucony w referendum także francuskim.

Co znamienne, nawet gdy likwidacja modelu pojałtańskiego była już przesądzona – w latach osiemdziesiątych – prezydent François Mitterrand (†1996) i kanclerz Helmut Kohl manifestowali entuzjazm dla niej znacznie słabszy od ich euroentuzjazmu, rychło okazanego w Maastricht. To zdecydowanie Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, za prezydentury Reagana (styczeń

1981-styczeń 1989), zbieżnej w czasie z rządami (maj 1979-listopad 1990) Margaret Thatcher (†2013), przesądziło o formalnym zniesieniu owego żalostnego skutku układu anglosaskich mocarstw z sowieckim z 1945 roku. Tym samym – paradoksalnie – to postawa Waszyngtonu i Londynu obiektywnie promowała wówczas tę wizję jedności Europy, której autorami byli de Gaulle i Adenauer. Nie była to jednak postawa ani stabilna, ani jednolita, ani jednoznaczna. Ostentacyjne ciepło stosunków USA z tandemem elizejskim w latach 1993-2001 tłumaczyło egzaltację, z jaką prezydent Bill Clinton dawał wyraz swej wierze zarówno w słuszność idei *Ojczyzny Europy*, jak też idei niemieckiego w niej przywództwa – w czerwcu 1994 roku i maju 1998, w Berlinie. Zresztą zasługi prezydenta amerykańskiego dla *europiejskiej konstrukcji*, w nie mniej egzaltowany sposób potwierdził Jacques Chirac, gdy kończącego drugą kadencję Clintona wizytował w grudniu 2000 roku. Co zrozumiałe, podobny euroentuzjizm musiał do niezbędnej poprawności sprowadzić stosunki amerykańsko-brytyjskie, *uprzywilejowane tradycyjnie*, gdy wyraźny eurosceptycyzm łączył obu kolejnych następców Pani Thatcher na Downing Street – Johna Majora (listopad 1990-maj 1997) i Tony’ego Blaira (maj 1997-czerwiec 2007). I choć prezydentura George’a Walkera Busha (2001-2009) przybliżyła stanowisko Waszyngtonu do nieodmiennie eurosceptycznego stanowiska Londynu, to na szanse powstania *Europy Ojczyzn* przecież nie miało to wpływu.

Ograniczony zakres wpływu eurosceptycyzmu angielskiego brał się z jego ówczesnej specyfiki, też zresztą umiarkowanej, bo – podobnie jak we wszystkich państwach Wspólnoty – sprowadzającej swój wyraz do sprzeciwu wobec kolejnych inicjatyw euroentuzjastycznych. Oryginalnym wkładem brytyjskim do owej specyfiki sprzeciwu, zwykle słusznego, a często i skutecznego, był jedynie jego ciężar niejako fizyczny, proporcjonalny do potencjału polityki Anglii. Tymczasem ów dosyć defensywny charakter eurosceptycyzmu takiego, idei *Ojczyzny Europy* demitologizować raczej nie mógł. Co najwyżej spowalniał procesy zachodzące realnie, za manifestacyjnie euroentuzjastyczną aprobatą prezydenta Chiraca i kanclerza Schrödera. Tym zaś przecież, co byłoby w stanie je stopować, mogła być wyłącznie polityka ofensywna, prowadzona w zgodzie z zasadami przewidywanymi dla ładu *Europy Ojczyzn*. Być może jakiś wyspiarski atawizm powstrzymał Foreign Office od choćby prób kodyfikacji tychże zasad, nie mówiąc o ich notyfikowaniu dyplomacji państw Wspólnoty. Tak czy owak, współzawodnictwo mocarstw anglosaskich z elizejskim tandemem nie stało się czynnikiem wspierającym europejskie aspiracje części Kontynentu uwolnionej

spod okupacji komunistycznej. Musiało to gasić nadzieje w krajach tej – jak mówiono – *nowej Europy*, że droga do integrującej się *Europy starej* w istocie wiedzie do *Europy Ojczyzn*.

Rzecz jednak w tym, że śladu nadziei podobnej, w opinii establishmentu politycznego Polski przełomu XX i XXI wieku próżno byłoby szukać. Próżno nie dlatego, by jej przedmiot miał być tu nieznany. Dlatego, że to nie on budził tu nadzieję. Tę bowiem establishment ów z dwóch powodów – pochodnych specyfiki formacji intelektualnej ukształtowanej w warunkach komunizmu – związał z *Ojczyzną Europą*. Po pierwsze, to właśnie w jej założeniach upatrywał on przyczynę walną europejskiego sukcesu, którego miarą dobrobyt materialny pozostawał tym bardziej, im bardziej – szczególnie od końca lat sześćdziesiątych XX wieku – infantylizacja wyobrażeń i realiów kulturowych stawiała na przeszkodzie refleksji nad kondycją duchową. Po drugie zaś kontrast, jaki dzieli *Ojczyznę Europę* i *Europę Ojczyzn*, nie był z komunistycznego zaścianka widoczny w pełni. Nietrudno zauważyć, że taki stan umysłów ułatwiał aprobatę tradycyjnych odruchów, wzmocnionych wrażeniem, że wreszcie sam obrót koniunktury oddał Polakom to, co się im należało. I tak, nawykowy *polrealizm* odrzucał – jako nierealistyczną – każdą myśl o nadaniu polskiej polityce zagranicznej charakteru podmiotowego realnie. Sprzęgał się z nim nie mniej nawykowy sposób rozumienia polityki polskiej jako *sprawy* – rozstrzyganej głównie w grze sił zewnętrznych. Nawyk *klientelizmu*, oddający politykę polską pod opiekę liderów tej gry, dopełniał żalosną synergię czynników polskiej *bierności*. Bierności, tak dobrze znanej z epoki otwartej w roku 1717, a uzasadnianej wtedy tezą, że rękojmią bezpieczeństwa Rzeczypospolitej jest sam jej brak woli i środków agresji w stosunku do sąsiadów.

Zespół takich właśnie okoliczności poniekąd mentalnych ograniczył boleśnie horyzont zabiegów Polski o członkostwo Wspólnoty. Ich cel zredukowany został do zapewnienia Polsce udziału w niej zgodnego z zasadą równoprawności, z możliwie szeroką dyspensą w zakresie dyscypliny unijnej, niezbędną na czas potrzebny do redukcji przynajmniej części formalnych i materialnych skutków komunizmu – przy ograniczeniu zasięgu samej wizji udziału do sfery przede wszystkim gospodarki. Wypada uznać, że zadanie tak postawione sprawnie wykonali obaj negocjatorzy polscy – od wiosny 1998 roku po jesień 2001, upoważniony przez rząd postsolidarnościowy, Jan Kułakowski (†2011) i jego następca, mianowany przez rząd postkomunistyczny, Jan Truszczyński – doprowadzając do zakończenia negocjacji w grudniu 2002 roku. Nie na nich – zasłużonych pokazem zupełnie niezłej klasy dyplomacji

polskiej – spoczywa odpowiedzialność za wyważenie gabarytu wnoszonego wkładu Polski. Można sądzić, że o jego tak mizernej postaci zdecydowały – w przypadku osób odpowiedzialnych za jej definicję – nie materialne, a mentalne ograniczenia woli. Szkodliwość tych ostatnich jawi się zaś tym większa, im szerzej – wbrew pozorom, a także przy uwzględnieniu wszystkich już wspomnianych tu mankamentów – otwierał wrota Unii, właśnie przed Polską, ówczesny stan procesu integracji politycznej Kontynentu.

Nasiloną z biegiem lat dziewięćdziesiątych, euroentuzjastyczna propaganda na rzecz *Ojczyzny Europy*, bynajmniej nie tłumiała eurosceptycznej refleksji, prowokowanej obawami o przyszłość europejskich Ojczyzn. Dawały one o sobie znać w każdej z nich – na różne sposoby i z różną siłą – nie tylko w eurosceptycznej Anglii, ale też w samej czołówce integracji w duchu euroentuzjastycznym – we Francji i w Niemczech. Wywoływały je kłopoty dwojakie – w sferze samej teorii integracji oraz w sferze jej skutków praktycznych. Z jednej strony wyczerpywały się, jako już zrealizowane, idee nośne w dobie jej narodzin, bezpośrednio po wojnie – jak idea pokoju w Europie, czy też wspólnego rynku europejskiego. Inwencyjność ideowa znajdująca ujście choćby w zakresie standaryzacji wyrobów spożywczych, raczej nie maskowała swojego niedoboru, widocznego w zakresie *zmniejszania deficytu demokracji* unijnej. Z drugiej strony, widowiskowemu rozrostowi aparatu urzędniczych służb Unii, rażącemu opinię publiczną tak w Anglii jak wszędzie, w tym również we Francji i w Niemczech, towarzyszył wzrost obaw co do przewidywalności natchnień, jakimi tandem Berlina i Paryża inspirowałby administrację europejską z Brukseli. Wszystko to u schyłku lat dziewięćdziesiątych – w chwili decydującej o akcesji Polski do Unii Europejskiej – przemawiało za działaniami, jakie nie ograniczałyby się do spraw natury jedynie technicznej, a w stosunku do wkładu wnoszonego przez Polskę pozostawały proporcjonalne. Wypada przyznać, że świadomości proporcji sama Unia dała tu wyraz dobitny już w trakcie pertraktacji. Dowodził tego sposób, w jaki głos Polski w Radzie Unii – a więc w gremium mianującym skład Komisji Europejskiej i posiadającym środki do nadawania tonu jej polityce – wyważyły postanowienia *Traktatu z Nicei* z lutego 2001 roku – paraflowane w grudniu 2000 i potwierdzone *Traktatem z Aten* w kwietniu 2003. Normując bowiem procedurę decyzyjną Rady Europy, przyznawały one Polsce głos o wadze w praktyce równej wadze głosu każdego z pięciu innych, podobnie uhonorowanych państw Unii, to jest Niemiec, Wielkiej Brytanii, Francji, Włoch i Hiszpanii.

Raczej brak wątpliwości, że to duch *Europy Ojczyzn* podpowiedział autorom *Traktatu z Nicei* takie właśnie wyważenie i przyznanie każdemu tego, co się mu należy, a więc nieczułe na urok samych arytmetycznych przesłanek proporcji – mierzących na przykład zaludnienie, finanse, czy produkcję – skądinąd w duchu *Ojczyzny Europy* przesłanek naczelných. Miały w tym udział także nastroje chwili. Od zburzenia muru berlińskiego upływał wtedy czas jeszcze zbyt krótki, by prawdopodobne było powodzenie propagandy, w świetle której to Berlińczycy mieli by aktem tym fundować wolność państwom internowanym w obozie komunistycznym. O tym zaś, że wtedy nie była to również propaganda możliwa, przekonywał jej ewentualnych rzeczników stan opinii Europejczyków jeszcze tak niedawno rozdzielonych żelazną kurtyną. Zarówno bowiem jej zdroworozsądkową większość pokolenia w sile wieku, jak i wyobraźnię młodych, w zaciekawieniu prawdą utrzymywała charyzma Jana Pawła II (†2005), władająca uczuciami rzesz, niezależnie od wyznania.

Każda z papieskich pielgrzymek, niezależnie od jej kierunku, odsłaniała przecież jakąś prawdę, zwykle dającą nadzieję. Ciekawość, co powie papież, rosła zawsze, gdy udawał się on do Ojczyzny. Od pierwszej wizyty w roku 1979, przez wszystkie lata osiemdziesiąte, zaspokajał ją obraz Kraju, swoją postawą odbierającego sens konstrukcji globalnej, której symbolami były właśnie żelazna kurtyna i mur berliński. Można stąd więc rzec, że już pierwsza polska pielgrzymka papieża uruchomiła proces mentalny, w którym ta chybiona pod każdym moralnym i materialnym względem konstrukcja, traciła ów tak żalosny fundament, jakim jest niedostatek ducha. Echem panujących wtedy nastrojów, już dwadzieścia lat po likwidacji żelaznej kurtyny, były zapewnienia, jakie – na ekskluzywnie niemiecko-niemieckim spotkaniu w Rzymie, w grudniu 2009 roku – prezydent Horst Köhler dał papieżowi Benedyktowi XVI. To jest, że pamięta, jaki był w tym udział jego poprzednika i polskiej *Solidarności*.

Problem jednak w tym, że na dyplomatycznej drodze do wrót Unii, które duch *Europy Ojczyzn* otwierał szerzej niż założyli to euroentuzjaści, nawyk utrwalonych wad politycznej wyobraźni kazał rządowi postsolidarnościowym i postkomunistycznym ustawić Polskę w pozie klientki *Ojczyzny Europy*. Co duchowi tej drugiej dodatkowo ułatwiło akcję, która już od szczytu Unii w Kopenhadze (jesienią 2002 roku) wiodła do formalnego zmniejszenia wagi udziału Polski w procedurze Rady Europy. Doświadczały tego rządy, gdy przybierały postawę rozsądniejszą, jak na szczycie tym postkomunistyczny rząd Leszka Millera, czy postsolidarnościowy rząd Jarosława Kaczyńskiego

na szczycie w Lizbonie, w październiku roku 2007. Raczej mierna skuteczność aktów odwagi podobnej, które nawykowy *polrealizm* ganił, wspierany nie mniej nawykowym *klientelizmem*, nie brała się przecież z nawykowo przypisanych im tu wad. Stanowiła skutek ograniczeń wyobraźni odpowiedzialnej za *definicję celu* polskiego wejścia do Unii. A więc za brak definicji celu na tyle szerokiego, oraz jego prezentacji dyplomatycznej o zasięgu na tyle szerokim, by zainaugurowała ona proces ze wszech miar nieodzowny.

Proces, w którym zachodnioeuropejski eurosceptycyzm mógłby swoją postawą – mało błyskotliwą, wypada przyznać, acz pożyteczną – otwarcie dawać świadectwo duchowi, jaki go ożywia w istocie, a pozostaje entuzjastycznym duchem optymizmu europejskiego integralnie. Duchem, który utrzymuje w istnieniu każdą przedstawicielkę owej oryginalnie europejskiej i specyficznej formy politycznej, jaką jest państwo narodowe. Duchem przeto, który zasługuje na coś więcej, niż tylko rola „hamulcowego” w stosunku do procesu, w jakim entuzjazm jest wprawdzie „napędem”, lecz pozostaje entuzjazmem w istocie sceptycyzmu – zalety niezbędnej również, lecz wyłącznie w roli właśnie „hamulcowej”. Szczególnie gdy sceptycyzm ów zwątpił w dobroć praw natury. Sens procesu tak nieodzownego polega więc na odwróceniu ról, które przywraca ich porządek niejako naturalny. „Napęd” bowiem europejskiej integracji powierza on całemu entuzjazmowi, jaki jedynie duch *Europy Ojczyzn* może obudzić. Natomiast całą siłę sceptycyzmu właściwego wyłącznie *Europie Ojczyzn* – tak destrukcyjną, gdy staje się on „napędem”, a konstruktywną, gdy działając jako „hamulec” powstrzymuje myśl od rozbratu z doświadczeniem. Odwołując się do doświadczenia, sceptycyzm zawsze przestrzegał – choć czasem nieskutecznie – przed zbytnim entuzjazmem dla idei faworyzujących którąkolwiek z pary dóbr w polityce europejskiej naczelnych: dobro politycznej władzy państwa, czy dobro politycznej wolności obywatela – skoro obu tym dobrom specyficzny duch tej polityki zaleca równowagę. To właśnie sceptycyzm śpieszy z odsieczą państwu i obywatelowi, zawsze wspólnie zagrożonych anarchią nieuniknioną, gdy entuzjazm władzy góruje nad entuzjazmem wolności, jak też gdy dzieje się odwrotnie. W obu bowiem wypadkach, obywatele tracą wolność, a państwo naturę polityczną. Dzieje się tak nie tylko, gdy entuzjazm wolności obywatelskiej paraliżuje władzę państwa, w tym jego zdolność poskramiania dywersji, jakie jednych mają czynić nadludźmi, a innych zezwierzęcić. Dzieje się nie inaczej, gdy entuzjazm władzy politycznej przepoczwarza państwo w hybrydę hacjendy i wozu bojowego, jaka z obywateli czyni inwentarz i nie liczy się z zasadą prawa w swych stosunkach zewnętrznych.

W apogeum euroentuzjastycznej euforii, jaką fiasko jej imprezy sztandarowej – to jest zaprojektowanej przez *Konwent Europejski* konstytucji dla Europy – przygasiło rychło, rzecz prosta nie leżało w możliwościach samej Polski, zwrócenie optymistycznemu duchowi *Europy Ojczyzn* należnego mu miejsca przy „napędzie” europejskiej integracji. Niewątpliwie przecież podniosłoby jego kondycję mocne uzewnętrznienie posłuszeństwa ze strony Ojczyzny, która omal przed chwilą po raz kolejny dowiodła, że wymazanie jej z ludzkich serc i z politycznej mapy Kontynentu – mimo wielkości agregatu energii jej przeciwnych – nie jest możliwe nigdy. Mogła to uzewnętrznąć choćby klauzula w *Traktacie Akcesyjnym*, rezerwująca Polsce prawo odmowy udziału w działaniach legislacyjnych i politycznych, które ducha *Europy Ojczyzn* mogłyby obrażać. Nie byłoby to niezgodne z opinią wybitnego męża stanu międzywojennej Europy, trzykrotnego ministra spraw zagranicznych Drugiej Rzeczypospolitej (przed majem 1926 roku), życzliwego inicjatywie *Paneuropy*, jaka od roku 1924 ogniskowała proces, który w 1957 uwieńczyły *Traktaty Rzymskie*. Opinię tę premier Aleksander Skrzyński (†1931) – współtwórca i wykonawca doktryny polskiej polityki zagranicznej w latach 1918-1939 – ujął myślą, że Europa z kłopotów dręczących ją po I wojnie światowej nie może ratować się z pomocą nad-państwa, ale za pomocą prymatu wspólnego ideału nad egoizmem, jako że bez zwierzchnictwa narodowego wolność indywidualna jest tylko pustym brzmieniem.

To, że II wojna światowa unicestwiła międzywojenną *Europę Wersalską*, nie kłóci się z poglądem Skrzyńskiego. Analiza kataklizmu z lat 1939-1945 uprawnia sąd, że na jego przebieg wpływ decydujący wywarła wyobraźnia determinowana nie europejskimi ideałami, a dobrze w Europie znanym realizmem pozornym. Upatrywanym w oddawaniu się grze słowem, które lekceważy prawdę i w zgodzie na prymat siły nad prawem. To właśnie taki „realizm” podsuwa krótkowzrocznemu egoizmowi myśl, że korzystny dlań stan stosunków międzynarodowych wolno jest, i bezpiecznie, tworzyć i utrzymywać systemem hegemonii. Brak wątpliwości, że do instalacji pojałtańskiej dwubiegowej hegemonii globalnej nie doszłoby bez kolejnych odstępstw od właśnie ideałów europejskich w planowaniu wojny, którą w ich imię podjęły narody Europy. Pewne też, że to wpływ tej hegemonii na kondycję *Europy Jaltańskiej*, do sfery dobrobytu redukował realne cele integracji jej części zachodniej. Godna tym bardziej pamięci jest wierność, jaką ideałom europejskim okazywali prezydent de Gaulle i kanclerz Adenauer, zarazem każdy krzepiąc swoje państwo. Idee obu mężów stanu – jasne dla obu narodów, na wojnie

upokorzonych najbardziej – starły się z opinią ich uniwersytetów i ulic, gdzie nawykowy realizm skłaniał wyobraźnię ku coraz głośniejszemu euroentuzjazmowi. A spora przecież część euroentuzjastycznego optymizmu gruntuwała się w nadziei związanej ze sterylizacją państw członkowskich Unii z ich wzajemnej woli agresji – z realizmem podobnym uznawanej za im przyrodzoną.

Co oczywiste, w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku, w zdominowanej przez komunizm części Kontynentu tylko nieliczni mogli wyrazić podobnego realizmu traktować zbyt serio. Co oczywiste nie mniej, też jedynie niewielu mogło zdawać sobie sprawę z zagrożeń, jakie ów optymistyczny realizm stwarzał. Przynajmniej nad Wisłą, ustanowione przez *Traktaty Rzymskie* ciało polityczne jawiło się jako *Europa Ojczyzn*, natomiast wyrażenie *Ojczyzna Europa* brano tu przeważnie za jedynie hasło – sympatyczne, ale z domieszką idealizmu. To w takich subiektywnych warunkach komponował się polski konsensus narodowy w sprawie przystąpienia do Unii. Konsensus na pewno słuszny, ale na tyle silny, że poza refleksją pozostawiał nie tylko klientalną prezentacją polityczną Polski u wrót do niej. Zdawał się też czynić zbędną refleksję nad niestosownością nawyku wyobraźni, jaki politykę zagraniczną Polski utrzymuje w degradującej ją konwencji *sprawy polskiej*. I który tym samym poddając państwo kierunkowi dominującemu w Unii, nie zauważał tego, co tam zauważano od dawna – że to kierunek prowadzący do nowej hegemonii, ale zgodny z nawykiem, jaki praktyka systemu pojałtańskiego utrwalała na tyle, by mógł on znów znaleźć posłuch na Kontynencie doświadczanym jego skutkami, nie tylko zresztą po II wojnie światowej. Nadto też, że jest to kierunek dla Europy raczej niebezpieczny, skoro z kolejnych oblężeń ratował ją zwykle jej polityczny policentryzm, zaś zawsze to jej hegemoni przyprawiali ją o bezbronność. Stąd to właśnie Unii – w chwili narastających obaw o horyzont ewolucji jej stosunków wewnętrznych, a przy ciemniejącym horyzoncie globalnym – *klientalny polrealizm* powierzyć mógł *sprawę polską*.

Klientalne, aferalne i płytkie wyobrażenie polityki nie jest przecież jedynym powodem, dla którego akcesji Trzeciej Rzeczypospolitej do Unii nie towarzyszyła odpowiednia definicja celu polityki polskiej, ani jego dostateczna prezentacja dyplomatyczna. Odpowiednia, to jest proporcjonalna do wyzwania, jakie globalna dekonstrukcja rzuca Europie, a jakiemu *Europa Ojczyzn* podołać może z pewnością lepiej od *Europy Ojczyzny*. Dostateczna, to znaczy

na tyle wiarygodna, a adresowana na tyle szeroko i głęboko, by wykazała zdeterminowanie Polski do działań zwracających *Europie Ojczyzn* jej miejsce naturalne – a więc u „napędu”.

Na przeszkodzie właściwemu zdefiniowaniu celu Polski przystępującej do Unii i jego dostatecznej prezentacji, stał niedostatek podwójny – wiary w historyczne dziedzictwo oraz wiedzy o nim. Nie mówiąc o braku uprawnionej pewności siebie, niedostatek ów sprawiał, że doświadczenie, tak Drugiej Rzeczypospolitej jak Pierwszej, leżało odłogiem zamiast uczyć i inspirować. Trudno przecież odmówić inspirującego uroku związkowi, jaki potwierdza ono w obu przypadkach, w każdym z nich na miarę właściwą epoce. To jest zwrotnemu sprzężeniu zewnętrznego bezpieczeństwa Europy komponowanego policentrycznie, z bezpieczeństwem politycznej wolności wewnątrz komponujących je państw. Każda europejska Ojczyzna ma za sobą akty zgodne z kompozycją właśnie taką. Razem z aktami mącącymi ją poddają się one refleksji nad wpływem na cały recital polityki odpowiedzialnej za nie. W przypadku Polski wpływ to okazuje się znaczny – tak gdy polityka polska przeciwstawia się próbom hegemonii, jak gdy ulega im. Mówi to jej ponad tysiącletnia historia, inspirując wsłuchujących się w nią. Głębią zaś i zasięgiem konsekwencji obu postaw Polski powinna pouczać ona twórców polityki polskiej, że nie tylko mogą, ale muszą, każde dążenie do hegemonii pojmować – jeszcze zawczasu – jako wyzwanie pierwszorzędne i nie do odrzucenia. Tak inspirowany i pouczony mąż stanu osiąga stan ducha zwany determinacją, decydujący o skuteczności polityki – proporcjonalnie do jej dyplomatycznie eksponowanej racji.

Oba czynniki degradujące politykę polską w dobie akcesji do Unii – niedostatek wiary w dziedzictwo i ułomność wiedzy o nim – dały o sobie znać ze wzrostem napięć, wywołanych zmianami konfiguracji globalnej. Jak wtedy zawężyły wyobrażenie celu, tak obecnie zawężyły jeszcze bardziej obraz horyzontu, przykrawając realia kolejnych planów do możliwości ujęcia ich sensu stereotypami znów nawykowymi. Dwa z nich prezentują porzekadła: *jak świat światem nie będzie Niemiec Polakowi bratem* – i podobnie rymując o *Moskalu*. Oba stereotypy – zresztą uproszczające realia niewidzialne jedynie gołym okiem – wraz z trzecim fundują synergię, która polską analizę i praktykę polityczną od realiów oddala. Stereotyp ten zakłada sprzeczność dwu innych uproszczonych wizji tradycji polskiej polityki zagranicznej – *polityki piastowskiej* i *polityki jagiellońskiej*. Oba pierwsze stereotypy sugerują, że dwa drzewa mogą być tłem dla lasu, zniechęcając myśl do zgłębienia jego gęstwiny.

Tymczasem zgłębienie jej właśnie tkwi u źródeł powodzenia polityki zagranicznej tych wielkich dynastii – wbrew mitom utrwalonym w stereotypie trzecim – jednolitej co do zasad.

Poglądy te ciążąc nad analizą międzynarodowego położenia Trzeciej Rzeczypospolitej, nie tylko służą rozgrzeszaniu jej dyplomacji z braku powodzeń, w stosunkach z Niemcami i z Rosją, jak i w NATO czy w Unii Europejskiej. Monopolizując wyobraźnię, stają na przeszkodzie zmianom.

Nadto, wszystkie te trzy stereotypy ciążą również nad interpretacją polityki zagranicznej Drugiej Rzeczypospolitej. Dostarczając argumentów tak jej apologii jak i krytyce, w ramach jej rozliczeń partyjnych, nie ułatwiają one właściwego rozpoznania jej trzech zasług głównych – nawiązania do rzeczywistej tradycji budującej realną wielkość polityki zagranicznej Pierwszej Rzeczypospolitej, utrzymania ciągłości jej zasad mimo zmian w jej kierownictwie i – pomimo rozmaitych dywersji – osiągnięcie optymalnego skonfigurowania udziału państwa w globalnej wojnie, której uniknąć ono nie mogło. Bez determinacji nic z tego nie byłoby możliwe. Rzecz w tym, że władza wspomnianych stereotypów, posiłkowana nawykami postawy klientalnej i aferalnej, tak błędnie deprecjonując politykę Drugiej Rzeczypospolitej, deprecjonuje zarazem i uzewnętrznioną w niej determinację, mieszcząc ją wśród innych domniemyanych grzechów narodowych, nie mniej stereotypowo przypisywanych już czasom Rzeczypospolitej Pierwszej.

Stąd wypada zbliżyć się do realiów polityki Rzeczypospolitej Odrodzonej i do realiów drogi, na której doszło do jej odrodzenia.

Rozdział II

Z Wersalu do Jałty (1918-1945)

O ile naukę pozostawioną przez dyplomację Drugiej Rzeczypospolitej zaciemnia lęk, wypierający ją z pamięci, jako rzekome źródło klęski z września 1939 roku, o tyle kłopoty z rozpoznaniem drogi, która w istocie doprowadziła do odzyskania suwerenności przez Polskę w listopadzie roku 1918, zdają się mieć źródło w tupecie dwojakim. W tupecie pomysłów, że wiodły do niej również manowce – *idealistyczno-powstańcze* lub *realistyczno-ugodowe*. I w tupecie wyroków skazujących na niepamięć te realia przeszłości, które na owe manowce nie pozwalały wkraczać. Na manowcach *idealizmu* ignorowano realia, jakie do grobu Pierwszą Rzeczpospolitą złożyły, a na manowcach *realizmu* te, co budowały jej wielkość.

Rzecz prosta nie dziwią poglądy, odpowiedzialnością za wrześniową klęską militarną obciążające politykę zagraniczną Drugiej Rzeczypospolitej. Zgłoszone już podczas wojny w ramach polemiki stronnictw politycznych, zyskały rangę omal aksjomatów pod naporem ze strony również propagandy oddziałującej przez pięć lat okupacji niemieckiej i czterdzieści pięć internowania Polaki w obozie komunistycznym. W sumie, pięćdziesiąt lat pełnych okoliczności niszczących pamięć szczegółów i zdolność do ich obiektywnej analizy.

Poglądy te są jednak równie chybione, jak wypominanie – w obronie przedwojennej dyplomacji polskiej – nielojalności jej sprzymierzeńcom. Nie uwzględniają faktu, że każda dyplomacja odpowiada wyłącznie za kurs obrany przez nią. Ignorują zmianę kursu polskiej polityki zagranicznej, do jakiej doszło w latach 1939-1945 i jaka przesądziła o losie Kraju po roku 1989. Tymczasem była to zmiana fundamentalna.

Retrospekcja wydarzeń, które zmiana ta zapoczątkowała, omija inspirowany w 1945 roku przez Anglię, kompromis części polityków polskich z ustanowionym przez sowieckiego okupanta Rządem Tymczasowym. Fiaszko tej próby przesądziła już *Konferencja w Teheranie* (listopad 1943), zgoda USA i Anglii na zabór części terytorium Polski przez Sowiety. Tak dla Polski

złowieszczej zgodzie mocarstw anglosaskich torowała drogę uległość, z jaką premier Władysław Sikorski – po inwazji Niemiec na Rosję w roku 1941 – pod naciskiem premiera Anglii podpisywał układ z Rosją, nie przewidujący zwrotu ziem zajętych przez nią dwa lata wcześniej, podczas jej wspólnej z Niemcami agresji na Polskę. Nie wymuszała tego trwająca wówczas rejtetrada Armii Czerwonej; groziła ona upadkiem Stalina, a nie kapitulacją Rosji. Nacisk angielski był oczywiście istotny, decydował jednak stosunek wasalny, jaki premier Sikorski narzucić sobie pozwolił Anglikom.

Ci zresztą nie mieli z tym trudności. W czerwcu 1940 roku przewieziony przez nich do Londynu z Francji kapitulującej przed Niemcami, Sikorski wwoził słabe w tej sytuacji referencje swych patronów francuskich, których niesłychany nietakt pół roku wcześniej zapewnił mu urzędy wodza naczelnego i premiera Rzeczypospolitej. Nie wwoził natomiast owego osobistego autorytetu, jaki mąż stanu pozyskuje tylko wówczas, gdy realnie uosabia zjednoczenie narodu w woli jednej. Możliwość zdobycia takiej powagi odbierała Sikorskiemu małostkowość gry, jaką wiódł ze stronnictwami i elitą sił zbrojnych. Skoro zaś subordynacja polskich kadr ograniczała ich zdolność wywierania nań presji, stawał się generał dla Londynu sprzymierzeńcem nader wygodnym. Stąd też do wyobraźni gospodarzy należał wybór, jak to wykorzystać. To, że ze zmianami załogi urzędującej pod numerem 10 na Downing Street – zbieżnymi w czasie z katastrofą Francji – wyobrażenia ta ulegała zmianom istotnym, jedynie potwierdza doniosłość zwrotu, jakim były zmiany obsady prezydentury i powołanie rządu generała Sikorskiego we Francji, które zaszły między 25 a 30 września 1939 roku. To do tych pięciu dni doprowadza retrospekcja cofająca się w poszukiwaniu zmian dostatecznie głębokich i drastycznych, by można było mówić o zmianie i okoliczności, i kursu. Właśnie w tych dniach bilansuje się odpowiedzialność dyplomacji Drugiej Rzeczypospolitej za politykę zagraniczną Polski, zaś otwiera okres, za który odpowiedzialność spoczywa na ludziach raczej luźno związanych z realiami miarodajnymi przy definiowaniu jej zasad i celów.

Nie należał bowiem Sikorski do żadnego z obu wielkich obozów doby międzywojennej. Ani do *obozu narodowego*, który – wraz ze stronnictwami mniejszymi – odpowiadał za politykę wewnętrzną i zagraniczną do zamachu stanu Józefa Piłsudskiego w roku 1926, ani też do *obozu sanacyjnego*, który w wyniku tego zamachu odpowiedzialność za państwo przyjął. Tryb, w jakim rząd emigracyjny powstał, gwałcił Konstytucję. Z osobą Sikorskiego narzucał politykę w sferze zasad i planu sprzeczną z dotychczasową. Politykę, której kolejne akty

złożyły się na całość zainaugurowaną w chwili, w której okupacja Kraju przez Niemcy i Sowiety była już przesądzona. Rozmiar dramatu nie usprawiedliwia jednak błędu, który ambasadora Polski w Paryżu obciąża chyba w mniejszym stopniu. Było nim ustępstwo wobec szantażu, jakim Francja wymusiła zmianę nominata na prezydenta Polski, Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego (†1942), wskazanego przez internowanego w Rumunii prezydenta Mościckiego (†1946). Pozwoliło to Sikorskiemu – skądinąd zdolnemu dowódcy V Armii w roku 1920 – objąć urząd premiera, obowiązkom którego podołać nie umiał. Zmieniało to położenie rządu. Dla Anglików nie był on już partnerem sprzymierzeńców, który swe obowiązki sojusznicze wypełniał co do joty, a klientem sojusznika, który swoje zobowiązania wykonał tylko częściowo.

Na przełomie września i października 1939 roku, mimo klęski, postawa Sikorskiego miała alternatywę mniej ryzykowną. Swoim szantażem sojusznik francuski przebrał miarę przyzwoitości też dyplomatycznej na tyle, by – wobec faktu niedopełnienia przezeń zobowiązań militarnych – uznać to za pretekst do wyboru Londynu na miejsce rezydencji prezydenta oraz rządu, a pozostawienia we Francji armii, organizującej się pod dowództwem sympatycznego jej generała Sikorskiego. Dyskretne załatwienie sprawy musiałby Paryż przyjąć bez dąsów, a Londyn nawet nie bez satysfakcji. Przemawiała za tym różna wrażliwość ówczesnych ekip rządowych obu stolic na koloryt rządu sanacyjnego – ujemna Paryża a indyferentna Londynu.

Zachodziła także zbieżność czynników bardziej istotnych. Jednym była ostentacja, z jaką ówczesne kierownictwo polskiej polityki zagranicznej realizowało jej podstawową zasadę strategiczną, jaką była – zdefiniowana i wprowadzona jeszcze za ministeriatu Skrzyńskiego – doktryna jednakowego dystansu od obu stolic, na różne sposoby manifestujących Warszawie swoją wrogość, to jest od Berlina i Moskwy. Wykluczała ona zarówno koalicję Polski z jedną z nich przeciwko drugiej, jak też jej udział w którejkolwiek z przeciwstawiających je koalicji. Z realizacją tej doktryny – nie dającą podstaw do podejrzeń o to, że maskuje wolę agresji, a jednocześnie dezawuuującą agresywną wobec Polski aktywność obu jej sąsiadek – kojarzył się również istotny czynnik kulturowy. Tworzył go systemowy dystans, który podobnie równolegle, jak strategiczny, oddzielał Warszawę od narodowo-socjalistycznego Berlina i komunistycznej Moskwy. Tak krytyka przedmajowej *partiokracji* jak pomajowego *autorytaryzmu*, obie zresztą słuszne, odbywały się bez obecności w poważnych debatach systemowych którejsz z ideologii totalitarnych, z jakich w Polsce tylko komunistyczna miała zaplecze partyjne – i to nader skromne,

czysto agenturalne i kontrolowane przez policję. Stąd polityka zagraniczna Drugiej Rzeczypospolitej mogła utrzymywać kurs dyktowany względami czysto strategicznymi. W mniejszym stopniu przeto narażony na rozmaite dywersje, które manipulują ideologizowaną propagandą opinią publiczną.

Rzecz w tym, że podobnego komfortu względu na czysto strategiczne realia brakło kierownictwom innych państw Europy, wobec zagrożenia pokoju przez nazistowskie Niemcy i bolszewicką Rosję. Bardziej od wpływu ideologii kłopotliwy w planowaniu strategicznym był z pewnością wpływ rutynowych pojęć o miejscu Niemiec i Rosji w koncercie europejskim, już zdezaktualizowanych w wyniku I wojny światowej, która stuletni model *Europy Wiedeńskiej* zastąpiła modelem znanym jako *Europa Wersalska*. Rzecz w tym, że eskalacja zagrożenia ze strony Niemiec z biegiem lat trzydziestych, ów szkodliwy wpływ dywersji ideologii i rutyny na planowanie strategiczne osłabiała skuteczniej w Londynie, niżeli w Paryżu. Gdy Paryż – od 1921 roku związany z Warszawą defensywnym sojuszem przeciw Niemcom – do rezygnacji z prób pozyskania do niego również Rosji raczej nie był skłonny, to do stanowiska Warszawy zbliżała się polityka brytyjska, odkąd kierowali nią premier Neville Chamberlain (†1940) – do maja 1940 i minister dyplomacji lord Halifax (†1959) – do grudnia tegoż roku.

Odium tak zwanego *appeasement* (polityki ustępstw wobec III Rzeszy) rzucała na ten tandem głównie elokwencja kolegów z innego skrzydła partii konserwatywnej uosobiana przez ich następców, którymi byli premier Winston Churchill (†1965) oraz minister spraw zagranicznych Anthony Eden (†1977). Tę część konserwatystów – gotową na współpracę z totalitaryzmem czerwonym – wspierali socjaliści. Niejako wrodzony pacyfizm tych ostatnich, do niedawna orędujący zresztą za oboma odmianami totalitaryzmu, współbrzmiał z pewną nostalgią, jaką w kręgach konserwatywnych nad Tamizą budziło wspomnienie ich symbiozy ze światem niemieckim, symbiozy fundamentalnej dla *Europy Wiedeńskiej*. Sabotował on przygotowania wojenne Anglii do chwili, gdy III Rzesza – w dobie wojny domowej w Hiszpanii (1936-1939) – wbrew socjalistycznej solidarności wsparła powstanie generała Franco (†1975) przeciw rewolucyjnej dyktaturze *Frontu Ludowego*. W owym konserwatywno-socjalistycznym przypływie pacyfizmu to *Europa Wiedeńska* brała odwet na *Wersalskiej*, odsuwając od rządu środowisko, którego wyobraźnia i wola ułatwiły demontaż tej pierwszej. Symbolami tego środowiska byli premierzy Robert Gascoyne-Cecil markiz Salisbury (†1903) i Arthur Balfour (†1930). To ono odzyskiwało władzę, gdy w maju 1937 roku Chamberlain obejmował urząd premiera, a w lutym

1938 do Foreign Office, z którego odchodził Eden, wracał Halifax. Obaj byli jak najdalsi od myśli o tolerowaniu ekspansjonizmu III Rzeszy oraz o zgodzie na koszty ewentualnego aliansu ze Związkiem Sowieckim. Podjęli grę o stawkę, jaka sprowadzała się w istocie do utrzymania wersalskiego modelu Kontynentu. Stawkę – wobec militarystycznego charakteru obu totalitaryzmów – nieosiągalną drogą inną, niżeli wojenna. Była to stawka w pełni uzasadniająca wzajemne gwarancje bezpieczeństwa, które minister Józef Beck (†1944) i minister Halifax wymienili w kwietniu roku 1939.

Zwraca uwagę harmonia, z jaką obie władze – zdrowy rozsądek i honor – rządowi Polski i Anglii zalecały wymianę deklaracji tych, niezależnie od wszystkich rachub, jakie mogły je poprzedzać, czy poprzedzały faktycznie. Dla każdej z osobna, Polski i Anglii, zbrojny odpór nieuniknionej ekspansji III Rzeszy i Sowietów, nie miał alternatywy. Stanowił konieczność ze względu na rację stanu, z nakazem podporządkowania się jej – bez aliansu tak samo, jak i w aliansie. Sprawiała to perspektywa skutków wspólnoty granicy Niemiec i Rosji, śmiertelnych dla Polski zawsze; dla Anglii, po zjednoczeniu Drugiej Rzeszy w latach 1866-1871, paraliżująca coraz bardziej. Taka bowiem granica determinowała sojusz obu sąsiadek niejako samorzutny, bo ugruntowany pokrewieństwem temperamentu ich rządów oraz odwrotnością kierunków ich ekspansji – Niemiec na zachód, Rosji na wschód. Na kierunku pierwszym, oddawałoby to Niemcom Europę Zachodnią – razem z decyzją o losie Wysp Brytyjskich. Na drugim, łupem Rosji padałyby kolonie angielskie w Azji. Na tle osławionego *paktu Ribbentrop-Mołotow*, zawartego u progu wspólnej inwazji Niemiec i Związku Sowieckiego na Polskę we wrześniu 1939 roku, aż do niemal samego wybuchu wojny między nimi w czerwcu 1941, koszmar ów materializowany na zachodzie Europy, był przedmiotem prób materializacji także w Afryce i w Azji – jak można sądzić – wstępnych. Nie był więc dla Anglii do przyjęcia podbój Polski, ani przez Trzecią Rzeszę z Sowietami wspólnie, ani też z osobna. Podobnie nie do przyjęcia dla Polski była dominacja Niemiec nad Europą Zachodnią, nie tylko w tak narzucającym się oparciu o sojusz z Rosją, lecz też bez niego, a w mało prawdopodobnym oparciu o polską neutralność. Stąd obie dyplomacie, polska i angielska, niemieckiej próbie dyktatu musiały przeciwstawić się zdecydowanie, bo przemawiał za tym właśnie zdrowy rozsądek. O tym, że mogły uczynić to jednogłośnie, przesądzał ton moralny sejmowej mowy 2 maja 1939 roku ministra Becka, którą odrzucał on żądania Niemiec oraz mowy króla Jerzego VI (†1952), oznajmującego 3 września 1939 roku wejście Anglii do wojny.

W istocie przeto wymiana gwarancji bezpieczeństwa w kwietniu 1939 roku jedynie w niewielkim stopniu pozostawała aktem konfigurującym strony prowokowanego przez Niemcy konfliktu. Raczej w znikomym – i bez żadnego wpływu na decyzję o niej po stronie Anglii – mógł działać tu wzgląd na ekonomikę krwi; bilans jej strat koniecznych niewiele zależał od tego, czy zostanie ona przez bijące się z III Rzeszą armie przelana wspólnie, czy przez każdą osobno. Na pewno jakąś rolę odgrywała tu arytmetyka, pochylona nad realiami gotowości sił zbrojnych i czasu niezbędnego, by ją osiągnąć. W o wiele większym jednak stopniu wspólny akt dyplomatyczny Londynu i Warszawy, w okolicznościach z wiosny 1939 roku, był próbą uratowania pokoju. Przeprowadzona została ona ze świadomością, że może się nie powieść, ale też – na wypadek, gdyby się nie powiodła – z wizją kształtu zwycięstwa, w zobowiązaniu się obu stron do nie zawierania odrębnie pokoju z przeciwnikiem.

Materializacja przecież tej wizji – jedynej racjonalnej i jedynej honorowej – pozostawała sprawą osobną, uzależnioną jednak nie od jej racjonalności czy wykonalności, lecz od tego, czy oba rządy wytrwają przy niej. O tym, że one nie wytrzymały, można mówić wyłącznie przy ignorancji faktu, że wytrwać im nie było dane, bo zostały zmienione. Zmiana ta – zwłaszcza w przypadku rządu brytyjskiego – nie została wymuszona fiaskiem jego polityki, bo to właśnie jego polityka uczyniła wojną nieuniknioną, wojnę o cele zdefiniowane w całej ich głębi i rozpiętości. Faktu wreszcie tupetu opozycji, jaki zarzutami pacyfizmu spowodował zmianę rządu – jakby po to tylko, by cele te spłycić i zawęzić, w krótkowidztwie, za które w czasie wojny nadmierną daniną krwi płacił naród, gdy jeszcze długo po wojnie płacił za nie Commonwealth. Nie próbując porównywać rozmiaru wojennych i powojennych wkładów, tak Polski jak Anglii – wniesionych przy konstrukcji pojałtańskiego modelu dwubiegunowego i przy jego eksploatacji – można wskazać podobną ich przyczynę sprawczą. Było nią zerwanie z tą polityką, którą we wrześniu 1939 roku po stronie polskiej reprezentował Beck a Halifax po angielskiej. Inną sprawą są perspektywy – tyle, że nie już racjonalności współpracy Polski i Anglii w duchu tej wizji, a jedynie jej wykonalności – po odejściu Halifaxa i Becka.

Postawa premiera Sikorskiego nie ułatwiała następcy Becka, ministrowi Augustowi Zaleskiemu (†1972), bardziej stanowczej manifestacji wierności tej doktrynie, którą zresztą podzielał z zapalem mniejszym, niżeli Skrzyński i Beck. Doktrynie tej składał jednak hołd rzetelny, w jej części najbardziej wtedy istotnej, bo w nakazującej dystans wytworzony przez Moskwę inwazją z 17 września utrzymać w mierze tej samej, co rozmiar dystansu jaki Berlin

wytworzył 1 września. Było to konieczne tym bardziej, im bardziej koalicja konserwatywno-socjalistyczna naciskała na Chamberlaina, by liczył się z Moskwą a nie z Warszawą. Świeżo do rządu dokooptowany Churchill próbował usprawiedliwić inwazję sowiecką już w jej dniu drugim. Znacznie to przekraczało zrozumiałą normę ekspresji stosunku Londynu do Moskwy. Wyznaczyła tę normę odpowiedź Chamberlaina na zarzuty angielskiej opinii, że nie reaguje właściwie na napaść Sowietów na sojuszniczkę Wielkiej Brytanii. Swą odpowiedź wymownie modulowaną tonem zaniepokojenia, ograniczył premier brytyjski do konstatacji braku zobowiązań jego rządu do obrony wschodniej granicy Polski, zarazem nie dając najmniejszych podstaw dla myśli, że aprobuje on jej pogwałcenie. Normę taką dobrze uzasadniały dwa względy. Po pierwsze, nie potęgowała dogmatycznej wiary w Moskwie, że z inicjatywami Berlina została ona związana na dobre i złe, która to wiara służyć mogła tylko Berlinowi. Po drugie, nie mobilizowała tej części opozycji – nie tylko zresztą socjalistycznej – która myśl o wojnie Anglii z Niemcami dopuszczała z zastrzeżeniem, że będzie ona wojną w aliansie nie tylko z Francją, ale i z Rosją. Mobilizacja taka, przy nie wywiązaniu się Paryża z obowiązków sojuszniczych we wrześniu i jego późniejszej *zabawie w wojnę* (*drôle de guerre*), groziła zaś rządowi upadkiem, z zagadkowymi tego konsekwencjami dla dalszego toku wojny i kształtu pokoju.

Normę tak więc zdefiniowaną i uzasadnioną – być może – naruszył nieco sam Halifax, w swym wystąpieniu w Izbie Lordów pod koniec października 1939 zauważając, że Rosjanie nie przekroczyli linii, jaką w roku 1920 chciał rozgraniczyć Polskę i Rosję minister dyplomacji brytyjskiej George Curzon (†1925). Być może też, że w sposób taki tylko sondował stanowczość Sikorskiego, gdy ten podczas listopadowej wizyty w Londynie uzyskiwał przecież oficjalne oświadczenie, że rząd brytyjski nie uznaje zmian spowodowanych agresją Rosji. W każdym bądź razie lawirując między mieliznami, na które wypuszczała go opozycja, a rafami, ku którym popychał go powiew miejscowych i globalnych nastrojów pokojowych, nie pozwolił brytyjski premier przeinaczyć wojennego kursu i jego celu, mimo tak bardzo demobilizującej postawy, w jakiej nadal trwał Paryż. Odszedł przed samą tragedią Francji (maj 1940), potwierdzającą płonność wszystkich rachub, które postulowały ratować Europę przed zmorą dyktatu w konfiguracjach innych, niż ukształtowana w kwietniu roku poprzedniego. Odszedł więc, gdy od Europy i świata oddaliła się groźba pokoju i tym samym nadal utrzymywała się nadzieja na przełamanie tendencji generującej zagrożenie dyktatem.

Powodowana choćby imponującymi relacjami Anglii ze Stanami Zjednoczonymi, a oczywista po klęsce Francji, nieuniknioność dalszego ciągu wojny, nie dawała gwarancji, że po zmianie na stanowisku premiera polityka angielska utrzyma dotychczasowy kurs, choć Halifax pozostawał ministrem dyplomacji. Przeszłość polityczna nowego premiera Anglii¹³ nie przemawiała bowiem za tym, że ów kurs utrzymując, zainspiruje on decyzje amerykańskiego prezydenta – Franklina Delano Roosevelta (†1945).

Tę zaskakującą nominację Churchilla być może tłumaczy wola neutralizacji presji podwójnej – a dla sprawy wojny nader szkodliwej – to jest ze strony jej rzeczników najbardziej głośnych, jak i ze strony rzeczywistych obrońców pokoju. Nie tylko więc Churchill, Edena i kilku innych¹⁴. Wola osłabienia wpływu tej groźnej synergii na bieg wojny – poprzez pozyskanie jednego z jej czynników – zapewne powodowała Chamberlainem, gdy Churchilla na premierostwo po sobie polecał Jerzemu VI, chętniej przecież na tym stanowisku widzącemu Halifaxa. Co jasne, nie mógł król zalecenia tego nie przyjąć. Nie

¹³ Tradycja związku z liberalnym skrzydłem konserwatystów obu przodków Winstona Churchilla po mieczu – sir Randolpha (†1895) ojca, oraz Johna diuka Marlborough (†1883) dziadka – czyniła go dziedzicem idei, realizowanych przez Edwarda Stanley jarla Derby (†1869) i Benjamina Disraeli jarla Beaconsfielda (†1881), zyskanego dla polityki przez teściową diuka Johna – lady Frances (†1865), szwagierkę Roberta Stewarta wicehrabiego Castlereagh markiza Londonderry (†1822), współautora *Europy Wiedeńskiej* na Kongresie z lat 1814-1815. W konfrontacji z ideami przeciwnymi, w drugiej połowie XIX wieku reprezentowanymi przez Salisbury'ego – w przededniu I wojny i w jej trakcie – Churchill nie stał po stronie Balfoura, czołowego ich rzecznika. Trzymał się bowiem on konserwatorów szkodliwego już dla Anglii, wiedeńskiego *status quo* – Herberta Asquitha (†1928) i Davida Lloyd George'a (†1945), premierów liberalnych z lat 1908-1922. Ciężka też na nim pamięć o trudnościach, którymi w latach 1908-1911 – jako minister handlu – wspólnie z Lloyd Georgem hamował realizację zbrojeń, i o solidarności, okazanej przezeń w roku 1936 filoniemieckiemu Edwardowi VIII (†1972), gdy zakochanego w pani Simpson króla odводził od abdykacji, postulowanej przez premiera Stanleya Baldwina (†1947). Kiedy więc w latach 1924-1929 był Churchill w drugim rządzie Baldwina ministrem skarbu, to nie potwierdzał tym swego związku z konserwatyzmem, lecz go inaugurował, acz na krótko (do swojego trzeciego rządu Baldwin już go nie wziął). Jego miejsce w rządzie narodowym, skomponowanym przez Chamberlaina w chwili przystąpienia Anglii do wojny – jako Pierwszego Lorda Admiralicji – też nie budziło optymizmu, skoro właśnie je zajmując w latach 1911-1915, podjął decyzję o wysłaniu floty na Konstantynopol, w roku 1915 zakończoną katastrofą pod Gallipoli.

¹⁴ Również Charlesa Vane'a markiza Londonderry (†1949), tytułowanego *Herr Londonderry* i powołującego się na zasługi, jakie dla pokoju w Europie miał w latach 1814-1815 lord Castlereagh, jego wspomniany przodek. Także potomka innych postaci z pierwszego planu *Europy Wiedeńskiej* – bo prawnuka ambasadora George'a Russella (†1846), brata premiera Johna Russella (†1878) – którym był Hastings Russell diuk Bedford (†1953), przez MI5 wytypowany do aresztowania w razie desantu Niemców, a jeszcze jesienią roku 1940 o możliwościach zawarcia pokoju korespondujący z Lloyd Georgem.

omieszkiał jednak nowemu premierowi okazać zdziwienia, kiedy ten go powiadomił, że ministerstwo przemysłu lotniczego powierza lordowi Beaverbrookowi (†1964) – kupionemu w 1918 ministerstwem informacji przez Lloyd George’a¹⁵ oponentowi Balfoura i magnatowi prasowemu, jeszcze w roku 1939 działającemu na rzecz pokoju.

Auspicje towarzyszące zmianie rządu brytyjskiego w maju 1940 roku dowodziły więc, że synergia niechętna polityce zdefiniowanej w gwarancjach Polski i Anglii z kwietnia 1939 roku nie osłabła na tyle, by mógł sir Winston nie licząc się z nią rozpoczynać nowy rozdział swej własnej historii, który miał go spopularyzować – również medialnie – jako niezłomnego przeciwnika narodowo-socjalistycznego dyktatu i jako takiego przeciwstawić poprzednikowi. Te same auspice nie dowodziły przeto, by posiadał on siłę niezbędną do zawsze skutecznego oporu ideom prezydenta amerykańskiego – ideowo zwolnionego z tolerancji dla brytyjskiego stanu posiadania poza Europą. Rzecz prosta, obniżało to znacznie wykonalność deklaracji polsko-angielskich, skoro już wtedy nie brakło – rychło potwierdzonych – przesłanek dla sądu, że nie jest prezydent Roosevelt przeciwny oczyszczeniu Europy z jej grzechów wobec świata z pomocą sowieckiej Rosji. Nawet przecież gdyby przesłanek takich wówczas nie było, to i tak utrzymaniu polityki angielskiej w normie zdefiniowanej przez Chamberlaina raczej nie mógł służyć dość zdumiewający postępki generała Sikorskiego podczas jego pierwszego spotkania z Churchilllem jako premierem. Memoriał bowiem, jaki opracował wspólnie z ambasadorem Edwardem Raczyńskim (†1993) i pozostawił na Downing Street, dawał Churchillowi satysfakcję, swym duchem nawiązując do jego idei, ujawnionej zaraz po napaści Sowietów na Polskę. To jest do odrzucanej i przez Becka i przez Chamberlaina, idei przymierza z Rosją przeciwko Niemcom.

Oto w dziewięć miesięcy po 17 września 1939 roku i na rok przed inwazją Niemiec na Związek Sowiecki, Sikorski proponował Churchillowi, ni mniej ni więcej, tylko ustanowienie pełnomocnika rządu polskiego do spraw kontaktów z Moskwą, w miejscowej ambasadzie angielskiej, którą właśnie wybierał się objąć jej nowy szef – prominent poważanej także przez Roosevelta kuźni socjalizmu nie tylko brytyjskiego, czym było *Fabian Society* – sir Stafford Cripps (†1952). Wprawdzie wobec protestu ministra Zaleskiego (po-

¹⁵ Na wspólny mianownik poniekąd charakterologiczny, cementujący przyjaźń Lloyd George’a i Churchilla, jaka łączyła obu ponad słowami, które różnicowały ich niekiedy, zwrócił uwagę Baldwin mówiąc, że *Lloyd George urodził się jako prostak i nie zapomina o tym nigdy, natomiast Winston nigdy nie pamięta, że urodził się jako dżentelmen*.

wiadomionego o sprawie po fakcie), nieszczęsny memoriał został przez Halifaxa – chyba z ulgą – zwrócony i uznany za niebyły. Jednak sam incydent dowodzi, że nie musiał być zbyt silny nacisk Churchilla na Sikorskiego, gdy po inwazji niemieckiej na Moskwę zawierał on z nią ów niesłychany układ, skwitowany przez Zaleskiego podaniem się do dymisji. W lipcu 1941 roku w Foreign Office od ośmiu miesięcy gospodarował już nie Halifax a Eden, którego partnerem z polskiej strony po dymisji Zaleskiego został Edward Raczyński. Na pytanie przecież, czy okoliczności takie nie skłaniają, by za nierealistyczną uznawać politykę realizującą *doktrynę równej odległości*, trzeba jednak odpowiedzieć, że właśnie one skłaniają, by to ją uznać za jedyną realistyczną. I nie tylko dlatego, że jej z ducha klientelistyczna alternatywa wykazała swą nieprzydatność.

Brak złudzeń, by realizacja *doktryny równej odległości* przez politykę polską także podczas wojny, mogła spowodować utrzymanie polityki angielskiej w normie, jaką ustalili Chamberlain i Halifax. Nie było to możliwe ani przed inwazją Niemiec na Rosję, czy wejściem Stanów Zjednoczonych do wojny, ani też później. Łatwo wykazać, że z każdego z kolejnych okresów wojny na następny myśl taka stawałaby się mrzonką coraz bardziej tragiczną. Ale rzecz w tym, że wytrwanie polityki polskiej przy jej doktrynie, mogło stać się czynnikiem utrudniającym przestawienie się jej brytyjskiej partnerki z toru, na jaki weszła w obronie *Europy Wersalskiej*, na tor prowadzący do Jałty. Przede wszystkim mogło zaś znacznie zmniejszyć ujemny bilans, z jakim Polska wkraczała do *Europy Jaltańskiej*. Nie było to zadanie niewykonalne. Dyplomatyczne i militarne aktywa – w obu przypadkach także te dyskretnie -jakie po wrześniowej klęsce nadal miał w dyspozycji rząd Rzeczypospolitej, a które trudno tu wyliczać, wcale nie były małe. Odpowiednio użyte już w okolicznościach francuskiej *drôle de guerre* – trwającej nie od października, ale od września 1939 roku – mogłyby zapewnić lepszą pozycję rządu RP w Londynie i udział w planowaniu strategicznym, poprzez obecność wodza naczelnego we wspólnym dowództwie sił zbrojnych. Choć zapewne nie zmieniłoby to losu rządu Chamberlaina, to jednak na pewno utrudniałoby Churchillowi lekceważenie suwerennych praw sprzymierzeńca. Ułatwiłoby natomiast premierowi Anglii – już po nieuniknionym najeździe Niemiec na Rosję – wywarcie na pewno skutecznego nacisku na Stalina, by umożliwił ewakuację Polaków z Rosji bez żadnych zobowiązań ze strony rządu Rzeczypospolitej. Co też zapewne przynajmniej częściowo wpłynęłoby na lepsze zachowanie się Niemców w okupowanej Polsce. A nawet jeśli by ów niedokonany w końcu

września 1939 roku krok nie powiódł się – co omal niemożliwe – to i tak posłuszeństwo doktrynie zyskałoby weryfikację dodatnią. Korekta bowiem nadziei wiązanych z koalicją poprzedziłaby korektę decyzji dalszych. Te zaś zmniejszyłyby koszty wojny o wysokość daremnej ceny krwi, jaką za udział w sojuszu opłaciła Polska – w tym też o tragedię Powstania Warszawskiego.

Polityka taka wymagałaby jednak nie tylko trzeźwiejszego inwestowania posiadanych aktywów. I nie tylko najwyższego lotu dyplomacji – niezbędne, by rozwiązać dziedziczną po minionych epokach mgłę uprzedzeń do Polski, nadal stanowiącą istotny motyw w angielskiej wizji porządku w Europie Środkowej. Korzystna dla Polski korekta procesu zachodzącego w czasie II wojny światowej wymagała determinacji kierownictwa jej polityki w obronie jej praw co do joty. Wymagała więc oparcia się wyłącznie o jej suwerenność. Wykluczała jakąkolwiek próbę cesji któregośkolwiek z jej praw – bez względu na wagę jego przedmiotu – w zamian za przyznanie jej praw nowych, czy za ledwie uszanowanie jej innych praw. Wykluczała przeto postawę klientalną, której kolejne manifestacje – nie tylko Sikorskiego, ale też Stanisława Mikołajczyka (†1966) – dowodziły znacznie większego rozmiaru związanego z nimi ryzyka, a powodującego nieuchronnie, jak ustępstwo każde, ryzyko jeszcze większe.

Niesłuszność zarzutu winiącego politykę zagraniczną Drugiej Rzeczypospolitej za bolesne dla Polski konsekwencje II wojny światowej, nie usuwa problemu oceny jej jakości w okresie przed wojną. Do zasad realizmu i ekonomii krwi odwołują się tezy, że optymalnym dla Polski wyjściem, w obliczu II wojny światowej, byłoby chwilowe poddanie pod komendę Niemiec do czasu ich załamania. Lekcja Teheranu i Jałty dana sojuszniczej Polsce, upewnienia o kosztach podobnego „realizmu”, przy pewnym założeniu klęski Niemiec. Trudno sądzić, by pomysł taki mógł Polski nie kosztować włączeniem do ZSRS, bez zysków terytorialnych na granicy zachodniej, przy amputacji terytorium na wschodzie. Podobnie trudno sądzić, by w wariacie zgody Polski na udział w antyniemieckiej koalicji Zachodu i Związku Sowieckiego, pozwoliłoby Polsce uniknąć straty ziem wschodnich, z rekompensatą jedynie południową połową Prus Wschodnich i z rewolucją komunistyczną – na wzór czechosłowacki z 1948 roku. W obu wariantach – wywózki ludności i akty ludobójstwa byłyby równie nieuniknione. Stąd wydają się wręcz naiwne zarzuty kierowane pod adresem doktryny, jaka przyświecała polityce polskiej w dobie międzywojennej, a na konfigurację sojuszków w chwili wybuchu II wojny światowej wpłynęła walnie. Zdefiniowana u progu lat dwudziestych,

doktryna jednakowej odległości – od Berlina i od Moskwy – wykluczała udział Polski w jakimkolwiek sojuszu zaczepnym przeciw któremukolwiek z obu sąsiadów, w tym w sojuszu z jednym przeciw drugiemu. Spożytkowały ją oba układy z lat trzydziestych – z ZSRS w roku 1932 i z Niemcami w 1934.

Agresje – niemiecka 1 września i sowiecka 17 września 1939 roku – bynajmniej nie zdezwuwały realizmu *doktryny jednakowej odległości*. Byłoby tak, gdyby stosunki z Rosją i z Niemcami dyplomacja Drugiej Rzeczypospolitej uważała za decydujące o bezpieczeństwie państwa. Jednak jedne i drugie sytuowała ona na drugim planie polityki bezpieczeństwa. Tak było po roku 1926 pod kierownictwem Józefa Becka – polityka z obozu sanacyjnego, jak i wcześniej, za trzykrotnego ministra Aleksandra Skrzyńskiego – bezpartyjnego. Swe znaczenie rzeczywiste doktryna ta ujawnia na głównym froncie polityki. To jest na tym froncie, od którego identyfikacji, i od umiejętności działania na którym, narodowe bezpieczeństwo zależy w pierwszym rzędzie. Tymczasem nie budzi wątpliwości trafność, z jaką front taki dyplomacja Drugiej Rzeczypospolitej lokalizowała w przestrzeni anglosasko-romańskiego Zachodu, rozciągniętego po obu stronach Atlantyku. Czyli tam, gdzie między Londynem i Waszyngtonem, Rzymem i Paryżem oraz w nich samych toczyła się gra przesądzająca los policentrycznego ładu wersalskiego – o to, kto go zdetonuje oraz kto i na jakich zasadach oprze ładu nowy. To do tej gry włączyła się i polska polityka zagraniczna, odrzucając ofertę Berlina wspólnego pochodzenia na Moskwę (do przyjęcia w świecie anglosaskim), jak też hołubioną w Paryżu ideę przymierza z udziałem Moskwy, przeciw Berlinowi. Realizowała *doktrynę jednakowej odległości* od tego tandemu, który w roku 1939 zdetonował pokój w sposób przez Skrzyńskiego opisany osiem lat wcześniej, w szkicu *Na spiralnej linii dziejów*, nim jeszcze Hitler objął rządy. Jakość dyplomacji polskiej weryfikują konfigurowane jej postawą składy obu systemów z dnia wybuchu wojny, której zapobiec nie mogła. Plasowały one jednak Polskę w systemie, jaki zwyciężyć musiał, w skazanym zaś na klęskę sadowiły nie jednego, lecz obu jej przeciwników.

Ciężar gatunkowy dyplomacji Drugiej Rzeczypospolitej brał się z dwóch przyczyn. Z budującej ciągłości, z jaką niezależnie od tego, kto kierował MSZ-em – tak przed jak po roku 1926 – rządziły dwie zasady. Zasada *non possumus*, wykluczająca przyzwolenie na jakiś uszczerbek suwerenności państwa i zasada wierności wielkiemu dziedzictwu dyplomacji Rzeczypospolitej Pierwszej – nadająca analizie i planowaniu odpowiedni rygor i horyzont. W ponadpartyjnym związku rzeczywistego *realizmu politycznego*, z odwagą, w jaką wyłącznie racja

moralna może uzbrajać myśl. Stąd realizm rzeczywisty łączy zdanie o honorze, w pamiętnej mowie Becka z maja 1939 roku, odrzucającej żądania Niemiec, z opinią ministra Skrzyńskiego: *Polska nie działa nigdy pod przymusem. Europejskiego rozumu stanu Polsce nie trzeba się uczyć od innych mocarstw, albowiem Polska była, jest i będzie wielkim narodem, zobowiązanym do rozumienia i ujmowania całości europejskich problemów, bo stanowiąc o sobie i za siebie, stanowi o rzeczach przerastających jej bezpośredni interes.*

Tajemnicę pewności siebie bijącej z opinii Ministra wyjaśnia duchowa sytuacja jego pokolenia. Wprawdzie sto dwadzieścia trzy lata braku suwerenności Polski zamazały i nawet zafałszowały pamięć konturów ustrojowych i społecznych Pierwszej Rzeczypospolitej – ale nie zagłuszyły echa niosącego jej wielkość. Monopolizowało ono wyobraźnię, a cel pozostawał stale ten sam, choć stawiany na manowcach, zestrajał czteropokoleniową niewolę w jeden akt osobny. Na tyle też akt zwięzy, by uczestnicy narodzin Rzeczypospolitej Drugiej nie mogli dostrzec w tym nic innego, jak wyzwanie rzucane im przez Pierwszą.

Pokoleniu Trzeciej Rzeczypospolitej nie łatwo to pojąć. Przeszło lat 1939-1989, acz od tamtego krótsze, nie wiedzie ich równie prosto do Drugiej. Ani równie bezpośrednio. Patrząc wstecz przez mgłę złudzeń, jakie pod przywłaszczoną firmą realizmu narzuca im ich współczesność, mają za bezpieczny byt Polski wyzutej z instynktu wielkości. Realizm im właściwy surowo oceniałby przytoczoną opinię Skrzyńskiego.

Rozdział III

Z Wiednia do Wersalu (1815-1918)

Analiza związku polityki Pierwszej Rzeczypospolitej z ewolucją układu sił w Europie wczesnonowożytnej ujawnia współzależność niewątpliwą. Jest nią związek bezpieczeństwa państw Kontynentu od dominacji transkontynentalnej, ze zdecydowaniem, z jakim staropolska polityka chroniła autorytet Rzeczypospolitej. Pokoleniu drugiej Rzeczypospolitej brakło – przyznać trzeba, że z winy historyków – większej wiedzy o istnieniu tej zależności. Miało przecież ono świadomość specyfiki miejsca Polski na Kontynencie oraz wycucie wielkości zadań z miejscem tym związanych i animujących politykę jako strzeżenie, by suwerenność Polski nad nim nie odniosła żadnego uszczerbku.

Do zadań tych należy również identyfikacja źródła zagrożeń, tu rzadko kiedy łatwa. Sama bowiem centralność miejsca wywołuje – nie bez przyczyn empirycznych – kompleks stanu okrażenia. Rzecz w kłopotach nie tylko z niezbędną do trafnego wyboru ofensywnych i defensywnych celów, trafną lokalizacją impulsów, które okrażenie przemieniają w oblężenie. Również w kłopotach z lokalizacją tych źródeł dywersji wewnętrznej, co kryją się zwłaszcza w utrwalonych stereotypach myślowych. W takich stereotypach, które z biegiem czasu zaborów zapaleń dobrych chęci grzebały *sprawę polską* w popiele coraz zimniejszym. W tym takim, co jeszcze wcześniej zyskał rangę doktryny, przyprawiając o zgon Rzeczypospolitą Pierwszą. W stereotypie, wedle którego brak *woli agresji* po stronie własnego państwa miałby osłaniać jego wolność przed agresją ze strony państw innych.

Wyobrażnia establishmentu Trzeciej Rzeczypospolitej zdaje się modernizować ostatni stereotyp, przez jakby podświadome zastąpienie pojęcia *woli agresji* pojęciem *racji stanu*, dla niej chyba równie rażącym, a poniekąd egzotycznym. Poza refleksją zostawia ona także, jak dotąd, fakt równie doniosły. To jest fakt, że tak jak ustanowienie Trzeciej Rzeczypospolitej po pięćdziesięciu latach braku suwerenności, tak też i ustanowienie Rzeczypospolitej drugiej – w roku 1918 – po stu dwudziestu trzech latach niewoli rozbiorowej,

stanowiło skutek przede wszystkim obrotu koniunktury globalnej, nie zaś podmiotowych działań podjętych w imię polskiej *racji stanu*. Nie znaczy to, że działań takich nie było. Jednak w zestawieniu z genezą Trzeciej, przy genezie Drugiej wpływ samych Polaków na bieg spraw i ich wynik miał jednak rozmiar dostatecznie duży, by można było mówić o fenomenie nieznanym w istocie od dwóch wieków – fenomenie obecności *polityki polskiej*. Stąd też rozmiar sporu o zasługi przy jej genezie.

Spór ten dotyczył nie tylko ról, jakie odegrali indywidualni i zbiorowi bohaterowie wydarzeń z pewnością dramatycznych. Dotyczył kwestii, któremu przypadła rola odnowiciela wolności i kwestii oceny ich taktyki. Rozstrzygać miała odpowiedź na pytanie o słuszność wyboru koalicjanta dla *sprawy polskiej* przed I wojną światową i w jej trakcie. Czy więc miał słuszność Roman Dmowski (†1939), przywódca *narodowców*, gdy postulował orientację na *Ententę*. Czy też miał ją patron sanacji, Józef Piłsudski (†1935), wybierając *Państwa Centralne*. Spór rozstrzygnęło zwycięstwo *Ententy*, rację przyznając Dmowskiemu. Nie do obrony jest teza, jakoby miał Piłsudski wybór swój oprzeć o trafną prognozę przebiegu wojny. Nie mniej – niezależnie od oceny jego działań po roku 1918 – krytyka podjętej przezeń akcji legionowej też nie wydaje się słuszna. Jako część sporu o słuszność orientacji, mieści się ona w sporze przesłaniającym proces najważniejszy. Proces, co sprawił, że na porządku dziennym polityki globalnej przed i podczas I wojny światowej stała już nie *sprawa polska*, ale *polityka polska*. A więc proces korozji modelu politycznego Europy, jakim *Kongres Wiedeński* skwitował w roku 1815 zmiany zaszłe w ciągu z górą stu lat wcześniejszych. To jest zmiany stanowiące wynik *rewolucji francuskiej* i *wojen napoleońskich*, wplecione w zwrot, jaki na Kontynencie zachodził przez cały wiek XVIII i jaki objął także rozbiory Rzeczypospolitej w latach 1772-1795, które zamknęły epokę sasko-stanisławowską. Epokę otwartą w dobie Sejmu Niemego w 1717 roku – inaugurującej *sprawę polską*, wobec abdykacji *polskiej polityki*.

Istotą procesu, który doprowadził do powrotu polityki polskiej na dziejową arenę, w przededniu i w trakcie I wojny światowej, było nie tylko to, że zachodził on pod prąd naporu, wywieranego na wyobraźnię i postawę pokoleń przez nawyki i stereotypy odziedziczone po dobie upadku i utrwalone pod zaborem. Zachodził on też pod prąd historii, którą jej skutki – a zwłaszcza sam wiedeński model Europy – zdawały się czynić nieodwracalną. Kierował się on wstecz, pod prąd romantycznej tradycji powstań – *Styczniowego* (1863-1864) i *Listopadowego* (1830-1831) oraz *Konfederacji Barskiej* (1768-1772) zryw

jeszcze za Pierwszej Rzeczypospolitej – rewidując *ideę powstańczą*. A rewidując doświadczenie doby napoleońskiej (1795-1815) i trzech rozbiorów (1772-1795), odrzucał kolejne realizacje *idei ugody* – inicjowane już w roku 1717, wybujałe za Stanisława Augusta, a wznawiane jeszcze u progu XX wieku. Rewizja obu idei, odsłaniając romantyczne mielizny jednej i pozytywistyczne drugiej, neglizowała jałowość zdobionego przez nie politycznego *klientelizmu*. Sprzyjało to analizie położenia i syntezie celu w sposób suwerenny. Tym samym, pozwalało przybrać postawę proporcjonalną do potrzeb czasu *wojny ludów*, o jaką modlili się poeci. Rzecz w tym, że pod szyldem *orientacja* – ani w przypadku Dmowskiego i *Ententy*, ani Piłsudskiego i *Państw Centralnych* – nie krył się ani *klientelizm*, ani *ugoda* z jednym z zaborców przeciw drugiemu. Związku obozu Dmowskiego z *Ententą* nie uprzedzała *ugoda*, która – jak chcieli tego *politycy realni* w Warszawie – *sprawę polską* oddałaby Rosji. Podobnie było z Piłsudskim i Austrią, wbrew programowi *stańczyków* z Krakowa.

Dmowski korzystał z pomocy *ugodowców* zaboru rosyjskiego w kontaktach z dworem i rządem w Petersburgu. Ale w kontaktach tych występował jako krytyk polityki Rosji wobec Polski, albo jako rzecznik wspólnej sprawy całej *Ententy* – zwycięstwa nad Niemcami. Ale nie było tu mowy o wystąpieniu podobnym do deklaracji, jaką wcześniej *stańczycy* adresowali do cesarza Austrii (*przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, trwamy i trwać chcemy*). Deklaracja Koła Polskiego w Dumie po wybuchu wojny tylko wspierała Rosję podejmującą jej ciężar. Manifest o zjednoczeniu ziem polskich jako celu wojny (sierpień 1914), jakim kwitował ją rosyjski Wódz Naczelny, Komitet Narodowy Polski przyjął odezwą akcentującą polskość Galicji – właśnie zajętej przez gotowych anektować ją Rosjan (listopad 1914). I nie wpływ *stańczyków* był podstawą akcji legionowej, która bazowała na aprobachie, przed wojną użyczoną przez władze austriackie kongresom i ćwiczeniom polskich organizacji paramilitarnych w Galicji. Zarzut, że akceptują powstańcze plany Piłsudskiego, *ugodowcy* krakowscy odrzucali stanowczo.

Z żadną też z obu *orientacji* nie daje się wiązać zarzut *klientelizmu*. Podjętych przez Piłsudskiego decyzji w jego związku z *Państwami Centralnymi* – niezależnie od oceny związku tegoż sensu – nie cechuje *klientelizm*. Nie ma też mowy o *klientelizmie* postawy Dmowskiego w relacjach z mężami stanu Francji i Anglii. Intelktualnej maestrii analizy politycznej i sztuce dyplomacji przywódcy *narodowców*, czy decydującej dla odrodzenia *polityki polskiej* zasłudze pokolenia *Polaków nowoczesnych* – nie czyni ujmy oddanie tego, co przysługuje wodzowi ich adwersarzy. Owego wciąż licznego zastępu tra-

dycjonalistów – chronionych urokiem poezji romantycznej – marzeń o powstańczym czynie nie zwieńczył tradycyjnie ujemny skutek. Pod Piłsudskim, legionowy epizod bardziej służył, niż szkodził *polityce polskiej* w obu fazach I wojny światowej. W jej fazie pierwszej akcja legionowa – przy nikłym poparciu opinii polskiej skromna, ale nie rozwiewająca nadziei *Państw Centralnych* – podnosiła cenę głosu Dmowskiego u *Ententy*. W fazie drugiej nie wpłynął Piłsudski na kreację prusko-austriackiej hybrydy, jaką było *Królestwo Polskie*, ogłoszone 5 listopada 1916 roku, w nadziei pozyskania polskiego rekruta. Jego zaś w niej udział sterował jej fiaskiem już po niecałym roku. Zanim do tego doszło, związane z nim jej szanse wzmacniały wolę *Ententy*, by poważnie traktować opinię *Komitetu Narodowego Polskiego* w Paryżu. Ta z kolei miała za sobą powagę niezawisłej woli politycznej i niezawisłej oceny położenia, oraz definicji celu. Była to niezawisłość także od domowych stereotypów. Pogląd bowiem Dmowskiego, że przeciwnikiem głównym Polski są Prusy, obrażał *mainstream* refleksji, jaki od lewicy po prawicę siał opinię, że groźniejsza jest Rosja. Pod wpływem *narodowców* chęć rewanżu – skądinąd uzasadniona – nie wywołała powstania i wyjścia Rosji z koalicji.

Logika procesu, w jakim polityka polska odrodziła się, oraz formułowała i realizowała swe cele, uderza prostotą sprawiającą wrażenie, że logika, a nie wola ludzka rządzi historią. *Polityce polskiej*, uwalniającej się od zmory błędnych stereotypów, stawiała opór silna presja realiów, które acz w procesie korozji *Europy Wiedeńskiej* „nielogiczne”, pozostawały przecież najzupełniej „logicznymi” czynnikami jej fundamentu. Główne z nich, to brytyjska tradycja imperialna i pruski militarizm, wraz ze sporym urokiem, rzucanym przez nie na Kontynent.

Brak wątpliwości, że to modelem *Europy Wiedeńskiej* imperializm brytyjski zwieńczył swoją realizację – podjętą już w wieku XVI, w XVIII doprowadzoną do stanu surowego, zaś w XIX celebrowaną ze znanym dostojeństwem. Bowiem ten właśnie model utrzymywał stosunki europejskich potęg kontynentalnych w układzie nazywanym *równowagą sił*, choć w istocie był to klincz, wykluczający możliwość inwazji na Wyspy Brytyjskie ze strony którejś z nich. Jednak przede wszystkim sprawiał on, że brytyjskiego prymatu na półkuli wschodniej nie mogła podważyć żadna z nich. Uzależniając zaś ich udział w kolonizacji Afryki i Azji od aprobaty Londynu, dawał Anglii przewagę nad nimi także we współzawodnictwie o prymat

finansowy. Z *Europą Wiedeńską* skojarzyło się też wyobrażenie pokoju na Kontynencie, zawdzięczanego zdaniem wielu właśnie jej konstrukcji. W rzeczywistości nie jeden raz pokój zakłócił tu drugi beneficjent modelu. To właśnie specyfice jego konstrukcji zawdzięczały Prusy swoją – osiągniętą z biegiem XIX wieku – hegemonię w świecie niemieckim. Sprzężenie obu fundamentalnych czynników wiedeńskiej „logiki” nastąpiło przecież na mniej więcej już sto lat przed kongresem z 1814-1815 roku. Jej zaś *modus operandi* określił fakt, że sprzężenie, o którym mowa, umożliwiła abdykacja polityki polskiej, w latach 1696-1717.

Pozwoliła ona Fryderykowi I Hohenzollernowi (†1713) w roku 1701 podnieść Prusy – do niedawna lenno Polski – do rangi królestwa, co jemu i jego następcom z Fryderykiem II Wielkim (†1786) na czele, ułatwiło formalny udział w grze o całokształt stosunków w Europie Środkowej i Wschodniej. Teatr tej gry – której jedną z uczestniczek głównych Polska pozostawała do końca panowania Jana III Sobieskiego (†1696) – stanowiło zlewisko Bałtyku. Pod nieobecność polityki polskiej nowy układ dominacji zdefiniowany został w traktatach ze Schwedt (1713), Greifswaldu i Berlina (1715), Sztokholmu (1719), a także z Frederiksborga (1720) i Nystad (1721). Udziałami we władztwie bałtyckim obdzieliły one: Prusy, Danię, Szwecję i Rosję, zaś „złotą akcję” faktycznego arbitrażu pozostawiając Anglii. Ta natomiast – wprowadzając się do polityki bałtyckiej już traktatowo – czyniła to w chwili jej najgłębszego od *wojny stuletniej* (1337-1453) zaangażowania na Kontynencie, to jest podczas *wojny o sukcesję hiszpańską* (1700-1714). Wojna ta, chociaż nie zapobiegła pacyfikacji stosunków Francji i Hiszpanii, pod rządami wspólnej odtąd obu monarchiom dynastii Burbonów, to udział w niej – obok skokowego przyrostu wpływów w Rzeszy – przyniósł Anglii wejście na Morze Śródziemne (Gibraltar), z możliwością ekspansji w jego akwenie wschodnim, i w jego zatoce jaką jest Morze Czarne. Inicjował więc już bezpośredni wpływ Londynu na los Turcji, władcy zarówno Konstantynopola, jak Jerozolimy, Bagdadu i Kairu – stolic kluczowych w stosunkach wszystkich kontynentów półkuli wschodniej. Tymczasem w całość – zwaną później *kwestią wschodnią* – perspektywa taka wpisywała się kompatybilnie do perspektywy, którą w tym samym czasie abdykacja polityki polskiej otwierała na północno-zachodnich wybrzeżach Morza Czarnego. Polskiej abdykacji, towarzyszył wzrost wpływów Anglii, czego świadectwem był jej udziałem już w rokowaniach *Ligi Świętej* z Turcją, zakończonych pokojem w Karłowicach z 1699 roku.

Tak oto rysująca się kompatybilność obu perspektyw – bałtyckiej i czarnomorskiej – nie była u progu XVIII wieku czymś nowym. Przez trzy wieki wcześniejsze stanowiła bowiem w polityce polskiej determinantę główną. Zmiany zapoczątkowane pokojem z Karłowic – i już wspomnianymi traktatami z doby *wielkiej wojny północnej* oraz traktatami z Utrechtu i Rastatt, kończącymi *wojnę o sukcesję hiszpańską* – nie sprowadzały się jedynie do zmiany podmiotów obu perspektyw, z Polski na Anglię. Zmieniał się, i to diametralnie, sens tych perspektyw, choć obie determinowały również sytuację środkowoeuropejską. Od doby bitwy pod Grunwaldem (1410) po dobę bitwy pod Wiedniem (1683) obie bowiem determinowały politykę polską w relacjach z zachodnią dzielnicą Kontynentu, gdy obecnie zaczynały one determinować relacje angielskie z jego dzielnicą wschodnią. I gdy we wcześnieśno-nowożytnym odśłonie „polskiej” zasięg obu perspektyw ograniczał się do Europy, to w późno-nowożytnym odśłonie „angielskiej” ich zasięg obejmował już trzy kontynenty. W obu przecież odśłonach znaczenie sceny środkowoeuropejskiej pozostawało pierwszorzędne. Tyle, że gdy w odśłonie pierwszej dawało to polityce polskiej niejako przewagę wyjściową, to w odśłonie drugiej – tak zwana *sprawa polska* – stawała się przez to samo przedmiotem konserwacji, dla tego systemu, fundamentalnej.

Rzecz prosta, ciężar utrzymania *sprawy polskiej* w wieku XIX w stanie sprzyjającym bytowaniu *Europy Wiedeńskiej* dźwigały siły te same, które w XVIII kładły jej fundamenty. Z trzech rozbiorników Polski zasługi największe miały tu Prusy i Rosja, w mniejszym stopniu zaś Austria. Wprawdzie to Wiedeń, w wiekach XVI i XVII na ogół lojalnie współzyskujący z Polską w Europie Środkowej, był głównym animatorem akcji jaką wykonali kardynał Johann Philipp von Lamberg (†1712) i kanclerz Franz Kinsky (†1699), a jaką uwieńczyła koronacja Augusta II Wetyna (†1733) na króla Rzeczypospolitej, w roku 1697. Jednak z początkiem XVIII wieku to właśnie Wiedeń począł tracić swą realną pozycję środkowoeuropejską, by w XIX stać się już jedną z głównych ofiar systemu ustalonego w roku 1815. Gdy w Europie Środkowej i nad Bałtykiem tracił ją Wiedeń na rzecz Berlina, to na Bałkanach i Morzem Czarnym tracił ją nie tylko na rzecz Rosji, ale też i Anglii, odkąd ta przejęła brzemień rozgrywania *kwestii wschodniej* – zresztą z ujmą także dla ambicji rosyjskich. Ambicji, jakich przedmiotem był Konstantynopol i Ocean Indyjski. Realność ambicji tych ograniczały zobowiązania Rosji. Na kładła je na nią pozycja w *Europie Wiedeńskiej*, jako – z racji rozbiorów – po roku 1795 władającej połową terytorium Pierwszej Rzeczypospolitej, a w 1815 dodatkowo uposażonej przez *Kongres Wiedeński – Królestwem Polskim*.

O ile z perspektywy Wiednia i Petersburga można było mówić o światłocieniu plusów i minusów z tytułu udziału w konserwacji wiedeńskiego modelu Kontynentu, o tyle w przypadku Berlina o minusach mowy być nie mogło. Oczywiście dopóty tylko, dopóki wizja Kontynentu – której materializację zainaugurowały w Anglii rządy Wilhelma Orańskiego (1689-1702) i Jerzego I Hanowerskiego (1714-1727), a w Polsce rządy Augusta II Wettyna (1697-1733) – jednakowo silnie fascynowała Londyn i Berlin. Po stronie Anglii ulegały jej w wieku XVIII osobistości takie jak John Stuart 3-ci jarl Bute (†1792), James Stanhope (†1721) i Philip Stanhope 4-ty jarl Chesterfield (†1773), razem z Williamem Pittem Starszym (†1778); w XIX – wspomniani już tu Castlereagh i John Russell, a zwłaszcza lord Henry Palmerston (†1865). Wśród zauroczonych nią po stronie niemieckiej wybijali się król Fryderyk II i kanclerz Otto Bismarck (†1898). I nie można by dziwić się im, skoro realizacji tej wizji, na przełomie XVII i XVIII wieku inicjowanej przewrotem w stosunkach nad Bałtykiem, jaki dopuścił Prusy do gry o prymat w Niemczech, zawdzięczał Berlin tytuł stolicy Drugiej Rzeszy, proklamowanej w roku 1871 w zdobytym Wersalu.

Realny w wieku XVIII – a w XIX już formalny – brak podmiotowej polityki polskiej w polityce europejskiej potęgował przedmiotowość *sprawy polskiej*, w procesie promującym, a potem konserwującym *Europę Wiedeńską*. Procesu tego nie powstrzymywały kolejne próby klientalnego związania *sprawy polskiej* z polityką głównych solistów wiedeńskiego koncertu. Ujawniała to jałowość *idei konserwatywnej* Adama Czartoryskiego (†1861), który *sprawę polską* podczas wojny krymskiej powierzył polityce angielskiej. Dowodziły tego nie tylko też fiaska prób ugody – od wigilii I wojny światowej podejmowanych w stosunku do zaborców ze stanowiska klientalnego – tak *konserwatystów* krakowskich wobec Austrii, jak warszawskich *realistów* wobec Rosji. Fiasko kończyło też rosyjskie próby ugody z Polską, podejmowane gdy Petersburg ważył się mijać z logiką wiedeńską. Próba ugody z Rosją poprzedzająca Powstanie Listopadowe (1830-1831) wynikała z inicjatywy rosyjskiej, nie Ksawerego Druckiego-Lubeckiego (†1846). Nie inaczej było z ugodą, jaką przed Powstaniem Styczniowym (1863-1864) firmował Aleksander Wielopolski (†1877). Z drugiej strony klęski obu, budzących uznanie liberałów w Anglii i z nimi całej Europy, Powstań – klęski tożsame z fiaskiem tak do nich kompatybilnych prób ugody – ukazały jałowość *idei liberalnej* niemniejszą od cechującej *konserwatywną*. Rzecz można by, że obie przeciwne idee stabilizowały *Europę Wiedeńską* jednakowo. Nie inaczej, niż czyniła to każda postawa klientalna, obojętnie do którego adresowała się „zbawcy”.

Nie dziwi przeto, że obie *idee* – *konserwatywna* i *liberalna* – zredagowane w formach przystępnych dla wyobraźni doby *fin de siècle*, stawiały opór myśli czerpiącej siłę nie z idei, a z doświadczenia. Z doświadczenia, jakie wskazało, że tylko podmiotowa polityka polska może inicjować proces, w którym *sprawa polska* zniknie z europejskiej sceny, a zastąpi ją na niej *polskie państwo*. Opór stawiany tej myśli złowroźny był tym bardziej, im bardziej oczywisty był dryf, jakiemu ulegała *Europa Wiedeńska* po zjednoczeniu Niemiec w ramach Drugiej Rzeszy. Zaslugą powołanej w roku 1893 *Ligi Narodowej* pozostaje przełamanie owego oporu i fakt, że żadna z obu postaw – ani *ugodowa*, ani *rewolucyjna* – nie uniemożliwiła ekspozycji postawy, której przyjęcie doprowadziło do przyznania Polsce miejsca po stronie zwycięskiej, na reasumującej wyniki I wojny światowej Konferencji Wersalskiej – sprawczyni już nowego modelu Europy. Tymczasem sam wybuch wojny – dla *sprawy polskiej* wymadlanej przez poetów romantyzmu – poprzedzała niepewność dorównująca wahaniom polskich opinii, co do słuszności postaw jej sugerowanych. Do wybuchu I wojny światowej dochodziło bowiem przy znacznej – tak po stronie *Ententy* jak *Państw Centralnych* – przewadze woli ratowania *Europy Wiedeńskiej* korektą, wyrównującą dysproporcje korzyści obu jej beneficjentów głównych, Anglii i Prus.

Jej ideę ukazują dwa elaboraty z czasów wojny – *Plan wrześnieowy* z roku 1914 niemieckiego kanclerza Bethmanna-Holwega (†1921) i *Mitteleuropa* z roku 1915 autorstwa pastora-polityka Friedricha Naumanna (†1919). Zakładały one utworzenie pod egidą Niemiec politycznego i gospodarczego bloku, z udziałem Austro-Węgier, krajów Beneluksu i państw bałkańskich, a obejmującego także Skandynawię i Turcję. Uzyskany przez to prymat Prus w Europie Środkowej wyrównywałby przewagę, jaką Francja czerpała z ekspansji kolonialnej – tolerowanej w jej przypadku przez Anglię, zaś nie tolerowanej przypadku Niemiec. Również w stosunkach Prus z Rosją niosłoby to korzyści obustronne. Za cesję na rzecz *Mitteleuropy*, wykrojonego w 1815 roku Królestwa Polskiego, byłaby Rosja nagrodzona udziałem w ekonomicznych zyskach z projektu, a zwolniona z tak kłopotliwej dla niej odpowiedzialności za część zagarniętych przez nią ziem Rzeczypospolitej. Co więcej, pozostawałoby to w zgodzie z dwuwiekową tradycją symbiozy Prus i Rosji, nie godząc w jej prestiż bałtycki i europejski, wróżąc zarazem łupy w okolicach Afganistanu i Zatoki Perskiej. Inaczej niż w Rosji – gdzie decyzji o wyborze koalicji układ sił wewnętrznych nie determinował do ostatnich chwil pokoju – przedstawiała się sprawa decyzji we Francji, gdzie świeża jeszcze była pamięć

klęski w wojnie z lat 1870-1871. Ale było niemożliwe, by Francja podjęła decyzję o wojnie z Drugą Rzeszą bez pewności, że Anglia nie zejdzie z drogi, na którą wkroczyła w latach 1904 i 1907, współtworząc *Entente*. Tymczasem wątpliwości w tej kwestii nad samą Tamizą raczej nie były inne, niż nad Newą.

Rzecz prosta, perspektywa realizacji projektu *Mitteleuropa* – od Przylądka Północnego po Bagdad – w świetle zasad przez politykę brytyjską przestrzeganych nader konsekwentnie od przełomu XVII i XVIII wieku, była dla Anglii złowieszcza tak jak i dla Polski. Jej realizacja, oznaczając zmianę obu wtedy otwartych perspektyw, bałtyckiej i czarnomorskiej, cofałaby w niebyt dotychczasowe zdobycze Anglii – osiągnięte wraz z rozwojem *kwestii wschodniej* w jej wymiarze określonym czworokątem już wspomnianym, z wierzchołkami w Konstantynopolu, Bagdadzie, Kairze i Jerozolimie. Poddając bowiem Prusom już całość południowego zaplecza Bałtyku, realizacja *Mitteleuropy* zamykałaby decydujący rozdział procesu *sprawy polskiej*.

Za niepodejmowaniem wojny i za wyjściem z niej, gdy już wybuchła, przemawiał nie tylko głos obrońców pokoju, w Londynie na pewno donośniej niż w Paryżu, czy w Berlinie i Petersburgu. Przede wszystkim działała dwustuletnia rutyna pojęć – o procesie europejskiej polityki z wyobrażeniem jego „logiki” i kulturowej misji Prus. Dawała o sobie znać w Paryżu mimo nauczerek jakie Francja już w wieku XVIII otrzymywała od Prus. Nie zaskakiwała więc w Anglii, gdzie zasiany jeszcze w wieku XVII fenomen kultu Prus wybujał pod panowaniem Domu Hanowerskiego, by – za królowej Wiktorii (†1901) – należeć do cnót warunkujących *political correctness*. Sentymenty takie sugerowały, że przyspawanie wspomnianego czworokąta do *Mitteleuropy* nie zmąciłoby – niejako rodzinnej – atmosfery stosunków londyńsko-berlińskich. Stąd dla sentymentów tych samych obrazą dotkliwą było przymierze Anglii z Rosją, w której właśnie górę brała myśl o zdobyciu Konstantynopola i odbudowie Polski z ziem wszystkich trzech zaborów – jako jej dwóch głównych celach wojennych. Co zresztą potwierdził car Mikołaj II (†1918), odrzucając pokojowe propozycje *Państw Centralnych*, na niecałe trzy miesiące przed rewolucją, która go pozbawiła nie tylko tronu, ale i życia. Pohamowanie sentymentu, jaki w Anglii osłabiał polityczną wolę udziału w wojnie, było chyba podobnie kłopotliwe, jak utrzymanie polskich aspiracji powstańczych w normie nie wykluczającej wytrwania Rosji w tej samej wojnie, i po tej samej stronie.

W grudniu 1916 roku, objęcie Foreign Office w koalicyjnym rządzie Lloyd George’a przez Balfoura – w wigilię przewrotu w Rosji, który zmniejszył nacisk na *Państwa Centralne* na froncie wschodnim – wskazywało, że urok

wiekowego modelu stosunków bałtyckich nad Tamizą słabnie. Deklarowana przez Balfoura w Izbie Gmin woła naprawy szkód, jakie Polsce wyrządził Fryderyk Wielki, wychodziła naprzeciw *polityce polskiej*, która dla partnerów z *Ententy* stawiała się na tyle miarodajna, by na *Konferencji w Wersalu* mogła działać z tytułu suwerenności Polski, już uznanego przez zwycięską koalicję¹⁶. Osobiście sprawowane przez Lloyd George’a kierownictwo delegacji brytyjskiej na *Konferencji wersalskiej* położyło się cieniem na późniejsze stosunki Polski i Anglii. Charakteryzującą je rezerwę powodowało nie tylko stanowisko premiera brytyjskiego w sprawie Gdańska – odmówionego Polsce pod jego wpływem – ale też recydywa sentymentu dla *Europy Wiedeńskiej*, jaka międzywojennej Anglii nie ominęła. Resentyment zaś ideologiczny przesłonił szerszy sens chwili, w której Balfoura i Dmowskiego połączyło zrozumienie – w incydencie na tle zjawisk bardziej powszechnych.

Zjawiska, o których była mowa, raczej umykają uwadze obserwatorów. Tymczasem stanowiły one reakcję na dobrze znany fenomen kulturowy, upamiętniony jako *fin de siècle*, którego apogeum nastąpiło – jak dobrze wiadomo – jeszcze przed I wojnę światową. Stąd *fin de siècle* – w przekładzie dosłownym: *koniec wieku* – to kontestacja świata stulecia mijającego, wtedy przeto świata XIX wieku, już w którym pojawiły się jej zapowiedzi. Świata, który miał sobie właściwe wyobrażenia – etyczne, estetyczne i polityczne – jak w każdej epoce odrębnej strojące specyficzny ton wyobraźni i jego wydźwięk w ludzkiej postawie. Jak uporządkowany świat wiktoriański dziewiętnastowiecznej Anglii, czy niespójny świat dziewiętnastowiecznej Polski. Z jednej strony świat permanentnego sukcesu politycznego i świat powtarzających się katastrof narodowych z drugiej – obydwie światy opatrzone szalunkiem *Europy Wiedeńskiej*. Tymczasem schyłek XIX wieku – świadek erozji tegoż szalunku elementów materialnych – był świadkiem kontestacji także jego składników duchowych. Szeroko pojęty *modernizm* brał na cel etyczne i estetyczne złogi w wyobraźni przesyconej *pozytywizmem* mijającej epoki, gdy do zjawisk zbyt rzadko rozważanych przez refleksję historyczną i politologiczną wypada zaliczyć przyptyw

¹⁶ Nie mógł tego zmienić nietakt, jakiego w kuluarach Wersalu dopuścił się premier Lloyd George, odwracając się plecami do Balfoura, chcącego go poznać z reprezentantem Polski, Dmowskim. Podobnie też zrozumieniu stanowiska Polski przez kierownika Foreign Office nie przeczy żaden z aktów jego solidarności na posiedzeniach Konferencji ze stanowiskiem Lloyd George’a, w praktyce dla niej zupełnie nieszkodliwych.

sceptycyzmu co do intelektualnych walorów modelu wiedeńskiego. Można by rzec, że ściszony głos tego sceptycyzmu, jak każdego zresztą, nie przebija się przez zgielek sporów idei – ignorujących jego przedmiot w przekonaniu, że dla ich sprawy nie jest on istotny.

Co oczywiste, kontestacja *Europy Wiedeńskiej* miała inne przyczyny i formy w Polsce, a inne w Anglii. W Polsce stanowiła ona *katharsis* rugujące z wyobraźni nawyk do widzenia *sprawy polskiej* w sposób, jaki dobór jej rozwiązań zamykał w dwu znanych i wykluczających się postulatach: *rewolucji* i *ugody*. Nadto dwa równie subiektywne problemy – *polskiej winy* i *polskiej niewinności*, w całym procesie klęski Pierwszej Rzeczypospolitej – swą jaskrawością moralną dodatkowo przesłaniały obiektywny kontur ogółu realiów europejskich. Zacierany, nie ułatwiał analizy ich genezy historycznej i aktualnego potencjału. Od czasu nieudanych prób reformy jeszcze za Pierwszej Rzeczypospolitej, przez sto lat z górą uniemożliwiał to wybór postawy i drogi, proporcjonalny do postaci czasu. Dokonany dopiero o zmierzchu *Europy Wiedeńskiej* wybór ów – w dzisiejszej świadomości historycznej zresztą raczej słabo obecny – wykluczał zarówno *ugodę* i *rewolucję*. Kierował zaś Polaków do pracy nad sobą. Do pracy, co ich budziła, gdy – według słów Dmowskiego – mówiąc, że marzą o odpoczynku na łonie Ojczyzny wolnej, odpoczywali jednocześnie na łonie zakutej w kajdany. Do pracy nad światem, jaki w *Lalce* odmalował Bolesław Prus (†1912), a jaki mistrz Dmowskiego, Jan Ludwik Popławski (†1908) – w pochlebnej recenzji arcydzieła – nazwał światem *marionetek*. Do pracy przeto, co świat marionetek stawiała na własnych nogach.

Perspektywa, którą Anglia zawdzięczała nie tyle położeniu na wyspie, ile pozycji jako głównej siły modelującej *Europę Wiedeńską*, ułatwiała bardziej obiektywną analizę sytuacji. Wyobraźnia modelująca realia kontynentalne i aprobująca je swoją redakcją wiktoriańską, u progu XX wieku stanęła przed problemem konserwacji tego, co pojmowała jako *równowagę kontynentalną*, gdy jednocześnie *uspaniałe odosobnienie* (*splendid isolation*) – jako brytyjski sposób bycia w relacjach europejskich – szansy jej utrzymania już nie rokowało. Sam proces zrozumienia zachodzących zmian i definicja zasad udziału w nich Anglii w obu wymiarach, kontynentalnym i globalnym, wszystko to wymagało wyobraźni już innej. Zdolnej sięgać poza granice poznawcze i etyczne, jakimi zasięg ducha wiktoriańskiego określił *utilitaryzm*, razem z wyrozumiałym dlań purytaniem. A zatem docierać do tej sfery dusz ludzkich, której nie molestują już zachcianki tego, co zdaje się *pożyteczne*, bo jest ona sferą, w której wolna wola wybiera to, co *śluszne*. Nieczuły na wdzięki

utylitaryzmu i metafizyk świadomy, że *filozofia może podcinać skrzydła aniołowi*, nie był przecież Arthur Balfour skłonny tę wyobraźnię już przebrzmiałą kontestować pod firmą *modernizmu*. Uznanego arbitra elegancji, ale subtel- nego analityka teorii poznania, oddalał Balfoura od niej jej *estetyzm*, negujący pierwszorzędność *Dobra i Prawdy*. Stąd nie przemawiał doń *liberalizm*, wpły- wowi modernistycznego *estetyzmu* poddawany właśnie wtedy. Pogląd, że *prze- sądy konserwatywne korzenia się w przeszłości wielkiej, a liberalne w przyszłości wymyślonej*, różnił Balfoura zarówno od liberałów, jak od tych konserwaty- stów, co myślą zwróconą w przeszłość sięgali ledwie *Chwalebnej Rewolucji* 1688 roku. Optymizm łączący tych drugich z radykalnymi liberałami, w kwe- stii możliwości utrzymania wiedeńskiego modelu i płynących zeń pożytków, przed wojną charakteryzował obóz obrońców pokoju, na poczesnym miejscu z Lloyd Georg'em, który w trzecim roku wojny mianowany został premierem rządu narodowego. Balfour, jeszcze za swego premierostwa w latach 1902- 1905 przekonany, że wojna jest nieunikniona, pod jej koniec obejmując Fo- reign Office, miał świadomość ograniczeń, jakie jego roli stwarzała przewaga premiera i stojących za nią opinii. Świadomości tej dał wyraz stwierdzając: *zawsze bardziej od wojny obawiałem się pokoju*.

Jako twór konferencji pokojowej zamykającej pierwszy w XX wieku konflikt globalny, *Europa Wersalska* stanowiła w istocie kompromis dwóch orientacji przeciwnych. Orientacji, jaka stosunki międzynarodowe podpo- rządkuje hegemonii stabilizowanej równowagą sił wyłącznie materialnych i orientacji chroniącej naturę tychże stosunków policentryczną i powierzającą ich stan równowadze ducha zbiorowości, które w nich uczestniczą. Pewność, że hegemon zrodzony z dążeń do hegemonii rodzi się już martwy, z czego więc pożytek czerpią jedynie akuszerzy – Balfour niechybnie posiadał. Kore- spondowała ona z doświadczeniem szkód zadanych Polsce przez hegemonię, a w Wersalu rewindykowanych przez Dmowskiego. Świadomości, jaka ich obu stawiała po stronie przeciwnej konserwacji *Europy Wiedeńskiej* nie była obca wiedza o przewadze, jaką posiadali jej rzecznicy. Przewagi tej dowiódł między innymi wpływ Lloyd George'a, zmieniający w Wersalu na niekorzyść Polski delimitację jej granicy z Niemcami, początkowo wynegocjowaną przez Dmowskiego przy wsparciu ze strony Balfoura. Przewaga orientacji idącej w sukurs systemowi zdezaktualizowanemu rozkładem *Europy Wiedeńskiej* i wojną, nie mogła wprowadzić powstrzymać orientacji, która promowała cha- rakteryzującą *Europę Wersalską*, formę policentryczną. Mogła jedynie osłabić, i osłabiła, opiniotwórcze i dyplomatyczne podstawy jej stabilności.

Na tym też polegał ów osiągnięty w roku 1919 w Wersalu kompromis obu orientacji. Orientacji, dla której hegemonia stanowiła wzorcowy model stosunków międzynarodowych, a która odpowiadała za wybuch wojny oraz orientacji, przed którą wojna, z jej rezultatami, otworzyła perspektywę odrodzenia tychże stosunków formy naturalnej, bo policentrycznej. Tymczasem kompromisowa istota decyzji przesądzających o kształcie pokoju nie stała się – jak wiadomo – czynnikiem jego trwałości. Osłabia tym samym koronny zarzut stawiany *Europie Wersalskiej*, że to właśnie jej model – jako decentralizujący decyzję polityczną w stosunkach międzypaństwowych – władzę decydowania o pokoju i wojnie przekazywał narodom, z natury rzekomo anarchicznym, przesądzając tym samym o wybuchu II wojny światowej¹⁷. Z drugiej strony, kompromis z 1919 roku skłania, by również i w nim poszukiwać przyczyn, dla jakich *Europa Wersalska* przed tragedią z lat 1939-1945 obronić się nie mogła. O chwili kompromisu, którego skutkiem były jej narodziny, nie można wszak powiedzieć, że stanowiła ona moment *wiosny narodów*, inaugurujący proces ich reform wewnętrznych i ich współistnienia. To, że w specyfice lat dwudziestych i trzydziestych XX wieku nie było dane *Europie Wersalskiej* w proces taki wejść, nie przeszkadza metaforze *przedwiośnia* w ujęciu warunków jej narodzin.

Ujęty taką metaforą ogół zjawisk definiujących położenie przed I wojną światową, w jej ciągu i w chwili jej militarnego rozstrzygnięcia, pozostawał okolicznością, która incydent porozumienia Balfoura i Dmowskiego determinowała obiektywnie. Natomiast subiektywnie determinował je znowu ów odruch wyobraźni, który myślą zwróconą w przeszłość pojmuje i kontestuje ujemne strony współczesności. Poruszona nim myśl dociera do ich przyczyn i do źródeł fenomenu innego jeszcze. Jest nim przetrwanie, we współczesności tej samej, stron nieco jaśniejszych. Stron, które nawet gdy przetrwały jedynie w postaci echa, zapisują fakty przytakujące przesądowi niejako średniowiecznemu, że raczej zawsze wola wybiera, co *śluszne*, póki w zgodzie ze swą naturą pozostaje *wolna*.

¹⁷ Niewydolność Ligi Narodów – powołanej do życia w czerwcu 1919 roku na konferencji w Wersalu, aby strzegła ustanowionego tam pokoju – nie brała się także ze słabości jej prerogatyw i procedur, ani z policentrycznej natury systemu, jaki został jej powierzony. Pochodziła głównie z dysproporcji między odpowiedzialnością, jaką brały na siebie narody stowarzyszające się w niej, a warunkami, w jakich przychodziło im wykonywać obowiązki stąd wynikłe. Warunki ustalone w jej *Statucie* nie rozwiązywały bowiem ani problemów, jakie stwarzały nierówności ich potencjałów, ani nie definiowały aksjologii, która stąd wynikające konflikty rozstrzygałaby miarodajnie – o ile normy jej zostałyby określone nauką płynącą z doświadczeń moralnych, nie zaś z ideologicznych teorii. Trudno oprzeć się wrażeniu, że od przełomu XX i XXI wieku Unia Europejska grzęźnie w dysproporcji podobnej.

Realizmu orientacji, której Balfour i Dmowski wydają się symbolami, nie dezawuuje niestabilność *Europy Wersalskiej*, podnoszona w obronie poglądu, że państwa narodowe do wojny skłania ich natura. Powierzenie straży powojennego pokoju orientacji alternatywnej – tej, która wojnę spowodowała i przegrała ją – na pewno nie byłoby przejawem realizmu. Do odbudowy *Europy Wiedeńskiej* nie mogła wystarczyć nostalgia, jaką budziło wspomnienie *pięknej epoki* i *fin de siècle*, ani też cały zapal, z jakim rebelia sporej części europejskiej elity intelektualnej gotowała drogę znanemu zjawisku, w którym José Ortega y Gasset (†1955) dostrzegł *rebelię mas*. Po stronie uczestników pierwszej ze wspomnianych rebelii nie brakło, co prawda, zrozumiałej sympatii dla *Europy Wiedeńskiej*. To jej klimat – indyferentny wobec tradycji – sprzyjał *eventom* artystycznym i filozoficznym, jakie modernizowały wyobraźnię Europejczyków rugując z niej jej oryginalną intuicję, potwierdzającą fundamentalną jedność realiów *Prawdy*, *Dobra* i *Piękna*. Jednak zapal ów – w warunkach międzywojennych – służyć mógł nadal jedynie stylizacji medialnego szumu¹⁸. Szumu, co – by podważyć autorytet *Europy Wersalskiej* – gdzieś niedługo znieczulał na sygnały totalitaryzmu, a gdzieś niedługo budził nimi ekstazę.

Dramaturgii momentu, w którym zwrot myśli w przeszłość zainspirował orientację promującą Europę policentryczną, nie komponował więc kontrast, jaki czasem dystansuje urodę wizji od wymagań chwili. Widniejący bowiem w obrazie tej chwili dystans rozdzielał dwa inne wątki dramatu. Z jednej strony wątek spuścizny czasu, który w momencie tym upływał, a z drugiej zagadkę stawianą przez czas w nim inaugurowany. Rozmiaru zagadki dowiodła odpowiedź na nią, to jest doświadczenie XX wieku. W momencie poprzedzającym wybuch I wojny światowej orientacja policentryczna stała w obliczu zagadki więc niemałej. Działo się tak nadto przy ogólnej konfuzji, wywołanej refleksją nad spuścizną epoki, którą otworzyło owych kilkanaście lat przełomu XVII i XVIII wieku.

Refleksja w momencie zawieszonym między czasem przeszłym i przyszłym, wszędzie i zawsze uzasadniona, wtedy musiała konfundować całą Europę. Każdy bowiem z jej narodów miał swój udział w procesie dokonującym się w wie-

¹⁸ Szum ten, charakterystyczny dla debat w zwłaszcza lewicowych środowiskach całej Europy międzywojennej, w Polsce wywierał wpływ raczej słaby, z uwagi na miejscową tychże środowisk nikłość; daleko poważniejszy był w Anglii, gdzie – jak zauważył George Orwell (†1950) charakteryzując środowisko *Bloomsbury Group* – uzyskali go ludzie cieszący się *bez troską, pieniędzmi, bezpieczeństwem, wolnością poglądów, a nawet większą swobodą moralną oraz możliwościami, jakich świat jeszcze nie oglądał*.

kach XVIII i XIX, a wypełniającym epokę, właśnie zamkniętą wybuchem wojny. Każdy też z nich, także te, które wojna ominęła, miał własne powody konfuzji wywołanej lokalnym odbiorem tego samego aktu globalnego, jakim był koniec epoki, której racje istnienia i rozwoju zdawały się niewyczerpane. Sądzić można, że skrajne granice wyboru lokalnych smaków tych konfuzji wyznaczył serwis – jeśli tak rzecz wypada – dwu kuchni, angielskiej i polskiej. W przypadku pierwszej z nich była to konfuzja wywołana zderzeniem tęsknoty za *Anglią wesolą* (*Merry England*) – narastającej zbieżnie z ewolucją narzuconą Anglii procesem, który modernizował ją przez lat dwieście, położywszy kres tamtej. W drugim przypadku, konfundował rozdźwięk sasko-stanisławowskich nawyków z oczywistością nakazów chwili, dyktowanych realiami wyśnionej wojny ludów.

Konfuzja taka została oszczędzona myśli, jaka bieg historii zorientowała ku Drugiej Rzeczypospolitej i *Europie Wersalskiej*, dzięki refleksji wcześniejszej, zawczasu rozliczającej epokę pocztą nad Bałtykiem w latach 1696-1717. Sprawdzona sposobem tym efektywność retrospekcji historii skłania, by ciągnąć ją jeszcze dalej wstecz. Chociażby dla zaspokojenia ciekawości, czy też po to, aby zyskać dystans współmierny do zagadki, jaką kryje przyszłość w początkach wieku także XXI.

Rozdział IV

Na drodze donikąd (1697-1717)

Doprawdy mało jest w historii zwrotów równie brzemiennych jak ten, który w latach 1696-1717 stał się udziałem Polski. Oto lat ledwie nieco ponad dwadzieścia wystarczyło, by Rzeczpospolita straciła zarówno miejsce w pierwszym rządzie państw Europy – zajmowane w Nowożytności wcześniejszej – jak i swoją kondycję wewnętrzną, która pozwoliła je utrzymywać aż dotąd. Właśnie wydarzenia tych lat przesądziły o obrazie całej epoki sasko-stanisławowskiej i jej bilansie w postaci ostatecznej utraty państwowości, w roku 1795.

Tymczasem owych dwadzieścia jeden lat spowija dyskrecja szczególna. Dotyczy ona nie tyle toczonych w nich rywalizacji o wpływ polityczny i związane z nim korzyści majątkowe, czy związków jakie współzawodników łączyły z zagranicą. Wszystko to jest znane raczej dość nieźle. Dyskrecja obejmuje natomiast realia, w których zachodzący wtedy proces, ukazał swą wyjątkowość.

Są to realia przewrotu w stosunkach wewnętrznych Pierwszej Rzeczypospolitej oraz realia związku tego przewrotu z realiami koniunktury zewnętrznej. Wyjątkowość procesu nie polegała ani na rozmiarze wewnętrznych tarć i ich inspiracji z zagranicy, ani nie wynikała ze zmęczenia, jakie mogło ogarnąć kraj osierocony przez króla Jana III – podczas nadal toczącej się wojny z Turcją. Nic z tego nie było pierwszoznaczną dla państwa, które z podobnych prób – i nie w innym oprządkowaniu ustrojowym – wychodziło bez szwanku nieraz. Bez wątpienia nie był też nowiną zasięg obrotu koniunktury międzynarodowej, dokonujący się w tych samych latach, a układowi sił na Kontynencie nadający stosunki, do dzisiaj nieprzewyciężone do końca. Przy równie dalekosiężnych obrotach poprzednich Rzeczpospolita przecież autorytet swój umacniała. Dyskrecja osłaniająca realia przyczyn klęski państwa w latach 1696-1717 jest nieuzasadniona przede wszystkim z uwagi na jej doniosłość podwójną. Albowiem klęska ta, wykołejając proces historii narodowej w progowym momencie historii powszechnej, w niemałym stopniu zaważyła na dziejowym bilansie całej Europy Nowożytnej.

To lata 1696-1717 stanowiły próg, do którego Europa zbliżała się przez dwa pierwsze wieki nowożytnie – XVI i XVII – stopniowo zbaczając z trajektorii, na jaką ją wyniosły impulsy kulturowe Renesansu. Z tego też progu weszła Europa w Oświecenie, otwierając dwa kolejne wieki Nowożytności – XVIII i XIX – poddana impulsom kulturowo już innym. Ujmując rzecz najogólniej, w sferze polityki sprowadzała się ona do odmienności imperatywu motywującego praktykę polityczną i refleksję nad nią. Jej renesansowy imperatyw *etyczno-prawny* ustąpił oświeceniowemu imperatywowi *ideologiczno-scjentystycznemu*. Dokończyło się to zbieżnie z postępującą i nader istotną zmianą choreografii obu procesów polityki – polityki wewnętrznej i polityki międzynarodowej.

Zgodne bowiem z renesansowym hasłem odrodzenia Antyku, próby *republikanizacji* monarchii europejskiej – w XVI i XVII wieku widoczne na omal całym Kontynencie – ulegały załamaniu właśnie wtedy. To u schyłku panowania Ludwika XIV (†1715) Francja weszła w apogeum *monarchii absolutnej*. To z chwilą śmierci Jana III wzorcowa dotąd *monarchia republikańska* Polski wkroczyła w apogeum destrukcji jej *ustroju mieszanego* – owocu reformy zaczętej dwa wieki wcześniej. Podczas gdy wędnał na Kontynencie, w Anglii zmuszony został *republikanizm* do żalosnego kompromisu z nietolerancją – wcale nie tylko wyznaniową – skoro zyskała ona rangę zasady poprawności właśnie politycznej¹⁹. Analizy wzajemnych stosunków państw Europy No-

¹⁹ Trudno przecież ustawy *Act of Settlement* z 1701 roku, wykluczającej od następstwa na tronie katolicką gałąź dynastii panującej w monarchii dziedzicznej – jaką w Anglii byli Stuartowie – nie uznać za zwieńczenie całego szeregu wcześniejszych ustaw dyskryminujących katolików politycznie, jak i za przesłankę praktyki politycznej, przestrzeganej w wiekach następnych – także po złagodzeniu ustawodawstwa (wprowadzanym od schyłku lat 20-tych XIX wieku). Trudno też lekceważyć wpływ, jaki praktyka ta wywierała na specyfikę używania swobody kształtowania i wyrażania opinii politycznej, także w ówczesnych mediach wizualnych, cenzurowanych z urzędu lorda-szambelana. Nader trudno nie dostrzec cienia ludobójstwa, jaki na *Chwalebną Rewolucję* 1688 roku – która tron Jakuba II Stuarta oddała Wilhelmowi Orańskiemu – rzuca masakra klanu MacDonald w Glencoe dokonana w roku 1692 ku przestrodze opinii obalonemu rządowi przychylniej, nadal długo jeszcze dominującej w podziemiu. Jeszcze trudniej nie zauważać dysonansu, jaki przez to deformuje optymistyczny wydźwięk samego ustrojowego dorobku ustawy *Bill of Rights* z 1689 roku, utrudniając rozpoznanie głosów, jakie – obok głosu wyznaniowych uprzedzeń – uczestniczyły w kompromisie, którym ustawa ta była w istocie. To znaczy głosu, jaki rywalizacji politycznej w Anglii Stuartów nadawał ton zbliżony do tonu znanego z batalii o *egzekucję praw* w Polsce za dwóch ostatnich Jagiellonów, która tu jednak obyła się bez wojny domowej. Pobrzmiewa on i w innych analogiach obu procesów konstytucjonalizacji monarchii. Choćby ustawa *Bill of Rights* ma w procesie angielskim znaczenie podobnie reasumujące, jak *Artykuły Henrykowskie* z 1573 roku w polskim; tyle że te drugie poprzedziła – w roku tym samym – ustawowa gwarancja swobody wyznania.

wożytnej – historyczne i politologiczne – jak dotąd raczej nie uwzględniają faktu zachodzącego wówczas odpływu tendencji republikańskiej w planie kontynentalnym. Tymczasem rola renesansowego impulsu w krystalizacji nowożytnych państw narodowych nie wyczerpuje się w sferze ich kondycji wewnętrznej. Wydaje się, że wpływał on również na proces krystalizujący realia, jakie stanowiły kondycji tej skutek zewnętrzny. To jest na proces krystalizujący postać ich stosunków wzajemnych.

Wyjaśniałoby to skuteczność – zrazu znaczną, a stopniowo malejącą – z jaką Europa XVI i XVII wieku oparła się próbom implementacji hegemonii, najpierw ze strony Cesarstwa, a potem Francji. Zbliżałoby też genezę fenomenu, uderzającego z obrazu Europy wieku XVIII i XIX. Fenomenowi więc hegemonii skutecznej, choć wcale nie ostentacyjnej, a w istocie nawet dyskretniej, której poddany wówczas był cały Kontynent, a którą sprawowała Anglia. Nadto hegemonii nie tylko życzliwej dla monarchii, których ustrój – jak w przypadku Prus i Rosji – był obelgą dla rządu legitymizowanego duchem *Bill of Rights*, ale też nie naznaczonej lękiem, że osłabić ją mogą próby tegoż ducha przejścia przez pokonaną rywalkę Anglii – Francję. Otóż skuteczność hegemonii, o której mowa, zdaje się brać z niedostatku odzewu, jaki mógł dać odpowiedź kulturowym impulsom Renesansu. Odpowiedzialność za ów niedostatek obciąża głównie ich adresatkę naturalną. To jest elitę polityczną państw Kontynentu, z rozmaitych powodów marginalizującą środowiska republikanizmowi wierne – każde na swój sposób – w progowej chwili przełomu dwóch tak różnych epok Nowożytności.

Nie zawsze przecież przyczyna leżała w terrorze dopełniającym zamach, jakim było w istocie przejście władzy przez Wilhelma Orańskiego w Holandii w roku 1672, widokiem zwłok przywódców stronnictwa republikańskiego – Jana i Cornelisa de Wittów – zlinczowanych i na hańbiący pokaz wywieszonych głowami ku ziemi. Dany ku przestrodze republikanom, nie zmniejszył wprawdzie zasięgu oddziaływania republikanizmu, ograniczył on jednak siłę jego wyrazu politycznego. Szalę na korzyść oranżystów przesądziła przecież zdrada w szeregach republikańców, jakiej dopuścił się Gaspar Fagel (†1688), następcą Jana de Wittta na urzędzie wielkiego pensjonariusza. Przewagę oranżystów nad republikanami zmniejszył z kolei kryzys spowodowany kosztem wyprawy księcia Wilhelma po koronę Anglii – sfinansowanej przez rząd pod hasłem solidarności wyznaniowej z brytyjskimi purytanami. Niemniej rząd, na czele którego od 1689 roku aż po dzień swej śmierci stał Anthonie Heinsius (†1720) zdołał również po śmierci Wilhelma III (rok 1702) utrzymać politykę Holan-

dii w normie oranżystowskiej. Był to fakt determinujący postawę obu państw w brzemennym momencie polityki europejskiej. W równym przecież stopniu wpływał on też na klimat, w jakim – właśnie wtedy – dojrzewała tożsamość polityczna partii *wigów*, duchowi republikanizmu wychodząca naprzeciw zale-dwie pozornie. Właściwa tożsamości tej dbałość o autorytet Parlamentu w rela-cjach z Monarchą, z duchem republikańskim nie kłóciła się podobnie, jak nie kłóciła się z nim dbałość ich rywali – *torysów* – o analogiczny autorytet Monar-chy; wszystko to w ramach aprobowanego przez obie partie, systemu konstitu-cyjnego. Obcy duchowi republikanizmu był nie mniej właściwy *wigom* eksklu-zywizm konfesyjny, z racji wyznania wykluczający udział w sprawach państwa niemałej części obywateli. Trudno oprzeć się wrażeniu, że ów nietolerancyjny ekskluzywizm nazначzył program liberalny, u kolebki którego – w *Green Rib-bon Club* – emanował jeszcze za króla Karola II (†1685), także z osobowości tak prominentnej, jak sir Anthony Ashley Cooper 1-y jarl Shaftesbury (†1683), jeden z ojców-założycieli partii. Nie da się też ukryć, że *Glorious Revolution* – odbierając tron Jakubowi II (†1701) i osadzając na nim Wilhelma Orań-skiego – acz otworzyła kilkunastoletni okres supremacji *wigów*, to jednak nie nadała ich supremacji charakteru mieszczącego się w pojęciu republikanizmu.

Inny czynnik marginalizował tendencję republikańską, gdy ujawniła się we Francji zbieżnie z rozczarowaniem usługami, oddanymi polityce kardynała Richelieu (†1642) przez kalwiński *network*, zintegrowany przy dyna-stii Orańskiej i spadkobiercach palatyna Renu, Fryderyka V Wittelsbacha (†1632). Czynnikiem tym była pustka polityczna, towarzysząca grze o wpływ u schyłku rządów Ludwika XIV. Grze, w której po jego śmierci zwyciężył książę Filip Orleański (†1723) – jego bratanek i regent przy małoletnim Lu-dwiku XV (†1774), a syn wnuczki palatyna Fryderyka V, księżnej Elżbiety-Szarloty Wittelsbach-Simmern (†1722).

Znamienny był polityczny koloryt strony tu przegranej. Obecność Fénelona (†1715) – duchownego, który wierność Rzymowi godził z obroną *republika-nizmu* w swych *Przygodach Telemacha* (1699) – emanowała rzetelnie chrze-ścijańskim zrozumieniem dla kalwinistów, po odebraniu im wyznaniowych swobód edyktem z 1685 roku²⁰. Przyjaźń ze strony markizy de Maintenon

²⁰ Prawdopodobnie, obok innych względów, *Edykt z Fontainebleau* mógł też mieć źró-dło we wrogości, jaką czołowy patron kalwinizmu tej doby, Wilhelm Orański przez całe trzydzieści lat swoich rządów w Holandii okazywał Ludwikowi XIV, choć przecież to fran-cuskiej inwazji na Holandię zawdzięczał sukces przewrotu, który w roku 1672 poddał mu Zjednoczone Prowincje.

(†1719) – morganatycznej małżonki Ludwika XIV, a katolicki głębokiej wiary – korespondowała z rezerwą tego środowiska wobec roszczeń króla w stosunku do Palatynatu, inspirowanych roszczeniami jego bratowej; nie mąciła również harmonii w obliczu sprawy *sukcesji hiszpańskiej*, popieranej tu zgodnie. Przede wszystkim jednak integrowała je wola reformy państwa – poprzez odejście od *monarchii absolutnej*, a przyjęcie *ustroju mieszanego*. Taką przecież wolę wyrażał memoriał *Les Tables de Chaulnes*, który wspólnie z Fénelonem opracowali diukowie Charles-Honoré de Chevreuse (†1712) i Paul de Beauvilliers (†1714). Z pewnością też nie była to wyłącznie wola politycznej elity, tym sposobem diagnozującej stan i potrzeby państwa. Z pewnością niemniejszą był to również wniosek z doświadczeń będących udziałem czynników o szerszym zasięgu społecznym, a które w środowisku tym miały swoją reprezentację. Łączyli się w niej prawnukowie uczestników szesnastowiecznej *Ligi Katolickiej* z wnukami tych, co obóz Reformacji opuścili jeszcze przed odwołaniem *Edyktu z Nantes*; nie brakło w niej dziedziców tradycji rebelii antyabsolutystycznej, jaka w dobie *Frondy*, w latach 1648-1653, zjednoczyła arystokratów i mieszczan. Już więc pierwszy rzut oka przekonuje, że środowisko, o którym mowa, reprezentowało w istocie całą kulturalną Francję przełomu XVII i XVIII wieku. Fakt, że jego los powielił los memoriału, jaki był jego manifestem, miał źródło w dystansie między sceną polityczną we Francji, a jej widownią.

Sceną taką był – jak wiadomo – Dwór. Na nim to książę Filip Orleański, jeszcze nim jesienią 1715 roku objął regencję po śmierci Ludwika XIV, prowadził grę z frakcją, właśnie której entuzjazm budziły poglądy wyrażone w *Les Tables de Chaulnes*. Rzecz prosta, frakcji tej nie izolowała jej postawa religijna. Inwektywa *partia dewotów*, z pomocą jakiej stronnicy księcia Orleanu – ostentacyjnego ateisty – chcieli ją ośmieszyć, miała wówczas jeszcze zasięg ograniczony do mniej wybrednych dworaków świeckich, jako i duchownych. W środowisku integrującym osobowości Fénelona i pani de Maintenon raczej nie panował nastrój kojarzony niekiedy z inkwizycją, nie mówiąc już o włościanach²¹. Nadawały mu przecie ton miejsca takie jak zamek w Sceaux, gdzie diuszesa Luiza du Maine (†1753), żona diuka Ludwika-Augusta (†1736) – syna Ludwika XIV i pani de Montespan, wychowanego przez panią de Maintenon

²¹ Pewne rozluźnienie obyczajów było udziałem również i tego środowiska, które podobnie jak i środowiska inne, tak właśnie rekompensowało sobie różne niedostatki komfortu, pochodzące ze specyfiki życia dworskiego, czy z konsekwencji małżeństw planowanych z lekceważeniem obciążeń dziedzicznych, z pogranicza psychopatii. Nie mogło ono jednak konkurować ze swobodą w tej sferze, z którą Regent obnosił się równie, jak ze swoim ateizmem.

ulubieńca króla – aranżowała wydarzenia artystyczne, upamiętnione jako *Les Grandes Nuits* i gdzie ogniskowało się życie literackie. Tu debiutował dwudziestoletni Wolter i niejako stąd w roku 1717 trafił do Bastylii za godzące w Regenta pamflety. Zapewne ponuractwem i niedosytem intelektualnym nie raził salon księżnej Marii-Adelajdy Sabaudzkiej (†1712), żony Ludwika diuka Burgundii (†1712) – przez niespełna rok następcy tronu po Ludwiku XIV. *Les Tables de Chaulnes* zostały dedykowane właśnie mężowi owej wrażliwej i pięknej księżniczki, jako następcy tronu Francji. Klimatu *partii dewotów*, raczej pogodnego, zapewne nie mąciły zabiegi formacyjne, którymi Fénelon, w duchu swojej rozprawy *Rachunek sumienia króla* (*Examen de la conscience d'un roi*), korygował poglądy młodzieńca trudnego, jakim był zrazu diuk Burgundii. To właśnie z księciem Ludwikiem oraz jego małżonką związały się nadzieje, rozwiane przez odrę i śmierć obojga w drugiej dekadzie lutego 1712 roku. Nie minęło trzy i pół roku, a dystans oddzielający francuską widownię polityczną od sceny w Wersalu – w wyniku absencji Stanów Generalnych, nie zwoływanych od lat stu – umożliwił zamknięcie owego republikańskiego epizodu.

Uczynił to Filip Orleański objąwszy regencję nad pięcioletnim Ludwikiem XV (†1774) – sierocie po Ludwiku Burgundzkim i Marii-Adelajdzie Sabaudzkiej – obalając testament, w którym kierownictwo regencji zmarły król oddał diukowi Ludwikowi-Augustowi du Maine. W zabiegu takim, niewykonalnym bez udziału parlamentu paryskiego, który posiadał właściwe tu kompetencje sądowe, wygrał książę Filip to, co było do wygrania w grze głównych aktorów politycznej sceny. Reaktywując zniesione przez Ludwika XIV prawo parlamentów do odmowy rejestracji edyktów królewskich, pozyskał sobie forum prawne, niezbędne do zalegalizowania wyniku starcia głównych frakcji dworskich. Był to wynik pomyślny nie tylko dla niego, ale i dla pani de Montespan, a przede wszystkim dwu cór zmarłego króla, Franciszki-Marii (†1749) i Luizy-Franciszki (†1758), z których obie, acz nie znosiły się szczerze, pozostawały zgodne w przywiązaniu do matki i w niechęci do rodzonego brata, diuka du Maine oraz w nienawiści do pani de Maintenon. Męża pierwszej z sióstr – którym był sam Filip Orleański – parlament zatwierdził tedy jako regenta, a synowi drugiej – Ludwikowi-Henrykowi Kondeuszowi (†1740) – oddał czyisto honorowy urząd przewodniczącego rady regencyjnej. Objęcie przez księcia Filipa obu stanowisk, które Ludwik XIV przeznaczył diukowi Ludwikowi-Augustowi – bo z regencją także dowództwa królewskich wojsk przybocznych – odbyło się w nastroju odnowy postulowanej w *Les Tables de Chaulnes*. Pogłoski o rychłym zwołaniu Stanów Generalnych zapewne usprawiedliwiały

ów nastrój. Na wrażenia widowni nie mogła pozostawać bez wpływu reforma, jaką książę Regent zdawał się likwidować absolutystyczny system władzy, przez powołanie kolegialnego rządu *polisynodii*.

W nastroju, który zdawał się więc potwierdzać zwycięstwo sprawy bliskiej ogółowi, znaczenie drugoplanowe w obrazie stanu rzeczy mogły przybierać fakty w istocie pierwszorzędne. Była takim faktem nie tylko dymisja diuka du Maine, przywódcy stronnictwa reformy ustroju i jej gwaranta, po śmierci księcia Burgundii. Faktami o znaczeniu wykraczającym poza chwilowe zresztą bytowanie *polisynodii*, były nominacje jej składu, dobrego przez regenta. Radzie do spraw wewnętrznych przewodniczył syn pani de Montespan z jej małżeństwa, Louis-Antoine de Pardaillan diuk d'Antin (†1736). Z likwidacją dotychczasowego urzędu sekretarza stanu dyplomacją Francji przestał administrować, urzędujący od 1697 roku, Jean-Baptiste Colbert markiz de Torcy (†1746). Jego obaj następcy – Nicolas Chalon du Blé (†1730) i Guillaume Du Bois (†1723) – przewodnictwo Rady do spraw zagranicznych obejmowali po powrocie z ambasad w Anglii; drugi z nich czyniąc to po drodze do stanowiska pierwszego ministra, po likwidacji *polisynodii* w roku 1718 powierzonego mu przez regenta. W Radzie do spraw religii debiutował zaś inny pierwszy minister Francji, kardynał André Hercule de Fleury (†1743).

Rozwianiu tym sposobem francuskich nadziei republikańskich towarzyszył też zwrot w polityce zagranicznej Francji. Książę-regent Filip Orleański i jego ludzie wyszli bowiem w latach 1715-1723 naprzeciw polityce angielskiej, którą kierowali kombatan ci sprawy orańskiej, wigowie James Stanhope (†1721) i John Dalrymple (†1747), a której wypełniające omal całą drugą ćwierć XVIII wieku rządy Roberta Walpole'a (†1745) w istocie nadały jedynie ciągłość. Do spotkania Francji i Anglii obrazującego radykalną zmianę w kontynentalnym układzie sił, doszło jesienią roku 1716, w trzy lata po pokoju, jaki z końcem wojny o sukcesję hiszpańską zawarły one w Utrechcie. Co jasne, jako akt obustronnej woli współpracy, nie stanowiło ono w ich stosunkach nowości. Już zawarty w październiku 1698 roku *Traktat Haski*, jak też jego modyfikacja *Traktatem Londyńskim* z marca 1700 roku, ujawniały możliwość koncyliacji polityki orańskiej z polityką Wersalu, w otwierającej się sprawie sukcesji po ostatnim królu z hiszpańskiej linii Habsburgów²².

²² Odnieść przecież można wrażenie, że w obu przypadkach większy wpływ na porozumienie miały rozmowy, jakie Hans William Bentinck 1-y jarl Portland (†1709) prowadził z diukiem de Tallard (†1728), niż odbyte przezeń z markizem de Pomponne (†1699) oraz z zięciem tegoż – sekretarzem stanu do spraw zagranicznych, markizem de Torcy.

Nie do końca chyba jednak słuszny byłby sąd, że decydująca o zmianach orientacji wola monarchy absolutnego pozostawała tu w istocie wolą wolną, oraz że za orientacją przyjętą przez nią trwał wyłącznie polityczny realizm i wzgląd na rację stanu. Okolicznością, która na kierunek polityki zewnętrznej wywierała tu wpływ znaczny, był – tak jak w przypadku wewnętrznej – stan gry na politycznej scenie Dworu. Główny na niej aktor – przez pięćdziesiąt cztery lata swych rządów osobistych (1661-1715) – to oczywiście sam król. Rzecz w tym, że zachodząca w ciągu ponad pół wieku wymiana pozostałych bohaterów na tej scenie, tylko w niewielkim stopniu zmieniała historyczną i polityczną dramaturgię położenia Ludwika XIV – w porównaniu z obrazem z lat osiemdziesiątych XVII wieku. W obrazie tym król trwa pomiędzy dwiema damami, z których każda symbolizuje jedną z obu głównych sił konfrontowanych w nader brzemiennym konflikcie europejskim, *Wojnie Trzydziestoletniej* (1618-1648). Starsza z dam, to wspomniana już Elżbieta-Szarlota Wittelsbach palatynówna Renu, od roku 1675 bratowa króla i matka Filipa Orleańskiego, przyszłego regenta. Młodsza – Maria Anna Wittelsbach (†1690) księżniczka Bawarii – to synowa Ludwika XIV, zaślubiona w 1680 roku Wielkiemu Delfinowi Francji i matka zmarłego w roku 1712 diuka Burgundii. Pierwsza była wnuczką palatyna reńskiego Fryderyka Wittelsbacha, jednego z przywódców obozu kalwinistów w *Wojnie Trzydziestoletniej*, natomiast przywódca katolików w tej samej wojnie, elektor Maksymilian I Wittelsbach (†1651), był dziadkiem drugiej²³.

Ogarniający cały Kontynent konflikt dwóch środowisk poróżnionych tak głęboko, nie stracił bowiem swego wpływu na decyzje polityczne po zawarciu *Pokoju Westfalskiego* (1648) i zwrocie Palatynatu Renu potomkom Fryderyka V Wittelsbacha, oraz uznaniu niezawisłości Zjednoczonych Prowincji Niderlandów przez Madryt. Więzy wyznaniowe – osnowa konfliktu – bynajmniej nie utraciły swych reprezentacji na dworach Europy. Jako czynnik gry – zarówno czynny jak bierny – na dyplomację europejską wywierały one swój

²³ Niewątpliwie uplasowanie „Króla-Słońce” właśnie w tej konstelacji stanowiło okoliczność wpływającą na jego decyzje w stopniu poważniejszym, niżeli jego miejsce w konstelacji konfigurowanej przez jego pierwszą żonę królową Marię-Terese Habsburżankę (†1683) i panią de Montespan. Ta druga konstelacja, na pewno bardziej widowiskowa i w historiografii spopularyzowana lepiej, z pewnością wpływała na stosunki Francji z Hiszpanią. Tymczasem wpływ pierwszej obejmował decyzje dotyczące europejskiej polityki Ludwika XIV, w której więc od *Pokoju Pirenejskiego* (1659) po wybuch *wojny sukcesyjnej hiszpańskiej* (1701), Madryt bynajmniej nie tkwił na pierwszym planie, poza rocznym epizodem *wojny dewolucyjnej* (1667- 1668).

wpływ z siłą znów rosnącą, wkrótce po zamknięciu dwóch innych konfliktów, rozpętanym zresztą jeszcze przed *Wojną Trzydziestoletnią* (1618-1648). To jest zamkniętego *Pokojem Pirenejskim* konfliktu Hiszpanii z Francją, oraz konfliktu Polski i Szwecji, zakończonego rok później *Pokojem Oliwskim* (1660). Układ sił ukształtowany w wyniku wymienionych konstrukcji pokojowych, raczej nie pomnożył na tyle potencjału politycznego Francji – ich współtwórczyni – by można było mówić o zaspokojeniu ambicji jej przywództwa. Wydaje się, że system proklamowany traktatami z lat 1648-1660, cechowała raczej równowaga – odzyskana po kolejnych próbach jej podważenia, nie bez udziału właśnie Francji, jakie jeszcze u progu XVII wieku zainaugurował diuk de Sully (†1641). Już dokonany w latach 1667-1668 atak Francji na Hiszpanię można uznać bardziej za banalną próbę wykorzystania chwilowego osłabienia tej drugiej, niżeli adresowaną do reszty partnerów demonstrację możliwości dyktatu na skalę kontynentalną²⁴. Równowagę – o której mowa – tym bardziej niszczyły obie kolejne agresje Francji – już wspomniana wojna narzucona Holandii w latach 1672-1678 i *wojna palatynacka* z lat 1688-1697²⁵. W tej ostatniej, przeciwko Francji stanął nie tylko zaatakowany bezpośrednio książę Filip Wilhelm Wittelsbach (†1690) – z katolickiej linii na Neuburgu, który zajął Palatynat na mocy woli ostatniego dziedzica z linii

²⁴ Taką wymowę *wojny dewolucyjnej* potwierdza automatyzm reakcji na agresję francuską, integrującą alians Anglii, Holandii i Szwecji, którego nacisk skłonił Francję do przyjęcia *Traktatu Akwizgrańskiego* (maj 1668), jaki oddał wprawdzie część jej zdobyczy we Flandrii (wchodzącej do Niderlandów Hiszpańskich), ale zobowiązał ją do zwrotu zajętej części Burgundii (Franche-Comté). Nadto napaścią na Hiszpanię król Ludwik nie tylko ułatwił koncyliację tejsze z Portugalią *Traktatem Lizbońskim* (luty 1668) podpisanym przez regenta (a od roku 1683 króla) Piotra II (†1706), ale też zwiększył w Lizbonie mir dyplomacji Anglii, zasłużonej przy jego zawarciu.

²⁵ Pierwsza z nich, zabójcza dla rządzącego Holandią i przyjaznego Francji stronnictwa republikańskiego, choć mocą negocjowanego przez rok *Traktatu z Nijmegen* (październik 1689) uznała część roszczeń Wersalu w Niderlandach Hiszpańskich oraz do Franche-Comté, to przecież doprowadziła do zwrotu Holandii (rządzonej już wszak przez księcia Wilhelma Orańskiego) zajętego wcześniej Maastricht; wzmacniała nadto wpływ stronnictwa orańskiego tak w Holandii jak w samej Anglii. Agresja druga, motywowana roszczeniami bratowej Ludwika XIV, księżnej Elżbiety Szarloty, do Palatynatu Reńskiego (po jej bracie, ostatnim z linii Fryderyka V Wittelsbacha), wszczęta z wrześniem 1688 roku, dwa miesiące przed desantem Wilhelma Orańskiego w Anglii, stanowiła zwrot zabójczy dla rządów Jakuba II Stuarta, od przymierza z którym król Francji odstąpić nie miał woli, lecz uczynić to musiał, co symbolicznie przykry dlań wyraz miało w fakcie, że to książę Wilhelm już jako król Anglii, był gospodarzem otwartej w maju 1697 roku konferencji pokojowej w Rijswijk, która – po ośmiu latach zmagania jakie Francji nie przyniosły chwały – nakazała Ludwikowi zwrócić wszystkie zdobycze, poza ponownie zajętym Franche-Comté.

kalwińskiej, z gwarancją, że zapewni poddanym wolność wyznania – i cesarz z wiernymi mu książętami Rzeszy. Obok Wilhelma Orańskiego zwrócili się przeciw Francji jej inni mniej lub bardziej wypróbowani przyjaciele – król Szwecji Karol XI (†1697) i elektor brandenburski Fryderyk Wilhelm (†1688), który nim umarł wprowadził swoje państwa do antyfrancuskiej i defensywnej Ligi Augsburskiej (lipiec 1686).

Co wymowne, przytoczone francuskie próby ekspozycji mocarstwowego prestiżu – acz nie przyniosły rezultatów pożądaných subiektywnie – to uzewnętrzniły jednocześnie rozległość najzupełniej obiektywnych skutków ujemnych tendencji absolutystycznej. Należał do nich wzrost zagrożenia wojną nie uznającą ograniczeń – poświadczony zarówno ludobójstwem w szkockim Glencoe jak i taktyką spalonej ziemi stosowaną w Palatynacie przez markiza de Louvois (†1691). Inną nieuniknioną konsekwencją absolutyzmu był ucisk fiskalny, jaki francuskiemu sekretarzowi do spraw wojny umożliwił organizację czterystutysięcznej armii, której wysiłek przyniósł rezultaty taktycznie znikome, a strategicznie złowrogie, w perspektywie rozpoczętej w trzy lata po *pokoju w Rijswijk* wojny o sukcesję hiszpańską. Trudno osądzić, na ile współzawodnictwo markiza de Louvois z pierwszym ministrem króla, Janem-Baptystą Colbertem (†1683), wynikało z różnicy ich wizji polityki Francji. Nie mniej dała ona o sobie znać po śmierci ministra wojny, gdy wpływ na kierunek dyplomacji uzyskał bratanek Colberta, markiz de Torcy, inspirowany przez markiza de Pomponne (swego teścia) i diuka de Beauvilliers. Już w roku 1691 owocowało to próbą kontaktu Wersalu z Wiedniem i Madrytem. Jednak porzucenie planu rozbioru spadku po ostatnim Habsburgu hiszpańskim uzgodnionego przede wszystkim z Wiedniem i Londynem – *Traktatem Haskim* (październik 1698) oraz *Traktatem Londyńskim* (marzec 1700) – było po stronie Wersalu czymś więcej, niż tylko dowodem przewagi na dworze francuskim, zyskanej wtedy przez republikańskie stronnictwo *dewotów* nad chyba obojętnymi wyznaniowo stronnikami absolutyzmu. Po obu stronach Pirenejów stanowiło akt odwagi koniecznej do podjęcia próby odbudowy równowagi kontynentalnej, której jedną z dwóch podpór – obok *Traktatu Oliwskiego* (3 maja 1660) pacyfikującego stosunki polsko-szwedzkie – był *Traktat Pirenejski* (7 listopada 1659).

Zapewne wypadnie pozostawić bez odpowiedzi pytanie, czy za odwagą decyzji stała tu jedynie godność własna, czy też odwaga wyobraźni. Tym większa bowiem chyba odwaga jest wyobraźni potrzebna, im szerszą musi ona ogarnąć przeszłość, jeśli sens aktualnego *dziś* ma być rozpoznany bardziej

obiektywnie. Obiektywny sens decyzji podjętych w roku 1700 i ich konsekwencji – bardziej czytelny na tle realiów połowy wieku mijającego wtedy – zyskuje na czytelności, gdy i na realia z tła padnie światło, z jeszcze głębszej perspektywy czasu. Sądzić można, że i w tym przypadku perspektywę dostatecznie głęboką otwiera ten sam moment, w którym myśl i praktyka konstytucyjna Europy dały swoje pierwsze odpowiedzi nowożytnie na wyzwanie, jakie od ich zarania rzuca im groźba jednego z trzech rodzajów anarchii. To znaczy *anarchii rządzących*, *anarchii rządzonych*, lub *anarchii jednych i drugich*. Rzecz prosta, jest momentem tym Renesans. To jest nie tylko czas odpowiedzi, jaką w tej kwestii stała się wizja *ustroju mieszanego* z próbami jej realizacji. Także przecież czas riposty na wyzwanie rzucane Europie równie odwiecznie, odkąd po raz pierwszy jej kulturowa obecność uzewnętrzniła się na drobnym wycinku granicy, dzielącej kontynenty europejski i azjatycki – pod Troją. A więc wyzwanie sprawy europejskiej tożsamości kulturowej, zagrożonej nie tylko odstępstwami ze strony samych Europejczyków, ale też tymi, co wynikają z sytuacji zewnętrznej, w jakiej ich kulturowa wspólnota trwa – zbliżając w procesie historii swój zasięg do granic Kontynentu, bądź cofając się od nich²⁶. To przecież na renesansowym progu Nowożytności zastały Europę dwa wyzwania. To, które jej postawiło odkrycie Nowego Świata oraz to, które rzucił jej Stary Świat osmańską inwazją ze wschodu – kolejną po wielu poprzednich, a o skali niespotykanej w następnych czterech wiekach. Powaga obu wyzwań zdeterminowała decyzje z przełomu XV i XVI wieku, podjęte przez czynniki sprawą riposty obciążone najbardziej – przez Hiszpanię czasów Izabeli Kastylijskiej i Ferdynanda Aragońskiego oraz Polskę przedostatniego pokolenia Jagiellonów. Riposta obu państw w ciągu XVI wieku zaowocowała u jego schyłku opartym o nie układem dwóch systemów unijnych odpowiadającym na wyzwania z obu rubieży Kontynentu – śródziemnomorsko-czarnomorskiej i atlantyckiej – ale jednocześnie poddanym presji od strony jego północnomorsko-bałtyckiego zaplecza. Presja ta sabotowała transbałtycką tendencję do personalnej unii państw Jagiellonów i Wazów oraz godziła w urzeczywistnioną pod egidą Domu Aragonii personalną unię królestw z zachodniego akwenu Morza Śródziemnego. W wiekach XVI i XVII jej autorów szukać należy głównie w Rzeszy, Luwrze i Londynie, egze-

²⁶ Myślmy tu o wspaniałej analizie, którą Chesterton dowiódł, że ginąc w obronie Troi skazanej wyrokiem *fatum*, dał Hektor wzór, jaki jego kuzyn Eneasza przeniósł do kraju Latynów, skąd – jako powinność – Europejczykom późniejszym przekazali Rzymianie (*The Everlasting Man*, 1925).

kwowana zaś była zwykle siłą więzi transkontynentalnych *networków* – także wyznaniowych – jeśli natrafiały one tam na przychylny im grunt politycznych ambicji o podobnym zasięgu. Znalazło to swój wyraz w trwającym przez oba stulecia procesie, którego *Wojna Trzydziestoletnia* była jedynie etapem, a który stanowił główny dramat epoki wczesnej Nowożytności.

Kiedy więc w listopadzie 1700 roku Ludwik XIV prezentował dworowi swojego wnuka – księcia Filipa Andegaweńskiego (†1746) – jako nowego króla Hiszpanii, polityka francuska odzyskała kontakt z zasadami ustalonymi na długo przed *Traktatem Pirenejskim*. Przyjmując testament Karola II Habsburga – którym zmarły król powierzał swój tron księciu Filipowi wraz z obowiązkiem zachowania całości aragońskiego dziedzictwa – Ludwik XIV wiedział doskonale komu rzuca wyzwanie. Odwagę króla Francji przywitał ogólnokrajowy aplauz, którego wyraz republikańskie środowisko Fénelona i pani de Maintenon dało w pierwszym rządzie. Z tymże środowiskiem łączyła króla Filipa siostra jego odważnej małżonki – królowej Marii-Ludwiki Sabaudzkiej (†1714) – diuszesa Burgundii, księżna Maria-Adelajda. To ono delegowało panią Orsini – księżnę Marię-Annę de La Trémoille (†1722) – do dobrze jej znanego Madrytu, gdzie jej takt i zręczność równie dobrze posłużyły integracji króla i jego żony ze sprawą, której im przyszło służyć²⁷. Równie charakterystyczna była reprezentacja rzeczników tej samej sprawy po stronie hiszpańskiej. Zrzeszyła ona przedstawicieli rodzin najbardziej dwa wieki wcześniej zasłużonych przy sprawie analogicznej – aklimatyzacji Habsburgów hiszpańskich, po śmierci Ferdynanda Aragońskiego (†1516). Wystarczy przypomnieć tu mężów stanu takich, jak: Fadrique Álvarez de Toledo (†1705) i Baltasar de Zúñiga (†1727), czy Francisco Téllez-Girón de Osuna (†1716) i Juan Fernández Pacheco markiz de Villena (†1725), lub José de Albornoz książę de Montemar (†1747). Należy też dostrzec ciągłość istotną. Łączy ona wyraźnie tych i innych rzeczników opcji francuskiej, z wcześniejszymi generacjami tych samych rodzin, przez cały wiek XVII broniącymi tej samej sprawy przed przeciwnikami, wśród których Francji zwykle nie brakło.

Przeszukiwanie tradycji nie odnajduje przecież jej źródła u progu XVII wieku. Losami elity znów tej samej, poprzez przeciwności podobne tym, które trapiły jej pokolenia szesnastowieczne, wiedzie do chwili węzłowej z wielu względów. To jest do drugiej połowy roku 1500 – do systemu skonfigurowa-

²⁷ Między innymi posłużyły one także neutralizacji aktywności księcia Filipa Orleańskiego, który sabotował tę sprawę wyraźnie.

nego wtedy *Traktatem z Budy* (14 lipiec) i *Traktatem z Granady* (11 listopad). System ów, pod egidą Rzymu – w obliczu groźby dyktatu ze strony dwóch Cesarstw, niemieckiego i osmańskiego – połączył Francję z jagiellońską unią dynastyczną Polski, Czech i Węgier oraz z Hiszpanią. Chwilowość konfiguracji takiej – zasugerowanej tu wyłącznie analizą aktualności – nie odbierała jej historycznego sensu, potwierdzonego w obu pierwszych wiekach nowożytnych, XVI i XVII. Przebieg i wynik *wojny o sukcesję hiszpańską* potwierdził to również. Nie uwieńczyło jej bowiem powodzenie proporcjonalne do odwagi, z jaką Francja i Hiszpania rzuciły wyzwanie koalicji Anglii, Holandii, Austrii, Prus, Hanoweru i Badenii, do której już w trakcie wojny przeciągnięte zostały też Portugalia i Sabaudia. Filip V utrzymał wprawdzie tron hiszpański, jednakże rozczłonkowaniu uległa struktura integrująca zachodni akwen Śródziemnomorza. Wbrew zdemistyfikowanej już *czarnej legendzie* – jaką stronnictwo dziejopisarstwa XIX i XX wieku skrzywiło obraz zarówno iberyjskiej ekspansji transatlantyckiej, jak również rządów Habsburgów i Burbonów hiszpańskich w państwach Italii – nie była to bowiem struktura obca aspiracjom miejscowym²⁸. Dowodził tego choćby aplauz witający armię hiszpańską przy kolejnych próbach ich odzyskania podjętych przez Filipa V i udanych na tyle, na ile dwa inne traktaty rewidowały *Traktat Utrechcki* z 1713 roku – *Traktat Wiedeński*, który Królestwo Sycylii i Neapolu dał infantowi Karolowi (†1788), kończąc *wojnę o sukcesję polską* (1733-1738) i *Traktat Akwizgrański*, który po *wojnie o sukcesję austriacką* (1740-1748), infantowi Filipowi (†1765) oddał Księstwo Parmy.

Zwraca uwagę synergia okoliczności sprzecznych z duchem *Traktatu Pirenejskiego*, a wpływających tak na wynik *wojny o sukcesję hiszpańską*, jak i na fiasko próby rewizji *pokoju utrechckiego* podjętej przez ministra Filipa V,

²⁸ Choćby artyzm i rozmach barokowego budownictwa o przeznaczeniu publicznym i rezydencjonalnym, a także urbanistyki – jakie w tych czasach, i pod tymi właśnie rządami, zdumiewająco gęsto nasyciły przestrzeń owego później tak przysłowiowo zaniedbanego *włoskiego Południa* – zdaje się potwierdzać myśl, że polityczny klimat sprzyjał tu rozkwitowi również w sferze gospodarczej, wtedy nadal dystansującemu europejską Północ. Zwraca uwagę szczególnie uniwersalizm, właściwy relacjom politycznym w łonie owej zachodnio-środkomorskiej wspólnoty. Na jej bowiem rzecz, razem z przedstawicielami elit miejscowych, Hiszpanie służyli jej koronom italskim, a iberyjskim – Włosi. Trudno oprzeć się wrażeniu, że łańcuch, czy – jak kto woli – rzymski, rodowód tego uniwersalizmu stanowił okoliczność, jaka pielęgnowała krystalizację dwóch mocno zindywidualizowanych fenomenów kulturowych. Myślimy o całokształcie dorobku duchowego doby baroku, jako zwieńczeniu procesu kształtującego te wszystkie realia obu kultur – odrębnych, ale kompatybilnych – do których później odwołały się wizje dwóch wspólnot, upowszechniane w pojęciach *italianità* i *hispanidad*.

kardynała Giulio Alberoniego (†1752) – po śmierci mężnej Marii-Ludwiki Sabaudzkiej negocjatora mariażu króla z Elżbietą Farnese (†1766) księżniczką Parmy. Ze zmęczeniem Hiszpanii i Francji wojną trwającą od roku 1701 współgrała dywersja Filipa Orleańskiego i jego przyjaciół w Sabaudii, Portugalii i Katalonii. Charakterystyczny był już sam splot czynników, które do próby rewizji rzucały Filipowi V wyzwanie – trudno orzec, czy nie wymagające odpowiedzi bardziej proporcjonalnej do sytuacji. Wyzwanie to stwarzał zwrot w sytuacji wewnętrznej i we Francji i w Anglii. Śmierć króla Ludwika XIV, oraz objęcie regencji przez Filipa Orleańskiego, ograniczyły wpływ, jaki na politykę Francji miała – bliska Hiszpanii – republikańska *partia dewotów* diuka du Maine. Natomiast w Anglii, z przejściem tronu przez Jerzego I Hanowerskiego odzyskali władzę wigowie – po wyborach z roku 1710 odsunięci od niej przez królową Annę Stuart (†1714), następczynię Wilhelma Orańskiego, a córkę Jakuba II. Wtedy otwierało to drogę do pokoju, teraz zagrożonego znów, odkąd z woli nowego króla dyplomacją Londynu kierował James Stanhope. To oni obaj – jeszcze latem 1716 roku – wyszli naprzeciw regentowi Francji, uznawszy jego roszczenia do tronu w razie śmierci Ludwika XV – wtedy sześciolatniego. Ich współpracę zwińczył w styczniu 1717 roku układ o *aliansie potrójnym* – z udziałem Holandii. Niezrażony odbudową układu tak tradycyjnie wrogiego Hiszpanii, kardynał Alberoni rzucił rękawicę głównemu beneficjentowi decyzji z Utrechtu – cesarzowi Karolowi VI (†1740) – odbijając mu Sycylię we wrześniu 1717 roku, a w czerwcu 1718 zajmując Sycylię, tymiż decyzjami oddaną Sabaudii. Już w sierpniu tego roku Cesarstwo weszło do *aliansu* odtąd już *poczwórneg*o, który Filipowi V narzucił dymisję Alberoniego, w grudniu 1719 roku, jak też, w styczniu 1720 akceptację *Traktatu Haskiego*, wykluczającego odbudowę aragońskiej unii.

Obraz okoliczności sprzecznych z duchem *Traktatu Pirenejskiego*, jakie wpłynęły na wynik *wojny o sukcesję hiszpańską* oraz na fiasko pierwszej próby jego rewizji, byłby jednak z pewnością niepełny, gdyby pomijać miał okoliczność z tamtymi zbieżną – na przełomowym progu XVIII wieku i w perspektywie otwartej układami zawartymi w roku 1500, w Budzie i w Toledo. Okoliczność taką stanowił poziom egzekucji ducha traktatu, z *Traktatem Pirenejskim* połączonego paralełą uderzającą, a którym był *Traktat Oliwski*. Trudno nie zauważyć, że tak jak dla twórców obu traktatów z roku 1500, podobnie w przypadku traktatów z lat 1659-60 aksjomatem pozostawała pełna

suwerenność podmiotów obu kooperacji – transpirenejskiej i transbałtyckiej²⁹. Niemniej trudno oprzeć się wrażeniu, że na przełomie wieków XVII i XVIII to właśnie tak przykro wtedy niski poziom egzekucji ducha *Traktatu Oliwskiego* pozwolił na koncentrację sił nieprzyjazznych układowi konfigurowanemu w duchu podyktowanym przez *Traktat Pirenejski*, czterdzieści lat wcześniej. Jeszcze przecież trudniej byłoby przeczyć, że to przede wszystkim stan polityki polskiej uniemożliwił duchowi *Traktatu Oliwskiego* efektywne wsparcie odważnych działań, jakie swoim duchem inspirował wtedy *Traktat Pirenejski*.

Ich ledwie tu naszkicowane tło, wraz z równie pobieżnym przeglądem innych zdarzeń epoki, ujawnia doniosłość wszystkich tak zdumiewających zaniechań, jakich polityka polska dopuściła się w latach 1696-1717. Przyczyn tych zaniechań wypada szukać w paraliżu państwa. Uzewnętrznił się on w przebiegu i wyniku elekcji 1697 roku oraz w wojnie domowej – z krótkimi interwałami trapiącej Kraj w latach 1700-1717 i zbieżnej z toczoną także na jego ziemiach *wielką wojną północną* (1701-1721), która udział czynnika środkowoeuropejskiego w zachodnioeuropejskiej *wojnie o sukcesję hiszpańską* ograniczyła – z korzyścią dla przeciwników Francji i Hiszpanii. Co jasne, taki stan rzeczy jedynie poszerza obszar poszukiwania źródeł kryzysu, jaki Pierwszą Rzeczpospolitą nękał w owej dobie przełomu. Miał wprawdzie kryzys ów precedensy, zawsze złowrogie, w całym kończącym się już wieku XVII. Jednak to właśnie one – jako dotąd przewyżczone, z reguły raz lepiej raz gorzej – zdawały się potwierdzać, że Pierwszej Rzeczypospolitej wciąż nie brakuje sił niezbędnych do bytowania i do reformy jej instytucji państwowych.

Skala owego – mimo wszystko – niespodziewanego kryzysu oraz powaga jego lokalnych i kontynentalnych skutków, sugerują raczej ostrożność przy każdej próbie rozstrzygnięcia, na którym z głównych i zawsze obecnych czynników procesu dziejów, spoczywa największa zań odpowiedzialność. Czy ona spoczywa więc na rządzie – pozbawionym albo społecznego miru, albo świadomości stanu spraw i sposobu ich rozwiązania, lub wszystkiego jednocześnie.

²⁹ Poniekąd antyglobalistyczny sens tego aksjomatu ujawniał się choćby w jednoznacznie nieprzyjaznym Cesarstwu ostrzu obu traktatów z roku 1500, czy też w programowej tezie szesnastowiecznej dyplomacji polskiej o *dominium maris Baltici*, przyznającej suwerenność nad całym akwenem wyłącznie państwu przyległemu do jego brzegów. Do których to problemów powracamy w innych miejscach niniejszej pracy.

Czy też obciąża ona ustrojowe instytucje prewencji i interwencji – politycznej i militarnej. Czy też może przypisać ją trzeba aktywności spiskowej, w tym także agentur – krępującej instytucje władzy, a opinię obywateli odwracającej od głosu sumienia³⁰. Czy wreszcie cała odpowiedzialność ostatecznie spada na obywateli, skoro to z ich *woli* – jako *materii* państwa – zbudowana jest Rzeczpospolita³¹.

Rzecz prosta nie lekceważymy żadnego z wyliczonych tu źródeł kryzysu. Opowiadamy się jednak za poglądem, który czynnik inicjujący i zatwierdzający widzi w ostatnim z nich. W takiej więc słabości woli obywateli, jaka uwalnia ich od trudu poznawania prawdy – po to, by żywili się fikcją – i jaka przemieniwszy ich przez to w poddanych, aktywizuje pozostałe źródła kryzysu, efektywności których daje nadto gwarancję. Równie oczywiste wydaje się wszak i to, że empiryczną naturę mają jedynie skutki woli. Sama jej treść – podobnie jak kierująca nią intencja – zostaje jednak tajemnicą, niekiedy też i dla jej podmiotu. Nie empiryczne pozostaje więc wszystko, co pozwalałoby mierzyć odpowiedzialność osób uwikłanych w kryzys, to jest kierujące ich wolą intencje, zobiektywizowanymi miarami *dobra* i *zła*, a podobnymi normami słuszności, treść ich woli. Na szczęście ta nie empiryczna natura treści woli i kierujących nią intencji powściąga – w historyku i w politologu – ową ludzką chęć oceny osób i ich czynów. Co więcej, zmusza też do wyznania, które w położeniu takim wcale nie musi zaskakiwać. Oto im uważniej obiektywna refleksja poddaje sobie empiryczne realia kryzysu lat 1696-1717, oraz im większy staje się ich zasób, tym bardziej zdaje się oddalać perspektywa jego wyjaśnienia poprzez połączenie samych tychże realiów w pełny związek przyczynowo-skutkowy. I im też w związku z tym oczywistszy zdaje się okazywać wpływ decydujący, jaki na postać realiów tych mają indywidualne wybory moralne, tym mniej możliwa staje się odpowiedź na pytanie, które z wyborów dokonywane były w przeczuciu *dobra*, a które przy nieświadomości *zła*.

³⁰ Upředzając zarzut uprawiania, tak zwanej *spiskowej teorii dziejów*, wyrażamy niezachwiane przekonanie, że proces historii nie znajduje autorstwa w spisku. Co oczywiście nie oznacza, byśmy mieli spisków w tym procesie nie dostrzegać. Dostrzegamy je również – jako zjawisko bynajmniej nie wyróżniające Pierwszej Rzeczypospolitej – w realiach przełomu XVII i XVIII wieku. Jednak dostrzegając je, nie odnosimy się do nich z ową silną wiarą, jaka jednocy zwolenników i przeciwników teorii spisku – wiarą w jego sprawczą wszechmoc.

³¹ Problem *woli* jako *materii* państwa, wraz z problemem *ustroju władzy* jako jego *formy*, omawiamy szerzej w pracy *Metafizyka Rzeczypospolitej*. [Niestety ani dr Katarzynie Kozak ani mnie nie udało się znaleźć żadnej informacji, gdzie została ona opublikowana – przyp. Red.]

Poszanowanie tej tajemnicy towarzyszy retrospekcji stanu rzeczy w chwili inauguracji kryzysu, jaki 17 czerwca 1696 roku wywołała śmierć Jana III Sobieskiego. Rzeczpospolita w bezkrólewie weszła jednak bardziej opromieniona niedawną odsieczą, którą zmarły król dał Wiedniowi, niż rutynowymi kłopotami związanymi z przedłużającą się wojną z Turcją. Wbrew wrażeniu potęgowanemu stereotypową wizją Sejmu i *liberum veto* – opartą o doświadczenie z sześćdziesięciosiedmioletniej doby saskiej, kiedy z 35 sejmów odbytych, tylko 8 zwieńczył ustawodawczy efekt. Doświadczenie zakończonego właśnie panowania – acz nieraz zwyczajowo bolesne wskazywało raczej na przezwycięzenie groźnej tendencji spadku dyscypliny sejmowej, od śmierci króla Zygmunta III (†1632) postępującego wyraźnie³². Wgląd w aktywność głównych ministrów i dygnitarzy państwa, też raczej nie dostarcza takich oznak niedostatku wiedzy, czy – mówiąc wprost – braku inteligencji, co wskazywałyby na regres, w porównaniu z pokoleniami minionymi. Dotyczy to zarówno nazwisk od pokoleń obecnych w wielkiej polityce ojczyznej, jak dopiero wprowadzanych do niej. Nie wydaje się nadto, by w końcu XVII wieku – w porównaniu choćby z jego pierwszą połową – miała w życiu publicznym nasilić się pewna ostentacja pogardy dla zasad, jaka swych eksponentów znajdzie w każdym pokoleniu³³.

Analiza zachowań członków ścisłej elity władzy podczas bezkrólewia nie prowadzi do przekonującego ustalenia i porównania rozmiarów odpowiedzialności, jaka obciąża każdego z nich – za zajęcie Tronu Rzeczypospolitej przez elektora saskiego, Augusta II (†1733). Sądzić chyba wypada, że taki właśnie wynik ich gry był nieunikniony wobec faktu, za który żaden z nich nie odpowiadał, ani bezpośrednio, ani indywidualnie. Odpowiedzialność zdjętą z nich wszystkich – niezależnie od jakości poszczególnych intencji i opcji – fakt ten przenosi na jego rzeczywistego aktora. Tymczasem był nim nie kto inny,

³² Tendencja ta sprawiła, że z formalnie wzorowego pod tym względem dorobku sejmów za Zygmunta III – tylko 5 bezowocnych na 36 odprawionych – za poprzedzających rządów Jana III rządów króla Michała Korybuta efektywność naczelnej instytucji ustrojowej spadła do stanu obrazowanego 4 bezowocnymi na odprawionych 6. Rezultat osiągnięty za króla Jana, 6 skutecznych do 6 zmarnotrawionych, razem z ujawnioną w ustawodawczym dorobku wolą ulepszenia procedury sejmowej – co prawda umiarkowaną bardzo – to fakt z pewnością podważający stereotypowy obraz miejsca tej instytucji pod tym panowaniem i wśród przyczyn omawianego kryzysu.

³³ Przypadek braci Sapiehów podskarbiego Benedykta (†1707) i hetmana Kazimierza (†1720) – synów hetmana Pawła (†1665), tak ofiarnego w dobie *potopu* jedynie równoważy przypadek braci Radziwiłłów – kasztelana Janusza (†1620) i hetmana Krzysztofa (†1640), a także ich synów, hetmana Janusza (†1655) i koniuszego Bogusława (†1669).

a królewicz Jakub (†1737), syn Jana III. To bowiem jego decyzja o wycofaniu się z rywalizacji zdeterminowała dalszy ciąg zdarzeń. Nowsze badania źródłowe postulują rewizję królewiczowskiego portretu, odbijającego wielce sugestywnie – mistrzowskim piórem Władysława Konopczyńskiego (†1952) – echo pomówień stronnich plotkarzy z epoki i wrażeń notowanych przymglonym wzrokiem jej świadków. Realia echem tym odbite prezentują nie główną osobę dramatu, a tylko jeden z rekwizytów ułatwiających rozpoznanie, jak wielki był jej dramat. Realia plotek i przywidzeń zresztą tych samych rzucają refleks – choć nieco inaczej – także na dramaty ścisłej elity władzy i ogółu obywateli. Nie prezentując więc żadnego z owych trzech już dramatów, tym bardziej one nie mogą prezentować dramatu komponowanego przez wszystkie trzy razem. To jest dramatu, w miejscowym i kontynentalnym sztafazu przełomowych wydarzeń epoki, przeżywanego przez naród. Nie był to dramat starcia racji różnych, ale dramat klęski – siłę zadanej przez słabość.

Obok przymiotów charakteru – w tym odwagi sprawdzonej w boju – siłą królewicza był jego rodowód po mieczu. Z autorytetem wielkiego ojca, przez Europę uznawanego za zbawcę Chrześcijaństwa (kiedy to jeszcze coś znaczyło), niósł rodowód ten również pamięć o pradziadku – hetmanie Stanisławie Żółkiewskim, zdobywcy Moskwy, z gestem starożytnych poległym pod Cecorą. Siłą królewicza były też związki dynastyczne rodziny, jakie czyniły go niejako „szwagrem Europy”. Zawdzięczał to swojemu małżeństwu z Jadwigą Wittelsbachówną (†1722) – siostrą Jana Wilhelma Wittelsbacha (†1716) palatyna Renu, a córką wspomnianego księcia Filipa Wilhelma z Neuburga, który wziął Palatynat po Wittelsbachach z kalwińskiej linii Simmern, zaś w swym pierwszym małżeństwie był mężem księżnej Anny Wazówny (†1651), córki króla Zygmunta III³⁴. Mężami siostr jego żony byli inni protagoniści *wojny o sukcesję hiszpańską* – cesarz Leopold I (†1705), Karol II król Hiszpanii (†1700) i Piotr II król Portugalii (†1706), także postać czołowa w koncercie

³⁴ Małżeństwo to – zawarte w roku 1642 i bezdzietne – wpisało się w proces formujący odrębny ośrodek polityczny na zachodzie Rzeszy, jakim stały się dwory w Neuburgu i Duesseldorfie, tak za Filipa Wilhelma i jego syna, jak też jego ojca Wolfganga (†1653). Bliski dworom elektorów-arcybiskupów Moguncji, Kolonii i Trewiru, ośrodek ten – przed *Wojną Trzydziestoletnią* i w jej trakcie – równoważył kalwińską koalicję tworzoną przez Wittelsbachów z Simmern, Dom Orański i Hohenzollernów. Stąd specjalne stosunki z nim Madrytu, Wiednia i Warszawy – w przypadku tej ostatniej widoczne choćby w pomyśle powołania księcia Filipa Wilhelma na Tron Rzeczypospolitej, a z jego strony we wsparciu udzielonym przezeń dyplomacji polskiej podczas *potopu*. Godne też jest uwagi utrzymywanie przez neuburską linię Wittelsbachów pokoju wyznaniowego pod ich władzą, przy pomocy środków bliskich z ducha tym, które stosowała Polska.

politycznym Italii tej doby – księżę Parmy Franciszek Farnese (†1727), za którego księżna Dorota-Zofia (†1748) wyszła po śmierci swego pierwszego męża, a jego brata, czyniąc go ojczymem jej córki, księżniczki Elżbiety Farnese, już wspomnianej drugiej żony Filipa V króla Hiszpanii. Mężem siostry Jakuba, Teresy Kunegundy (†1730), był kombatant Jana III spod Wiednia, książę-elektor Bawarii Maksymilian II (†1726), co czyniło królewicza wujem ich syna, cesarza Karola VII Bawarskiego (†1745)³⁵.

Polityczny potencjał związków rodzinnych królewicza Jakuba z pewnością przesądzał o jego zwycięstwie na wolskim polu elekcyjnym w Warszawie, w czerwcu 1697 roku, to jest w rok po śmierci jego wielkiego ojca. Krzyżowałyby się ono wprawdzie z tendencją polaryzującą układ stron w bliskiej *wojnie o sukcesję hiszpańską*, jednak ze skrzyżowania właśnie takiego Rzeczpospolita wyjść mogła bez szwanku, a tendencja ustąpić. Układ bowiem konfigurowany przez nią nie został domknięty jeszcze trzy lata po zawarciu *pokoju w Rijswijk*, podpisanego pięć dni po koronacji króla Augusta II, dokonanej 15 września

³⁵ Z pewnością natomiast pokrewieństwa matki królewicza, królowej Marii-Kazimierzy Sobieskiej de la Grange d'Arquien (†1716), miały wpływ na jego aktywa polityczne, o wiele mniejszy, niż jego ojca, nadto też kategorii zupełnie innej, niż ta, którą przedstawia jej legenda. Królowa w istocie agentką dyplomacji francuskiej nie była nigdy – ani za ministerium kardynała Mazariniego (†1660), ani za osobistych rządów Ludwika XIV. Jako dwórka żony Jana Kazimierza Wazy (†1672), królowej Marii-Ludwiki Gonzagi (†1667), tkwiła w środowisku z polityką Luwru i Wersalu częściej skłóconym, niż zgodnym, bo nie demonizującym Habsburgów, gotowym też Turkom odbijać Konstantynopol, a własnym rządom gasić zapal do władzy absolutnej, o czym piszemy dalej. Ze środowiskiem tym wiązała ją osoba ojca – markiza Henri de la Grange d'Arquien (†1706) – pułkownika gwardii stryja Ludwika XIV, księcia Gastona Orleańskiego (†1660), idola oponentów polityki Richelieu i Mazariniego. Jego stryj François (†1617) marszałek Francji, jak też daleki krewny jego żony – matki królowej Marysienki – pani Françoise de la Châtre (†1672), inny marszałek Francji Claude de la Châtre (†1614), nie wyczerpują pocztu przedstawicieli tej części francuskiej opinii, której lojalność wobec monarchii była nierozdzielna z katolicyzmem i z przekonaniem o sensie politycznej wolności. Zwraca uwagę parantela, jaka wnukiem stryjecznej siostry ojca królowej czyniła diuka de Beauvilliers współautora *Les Tables de Chaulnes*. Równie znamienne zdaje się bliskie powinowactwo ojca królowej z kardynałem de Bérulle (†1629), dobroczyńcą biedoty i oratorianów, oponentem Richelieu, szwagrem córki głośnego dyplomaty Michela de Castelnau (†1592) i bratem ciotecznym Antoine'a de la Grange d'Arquien (†1626), to jest dziadka Marysienki. Ten ostatni, jako syn Louise'y de Rochechouart (†1567), czynił królową bratanicą cioteczną dla François de Rochechouart (†1670), innego wybitnego męża z tego środowiska, z którego jeszcze przed rokiem 1630 zdezerterował, by przystać do absolutyzmu, jego krewny – Gabriel de Rochechouart (†1675), od 1650 roku podkomorzy dwunastoletniego wtedy Ludwika XIV i ojciec pani de Montespan, wtedy dziesięcioletki. Można powiedzieć, że wewnętrzna politykę Francji miała królowa „we krwi”. Ukazywałoby to dodatkowy powód, dla którego jej relacje z Ludwikiem XIV – którym równorzędność stosowną nadawał Urząd królowej Polski – nieraz pozostawały chłodne. Poza tym ta piękna pani trwała przy mężu – zakochanym w niej zawsze – ale nie zawsze dzielącym opinię króla Francji.

1697 roku³⁶. Nie pozwalała na to między innymi wojna z Turcją, którą wiodła *Liga Święta* – ustanowiona w 1684 roku przez Stolicę Apostolską, Cesarstwo, Rzeczpospolitą i Wenecję – a którą *pokój karłowicki* zakończył w styczniu 1699. Jednak zamknięcie tego konfliktu nie decydowało o otwarciu kolejnego, acz przy nim nie brakło mediatorów aktywnych w takim duchu³⁷. Jeszcze w sierpniu 1700 roku Anglia i Holandia razem z Francją i Cesarstwem gwarantowały *pokój w Travendal*, kończący pięciomiesięczną wojnę, w której wsparty przez Londyn i Hagę król Szwecji Karol XII (†1718) – ująwszy się za księciem Holsztynu Fryderykiem IV Oldenburskim (†1702) swoim szwagrem – pobił popartego przez Wiedeń Fryderyka IV Oldenburskiego (†1730) króla Danii, przy którym zdążył stanąć August II Mocny. O wybuchu *wojny sukcesyjnej hiszpańskiej* nie przesądziło także fundamentalne dla *wielkiego aliansu* zawartego jesienią 1701 roku w Hadze, zbliżenie Londynu i Wiednia. Postępujące od objęcia władzy w Anglii przez Wilhelma III w roku 1688, nie było ono w polityce europejskiej nowością. Wydaje się, że wybuchu wojny

³⁶ Do 6 lutego 1699 roku żył jeszcze mianowany w roku 1696 przez Karola II następcą księcia Józef Ferdynand Bawarski (syn elektora Maksymiliana II z jego pierwszego małżeństwa, a więc od roku 1695 pasierb Teresy Kunegundy Sobieskiej), zaś rozbiór jego państwa Ludwik XIV i Wilhelm III Orański planowali wspólnie, dopuszczając udział zarówno nominata jak cesarza Leopolda I, szwagra króla Hiszpanii. Jeszcze w marcu 1700 roku, po śmierci księcia Józefa Ferdynanda, możliwe było rozwiązanie sprawy sukcesji przez oddanie Hiszpanii młodszemu synowi cesarza, arcyksięciu Karolowi (†1740) i zaspokojenie ambicji Francji przeważającą częścią włoskiego dziedzictwa Karola II. Plany rozbiorowe przekreśliła jednak polityka hiszpańska wolą śmiertelnie już chorego króla, który tron przekazał wnukowi Ludwika XIV pod warunkiem, że przejmie on dziedzictwo całe, do czego doszło w listopadzie 1700. Nawet zresztą od listopada 1700 roku, aż po rozpoczęcie działań wojennych w lecie 1701 z inicjatywy austriackiej, a jesienią angielskiej, spór o definicję reakcji na dynastyczną unię Paryża i Madrytu trwał nie tylko w Wiedniu, ale też w Londynie i w Hadze. W obu bowiem swoich stolicach miał król Wilhelm III – żarliwy rzecznik riposty militarnej – nie mniej żarliwych niż on sam, rzeczników pokoju, dopiero we wrześniu 1701 roku postawionych przed faktem formalnego sojuszu przeciwko Francji i Hiszpanii, na mocy postanowień *Traktatu w Hadze*.

³⁷ Zapół mediatorów, którymi byli kombatant *Glorious Revolution* sir William Paget (†1713) i oranżysta Jacobus Colyer (†1725) z pewnością można tak interpretować. Zastanawiająco natomiast jawiła się w Konstantynopolu aktywność ówczesnej dyplomacji francuskiej, od początku XVI wieku protektorki każdej osmańskiej dywersji w Europie Środkowej, w dobie zaś rokowań w Karłowicach, a nawet już podczas wojny sukcesyjnej, postawą swą wręcz ułatwiającej pacyfikację między oboma cesarzami, niemieckim i tureckim. Jeśli działało się tak z woli króla Ludwika, przeczyłoby to tezie, by miał on przewidywać wojnę z cesarzem Leopoldem. Równie prawdopodobne jest też, że działało się to z inspiracji skupionego przy Filipie Orleańskim kręgu przyjaciół Anglii, z ojcem Dubois na czele, do którego należeli obaj kolejni ambasadorzy przy Wysokiej Porcie – Pierre de Castagnères (†1728) i Charles de Ferriol (†1722), ten drugi będący zresztą szwagrem Madame de Tencin (†1749), której salon dawał późniejszym rządów Regencji wsparcie intelektualne.

i jej wyniku nie przesądził też ślub – w lutym 1699 – syna i następcy cesarza Leopolda I, arcyksięcia Józefa (†1711), z Wilhelminą-Amalią Brunszwicką (†1742), stryjeczną siostrą elektora Jerzego I Hanowerskiego (†1727), od roku 1714 króla Anglii, szwagra Fryderyka I Hohenzollerna (od stycznia 1701 roku pierwszego króla Prus). Choć oczywiście to właśnie spoza tego stadła wynurzał się cień „zimowego króla” Czech – palatyna Fryderyka V Wittelsbacha – przy którym, przed osiemdziesięcioma laty, kalwiński *network* zmobilizował sporą część Europy do udziału w *wojnie trzydziestoletniej*.

Oczywiście, wszystkie te i inne wydarzenia podobnej kategorii promowały osiągniętą ostatecznie polaryzację, jakiej sens dziejowy istotnie musi zdumiewać. Nic innego przecież, a polityka Francji, definiowana przez kardynałów Richelieu i Mazariniego, nadała w roku 1618 sprawie palatyna Fryderyka rangę odpowiednią, by jego koronacja na króla Czech rozpętała *wojnę trzydziestoletnią*. Sprawie tej polityka francuska pozostawała życzliwa także gdy stała się ona sprawą już potomków „zimowego króla”, w tym i po roku 1648³⁸. Tak niezwykle obrót koniunktury kontynentalnej,

³⁸ Symbolicznie przedstawia się tu podwójna parantela łącząca z „zimowym królem” księżnę Wilhelminę-Amalię Brunszwicką, wydaną w roku 1699 za przyszłego cesarza, Józefa I. Był dla niej palatyn Fryderyk pradiadkiem macierzystym i odojcowskim dziadkiem stryjecznym, w obu przypadkach z mocnym akcentem francuskim. W pierwszym z nich zaznaczało się to osobą jego synowej, dla której jego syn Edward Wittelsbach-Simmern (†1663) przeszedł na katolicyzm. Była nią przedstawicielka rodu bardzo wpływowego we Francji – księżna Anna Gonzaga (†1684) – siostra Marii Ludwiki królowej Polski i ciotka Eleonory (†1686) – od roku 1651 trzeciej żony cesarza Ferdynanda III (†1657) i stąd macochy cesarza Leopolda. Otóż córka księżnej Anny i księcia Edwarda – Benedetta Wittelsbach-Simmern (†1730) – dała przyszłej cesarzowej Wilhelminie-Amalii życie w małżeństwie z Janem-Fryderykiem Brunszwickim (†1679), bratem elektora Ernesta-Augusta Hanowerskiego (†1698), a przeto i szwagrem córki „króla zimowego”, Zofii-Doroty Wittelsbach-Simmern (†1714), urodzonej z Elżbiety Stuart (†1662), córki Jakuba I króla Anglii. Uderza związek łączący cztery wydarzenia. Pierwsze – to ślub arcyksięcia Józefa Habsburga – następcy panującego cesarza – z Wilhelminą-Amalią Brunszwicką, zawarty w lutym 1699 roku. Drugie – w 1701 roku, koronacja jej stryjecznej siostry, Zofii-Szarloty Hanowerskiej i jej męża Fryderyka Hohenzollerna – pierwszej w historii pary królewskiej Prus. Trzecie – obie uchwały, które latem tego samego roku parlament Anglii przyjął na wniosek króla Wilhelma III, to jest *Act of Settlement*, dający prawo do dziedzictwa jej tronu stryjecznemu bratu Wilhelminie-Amalii, księciu Jerzemu Hanowerskiemu i zgoda na udział Anglii w *wielkim aliansie*. I czwarte – jesienią wciąż w tymże roku 1701 – inicjatywa wojenna cesarza Leopolda. Te cztery wydarzenia z lat 1700-1701 klarownie wieńczą logikę paranteli, jaką trzydzieści lat wcześniej, w rywalizacji z Wiedniem, Paryż nawiązał z Wittelsbachami z Simmern i Domem Orańskim, otrzymując dłoń palatynówny Elżbiety-Szarloty (†1744) – prawnuczki „zimowego króla” i bratanicy elektorowej Zofii-Szarloty – dla brata Ludwika XIV, księcia Filipa Orleańskiego (†1701), z którym to Francji dała ona Księcia-Regenta.

uderzając we Francję, która go uruchomiła, jednak nie mógł wejść w fazę swej weryfikacji militarnej, bez zabezpieczenia komfortu operacyjnego od strony Rzeczypospolitej, wciąż obecnej w europejskim koncercie. Po doświadczeniach całego mijającego właśnie stulecia przyzwolenie na komfort taki nie leżało w jej interesie, o czym przekonywało też doświadczenie rządów Jana III. Wiodąc na Dwory doświadczone podobnie – i stąd niechętnie tendencji, której *spiritus movens* był król Wilhelm III – związki rodzinne królewicza Jakuba wróżyły jego wyborowi ich aplauz. Choć, jak zwykle, nie zaniedbały one przedstawić kandydatur własnych, bądź poparcia innych, w rutynowej grze dyplomacji, jakiej celem bywa bardziej rekonesans, niżeli zobowiązanie.

Choćby z perspektywy Wiednia wybór taki umocniłby autorytet szwagierki królewicza Jakuba, cesarzowej Eleonory-Magdaleny (†1720) – córki pierwszego od czasów Reformacji katolickiego palatyna Renu – u której wspomnienie ojca i dziadka na pewno mnożyło obawy wywołane wzrostem wpływów Hanoweru i Berlina na dworze jej męża, jeszcze przed decyzją o małżeństwie jej syna, arcyksięcia Józefa. Tym samym wybór królewicza Jakuba umocniłby wpływ miejscowych rzeczników pokoju. Co umacniałoby także pozycję środowisk podobnych w Londynie, gdzie wojnie przeciwni byli torysi, i w republikańskich kręgach Hagi.

W świetle wstępnej przewagi Jakuba Sobieskiego – pod znakiem której nadciągał czas elekcji 1697 roku – wycofanie się królewicza z wyborów już w jej finale bynajmniej nie dowodzi, że była ona przewagą znikomą. Natura sił, których synergia zmusiła go do tego, paradoksalnie przewagę tę potwierdza, postulując rewizję utrwalonych poglądów o sensie historycznym samej elekcji, a także szerszych procesów, w których była ona jednym z elementów istotnych³⁹. Siłą, która do *wojny sukcesyjnej* parła, przynaj-

³⁹ Prezentując wpływ, jaki na przebieg i wynik elekcji miało położenie międzynarodowe, poglądy te trzymają się bez zastrzeżeń stereotypowej wizji *wojny o sukcesję hiszpańską*, jako starcia Londynu i Wiednia z jednej strony, a Paryża i Madrytu z drugiej – starcia sprowokowanego przez ekspansjonizm francuski i zwycięstwem *wielkiego aliansu* demonstrującego słusność idei równowagi sił, jako wyłącznej zasady planowania strategicznego, która właśnie wtedy – dzięki pomysłowości angielskiej – pomyślnie przeszła swój pierwszy w historii sprawdzian. Nie eksponując roli Londynu, przeważa opinia, która głównymi protagonistami sceny czyni Wiedeń i Paryż, oraz ich kandydatów. Natomiast wizja wpływu położenia wewnętrznego tradycyjnie eksponuje anarchię i podatność na korupcję jako główne czynniki sprawcze po stronie elektorów, zaś przyczynę klęski królewicza upatruje głównie w braku wsparcia z zagranicy i w małodusznych kłótniach rodziny Sobieskich.

mniej w Wiedniu, nie był lęk przed dyktatem Wersalu, świeżo upokorzonego w Rijswijk przez koalicję, na czele której stał cesarz, bez wątpienia świadomy faktu kluczowego, chociaż lekceważonego przez zwolenników tezy o defensywnej naturze *wielkiego aliansu*. Faktu, że nawet w chwili pełnej wspólnoty interesu, unia dynastyczna słabo koordynuje aktywność połączonych nią państw, a jeśli ich interesy stają się sprzeczne, nigdy nie zapobiega dysonansom.

Całe doświadczenie Madrytu i Wiednia pod rządami Habsburgów, od Karola I (†1558) po Karola II, potwierdzało to na tyle oczywiście, by mogło upewniać Leopolda I dodatkowo, że dynastyczna unia Paryża i Madrytu pod rządami Burbonów raczej nie godzi w interesy Cesarstwa. Z kolei w Londynie, planom wojennym króla Wilhelma III opór stawiała opinia publiczna, co znalazło mocny wyraz w postawie Izby Gmin i w publicystyce. Trudno przecież sądzić, że do jej zmiany doszło pod wpływem elokwencji Johna Churchilla 1-szego diuka Marlborough (†1722), który potrzebę wojny z Francją uzasadniał koniecznością przywrócenia Europie *równowagi sił* (*the balance of power*) – według niego – zakłóconej jej unią dynastyczną z Hiszpanią. Ostateczne osiągnięcie zgody Izby Gmin – opanowanej przez znajdujących się w opozycji *torysów* – zawdzięczał rząd działaniom dwojakim: dyskretnym⁴⁰ i oficjalnym. Co jasne, jedynie w tych drugich upatrywać można, nawet jeśli nie wyraz intencji osobistych, to przecież intencji, które ogół skłonny jest uznać za zgodne z jego dobrem. I, co równie jasne, to właśnie ta intencja jako „wola ogółu”, usprawiedliwia decyzje rządu podjęte dla jej realizacji. W tym również decyzje o wojnie. Tymczasem rząd ogłaszał z nabożeństwem, że bronić pragnie dóbr pojętych ogólnie jako *interes protestancki* (*the Protestant interest*), zresztą bynajmniej nie wyłącznie angielski, bo także europejski. Oznaczało to, że tendencję konfigurującą układ sił do wojny – mało pożądaną na większości Dworów – powoduje ten sam wyznaniowy *network*, który na europejskie konflikty miał wpływ walny już w wieku XVI. Całe polskie i ogólnoeuropejskie doświadczenie dwóch przeto stuleci – w którym rodzina Jakuba Sobieskiego miała udział dający głębsze pojęcie o możliwościach owego *networku* – pozwalało doskonale rozeznawać skutki tak prawdopodobnego zwycięstwa królewicza. Nie mógł on nie przewidywać

⁴⁰ Odnosząc się do zjawiska korupcji – w Anglii rozległego wtedy nie mniej niż w Polsce – sir Robert Walpole, przyszły premier z partii *wigów* opowiadał, że pośtom płacił, by mogli głosować zgodnie z własnym sumieniem.

impetu, z jakim *network* ten zwróci się przeciw niemu i Rzeczypospolitej – impetu jaki byłby tym większy, im bardziej by jego wybór wzmacniał tendencję pokojową⁴¹.

Jeszcze przecież przed początkiem wojennego dramatu, wciąż przy niejaśności co do scenariusza i obsady ról na zachodnim planie sceny, prawdopodobna była inauguracja akcji na planie środkowoeuropejskim, by zabezpieczyć jej rozwinięcie na planie zachodnim już w akcie następnym. A to wiązało się z prawdopodobieństwem pewnego odosobnienia – nawet w stosunkach z potencjalnymi sprzymierzeńcami – w jakiej przychodziłoby Rzeczypospolitej w pierwszym akcie wojny walczyć samotnie i negocjować z nimi warunki przymierza. Stąd też nie tylko dla interpretacji przebiegu i wyniku bezkrólewia po Janie III, lecz i by zbliżyć się do momentu węzłowego w historii polityki polskiej, słuszną wydaje się uprzednia refleksja w kwestii być może zaskakującej, bo o naturze etycznej. W kwestii więc odpowiedzialności – nie tej przed elektoratem, a właśnie przed Bogiem i historią.

Brak najmniejszej wątpliwości, że rezygnacja z przyjęcia władzy królewskiej wyłącznie z niedostatku odwagi potrzebnej do stawienia czoła zagrożeniom państwa, stanowiłaby akt, co następcy tronu w monarchii dziedzicznej nie przynosi chwały. Korona dziedziczna dla jej dziedzica stanowi dobro niezbywalne jakiego nikt mu odebrać nie może, a jakie tylko z racji najwyższych można przenieść na osobę i w trybie wskazanym przez prawo. Sprawą honoru dziedzica jest tym skwapliwiej przyjąć Koronę przodków-pomazańców Bożych, w im większej obierzy znalazło się państwo. Jego zapał ugina krnąbrnych i uśmierza wewnętrzne waśnie, a z narodu dobywa energię, jakiej spodziewałoby się niewielu. Rzecz w tym, że Jakub Sobieski nie był dziedzicem Korony dziedzicznej, bo taką Korona Pierwszej Rzeczy-

⁴¹ Ściśle rzecz biorąc szło tu o interesy nie tyle protestanckie, ile kalwińskie, których orędownikami mianowali się obserwanci skrajnej redakcji tego wyznania – w Holandii *gomaryści*, a w Anglii *purytanie*. O tym zaś, jak nie po drodze było angielskim purytanom z głównym nurtem lokalnego protestantyzmu, zintegrowanym w *kościół anglikański*, przekonuje choćby nękanie rządowe, jakiego ofiarą padł pastor Henry Sacheverell (†1724) – idol ówczesnej opozycji – którego wystąpienia, jedynie zdawkowo kraszone wyrazem nieufności należnej papieżowi, przepełniał żarliwy lęk o przyszłość kraju rządzonego przez ludzi *chwalebnej rewolucji* 1688 roku, jak też Wiary zagrożonej, jego zdaniem, przez purytański zabobon dotkliwiej, w porównaniu z katolickim. Jednak ten rozłam w protestantyzmie angielskim tylko nieznacznie zmniejszał siłę apeli o protestancką solidarność, jako że również anglikańscy torysi – ci zwłaszcza, co podczas rewolucji opuścili katolickiego króla Jakuba II – woleli przetrwać rząd orański. Co dodatkowo przeczy, by to *wojna trzydziestoletnia* była ostatnią w Europie wojną wyznaniową.

pospolitej nie była. Była bowiem Pierwsza Rzeczpospolita – jak wiadomo – monarchią elekcyjną. Jej ustroj choć już rozpoznany w swej specyfice, to wciąż definiowany zacierającymi tę specyfikę terminami – *demokracja szlachecka* i *oligarchia magnacka* – wbrew znanym pomówieniom na pewno nie upośledzał władzy króla. Czynił ją nawet bardziej efektywną, w porównaniu z realiami wielu monarchii dziedzicznych. Co jednak tu istotne najbardziej, jego odmiana *republikańska* – to jest *ustroj mieszany*, jak definiowano ją ówczasie – nadawała władzy króla Rzeczypospolitej normę czyniącą go jej pierwszym obywatelem. Z dóbr politycznych po ojcu-królu odziedziczył więc królewicz jedynie obywatelstwo, dobro przeto zrównujące go z obywatelami pozostałymi, skoro słuszny jest pogląd, że norma ustrojowa Rzeczypospolitej potencjalnie królem czyni każdego z nich. To, czy odziedziczył po nim także przymioty nadające mu ów monarszy prymat obywatelski, ustrojowa norma pozostawiała do uznania obywatelskiemu narodowi. Co też dokonywało się w demokratycznym wyborze powszechnym elekcją *viritim*, to jest w momencie centralnym procedury normującej bezkrólewie, która swoją integralność powierzała arystokratycznemu składnikowi *ustroju mieszanego* – senatowi z prymasem Polski na czele.

Wszystko to musiało dodatkowo motywować Jakuba Sobieskiego, by obywatelskiemu względowi na wewnętrzne i zewnętrzne bezpieczeństwo Rzeczypospolitej, w drodze do urzędu jej pierwszego obywatela, dawał wyraz przejrzysty każdym swoim krokiem. Nie mógł więc nie zwracać uwagi na to, że jeszcze niemal nim uczynił krok pierwszy, już kraj obiegała plotka o sporze jego i matki o schedę zmarłego króla – plotka, której bezpodstawność⁴² nie zapobiegała przecie zgorszeniu wszystkich przekonanych, że od syna francuskiej matki trudno oczekiwać cokolwiek dobrego. W szarym Stanie Rycerskim nie brakło ludzi tego pewnych, którzy więc aktywność obu francuskich królowych – Marii Ludwiki i Marysienki – uznawali za zagrożenie ustroju. Pierwsze wycofanie się królewicza z zabiegów o wybór, mimo poparcia jakim królowa zdezwuowała plotkę, stanowiło odpowiedź daną nieprzyjaznej mu propagandzie, kierowanej do szerokiej opinii publicznej. Powrót królewicza do współzawodnictwa wskazywałby, że nie była to propa-

⁴² Głęboki związek uczuciowy spajający rodzeństwo Sobieskich z jednej strony, a z drugiej przykładowa miłość ich rodziców, wraz z dowodami odwzajemnianego przywiązania królowej do jej dzieci, przy braku ich rywalizacji o prymat i wzruszającym uznawaniu przez młodszych przywództwa Jakuba, jako starszego, wszystko to świadczy o wzorcowym wręcz układzie stosunków rodzinnych.

ganda zbyt skuteczna, a nadto – po ponad dwudziestu latach rządów zmarłego króla – zdecydowana większość Stanu Senatorskiego, a więc pochodzącej z jego mianowania elity władzy, w większości raczej nie myślała o kandydaturze innej, niż jego syna⁴³. Dopiero jego rezygnacja powtórna, już w finale wyboru, oddała elekcyjne pole dwom kandydatom, to jest popieranemu przez Paryż księciu Franciszkowi Ludwikowi Burbonowi de Conti (†1709)⁴⁴ i zalecanemu z Wiednia, elektorowi saskiemu Fryderykowi Augustowi Wettynowi – w Polsce zapamiętanemu jako August II Mocny. Pierwszego, za wolą większości, proklamował królem prymas Michał Radziejowski (†1705), drugiego biskup kujawski Stanisław Dąbski (†1700) – obaj dotąd stojący przy królewiczu. Z niebezpieczeństwem elekcji podwójnej, co prawda nie pierwszej, królewicz z pewnością musiał się liczyć. Wprawdzie bezpośrednie konsekwencje tej raczej nie odstawały od przypadków poprzednich. Ale nie unieważnia to jednak pytania o owo zagrożenie większe, jakiego taki krok królewicza zaoszczędzał Rzeczypospolitej.

Z pewnością nie było to zagrożenie ze wschodu, stwarzane ekspansjonizmem Rosji – cudem ratowanej z opał, w jaką ją wkrótce wpędził Karol XII Szwedzki, a później karconej przez przeżywającą zmierzch swej potęgi Turcję. Wprawdzie bowiem inspirowany z Wiednia car Piotr I (†1725), na elekcję wysłał rekomendację dla kandydatury saskiej, a na wschodnią granicę Rzeczypospolitej oddział wojska. To jednak nie tylko nie zaskakiwało, ale wręcz potwierdzało trafność analizy lokalizującej zagrożenie po stronie geograficznie przeciwnej. Swą rekomendację car ekspediował z Królewca – gdzie od miesiąca podejmował go, na razie ksiązę, a rychło król pruski – Fryderyk Hohenzollern. Dwór zaś w Królewcu był jednym z głównych elementów konfiguracji, w której – w przeddzień *wojny sukcesyjnej hiszpańskiej* – chciał *network* kalwiński obok Londynu i Hagi posadowić też katolicki Wiedeń

⁴³ Zdaje się za tym przekonująco przemawiać fakt, że z senatorów popierających na elekcji obie najmocniejsze kandydatury – poza kandydaturą królewicza – większość zgłosiła do nich akces dopiero po jego rezygnacji; przedtem zaś – jak się wydaje – niemal wszyscy opowiadali się za nim.

⁴⁴ Był ksiązę de Conti bratankiem księcia Henryka-Juliusza Burbona de Condé (†1709) – przez swoją ciotkę Marię-Ludwikę Gonzagę królową Polski przewidywanego na następcę króla Jana Kazimierza – oraz mężem jego córki, księżniczki Marii-Teresy (†1732). Ich z kolei córkę, księżniczkę Marię-Annę (†1720), w roku 1713 (więc już po śmierci ojca) pojął ksiązę Ludwik-Henryk Burbon de Condé (†1740), w latach 1715-1723 marionetkowy szef ubezwłasnowolnionej przez Filipa Orleańskiego Rady Regencyjnej. Dodatkowo ukazuje to dystans, jaki od republikańskiej *partii dewotów* dzielił kandydata Francji z roku 1697 do polskiej Korony.

i luteriański Hanower. Trudno orzec, na ile gra wpływów, jakiej podlegały procesy decyzyjne na Dworach wiedeńskim i paryskim, przesądziła o nie poparciu przez nie Jakuba Sobieskiego. A przez to i o nie zawsze w podobnych przypadkach spotykanej stanowczości, z jaką tym razem poparły one swoich – acz nie całkiem własnych – kandydatów oficjalnych. Wydaje się natomiast, że właśnie owa stanowczość, w istocie po stronie tendencji wojennej, skłoniła królewicza, by się wycofał z zawodów, jakie po stronie tendencji pokojowej plasowały go obiektywnie. I chociaż jego ustąpienie przyczyniło się jakoś do przewyciężenia tendencji pokojowej przez wojenną, to Rzeczypospolitej oszczędziło próbę sił z tą drugą, wtedy biorącą górę na zachodzie. Próbę nieuniknioną, gdyby nie ustąpił i wygrał.

Analiza położenia, w jakim zapadła decyzja o ustąpieniu królewicza, obiektywizowana obiema perspektywami – wstecz i wprzód procesu historycznego, którego było ono rozdrożem – wykazuje jej słuszność. Rzeczpospolita elekcji 1697 roku, nie była Rzeczpospolitą elekcji o ponad sto lat wcześniejszej, która na Tron powołała Zygmunta III Wazę, w roku 1587. Tamtą stać było na ryzyko stwarzane analogicznym sensem tego wyboru – podobnie pacyfikującego relacje wewnątrz europejskie, antagonizowane zbliżoną tendencją wojenną. Podjąć je bowiem pozwalała kondycja obywatelskiego ogółu, umożliwiająca korzystanie z dobrodziejstw *ustroju mieszanego*, zahartowanego przejściami obu bezkrólewí poprzednich, a i przypadkiem elekcji podwójnej. Owych ponad sto burzliwych lat, w tym „złote czasy władysławowskie” – jak lata 1632-1648, spędzone pod berłem Władysława IV, zapamiętała legenda – zmieniło narodową kondycję i stan ustrojowego instrumentarium⁴⁵. Poziom tej pierwszej jeszcze Zygmuntovi III ułatwiał – raz bardziej raz mniej – neutralizację dywersji jaką niezadowoleni możni torpedowali procedurę zgody sejmowej – wymiernej również fiskalnie, a niezbędnej do utrzymania kursu zewnętrznej polityki państwa. Już przecież za jego synów, Władysława IV i Jana Kazimierza, gra tych samych ambicji zdeformowała ustrojowe instrumentarium. Stało się to w procesie, którego akt kluczowy – pierwsze skuteczne *liberum veto*, na Sejmie 1652 roku

⁴⁵ Rzetelność z jaką za długich rządów Zygmunta III *monarchiczny* czynnik ustroju Rzeczypospolitej respektował normy konstytucyjne, wraz z postawą Stanu Rycerskiego jako jego czynnika *demokratycznego* – rozumiejącego normy te i w swej większości chcącego je przestrzegać – oddalała zagrożenie praktyki politycznej nieuniknione, gdy ambicja urzędników rozmija się z interesem państwa. Co zachodziło, kiedy Stan Senatorski – reprezentujący *arystokratyczny* czynnik ustroju, czyli w przypadku polskim elitę urzędniczą – przestawał służyć zasadzie, która widziała w nim *stan pośredniczący* (*ordo intermedius*) między interesem państwa i interesem obywatela.

– godząc w Koło Poselskie, reprezentujące Stan Rycerski, obezwładnił demokratyczny czynnik ustroju. Niejako automatycznie, próżnię spowodowaną jego wykluczeniem poczęły zagospodarowywać fakcje, integrowane zwykle wokół senatorów najbardziej wpływowych. A to otwierało drogę do transformacji *ustroju mieszanego w oligarchię*. Co znamienne, pozbawiony tym sposobem konstytucyjnego forum ekspresji, czyli Koła Poselskiego na Sejmie Walnym, demokratyczny czynnik jeszcze w 1669 roku manifestował wstręt do drogi takiej, w czasie elekcji pierwszego króla-rodaka, Michała Korybuta. Przybył bowiem na nią Stan Rycerski nie tylko tłumnie, ale i z determinacją, jakiej dał wyraz strzelając w stronę szopy, w której Stan Senatorski obrady swe celebrował zbyt powoli. Teraz, na elekcji roku 1697 stawiał się nawet tłumnie, z pewnie nie słabszą determinacją, ale nie posiadającą już dawnego znaczenia.

Działo się tak nie jedynie dlatego, że doznanie siły udzielone rzeszy, którą zgromadził akt potwierdzający jej władzę, tylko chwilowo podcinało polipa fakcyjności. Przede wszystkim stąd, że przy tym nie prostowała się zgarbiona oligarchią postać życia politycznego. Nie mógł by jej przecież wyprostować nawet zwycięski spisek pragnących tego oligarchów, przeciw ich kolegom, dla których byłoby to klęską. Zwyciężczynią bowiem wojny oligarchów bywa jedynie oligarchia. Oligarchia coraz silniejsza, choć – paradoksalnie – wykonywana przez oligarchów coraz słabszych, ale w stosunku do wspólnoty obywateli wymagającej coraz mniej. Instynkt samozachowawczy zmniejsza wprawdzie aprobatę jednostek dla oligarchii – najwyższą, rzecz prosta – u szczytów klientalnej hierarchii stronników oligarchy, najniższą zaś w ich zespole najszerszym, u jej podstawy. Studząc tym sposobem zapał czynnika decydującego o wyniku gry, instynkt samozachowawczy ogranicza rozłamowy wpływ działania oligarchów na opinię publiczną. Ale – zmniejszając determinację wszystkich stronnictw w chwili próby – rozbraja również stronnictwo integrowane intencją choćby w najwyższym stopniu czystą i rozsądną⁴⁶. Trudno sądzić, by królewicz Jakub

⁴⁶ Wydaje się, że są dwa ważne powody, dla których szeregowi członkowie faksji oligarchicznych zachowują się wstrzemięźliwie, gdy przychodzi im dać dowód gotowości do poświęceń. Z obu tych powodów mniej ważna jest chyba obawa uszczerbku, bądź niedostatku zysku, w zakresie dóbr prywatnych – w związku z udziałem w faksji – tak dóbr honorowych jak materialnych. Im bardziej jednostka jest ostrożna pod tym względem, oraz im słabiej rozpoznaje ona realia, tym łatwiej ulega dywersji ze strony faksji konkurujących. Zapewne ważniejszy jest lęk o dobro jakie zintegrowało faksję, gdy jest ono tym dobrem, do którego każdy z jej uczestników garnał się równie instynktownie, a to stąd, że było ono dlań dobrem udziału w jedności szczególnej. W jedności w istocie zdolnej składać wszystko, co rozpada się społecznie, a co trwa jeszcze całe – podnosić. Takiej, co jednoczyć zwykła w sprawie Ojczyzny. Jednak jej

nie wiedział, jaką zagadkę przedstawia stałość nastroju jego ewentualnych elektorów, nie tylko zresztą na polu elekcyjnym, bo także po ich powrocie do domów. Mało w tej mierze zachęcające doświadczenia jego wielkiego ojca z pewnością nie były mu nieznane. W obliczu zagadki takiej tym bardziej musiały niepokoić informacje, które dowodziły, że w Wiedniu i w Paryżu górę bierze myśl o tym razem integralnej obronie sprawy własnego kandydata. Nie mogła stąd nie zaważyć na decyzji świadomość, którą królewicz po ojcu miał niejako we krwi – jak jego matka miała politykę francuską – o wrażliwości polskiej opinii na ów prący do wojny *network*, któremu psułoby szyki jego zwycięstwo. Wszystko to, z ewentualnym zwycięstwem królewicza wiązało ryzyko dla Rzeczypospolitej wtedy nadmierne.

Trudno ocenić, w jakim stopniu i na ile głębokie zrozumienie okoliczności, a na ile instynkt polityczny – w tym i nakaz, co każe *konsulom pilnować, by niebezpieczeństwo żadne Rzeczypospolitej nie zagroziło* (*caveant consules ne quid detrimenti respublica capiat*) – stały za decyzją królewicza o wycofaniu się ze współzawodnictwa. Natomiast miał królewicz Jakub Sobieski z pewnością głębokie wyczucie bezpośredniej przyczyny sprawczej politycznego procesu, jaki degradował kondycję państwa. Głęboka oligarchizacja życia publicznego nie była bowiem fenomenem niedostrzeganym przez współczesnych – co prawda przez nielicznych. Opinia jednego z nich w tej kwestii, kasztelana chełmińskiego Kazimierza Zawadzkiego (†1692)⁴⁷ – opublikowana nie bez narażenia się autora na głośny proces sądowy – tym bliższa musiała być królewiczowi, że głosił ją bliski współpracownik jego ojca. Tymczasem wnikliwość oglądu deformacji ustroju i ostrość jej związłego opisu, wysoko sytuują myśl kasztelana w dorobku refleksji politycznej, jaka optymalną formę państwa

dobrym synom, właśnie tak rzecz widzącym, dramaturgia gry oligarchów narzuca obowiązek, by współobywatelom z innych faksji – tonem znanym z Przypowieści – nie dawać powodu do myśli, że mają ich za synów marnotrawnych. Rzecz prosta w każdym pokoleniu Ojczyzny każdej, przewaga liczbowa jest raczej po stronie jednostek motywowanych bardziej powodem pierwszym, niż drugim. Doświadczenie dowodzi jednak większej wagi drugiego. Zna ono – tyle, że nie z praktyki oligarchii – przypadki, gdy motywowana nim mniejszość daje skutecznie przykład większości, skoro ta na godzinę próby odkłada wzgląd na powód pierwszy. Ale ukazuje też doświadczenie skuteczność, z jaką oligarchia jako system, rzuca cień na przywódcę faksji każdej – cień, w którym jawi się on wyłącznie jednym z oligarchów.

⁴⁷ Co znamienne, łączył kasztelan chełmiński talent analytyka polityki wewnętrznej z piękną tradycją rodziny – był czwartym pokoleniem działaczy głęboko wprowadzonych w polską politykę zachodnią, zwłaszcza bałtycką. Był też rzecznikiem rewindykacji Prus Książęcych przez odebranie ich Fryderykowi Wilhelmowi Hohenzollernowi (†1688), zwolnionemu z zależności lennej od Korony Polskiej w roku 1657.

upatruje w *ustroju mieszanym*. Refleksji więc, która nie tylko neguje rzekomą sprzeczność dwóch dóbr podstawowych – to jest wolności obywatelskiej i siły władzy państwowej – ale stwierdza ich pełną kompatybilność. Obroną wolności obywatelskich równie namiętną jak jego obrona autorytetu monarchy, gromił Zawadzki możnych winiąc ich za paraliż systemu. Uderzał w ton podobny temu, jakim półtora wieku wstecz *egzekucjoniści* akcentowali cele swojej reformy państwa, gdy podkomorzy chełmski Mikołaj Sienicki (†1581) mówił, że *taka była intencja tej egzekucji naszej, abyśmy rząd mieli*, a Łukasz Górnicki (†1603) wyrażał pragnienie każdego – *by sąsiad możny tyranem mu nie był*. Instynktowne czy przemyślane, odejście królewicza od współzawodnictwa o Koronę w tych okolicznościach, obiektywnie dystansowało go od systemowej patologii, jakiej zaradzić można było wyłącznie z dostatecznego dystansu. Takiego, co od obłędu oligarchii oddalałby nie tylko jego koncepcję polityczną, ale też jego polityczny wizerunek. Fakcyjność życia publicznego, nasilająca się z biegiem XVII wieku – a praktykowana i potępiana dość zgodnie – nie wykarczowała przecież pewności, z jaką u schyłku wieku XVI ganił ją nieznany autor *Miłośnika Ojczyzny* pisząc *bo gdzie fakcje nie będą miały od swoich potężności, gdzie pryncypałowie adherentów mieć nie będą, gdzie więcej każdemu miłsze zdrowie Ojczyzny niż powinno swego, tam ustać prędko muszą*. Obiektywnie, decyzja Jakuba Sobieskiego mieściła się w dobrym tonie staropolskiej kultury politycznej, czyli głównego źródła powodzeń Pierwszej Rzeczypospolitej.

Skoro zaś, czego również i my mamy pewność, to nie strategia – wyrafinowana nawet najbardziej – przesądza o skutku działań zbiorowych, lecz sprawia to, już u ich fundamentu, obiektywny stan kultury, wypada uznać słuszność decyzji, którą podejmując odpowiadał na wyzwanie chwili i jednocześnie sam rzucał wyzwanie godne męża stanu. Niezależnie od tego, jaki odzew czekał je pośród jego stronników i obywatelskiego ogółu. Nie oznaczało ono ani odejścia królewicza z polityki, ani zmuszało popierającą go załogę senatorską, by państwową nawę opuściła, zostawiwszy przy sterze Augusta II, wybranego ostatecznie wszak dzięki niej. Pożałowania zaś godny stan ustrojowego instrumentarium, jakie miała ona do dyspozycji, nie dotyczył przecież tych instytucji, które były źródłem niepokoju przede wszystkim królów. Tego, że potrafiła zeń korzystać, dowiódł przebieg dwu burzliwych lat, które od rozdwojonej elekcji do lipca 1699 roku minęły tak, że nic w istocie nikomu się nie stało, natomiast układ „stronnictw” – przeformowany na czas współzawodnictwa o Koronę – odzyskał swoją postać z czasów króla Jana, tak

w sferze obsady ról ich przywódców, jak też kierunku ich animozji i sympatii, o ekspresji raczej rutynowej i mało dramatycznej⁴⁸. Nadto, transplantowana tułowiowi Rzeczypospolitej niemiecka głowa saskiego atlety z Drezna, przynajmniej w ciągu pierwszych pięciu lat po zabiegu, w sferze wewnętrznej nie dopuściła się aktów powodujących reakcję immunologiczną. Reakcję zapobiegającą wejściu Rzeczypospolitej na niewłaściwy kurs, jaki w roku 1699, w przededniu *wielkiej wojny północnej* (1700-1721), narzucił jej August II. To ta właśnie wojna, także wskutek specyfiki polskiego w niej udziału, wyklu-

⁴⁸ Z gracją, z jaką niepodważanie wierny Sobieskim prymas Michał Radziejowski (†1705) przeprowadził stronnikom księcia de Conti, by po przegranej zintegrować ich *rokoszem łowickim* – od września 1697 do maja 1698 roku, w dziejach Pierwszej Rzeczypospolitej ostatnim – i doprowadzić (w arcybiskupim Łowiczu) do ugody z monarchą, koresponduje obraz użytku z dwóch innych instytucji – *sejmu pacyfikacyjnego* i *liberum veto*. Pierwszą – mającą usmierzając kontrowersje pozostałe z elekcji – 28 kwietnia 1698 roku odłożyła na bok druga, już przed wyborem sejmowego marszałka, niby w prolegomenach do rokowań łowickich. Po to jednak, by użyteczność tego instrumentu ukazać na kolejnym Sejmie Pacyfikacyjnym, odprawionym latem 1699 roku pod laską referendarza wielkiego koronnego Stanisława Szczuki (†1710) – wybitnego męża stanu, rzecznika bałtyckich dążeń Jana III i przyjaciela prymasa. Pacyfikacja formalna, między nowoobsadzonym Tronem a przegranymi stronnikami księcia de Conti, dała osłonę tej mniej formalnej. W jej wyniku, do tych wyborców króla, którzy jako pierwsi dali mu poparcie po ustąpieniu królewicza – jak oddany Sobieskim hetman wielki koronny Stanisław Jan Jabłonowski (†1702), jego synowie i zięć, wojewoda poznański Rafał Leszczyński (†1703) z synem Stanisławem (†1766) – przyszłym królem, czy hetman polny koronny Feliks Kazimierz Potocki (†1702) też z potomkami – dołączyli i ci, co rezerwę do kandydatury saskiej łączyli z urazem do Jabłonowskich, jak: wojewoda bełski Adam Mikołaj Sieniawski (†1766) i synowie tragicznego rokoszanina Jerzego Lubomirskiego (†1667) – marszałek wielki koronny Stanisław Herakliusz (†1702) i marszałek nadworny Hieronim Augustyn (†1706), obaj mężowie wybitni. To, że polaryzacja w ramach układu zdeterminowanego animozjami i sympatiami możliwych za Jana III, pod nowym berłem odzyskała swą moc, dało się poznać choćby podczas wojny domowej w Wielkim Księstwie Litewskim (1700), gdy Lubomirscy wsparli obóz sapieżyński, zaś Adam Mikołaj Sieniawski *republikantów* i kanclerza wielkiego litewskiego Karola Stanisława Radziwiłła (†1719), tak zresztą, jak i inni wierni integracji skupionej charyzmą Jana III, choćby Stanisław Ernest Denhoff (†1728), stojący przy Augustie w pierwszej fazie jego rządów. Faktu, że po bezkrólewiu stary układ zameldował się w swojej postaci pierwotnej, nie zmieniała istotna na dalszą przyszłość nowinka personalna. Stanowił ją awans do najściślejszego kręgu władzy kasztelana chełmińskiego Jana Jerzego Przebendowskiego (†1729) i Jakuba Henryka Fleminga (†1728), spowinowaconych ze sobą, a wśród możliwych Rzeczypospolitej ludzi nowych – rychło przecież „aklimatyzowanych” małżeństwami z Radziwiłłami i Sapiehami. Nowiną podobną było zapewne pojawienie się w gronie urzędników centralnych – po kilkupokoleniowej nieobecności – członka rodu Czartoryskich, księcia Kazimierza (1741) podskarbiego wielkiego litewskiego, człowieka talentów miernych, lecz żonatego z Izabelą Morsztynówną (†1758), córką Jana Andrzeja (†1693), faktyczną założycielką *familii* i teściową protegowanego przez Sapiechów innego nuworysza – Stanisława Poniatowskiego (†1762), ojca ostatniego króla Rzeczypospolitej.

czyła – podczas wojny Francji i Hiszpanii z koalicją niechętną logice *Traktatu Pirenejskiego* – realizację postulatów, jakie swoją logiką sugerował bliźniaczy *Traktat Oliwski*. Przede wszystkim jednak, domowe burze w państwie pogrążonym w zamęcie wojny doprowadziły dekompozycję jego ustroju do stanu nieodwracalności, dobrze znanego z sasko-stanisławowskiej epoki schyłku Pierwszej Rzeczypospolitej.

Myślimy, że będąc walną blokadą reformy państwa utrzymanej w standardzie *ustroju mieszanego*, stan taki wiązał się z inną doniosłą zmianą. Zmianą, która pogłębiła degradację wyobrażenia i praktyki władzy politycznej, sygnalizowaną dotąd przypadkami izolowanymi – coraz przecież liczniejszymi, im bliższy stawał się przełom z lat 1696-1717. Już wcześniej – tak jak zawsze – z wyobrażeniem i praktyką władzy politycznej jako służby wewnętrznemu i zewnętrznemu bezpieczeństwu państwa, rywalizowała praktyka władzy politycznej – oraz jej pojęcie – jako narzędzia *uzyskiwania korzyści osobistych*. Natomiast od czasu przełomu jawi się władza polityczna, już omal wyłącznie, jako narzędzie *ich podziału*. Zakres owego „omal” był mały, skoro pomijało ono główne funkcje państwa uprzedmiotowionego przez *układ*. Ale mieściło ono w sobie paradoksalną rękojmię trwałości zdobytej przezeń dominacji, którą to rękojmią była jego niezdolność szczególna. *Układ* niezdolny bowiem wyrwać państwo z dryfu w relacjach zewnętrznych, swoją dominację w wewnętrznych zawdzięczał paraliżowi, jakiemu uległ obywatelski ogół. Ogół od realnej praktyki politycznej odsunięty i tym samym niezdolny dać państwu siły niezbędne dla jego uwolnienia z dryfu. Tymczasem niezdolność do reformy stosunków wewnętrznych – ów koszt dominacji *układu* – mnożyła podatność jego podmiotów na inspirację zewnętrzną z różnych stron, z różnych też stron legitymizując ich autorytet w ich stosunkach wzajemnych. Sposobem takim zdegenerowana relacja wewnętrznych spraw sasko-stanisławowskiej Rzeczypospolitej do jej spraw zewnętrznych, wygenerowała proces, w którym realia oznaczane terminem *polityka polska*, zastąpione zostały znanymi realiami tak zwanej *sprawy polskiej*.

Zmianie charakteru stosunków politycznych wewnątrz Rzeczypospolitej i zwińczeniu dekompozycji *ustroju mieszanego* w latach 1696-1717, od samego ich początku towarzyszyła rewolucja w stosunkach na Kontynencie, zainaugurowana przez Augusta II posunięciem, które – w perspektywie *wielkiej wojny północnej* – nadało polityce polskiej kurs najzupełniej sprzeczny z logiką *Traktatu Oliwskiego*. Wiodąc do ruiny realiów o traktat ten opartych, kurs ów sprzyjał konfigurowaniu zabójczego dla Rzeczypo-

spolitej układu stosunków bałtyckich⁴⁹. Co jasne, nie mogła zapobiec temu jej neutralność, czyniąca udział Augusta II w wojnie ze Szwecją sprawą elektora Saksonii. Nie zaoszczędziła też jej samej zniszczeń wojennych. Co pewne, to nie jakiś resentyment powodowany długotrwałym konfliktem Polski i Szwecji, któremu w roku 1660 położył kres *Traktat Oliwski*, pozwolił królowi Augustowi otrzymać to, czego polska opinia tak bardzo obawiała się użyć jego poprzednikom – kiedy mogło to być dla Rzeczypospolitej pożyteczne – a co on otrzymał, gdy było to dla niej zgubne. Pozwolenie królowi na niejako „prywatny” – ze stanowiska Polski – udział w wojnie ze Szwecją, było dwójako niedorzeczne. Godziło w duch *Traktatu Oliwskiego*, który wykluczał konflikt Polski i Szwecji o władztwo bałtyckie – zostawione wprawdzie straży militarnej tej drugiej, ale bez wyraźnego uszczerbku dla wielokrotnie większego potencjału ekonomicznego pierwszej. Obowiązek zaś przestrzegania ustalonego w nim ładu nakładał na wszystkie strony porozumienia. To jest nie tylko na nieskore godzić się z ładem tym podmioty nadbałtyckie – Danię i od 1658 roku już suwerenne Księstwo Pruskie – lecz też na Wiedeń i na Paryż. A więc na podmioty, które w grze o kontynentalną dominację, nieraz dokonywały dywersji polskiej polityki bałtyckiej. Z udziałem Augusta II w wojnie Danii ze Szwecją – bez czego albo by do niej nie doszło, albo by miała ona skalę niewspółmiernie mniejszą i jesz-

⁴⁹ August II zawierając jesienią 1699 roku skierowane przeciwko Szwecji sojusze z królem Danii Fryderykiem IV (†1730) i carem Piotrem I (†1725), a w lutym 1700 tajny układ z elektorem brandenburskim Fryderykiem, przeciwstawił chwilowo Rzeczpospolitą aliansowi, od początku roku 1695 formowanemu przez króla Wilhelma III i pensjonariusza Heinsiusa, a łączącemu pod egidą Anglii i Holandii północne państwa Rzeszy – w tym Elektorat Hanoweru, od roku 1698 rządzony przez elektora Jerzego I, przyszłego króla Anglii. Celem strategicznym tego aliansu było zapobieżenie unii dynastycznej Francji i Hiszpanii. Środkiem zaś taktycznym – wykluczenie groźby pogodzenia się z unią taką Wiednia i ewentualnych akcji przyjaznych Francji w regionie Bałtyku. Pretekstu do realizacji celu taktycznego dostarczył Fryderyk IV Duński – od początku 1700 roku zbrojnie naciskający na swego krewniaka, księcia Fryderyka IV Holsztyńskiego (†1702), za którym ujął się – od lutego atakowany w Inflantach przez wojska saskie i rosyjskie – jego szwagier Karol XII (†1718) król Szwecji. Na przełomie lipca i sierpnia wylądował on w Danii i zbombardował Kopenhagę. Interwencja dyplomatyczna aliansu kierowanego z Londynu i Hagi – z mocnym akcentem wizyty na Bałtyku flot, którymi dowodzili kombatanci z inwazji Wilhelma III na Anglię w dobie *Glorious Revolution*, admirałowie George Rooke (†1709) i Philips van Almonde (†1711) – już w sierpniu 1700 roku owocowała separatystycznym *pokojem w Traventhal*. W efekcie Szwecja, tradycyjny sprzymierzeniec Francji, pozostała w wojnie z Rosją, związana nią przez dwadzieścia lat następnych, natomiast Dania poczuła się zobowiązana podpisać *Traktat Haski*, który jesienią roku 1701 powołał koalicję przeciwną Francji i Hiszpanii.

cze mniejsze skutki⁵⁰ – wiązały się dwa znane dobrze akty o najbardziej dalekosiężnym znaczeniu strategicznym. Prawno-międzynarodowa sankcja arbitrażu Anglii w stosunkach nadbałtyckich, jako gwarantki *pokoju w Traventhal* z sierpnia 1700 roku i koronacja księcia Fryderyka na pierwszego króla Prus w styczniu 1701 – za zgodą cesarza Leopolda, zyskaną miesiąc wcześniej⁵¹. Po drugie, jaskrawo niedorzeczne pogwałcenie ducha *Traktatu Oliwskiego* ową tak niezwykłą „neutralnością” polityki polskiej w dobie aranżacji *wielkiej wojny północnej*, radykalnie obniżało jej autorytet.

Epizod „neutralności” polityki polskiej w ciągu owych kilkunastu miesięcy przełomu XVII i XVIII wieku, oczywiście nie obył się bez przyczyny bezpośredniej. Pośrednio miał ją w braku kielzna, jakie indywidualnym ambicjom członków elity politycznej narzuca powaga Rzeczypospolitej, kiedy za jej Głową stoi ród rodzimych królów, albo charyzma męża stanu sprawującego władzę z wyboru ogółu i bez jego obrazy. Choć urząd króla pełnił, Głową taką August II nie był. Toteż dzierżone przezeń, podstawowe narzędzie polityki codziennej – jakim jest dysponowanie urzędami – traciło swoją moc, korygującą ambicje chętnych względem na dobro państwa. Już w przeszłości uszkodzane przypadkami użycia mylnego, teraz stawało się ono narzędziem głównie manipulacji tym niebezpieczniejszej, im mniej z dobrem państwa liczył się sam król. Stawało się więc płaszczyzną kontaktu w istocie bezpośredniego – ambicji wewnętrznych z zewnętrznymi. Toteż za właśnie z takiego kontaktu wynikła „neutralnością” polityki polskiej, jako przyczyna bezpośrednia trwał wtedy duch gry dominujących rodzin. To brak kielznającego wpływu autorytetu Państwa, jaki bezpośrednio takiej by zapobiegał, traciło ono władzę nad swoimi sprawami, a stawało przedmiotem spraw podmiotów innych.

⁵⁰ Mimo przyjęcia zgotowanego carowi Piotrowi I w Królewcu, Hadze i Londynie – podczas jego pierwszej podróży studialnej na Zachód, od wiosny 1697 roku do jesieni następnego – trudno sobie wyobrazić, by był on skłonny rzucić rękawicę Karolowi XII bez pewności, że to samo uczyni następca Jagiellonów, Wazów i Jana III (czego w takiej sytuacji żaden z nich by nie zrobił), a co saski osiłek moskiewskiemu modernizatorowi przyrzekł w sierpniu 1698 roku, przy pijatce utwierdzającej obie strony w dobrej wierze, w Rawie Ruskiej, gdzie go podjął, gdy ten wracał z Zachodu.

⁵¹ Uznanie królewskiego tytułu władców Królewca przez Wiedeń, Londyn, Hagę oraz Kopenhagę i Sztokholm (te ostatnie tu zgodne) z jednej strony, a z drugiej sprzeciw ze strony Stolicy Apostolskiej, Paryża i Madrytu, to fakty klarownie syntetyzujące obraz polaryzacji w Europie na progu XVIII wieku oraz otwartej nią perspektywy przyszłości. Nie mniej klarownie, polityczny a nawet mentalny stan wewnętrznego układu, jaki określał postawę Rzeczypospolitej w jej stosunkach zewnętrznych, dał tu o sobie znać brakiem formalnego sprzeciwu Polski.

Rzecz w tym, że duch gry wewnętrznej, który w przededniu *wielkiej wojny północnej* ułatwił jej wybuch nadając postawie Rzeczypospolitej ową zgubną „neutralność”, z nie mniej zgubnymi skutkami determinował również decyzje, jakie w ciągu następnych lat szesnastu – gdy na teren neutralnego państwa przeniosły się strony walczące – ponownie zostały podjęte w zgodzie z układem jego sił wewnętrznych. Sił, które biorąc odpowiedzialność już za *sprawę polską*, spolaryzowały się – właśnie wtedy po raz pierwszy – jako *orientacje*. Zorientowane na czynniki zewnętrzne w stopniu wystarczającym, by skutkiem ich rywalizacji stała się wojna domowa. Po inwazji Rzeczypospolitej (w roku 1702) przez Karola XII i detronizacji Augusta II przez zorientowaną na Francję i Szwecję *konfederację warszawską* oraz elekcji Stanisława Leszczyńskiego (luty-lipiec 1704), do wojny tej stanęła *orientacja sasko-rosyjska*, zintegrowana w *konfederacji sandomierskiej*. Przerwał ją we wrześniu roku 1706 *pokój w Altranstädt*, przez króla Szwecji podyktowany Augustowi II, który ustąpił, by powrócić po klęsce Karola XII pod Połtawą (lipiec 1709). W listopadzie 1715 podjęli ją *konfederaci tarnogrodzcy*, sprowokowani przede wszystkim zachowaniem saskich wojsk króla. Miały jednak tu pewien wpływ również nadzieje związane z kolejnym obrotem koniunktury europejskiej, zachodzącym już po *wojnie o sukcesję hiszpańską*, a w finale trwającej nadal *wielkiej wojny północnej*. To jest w dobie kolejnej polaryzacji, jaka – na przełomie lat 1716/1717 – rozszerzyła alians Anglii, Holandii i Francji w *alians poczwórny* z udziałem Austrii, by uprzeczyć ofensywę Hiszpanii dążącej do odzyskania strat z wojny sukcesyjnej. Ofensywa podjęta jesienią 1717 roku zakończyła się niepowodzeniem jesienią 1719. Jednakże 1 lutego 1717 roku jednodniowy Sejm Niemy, który zamknął dwadzieścia lat pełzający przewrót stosunków w Kraju i ustabilizował ich układ nowy – pozbawiony zdolności i woli potrzebnej do prowadzenia polityki wielkiej. W radykalnie zmienionej sytuacji europejskiej tylko taka przeciecz mogła ocalić Pierwszą Rzeczpospolitą.

Z przewrotem w planie kontynentalnym, obok awansu Prus, podniesionych do rangi królestwa, związał się nie mniej doniosły awans Rosji⁵². Dotąd

⁵² Autorytet cara Piotra I, jako sojusznika Anglii w *wojnie o sukcesję hiszpańską* – wzmocniony w roku 1709 jego zwycięstwem pod Połtawą, a w roku 1713 osłabiony *pokojem adriano-polskim*, jaki po *wojnie nad Prutem* Turcja narzuciła Rosji – po *pokoju w Utrechcie* nie mógł już imponować; tym bardziej po zmianie polityki francuskiej, w wyniku przewrotu, dokonanego po śmierci Ludwika XIV (1715), przez życzliwego Londynowi i Hadze księcia-regenta. Paradoksalnie, nie umocniła też prestiżu cara pomoc, jakiej sojusznikom z antyszwedzkiej koalicji udzielał na Pomorzu (od lata 1711 roku po jesień 1713), ani zajęcie Finlandii (w roku 1714). Wprawdzie jeszcze w październiku 1713 roku *Traktat w Szwedzt* przewidywał wspólny z Danią, Prusami i Saksonią udział Rosji w rozbiórce szwedzkiego władztwa na południowych brzegach

bowiem – podobnie zresztą jak w przypadku Prus, a wcześniej Zakonu Niemieckiego – stosunek potęg z zachodniej części Kontynentu do Moskwy pozostawał w planowaniu strategicznym przeważnie funkcją ich stosunków z Polską. Było tak już w wieku XV, gdy wspierani przez Jagiellonów wielcy książęta moskiewscy – jeszcze w początku XVI uznający zwierzchnictwo Złotej Hordy – rozpoczynali budowę Rosji z ziem Rusi Wschodniej, gdy Zachodnią od mongolskiego jarzma uwolniła inkorporacja, w części do Korony przez króla Kazimierza Wielkiego (†1370), a w części do Litwy, przez książąt Gedymina (†1341) i Olgierda (†1377). Nie inaczej też było w wiekach XVI i XVII. Dopiero brak podmiotowej obecności polityki polskiej w dobie *wielkiej wojny północnej* stworzył warunki, które pozwoliły jej zająć takie miejsce nad Bałtykiem, jakie ostatecznie wyznaczył Londyn⁵³. W porównaniu z pe-

Bałtyku, jednak już jesienią roku 1714 wszystkie brzegi Morza Północnego integrowała wola, by Morza Bałtyckiego zbyt szeroko przed Rosją nie otwierać. Wsparł ją walcie Londyn, gdzie po śmierci następczyni Wilhelma Orańskiego, królowej Anny Stuart (†1714) – niechętniej tak udziałowi Anglii w *wojnie o sukcesję hiszpańską*, jak wigom i potężnie finansowanej z Hagi kandydaturze elektora hanowerskiego, ukoronowanego jednak koroną brytyjską jako Jerzy I, w październiku 1714 roku. Do Londynu zjechał Jerzy I zbrojny w zawarte pół roku wcześniej przymierze z nowym królem Prus, Fryderykiem Wilhelmem I (†1740), swym siostrzeńcem i jednocześnie zięciem, wspólnie z którym – co prawda jako elektor – w roku 1715 wypowiedział wojnę Szwecji, latem wysławszy nad Bałtyk flotyllę pod dowództwem Johna Norrisa (†1749), by chronić swych aliantów bardziej przed Piotrem I, niż Karolem XII. Dopiero jesień 1717 roku przyniosła akcesję Rosji do *alianсу*, oficjalne wejście Anglii do wojny ze Szwecją i objęcie dowództwa flot sojusznicznych na Bałtyku przez admirała Norrisa.

⁵³ Trwające co najmniej od początku 1716 roku próby odrębnej pacyfikacji stosunków rosyjsko-szwedzkich, prawdopodobnie obustronne, kwitowały oziębienie stosunków Moskwy z Londynem – po zajęciu pałacu Św. Jakuba w roku 1714 przez Jerzego I – jak też rzuciło cień na jej stosunki z Wiedniem, teraz jeszcze bliższym Londynowi niż za Anny Stuart, a to z racji silnych związków, jakie w dwóch ostatnich pokoleniach połączyły Habsburgów z hanowerską linią Welfów. Zresztą sam trwał z nią w koligacji nawiązanej jeszcze w dobie miłości z *moćarstwami północy* w 1711, małżeństwem swego syna Aleksego (†1718) ze szwagierką cesarza Karola VI, księżną Szarlotą Krystyną (†1715) z linii brunszwickiej, matką cara Piotra II (†1730). Stąd sojuszników na północy Rzeszy znalazł car na dworach urażonych przewagą Hanoweru, czy też trudnym dla prawowiernej większości luteranńskiej do przyjęcia faworem, jakim na dworze Welfów cieszyli się kalwiniści. Znalazł więc ich Piotr I między innymi w Szwerynie, gdzie w kwietniu 1716 roku za księcia Karola Leopolda Meklemburskiego (†1747) wydał bratanicę – Katarzynę Iwanowną (†1733), babkę cara Iwana VI (†1764). Do tego też środowiska należał Georg Heinrich von Goertz (†1719) – wcześniej pierwszy minister Księstwa Holsztynu, a od 1715 roku kanclerz króla Karola XII i główny rzecznik skierowanego przeciw Anglii, separatystycznego pokoju Szwecji z Rosją. Zawarcie tego pokoju miało Karolowi XII umożliwić realizację planu – w wypadku powodzenia – przełomowego. Szwedzi – uwolnieni od frontu rosyjskiego mieliby wesprzeć powstanie w Anglii, pod sztandarem Jakuba III Stuarta (†1766) integrującym zarówno *underground* ja-

tersburskim oknem na Bałtyk – w roku 1721 poszerzonym o Inflanty, na mocy *traktatu w Nystadt* – analogiczne okno berlińskie dawało znacznie szerszą perspektywę środkowo-europejską. Wschodnia część Pomorza ze Szczecinem, Uznamem i Wolinem, którą przyznał Prusom w styczniu 1720 roku *traktat sztokholmski*, była wprawdzie porównywalna z Inflantami jeśli idzie o demografię i potencjał gospodarczy. Perspektywę jednak – wskutek specyfiki postawy obu państwowości w stosunkach międzynarodowych – wyznaczał czynnik inny. Skoro w absolutystycznej specyfice władzy, tak Prus jak Rosji, aktem legitymizującym państwo była ekspansja, to właśnie w jej perspektywie władza pojmowała realia zewnętrzne. Mierzyła zaś tę perspektywę stosunkiem rozmiaru korzyści z ekspansji, do rozmiaru jej kosztów.

Tymczasem w tak mierzonej perspektywie Petersburga bez wątpienia nie plasował się Gdańsk, którego potencjał mocno przeważał zsumowane potencjały Rygi i Szczecina, a od którego rosyjskie już Inflanty oddzielała Kurlandia, podległa zwierzchnictwu Rzeczypospolitej oraz dawne Prusy Książęce, do 1658 roku lenno Polski, a od 1701 wschodnia część Królestwa Prus. Stąd też Gdańsk, wpisany w tę dzielnicę Polski, która obie części królestwa Hohenzollernów przedzielała, sytuował się w perspektywie ekspansji Berlina. Natomiast w perspektywie Petersburga – wobec braku możliwości ekspansji na zachód południowym brzegiem Bałtyku – pomiar szans wskazywał na

kobicki i katolicki, jak opinię kościołów anglikańskiego i episkopalnego, wobec widowiskowej korupcji, jaka cechowała rządy rewolucjonistów z 1688 roku i ich kontynuatorów. Próby pozyskania cara dla tego planu, w którym Madryt reprezentował kardynał Alberoni, podjęte jeszcze jesienią 1716 roku, zakończyły się niepowodzeniem. Piotr I, po rozmowach wiosną 1717 w Paryżu z księciem-regentem, w początku sierpnia złożył w Amsterdamie tajny akces do *alian su potrójnego*. Trudno powiedzieć, czy uznanie w taki to sposób przez cara Piotra przywództwa Londynu i Wiednia pozostawało w jakimś związku z ucieczką do Wiednia carewicza Aleksego – zbiegłego jesienią 1716 roku, a sprowadzonego do Petersburga w styczniu 1718. Zapewne jednak uznaniu takiego właśnie przywództwa Europy zawdzięczał car Piotr Wielki możliwość zawarcia traktatu pokojowego z nowym już królem Szwecji – Fryderykiem I (†1751) – zobowiązującego Rosję do wycofania się z Finlandii, a poprzestania na Inflantach, zaś podpisanego w Nystadt, jednak dopiero w sierpniu 1721 roku. To jest w blisko trzy lata po śmierci Karola XII od skrytobójczej kuli (30 listopada 1718) i ścięciu ministra Goertza (19 lutego 1719 roku) z wyroku komisji królewskiej, powołanej przez nową władzę oraz po podpisaniu antyrosyjskiego układu Polski z Austrią i Anglią w Wiedniu (5 stycznia 1719), a wkrótce po wydaleniu z Warszawy posła Rosji, księcia Grigorija Dołgorukiego (†1751) – skądinąd „zasłużonego” w mediacji między *konfederatami tarnogrodzkimi* a Augustem II, której skutkiem był Sejm Niemy. W tych trzech latach doszło też do trzech wypraw admirała Norrisa na Bałtyk, w ramach pomocy, jakiej walczącemu z Moskwą Sztokholmowi udzielił Londyn, otrzymując w zamian ustępstwo rządu szwedzkiego w kwestii oddania Berlinowi wschodniej części Pomorza, przyznanego Szwecji *traktatem westfalskim* w 1648 roku.

tegoż brzegu zaplecze lądowe, stanowiące większość ziem Rzeczypospolitej. Ta modyfikacja środkowoeuropejskich perspektyw Prus i Rosji – awansowanych do pierwszego rzędu państw Kontynentu w latach 1696-1717 głównie wobec braku podmiotowej polityki polskiej – nieco inaczej modyfikowała środkowoeuropejską perspektywę Wiednia. Tam więc, gdzie w integralności Rzeczypospolitej mało kto upatrywał wyzwanie rzucone własnemu państwu i gdzie bez przymusu wdzięcznej pamięci o polskiej odsiecz z 1683 roku nie brakło wiedzy o pewnej zasadzie polityki polskiej – z miejscowej perspektywy nader istotnej – bo dotyczącej stosunków naddunajskiej stolicy z Turcją.

Niezależnie od stanu relacji wzajemnych – nieraz napiętych – wykluczała ona, by Polska mogła brać udział w aliansie przeciw Wiedniowi posiłkowanym przez Turcję. Aksjomatyczną moc zasady fundowała pełna zgodność względu na solidarność – chrześcijańską i europejską – ze względem strategicznym. Jasnym dla państw obu, bo frontowych i jednak zagrożonych przez przeciwnika, który bez wątpienia nie poprzestałby na podboju jednego z nich⁵⁴. Prusy nie były tu państwem frontowym nigdy. Rosja zaś, aż do *pochodu azowskiego* w latach 1695-1696 w ramach *Ligi Świętej*, brała udział tylko w dwóch epizodach wojennych z udziałem Turcji – ze stanowiska Rosji jednak pierwszoplanowych (w 1569 i 1676-1678). Po oddaniu przez Polskę w latach 1696-1717 jej dotychczasowej roli jako jednego z dwóch głównych graczy na scenie środkowoeuropejskiej, drugi z nich – cesarski Wiedeń – udowodnił tymczasem, że jest w zasadzie już zdolny samodzielnie nie tylko utrzymywać, ale i przesuwając na południe front, na którym Europa Środkowa i Imperium Osmańskie trwały w zwarciu od XIV wieku⁵⁵. Rzecz przecież w tym, że przejęcie dotychczasowej roli środkowoeuropejskiej Polski przez Prusy i Rosję oznaczało zmianę jakościową o wadze istotnej również dla Wiednia. Miejsce bowiem podmiotu, całym zasięgiem swej historii, swych interesów i swojego terytorium, związanego z zapleczem frontu, o którym mowa, zajmowały podmioty z zapleczem tym związane wyraźnie częściowo i luźno. Awans perspektyw środkowoeuropejskich Prus i Rosji wynikał nie tylko z milczenia polityki polskiej. Także z ich bardziej czy mniej spontanicznego

⁵⁴ Właśnie stolice nie frontowe, w wieku XVI i XVII – jak Haga czy Paryż – na współpracy ze Stambułem budowały akcje ofensywne, godzące przede wszystkim w Madryt i Wiedeń, z lekceważeniem bezpieczeństwa Warszawy.

⁵⁵ Decyzje *pokoju w Karłowicach* (styczeń 1699), oddające Wiedniowi zwierzchnictwo nad całymi Węgrami wraz z Siedmiogrodem, w lipcu 1718 roku uzupełnił *pokój w Pożarewacu*, który zakończył trzyletnią wojnę Austrii z Turcją poddając zwierzchnictwu cesarskiemu Serbię i Bośnię.

posłuszeństwa dla głównych aktorów obrotu koniunktury w planie całego Kontynentu. Stąd zarówno Berlin jak Petersburg perspektyw tych realizować nie mogły inaczej, jak w harmonii z kierunkiem przez obrót ów nadanym, a niekoniecznie miłym dla Wiednia, w zasięgu którego bezpośredniej już ekspansji znalazł się Konstantynopol. Możliwość zajęcia okupowanej przez Turcję dawnej stolicy bizantyńskiego Cesarstwa Wschodniego przez Wiedeń nie mieściła się w pojęciach, w jakich włączenie Gibraltaru do Wielkiej Brytanii – mocą *pokoju w Utrechcie*, w roku 1713 – warte było *wojny o sukcesję hiszpańską*⁵⁶.

Niekompatybilność perspektyw środkowoeuropejskich – z jednej strony Wiednia, a z drugiej Berlina i Petersburga – odzwierciedliła się w pewnej rezerwie Austrii wobec działań rozbiorczych w stosunku do Polski, jak też – acz w dużo mniejszym stopniu – po stronie Rosji, przy nieodmiennym zapale, jaki w tej kwestii ożywiał Berlin. Przyczyny rezerwy Austrii, jak zresztą i Rosji, były natury strategicznej. W Wiedniu i w Petersburgu nie brakło przeczuć, że głównym beneficjentem ostatecznego rozwiązania *sprawy polskiej* będą Prusy – po kres XIX wieku, inaczej niż Austria i Rosja, nie zainteresowane turecką masą upadłości. I zawsze też gotowe wspierać Anglię, w razie wzrostu zainteresowania masą tą w Wiedniu (zwłaszcza tu) i w Petersburgu. Co obie ostatnie stolice odczuły boleśnie, tak w wieku XVIII jak XIX⁵⁷. Jednak

⁵⁶ Wyhamowanie tempa, w jakim ekspansja Wiednia mogła teraz zmierzać ku Cieśninom Czarnomorskim, stało się dla polityki angielskiej obowiązkiem, odkąd aneksja Gibraltaru otwierała przed nią perspektywę rozwiązania ogółu spraw wynikłych ze zmierzchu osmańskiego imperium, a definiowanych jako tzw. *kwestia wschodnia*, w oparciu o dwa czynniki. O przewagę floty angielskiej w akwenie śródziemnomorskim i o konserwację słabnącej władzy sułtańskiej nad prowincjami przyległymi do jego wschodniej części, w Europie, Azji i w Afryce. A więc o utrzymanie jej w stanie umożliwiającym jej stopniowe przejście przez czynniki gotowe uznawać hegemonię brytyjską. Co też dokonało się w procesie trwającym do początków XX wieku. Strategia podobna widoczna była już w roku 1718 na rokowaniach pokojowych w Pożarewacu, gdzie niezależnie od woli pozyskania Wiednia do antyhiszpańskiego aliansu z lat 1718-1720, także wolą ratowania Turcji kierowali się obaj mediatorzy – sir Robert Sutton (†1723) z Londynu, współtwórca *traktatu utrechckiego*, zaś z Hagi ambasador Jakob Colyer, zasłużony jeszcze w Karłowicach.

⁵⁷ Nie przeczy temu lojalność Fryderyka Wilhelma I króla Prus, od roku 1726 pozostającego w sojuszu z Anglią, wobec cesarza Karola VI, przed pacyfikacją stosunków Londynu z Wiedniem *traktatem wiedeńskim* (1731). Ten zaś traktat Wiedniowi – bitemu przez Berlin w dwóch *wojnach śląskich* (1740-1745) – przyniósł jedynie mediację Londynu, nie zabezpieczając jednak Austrii od strat terytorialnych. Z kolei z mało fortunnej wspólnej akcji Austrii i Rosji przeciwko Turcji w latach 1735-1739 musiała obie przedstawicielki świata chrześcijańskiego wyciągać mediacja Francji, szykującej się do *wojny sukcesyjnej austriackiej*. Wreszcie pewna skłonność Anglii do tolerowania rosyjskiej ekspansji czarnomorskiej – uzgadnianej jednakże nie z Wiedniem, ale z Londynem – dawała się zauważyć podczas

zróźnicowanie perspektyw determinujących różny stosunek do *sprawy polskiej* po stronie każdej z tych stolic, acz decydowało o sposobie jej rozwiązania, nie decydowało o samym jej podjęciu. Berlinowi nie brakło tu ani woli inicjatywy, ani niezbędnej inwencji planistycznej. Swój akces, bez którego rzecz byłaby niewykonalna, zawsze był gotów zgłosić Petersburg. Wiedeń – któremu udziału w zyskach z jej rozwiązania Berlin i Petersburg wcale nie skąpiły – i gdy nie odżegnywał się od współdziałania, i kiedy się wymawiał, podobnie jak one oglądał się na Londyn. Co czynił jednak z niuanssem różnicującym. Gdy w postawie Londynu szukał Berlin zachęty do działania, a przyzwolenia Petersburg, to – niezależnie od tego, jak by się ona nie przedstawiała – w najlepszym razie dopust Boży zdawał się upatrywać w niej Wiedeń.

Determinowana ewolucją *kwestii wschodniej* polityka środkowoeuropejska Londynu, kierowała się jednak też imperatywami wynikającymi z jej rywalizacji z polityką francuską. Ta bowiem – zgodna z koncepcjami księcia-regenta Filipa Orleańskiego, kardynała Dubois i księcia Ludwika-Henryka Kondeusza (marionetkowego szefa regencji po przewrocie z roku 1714 dokonany przez pierwszego, a od 1723 również marionetkowego⁵⁸ pierwszego ministra

wojny rosyjsko-tureckiej w latach 1768-1774, pamiętnej nie tylko chwalebny dla Petersburga *pokojem w Kuczuk Kajnardzi*, lecz też wsparciem logistycznym, udzielonym przez Brytyjczyków flocie rosyjskiej podczas jej żmudnego debiutu na Kanale La Manche, w Gibraltarze i na Morzu Śródziemnym, a także pomocą kadrową, której symbolem był admirał John Elphinstone (†1785), dowódca w zwycięskiej bitwie morskiej pod Czesmą (1770). Gdy natomiast do kolejnej wojny z Turcją, w latach 1787-1792, Rosja przystąpiła w przymierzu z Austrią – Londyn ujął się za Stambułem, wsparty w tej posłudze przez Berlin.

⁵⁸ Związany z Agnieszką Berthelot (†1727) – małżonką markiza Louisa de Prie (†1751), ojca chrzestnego króla Ludwika XV – był książę Ludwik-Henryk Kondeusz lojalnym członkiem kręgu wielbicieli księcia Filipa i jego matki, księżnej Szarlotty-Zofii palatynówny reńskiej. Kręgu tego silnym punktami byli też diuk de Tallard – ambasador w Londynie w latach 1698-1701, od roku 1717 zasiadający w regencji – i stryjeczna siostra markiza, księżna Szarlota-Eleonora de Ventadour (†1744), która po matce, markizie Luizie de Prie (†1709), dyrygowała wychowaniem kolejnych pokoleń z prokreacji króla-Słońce i jego prawnuka, Ludwika XV. Towarzystwu temu dodawały blasku nie tylko parantele z pierwszymi rodami Francji, lecz także salon markizy de Prie na zamku w Bélesbat, rywalizujący z salonem diuszesy du Maine w Sceaux, a zaszczytany przez te same osobistości z elity intelektualnej (Montesquieu, Voltaire i d’Alambert). Oba salony dzieliła istotna różnica polityczna. W salonie diuszesy du Maine (w roku 1719 nieczynnym, z racji uwięzienia jej i diuka małżonka na rozkaz księcia-regenta) bywali tacy mężowie, jak i Jean-Baptiste Colbert markiz de Torcy ostatni minister spraw zagranicznych Ludwika XIV, i potomek rodziny szczególnie zasłużonej dla dyplomacji francuskiej Jean-Antoine de Mesmes hrabia d’Avaux (†1723) prezydent parlamentu paryskiego – u markizy de Prie nie widywani. Co istotne, to właśnie markiza de Prie wiosną 1725 roku skłoniła księcia Ludwika-Henryka Kondeusza, by zgodził się połączyć małżeństwem piętnastoletniego króla z dwudziestodwuletnią Marią Leszczyńską (†1768).

przy dorastającym Ludwiku XV) – w czerwcu 1726 roku uwolniła się od zachwyty inspiracją znad Tamizy. Księcia Ludwika-Henryka, zdymisjonowanego przez króla mimo próśb królowej Marii Leszczyńskiej, zastąpił kardynał André Hercule de Fleury (†1743). Ograniczyło to – aż do śmierci kardynała – wpływ na Paryż polityki Londynu, definiowanej przez wigów zgodnie z koncepcją, której emitentem był zmarły w 1721 roku ambasador James Stanhope, którą zaś dopełnił jego bliski torysom młodszy kolega, John Carteret 2-gi jarl Granville (†1763). Jakież różnice zasadnicze w zakresie wizji europejskiego ładu nie dzieliły zresztą wigów i torysów⁵⁹. Z kolejnych trzech rund rywalizacji europejskiej przed przewrotem z końca XVIII wieku, na jaki złożyły się rozbiory Polski oraz rewolucje amerykańska i francuska – to jest z dwóch wojen sukcesyjnych, *polskiej* (1733-1738) i *austriackiej* (1740-1748) oraz *wojny siedmioletniej* (1756-1763) – Londyn wychodził coraz bardziej zwycięski, a Paryż coraz bardziej poszkodowany. O ile pierwsza runda zdawała się potwierdzać wagę *sprawy polskiej*, gdy wchodziła na dziejową wokandę, o tyle obie następne dowodziły jej wagi, gdy z tej wokandy spadała. Wykorzystując jej pretekst – to jest wsparcie udzielone w roku 1733 przez Austrię i Rosję królowi Augustowi III (†1763) przeciwko formalnie wybranemu królem Stanisławowi Leszczyńskiemu – kardynał de Fleury wzmocnił pozycję Francji w jej stosunkach z Anglią, w momencie zbliżenia Wiednia i Petersburga, przy ich próbie współpracy w sferze *kwestii wschodniej* bez udziału Londynu⁶⁰.

⁵⁹ Wynika to być może stąd, że raczej nie byłoby łatwe ustalać, który z historycznych czynników krystalizacji opinii politycznej pierwszych pokoleń po *Glorious Revolution* silniej barwił wyobraźnię wigów, a który torysów. W jednym i w drugim środowisku nie brakło sentymentu antykatolickiego, dotąd jako politycznej *idei* – bardziej porywającej dla purytańskiej forpocząty wigów, niż anglikańskiego inkubatora torysów – a odtąd jako politycznej *cnoty*, choć od kresu XVIII wieku słabnącej rychłej wśród modernizujących się pierwszych, niżeli wśród drugich, tradycjonalistów. Jedną i drugą wyobraźnię zdaje się podobnie pociągać *imperializm*. Wreszcie pogląd – jeszcze później ujęty w myśl – że *gospodarka przede wszystkim*, cechuje wrażliwość obie – zarówno w dobie, gdy jawiła się ona tylko w głowach niemałej części tak zwanych *ludzi prostych*, jak gdy już stała się przesłanką walną *nauki liberalnej*, nie tracąc zwykłego wpływu na postawę konserwatywną. Te trzy czynniki zdają się wyjaśniać pewną łatwość zmiany przynależności partyjnej.

⁶⁰ *Pakt rodzinny* Paryża i Madrytu z listopada 1733, zawarty przed ich przystąpieniem do *wojny o sukcesję polską* pozwolił odbudować – na następne z górą sto lat – dynastyczną jedność Królestwa Sycylii i Neapolu z Hiszpanią w zasięgu niewiele różniącym się od stanu sprzed *traktatu utrechckiego* (1713). Zmniejszało to stan posiadania Wiednia w Italii i podnosiło autorytet Paryża w Europie Zachodniej, oraz przynajmniej częściowo wyrównywało stosunki Madrytu z Londynem. Odwrócenia koniunktury w zachodniej dzielnicy Kontynentu, spowodowanego *wojną o sukcesję polską*, nie dopełniło przecież odwrócenie jej również w Europie Środkowej. *Sprawa polska* – sprowadzona do sprawy króla Stanisława

Obok uznania przez Wiedeń suwerenności Francji nad Lotaryngią, *wojna o sukcesję polską* – niosąc rewizję postanowień *traktatu haskiego* z 1720 roku, godzących i w Madryt i w Paryż – odwracała niekorzystny dla nich kierunek zmian w Europie Zachodniej. Triumfalny powrót hiszpańskiej gałęzi dynastii królów Francji do Neapolu i Palermo stanowił odrobienie sporej części strat, jakie Madryt poniósł, by utrzymać unię z Paryżem. A to otwierało przed Europą Zachodnią perspektywę zwrotu jeszcze głębszego, bo sięgającego strategicznego aktu, który unię zawartą w 1700 roku antycypował *traktatem pirenejskim* z roku 1659.

Rzecz przecież w tym, że w Europie Środkowej *wojna o sukcesję polską* nie wywołała zwrotu proporcjonalnego do spowodowanego przez nią w zachodniej dzielnicy Kontynentu. W głównej mierze było to skutkiem braku suwerennej polityki polskiej. Albowiem sama elekcja Stanisława Leszczyńskiego w roku 1733 roku – acz tym razem w istocie wolna – przy zasobie woli i intelektu, jakim dysponował wewnętrzny układ dominujący w Rzeczypospolitej po roku 1717, niezbędnych podstaw dać jej nie mogła. Wyłącznie bowiem aktywność odpowiadająca kryteriom podmiotowej *polityki polskiej*, a nie obecność *sprawy polskiej* na międzynarodowej wokandzie, mogła Europie Środkowej przywracać perspektywę kompatybilną z tą, co

Leszczyńskiego – została rozwiązana przez utrzymanie gnilnego *status quo* Rzeczypospolitej, pod saskim berłem Augusta III, a satysfakcjonując nie tylko Berlin, Petersburg i Wiedeń. Odszkodowanie bowiem niefortunnego dwukrotnie elekta nadaniem mu dożywocia na Księstwie Lotaryngii, na chwilę przetrwania wspólnej satysfakcji, połączyło z Paryżem i Wiedniem także Londyn. To wszak mediacja właśnie Londynu, podjęta jeszcze w lutym 1734, patronowała rozwiązaniu, które w podpisanych w październiku 1735 preliminariach pokojowych królowi Stanisławowi zapewniło Lotaryngię, a księciu Franciszkowi Stefanowi Lotaryńskiemu (†1765) rękę arcyksiężniczki Marii-Teresy Habsburżanki (†1780), z rękojmą otrzymania koron Toskanii i Cesarstwa Rzymskiego. Rozwiązanie to zaś satysfakcjonowało Londyn podwójnie. Skoro Lotaryngia przypadła przyjacielowi anglofilów z kręgu popleczników księcia-regenta Filipa Orleańskiego, gdy w osobie Franciszka Stefana – siostrzeńca księcia-regenta – do Wiednia i Florencji trafiał przyjaciel premiera Walpole'a i innej gwiazdy wigowskiej dyplomacji, Philipa Stanhope 4-tego jarla Chesterfielda (†1773). Dzięki takiemu też rozwiązaniu kardynał de Fleury – wolny już od kłopotów z ojcem królowej Marii, z którym wspólnego języka nie miał – mógł przede wszystkim cieszyć się zgodą cesarza Karola VI na inkorporację Lotaryngii do Francji po śmierci króla Stanisława. *Wojna sukcesyjna polska*, nie zmieniając w niczym perspektyw środkowoeuropejskich, jedynie więc pogłębiła ich dynamikę – czyniąc egzekutorami *sprawy polskiej* cały tercet stolic. Jako że – mimo pozoru, jaki postawa Berlina nie szczędzącego Leszczyńskiemu zachęt mogła wywoływać – Prusy dochowały tu solidarności Wiedniowi i Petersburgowi, skoro król Fryderyk Wilhelm I, z posłankami dla armii cesarskiej wysłał nad Ren przekonanego anglofila – swego syna i następcę, królewicza Fryderyka Wilhelma II (†1786).

właśnie w latach 1733-1738 kierowała Europę Zachodnią ku zasadom *traktatu pirenejskiego*. To znaczy perspektywę, jaką zbieżnie z tym traktatem otworzył bliźniaczy *traktat oliwski* z 1660 roku. Dwie kolejne wojny europejskie – toczone głównie w Europie Środkowej, ale już bez polskiego akcentu w pretekście – to jest *sukcesyjna austriacka* i *siedmioletnia*, potwierdziły doniosłość tym razem więc niejako zdjęcia *sprawy polskiej* z wokandy. *Wojna o sukcesję austriacką* dowiodła efektywności angielskiego arbitrażu w konfliktach wewnętrznych na Kontynencie, przerastającej podobną zdolność polityki francuskiej. Natomiast *wojna siedmioletnia* ukazała bezsilność transkontynentalnego aliansu Paryża, Wiednia i Petersburga wobec tandemu Londyn-Berlin, potwierdzając globalny zasięg perspektyw polityki angielskiej⁶¹, a niemiecki i środkowo-europejski polityki pruskiej. Co było przecież nieuniknioną konsekwencją rozjazdu obu perspektyw – spowodowanego brakiem zwrotu perspektywy środkowo-europejskiej do standardu zdefiniowanego *traktatem oliwskim*.

Rzec można, że pożytki z przebiegu i wyniku tej drugiej rundy europejskiego turnieju otwartego w latach trzydziestych XVIII wieku – rozegranej bez udziału Polski – zainspirowały decyzje, których sumę zdefiniował znany termin, *rozbiory Rzeczypospolitej*. Właśnie też jako rozwiązanie *sprawy polskiej*, inaugurowały one turnieju tegoż rundę trzecią – rozgrywaną w latach 1772-1795 i wraz z obiema rewolucjami, amerykańską i francuską, stanowiącą przewrót już zdecydowanie globalny.

Przewrót ten – zbieżny z zamknięciem dziejów Pierwszej Rzeczypospolitej – zamknął, jak wiadomo, także cały wczesno-nowożytny rozdział historii Europy. Zauważyliśmy już, że to przełom XVII i XVIII wieku był świadkiem impulsów intelektualnych i politycznych, które – dotąd raczej mało efektywne – odtąd coraz wyraźniej brały górę nad tonem, jaki modelował myśl i praktykę europejską zgodnie z cywilizacyjnym impulsem *renesansu* pojętego ściśle. To znaczy, rygoryzując pojęcie *renesansu* zakresem faktów *odrodzenia sztuki* (poprzez zwrot ku jej oryginalnie europejskim

⁶¹ Wprawdzie już wcześniej rywalizacja europejskich mocarstw morskich toczona na Kontynencie wiązała się z ich rywalizacją zamorską, jednak to dopiero skutki *wojny siedmioletniej* – zreasumowane w *traktatach w Paryżu* i *Hubertusburgu* w lutym 1763 roku – modelowały obie półkule globu, wschodnią i zachodnią, w postaci, jakiej dezaktualizacja rozpoczęła się dopiero po II wojnie światowej, a po roku 1989 zdaje się przyśpieszać.

zasadom *formy klasycznej*) i zakresem faktów *odrodzenia polityki* (drogą aplikacji równie oryginalnie europejskich zasad *ustroju mieszanego*) – doceniając też decydujący dla obu sfer, wpływ przezwyciężenia tendencji *platońskiej* przez *arystotelesowską* w procesach, jakie zawsze wpływają na postać panujących wyobrażeń i dyskursu. Jak łatwo dostrzec, ów rygor pojęciowy nie tylko podważa stereotyp dobrze znany, w myśl którego więc intelektualne i polityczne impulsy, u progu XVIII wieku otwierające Oświecenie, były niejako dalszym ciągiem impulsów, na samym przełomie wieków XV i XVI nadanych Europie przez Renesans. Tymczasem stanowiły one nader wyraźną kontynuację riposty, jaką właśnie tak rygorystycznie pojętym impulsom renesansowym już w latach dwudziestych XVI wieku dał średnio-wieczny neoplatonizm, w swych wszystkich przejawach kulturowych, po obu zresztą stronach dokonującego się właśnie wówczas podziału Zachodu na katolicki i protestancki⁶². Co jasne, dwa wieki rywalizacji wyznaniowej, XVI i XVII, pozwoliły i utrzymać sam podział, i zarazem po obu jego stronach – w ramach swoistego kompromisu – aplikować pewne formy kulturowe, i tu i tam właściwe raczej stronie przeciwnej. Przykładem *ustrój mieszany*, tak po stronie katolickiej jak protestanckiej uważany za optymalną formę państwa, przez lokalnych przeciwników monarchii absolutnej. Stosunkowo harmonijnie wymodelowany jeszcze w XVI wieku w Polsce, raczej ze wsparciem ze strony katolicyzmu, odzyskującego pole utracone w apogeum reformacji, w Anglii – za Tudorów i trzech pierwszych Stuartów – pozostawał *ustrój mieszany* postulatem środowisk republikańskich i rojalistycznych, to jest anglikanów z *High Church*, także katolików i kryptokatolików. Jego implementacja drogą *Bill of Rights* z 1689 roku stanowiła więc kompromis angielskiego republikanizmu z purytanizmem – zawarty za cenę osobliwą – to jest przyzwolenie, by miarą praworządności obywatelskiej stała się niechęć do katolicyzmu, jako sankcja aktów polityki wewnętrznej i zewnętrznej. Wpływ różnych form terroru, w tym również policyjnego, niechęć tę – żywą w całym wieku brytyjskiego Oświecenia – utrwalił się w dziewiętnastowiecznej opinii brytyjskiej, jako odruch dokumentujący polityczną

⁶² Neoplatonickie źródła religijnej tendencji jansenistycznej w katolicyzmie, jak też neoplatonizm czołowych doktryn protestantyzmu – luteranckiej i kalwińskiej – nie podlegają sporowi. Nie podlega mu także to, że w neoplatonizmie znajdował wsparcie absolutyzm, tak po katolickiej, jak i po protestanckiej stronie. Jedynie właściwa zwłaszcza dla kalwinizmu skłonność do obrazoburstwa – o rodowodzie platonizmowi tak bliskim – nie miała porównywalnego oddźwięku w artystycznym mecenacie Kościoła katolickiego, narażonego na ikonoklastyczne naciski na Soborze Trydenckim.

poprawność. Mimo wygasania namiętności wyznaniowych, odruch ów był nadal obecny w jej skomplikowanym kanonie – perswazyjną siłą kolejnych mód intelektualnych autoryzującym swą wewnętrzną sprzeczność. W kanonie, w świetle którego na początku XX wieku Gilbert Keith Chesterton mógł uchodzić za nieznosnego dziwaka, a Arthur Balfour za oryginała.

Jednak dwa stulecia wcześniej, bo na początku wieku XVIII – gdy wybijała godzina, w której Anglia przejmowała od Francji pałeczkę w sztafecie współzawodników do przywództwa na Kontynencie – kodyfikującej się brytyjskiej *political correctness* jeszcze nie otoczył podziw tak powszechny, jak za królowej Wiktorii. Angielskiemu systemowi konstytucyjnemu jeszcze nie dodała miru – ani we Francji ani w Polsce – jego interpretacja Monteskiuszowska – bardziej zresztą natchniona wizją Locke’owską, niż interpretacją ustroju staropolskiego, którą autora *O duchu praw* podobno raczył król-filozof, Stanisław Leszczyński. Rutynowy autorytet głosu salonów Paryża nad Wisłą dopiero w latach trzydziestych zalecił lekturę *Listów filozoficznych* Woltera, ułatwiających przyswajanie *liberalnej* koncepcji świata, której urok miał rewolucję angielską 1688-1689 roku usprawiedliwiać jakby dodatkowo. Rzecz w tym, że w pierwszych co najmniej latach dwudziestu XVIII wieku opinie w tej kwestii dzieliły dość wyraźnie. Nie tylko w Paryżu przeciwstawiały jedne salony drugim, podobnie też czyniły z oberżami w Londynie. Stan badań nie pozwala orzec, na ile nieufność wobec platonizującej redakcji *myśli liberalnej* – tak wyraźnie widoczna w jej redakcji anglo-szkockiej – pochodziła z wierności liberalizmowi o tradycji znacznie starszej. Temu, którym tchnie *realizm metafizyczny* – Arystotelesa i Tomasza z Akwinu. Temu samemu, co inspirował *Les tables de Chaulnes* we Francji i środowisko *Examinera* nad Tamizą – z Williamem Oldisworthem (†1734), tłumaczem *De optimo senatore* Wawrzyńca Goślickiego na angielski. W Anglii i we Francji nie były to kręgi zachwycone zwycięstwem *Glorious Revolution* i klęską dynastii Stuartów – królów prawdziwie z Bożej Łaski, gdy szło o sprawiedliwość i wolności dla ich ludu, acz też z Bożego dopustu, jakim urząd monarszy był dla każdego z nich.

Miara sprawy Stuartów, aż po połowę XVIII wieku – i w Anglii i we Francji – przekraczała więc wyraźnie jej wagę, jako jednej z istotnych okoliczności wojen tego czasu. Osobiście, jak najpoważniej traktował ją król Ludwik XIV – wspierał Jakuba II militarnie póki on walczył i udzielając mu azylu, a po jego śmierci zaś (wrzesień 1701 roku) uznając królewski tytuł jego syna, Jakuba III (†1766). Wbrew opinii części historyków – w tym też i francuskich – raczej nie było to wsparcie dyktowane jedynie egoistycznym wyobrażeniem

*racji stanu*⁶³. Brak francuskiego wsparcia dla Jakuba, a zamiast tego represje – gdy w lutym 1716 roku wrócił ze Szkocji, gdzie lądował sześć tygodni wcześniej, by wziąć udział w złamanej już ofensywie jego zwolenników, podjętej we wrześniu 1715 bez jego woli, a w nader niewłaściwym czasie śmierci Ludwika XIV⁶⁴ – wszystko to było już sabotażem ze strony przejmującego rządy regenta.

Nieprzychylna dla pacyfikacji Europy Zachodniej w *duchu pirenejskim* okoliczność – jaką we Francji stworzyły śmierć Ludwika XIV i regencja Filipa Orleańskiego – współgrała z zaszłą w latach 1715-1717 zmianą w Europie Środkowej, jaka uniemożliwiła komplementarną pacyfikację w *duchu oliwskim*. Zbieżność perspektyw obu dzielnic Kontynentu z perspektywą *merry England* Stuartów widoczna była przecież nie tylko gdy rozwiewały się wszystkie trzy. Uzewnętrzniła ją już jedność chwili ich otwarcia, w latach 1659-1660⁶⁵. Zbieżności tych trzech perspektyw dowodzi umowa zawarta 22 lipca 1718 roku w Oławie – o małżeństwie Marii Klementyny Sobieskiej (†1735) córki królewicza Jakuba – z proszącym o jej rękę Jakubem III. Zawarta była bowiem w momencie, gdy właśnie mijał pierwszy, pomyślny dla Hiszpanii rok wojny, w której król Filip V i kardynał Alberoni podjęli próbę rewizji *traktatu utrechckiego*. Uczynili to na przekór Londynowi, Hadze i Paryżowi księcia-regenta, mając po swej stronie emigrantów brytyjskich. Rzecz jednak nie w nadziejach, jakiegokolwiek by nie powodowały królew-

⁶³ Po decyzji o akceptacji testamentu ostatniego z Habsburgów hiszpańskich i objęciu władzy w Hiszpanii przez wnuka (15 listopada 1700), król Ludwik XIV bynajmniej nie spieszył się do wojny z angielsko-austriacko-holenderską koalicją zawiązaną dopiero po blisko roku (7 września 1701). Wpływu na jej zawiązanie rzecz prosta nie miał fakt, że Ludwik XIV uznał Jakuba III królem Anglii, skoro uczynił on to dwa tygodnie później – skłoniony śmiercią jego ojca. Z kolei zgoda na żądania angielskie – związane z prawami [cd. na stronie nast.] dynastii hanowerskiej do tronu Anglii i zapisane w *traktacie utrechckim* – wymuszona na nim w roku 1713 przez ministrów, wcale nie skłoniła Ludwika XIV do odmowy pomocy Jakubowi III, któremu wierne pozostało także *stronnictwo dewotów*, pozbawione wpływu po przewrocie księcia Filipa Orleańskiego, oraz stronnictwu temu bliski Filip V król Hiszpanii.

⁶⁴ Trudno powiedzieć, czy pensja w wysokości 3.500 funtów rocznie, jaką ochotniczemu przywódcy *powstania 1715 roku* Jerzy I Hanowerski przyznał w roku 1721, gratyfikowała również jego usługi przeszłe, czy jedynie przyszłe, w tym doniesienie o kontaktach biskupa anglikańskiego Francisa Atterbury (†1732) z Jakubem III.

⁶⁵ Proces powrotu do monarchii, po wyczerpaniu się potencjału bytowego angielskiej rewolucji – otwarty latem 1659 roku, dwa miesiące przed uzgodnieniem przez Paryż i Madryt zasad *traktatu pirenejskiego* (podpisanego w listopadzie) – zamknął triumfalny wjazd króla Karola II do Londynu w maju 1660 – niecałe cztery tygodnie po podpisaniu *traktatu oliwskiego* (negocjowanego od jesieni 1659 roku).

czem, gdy decyzję swą podjął, ale w stałości, z jaką przy niej wytrwał, kiedy koło fortuny zaczęło się odwracać⁶⁶. Wątpliwości też nie budzi podobna determinacja po stronie Marii Klementyny i Jakuba III, okazywana zarówno przed ślubem – od jesieni 1718 roku po jesień 1719, kiedy było jasne, że górę bierze tendencja wykluczająca związane z nim nadzieje – jak i po ślubie⁶⁷, gdy wobec tendencji tej zwycięstwa, nie pozostało obojgu nic innego, jak tylko stać prosto.

Odejście Francji od *ducha pirenejskiego* przez alians z Londynem i Wiedniem przeciw Madrytowi, niosło doświadczenia uzupełniające klęskę Hiszpanii, rychło zresztą powetowaną wynikiem *wojny o sukcesję polską*. Ukazały one, że zmiany w Europie Środkowej, korygujące stosunki kontynentalne, zawsze też weryfikują wynik gry w Europie Zachodniej.

⁶⁶ Gdy jeszcze trzy tygodnie wcześniej, bo 7 lipca 1718 roku, Palermo witało zwycięskich Hiszpanów, to ledwie półtora tygodnia po układzie małżeńskim z Oławą, 4 sierpnia w Londynie posłowie austriaccy podpisali układ o przystąpieniu cesarza Karola VI do wojny z Hiszpanią. Wkrótce, już jesienią, agenci ojca Dubois i lorda Stanhope'a rozpracowali sprzysiężenie, które miało usunąć regenta Filipa Orleańskiego, a przygotowywane było od maja, w porozumieniu z dworem w Madrycie, pod przewodnictwem diuka i diuszery du Maine – aresztowanych 29 października, miesiąc przed innym wydarzeniem złym i brzemiennym. Był nim mord dokonany na Karolu XII, od końca 1716 roku kontaktującym się z Alberonim – także w sprawie militarnej pomocy Szwecji dla Jakuba III, realnej od maja 1718, po pacyfikacji szwedzko-rosyjskiej, stanowiącej przedmiot zabiegów podjętych podczas drugiej wielkiej podróży cara Piotra na Zachód (od stycznia 1716 do października 1717).

⁶⁷ Trudno powiedzieć, czy do Bolonii, gdzie miał czekać narzeczony, Maria Klementyna i jej matka wyruszyły wiedząc o katastrofalnej klęsce, jaką flocie hiszpańskiej zadała angielska u Przylądka Passaro (11 sierpnia 1718). Sądząc jednak po reakcji królewicza Jakuba na gruby nietakt Londynu (król Jerzy I proponował mu odstępnę za rezygnację ze związku ze Stuartem) oraz na uwięzienie obu pań w Innsbrucku z rozkazu Wiednia. Wiedza taka mogłaby je wyłącznie zdopingować. Projekt uwolnienia córki, przedstawiony mu przez sir Charlesa Wogana (†1752) zaaprobował królewicz 1 stycznia 1719, zaś 8 lutego uczynił to Jakub III, przed wyjazdem do Hiszpanii – w związku z przygotowywanym desantem w Szkocji. Projekt zrealizowany został 27 kwietnia, gdy znane więc było już niepowodzenie floty hiszpańskiej, wiozącej pięć tysięcy żołnierzy Jamesa Butlera 1-go diuka Ormonde (†1745) i uzbrojenie dla trzydziestu tysięcy – pokonanej na Biskajach dwoma tygodniami burz – oraz flotylli, z którą pułkownik James Keith (†1758) z trzystu Hiszpanami dobił do północnej Szkocji, jako wyczekiwana tam forpocza armii Ormonde'a. Oba wypłynęli – Ormonde z Kadyksu, a Keith ze San Sebastian – 8 marca, to jest w dniu powitania Jakuba III w Madrycie. Nie mniej złowróżbne wypadki towarzyszyły ślubowi, który młoda para wzięła 3 września, w tydzień po jego powrocie z Hiszpanii. Późną wiosną 1718 trzydziestosześcioletnia armia francuska rozpoczęła operacje na hiszpańskim wybrzeżu Zatoki Biskajskiej, zajmując między innymi San Sebastian w sierpniu, a w październiku przenosząc się do Katalonii. Trzy miesiące po ślubie Stuartów, król Filip V poczuł się zmuszony zdymisjonować kardynała Alberoniego i wstąpić na drogę układów.

Brak uwzględnienia wpływu eksmisji *ducha oliwskiego* z osiemnastowiecznych relacji środkowoeuropejskich zaciemnia chronologicznie zbieżny paradoks procesu, jaki w Europie Zachodniej był udziałem *ducha pirenejskiego* oraz obu jego beneficjentek, Francji i Hiszpanii. Odbudowanie – choć nie w terytorialnej całości, to w formule zręczniejszej od poprzedniej – politycznej wspólnoty zachodniego Śródziemnomorza (w wyniku *polskiej wojny sukcesyjnej*), nie powstrzymało tendencji, jaka już wówczas promując *Europę Wiedeńską*, determinowała dziewiętnastowieczne perspektywy Hiszpanii. Podobnie – i z podobnie niepomyslną prognozą dla Francji – nie powstrzymywał owej tendencji wzrost prestiżu Paryża podczas obu kolejnych wojen sukcesyjnych, *polskiej* i *austriackiej*, a potem *siedmioletniej*. W sytuacji więc, w której Francja *duchowi pirenejskiemu* już wierna trwała w *aliansie familijnym* z Hiszpanią, w czasie *wojny siedmioletniej* wzmocnionym przez przymierze z Austrią. Podejmowane przez Francję aż do rewolucji 1789 roku, kolejne próby przezwyciężenia tej sytuacji, swą nieskutecznością powtarzały doświadczenie kardynała Alberoniego – będące poniekąd próbą wywołania *ducha traktatu z Oliwy* – przy absencji polityki polskiej, z pomocą Szwecji i Rosji⁶⁸. Jego eksmisja ze środkowoeuropejskich realiów, absencją tą ułatwiona, korygowała też wartość dobrodziejstw wynikłych ze zwycięstwa *czwórprzymierza*, jak i z korespondującej z klęską Hiszpanii, klęską Szwecji. Korzystna przede wszystkim dla Berlina, była to korekta dla Austrii i Rosji podobnie dalekosiężna strategicznie, jak dla Francji i Hiszpanii. Nie tylko Wiedeń osiemnastowieczny odczuł skutki angielskiej gry kartą pruską, nie mniej boleśnie przeżył je Wiedeń pierwszych dwudziestu lat panowania Fran-

⁶⁸ Przy nieobecności polityki polskiej, zabiegi kardynała Alberoniego – oparte o wiarę w zdolności Karola XII i Piotra I do skutecznego oporu wobec woli lokalnych *networków* stabilizujących ich władzę formalnie absolutną, oraz we wspólnotę interesów państwowych Hiszpanii, Szwecji i Rosji – skazał na klęskę splot dwu czynników. Peryferyjności Sztokholmu i Petersburga w stosunku do środkowoeuropejskiego interioru i ich nieobliczalności, pochodzącej z natury ich systemów władzy. To jest finansowanego z zewnątrz militarystyki szwedzkiego, oraz rosyjskiego samodzierżawia, ekstensywnie gospodarującego zasobami wewnętrznymi. Taki stan rzeczy, przez cały wiek XVII pozwalał zachodnioeuropejskim współpracownikom do hegemonii kontynentalnej manipulować zewnętrzną postawą Szwecji i Rosji. U progu zaś XVIII wieku, Karol XII i Piotr I zdawali się dążyć do uwolnienia od zależności podobnej. Ich niepowodzenie ukazało mylność obliczeń Alberoniego, walenie sprzyjające zwycięstwu jego przeciwników. Rzuciło też cień na aktywność ważnego uczestnika tych zabiegów – pozostającego w służbie szwedzkiej Stanisława Poniatowskiego, w przyszłości ojca króla. Protekcja, jaką trzydzieści siedem lat później w Petersburgu otoczył młodego Stanisława Augusta ambasador Charles Hanbury Williams (†1759), wydłuży ów cień znacznie.

ciszka Józefa (†1916). Nie inaczej też i dziewiętnastowieczne doświadczenia Rosji potwierdziły moralność doświadczeń Piotra I z lat 1716-1720, jakimi car okupił akceptację Londynu dla jej dostępu do Bałtyku. Dostęp taki przecież Polska chciała ułatwić jej już w latach siedemdziesiątych XV wieku, gdy król Kazimierz Jagiellon (†1492) odmówił Republice Nowogrodzkiej inkorporacji do Rzeczypospolitej, pozostawiając ją Moskwie. Wbrew pozorom, nie odmawiał Rosji podobnego dostępu również *duch oliwski*.

Epilog brzemiennych dla Polski i Europy wydarzeń z lat 1696-1717, jakim była *wojna Hiszpanii z aliansem poczwórnym* w latach 1717-20, wydaje się przeto mieć naturę prologu. Rzecz jasna, swoimi dramaturgiami epilog i prolog różnią się znacznie. Zmieszanie się ich w strumieniu aktów decydujących o losie indywidualnym, nie może nie poruszać wyobraźni. Wyswobadza ją spod władzy stereotypów *epigonizmu* i *prekursorstwa*, narzucających raczej płytki obraz losu zbiorowości. Uznanie dla postawy Jakuba i Marii Klementyny Sobieskich, czy Jakuba III Stuarta, nie musi woalować się smętną tezą o jej charakterze epigońskim, a pobłażliwości też dla postawy Stanisława Poniatowskiego-ojca, lub 1-go diuka Marlborough, nie trzeba już usprawiedliwiać złudzeniem jej prekursorstwa. Jedną i drugą postawę rzeźbi wola szczęścia, zawsze indywidualna – niezależnie od zasięgu wyobrażenia szczęścia samego oraz popularności, jaką cieszy się ono w epoce. Epigoni epoki starej i prekursorzy nowej są z zasady osamotnieni. Osobistości wymienione takimi nie były. Z pewnością Marii Klementyny nie izolował polot jej wyobraźni. Nie mniej też pewne, że jednostki, z którymi łączyło ją – w kontakcie bezpośrednim, czy pośrednio – wyobrażenie szczęścia, nie przedstawiały się jako zbiorowość wąska i odcięta od reszty pokolenia ewentualną egzotyką potrzeb lub gustu.

Trudno przeczyć, że *królowiszę* – jak mianowano ją w Ojczyźnie – wyróżniała i uroda, i porywająca romantyka przeżyć narzeczeńskich, i dobrodziejstwo odwzajemnionej miłości, spełnionej w małżeństwie, z przykładowym dowodem podwójnego macierzyństwa. Wyróżniała ją także siła charakteru, bijąca choćby z emocjonalnego listu, w którym różnicę poglądów w interpretacji politycznych imperatywów katolicyzmu, przedstawiała ojcu jako przyczynę jej kilkunastomiesięcznej rozłąki z mężem, spędzonej w klasztorze i argumentowanej dodatkowo honorem Sobieskich. W Polsce mawiano o pannach podobnych, że są *do tańca i do różańca*. Także gdy została panią, Maria Klementyna, wbrew plotkom, nie zmieniała się. Dowodem – jej uśmiezek utrwalony na portrecie

z pomnika w Bazylice Św. Piotra, a powściągany jakby wyłącznie dyscypliną tańca⁶⁹. Co prawda, wyróżnił ją również ceremonia jej pogrzebu, z woli papieskiej najwyższy. Nie on przecież sprawił, że dla europejskiej widowni wnuczka Jana III pozostawała gwiazdą pierwszej wielkości do końca swego krótkiego życia. Jeśli zaś sprawiała to jego jakość – a cóż innego jak nie jakość życia czyni gwiazdę gwiazdą – wspierałoby to sąd, że Europejczykom pokolenia Marii Klementyny raczej bliskie było wyobrażenie jakości życia właśnie takiego. Również i w jej przypadku nieraz opłacanej obawą i cierpieniem.

Obawy i cierpienia jakich życie nie szczędziło jej mężowi, on sam przeżywał na pewno mocniej, niż każdy podobny mu – jak mawiano w Polsce – *chłop na schwał*. Jeżeli tak, to miało to przyczynę nieco banalną, bo spoczywającą w dobrych chęciach dobrego ojca. Hojnie przez naturę i wychowanie obdarzony zaletami i słabościami stanu rycerskiego, król Jakub II był świadom zbyteczności tych drugich. Toteż zamierzając syna do służby Koronie przygotować lepiej, powierzył go nauczycielom biegłym w zakresie *humaniorów* i gorliwym. Ziarno padło na grunt żyzny, odziedziczony być może po pradziadku królewicza, Jakubie I, słynnym też z racji temperamentu teologa (anglikańskiego). Nieunikniony jednak był plon takiej edukacji, obok wiedzy przydatnej zawsze – nadmierna czasem refleksyjność. Niezbędne doradcy, obciążało to decydenta. Obciążało tym bardziej, że każdą decyzję podejmował Jakub III z katolicką świadomością wolności swej woli. Wśród wszystkich, jakie podjąć on musiał, odmowa przyjęcia władzy obwarowanego warunkiem wyrzeczenia się katolicyzmu, na pewno nie była najtrudniejsza, skoro ułatwiały ją i wiedza i refleksja. Inaczej wyglądała sprawa decyzji poniekąd codziennych, zdarzało się, że mylnych, a ważących na życiu osób konkretnych. Zapadały one na rzymskim dworze Stuartów pod czujną inwigilacją ze strony władz z Londynu, zacięcie tropiących spiski *jakobickie* w kraju i na emigracji. Tym większe musi budzić uznanie siła woli i zdolność Jakuba III, pozwalające mu przez blisko pół wieku utrzymać swój dwór w randze jednego z ważnych ośrodków polityki europejskiej, a dla Anglii samej – w roli okna, którym docierał do niej powiew południa⁷⁰.

⁶⁹ Wątpliwość wdowca, czy szczególnie taki nie klóci się z obowiązkiem szacunku dla pobożnej monarchini, usunąć musiała pomyślna dla artystów opinia samego Klemensa XII (†1740) – skądinąd bez intencji uprzedzająca znane oskarżenia późniejsze pod adresem katolicyzmu, o odbieranie wyznawcom ich prawa do radości życia.

⁷⁰ Stereotypowy, pesymistyczny wizerunek historyczny ostatnich Stuartów od pewnego czasu poddawany jest zasadniczej rewizji; podważający go zaś historycy brytyjscy jego źródło główne widzą w rozgłosie propagandy wigów.

Z niejasności, wywołanej zwykłym upływem czasu, także ułomnością pojęć, a nawet i oszczerstwem, dodatkowo dobywa Marię Klementynę Sobieską i Jakuba III Stuarta światło rzucane na nich – jak na każdego zresztą – przez osobę adresata ich czegoś chyba więcej, niż powinna wdzięczność – bo przyjaźni. Nic nam nie przeszkadza sądzić, że gdy 13 czerwca 1719 roku otrzymał od papieża Klemensa XI (†1721) tytuł senatora Rzymu, był sir Charles Wogan nie mniej szczęśliwy, jak kiedy parę tygodni wcześniej z niewoli cesarskiej oswobodził polską księżniczkę, czy gdy parę tygodni później służył Jakubowi III jako drużba. Przemawia za tym nie tylko jego intelektualna więź z zauroczonym klasycznym Antykiem kręgiem *Examinera* – w jego życiu zaświadczona korespondencją z Jonatanem Swiftem (†1745), którego podziwiał, a który w swym nekrologu własnego autorstwa zapisał, że *bronił ludzką wolność*. Upewnia o tym także wyrafinowany wyraz, jakim Filip V – jako król Hiszpanii – ozdobił swe monarsze uznanie dla sir Charlesa, gdy mu powierzył urząd gubernatora prowincji znanej światu stąd przede wszystkim, że była ojczyzną Rycerza z La Manczy.

Wyobrażeniu jakości życia, któremu świadectwo dawały akty woli Marii Klementyny Sobieskiej, Jakuba III Stuarta i Charlesa Wogana, swoją śmiercią dali świadectwo panowie Clément de Guer markiz de Pontcallec, François du Couëdic, Thomas Simon de Montlouis i Laurent Le Moyne de Talhouët – torturowani i ścięci na szafocie w Nantes 26 marca 1720 roku, w odwecie za opór stawiony władzy regenta Francji. Okoliczności historyczne czynią ich śmierć wydarzeniem symbolicznym wielorako. Jesienią 1718 roku, zawiązując swoje sprzysiężenie w imię *wolności bretońskich*, wraz ze *stronnictwem dewotów* wpisali się bowiem oni w ogół działań podjętych w zgodzie z duchem solidarności Francji i Hiszpanii. Biorąc w nich udział, uczestniczyli w grze, której stawka nie musiała niepokoić tłumu świadków ich śmierci. Do świadomości towarzyszących im nie musiały docierać, ani kontynentalny zasięg gry w jej sferze politycznej, ani smak kulturowych konsekwencji jej rezultatów. Ponad lękiem i współczuciem – tak naturalnymi – jakie ich ogarniały, z pewnością górował ich podziw. To znaczy uczucie wyzwalane widokami różnymi i ujawniające kulturowy rys osobowości – tej, która je na jakiś widok odczuwa, jak i tej, co pozostaje nań obojętna. Rys bez wątpienia taki właśnie, wspólnym wyobrażeniem dobrej jakości życia łączył świadków wydarzenia z Nantes z jego bohaterami.

Wypadałoby więc przyznać, że postawy owych siedmiu osobistości z elity społecznej budziły raczej zdumienie ich wiernością zasadom, które za własne miała też pozostała część pokolenia żyjącego w początkach XVIII wieku,

niżeli zaskoczenie, jakie zazwyczaj wywołuje przede wszystkim nowość. Stąd pewne lekceważenie tych zasad, cechujące zwycięzców owej gry o polityczną postać Europy, w istocie to ich izolowało od reszty społeczeństwa. Rozmiaru zaś tej izolacji dowodzi tu choćby uznanie, z jakim artystyczne portrety zwycięzców miejscowych – autorstwa choćby Swifta czy Johna Gaya (†1732) – przyjmowała publiczność angielska⁷¹. Z drugiej strony trudno byłoby i jej zwycięzcom w planie europejskim przypisać prekursorstwo pełne, choć to niewątpliwie ludzie tacy, jak książę Filip Orleański, 1-y diuk Marlborough, czy Stanisław Poniatowski wiedli Europę z Nowożytności wczesnej do dojrzałej. W żadnej epoce bowiem nie brak uzurpatora z młodszej linii dynastii, zdrajcy własnego króla i malwersanta publicznego grosza, czy agenta – gdziekolwiek by nie był – obcego interesu. Nowość sytuacji z przełomu XVII i XVIII wieku, jakim Europa otworzyła epokę swojej historii zdającą kończyć się dopiero dziś, widoczna jest z nieco innej strony.

Wgląd w wydarzenia każdego przewrotu historycznego pokazuje pewne nasilanie się rozbieżności moralnej, jaka skądinąd zawsze dążenia elity społecznej oddala od oczekiwań ogółu społeczeństwa. Wynika ona z nieuniknionej niejednoznaczności pierwszych, a równie zrozumiałej stałości drugich. Nie tylko więc ze specyfiki konfliktu – w tym walki o władzę – w każdym przewrocie obecnej i zwykle potęgującej frekwencji postaw, jakie odbiegają od norm uznawanych i przez ogół i przez elitę. Rozstrzygnięcie tej walki zapowiadało zwykle bliski już finał przewrotu. W jego konsekwencji rozbieżność dążeń elity i oczekiwań ogółu wracała do normy ze stopy pokojowej – normy przez zwycięzców renegocjowanej, ale z szacunkiem dla pojęć ogółu. Zwycięzcy współzawodnictwa toczonego u progu XVIII wieku w całej Europie, podobnego szacunku nie okazali – w jego miejsce manifestując swoją ostentacyjną dla nich pogardę. Prekursorstwo więc wypadałoby przyznać tu nie tyle ludziom, ile sytuacji. Sytuacji determinowanej trwałą rozbieżnością rzeczywistych horyzontów wyobraźni elity i ogółu.

Nie tu miejsce na rozważanie, czy to nie właśnie rozbieżność dążeń elity i oczekiwań ogółu – rosnąca w Nowożytności już dojrzałej i w jej widowiskowym finale, jakim był wiek XX – stanowiła przyczynę, dla której stopniowemu obniżeniu ulegały poziomy horyzontów obu wyobraźni. Czy więc ludzka

⁷¹ Do sportretowania Roberta Walpole’a wystarczyła Swiftowi sylwetka Flimnapa, skorpupowanego pierwszego ministra kraju Liliputów. Natomiast autor *Opery żebraczej*, aż kilku jej bohaterom (z różnych szczebli hierarchii kryminalnego półświatka) nadał po jednej z cech, w jakich dopiero sumie, swego premiera rozpoznawała opinia brytyjska.

zbiorowość, złożona z jednostek uposażonych wolną wolą, może naprawdę stawiać się niewolnicą swojej sytuacji? Czy rezultat sprzężenia współzawodnictwa, jakie stronnictwa toczą w każdym państwie, ze współzawodnictwem państw między sobą, w istocie może tak długo determinować nie tylko stosunki międzynarodowe, ale też etos życia publicznego – w państwach stosunków tych podmiotach? Zbieżna z ewolucją Nowożytności, degradacja – w istocie rzeczy – samego wyobrażenia szczęścia, banalizowała dążenia elity i ubożyła oczekiwania ogółu. Obniżenie poziomu dążeń i oczekiwań nie zmniejszało jednak ich rozbieżności. Działo się tak mimo nasilenia działań, jakie teoretycznie winny rozbieżność tę zmniejszać. Myślimy o działaniach, których świadkami były wieki XVIII, XIX i XX – zarówno tych rewolucyjnych jak tych zachowawczych. Działaniach więc, których całokształt zmienił ton politycznego dyskursu i instytucje ustrojowe, redefiniował pojęcia podstawowe i zasięg wyobraźni, a które procesowi demokratyzacji nadały jego paradoksalną poniekąd postać. Można by powiedzieć – demokratyzacji przez odpolitycznienie ogółu politycznego i politycznej elity.

Fakt, że ów kulturowy w swoim sednie proces, w każdym z państw Europy przełomu wieków XVII i XVIII znalazł oparcie w politycznym zwycięstwie postawy wtedy – i dla elity i dla ogółu – etycznie egzotycznej, odzwierciedla więc głównie kondycję ówczesnej elity europejskiej. W tym rzecz prosta i polskiej.

Krytyczne z zasady dziejopisarstwo polskie nie oszczędziło również i tego pokolenia, którego kondycja tak boleśnie zaciążyła nad bilansem Pierwszej Rzeczypospolitej za okres lat 1696-1717. Jednak krytyka, często nie tylko ostra, ale też wsparta gruntowną znajomością faktów, zdaje się lekceważyć fenomen nadający owemu okresowi pewną wyjątkowość. To jest fenomen kryzysu. Nie trudno dojść przyczyny, dla której tak jaskrawe objawy kryzysu – jakie ujawniają się w wydarzeniach wtedy zaszłych – nie zostały dotąd poddane poważnej refleksji. Przyczyna tkwi w zadomowionej wizji całości dziejów Pierwszej Rzeczypospolitej. Wizji jaka w dziejach tych upatruje kryzys ciągły – powodowany specyfiką ustroju opartego o *Konstytucję Nihil Novi* z 1505 roku i skutkujący rozbiorami w latach 1772-1795. Owa dobrze znana wizja historycznego dramatu, w każdym jego akcie prezentując tę samą niewydolność systemu i to samo warcholstwo elity politycznej, ruguje z historycznej pamięci specyfikę lat 1696-1717. Do swego rodzaju dyskrekcji,

jaka spowija specyfikę zmian wówczas zaszłych, przyczyniła się refleksja już osiemnastowieczna, dla której okres tych lat stanowił jej *wczoraj*, obserwowane z perspektywy sasko-stanisławowskiego *dziś*.

Co prawda, perspektywa ta nie łamała się pod naporem ujętych nią realiów. Klimat sasko-stanisławowskiego *dziś* prezentował obraz lat 1697-1717 bardziej jako swojski, niżeli zaskakujący. Bijąca zeń korupcja i zaszargany autorytet wszystkich stanów sejmowych, nie stanowiły nowości, ale też nie budziły zachwyty. Lata 1717-1772, to jest do I rozbioru, nie przedstawiały się współczesnym jako okres kryzysu, lecz jako okres po jego przezwyciężeniu i powrocie do normy, zresztą niekoniecznie wyłącznie polskiej⁷². Jednak z uwagi na tak zwane *stosunki panujące*, normy nie do odrzucenia. Stąd wydaje się, że przyczyną wspomnianej dyskrekcji jest wzgląd na władzę, jaka nadała stosunkom tym właśnie ową kontrowersyjną normę. Na władzę, która owe stosunki panującymi uczyniła przecież w konkretnej chwili. A jest oczywiste, że dyskrekcji podobnej świadkowie dochowują – zarówno ofiary, jak sprawcy.

Jako akt swego rodzaju samoobrony, ma w sobie – paradoksalnie – dyskrekcja ta coś z agresji. Agresji świadomości wprowadzie obznajmionej z cieniami, jakie na jej *dziś* rzuciło jej *wczoraj*, ale świadomości dalekiej od woli winienia go o to. Odnieść można wrażenie, że wielu z osiemnastowiecznych *dzisiejszych* wołało odpowiedzialnością za winy *wczorajsze* obciążyć *przedwczorajszych* – czy to dla komfortu niepokojonych okolic ich sumień, czy ze zwyczajnej dbałości o wizerunek. Agresja i zniesławienie idą zwykle parą.

Zwykłym przecież zniesławieniem epoki XVI i XVII wieku jest choćby opinia, zgodnie z którą kilka sejmów zerwanych w jej ostatniej ćwierci daje obraz sejmu również w trzech jej ćwierciach pierwszych, gdzie *liberum veto* nie daje się słyszeć – ani na jednym z sejmów stu kilkudziesięciu. Tak oto

⁷² W tym samym czasie, bo w roku 1714, transplantację analogiczną przeszła i Anglia, której tron posiadał Jerzy I Welf – książę-elektor Rzeszy Niemieckiej, podobnie jak August II Wettin – nadto również Sas, tyle że nie, jak król Polski, z Saksonii Górnej, a z Dolnej. Co więcej, działo się to przy podobnym do polskiego rozdwojeniu opinii, podobnie też w znacznej części wiernej dynastii rodzimej, jaką Stuartowie byli w Anglii już w trzecim pokoleniu. Rozdwojenie zaś opinii w sferze polityki zewnętrznej było wtedy w Anglii prawdopodobnie większe, niż w Polsce. Zarówno też wyznania premiera Walpole'a na temat roli pieniądza w procesie zdobywania przez posłów do Izby Gmin wolności sumienia, jak i lista ambasadora Francji, Paula Barillona (†1691) – najzupełniej analogiczna do słynnych list, sporządzanych wiek później w ambasadzie rosyjskiej w Warszawie, a podobnie odnotowujących kwoty przyjmowane przez wpływowych notabli miejscowego establishmentu politycznego.

zniesławiona szła w niepamięć procedura instytucji, której duch przeważnie kieltnał odruchy anarchii, w żadnym państwie wolnym nieuniknione. Jej zasady ginęły zaś w ignorancji właśnie, gdy pojęcie o nich było tak niezbędne, do równie niezbędnej reformy państwa. Osiemnastowieczni nie rozumieli ich na tyle, że choćby *liberum veto* mogli wywodzić z konstytucji, która je właśnie wykluczała, bo z konstytucji *Nihil Novi* z 1505 roku. O wciągającej sile, chciałoby się rzec „przebicia”, ignorancji podobnej świadczy też pisarstwo Stanisława Konarskiego (†1773) – odznaczonego przez króla Stanisława Augusta medalem nadawanym tym, *którzy odważali się być mądrymi* – podającego mylną datę *Nihil Novi*, zaś zarzut anarchii adresującego do środowiska, które w XVI wieku właśnie ustrój zreformowało.

Nie sposób nie zauważyć przewrotowego znaczenia w sferze psychologicznej, obydwu wydarzeń klamrzących osiemnastowieczne *wczoraj* – otwarte przyszyciem niemieckiej głowy do polskiego tułowia w roku 1697 i w 1717 zamknięte parodią sejmu, jaką był *Sejm Niemy*. Wydaje się, że to właśnie im towarzysząca trauma moralna, powodowana urazami godności własnej, stała się jedną z głównych przyczyn destrukcji wspólnoty obywatelskiej Pierwszej Rzeczypospolitej. Automatyzm sprzęgający uraz godności własnej ze spadkiem szacunku dla współobywatela, potęgował atrakcyjność azylu u klamki dworu wielmoży. Siła przyciągania takiego azylu cementowała klientelę, z wielmoży czyniąc oligarchę, a rywalizację stronnictw – zjawisko obecne w każdym systemie – przemieniając w rozbrat. Sprzyjała temu *wielka wojna północna*, rozpoczęta bez udziału Rzeczypospolitej, a toczona na jej terytorium, pod postacią *wojny domowej*. Na niej to stronnicy króla Augusta II – świeżo wybranego jako zło poniekąd mniejsze – bili się ze stronnikami Stanisława Leszczyńskiego wybranego w roku 1704 przez króla Szwecji. Wspólnota upokorzenia stronnictw nasilała ich wzajemną niechęć. Jednak nie uprawnia ona sądu, że kładący kres domowej wojnie *Traktat Warszawski* z 3 listopada 1716 roku, stanowił efekt obywatelskiego otrzeźwienia. Bliższa prawdy wydaje się myśl, że był to formalny finał targu uwieńczonego ugodą dlatego tylko, że udział w nim brali jedynie ci, co go zawrzeć chcieli – po wcześniejszej eliminacji, czy izolacji pozostałych. Świadczy o tym tryb, w jakim Sejm Niemy zatwierdził *Traktat Warszawski*. Choć ustawodawstwo Sejmu Niemego usprawniło zarządzanie państwem, nie zmienia to jednak faktu, że odtąd rządził państwem układ inny, w porównaniu z wiodącym rej przed rokiem 1696. Strukturalnie i personalnie skryształizowany w latach 1696-1717 układ – w którym nie zabrakło oso-

bistości z poprzedniego – polaryzował obie partie główne, to jest *familię* i *republikantów*, oraz ustalił granice i procedury rywalizacji wewnętrznej na resztę sasko-stanisławowskiej doby.

Dyskrecja osłaniająca zakres przewrotu, ułatwiła wyrugowanie z narodowej pamięci przecież nie tylko podstawowych zasad polityki wewnętrznej. Pozwoliła też na manipulację świadomością historycznego doświadczenia Rzeczypospolitej w zakresie zasad jej polityki zewnętrznej. Manipulację, która jakby miała uzasadniać przemianę polityki Polski w *sprawę polską*, zrazu w epoce sasko-stanisławowskiej a potem w rozbiorowej.

Wywłaszczenie pamięci historycznej z dorobku epoki, która poprzedzała przewrót z lat 1696-1717, nie przesłoniło wprawdzie obrazu świetności państwa mieszczącego się – z obiektywnej racji potencjału i położenia – na pierwszym planie polityki kontynentalnej, a kierującego się względem na wolność własną i cudzą jednocześnie. Takim państwem była w dobie świetności Pierwsza Rzeczpospolita niezależnie od wszystkich swych potknięć na niwie zewnętrznej. Potknięć powodowanych najczęściej przez trudności wewnętrzne i tak jak one, nie do uniknięcia przecież w żadnym systemie politycznym. Powiedzonko *od Sasa do Lasa* – komentujące ówczesną wojnę domową – upamiętnia drwinę z postawy, jaka w swej skali była wykroczeniem przerastającym wszystkie tu potknięcia wcześniejsze. A przecież przedmiot tej drwiny – ujęty terminem *orientacja* – dziewiętnastowieczny i dwudziestowieczny makiawelizm znad Wisły, *romantyczny* z *realistycznym* w zgodzie, uczynił miarą politycznej rozważy. Owej krótkowzrocznej mierze politycznego rozsądku towarzyszył niemniej samobójczy realizm tezy o pierwszeństwie tendencji globalnych nad interesem lokalnym. Jakżeż wszystko to obrażało doświadczenia dyplomacji doby świetności – dobre i złe. I jak szkodliwie tamowało odruchy – dobrze sprawdzone w jej praktyce – w istocie samozachowawcze. Z jednej strony dbałość, by stosunki w Europie pozostawały wolne od zagrożenia dominacją przez którąkolwiek z potęg Kontynentu. I z drugiej – by prawidłowej identyfikacji zagrożeń Rzeczypospolitej, odpowiadał dobór właściwych środków zaradczych. Wierność zasadzie pierwszej ujawniła się na obu frontach polityki europejskiej z doby Nowożytności wczesnej. W wieku XVI, gdy polityka polska ułatwiła Habsburgom rozstanie z ideą hegemonii globalnej i w wieku XVII, kiedy podobną rolę odegrała z chwilą, kiedy ideę podobną przejęła Francja. Realizować drugą zasadę pozwalał ustrój państwa. Jak wiadomo, królowi powierzał on planowanie polityki, a kanclerzowi zlecał jej wdrożenie – przy doradczym oraz kontrolnym udziale Senatu i Izby

Poselskiej. To, że współpraca trzech ciał tworzących Sejm Rzeczypospolitej – Króla, Senatu i Izby Poselskiej – układała się różnie także w zakresie polityki zagranicznej, rzuca cień raczej na osoby, ale nie kompromituje struktury ani procedur. Przemawiają za tym osiągnięcia z doby świetności, bez nich zapewne nierealne. Nie przeczą temu klęski z wieku XVIII, skoro wtedy nie one były stosowane. Doświadczenia uniwersalne również nie kompromitują struktur tych i procedur, jako że dezawuuują systemy przeciwne. Te, co politykę zagraniczną oddają władzy niekontrolowanej – z konsekwencjami złowrogimi – tak dla otoczenia państwa podobnie rządzonego, jak i dla stosunków wewnętrznych w nim samym.

Retrospekcja wydarzeń z lat dwustu czterech – od śmierci Jana III Sobieskiego w czerwcu roku 1696 do śmierci Kazimierza IV Jagiellona w czerwcu 1492 roku – walor obu tych zasad weryfikuje przekonująco.

Rozdział V

Pod Wiedeń (1632-1697)

Lata 1492-1696 czyli *Wczesna Nowożytność*, to osobny rozdział historii europejskiej kultury i polityki. Dramaturgię tej chwili zwięźle obrazuje opozycja dzieląca dwie wizje Europy – tę, którą oznacza termin średniowiecze i tę, której oznaczeniu służy termin *nowoczesność*. W świetle dramaturgii tak zarysowanej, epoka w przybliżeniu ujęta tymi datami rocznymi, to czas ostatecznego pożegnania się Europy ze średniowieczną normą polityki, postulowaną w obu jej sferach – wewnątrzpaństwowej i międzypaństwowej – a zawartą w idei *rzeczypospolitej chrześcijańskiej* (*respublica cristiana*). Jest to czas nie tylko ostatecznego wypalenia się tej idei, zastanej przez epokę na jej *renesansowym* progu, na przełomie XV i XVI wieku. Jest to też czas zasiewu i kiełkowania idei już innych, które plonować miały po przekroczeniu zamykającego Wczesną Nowożytność, progu *oświeceniowego*. Progu więc, jaki – na przełomie wieków XVII i XVIII – otwiera Nowożytność już dojrzałą, gdzie wyobrażenie *europiejskości* zawiera się, między innymi, w pojęciu *państwa narodowego* (*l'Etat-Nation*). Jest to, jak wiemy, wyobrażenie państwa jako podmiotu procesów modernizujących jego społeczeństwo, który to podmiot – wspólnie z pozostałymi podobnymi mu podmiotami Kontynentu – gwarancję swego bezpieczeństwa upatruje w pilnym przestrzeganiu zasady *równowagi sił*. Co oczywiste, trwając ponad lat dwieście, Wczesna Nowożytność nie przedstawia się jako epoka jednolita. W składającym się na nią ciągu zdarzeń łatwo zauważyć zwrot, który ją rozpołowił – znów na przełomie wieków, tym razem XVI i XVII – a który był zwrotem równie doniosłym jak oba wspomniane. Jego zbieżność chronologiczna z manifestacją pierwocin Baroku skłania, by swoisty próg, na jakim do zwrotu tego doszło, nazwać *barokowym*.

Rysuje się oto sekwencja chronologiczna, periodyzująca dosyć klarownie proces zmian jakiemu polityka europejska ulega w całej epoce. Sekwencja taka pozwala wychwytywać kolejne meandry tendencji zmian, w których

uzewnętrznia się ów proces. A więc zmian, które na kolejnych progach pokazały cały swój potencjał otwarcia, właściwy chwilom każdego przełomu oraz zmian aktualizowanych w obu już wydłużonych fazach realizacji – szesnastowiecznej i siedemnastowiecznej. Co więcej, cały ten ciąg zmian daje się ująć w pięciu kadrach, z których każdy swoją spójnością wewnętrzną i dostatecznym kontrastem z kadrami sąsiednimi, zdaje się tworzyć narzędzie umożliwiające kompleksową analizę realiów różnej kategorii. Pozwala też przedstawiać, wewnątrznie zwartą i odrębną od sąsiednich, kompozycję realiów układu naczyń połączonych, jaki państwa Europy tworzą zawsze, z realiami jej aktualnego położenia zewnętrznego, w jakim układ ten trwa aktualnie. W każdym też kadrze, z realiami wymienionymi komponuje się nie mniej spójnie stan struktur ustrojowych, jako wynik stanu politycznych aspiracji wewnętrznych i jako istotny czynnik jakości zewnętrznych działań państwa. Nie inaczej, w tych samych kadrach rozwijają się kolejne odsłony procesu intelektualnego, w każdym z nich prezentując stan pojęć właściwy danej epoce, a korespondujący z ówczesną praktyką. Nadto w tutaj proponowanych – bynajmniej nie nowinkarskich – punktach czasowych cezur poszczególnych kadrów, zgodnie sąsiadują zdarzenia węzłowe w obydwu procesach nas interesujących: w realizacji polityki polskiej i w ewolucji polityki w Europie.

Dzieje się tak już w kadrze pierwszym, ujętym cezurą lat 1492-1526. To w tych latach mieści się całość historii integracji Europy Środkowej pod egidą polskiego Domu Panującego: od węgierskiej koronacji królewicza Władysława Jagiellona króla Czech, po śmierć jego syna – Ludwika króla Węgier i Czech – poległego w bitwie z Solimanem Wspaniałym, pod Mohaczem. Integracja ta była zaś okolicznością udaremniającą podjętą właśnie wtedy – przez Maksymiliana I Habsburga – ostatnią średniowieczną z ducha próbę narzucenia hegemonii Kontynentowi. To właśnie wówczas zainaugurowane zostały taktyczne związki, zachodnioeuropejskich współzawodników do tytułu hegemonu, z siłami ze wschodnioeuropejskich i małoazjatyckich rubieży Kontynentu. Co więcej, granice kadru lat 1492-1526, wyznaczają z jednej strony dwa rzeczywiście epokowe wydarzenia: odkrycie Ameryki i kapitulację Grenady – ostatniego punktu oporu arabskiego na Półwyspie Iberyjskim, a z drugiej dwa wydarzenia kluczowe dla całego szesnastowiecznego układu sił w Europie Zachodniej – bitwa pod Pawią (1525), w której wojska cesarza Karola V zadały druzgocącą klęskę oddziałom Franciszka I i *sacco di Roma* (1527), to jest zdobycie i złupienie Rzymu przez wojska Karola V. Ujmując one

też okres ścisłego *Renesansu* w sferze sztuki. To przecież wtedy Machiavelli, w przedmowie do pierwszej księgi *Rozważań* – czyniąc aluzję do dokonującego się odrodzenia formy klasycznej w sztuce (Leonardo, Rafael, Michał Anioł) – proponował podobne odrodzenie sfery polityki, przez odrodzenie rzymskiego ustroju republikańskiego. To także wtedy – niezależnie zresztą od tej sugestii – ożywił się europejski duch konstytucjonalizmu, czego objawami były choćby próby reformy Rzeszy Niemieckiej (Bertold von Henneberg), wprowadzie stordedowane, czy też konstytucja *Nihil novi* (1505), słynna podwalina polskiej realizacji republikańskiego *ustroju mieszanego*. To wreszcie w chronologicznym kadrze *Renesansu* mieści się chwila, kiedy powszechne na Zachodzie pragnienie odrodzenia Kościoła Katolickiego znalazło ujście w działaniach rozbieżnych na tyle, że zdołały one rozbić duchową jedność *rzeczypospolitej chrześcijańskiej*.

Podobnie jest też w wypadku pierwszej, szesnastowiecznej fazy realizacji potencjału uruchomionego na renesansowym otwarciu, fazy, której całość ujął kadr lat 1526-1598. To od bitwy pod Pawią i *sacco di Roma*, po *Traktat w Vervins* (1598) – francusko-hiszpański układ pokojowy – zasadę polityki europejskiej stanowi prymat Hiszpanii w Europie Zachodniej, a Polski w Europie Środkowej. Widoczne w kadrze tym, kolejne akty kontestacji właśnie takiej zasady, programują całą pierwszą fazę dezintegracji kulturowego oblicza Zachodu. Fazę więc dwoistego modelunku polityki, którego potencjalność zdefiniował jeszcze Machiavelli – z jednej strony *Księciem*, z drugiej *Rozważaniami* – a który realizował się kontrastując dwa rozwiązania ustrojowe: absolutystyczne francuskie i konstytucyjne polskie. Kadr lat 1526-1598 ujmuje także cały proces – z kontestacją tą związany – jaki rozszczepił kulturowy obraz Zachodu w doniosłej sferze standardu wzajemnych stosunków Kościoła i Państwa. Z jednej strony był to proces, który stosunki te modelował w duchu *konfesjonalizacji* Państwa, w myśl zasady *cuius regio eius religio* (1555), ze skutkami w postaci wyznaniowego przymusu i domowej wojny wyznaniowej w Rzeszy, Francji i w Anglii. Z drugiej strony był to proces, gdzie nie chcące *władać sumieniami* Państwo podjęło się gwarancji międzywyznaniowego pokoju i praw politycznych jednostki bez względu na wyznanie – *Konfederacja Warszawska* (1573). Rozdwojenie duchowe ułatwiało Zachodowi tolerancję działań, które zwiększały płynność sytuacji na rubieżach Kontynentu. Front inwazji Osmanów, agitowany z Francji, przez cały czas mógł płonąć już u samych wrót Zachodu. Gra o oblicze i postawę Rosji – narzucona tak zasłużonej dla jej niedawnych narodzin Polsce, przez czynniki kontynentalnej hege-

monii – utrudniała strategicznie i cywilizacyjnie bezpieczne skonfigurowanie z Zachodem całej Europy Wschodniej, po rozpadzie niewołącego ją do końca XV wieku imperium Złotej Hordy.

Z kolei kadr lat 1598-1618 równie przejrzysto prezentuje zwrot, do jakiego doszło na *progu barokowym*, zamykającym szesnastowieczną fazę Nowożytności, a otwierającym jej fazę siedemnastowieczną. To w tym okresie konfesjonalizacja wewnętrznych stosunków politycznych w Rzeszy, Anglii i Skandynawii osiągnęła stopień, na którym nieunikniona okazała się konfesjonalizacja także stosunków międzypaństwowych. Dokonało się to nie bez związku z przejściem inicjatywy w obozie reformacji przez kalwinizm – zbieżnie z kalwińskimi konwersjami w elitach dotąd luteranских. W tak naznaczonym rosnącą ideologizacją stosunków wewnątrz europejskich, kadrze lat 1598-1618, ujawniła się też dostatecznie już wyraźna gra dwóch przeciwnych tendencji. Pierwsza z nich – do dziedziczonego po wieku XVI układu sił ustosunkowana raczej zachowawczo – miała za sobą aspiracje konstytucjonalistyczne i zmysł wyznaniowej tolerancji. Natomiast z drugą – rewizjonistyczną w kwestii modelunku równowagi kontynentalnej – kojarzyła się promocja monarchii absolutnej i wyznaniowego dyktatu. Działo się tak w Europie Środkowej. Tu, z ofensywą podjętą przeciw prymatowi Pierwszej Rzeczypospolitej – jaką od 1598 roku kalwiński uzurpator tronu Szwecji godził w prawowitą, konstytucyjną i tolerancyjną władzę, sprawowaną w szwedzkim państwie Zygmunta III Wazy króla Polski – zbiegła się rzeź katolików szwedzkich i ubezwłasnowolnienie szwedzkiego parlamentu. Podobnie działo się w Europie Zachodniej, gdzie podjęte przez katolicką Hiszpanię próby pokojowej stabilizacji położenia lokalnego, spotkała wrogość ze strony ekstremy, nie tylko kalwińskiej, a życzliwość ze strony czynników umiarkowanych. Działo się tak choćby w Holandii, gdzie wrogi ugodzie z Hiszpanią książę Maurycy Orański reprezentował i kalwiński fundamentalizm i monarchiczny absolutyzm, zaś rzecznik ugody z nią – Johan van Oldenbarnevelt – był i republikaninem, i tegoż fundamentalizmu ofiarą śmiertelną (1619).

Ujmując siedemnastowieczną fazę Wczesnej Nowożytności, w kadr lat 1618-1696 ujmuje się proces, jaki dzieje Europy doprowadził do *progu oświeceniowego*. Proces ten determinowała skumulowana na *progu barokowym* wola rewizji szesnastowiecznego układu sił. Inicjowany od wybuchu *Wojny Trzydziestoletniej* (1618) aż po śmierć Jana III króla Polski (1696) przez stronę rewizjonistyczną, biegł on pod znakiem dość skutecznej obrony ze strony

zachowawczej. Kwitując akty zbrojne, kolejne traktaty jedynie korygowały układ sił jaki panował w chwili ich otwarcia. Tak było w przypadku *Traktatu Westfalskiego* (1648), kończącego *Wojnę Trzydziestoletnią*, jak i *Traktatu Oliwskiego* (1660), kończącego dwakroć dłuższą, a związaną z nią wojnę Polski ze Szwecją, jak też *Traktatu Pirenejskiego* (1659), zamykającego rywalizację jaką Hiszpanii narzuciła Francja. Nie wiele też zmienił się układ sił na wschodniej i południowowschodniej rubieży Kontynentu. Polska wytrzymała animowany z Zachodu nacisk Rosji, zachowując przewagę nad nią do końca fazy. Stać też było Rzeczpospolitą na odsiecz Wiednia (1683). Akt ten, zatrzymał turecką ekspansję w Europie.

Od bilansu zmian terytorialnych i prestiżowych, jakie stały się wtedy udziałem państw Europy, donioślejszy był jednak bilans ich życia wewnętrznego. Nadmiar danin krwi i pieniądza nie sprzyjał wolności – nie tylko gdy je wymuszało państwo absolutne, dla swej ekspansji. Nie sprzyjał jej też, gdy – choć był darem procedury państwa konstytucyjnego, które broniło swych praw – swym rozmiarem katalizował kryzys obywatelskiego ducha. Gdy więc z końcem fazy Francja osiągała apogeum monarchii absolutnej, a Polska zmierzała do apogeum destrukcji wolnościowego ustroju Pierwszej Rzeczypospolitej, wolność polityczna znikła z Kontynentu. Stąd też gdy już na dobre zadomowiła się w Anglii – w roku 1689, po półtorawiekowych z górą próbach – to stało się tak z dość egzotyczną przyprawą: szaleństwa nietolerancji i szczypty ludobójstwa.

W dniu 30 kwietnia 1632 roku – w czterdziestym szóstym roku panowania – zmarł Zygmunt III Waza. Śmierć króla, która przypadła na półmetku *Wojny Trzydziestoletniej*, nie stanowiła jednak wyraźnej cezury. Nie uległy bowiem zmianie ani przesłanki polityki polskiej, ani jej funkcja w polityce europejskiej, nadal modelowanej tendencjami tymi samymi. Nawet elekcja jego następcy nastąpiła szybko i jednomyślnie – już w listopadzie tego samego roku Rzeczpospolita miała nowego króla. Został nim najstarszy syn zmarłego – Władysław IV (†1648).

Zmianie uległa jednak podstawa moralna polskiej polityki. W istocie osłabiły ją wahania opinii publicznej, która poddała się demobilizującemu przypływowi nastrojów pacyfistycznych. Pozbawiły one rząd odpowiedniego wsparcia dla polityki, jaką ten prowadził z godną uznania wiernością zasadom tradycyjnym. Ich zwycięstwo nie pozwoliło Rzeczypospolitej wyzyskać znacznej przewagi strategicznej, wypracowanej wcześniej. Jednak epoki otwartej w roku 1632

bynajmniej nie wieńczył rok śmierci Władysława IV i zarazem końca *Wojny Trzydziestoletniej* – 1648. Tak dla Polski, jak dla Europy zakończyły ją bowiem dopiero ostatnie lata XVII wieku, ściślej zaś rok 1696, w którym zmarł król Jan III Sobieski. Tymczasem w swej przeważającej części była to heroiczna epoka Pierwszej Rzeczypospolitej, kiedy to – jakby w akcie ekspiacji za wyuzdany nonsens postawy *w złotych czasach władysławowskich* – zdobyli się jednak obywatele na niezbędną daninę krwi i pieniądza, w rozmiarze zwielokrotnionym rozmiarem skutków zmarnowania chwili sposobnej, by umacniać bezpieczeństwo zewnętrzne państwa. Już sama zdolność do daniny takiej – nadto ostatecznie skutecznej – skłania by w heroicznym półwieczu lat 1648-1696 dostrzegać przybór kondycji moralnej, do której tak wyraźnego obniżenia doszło w szesnastoletnim interwale lat 1632-1648. Jednocześnie fakt, że ważkim czynnikiem skuteczności narodowego wysiłku było również jego oparcie o tradycyjne zasady dyplomacji polskiej, uprawnia pogląd uznający – zarówno wspomniany interwał, jak i obecność kilku strat nie odrobionych do końca – jako swego rodzaju „wypadki przy pracy”, które zna polityka każda. Natomiast właśnie fakt, że strat tych odrobić nie zaniechała i ocaloną nawet państwową usadowiła na kursie tradycyjnym, nie pozwala odmawiać polityce polskiej drugiej połowy XVII wieku tytułu głównej promotorki tendencji, której Kontynent zawdzięcza polityczną wielobiegunowość.

Do porządku wewnętrznego państwa należał też ton polskiej polityki wyznaniowej, który trwał w stałym dysonansie z innymi tonami europejskiego koncertu, i to w dobie najkrwawszego z konfliktów wyznaniowych epoki – *Wojny Trzydziestoletniej*. Wymownego przykładu kontynuowania – zapoczątkowanej przez Zygmunta Augusta – polityki *pokoju wyznaniowego* dostarczył zjazd międzywyznaniowy, zorganizowany pod patronatem króla Polski, w roku 1645 w Toruniu. Skwapliwe protesty wszystkich – prócz papieskiego – autorytetów religijnych Europy ówczesnej przeciw *rozmowie braterskiej* polskich katolików, luteranów, kalwinów i arian, kontrastowały ciemno z jasną myślą mowy inauguracyjnej kanclerza Jerzego Ossolińskiego (†1651). Niósł ją termin *szaleństwo*, użyty przezeń dla nazwania stanu *umysłów ludzkich, co pod złośliwym pozorem pobożności wyracają wszelką religię, znieważają jej świętości, przelewają niewinną krew, ogatacają z obrońców Rzeczypospolitą Chrześcijańską, zdając ją na łaskę barbarzyńców*. Nie tylko satysfakcję kulturową wyrażał kanclerz mówiąc, że *jedna Polska, za przeczornością przodków naszych nie uległa podobnej dzikości, a miłość wzajemną obywateli szczęśliwie dotąd zatrzymuje*. Dawał tym wyraz też niepokojowi, którego przedmiotem było państwo.

Kulturowe w swym sednie wyczucie – sygnalizujące komplementarność bezpieczeństwa państwa – godnego – miana *państwa*, z bezpieczeństwem *Wiary* – podobnie godnej – ostrzegało przed innym, też wspólnym zagrożeniem obojga. Brało się ono z jednego ze skutków konfesjonalizacji państwa, to jest z opierania międzypaństwowych stosunków o sympatie i antypatie wyznaniowe. Polityka polska uniknęła niebezpieczeństwa, któremu poddanie się innych podmiotów ówczesnej Europy – z dobrej woli lub z cynicznej rachuby – inaugurowało praktykę ideologizacji stosunków międzynarodowych. Rzeczpospolita nie tworzyła, ani nie przystępowała do żadnego z systemów przymierzy, jakie w XVI i XVII wieku – z inicjatywy częściej protestanckiej – zawierały przeciw sobie pod hasłami wyznaniowymi, państwa chrześcijańskie.

Co rozumiały, wszystko to skłania, by i całą epokę lat 1632-1696 włączyć do doby świetności Pierwszej Rzeczypospolitej. Tym samym, by również i na cały wiek XVII, zaszczytany dotąd mianem *wieku srebrnego*, rozszerzyć miano *wiek złoty* – zarezerwowane dla wieku XVI. Przemawia za tym także zasadnicza jedność cechująca specyfikę ustrojową w obu stuleciach, która uczyniła Rzeczypospolitą „jednostką flagową” pośród wszystkich tych państw, co wtedy wybierały dla swej władzy publicznej *ustrój mieszany*, jako alternatywę tak dla *anarchii* jak i dla *monarchii absolutnej*. Co rozumiały nie mniej, miano *wiek złoty* nie może mylić. Nie „złoczyły” bowiem tego czasu ani wygody i spokój pozwalający ich używać, ani brak powodów do lęków o przyszłość. Jeśli więc godzimy się z cytowanym komplementem, to stąd, że barwę, o której on mówi, widzimy nie w czasie samym, lecz w odpowiedziach na wyzwania, jakie stawiał tamtym pokoleniom.

W latach 1632-1696 przeciw Rzeczypospolitej zwróciło się wszystko – nie tylko kolejne aspiracje zagraniczne do hegemonii globalnej, lecz i krajowe wahania obywatelskiego *morale* elity i zdrowego rozsądku u ogółu. Oczywiście, to skutkiem takich właśnie wahań było pierwsze *liberum veto*, na stąd precedensowym Sejmie 1652 roku. Jednak zarówno ten, jak i kilka jeszcze Sejmów zerwanych do roku 1696, znajduje przeciwwagę we wciąż zauważalnej woli reformy owej czcigodnej instytucji. Dowodzi to żywotności obu zasad polskiej polityki – zewnętrznej *policentrycznej* i wewnętrznej *republikańskiej* i płynącego z nich pożytku. Tym bowiem, co w fazie lat 1632-1696 ocaliło państwo, była wyłącznie wierność obu zasadom – na tyle, ile jej zostało w umysłach ludzi i w instytucjach ustroju. Starczyło jej do śmierci Jana III Sobieskiego – drugiego z „królów rodaków” – a więc do końca bytowania polityki polskiej w swoim *apogeum*.

Rozdział VI

Do Sztokholmu i do Moskwy (1587-1632)

Oba Sejmy czasu bezkrólewia trzeciego już w ciągu lat zaledwie piętnastu od śmierci Zygmunta Augusta – konwokacyjny i elekcyjny 1587 roku – swoim przebiegiem i wynikami dowiodły, że jagiellońska doktryna polityki zagranicznej Rzeczypospolitej obowiązuje nadal. Krew płynąca w żyłach dwudziestojednoletniego syna Katarzyny Jagiellonki królowej Szwecji – Zygmunta III Wazy (†1632), koronowanego 27 grudnia 1587 roku – symbolizowała ciągłość odzyskiwaną po dwóch krótkich panowaniach poprzednich. Stwierdźmy od razu, że wbrew zniesławiającym króla mitom, miała owa symbolika pokrycie w czynach, jakich dokonał za swych czterdziestopięcioletnich rządów. Że więc odmiennie niż obaj poprzednicy, nie zawiodł on pokładanych w nim nadziei na kontynuację polityki, która zewnętrzne bezpieczeństwo i autorytet państwa utrzymywała na poziomie właściwym. To jest polityki, która by utrzymać żywotne punkty oparcia na północy i południu, swój wektor zwraca na zachód, natomiast wschód lokuje w sferze poczynań wyłącznie defensywnych. A także polityki, jaka – właśnie taki kurs utrzymując – zapobiega niebezpieczeństwu hegemonii transkontynentalnej. Tym samym więc sprzyja procesowi promującemu *państwo narodowe*, jaki zaznaczył swoją obecność we wszystkich dzielnicach Kontynentu, w wieku Renesansu. Pięć lat po koronacji polskiej, kolejna koronacja Zygmunta III – na króla Szwecji, 19 lutego 1594 roku – otworzyła perspektywę ustabilizowania układu sił nad Bałtykiem w formie protegującej policentryzację planu kontynentalnego i – tym samym – formowanie się *państw narodowych*.

Atak na personalną unię Polski i Szwecji, jaki od roku 1600, w krwawej rozprawie z katolikami szwedzkimi, odbierał Zygmuntowi III szwedzką koronę, oddając ją Karolowi Wazie (†1611) – bratu i współzawodnikowi jego ojca, króla Jana III – rzecz zrozumiała nie dowiódł błędności bałtyckiej orientacji polityki Pierwszej Rzeczypospolitej. Dowodził, co najwyżej, że nie jest to orientacja do utrzymania łatwa, co tylko potwierdzało doświadcze-

nia wcześniejsze, z czasów jagiellońskich i jeszcze piastowskich. Toteż budzą zdziwienie poglądy, w świetle których podtrzymywanie roszczeń polskiej linii Wazów do Szwecji miałoby stanowić błąd, gdy jednocześnie poglądom tym towarzyszy inny jeszcze, zwykle wypowiedany z nimi niejako jednym tchem. Pogląd potępiający politykę polską za zaniedbanie spraw bałtyckich i zwrot – rzekomy – ekspansji na wschód. Tymczasem narzucony Szwecji przez księcia Karola rozbrat z Rzeczpospolitą nie wynikał przecież jedynie z ambicji osobistych uzurpatora. Wpisywał się w ogół tych wszystkich okoliczności nieprzychylnych, które wtedy na drodze polskiej polityki bałtyckiej piętrzyły się z siłą narastającą. Stąd determinacja, z jaką król Zygmunt III podjął wyzwanie rzucone mu i Rzeczypospolitej utrzymując roszczenia do korony swych szwedzkich przodków i sposoby, jakimi ich dochodził, stanowią raczej przykład politycznej wytrwałości i rozsądku. A to, obok innych błyskotliwych powodzeń politycznych króla – w tym i łatwości z jaką odparł pokusy zejścia z drogi wytyczonej za Piastów i przez Jagiellonów utrzymywanej – skłania, by w całości jego bez mała półwiecznych rządów dopatrywać się odrębnej, drugiej fazy apogeum europejskiej polityki Polski.

Nieprzychylne okoliczności, o jakich była mowa, stwarzał związek polaryzacji układu sił w północno-zachodnich dzielnicach Rzeszy Niemieckiej z polaryzacją wyznaniową, która od połowy lat siedemdziesiątych XVI wieku zachodziła pod znakiem nasilającej się ekspansji kalwińskiego *networku*. Ze swych ostoi francuskich, niderlandzkich i angielskich emanując na prestiżowe dwory Palatynatu, książąt Jana Kazimierza von Pfalz-Simmern (†1592) i jego bratanka elektora Fryderyka IV (†1610), czy Anhaltu – za księcia Joachima Ernesta (†1586) – zyskał on wpływ wymierny choćby aktywnością formacyjną szkół takich, jak uniwersytet w Heidelbergu, *Akademia Nassauska* w Herborn, *Casimirianum* w Neustadt, czy *Gymnasium Illustre* w Zerbst. Docierał też na dwory inne, dla sprawy luteranizmu zasłużone, zwłaszcza dwór Wettinów, gdzie elektor saski August (†1586) kalwinistów represjonował jeszcze w roku 1574, lecz gdzie wpływ jego żony, księżnej Anny (†1585) – siostry Fryderyka II (†1588) króla Danii – pozwalał im przetrwać na tyle, by za ich syna i następcy Christiana IV (†1591), mógł w bardzo newralgicznych latach 1586-1591 faktyczną władzę sprawować kanclerz Nikolaus Krell (†1601). Osobistość więc zajmująca miejsce eksponowane w gronie, które od połowy lat 70-tych organizowało – aż po rok 1608 bezskutecznie – niemiecką *Unię protestancką*.

W powszechnej świadomości historycznej dominuje uproszczony obraz polaryzacji wyznaniowej w tej epoce, w jakim konflikt sprowadza się do starcia katolickiej kontrreformacji z reformacją protestancką. Rzeczywistość jednak była bardziej skomplikowana, gdyż między *networkiem* luteranśkim – który po triumfie na Reichstagu z roku 1555 zdawał się spocząć na laurach – a dopiero integrującym się do boju *networkiem* kalwińskim, zaostrzał się rozdzźwięk, dla obu dotkliwszy od ich zagrożenia ze strony katolickiej. Z pewnością niezłą okazją dla jego demonstracji był podział opinii niemieckiej w kwestii *Ligi* tu wspomnianej, a organizowanej przez książąt Jana Kazimierza von Pfalz-Simmern i Joachima Ernesta von Anhalt, z gremialnym udziałem globtroterów angielskich z agentury sir Francisa Walsinghama, jak sir Robert Dudley (†1588) i jego siostrzeniec sir Philip Sidney (†1586), lub sir John Norrey (†1597) i Robert Beale (†1601), czy sir Edward Denny (†1599) i John Dee (†1608). Sekundował im również niejeden dyplomata-obieżyświat rodem z Francji, jak Hubert Languet (†1581) czy Jean de Ferrières (†1586). Co charakterystyczne, brak poważniejszych przesłanek sądu, by poszerzenie swobód wyznaniowych było zamiarem *Ligi* tej w stopniu większym, niż spełnienie ambicji wprowadzić uzasadnionych z pewnością, lecz raczej nie do spełnienia z pomocą środków, jakimi wszystkie ligi podobne mogą dysponować.

Synergia ambicji kościelnych młodego kalwinizmu, z ambicjami politycznymi jakie Domowi Orańskiemu i jego przyjaciółom dyktował honor, miała naturę wybuchową. Jej wpływ musiał kruszyć konstrukcję, jaką tworzyły państwa pozostające pod suwerennością króla Hiszpanii, Filipa II Habsburga (†1598). Rzecz w tym, że w świetle wyobrażeń prawnych epoki nie była to konstrukcja do podważenia. Za dynastycznym związkiem Niderlandów z Hiszpanią stało nie kwestionowane prawo sukcesji. Co więcej, ówczesnych wyobrażeń z kolei politycznych nie mogła razić ani forma instytucji parlamentarnych, ani ich praktyka – nie maskująca realiów konfliktowych i nie uniemożliwiająca dialogu. Obok właściwych każdej epoce przejawów woli ułomnej – po obu stronach konfliktu, jaki narastał od końca lat 60-tych XVI wieku – nie brakowało też po obu stronach woli politycznego pojednania, której wyrazowi stan języka politycznego bynajmniej nie stał na przeszkodzie. O ile – oczywiście – wyrafinowana kaskada propagandy nie dezawuowała jego prostoty, trafiającej w szlachetne sedno rebelii feudalnej, jaką konflikt ów był u swych początków. Wyłącznie *czarna legenda*, spisana namiętnym piórem purytańskich polemistów, szerząca znany przesąd, co utożsamia katolicyzm z monarchią absolutną, inkwizycją i Hiszpanią, tłumaczy ignoro-

wanie dwóch faktów niezbitych, z których wszystkie rzucają inne światło na lokalny i kontynentalny sens konfliktu, o jakim mowa. To jest faktu, że prze-
wagały wyrazy pojednania ze strony rządu Filipa II, który niderlandzkie ciała
parlamentarne szanował nie mniej jak hiszpańskie, raczej krnąbrne. I faktu,
że osiemdziesięcioletnia wojna Niderlandów z Hiszpanią, zainaugurowana
w roku 1568 rebelią księcia Wilhelma Orańskiego (†1584), była w istocie
wojną obronną króla Filipa, który przeciwstawił się agresywnej koalicji Anglii
i Francji, skierowanej przeciw Hiszpanii – nijak nie obrażającej ducha *traktatu*
z *Cateau-Cambrésis*, z roku 1559. To przecież posiłki pod dowództwem już
tu wspomnianego sir Johna Norreysa i sir Richarda Bingham (†1599), oraz
pana Franciszka de La Noue (†1591), pozwoliły kalwińskiej części Holendrów
cieszyć się ze zwycięskiej bitwy pod Rijmenam, w roku 1578 przerywającej
rozejm w tej, formalnie dotąd, domowej wojnie.

Formalnie domowa, wojna części politycznej elity Holandii z Filipem II Habs-
burgiem, została umiędzynarodowiona w roku 1580, gdy pod dyktando księcia
Wilhelma Orańskiego Stany Generalne *traktatem z Plessis-lès-Tours* przekazały
suwerenność księciu Franciszkowi d'Alençon (†1584), bratu króla Francji, zob-
wiązanemu do militarnego wsparcia imprezy. To podjętą w roku 1582 akcję księ-
cia Franciszka, zakończoną rozbiciem tegoż wsparcia przez mieszczan Antwerpii
w styczniu 1583 roku, i o pół roku wcześniejsze rozbicie – w bitwie u wybrzeży
Azorów – francuskiej floty, interweniującej na rzecz przeciwników unii Portuga-
lii z Hiszpanią, odwzajemnił król Filip ingerencją w wewnętrzne sprawy Francji.

Była to ingerencja znamienita nie tylko stąd, że nie miała celów zabor-
czych, lecz też z racji jej szczególnego miejsca w procesie ustrojowym Francji.
Zawarty w grudniu 1584 roku *traktat z Joinville* przewidywał bowiem jedynie
wsparcie Hiszpanii dla katolickiego kandydata do tronu Francji, kardyna-
ła Karola Burbona (†1590), przeciwko jego bratankowi, Henrykowi królo-
wi Nawarry (†1610), też Burbonowi, ale kalwiniście – w związku z wtedy
pewnym już w świetle prawa, dziedziczeniem korony francuskiej przez ów
ród, po królu Henryku III jako z rodu Walezjuszy ostatnim. Nadto, alians
proklamowanej wiosną 1585 roku francuskiej *Ligi Świętej* i króla Hiszpanii
nie był aktem kierującym się przeciw panującemu królowi Francji. Stanowił
raczej akt obliczony na niejako odzyskanie króla, który od powrotu z Pol-
ski był królem wyznawców jednego wyznania – kalwinizmu – głównie im
zawdzięczając przejęcie dziedzicznego tronu. W istocie też tak stało się, gdy
latem 1585 roku Henryk III przystąpił do *Ligi*, co w wewnętrznej polityce
francuskiej skonfigurowało układ nieco zaskakujący.

Oto w symbiozie tendencji monarchicznej z katolicką brał udział uosobiony przez Stany Generalne czynnik *konstytucjonalizmu* i kierownictwo polityczne, które – objęte przez Dom Lotaryński – poręczało jedność polityczną z Francją, po stronie związanej z Domem tym większości elity historycznego *działu Lotara*. A więc dzielnicy, której jedynie części – i to dopiero w następnym wieku, kosztem rozlewu krwi i z finansowym mozołem – zdołała inkorporować monarchia absolutna. Można rzec, iż choćby bohaterski opór przyłączanej do Francji w roku 1674 przez „Króla-Słońce” prowincji Franche-Comté – przyznanej mu przez Hiszpanię – oddał sprawiedliwość tej jednej z krótkich chwil, w jakich wcześniej monarchia francuska stawała przed perspektywą instytucjonalizacji *ustroju mieszanego*. Pod koniec XVI wieku, właśnie w takiej chwili, Francja reprezentowana przez Stany Generalne, katolicki Paryż i ufną Domowi Lotaryńskiemu część arystokracji, ścierała się z duchem Francji monarszego absolutyzmu – przez stronnictwo Henryka z Nawarry niesionym z pewnością bezwiednie.

Zapewne zdejmuje to z Filipa II jakąś część odium, jakim go obciąża jego interwencja we Francji już zbrojna, po zleconym przez wiarołomnego Henryka III mordzie braci de Guise – kardynała Ludwika i księcia Henryka – przywódców *Ligi*, w grudniu 1588 roku. Ingerencja więc rozpoczęta odsieczą, jaką jesienią roku 1590 – po śmierci Karola Burbona, uznanego przez Stany Generalne królem po Henryku III – dał Paryżowi oblężonemu przez Henryka z Nawarry, dowódcą armii hiszpańskiej, książę Aleksander Farnese (†1592). Interwencję tą – po rzędzie porażek, jakich Henryk Nawarski doznał, nim przyjąwszy katolicyzm, i warunki stawiane przez Paryż i Stany Generalne, został w lutym 1594 roku koronowany jako Henryk IV – wieńczyło pewne powodzenie. Zawarty przezeń z Filipem II w Vervins w roku 1598 pokój przywracał bowiem stan przewidziany *traktatem z Cateau-Cambrésis* z roku 1559, uznany za wyraz apogeum przewagi Hiszpanii nad Francją.

W koszt tego powodzenia wpisywały się jednak straty poniesione na innych frontach obrony przed ofensywą kalwińskiego *networku*. Z pomocą księciu Maurycemu Orańskiemu (†1625) – synowi i następcy Wilhelma Orańskiego, zamordowanego w roku 1584 – pośpieszył rząd Anglii, w sierpniu 1585 roku, w Nonsuch zawierając z nim przymierze, na mocy którego rok później wylądowała w Holandii armia angielska, pod dowództwem sir Roberta Dudleya. Zarazem, od początku roku 1586, porty hiszpańskie na Karaibach nękała angielska flotylla, którą prowadzili Christopher Carleill

(†1593) i sir Francis Drake (†1596), na arenie międzynarodowej reprezentujący postawę specyficzną. Pierwszy – pasierb Walsingham – był ofiarnym sojusznikiem Wilhelma Orańskiego i kalwinistów francuskich, znajdującym nadto czas, by w roku 1582 towarzyszyć wizycie kupców angielskich u Iwana Groźnego. Drugi – chrześniak sir Francisa Russella (†1585), syna sir Johna 1-go jarla Bedford (†1554), jednego z głównych beneficjentów prywatyzacji majątków kościelnych, dokonanej za Henryka VIII – surowe zasady moralne nowego wyznania godził z piractwem oraz z handlem niewolnikami, tępionym przez wierne staremu, kolonialne władze hiszpańskie. To właśnie po surowej lekcji, jaką te ostatnie dały mu w meksykańskim porcie Veracruz, podniesiony przez ambasadora Francji w Londynie do stanu szlacheckiego w 1581 roku, wiosną roku 1587 Drake dokonał głośnego rajdu na port w Kadyksie, żeby – jak mówi się do dziś – uprzedzić spodziewaną od *traktatu z Nonsuch* wyprawę Wielkiej Armady na Anglię.

Rzecz w tym, że raczej wyłącznie rajd Drake’a był powodem wspomnianej wyprawy. Ripostą dostateczną na *traktat z Nonsuch* było rozbiecie przez księcia Farnese – we wrześniu 1586 roku pod Zutphen – armii angielskiej, którą przywiódł sir Robert Dudley, gdy zarazem mnożyły się przejawy opinii, i holenderskiej i niezadowolonej, z kalwińskiej rewolucji. Braku przesłanek konfliktu Hiszpanii i Anglii dowodziła długa tradycja koalicji dynastycznych, oraz geopolityczna refleksja. Znalazła ona odbicie już w podpisanym w roku 1489 przez królów Ferdynanda II Aragońskiego (†1516) i Henryka VII Tudora (†1509) *traktacie z Medina del Campo*, owocu nieufności wobec wspólnej sąsiadki – Francji, a postanawiającym małżeństwo infantki Katarzyny (†1536) z księciem Walii Arturem (†1502), zawarte w roku 1501. Siedem lat później, dopuszczony dyspensą papieską związek owdowiałej Katarzyny Aragońskiej ze szwagrem, królem Henrykiem VIII (†1547), dowiódł ciągłości założeń politycznych, które doprowadziły w roku 1554 do małżeństwa ich córki, królowej Marii Tudor (†1558) z księciem Asturii – od 1556 roku królem Hiszpanii – Filipem II. Katolicyzm zaś króla Filipa był z pewnością na tyle głęboki, że chronił go przed grzechem niedbałości o powierzona mu przy sakralnym akcie koronacji, właśnie czysto polityczną kondycję wspólnoty, którą rządził. To względem na tej wspólnoty bezpieczeństwo, do działań jedynie defensywnych ograniczał jego aktywność nad Morzem Północnym. Stąd też ani król Filip, ani członkowie jego rządu, nie ulegali sugestiom mogącym odwracać uwagę od głównych kierunków działań, zarówno gdy sugestie te płynęły ze strony agentury sir Francisa

Walsingham, jak i od prześladowanych katolików angielskich. Działania bowiem ofensywne Hiszpanii umiejscawiały się w dwóch akwenach innych – śródziemnomorskim i atlantyckim.

To działania w ich zasięgach krystalizowały tożsamość wspólnoty politycznej, jaka ukształtowała się w procesie *rekonkwisty*, którego skutkiem było wyzwolenie Półwyspu Iberyjskiego spod okupacji muzułmańskiej i jego unia dynastyczna z trzema monarchiami Italii – Królestwem Neapolu, Królestwem Sycylii i Królestwem Sardynii. Odpowiedzialność za całą wspólnotę skupioną wokół zachodniej części akwenu śródziemnomorskiego – przejęta przez Habsburgów hiszpańskich po ostatnim z jej aragońskich twórców, Ferdynandzie II – obciążała króla Filipa, synchronicznie z odpowiedzialnością za historyczny potencjał, przez tę samą *rekonkwistę* wygenerowany w jej finale. Potencjał tym razem *konkwisty* Nowego Świata – trwającej odkąd małżonka Ferdynanda II, królowa Izabela Kastyljska (†1504), poparła ideę Kolumba. Od roku zaś 1580, wraz z objęciem przez Filipa II tronu Portugalii – po siostrzeńcu Sebastianie (†1578), który na afrykańskim brzegu Atlantyku padł jako ostatni z monarchów Europy, co to ginęli w imię Krzyża, i po ostatnim królu z Domu Avis, Henryku (†1580), swym wuju – była to odpowiedzialność za Atlantyk już cały. Każdy z akwenów narzucał – przyznać wypada – odpowiedzialność nieco inną.

Wprawdzie swój znany esej propagujący hasło jedności brytyjskiej – tytułowanej tu po raz pierwszy jako *British Empire* – John Dee ogłosił już w roku 1577, jednak przedstawiona w nim idea hegemonii brytyjskiej na morzach (jako instrumentu hegemonii globalnej), zaczęła urealniać się dopiero ponad sto lat później. Choć bowiem w 1596 roku sir Walter Raleigh (†1618) i sir Robert Devereux 2-i jarl Essex (†1601) powtórzyli rajd Drake’a z roku 1587, to nie zmieniało to charakteru ówczesnej obecności brytyjskiej na morzach, oddanego w anglojęzycznej literaturze doby romantyzmu (*Złoto z Porto-Bello* czy *Wyspa Skarbów*). Tolerancja hiszpańska dla rozpoczętych u progu XVII wieku osiedleńczych prób Anglii w Nowym Świecie chyba potwierdza świadomość przewagi Hiszpanii w akwenie. Nie zmieniała świadomości takiej katastrofa *Niezwyciężonej Armady* w roku 1588 na Kanale La Manche, spowodowana bardziej przez niepomysłne wiatry, niż przez połączone floty Anglii i Holandii. Mogła ona, co najwyżej, poczucie odpowiedzialności tej pogłębiać – respektem dla zagadki jej zasięgu.

Brak przewagi analogicznej w przeciwnym akwenie zachodniego Śródziemnomorza stwarzał pewien komfort odpowiedzi na wyzwania niezmiennie od VII wieku po Chrystusie. Odpowiedzią była obrona morza, które

jeszcze wcześniej Rzym – rozbiwszy Kartaginę i frakcje imperium macedońskiego – zamienił w swe morze wewnętrzne, a którego brzeg afrykański po siedmiu wiekach oderwała od Europy inwazja arabska, z niego zajmując Półwysep Iberyjski. Po kolejnych siedmiu wiekach został on odbity w hiszpańskiej *rekonkwistie*, gdy tymczasem inwazja osmańska zdominowała całe Śródziemnomorze wschodnie i Bałkany. Teatrem obrony była w istocie cała południowa rubież morska Kontynentu. Morska natura południowego przedpola Europy bardziej ułatwiała – nieprzewidywalne co do czasu i miejsca – desanty na dowolnych punktach niekończącego się wybrzeża, niż obronę któregośkolwiek z nich. Przygotowanie jej bowiem – i zawczasu i wszędzie – nigdy nie jest możliwe. Stąd częstotliwość z jaką w wieku XVI flota Osmanów sięgała Neapolu, Sycylii i Sardynii, czy Genui, docierając z północnych brzegów Afryki, w latach 1534-1541 opanowanych przez Turcję. Nadto obrona zachodniego akwenu Śródziemnomorza – której jednym z bohaterów był admirał genueński Andrea Doria (†1560) – nie była szczelna. Wyłom spowodował – w ramach rywalizacji z cesarzem Karolem V Habsburgiem (†1558) – Franciszek I Walezjusz (†1547) król Francji, choćby w roku 1543, gdy sabaudzką wtedy Niceę zrujnował wspólny atak armii francuskiej i floty osmańskiej, odparty przez flotę Dorii i piechotę Alfonsa de Ávalos (†1546).

Katastrofa *Wielkiej Armady* i angielskie rajdy na Kadyks, to okoliczności, które tylko dodatkowo determinowały dramaturgię decyzji jakie podejmował król Filip w obliczu wyzwań dochodzących więc przede wszystkim od strony Morza Śródziemnego. Łatwo wyobrazić sobie emocje wywoływane taką właśnie dramaturgią, choćby podczas czteromiesięcznego oblężenia Malty w roku 1565 przez dwieście pięćdziesiąt okrętów z ponad czterdziestotysięczną armią turecką, a obronionej przez załogę (pięciuset rycerzy-szpitalników, dwa tysiące zaciężnych i trzy tysiące ochotników miejscowych), dowodzoną porywająco przez siedemdziesięcioletniego wielkiego mistrza, Jana de la Valette (†1568). Łatwo też wyobrazić sobie emocje decydentów. Króla Filipa, gdy wicekrólowi Sycylii, don Garcíi Álvarezowi de Toledo (†1577) nie zezwalał – by nie rozpraszać sił – na udzielenie pomocy Malcie. I emocje wicekróla, kiedy – wbrew woli monarchy – decydował się jej udzielić. Emocje także don Juana de Cardony († po 1597), gdy z sześciuset ludźmi na czterech galerach odbijał od sycylijskiego brzegu. I emocje obrońców, gdy wylądował na brzegu Malty.

Wypada rzec, że to właśnie Morze Śródziemne, i właśnie wtedy, stanowiło widownię manifestacji solidarności europejskiej, przedostatniej – w tej skali – przed odsieczą Wiednia z roku 1683. Rzecz prosta, myślimy o solidarności

integralnej. To znaczy o takiej, która różne wspólnoty polityczne jednoczy ponad wszystkim, co może je dzielić w sferze materialnej, czy nawet duchowej. O akcie więc, od którego żadna ze wspólnot tych wymówić się nie może, bo stoi za nim wola każdego z jej obywateli, skoro żaden z nich – wobec groźby utraty szacunku społecznego – nie waży się wątpić, że odmowa udziału byłaby tu zaparciem się tożsamości kulturowej, jaka uczestników owych wspólnot, i je same, łączy w swym sensie najgłębszym. Gdy więc zauważamy analogię odsieczy wiedeńskiej do zwycięstwa floty *Ligi Świętej* w bitwie pod Lepanto w roku 1571, nie możemy nie zauważyć dwóch faktów dobitnych. Faktu, że do *Ligi* mającej dać odsiecz Republice Weneckiej – której rola w obronie Europy we wschodniej części akwenu śródziemnomorskiego przypominała rolę, jaką w jego części zachodniej pełnił po-aragoński system monarchii Filipa II – przystąpiły państwa skłócone z Wenecją wielorako i tradycyjnie. Fakt drugi, to dramaturgia jedenastomiesięcznej obrony Famagusty, weneckiej twierdzy na Cyprze, którą dowodził Marcantonio Bragadin (†1571), a która – wiążąc armię i flotę osmańską – umożliwiła organizację sił chrześcijańskich. Którą zaś, po kapitulacji na warunkach honorowych, na dwa miesiące przed Lepanto, zwieńczyło wymordowanie garstki obrońców i rzeź ludności cywilnej oraz dziesięciodniowe konanie torturowanego bez przerwy Dowódcy, przy odrzuceniu przezeń oferty wolności – złożonej w czwartym dniu tortur – pod warunkiem zaparcia się Chrystusa. Bez wątpienia właśnie obrona całej śródziemnomorskiej rubieży Kontynentu należała do zadań naczelných w zakresie obrony tożsamości Europy i – co pewne – jej ciężar decydujący, z honorem i skutecznie dźwigały przez cały wiek XVI Hiszpania i Italia – pomimo wszystkich wyłomów z solidarności, także dywersji, a czasem i słabości własnych.

Inaczej się rzeczy przedstawiały nad ową jakby zatoką Morza Śródziemnego, jaką jest Morze Czarne. W regionie więc, gdzie – jak i w regionie Dunaju – udział polityki polskiej był oczywisty również po jej korekcie, spowodowanej w roku 1526 klęską jagiellońskiej Europy Środkowej w bitwie pod Mohaczem. Dokonana wtedy korekta – wykluczająca wsparcie Habsburgów austriackich w ich walce z Turcją, ale też wspólny z nią i Francją atak na nich – przesądziła o fiasku dążeń habsburskich do hegemonii. Nie spowodowało to strat Europy Środkowej na rzecz Islamu równych stratom wywołanym katastrofą spod Mohacza, do której przez cały czas trwania jagiellońskiej unii Polski, Czech i Węgier, omal nieustanna dywersja ze strony habsburskiego Cesarstwa przyczyniła się walnie. Nasuwa się przecież wątpliwość co do jakości korekty, o której mowa, choć pewna w niej nawet elegancja stosunku do rywala zdaje się tonować jej

czysto realistyczny posmak. Wątpliwość co do stosunku tejże korekty do zasady solidarności europejskiej. Przyznać wypada, że obecność wielu niezłych literacko nawoływań do udziału Polski w krucjacie przeciw Turcji (Orzechowski, Wereszczyński, Grabowski), wątpliwość taką jedynie wzmaga. Nie bardzo rozwiewa ją głębia analizy z roku 1595, odrzucającej udział ów piórem i dobrym, i nie byle czym, bo samej głowy Kościoła w Polsce, prymasa Stanisława Karnkowskiego (*Deliberacyja o spotku i związku Korony Polskiej z Pany Chrześcijańskimi*). A jednak zachodziła okoliczność, która chyba w pełni usprawiedliwiała postawę Polski wobec osmańskiego zagrożenia Europy – jeszcze przez lat sto dwadzieścia po Mohaczu – zresztą bez potrzeby czynienia rozdziału racji moralnej od racji zwanej niekiedy „czysto polityczną”.

Specyfika ówczesnego położenia Pierwszej Rzeczypospolitej między jej zachodem, a jej wschodem, odmienna od specyfiki analogicznego położenia Hiszpanii, podobnemu poczuciu odpowiedzialności narzucała wyzwania inne, proporcjonalne do sytuacji. Front, po którego stronie tej samej imperatyw solidarności europejskiej stawiał Polskę i Hiszpanię, nie biegł wyłącznie rubieżą śródziemnomorsko-czarnomorską. Miał on przedłużenie w jeszcze jednej, a nie zawsze docenianej granicy, jaka również dzieli państwa Kontynentu. Ową istotną dla europejskiej solidarności granicę, określa tożsamość zasad życia publicznego i prywatnego, przez państwa te strzeżonych. Jak wiadomo, w wiekach XVI i XVII, idee *monarchii absolutnej* i *konfesjonalizacji państwa* – błakające się skądinąd wszędzie i często – dobitniej niż zwykle rzuciły wyzwanie oryginalnej, europejskiej wizji państwa konstytucyjnego, które wolności instytucji kultu broni, lecz prawa definicji ich zasad wewnętrznych nie uzurpuje sobie. Tylko *czarna legenda* może monarchię królów Ferdynanda Aragońskiego i Filipa II Habsburga sytuować po integrowanej ideami *monarchii absolutnej* i *państwa wyznaniowego* stronie politycznego i cywilizacyjnego frontu, który dzielił Europę ówczesną. Tym bardziej bawią legendy usiłujące po tej samej stronie sytuować Polskę. Zarówno gdy czynią to one tonem nagany, jak gdy to czynią z pochwałą – za każdym razem w związku z wizją podobną, która przedstawia Polskę jako wolne od ducha realizmu *przedmurze chrześcijaństwa* (*antemurale christianitatis*).

Stosunki panujące w sąsiedztwie Hiszpanii nie stwarzały jej politycznemu ustrojowi zagrożeń większych. Swój średniowieczny i wielki dorobek konstytucyjny – zreasumowany twórczo pod rządami Izabeli i Ferdynanda – Hiszpania narzuciła już cesarzowi Karolowi V, choć nie bez trudu i ofiar. Syn cesarza, król Filip II, był już tylko jego wiernym kustoszem, natomiast we Francji

i Anglii – niejeden aspekt tego ustroju mógł budzić tęsknoty elit, nadal wciąż nieskłonnych poddać się ze wszystkim woli rządów, które zagięły parol na monarchę arcykatolickiego. Miała ponadto Hiszpania – na wypadek inwazji z lądu – oparcie w morzach ją okalających, do których, co pokazały wieki następne, jej naród nigdy nie dał jej zepchnąć. W położeniu takim Hiszpania mogła ześrodkować swe wysiłki w odpowiedziach na wyzwania przede wszystkim atlantyckie i śródziemnomorskie, w obu wypadkach w uzasadnionym przekonaniu, że działa w zgodzie z zasadą solidarności europejskiej, zaś zaczepki znad Morza Północnego, czy bezpośrednio zza Pirenejów, traktować co najwyżej jako dywersje spychające ją z kierunków magistralnych.

Z tych samych stron pochodzące dywersje docierały do wszystkich brzegów Bałtyku. Na jego brzegach południowych spotykały one państwo poddane nie tylko presji osmańskiej od strony Morza Czarnego, lecz także presji z obu pozostałych przestrzeni ościennych. Presji z zachodu, jaką stwarzały tradycyjne kłopoty wewnętrzne Niemiec oraz presji wytwarzanej równie tradycyjnymi kłopotami osobliwego świata Wschodu, z którego wyłaniała się Rosja – już dwa wieki przeżywająca pierwsze dramatyczne próby istnienia, zainaugurowane z chwilą rozpadu Złotej Hordy. Natura presji, w jej różnych wyrazach i konsekwencjach – militarnych i politycznych – pozostawała w istocie naturą kulturową w obu przypadkach. Tymczasem zarówno wzrost tendencji konfesjonalizującej politykę na zachód od granic Rzeczypospolitej, jak też na wschód od nich biorąca górę tendencja despotyczna – godząc w najszerszej pojęty model życia publicznego i prywatnego w przestrzeni granicami tymi ujętej – godziły w samą istotę kulturową Chrześcijaństwa i zarazem oryginalnej tradycji Zachodu. Wypada więc przyznać słusność tezie, która nieco weryfikuje interpretację idei *przedmurza*.

Przedmurzem pozostawała Pierwsza Rzeczpospolita nie na swym jednym – tureckim – pograniczu, lecz w istocie na wszystkich. Stąd, samą siłą rzeczy, oba uniwersalne czynniki powodzenia każdego działania – determinacja wewnętrzna i orientacja na zewnątrz – miały w jej położeniu wagę decydującą w równej mierze. Nie przechodząc pomyślnie próby wierności ustawie *Konfederacji Warszawskiej* z roku 1573, która zobowiązywała państwo, by strzegło wolności wyznań, czy wierności zasadzie, że *co wszystkich dotyczy, mają stanowić wszyscy* – nie odnosiłaby Pierwsza Rzeczpospolita swych powodzeń, nawet uzbrojona w najdoskonalszą informację i strategię. Inaczej mówiąc, pojęcie *antemurale christianitatis* nie diagnozowałoby tu stanu życia, a oznaczałoby postawione życiu temu zadanie samozachowawcze. Przesłanek do takiej właśnie interpretacji

nie brak, ani w homiletyce Piotra Skargi, ani w już powołanej analizie autorstwa Karnkowskiego. Z kolei bez szerokiej orientacji w położeniu zewnętrznym nawet najwyższy rygor moralny wewnątrz nie daje prawa do chwały innej od tej, co stanowi udział poległych w sprawie przegranej a słusznej. Jest tak w przypadku obrońców okrążonej reduty – nie zobowiązanych oglądać się na nic, co nie dzieje się na przedpiersiu. Nie inaczej też wypada działać w przypadku państwa posadowionego na blisko milionie kilometrów kwadratowych przestrzeni między Bałtykiem i Morzem Czarnym, zaś od zachodu i od wschodu nie chronionej żadnymi osłonami naturalnymi. Nadto, gdy w istocie każda z obu szerokich przestrzeni zewnętrznych stanowiła przedpiersie potencjalne – zagrożone w stopniu co najwyżej zmiennym.

Choć nie wydaje się, by zgodna z tradycją – utrwaloną za króla Zygmunta Augusta – postawa Zygmunta III wobec zagrożenia osmańskiego, lekceważyła solidarność europejską, to nie usuwa to problemu oceny poczucia odpowiedzialności pierwszego z Wazów za definicję priorytetu polityki polskiej, pod jego kierownictwem usytuowanego – wbrew utrwalonej wizji Pierwszej Rzeczypospolitej jako *przedmurza* – nie na południu i nie na wschodzie, lecz nad Bałtykiem. Tymczasem wolna od uprzedzeń ideologicznych i kompleksowa analiza możliwie wszystkich faktów, jakie komponowały dynamikę ówczesnej sytuacji europejskiej i determinowały jej proces późniejszy, nie pozostawia wątpliwości, że – jak za królów Henryka i Stefana, tak i w całej epoce rządów króla Zygmunta III – właśnie czysto strategiczne względy na aktualne i długofalowe bezpieczeństwo państwa wykluczały lokowanie sprawy Rosji, czy Turcji, w sferze spraw priorytetowych. Dlatego, że byłoby to równoznaczne nieodwołalnie z kapitulacją na froncie obiektywnie priorytetowym dla bezpieczeństwa strategicznego – nad Bałtykiem właśnie.

Można chyba mówić o analogii dywersyjnego charakteru obustronnych prowokacji w konflikcie Hiszpanii z Holandią, do podobnie dywersyjnych prób zwrócenia całego potencjału militarnego Pierwszej Rzeczypospolitej przeciwko Rosji lub Turcji. Uderzała również wyraźna wspólnota ich proveniencji. Już podczas pierwszego bezkrólewia dystans dzielący politykę polską i kierunek ofensywy *networku* kalwińskiego – trudnego do rozróżnienia z *networkiem* sir Francisza Walsingham – ujawniał się dramatycznie. W tym samym czasie, gdy dyplomaci polscy w Paryżu skutecznie ujmowali się za prześladowanymi kalwinistami francuskimi, w Sztokholmie – nie mniej skutecznie – król Jan III odpierał próbę zamachu stanu, który przywrócić miał do władzy jego psychicznie chorego brata, Eryka XIV, a którym kierował trzeci z braci, książę Karol,

w kalwińskiej asyście sir Archibalda Ruthvena (†1574) ze Szkocji i Charlesa de Mornay (†1574) z Francji, którego krewnym był ów tak źle dla Polski i Szwecji zasłużony ambasador w Kopenhadze, Charles de Dançay. Po nieudanej próbie uzgodnienia francuskiej polityki bałtyckiej z polską – czym w swym sensie najgłębszym była elekcja Henryka Walezego – podobnie pesymistycznie przejawiał się pod tym względem bilans rządów króla Stefana, sprzyjających polityce firmowanej przez królową Anglii i króla Danii.

Do skutków odstąpienia polityki zagranicznej Batorego od zasad przestrzeganych za Jagiellonów i podobnego rozbratu w sferze polityki wewnętrznej, dochodziła jeszcze jedna okoliczność, która zakłócała powrót do dobrych tradycji, zapowiadany elekcją króla Zygmunta III. Było nią wyzwanie, jakie transkontynentalna polaryzacja wyznaniowa – właśnie układem jaki kształtował ją wtedy – stwarzała sumieniom i rozsądkowi licznego, a zasłużonego zastępu kalwinistów polskich. Trudno bowiem nie zauważać trzech jego zasług kardynalnych przy kreacji realiów polskiego Złotego Wieku. Z jednej strony przecież miał on udział nader miarodajny w stronnictwie egzekucji – przy sprawie reformy ustroju. Z drugiej – ważko wpłynął na zachowanie pokoju wyznaniowego i jego protekcję ustawową przez *Akt Konfederacji Warszawskiej*. Z trzeciej wreszcie, brak wątpliwości co do rozmiaru wkładu, jaki – w podobnie budującej zgodzie ze swymi kolegami katolickimi – kalwińscy polscy wnieśli do dyplomacji obu ostatnich Jagiellonów. Przykładem najbliższa rodzina wielkiego prymasa i kanclerza Jana Łaskiego (†1531) – współautora konstytucji *Nihil novi* i współtwórcy *Traktatu Gdańskiego* z 1524 roku, o wieczystym przymierzu Pomorza i Meklemburgii z Koroną Polską. Zauroczenie kalwinizmem godził wojewoda sieradzki Hieronim (†1541) w dyplomatycznej służbie z interesem Rzeczypospolitej, podobnie i pastor Jan (†1560), wybitny organizator Kościoła kalwińskiego w Niemczech i w Anglii. Również ich synowie – pierwszego, wojewoda sieradzki Olbracht (†1605), a drugiego, sekretarz króla Zygmunta III, rotmistrz Samuel Łaski (†1611). Ujawniana w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych postawa kalwińskich środowisk Europy w stosunkach międzynarodowych, była bez wątpienia doniosłym czynnikiem egzaminującym jakość ówczesnej polityki polskiej. Egzamin – przyznać trzeba – nie wypadł najgorzej.

Zdał go król, który urzędy powierzał nie tylko nie kierując się względem na wyznanie kandydata, lecz i doprowadzając do nadreprezentacji protestantów – w tym i kalwinistów – w elicie rządzącej. Zdała go i obywatelska elita. Choćby wówczas, gdy zdominowane przez katolików sejmiaki – zawi-

damiane o aktach gwałtu ze strony protestantów na katolikach – kierowały poszkodowanych do władz sądowniczych – bez próby retorsji politycznej. Mnożące się prowokacje ze strony wszystkich zresztą wyznań, nie mogły więc odebrać władzy duchowi *Konfederacji Warszawskiej*. Pod taką zaś władzą oferta intelektualna zreformowanego przez *Sobór Trydencki* (1545-1564) katolicyzmu – choćby samą swą sankcją wolności woli ludzkiej – dla szlacheckiego temperamentu była bez wątpienia atrakcyjniejsza od oferty kalwińskiej. Można by rzec, że i w ten sposób dawała o sobie znać republikańska preferencja Polaków – antycypująca rozróżnienie jakiegoś w dwa wieki później dokonał dziedzic tradycji kalwińskiej Benjamin Constant (†1830). Preferencja więc, co republikańską ideę *antycznej wolności* „do” przenosi nad liberalną ideę *nowożytnej wolności* „od”. Stąd obok względów innych, zapewne też i ten – przyjąwszy już katolicyzm – ujawnił Olbracht Łaski słowami *teraz uspokoiło się sumienie moje*.

Duch *Konfederacji Warszawskiej*, oraz władza zasad bałtyckiej polityki Jagiellonów, ograniczały siłę sugestii powodowanych wizytami, jakie składali w Polsce – w roku 1574 sir Philip Sidney, czy sam John Dee w roku 1583, z pewnością w Krakowie skuteczny mniej, niż na dworze cesarza Rudolfa II Habsburga. Nie wydała owoców też misja, jaką już u króla Zygmunta III odbył w roku 1598 sir George Carew (†1612) – późniejszy ambasador w Paryżu, osobistość prominentna jako autor elaboratu *A relation of the State of Polonia* (1598) i równie miarodajna, gdyż dziadkiem jego cioteczynym był sir Anthony Denny (†1549), jeden z głównych beneficjentów prywatyzacji majątków klasztornych, zaś wujem sam sir Francis Walsingham. Jeśli nawet kontakty podobne wpływały na przekonania jednostek, to – przynajmniej aż po *Rokosz Sandomierski* (1606-1609) – hasło *obrony wolności wyznaniowych* nie animowało opinii publicznej na tyle, by mogła ona ignorować bezstronną politykę nominacyjną króla, czy swobody, jakimi cieszyło się szkolnictwo innowiercze – również i kalwińskie⁷³. Wciąż wierny wyznaniu swego ojca, pastora Jana, sekretarz Zygmunta III rotmistrz Samuel Łaski, jedną w Gdańsku – we wpływowym w Rzeczypospolitej i w Rzeszy Niemieckiej Gimnazjum – miejscowych luteranów i kalwinistów, zażegnując w ten sposób poważny, a tłący

⁷³ Znane szkoły kalwińskie funkcjonowały: w Wilnie, pod protekcją Radziwiłłów – hetmana Krzysztofa Mikołaja Radziwiłła „Pioruna” (†1603) i jego syna kasztelana wileńskiego Janusza (†1620), albo w Dubiecku sumptem starosty zygwulskiego Stanisława Stadnickiego „Diabła” (†1610), czy w Lubartowie, z fundacji wojewody lubelskiego Mikołaja Firleja (†1588).

się od lat i kłopotliwy dla polityki bałtyckiej konflikt społeczny. Ten sam, Samuel Łaski, w roku 1598 w Sztokholmie, publicznie i surowo ganił intrygi stryja króla, księcia Karola – protestanta.

Toteż władza ducha *Konfederacji Warszawskiej*, razem z powszechnym zrozumieniem bałtyckiego priorytetu, nie pozwoliła, by okoliczności nieprzychylne utrzymaniu tradycyjnego kursu polityki polskiej – mnożące się od roku 1576, gdy rządy w Polsce objął Stefan Batory, a władzę cesarską Rudolf II Habsburg – mogły złożyć się na coś więcej, niż jedynie na dziesięcioletnie intermezzo, zakończone z chwilą koronacji Zygmunta III.

Z chwilą więc, gdy tendencje destabilizujące stosunki na zachodzie Kontynentu nieco osłabły, zaś impet ich przybierał na sile w stosunku do Polski, co trwało aż po rok 1618, czyli do wybuchu *Wojny Trzydziestoletniej*. Odtąd aż do śmierci króla w roku 1632 napór owej tendencji pozostawał rozbity na dwa fronty, z których jeden zasługiwał na miano „frontu polskiego”.

Istotną asymetrię stosunku tendencji pacyfikującej do antagonizującej na zachodnim froncie polityki europejskiej – w zestawieniu z takimże stosunkiem na jej froncie wschodnim – ujawnia analiza zdarzeń, które na Kontynencie zaszły od koronacji Zygmunta III w grudniu 1587 roku, po wybuch *Wojny Trzydziestoletniej* wiosną roku 1618. Stopniowa pacyfikacja na zachodzie stanowiła skutek kilku czynników, z których jednym było zapewne zmęczenie długotrwałym wysiłkiem militarnym i jego kosztami, wszystkich uczestników konfliktu. Do tego dochodził wzrost wpływu środowisk mniej skłonnych wykorzystywać konflikt wyznań do gry, jakiej skutkiem nie mogła być ani hegemonia, ani kompromis.

Zauważyć jednak można, że przypływ nastrojów koncyliacyjnych motywowały powody różne. Nie zawsze gruntował się on w stabilnej dyrekcji i wizji politycznej – jak w przypadku króla Filipa II, dalekiego od myśli o odwiecie na Anglii, za spowodowaną przez niepomysłne wiatry katastrofę Wielkiej Armady. Z racji swej odpowiedzialności globalnej, w stosunkach z Anglią właśnie i z Francją zajmował stanowisko raczej ustępliwe, przy nieprzejednanej postawie – dobrze zresztą uzasadnionej prawnie – jedynie w Niderlandach. W przypadku habsburskiego Wiednia idea koncyliacji z protestantyzmem brała górę pod wpływem sympatii wyraźnie dworskich, jakie z protestantskim *networkiem* łączyły jeszcze cesarza Maksymiliana II (†1576) i jaką okazywał też jego syn i następca, Rudolf II (†1612) – wspierany przez biskupa

Wiednia, kardynała Melchiora Khlesla (†1630), którego wpływ na dworze osiągnął chwilowe apogeum po odsunięciu Rudolfa II od władzy w roku 1612, przez jego brata, cesarza Macieja (†1618).

Tak czy inaczej motywowane, ugodowe wobec protestantów stanowisko Wiednia – nie zmieniając tradycyjnie mediatorskiej postawy Polski wobec aktorów rywalizacji wyznaniowej w Rzeszy – zmniejszało siłę przyciągającą, z jaką polityka polska zdobywała sobie stronników również w protestanckiej części Rzeszy, co nad Bałtykiem dobrze owocowało, za Jagiellonów. Utrzymywaniu nadal postawy takiej nie przeszkodziło ograniczenie relacji Rzeczypospolitej z Wiedniem, za cesarza Rudolfa ujawniającym brak względu na bałtyckie konieczności polityki polskiej. Relacje Polski z Austrią – po usunięciu, z trudem zresztą, konfliktu spowodowanego uporem, z jakim swych słabych praw do polskiej korony bronił pokonany kontrkandydat Zygmunta III, arcyksiążę Maksymilian Habsburg (†1618) – kwitły przeważnie na poziomie pozarządowym. Na takim bowiem trwała wymiana doświadczeń w zakresie okultyzmu, uprawianego i w Krakowie, i w Pradze – w tej ostatniej jako pasja ożywiająca dwór cesarza Rudolfa. Toteż nie dziwi, że z polskiej strony rządowej, właśnie pełniący funkcje zbliżone do podsekretarza stanu do spraw wewnętrznych marszałek nadworny koronny Mikołaj Wolski (†1630), w roku 1613 wynegocjował generalny układ z Austrią już z cesarzem Maciejem. Układ ten, jak poprzednie, wykluczał rywalizację, lecz pomoc wzajemną miał bardziej za dyrektywę, niż za zobowiązanie. Wypada przyznać, że cesarz Maciej przynajmniej tej dyrektywy trzymał się wzorowo, raczej wbrew Khleslowi.

Taka postawa cesarza Macieja uprzedziła chwilę przełomową, kiedy to w przeddzień wybuchu wojny – w czerwcu 1617 roku – don Íñigo Vélez de Oñate (†1644) doprowadził do układu, na mocy którego koronę Czech otrzymał arcyksiążę Ferdynand (†1637). Zgoda na to czeskiego sejmku spowodowała bunt czeskich protestantów, inicjując trzydziestoletni konflikt o europejskim zasięgu. Zatrzymawszy biskupa Khlesla w areszcie, nowy król Czech – a od roku 1619 cesarz, jako Ferdynand II – przystąpił doń wsparty przez swoich dwóch szwagrów. Jednym z nich był król Polski Zygmunt III, od 1605 roku żonaty z jego siostrą, Konstancją Habsburżanką (†1631). Drugim – wdowiec po jego innej siostrze, Małgorzacie (†1611) – syn i od roku 1598 następca Filipa II, król Hiszpanii Filip III (†1631). Co istotne, spowodowaną w latach 1617-1618 objęciem rządów w Cesarstwie przez Ferdynanda II zmianę postawy Wiednia w europejskim konflikcie, uprzedziło

już pierwsze małżeństwo Zygmunta III, zawarte w roku 1592 z siostrą królowej Konstancji, Anną Habsburżanką (†1598). Zainaugurowany wówczas, najbliższy związek rodzinny Zygmunta III ze wspomnianym habsburskim rodzeństwem – w chwili konfliktu z Wiedniem – był związkiem z tą gałęzią cesarskiego rodu, której stanowisko w polityce wewnętrznej Rzeszy, od stanowiska Wiednia i biskupa Khlesla dystansowało się istotnie. Jej protoplasta bowiem, arcyksiążę Karol Styryjski (†1590), syn cesarza Ferdynanda I i Anny Jagiellonki Węgierskiej (†1547) – inaczej niż jego rodzony brat cesarz Maksymilian II z synami – nie myślał przyznawać protestantom nic nadto, czego domagały się sumienia jego poddanych ze Styrii, Karyntii i Krainy, korzystające z wolności wyrazu, jaką im gwarantował jego szacunek dla instytucji parlamentarnych, a co zatwierdziły akty konstytucyjne: *Grazer Religionspazifikationen* (1572) i *Brucker Libell* (1578). Liberalne w sferze prawnopublicznej, a integralnie kontrreformacyjne stanowisko arcyksięcia Karola znalazło wyraz najlepszy z możliwych, bo w ufundowaniu przezeń uniwersytetu w Grazu (1574). Można by rzec, że – politycznie – z Grazu było bliżej do Krakowa, niż do Wiednia, i niezależnie od tego, że serce żony arcyksięcia Karola, Marii Anny Bawarskiej (†1608), wśród jej dzieci, synowych i zięciów, zięć polskiego wyróżniło szczególnie.

Inaczej mówiąc, istotę zwrotu w europejskim koncercie dokonanego w latach 1617-1618, stanowiło podjęcie przez Wiedeń tej samej nuty, którą od początku panowania Zygmunta III delectowała się polityka polska, a do której predylekcję Hiszpanii potwierdziły w roku 1599, pobłogosławione przez króla Filipa II, zaślubiny Filipa III z Małgorzatą Styryjską. Wraz z błogosławieństwem pozostawiał król Filip swojemu następcy osobistości zdolne ów ton utrzymywać, takie jak wspomniany już don Íñigo Vélez de Oñate, czy pierwszy minister Francisco de Lerma (†1625), czy też don Pedro Téllez-Girón de Osuna (†1624), lub don Pedro Fernández de Castro (†1622), a także ambasador Diego de Gondomar (†1626).

Wysiłki tego środowiska przyczyniły się w sposób różnoraki do pacyfikacji stosunków na zachodnim froncie europejskiej polityki – również drogą kojarzenia związków rodzinnych tonizujących współzawodnictwo dynastów. I tak, po pacyfikacji stosunków Hiszpanii z Francją w 1598 roku *Traktatem z Vervins*, w roku 1600 królowi Henrykowi IV oddała dłoń Maria Medycejska (†1642), córka Franciszka I (†1587) księcia Toskanii i arcyksiężniczki Joanny Habsburżanki (†1578) siostry Karola Styryjskiego i stąd ciotka królowych Polski i Hiszpanii. Wraz z drugą już Medyceuszką, do

francuskiego tronu – przez jej odojcowską babkę, Eleonorę Álvarez de Toledo (†1564) – docierała też parantela z jednym z bohaterów obrony Malty, jako że bratem księżnej Eleonory był don García, wicekról Sycylii, kolejny człowiek tego samego środowiska. Pacyfikacja stosunków z Francją ułatwiła pacyfikację stosunków z Anglią – do czego dodatkowym czynnikiem sprzyjającym było objęcie rządów przez króla Jakuba I (†1625) w 1603 roku i przewaga kręgów, które reprezentowali sir Henry Howard (†1614) i sir Edward Sommerset (†1628) nad *networkiem* pozostałym po *secret service* sir Francisa Walsinghama. Już w roku 1604 *Traktat Londyński* zobowiązał Anglię do przerwania dywersji w Niderlandach, w zamian za hiszpańskie koncesje dla niej w Ameryce. Próba aranżacji związku księcia Walii z infantką Marią Anną (†1646) kończyła długą i pracowitą misję ambasadorską don Diega de Gondomar przy Pałacu w Whitehall w latach 1613-1622. Z kolei wycofanie się Anglii z Niderlandów, wraz z osłabieniem wpływów przywódcy holenderskiego stronnictwa wojennego, księcia Maurycego Orańskiego, dało szansę honorowemu rozejmowi, jaki ze strony holenderskiej Johan van Oldenbarnevelt (†1619) i Jakob de Graeff (†1638), w roku 1609 podpisali na lat dwanaście. Nie inna gra obozów toczyła się i we Francji. Tu stronnictwo pokojowe reprezentował uczestnik katolickiej *Ligi Świętej*, markiz Nicolas de Villeroy (†1617), sekretarz stanu do spraw zagranicznych od roku 1594, kiedy mu je przekazał kombatant kalwiński króla Henryka IV, książę Maximilien de Sully (†1641) – odtąd aż po swą dymisję, wymuszoną przez królową Marię w roku 1611 – pierwszy minister. I zarazem czołowa postać stronnictwa przeciwnego, w jakim dojrzewał politycznie bliski mu kardynał Richelieu – w przyszłości główny reżyser *Wojny Trzydziestoletniej*, z którym już dymisjonowany Sully pozostawał w kontakcie.

Doprawdy trudno nie zauważać harmonii tendencji pokojowej z czynnikami zdolnymi kojarzyć katolicyzm integralny, czy też – jak w Holandii u republikańskich rywali księcia Maurycego – umiarkowany kalwinizm, z duchem wolności wyznania i z preferencją rządów konstytucyjnych. Zdumiewa też synergia tendencji z kolei wojennej – po stronie katolickiej i protestanckiej – z wyznaniową nietolerancją, powiązaną z dążeniem do władzy absolutnej. Można tu przecież za symboliczną uznać przyjaźń kalwinisty księcia de Sully – w roku 1604 legislatora osławionej *la paulette*, czyli procedury dziedziczenia urzędów administracji za wpłatą określonej kwoty do skarbu monarchy – z kardynałem Kościoła rzymskiego i zarazem głównym architektem francuskiej monarchii absolutnej.

Trudniej natomiast rozstrzygnąć, na ile względna przewaga tendencji pacyfikującej nad konfliktującą – jaka od początku lat dziewięćdziesiątych XVI wieku po rok 1618 charakteryzowała położenie na zachodnim froncie polityki europejskiej – brała się z ześrodkowania działań militarnych na jej froncie wschodnim. Nie mniej – wyraźnie brak trudności z rozpoznaniem najszerzej pojętej opcji kulturowej, nieodłącznej od opcji politycznej, jaka na drugim z obu frontów rolę pierwszoplanową powierzyła Pierwszej Rzeczypospolitej. Brak też wątpliwości co do strony owej cywilizacyjnej barykady, po jakiej stając, musiała Polska wziąć na siebie cały impet dyplomatycznego i militarnego uderzenia, organizowanego w niemałym stopniu dzięki środkom uruchomionym jakby z konta wtedy mniej obciążonego na froncie zachodnim. Celu tego impetu – personalnej unii Pierwszej Rzeczypospolitej i Szwecji pod berłem Zygmunta III Wazy – nie mogła bowiem przewidzieć żadna analiza obiektywna, podyktowana względem na bezpieczeństwo ani żadnego z obydwu państw, ani ich bliższych i dalszych sąsiadów. Nie usprawiedliwiał też tego natarcia względ na swobody polityczne, czy wyznaniowe, w jakim można by upatrywać zarówno przyczynę sprzeciwów wewnątrz obu państw wobec ich związku, jak i przyczynę solidarności okazywanej im z zewnątrz. Nie tłumaczył wreszcie całej akcji względ na swobody handlowe – pewne uznanie mający sobie dopiero zdobyć.

Oczywista, dzięki źródłowej rewizji „czarnej legendy” Zygmunta III, bezpodstawność oskarżeń króla o skłonność do wyznaniowej i politycznej „tyranii”, sprowadza do propagandy ich poświadczoną źródłowo obecność w polemice politycznej tej doby – tak zresztą w Polsce, jak w Szwecji. Pewne też, że rywalizacja angielskiego i holenderskiego handlu bałtyckiego z hanzeatyckim nie była walką o zasadę wolności handlowej, a o zysk szybki i łatwy, jaki pochodzi raczej z monopolu. Choć więc konfesja rywali pozwala mówić o rywalizacji tym razem kalwińsko-luterańskiej – to jednak trudno sądzić, by przekonania religijne stanowiły jej motor. Aby – tak jak w wypadku propagandy politycznej – stanowiły one coś więcej, niż tylko czynnik integrujący kolejne oczko w sieci mającej krępować nową międzypaństwową wspólnotę nad Bałtykiem. Ta bowiem przecież im silniejsza, tym też mniej skłonna byłaby do koncesji monopolu handlowych. W braku obiektywnych powodów moralnych i materialnych, uplecenie i zarzucenie podobnej sieci w wody Bałtyku – pod hasłem obrony Chrześcijaństwa przed „katolicką Bestią” – możliwe było wyłącznie dzięki determinacji integrującej najzupełniej partykularne interesy, w praktyce, jaka dopiero przecierała drogę duchowi ideologizacji stosunków międzynarodowych.

Zachodząca po obu brzegach Bałtyku rywalizacja polityczna, po obu też wytwarzała miejscowe oczka sieci, siłą niejako konwergencji integrowane z ich odpowiednikami znad Morza Północnego. Powodowane tym więzi – czasem wielopokoleniowe, czasem tylko doraźnie oparte o taki czy inny interes wspólny – aktualizowały się pod hasłami mogącymi z różnych przyczyn przynosić im wzięcie. Lokalne zaplecze organizacyjne idei zerwania jagiellońsko-wazowskiej unii bałtyckiej, było w Szwecji z pewnością słabsze, niż w Rzeczypospolitej.

W Szwecji ograniczyło się ono do szczupłej – w stosunku do liczebności luteranów i chyba też katolików – tej części establishmentu, w której mogli kryć się i kryptokalwiniści, lecz którego ogół raczej nie myślał o rebelii przeciw królowi Zygmuntowi. Wynika to z geografii związków rodzinnych postaci symbolicznej, jaką był Gustav Oxenstierna (†1597), człowiek księcia Karola, potomek rodu protegowanego przez dynastię z Oldenburga – do 1523 roku dzierżącą w aliansie z Habsburgami wszystkie trzy korony skandynawskie. Małżeństwo łączyło go z ludźmi, którzy dobrze pamiętali pomoc daną ich przodkom przez Polskę, gdy pod egidą rodu Sture walczyli z Hansem (†1513) i Chrystianem II (†1559) Oldenburskimi o niezawisłość Szwecji, a także „krwawą łaźnię sztokholmską” z 1520 roku, jakiej dopuścił się ten ostatni – przed wyborem Gustawa Wazy na tron, w roku 1523. Tacy właśnie ludzie – zarazem oddani sprawie króla Zygmunta – tworzyli rodzinę żony Gustawa Oxenstierny, Barbary Bielke (†1624). Byli nimi jej bracia stryjeczni, Ture (†1600) i Claes (†1623), jej wuj Knut Posse (†1623), a z nim jego syn Göran (†1616) i szwagier Nils Gyllenstierna (†1601), czy Erik Leijonhufvud (†1616) bratanek jej macochy. I właśnie od tego środowiska odciąć się miał – stając po stronie księcia Karola – nie tylko jej mąż, ale i jej syn, kanclerz Axel Oxenstierna (†1654) – sprzymierzeniec kardynała Richelieu podczas *Wojny Trzydziestoletniej*. Obaj do przeciwnego obozu zostali pchnięci jakby instynktem, odziedziczonym po dwu innych członkach rodziny ojca kanclerza. Jeden, to Gustav Trolle (†1535) – selekcjoner ofiar „łaźni sztokholmskiej” – jego wuj, a drugi, to żonaty ze stryjeczną siostrą wuja, Anną Trolle (†1535), wspominany tu Charles de Mornay.

Idea zerwania jagiellońsko-wazowskiej unii bałtyckiej miała zaplecze z pewnością mocniejsze w Polsce. Tu, inaczej niż w Szwecji, stała za nią nie determinacja stosunkowo wąskiego kolektywu, ale nastroje sporego odłamu opinii publicznej, integrowanej w opozycji do rządu pod różnymi pretekstami – od myśli o zerwaniu zresztą dalekimi. Ograniczały one jednak, choćby obstrukcją sejmową, swobodę manewru rządu – bez względu na to, jaki cel przy-

świecał opozycyjnym prominentom: Krzysztofowi Radziwiłłowi „Piorunowi” i jego synowi Januszowi, Stanisławowi Stadnickiemu „Diabłu”, wojewodzie krakowskiemu Mikołajowi Zebrzydowskiemu (†1632), czy kasztelanowi sandomierskiemu Stanisławowi Tarnowskiemu (†1618) i postaci w układzie tym kluczowej, jaką – aż do swej śmierci w roku 1605 – był zacięty przeciwnik króla, kanclerz Jan Zamoyski. Uznanie waloru cnoty przezorności politycznej, im bardziej integralne, tym bardziej powstrzymuje od potępień Pierwszej Rzeczypospolitej – a z nią i Zygmunta III – za abstynencję od niekonstytucyjnych środków wymuszania jedności opinii. Trudno przecież za co innego, jak nie skutek właśnie braku politycznej przezorności, uważać choćby wielopokoleniowe konsekwencje polityczne militaryzacji życia społecznego w Szwecji, jaka miała genezę w wewnętrznym przewrocie, autoryzowanym przez młodszą linię Wazów. Stąd ciernie, przez jakie polityka zewnętrzna Rzeczypospolitej musiała wtedy brnąć w kraju przed swą materializacją, realizowaną wtedy przez rząd z uporem godnym podziwu.

Dwa fenomeny jeszcze – obok obecności wspomnianych cierni – uspokajają co do opcji kulturowej, dokonywanej przez ówczesną politykę zagraniczną Pierwszej Rzeczypospolitej.

Pierwszy z nich wiąże się ze specyfiką jagiellońsko-wazowskiej unii bałtyckiej, która wykluczała nierównoprawność stosunków wzajemnych obu jej członków, zarówno pod rządem monarchii wspólnej, jak pod przewidywanymi po śmierci Zygmunta III, już rozdzielonymi rządami jego potomków. Władzę zasady równoprawności gwarantowały w obu państwach uprawnienia parlamentów, z kolei specyfika których była – przynajmniej wówczas – kolebką doniosłego czynnika narodowej tożsamości, to jest ducha republikanizmu. Ewolucja ustroju Szwecji za królów Gustawa I (†1560) i Jana III (†1592) zdawała się sprawiać, że naturę i rolę analogiczną do Senatu polskiego otrzymywała Rada Królestwa (Riksråd), przy jednoczesnym wzroście udziału czynnika obywatelskiego, jakim – tak jak Koło Poselskie w Rzeczypospolitej – była tu reprezentacja stanowa (Riksdag). Zwłaszcza zaś polityka króla Jana – częściej niż jego ojciec zwołującego Riksdag, chętniej też zasięgającego opinii Rady, a nie mniej dbałego o swój majestat monarszy – zdawała się także w Szwecji promować proces krystalizacji *ustroju mieszanego*, jaki pod rządami Zygmunta III w Polsce osiągał swój pułap. Manipulacja, której dopuścił się książę Karol, by zerwać unię, dezorganizowała ów proces w Szwecji. Wyrażająca opinię arystokracji, wierna prawowitemu królowi Rada Królestwa (Riksråd), wspólnie z całym stronnictwem padła ofiarą dwóch tym razem

“krwawych łaźni” – w Åbo w 1599 i w Linköping w 1600 roku – oraz łatwości, z jaką „zdemokratyzowany” sejm szwedzki (Riksdag) uległ demagogii, wedle której król zagrażał swobodzie wyznań. Ta wzorcowa eliminacja czynnika o roli w *ustroju mieszanym* centralnej ułatwiła militaryzację państwa pod rządami księcia Karola i jego następcy – Gustawa II Adolfa (†1632) – i w dalszej konsekwencji absolutyzację szwedzkiej monarchii.

Fenomenem drugim była emigracja, jaka po zerwaniu jagiellońsko-wawzowskiej unii przeważającą część ówczesnej szwedzkiej elity politycznej i kulturalnej skierowała do Polski.

Analiza stron prawnych unii bałtyckiej, stojących za nią interesów i związanych z nią tendencji ustrojowych, wyklucza sensowność podejrzewania o imperializm jej współautorów polskich. Samo dążenie do niej, jej krótkie istnienie pod berłem Zygmunta III, a potem próby jej odbudowy, wszystko to łączy analogia z jagiellońską unią środkowoeuropejską, która w latach 1490-1526 połączyła Polskę, Węgry i Czechy. Uzasadnia to pogląd o sile obiektywnego związku polityki polskiej z tendencją policentryzującą kontynentalny układ sił. Związek zaś tendencji pacyfikującej stosunki europejskie, jaki ją łączy z czynnikami zdolnymi kojarzyć katolicyzm integralny, czy umiarkowany kalwinizm, z duchem swobód wyznaniowych, oraz związek tendencji stosunki te konfliktującej, z wyznaniową nietolerancją – tak po katolickiej stronie, jak po protestanckiej – ukazuje rzeczywisty obraz polityki polskiej lat 1588-1618. Na jego zaś pierwszym planie widnieją właśnie sprawy unii ze Szwecją.

Już bowiem w jej latach pierwszych – stanowiąc niewątpliwe osiągnięcie polityki doby bezkrólewia po królu Stefanie – stała się ona przedmiotem dywersji z dwóch przynajmniej stron jednocześnie, nawzajem sobie zresztą nie okazujących przyjaźni. Z jednej strony była to próba obalenia rządów Zygmunta III w Rzeczypospolitej, podjęta przez kanclerza Jana Zamoyskiego. Z drugiej zaś – intryga upamiętniona pod tytułem *próby frymarczenia Korony* przez króla z Habsburgami. Stan badań skłania już, by raczej docenić skuteczność z jaką dywersja ta została odparta, niż chwalić kanclerza za dobre, a niespełnione zamiary, przy jednoczesnym potępianiu króla za to, czego nie czynił. Postawa obywateli szeregowych i wiernych królowi mężów stanu z prymasem Karnkowskim na czele, pokrzyżowała akcję kanclerza – otwartą podczas spotkania Zygmunta III z Janem III, jesienią 1589 roku w Tallinie i niesławnie zamkniętą na Sejmie Inkwizycyjnym roku 1592, zaś połączoną z co najmniej ryzykiem

prowokacji wojny z Turcją – właśnie szykującą kolejną ofensywę przeciw Austrii. Z drugiej natomiast strony, to gra, jaką król – w porozumieniu z habsburskim Grazem – wiodł z habsburskim Wiedniem, niweczyła próbę aplikacji tradycyjnego narzędzia rosyjskiego nacisku na Polskę, podjętą w okresie naprężenia, spowodowanego sprawą arcyksięcia Maksymiliana.

O ile nieudaną dywersję dynastycznej unii Polski i Szwecji w latach 1589–1592 można uważać za dzieło jej przeciwników – w pierwszym rządzie polskich, o tyle gdy – po śmierci Jana III w listopadzie 1592 roku – stała się ona unią personalną, dywersję jej poczęli wspierać przeciwnicy szwedzcy. Słabość tych ostatnich potwierdził cały rok, jaki upłynął od śmierci króla Jana do pojawienia się jego dziedzica w Sztokholmie w październiku roku 1593 – po uzyskaniu przezeń zgody Sejmu na wyjazd do Szwecji. Jedynym sukcesem, zresztą względny, jaki pod nieobecność króla osiągnął jego rywal, krypto-kalwinista książę Karol, była podpisana przezeń uchwała Synodu w Uppsali z marca 1593 roku, ustanawiająca monopol publiczny luteranizmu, a katolicyzm i kalwinizm zsyłająca w prywatność.

W marcu 1594 roku stolica z całym krajem przyjęła Zygmunta III życzliwie. Bez trudu też – dzięki zatrzymaniu księcia Karola przez wojewodę Olbrachta Łaskiego – zapobiegł król przewrotowi i uznawszy luteranizm za wyznanie panujące, poddał się koronacji, której dokonał Abraham Angermannus (†1608) biskup Uppsali. Uwolnienie księcia Karola z aresztu, rutynowy objazd państwa przez Zygmunta III – wykonany bez przeszkód – a następnie pozostawienie Szwecji pod rządem siedmiu regentów, z których sześciu mianował sam król, z zakazem zwoływania Riksdagu bez woli monarchy, wszystko to poprzedziło powrót króla do Rzeczypospolitej, w sierpniu 1594 roku.

Brak wątpliwości, że rebelia księcia Karola – zainaugurowana nielegalnym zjazdem w Söderköping w październiku roku 1595 – nie miałyby większych szans powodzenia, gdyby nie wsparcie zewnętrzne, udzielone mu przez tę część establishmentu Rzeszy Niemieckiej, z którą był związany przez swe oba małżeństwa. Pierwsze zawarł w roku 1579 z Anną Marią Wittelsbach-Pfalz-Simmern (†1582), bratanicą Jana Kazimierza, a siostrą wspomnianego już palatyna Renu, Fryderyka IV, gdy obaj Wittelsbachowie byli prominentami niemieckiego kalwinizmu. Drugie – z siostrą cioteczną pierwszej żony, Krystyną Oldenburską (†1625), córką Adolfa I von Holstein-Gottorp (†1586), umocniło więc z tą frakcją niemieckiej elity protestanckiej, która pojednawczym gestom Wiednia, za Maksymiliana II i Rudolfa II, wychodziła naprzeciw. Z pewnością

dał księciu Karolowi w roku 1593 ostrogę ożenek jego szwagra, palatyna Fryderyka, z Ludwiką Orańską (†1644) – córką Wilhelma I i Charlotty de Burbon (†1582), siostrą przyrodnią obu następnych *stadthouderów* Holandii – Maurycego i Fryderyka (†1647). Co wymowne, pierwszą poważną akcją militarną księcia Karola przeciw Zygmunтови III – w roku 1601 w Estonii – dowodził, bez powodzenia zresztą, brat stryjeczny Maurycego Orańskiego, Jan hrabia Nassau-Siegen (†1623). Nie inaczej też w logistykę rebelii stryja króla Zygmunta wpisała się holendersko-angielska próba zamknięcia Kanału La Manche dla statków gdańskich, pohamowana uwagami, jakimi królową Elżbietę I w roku 1597 rozgniewał poseł Paweł Działyński (†1610).

Wprawdzie Sejm 1597 roku, który w marcu zakończył obrady bez powzięcia uchwał, ujął powagi napomnieniom, udzielonym księciu Karolowi przez posłów króla w październiku poprzedniego roku, jednak już w kwietniu 1598 roku, Sejm – zagrzybany relacją, jaką o stanie spraw szwedzkich złożył Samuel Łaski – nie tylko pozwolił królowi wyprawić się na północny brzeg Bałtyku osobiście, ale i przewidział na to pewien zasilek. Z własnych kiesi dodatkowo wsparła króla część senatorów, w czym przodował wojewoda kijowski Konstantyn Ostrogski (†1608). Już od wiosny 1597 roku – po barbarzyństwach, jakich książę Karol dopuścił się w twardo stojącej przy królu Finlandii – militarne rozwiązanie sprawy narzucało się w sposób oczywisty. Co zrozumiałe, nie zamierzał Zygmunt III użyć do tego sił innych jak szwedzkie. W niespełna dwumiesięcznej wyprawie – latem 1598 roku – towarzyszyła królowi armia złożona, w mniej więcej równych częściach, z zaciężnych zwerbowanych pod sztandarami Szwecji i z wierznych mu oddziałów szwedzkich; szczupłość wojskowej asysty polskiej, pod dowództwem wojewody wendeńskiego Jerzego Farensbacha (†1602), była ostentacyjna. Z ostentacją nie mniejszą okazał Zygmunt III wolę kompromisu i szacunek dla uczuć luteranów. Po zajęciu bez walki Sztokholmu i zwycięskiej bitwie pod Stegeborgiem, powstrzymał zapale swoich oficerów, a dał szansę mediacji, jaką zaoferowały trzy autorytety z luterskiej elity Rzeszy: książę Ulryk III Meklemburski (†1603) i dwaj Hohenzollernowie – Joachim Fryderyk (†1608) elektor brandenburski oraz książę Jerzy Fryderyk (†1603). Tego, że nie była to dla księcia Karola mediacja bezpieczna, zdaje się dowodzić uwięzienie przezeń – po odpłynięciu króla ze Szwecji – osoby wśród szwedzkich luteranów tak prominentnej, jak biskup Angermannus. O tym, że nie była to mediacja dla króla szczęśliwa, nie przesądziła zła wola mediatorów, jakiej śladów brak, gdy nie brak dowodów lojalności

wobec Korony ze strony obu Hohenzollernów, związanych z nią lennictwem w Prusach Książęcych, o którego utrzymanie właśnie zabiegali.

Niepowodzenie kończące wyprawę Zygmunta III, miało źródło bezpośrednie w porażce militarnej, na jaką złożyły się: blokada floty królewskiej w Zatoce Slätbaken – od 22 września – przez flotę księcia Karola oraz toczona trzy dni później, a przzerwana na rozkaz króla, bitwa pod Stångebro. Wynik porażki podsumował 28 września układ, w którym król zobowiązał się zwołać Riksdag i pod jego osąd oddać spór z księciem – przyrzekającym mu posłuszeństwo i zwrot zajętych fortec oraz okrętów. Oba czynniki układu determinowały jego iluzoryczność. Blokada w Zatoce Slätbaken zapewne nie powiodłaby się, gdyby nie zdrada najemnych załóg angielskich, a o wyniku bitwy pod Stångebro przesądziłby atak kawalerii królewskiej, gdyby go nie uniemożliwił sabotaż, jakiego dopuścił się Lindorm Ribbing (†1627). Można powiedzieć, że źródło tej porażki – w istocie militarnej a nie politycznej – tkwiło w niedociągnięciu natury wywiadowczej. Nie obciąża to Zygmunta III, który po dwutygodniowych próbach wykonywania władzy odpłynął do Polski.

Co jasne – od 11 października roku 1598, kiedy to się stało, po 24 lipca 1599 roku, w którym Riksdag zdeponizował Zygmunta III – książę Karol swą pozycję wzmacniał. Pozwoliło mu to już w listopadzie 1599 pozbawić przywództwa wiernych królowi Finów *krwawą łaźnią w Åbo*, zaś desantem na zajęte od ćwierć wieku przez Szwecję, północne wybrzeże Estonii – stanowiącej przedmiot sporu z Rzeczpospolitą – uderzał w przeważających tu stronników króla i prowokował Polskę. Przesądziło to o dwóch aktach, do jakich doszło w marcu roku 1600. Zygmunt III inkorporował 12 marca Estonię do Rzeczypospolitej, a osiem dni później, w Linköping ofiarą kolejnej *krwawej łaźni* padł wierny królowi Riksråd. Tymczasem postępy pacyfikacji stosunków w zachodniej dzielnicy Kontynentu wcale nie ułatwiały zadania, jakie stawiało przed dyplomacją polską, do obsługi konfliktu zbrojnego szykującą się zawczasu, bo przynajmniej od roku 1597.

Otwarta wtedy wizytami wybitnych mężów stanu, jak Francisco Hurtado de Mendoza (†1623) i – w roku 1598 – Lamoral de Ligne (†1624), seria kontaktów z Madrytem podjęła ideę wspólnej akcji Polski i Hiszpanii w Cieśninach Sundu – tym razem z pożytkiem także dla Danii, a nie tylko Hanzы i obu państw jagiellońsko-wazowskiej unii bałtyckiej. O czym Kopenhagę i Lubekę zapewniały częste poselstwa, sprawowane między innymi przez Samuela Łaskiego. Tym przecież, co w Rzeszy Niemieckiej kładło się im na drodze, było – obok miejscowej opinii kalwińskiej – inspirowane przez biskupa

Khlesla stanowisko cesarza Rudolfa II Habsburga. Bowiem już jesienią roku 1598, ze zdawałoby się zaskakującą niechęcią, przywitał Wiedeń Łaskiego. Późniejsze kontakty potwierdziły ją informacjami o nawet aprobacie, z jaką cesarz przyjmował postęпки księcia Karola. Od początku 1600 roku można było mówić o wręcz koalicji, jaka braci Rudolfa II – Macieja i Ferdynanda – połączyła z Zygmuntem III i Filipem IV Habsburgiem królem Hiszpanii, w nacisku na cesarza, by zrewidował swą politykę. Toteż nie dziwi ostrożność, z jaką król duński Chrystian IV (†1648) i Hanza – licząc się przecież z cesarzem – wyszły naprzeciw dezyderatom dyplomacji polskiej. Weryfikując politykę swego ojca, król odmówił pomocy księciu Karolowi, a flocie króla Zygmunta dał wsparcie logistyczne. Natomiast Lubeka przyłączyła się do embarga, które Zygmunt III ogłosił, by odciąć stryjowi pomoc znad Morza Północnego. Zasługi zaś elektora brandenburskiego Joachima Fryderyka wynagrodziło w roku 1605 przyznanie mu – acz przy kupionym przezeń nacisku sejmowym, jaki zagłuszył oponentów – kurateli nad niesprawnym umysłowo księciem Prus, Albrechtem II (†1619).

Tymczasem poselstwo do Londynu, które w roku 1604 odbył podkomorzy krakowski Stanisław Cikowski (†1617), potwierdziło istotną zmianę stosunków na dworze w Whitehall, z chwilą gdy jego panem został następca Elżbiety I Tudor, król Jakub I Stuart (†1625), syn katolickiej królowej Szkocji Marii Stuart (†1567), żonaty z królowną duńską Anną (†1619), siostrą króla Chrystiana IV – od niedawna skłaniającą się ku katolicyzmowi. Sam król, choć wierny konstytucyjnie panującemu wyznaniu anglikańskiemu, odsuwając od wpływu ludzi z purytańskiego *networku*, wyraźnie sprzyjał katolikom – na fali pacyfikacji stosunków z Hiszpanią. Na tej samej fali zaręczył Cikowskiemu, że szwedzkie prawa króla Zygmunta uznaje, oraz obiecał udział floty angielskiej w planowanej akcji na Bałtyku. Tytułu króla Szwecji księciu Karolowi – który używać go zaczął w marcu 1604 roku – odmawiał i król Francji Henryk IV. Nie mniej, wpływy ministra de Sully – konkurującego z wytrwałym rzecznikiem zbliżenia do Hiszpanii i Polski, jakim był minister Charles de Neufville de Villeroy (†1642) – owocowały francuską pomocą finansową dla księcia Karola. Rzecz prosta, poprawie zepsutej aferą z Henrykiem Walezym klimatu stosunków z Francją, służyć to nie mogło.

Obsłużenie przez dyplomację sprawy militarnej obrony jagiellońsko-wawzowskiej unii bałtyckiej z pewnością było tym bardziej wystarczające, im bardziej dawała o sobie znać siła pokojowej tendencji na zachodzie Kontynentu. Militarnemu złamaniu rebelii księcia Karola, na jakie król miał prawo być zdecydowanym, sprzyjała też, paradoksalnie, właściwa rządów

konstytucyjnym mitręga zabiegów parlamentarnych o aprobatę i podatki. Odsuwając ryzyko błędu przedwczesnej ofensywy własnej, ułatwiała podjęcie takiego ryzyka przeciwnikowi – z czego ten skorzystać nie omieszczał – przez rok 1600 kontynuując rozpoczętą z końcem roku poprzedniego ofensywę w Estonii. O tym, że utrzymanie zdobyczy będzie trudniejsze, niż jej zdobycie przekonali już kampanie 1601 i 1602 roku, w których jej część przeważającą odbili hetmani wielcy: wpierw litewski – Krzysztof Radziwiłł „Piorun”, a potem koronny – kanclerz Jan Zamoyski. Natomiast zwycięstwa odniesione w trzech błyskotliwych kampaniach lat 1603, 1604 i 1605 przez Jana Karola Chodkiewicza (†1621) – w tym tak świetne, jak 25 września 1604 roku pod Białym Kamieniem (dziś Paide) i 27 września 1605 pod Kirchholmem (dziś Salaspils) – doprowadziły do odzyskania prawie całej Estonii, dowiodły decydującej przewagi militarnej Polski oraz wyczerpały potencjał, którym dysponował uzurpator. I gdy w Szwecji rósł sprzeciw wobec stosowanego przezeń terroru, to w Rzeczypospolitej, zmanifestowaną w roku 1600 przez Izbę Poselską oszczędność, poczęła rekompensować ofiarność podatkowa Sejmów z lat 1601 i 1603.

Nietrudnemu w takim położeniu odparowaniu zamachu na unię personalną Polski i Szwecji pod berłem Zygmunta III stanął na przeszkodzie dramat upamiętniony jako *rokosz Zebrzydowskiego*. Katastrofa wojny domowej nie została oszczędzona Rzeczypospolitej. Co prawda, dzięki specyfice ustroju, poziomowi rządu i rozsądkowi większości obywateli, nie osiągnęła ona nawet części rozmiaru katastrof analogicznych we Francji i w Niemczech – tak tych, które przyniósł wiek XVI, jak tych, które już wkrótce przynieść miał wiek XVII, nie tylko im zresztą, ale i Anglii. Nie mniej, przez dwa lata uniemożliwiała państwu jakąkolwiek ofensywę militarną – od wiosny 1606 roku po wiosnę 1608. Doniosłość konsekwencji owego zaniechania na polu stosunków europejskich – wymuszonego na Rzeczypospolitej sytuacją wewnętrzną – nie kompromituje ani założeń, ani praktyki jej polityki zagranicznej. Jedyne autoryzuje nauczka uniwersalną. Adresowana zawsze i do rządu i do obywateli, uwrażliwia ona na zagrożenia jakie dla polityki zewnętrznej państwa stwarzać może manipulacja opinią o stanie spraw wewnętrznych.

W przypadku dramatu lat 1606-1608 nauczka taka z pewnością adresuje się bardziej do obywateli, niż do rządu. Głównie bowiem przecuciem, że nie grozi to utratą społecznego miru, tłumaczyć można niefrasobliwość, z jaką Izba Poselska zmarnowała Sejm 1606 roku – tańcząc tak, jak jej zagrał ten sam wciąż zespół, wykonujący standardy znane do znudzenia. Zespół więc,

któremu – po odejściu Jana Zamoyskiego i Radziwiłła „Pioruna” na odpoczynek wieczny – przewodzili, uczeń pierwszego, wojewoda krakowski Mikołaj Zebrzydowski (†1620) w Koronie, a na Litwie syn drugiego, kasztelan wileński Janusz (†1620). Zespół przeto, co wprawdzie nie zdołał przekonać sejmujących stanów o zagrożeniu bezpieczeństwa państwa i wolności obywateli, jakoby z racji ślubu owdowiałego przed siedmiu laty króla, z Konstancją Habsburżanką (†1631) – przed czym zmarły kanclerz przestrzegał Sejm 1605 roku, w swym wystąpieniu ostatnim. Jednak zespół ów wiedział przecie jak dopiąć swojego, gdy – pomimo tyrad krytykujących zarządzanie wojną – Izba Poselska decydowała się zezwolić na podatek. Miał to jednak uczynić, ostatki ustawowego czasu obrad, Sejm 1606 roku strawił nad wyzywającym dla katolików projektem regulacji w zakresie pokoju wyznaniowego.

Dwa lata oddechu, jaki *rokosz Zebrzydowski* dał księciu Karolowi Wazie, stały się mu też zachętą do koronacji, odprawionej w marcu 1607 roku, oraz do podjęcia akcji zaczepnej na froncie inflanckim – z tradycyjnym udziałem najemników z Holandii, Szkocji i Francji, a nawet z powodzeniem. Rzecz prosta, nie mogło ono trwać długo. Już jesienią 1608 roku do walki stanął Chodkiewicz, by do października 1609, paroma uderzeniami znów odzyskać Estonię. Ostatnie z nich, nad rzeką Gavią, zadał jednak w położeniu zmienionym podjęciem – we wrześniu 1609 – interwencji w Rosji, postanowionej pół roku wcześniej wobec sojuszu, który 8 lutego książę Karol zawarł z carem Wasylem IV Szujskim (†1612).

Wokół interwencji polskiej w Rosji przechodzącej głęboki kryzys wewnętrzny – zwany *wielką smutą* – nagromadził się szereg nieporozumień, przy jednoczesnej zgodzie historyków rosyjskich i polskich, że incydent ów stanowił akt polskiej ekspansji na wschód. Zgoda co do istoty incydentu nie wyklucza różnicowania jego ocen. Historiografia polska upatruje w nim błąd, który miałby tkwić albo w samej decyzji o podjęciu interwencji, jako wpisującej się w całość błędnie zorientowanej właśnie na wschód ekspansji Pierwszej Rzeczypospolitej, albo też który tkwić miał w polityce króla, marnotrawiącej okazję jej postępu – pożądanego, a nieosiągniętego. Natomiast w świetle historiografii rosyjskiej epizod ów jedynie potwierdził zaborcze aspiracje Polski, wówczas udaremnione narodowym zrywem Rosjan – kończącym *wielką smutę* i inaugurującym rząd dynastii Romanowów. W takim układzie opinii dziwić może pogląd emigracyjnego pisarza rosyjskiego, Aleksandra Sałtykowa (†1940), ogłoszony po

rewolucji bolszewickiej⁷⁴. Jego bowiem zdaniem, *wielka smuta* zakończyła się nie w roku 1613 wyborem na tron Rosji Michała Romanowa, a w 1610, gdy armia polska – integrując terytorium Rosji rozdarte przez cara Wasyla i *bolszewickie carstwo Tuszyńców* (Dymitra Samozwańca II) – spowodowała powołanie na tron syna Zygmunta III, *cara Władysława, za którego modliła się Cerkiew, z wizerunkiem którego bito rosyjską monetę i w imieniu którego wykonywano sprawiedliwość, a którego panowanie ocaliło Rosję*.

Wizja, która zasady polityki Pierwszej Rzeczypospolitej przypisuje wcale nie wyłącznie hipotetycznej świadomości jej decydentów, że teatrem „gry o wszystko” był wtedy Zachód, a nie Wschód, ma w cytowanym poglądzie źródło niejakiej – można by rzec – satysfakcji. Co jasne, trafność wizji weryfikuje analiza składających się na proces historyczny faktów. Ich przegląd potwierdza obecność tendencji, która jakby chciała rozwiązać niepokój wyrażony przez cesarza Karola V Habsburga, w dobie *Traktatu Gdańskiego* i *Hołdu Pruskiego* – że swoją ofensywę na zachód polityka polska utrzyma. Tendencja ta widoczna była już w stanowisku litewskich przeciwników *Unii Lubelskiej*, prących jednocześnie do wojny z Rosją, a później – u króla Stefana i Jana Zamoyskiego. Jednakże od początku rządów króla Zygmunta III wyraźnie przeważała tendencja przeciwna. Na przełomie lat 1590-1591 wojewoda podlaski Stanisław Radziwiński (†1591) i podkanclerzy litewski Gabriel Woyna (†1615) wynegocjowali z carem Fiodorem I (†1598) przedłużenie rozejmu, jaki król Stefan zawarł z jego ojcem Iwanem Groźnym w Jamie Zapolskim, w roku 1582. W listopadzie zaś 1600 roku poselstwo kierowane przez kanclerza litewskiego Lwa Sapiehę (†1633) przedłużyło ten rozejm – z Borysem Godunowem (†1605) – do roku 1622, co król Zygmunt ratyfikował w sierpniu 1602 roku.

Co charakterystyczne, do przywołanych aktów dyplomacji polskiej dochodziło, gdy Rosja pogrążała się w rozkładzie, prowokowanym wycieńczeniem minioną wojną oraz grą odzyskujących wpływy ludzi *opryczniny* – zniesionej w roku 1572 organizacji policyjnej Iwana Groźnego. Takich więc osobistości jak Bogdan Bielski (†1611) i Piotr Basmanow (†1606), czy sam Godunow – zięć Maluty Skuratowa (†1573), szefa *opryczniny* i teścia księcia Dymitra Szujskiego (†1612), brata cara Wasyla – a od roku 1588 pierwszy minister cara Fiodora I. Brak jakichkolwiek przesłanek myśli, że za uporem, z jakim dyplomacja polska, żądając od Moskwy w roku 1590, by negocjowane wówczas przedłużenie rozejmu objęło także Szwecję, stała idea stworzenia wspólnego

⁷⁴ Две России: национально-психологические очерки, Мюнхен 1922.

frontu przeciw Rosji. Również podpisany w maju 1595 roku szwedzko-rosyjski pokojowy *Traktat z Tiawzina* – ze strony Szwecji negocjowany przez ludzi królowi Zygmuntowi wiernych w godzinach prób późniejszych – dowodzi chyba bardziej woli pacyfikacji stosunków z Rosją, po stronie obu rządzonych przezeń państw, niżeli woli użycia ich połączonego potencjału do jej podboju. Nie wykluczone, że księcia Karola i Godunowa już wtedy połączyła idea kooperacji – kooperacji od 1598 roku na tyle wyraźnie firmowanej przez dwór Rudolfa II Habsburga, że zmusiła Polskę do odmowy pozwoleń na przejazd poselstwem wymienianym przezeń ze Szwecją i Rosją.

Słabość społecznie zdewastowanej rządami Iwana Groźnego, Rosji Fiodora I i Borysa Godunowa, z pewnością temu ostatniemu – jako ministrowi poprzednika, a tym bardziej potem, jako carowi – ułatwiała dobór aliantów dyktowany względem nie na interes państwa, a stanem gry o władzę. Godunowa wspierał arcybiskup Hiob (†1607), w 1589 roku mianowany pierwszym patriarchą Moskwy przez Jeremiasza II (†1595) patriarchę Konstantynopola – wizytującego Rosję w roli nieformalnego posła sułtana. Wspierał go też – do 1598 roku – wspomniany już jego kombatant z czasów *opryczniny* Bogdan Jakowlewicz Bielski, później stronnik cara Dymitra Samozwańca I (†1606). Do jego śmierci trwali przy nim *oprycznicy* tak wybitni, jak książę Iwan Michajłowicz Glinński (†1602) – cioteczny brat Iwana Groźnego, Ignatij Pietrowicz Tatiszczew (†1604) i Iwan Wasiliewicz Wojejkow (†1611). Obecność przy nim człowieka księcia Karola, jakim był Petrus Petrejus (†1622), świadczyła o jego opcji w zakresie stosunków europejskich. Na siłę zaś przyciągania dla opcji tej właściwą wskazywała łatwość, z jaką jej ulegali zarówno następca Dymitra Samozwańca I, brat księcia Dymitra Szujskiego, car Wasyl IV (†1612), jak też dwaj kolejni Samozwańcy. Siłę owej opcji tylko nieco korygowała trudność porozumienia w zakresie podziału wpływów, dzieląca dwie grupy cudzoziemców, które od czasów Iwana Groźnego rywalizowały o patenty na handel z Rosją, to jest Anglicy z *Muscovy Company* i ich konkurenci z Niderlandów⁷⁵.

⁷⁵ Pierwsi z zasady łączyli funkcje reprezentacji dyplomatycznej i handlowej. Z reguły były to osobistości związane z *networkiem* sir Francis Walsinghama, jak panowie: Jerome Horsey (†1626), Jerome Bowes (†1616), Francis Cherry (†1605), Giles Fletcher (†1611), Richard Lee (†1608), sir John Mericke (†1659), czy Thomas Smythe (†1625). Rząd drugich otwierał Olivier Brunel (†1585), uwięziony w 1570 roku wskutek donosu angielskich rywali, a wykupiony przez eksploratora Syberii, Siemiona Joannikiewicza Stroganowa (†1586). Jego śladem szli Georg Eberhard Klenck (†1647), związany z Domem Orańskim amsterdamski notabl Reinier Pauw (†1636) i burmistrzowie Amsterdamu Gerrit Witsen (†1626) i Jonas Witsen (†1626) – pierwszy i dwaj ostatni właśnie wtedy inaugurujący wielopokoleniową więź swych rodzin z Moskwą.

Braki społecznego oparcia władzy za rządów Godunowa i oportunizm – jaki odradzał carowi próby uzyskania od Cerkwi aprobaty dla bliższego związku z „łacińską” Polską – oraz różnorakie satysfakcje z angielsko-holenderskich zapasów o jego względy, wszystko to chyba wyjaśnia, dlaczego poselstwo Lwa Sapiehy do Moskwy w 1600 roku wieńczył jedynie rozejm. Przywiozło ono ze sobą przecież projekt pacyfikacji wzajemnych stosunków nie tylko ogólnej i w pełni uwiarygodniającej wolę równoprawnej, trwałej i dalekosiężnej współpracy obydwu państw, lecz także pacyfikacji, która nie mniej wiarygodnie wychodziła naprzeciw rosyjskim ambicjom w kwestii tytułatury carskiej i z rozsądnym rozwiązaniem sporów terytorialnych. Wiarygodność projektu podnosiło to, że razem z królem formułowali go obaj przywódcy opozycji – Zamoyski i Radziwiłł „Piorun”. Nadto za jego przyjęciem przez Moskwę przemawiały istotne czynniki dyplomatyczne i militarne. Stanowisko księcia Karola, który jakichkolwiek ustępstw terytorialnych nad Bałtykiem carowi odmawiał, ujawniło się w roku 1600, zbieżnie z odmową udziału w koalicji przeciw Rzeczypospolitej, otrzymaną przez Rosjan od cesarza Rudolfa. Jak zaś wyraźną przewagę militarną nad Szwecją i Rosją łącznie, miała wówczas Rzeczpospolita, dowiodły kampanie wojenne, prowadzone do wybuchu *Wojny Trzydziestoletniej*, gdy powagi stanu Rosji, dowodził projekt skolonizowania jej ziem północnych, opracowany w angielskim oczku sieci wspierającej rebelię Karola Wazy. Aroganckie stanowisko rosyjskiej dyplomacji w rokowaniach moskiewskich z Rzeczpospolitą jedynie potwierdzało kryzys carskiej władzy.

Okoliczności te zdają się wskazywać na pewną ciągłość myśli, łączącą politykę polską wobec Rosji uzewnętrznioną w wielkim poselstwie z 1600 roku, ze stanowiskiem Jagiellonów przedstawionym w korespondencji z Iwanem III (†1505) – borykającym się ze stronnictwem synowej a sprzymierzonym z sympatyczną jej koalicją duńsko-krzyżacką, organizowaną przeciw Polsce przez cesarza Maksymiliana I Habsburga (†1519), w latach dziewięćdziesiątych XV wieku. Jan Olbracht (†1501) oraz Władysław (†1516) król Węgier i Czech, sugerowali Iwanowi III, by z koalicji tej wyszedł, a zaoszczędzonych sił użył do umocnienia swej pozycji w kraju. W okolicznościach takich – i w narzucającym się raz jeszcze świetle ciągłości zasad polskiej polityki zewnętrznej – podjęta we wrześniu 1609 roku decyzja o interwencji w Rosji ujawnia swój sens realny. Jej założeniem nie była wasalizacja wschodniej sąsiadki, ani tym bardziej jej podbój. Interwencję tę determinowała wola ograniczenia nieobliczalności sytuacji na wschodzie – czego wymagała ofensywa podjęta na

planie zachodnim, dla ocalenia jagiellońsko-wazowskiej unii bałtyckiej. Nasuwa się skojarzenie z okolicznościami drugiej połowy XV wieku, gdy polityka ojca obu królów, Kazimierza Jagiellończyka (†1492), protegowała Moskwę, która – próbami zrzucenia jarzma Złotej Hordy, wtedy od dwóch już wieków władającej całą Rusią Wschodnią – otworzyła proces narodzin Rosji. Skojarzenie uprawnione jest tym bardziej, że priorytet polityki króla, zwycięzcy Zakonu Niemieckiego w *Wojnie Trzynastoletniej* (1454-1466) – też przecież umiejscowiony był nad Bałtykiem.

Nie do utrzymania także jest pogląd, który z planowaniem polityki Rzeczypospolitej łączy kolejne trzy *dymitriady* – zainaugurowane jesienią 1604 i zamknięte wiosną 1612 roku. Nie ulega wątpliwości, że polscy protektorzy pierwszego z Samozwańców – małżonka Maryny Mniszchówny (†1615), wcześniej przybocznego patriarchy Hioba – bliżsi byli Janowi Zamoyskiemu, który imprezę I Dymitra zdążył potępić publicznie oraz prawosławno-ariańskiej śmietance establishmentu z Ukrainy i Wołynia, niż Zygmuntowi III. Nie mógł przecież król odmówić audiencji i symbolicznego podarunku – wiosną 1604 roku – osobie, co do której można było żywić pewność, że będzie jednym z protagonistów nadchodzącej burzy w Rosji. Tym bardziej, że popierali go nuncjusz Claudio Rangoni (†1621) i jezuita – z młodzieńczym romantyzmem, właściwym szczególnie im – zabiegający o unię rosyjskiej Cerkwi z Kościołem katolickim. Co więcej, zajęcia Moskwy – w maju 1605 roku, w miesiąc po śmierci Godunowa, a po siedmiu od przekroczenia granicy Rosji – Dymitr Samozwaniec I raczej nie zawdzięczał towarzyszącej mu gromadzie polskich poszukiwaczy przygód i łupów, czy też ściągających doń Rosjan. Bez istotnych powodzeń militarnych, a nie bez porażek, czekał w Tule – gdzie między innymi wizytował go sir Thomas Smythe – na wynik gry toczonej w Moskwie. Nie sposób zaś bronić tezy, że zwycięstwo w tej grze – dlań pomyślne – było zwycięstwem sprawy współpracy Rosji z Polską. Nie był rzecznikiem tej sprawy ani Piotr Basmanow, ściśle związany ze środowiskiem *opryczników*, ani późniejszy patriarcha Filaret – Fiodor Romanow (†1633), ojciec pierwszego cara z rodu Romanowów. Również pierwszy z Samozwańców, zanim nagłą śmiercią zakończył swój roczny pobyt w Moskwie, zdążył dowieść, że poważnie liczyć się z Zygmuntem III wcale nie zamierza.

Co jasne, tym bardziej nie liczył się z nim – wybrany w grze podobnej – następca Dymitra Samozwańca I, car Wasyl IV Szujski, którego rządowi towarzyszyły dalsze konwulsje *wielkiej smuty*. Było taką inspirowane przez zwolenników pierwszego Samozwańca – książąt Grigorija Szachowskiego

(†1612) i Andrieja Tieliatiewskiego (†1612) – powstanie Iwana Bołotnikowa (†1608), trwające od lata 1606 do jesieni 1607 roku. Jeszcze w maju 1607 roku rozpoczął swą karierę, wsparty przez tych samych, Dymitr Samozwaniec II (†1610), przy którym skupili się „ludzie przyszłości”, jak książę Dymitr Czerkasski (†1651), mianowany przez uzurpatora patriarchą Filaret i Iwan Gramotin (†1638). To właśnie Dymitr Samozwaniec II do lata 1608 roku – z pomocą kombatantów rokoshu Zebrzydowskiego – przeciwstawił Wasylowi IV *bolszewickie carstwo Tuszyńców*. Co zrozumiałe, obu samozwańców upodobała wrogość do rodziny Szujskich. O ile pierwszy przynajmniej starał się zachować pozory gotowości współpracy z Rzeczpospolitą, o tyle drugi z nich demonstrował postawę w tym względzie odmienną. W jakimś stopniu ułatwiła ona części polskich wolontariuszy odejście z jego obozu i stawienie się pod rozkazy króla, gdy armia Zygmunta III – w piątym już roku *wielkiej smuty* – weszła w granice tonącej w rozkładzie Rosji.

Rozbicie przez Stanisława Żółkiewskiego (†1620) armii cara Wasyla IV i posiłków jego szwedzkiego sprzymierzeńca w bitwie pod Kłuszynem, w lipcu 1610 roku, sierpniowy układ hetmana z *radą siedmiu bojarów*, która przejęła rządy w Moskwie, o powołaniu królewicza Władysława na tron carów i, we wrześniu, wejście oddziałów polskich do Moskwy na prośbę Rosjan – wszystko to tworzyło moment zwrotny w dziejach Polski, Rosji i Kontynentu. Był to, co oczywiste, moment zdecydowanej przewagi militarnej Rzeczypospolitej w całym regionie i zarazem stabilizacji autorytetu jej samej i jej króla, w wyobraźni politycznej Zachodu. Rzecz w niemałej trudności z interpretacją historycznego znaczenia tego momentu, oraz podjętych w nim decyzji. To właśnie jej wpływ zawęził ich wyobrażenie – szczególnie w dziejopisarstwie polskim – do pojęcia *utraconych możliwości*. Możliwości definiowanych ze skądinąd znaczną swobodą myślową i bez dyscypliny wymagającej prezentacji szkód realnych, wywołanych ich rzekomą utratą.

Pytanie, czy możliwością wtedy utraconą była szansa zwasalizowania Rosji, wiąże się nieodparcie z pytaniem o to, czy skorzystanie z tej szansy w istocie zapobiegłoby katastrofie Pierwszej Rzeczypospolitej, do jakiej doszło sto sześćdziesiąt lat później. Tymczasem rygor badawczy nie uprawnia prób odpowiedzi poważnej na żadne z tych pytań – tak historykowi, jak politologowi. Historyk, na podstawie wnikliwie zrekonstruowanego zespołu wydarzeń i ich okoliczności – składających się na badany przezeń wycinek procesu dziejowego – może wycinek ów łączyć przysłem przyczynowo-skutkowego związku z wycinkiem innym, tyle że wyłącznie z wycinkiem, który przylega do niego

bezpośrednio, nadto tylko w sferze wydarzeń i okoliczności tej samej kategorii. Ponad pozostałymi wycinkami, połączonymi im właściwymi przęsłami przyczyn i skutków, nie może przeskakiwać. Także politolog, przy badaniu realiów z konkretnego kadru czasu, wyjaśniających je okoliczności szukać winien z kolei w realiach odpowiednich kadru poprzedniego. Próba skoku, tym razem wstecz, byłaby i tu karkołomna. W omawianym przypadku odnosimy zresztą wrażenie, że politologicznie prawidłowa analiza realiów historycznego procesu jaki stał się udziałem Polski, uzasadniałaby raczej pogląd, że zwasalizowanie przez nią Rosji jedynie by przyspieszyło upadek Pierwszej Rzeczypospolitej.

Natomiast najzupełniej uprawniona próba rekonstrukcji założeń przyświecających interwencji z lat 1609-1612 – na podstawie analizy wypowiedzi mężów stanu i decyzji podjętych już w jej trakcie – potwierdza pogląd, że jej celem nie był jakikolwiek podbój Rosji, ale wręcz jej ratunek, w chwili jej rozpadu. Ratunek racją stanu Rzeczypospolitej uzasadniony dobrze, skoro rozpad Rosji tylko zwiększyłby zagrożenie od strony destabilizowanego Wschodu. Tym bardziej, im szerzej droga do władzy nad elementami powstającymi z jej rozpadu otwierała się dla czynników Rzeczypospolitej przeciwnych. Dla *networku* życzliwego księciu Karolowi Wazie, sprzymierzonemu z Wasylem Szujskim, czy dla części tatarskiej establishmentu Rosji – wrażliwej na inspirację Stambułu, sympatyczną temu skrzydłu Cerkwi, które jako swój cel główny przedstawiało obronę *bláhocześťja* przed łaćńską herezją. Czy wreszcie dla rdzenia byłej *opryczniny*, któremu naturalny indyferentyzm ułatwiał każdą afiliację dowolną, oprócz jednej – tej wyłącznie, która byt państwa stabilizować może realnie, jako afiliacja do sił zdolnych widzieć w nim podmiot władzy, a nie jej narzędzie. Splot historycznych okoliczności kulturowych determinował znany tych sił niedostatek, kierując młody patriotyzm rosyjski na manowce gry o to w istocie tylko, kto z owego narzędzia – czy jego szczątków – ma korzystać. Trudno oprzeć się wrażeniu, że w ślad króla Kazimierza Jagiellończyka – pod prąd sił chaosu – do owych sił państwowotwórczych Rosji swoją politykę adresował król Zygmunt III.

Manifestował to król dwojako. W wizji zasad *modus vivendi* Rzeczypospolitej i Rosji oraz w swoim stosunku do koronacji królewicza Władysława koroną ofiarowaną mu przez Rosjan – interpretowanym błędnie i z pominięciem faktów.

Zasady porozumienia generalnego, ustanawiającego pakt militarno-gospodarczy dwu państw w pełni suwerennych – przedstawionego carowi Borysowi i odrzuconego przezeń w latach 1600-1602 – dyscyplinowały polskie

stanowisko negocjacyjne już podczas interwencji w podjętych kontaktach z Tuszyńcem, gdzie rezydował Samozwaniec II i z Moskwą, gdzie władza Wasyła IV chwiała się, odkąd armia Rzeczypospolitej stanęła pod Smoleńskiem. Zwycięstwo pod Kłuszynem i pomyślny finał oblężenia Smoleńska (w czerwcu 1611 roku) nie zmieniły tych zasad i nie usztywniły dyplomacji, którą kierował król – jej konstytucyjny zwierzchnik. Nie było mowy o zmianach podobnych również po katastrofach, jakie ze strony „swoich” dotknęły obu carów – moskiewskiego, Wasyła IV, zdetronizowanego zaraz po Kłuszynie, i tuszyńskiego, Samozwańca II, zamordowanego w grudniu 1610 roku. Nie zdołała wreszcie podszeptać działań radykalnych, zdrada, jakiej po Kłuszynie względem swych rosyjskich towarzyszy dopuścił się książę Karol Waza. Nie tylko wypędził on Rosjan ze Starej Ładogi i Nowogrodu, wdając się we wspomniane projekty skolonizowania rosyjskiej północy, lecz – przynajmniej przez moment – udzielał się przy aktywacji Dymitra Samozwańca III (†1612), wiosną 1612 roku. Nie przeszkodziło to jednak księciu Dymitrowi Pożarskiemu (†1642) zgłosić syna księcia Karola – jako kandydata na tron carów – przeciw królewiczowi Władysławowi.

Przyjęciu korony carskiej przez syna – wbrew rozpowszechnionym sądom – nie był Zygmunt III przeciwny, ani też nie myślał, by przyjąć ją samemu. Stanowisko takie przedstawione zostało Rosjanom przybyłym pod Smoleńsk jeszcze na pół roku przed Kłuszynem, z dwoma najzupełniej zrozumiałymi zastrzeżeniami. Wybór miał mieć autoryzację rosyjskiego Soboru Ziemskiego i uzyskać zgodę Sejmu Rzeczypospolitej, zaś sama autoryzacja potwierdzać miała – wobec małoletniości królewicza – uprawnienia Zygmunta III, jako regenta. Również i w tej sprawie stanowisko króla, do końca interwencji i później, nie zmieniło się. Ponadto, wbrew kolejnemu stereotypowi, nie stwarzała rzeczywistego problemu również różnica wyznaniowa. Nie dlatego, by strona polska miała zdobyć się na rezolucję, że Moskwa warta jest ustępstw w tej kwestii, lecz dlatego, że po stronie rosyjskiej najwyraźniej górę brał pogląd, że Władysław wart jest tyle, by w kwestii tej ustąpić. Wydaje się, że stanowisko takie, i tych Rosjan, którzy je zajmowali, przynajmniej w części Cerkwi oburzenia nie musiało budzić, skoro przez dwa lata modliła się ona za niego jako cara i skoro było wykluczone, by car Władysław miał odmówić szanowania jej zaprzysięganych przez siebie praw i swobód.

W świetle tego wszystkiego zmienia wymowę inny jeszcze znany stereotyp, tym razem zresztą trafny, odnajdujący w przebiegu interwencji konflikt racji i osób – króla Zygmunta III i hetmana Żółkiewskiego. Okazuje się, że

przekroczenie uprawnień konstytucyjnych, jakiego po Kłuszyńce dopuścił się hetman – nie tylko rokując, ale i ugadząc się z Rosjanami – choć może i w intencjach najlepszych forsując warunki sprzeczne z instrukcją królewską, miało skutki wyłącznie ujemne. Zaś wedle utrwalonej legendy, to układ uzgodniony przez hetmana gwarantował unię Rosji z Rzeczpospolitą – gdyby go zaakceptował król. Tymczasem trudno się zgodzić, by idee i postępowanie hetmana broniła jakakolwiek racja. W sytuacji, gdy idea carskiej koronacji Władysława powodowała po stronie rosyjskiej – jeszcze przed Kłuszyńcem – brak miarodajnej woli targów w kwestii wyznaniowej i gotowość zwrotu Rzeczypospolitej nie tylko Smoleńska, to – po Kłuszyńce – ustępliwa w obu sprawach inicjatywa hetmańska była zwykłym absurdem. Szkodliwość tego absurdu automatycznie ujawniło zachowanie posłów, których *rada siedmiu bojarów* wysłała z Moskwy do króla pod Smoleńsk. Wbrew otrzymanym instrukcjom Fiodor Romanow i Wasyl Golicyn (†1619) podjęli oba jątrzące wątki, a nadto rozpuścili pogłoskę, że Zygmunt III koronę chce przyjąć sam, co trzeba było dementować.

Swym niefortunnym postępkami wymierzył waleczny hetman cios podwójny. Osłabił powagę wyrazu stanowiska Rzeczypospolitej, a więc i pewność co do jego zdeterminowania – niezbędną po obu stronach. Nie tylko po polskiej – co rozumie się samo przez się – bez względu na to, jakie cele, poza porażką własną, mogły jej przyświecać. Też po rosyjskiej – w tej części *rady siedmiu bojarów* i jej politycznego zaplecza, która nadzieję odbudowy Rosji związała z aliansem z Polską. Do ludzi takiej nadziei wypada zaliczyć księcia Fiodora Mściśławskiego (†1622) przewodniczącego *rady siedmiu bojarów*, czy wojewodę Michaiła Sałtykowa (†1622) i księcia Iwana Kurakina (†1632). Nie mniej wytrwali oni przy niej, mimo sabotażu ze strony patriarchy Hermogena (†1612) – ustanowionego głową Cerkwi przez Wasyla IV, w miejsce powołanego za Dymitra Samozwańca I patriarchy Ignacego (†1640), który zmienił patriarchę Hioba. Trwali przy niej nadal, gdy urzędującemu patriarche Moskwy ruszyła w sukurs część obozu dotąd wiernego Dymitrowi Samozwańcowi II, pchnięta impulsem jakim stał się mord, dokonany na carze *Tuszyńców* przez kniazia Piotra Urusowa (†1637) – z rodu chanów Hordy Nogajskiej, a krewniaka i druha Kantemira Murzy (†1637), którego aktywność wypadnie jeszcze wspomnieć. Sukurs ów – znany jako pierwsze *opółcenije* (*powstanie powszechne*) – wiedli Piotr Lapunow (†1611) – kombatanat jeszcze Samozwańca I i Iwana Bołotnikowa oraz ataman kozacki Iwan Zarudzki (†1614) – kolejny *bodyguard* Maryny Mniszchówny. Dołączył do nich ksią-

żę Dymitr Pożarski, rychło przecież rozbity przez husarzy rotmistrza Samuela Dunikowskiego (†1620). Złączone z tumultem w Moskwie wywołanym apelem Hermogenesa, pierwsze *opołczenie* zakończyło się fiaskiem już wiosną 1611 roku, a trzy miesiące później – dotąd za radą hetmana – odraczany szturm przyniósł zajęcie Smoleńska. Wcześniej, Fiodor Romanow z Wasylem Golicynem przewiezieni zostali do Malborka.

Sejm, który obradował w Warszawie od końca września do początku listopada 1611 roku, mógł w takim położeniu kontemplować przewagi Rzeczypospolitej, w ostatnich sześciu latach – od bitwy kircholmskiej do odzyskania Smoleńska – osiągnięte szablą, razem z tymi, którymi w tym samym czasie, wygaszając rokosz, owocowała polityka wewnętrzna. Chwałę króla głosiły gratulacje słane w owych latach, tak z Rzymu, dworu cesarskiego, Madrytu, jak też z Azji od sułtana i szacha, a nawet z Whitehallu i Luwru. Szerzące się w Rzeszy pogłoski o możliwości powołania Zygmunta III na tron cesarski, dowodziły braku obaw po stronie raczej miejscowych protestantów, niż katolików, co do zasad jego polityki wyznaniowej. Splendor ów miał uzasadnienie w realiach. Był bowiem ugruntowany coraz wyraźniejszym statusem Rzeczypospolitej jako arbitra skutecznego w relacjach – może nawet szerszych – niż regionalne. Sprawiały to nie tylko niepowodzenia księcia Karola nad Bałtykiem wschodnim, lecz także wojna, którą wypowiedział mu w kwietniu roku 1611 król Danii – znaczone klęskami Szwedów, wyeliminowała uzurpatora z gry, nim zmarł w listopadzie tegoż roku. Potęgowało to wymowę przewrotu dokonanego w relacjach z Moskwą. Widok wydanego Żółkiewskiemu przez Rosjan cara Wasyla IV, przedstawionego na Sejmie królowi i następnie przewiezionego do Gostynina, uzupełniony został obrazem poruszającym być może jeszcze bardziej. Tym dopełnieniem było poselstwo pod wodzą Michała Sałtykowa i Jurija Trubeckiego (†1634), które ponawiało zaproszenie cara Władysława i jego ojca – do Moskwy.

Niełatwo odpowiedzieć na pytanie o powody niefrasobliwości, z jaką Izba Poselska – w takim to położeniu – miast kieszeń otworzyć szerzej, zezwoliła na podatek niewspółmierny do potrzeb, bo pozwalający na zapłatę jedynie za ległego żołądu, co zresztą pilnie zastrzegła. Tym przecież trudniej, że był Sejm 1611 roku świadkiem popisu jednomyślności Izby – jak rzadko zjednoczonej w gratulacjach królowi składanych, a połączonych z wyrazami trafnego pojęcia sensu polityki bałtyckiej, w czym katolikom kalwiniści nawet przodowali. Zdawałoby się też, że do jej obywatelskiej wyobraźni nie mógł nie trafiać urok swojskości społecznej osób, które na urzędy wynosił król ze środowisk nie dających

się przecież kwalifikować jako plutokracja. Na pewno przecież nie należał do niej podkanclerzy i rychło kanclerz Feliks Kryski (†1618), ani też inni regaliści, jak referendarz wielki litewski Aleksander Gosiewski (†1639), wojewoda bełski Adam Stadnicki (†1615), czy wojewoda sandomierski Zbigniew Ossoliński (†1623). Z drugiej strony jednak mógł zadziałać w Izbie odruch temu dobremu plemieniu nieobcy, co nie nadążających za ogółem skłania chwytając się tych, którzy ów ogół wyprzedzają aż na tyle, by już tracić z nim kontakt. A było przecież takich kilku, klęską rokoszu pchniętych jeszcze nawet dalej, bo na margines, i dla odwetu skłonnych użyć gotowych na to maruderów, jacy mogli znaleźć się w Izbie – choćby przez niedopatrzenie sejmików, które ich wybrały. Jakie by nie były powody takiej postawy posłów, pozostaje faktem, że założeń interwencji nie pozwoliła ona zrealizować w pełni.

Tymczasem na przełomie lat 1611 i 1612 osiągała apogeum koniunktura przychylna polityce polskiej, kształtowana w dużej mierze dzięki uporowi, z jakim król Zygmunt trzymał się jej tradycyjnego kursu. We Francji, w regencji po królu Henryku IV, od roku 1611 wpływ ministra de Villeroy przeważa nad wpływem księcia de Sully – protektora księcia Karola Wazy i sojusznika księcia Maurycego Orańskiego. Odsunięcie tego ostatniego z gry przez holenderskich republikanów – po rozejmie z roku 1609 Hiszpanii z Holandią – zbiegło się z uporem, z jakim w Anglii torowała sobie drogę idea tolerancji dla katolików, i współpracy z Hiszpanią, o czym już była mowa. Nie miała też większych osiągnięć niemiecka *Unia Protestancka*, której przewodnictwem objął po śmierci swego ojca i jej współtwórcy, Fryderyk V Wittelsbach (†1632) palatyn Renu. W roku 1609 przeciwstawiła się jej *Liga katolicka* – pod wodzą Maksymiliana I Wittelsbacha (†1651) księcia Bawarii, ciotecznego brata żony Zygmunta III. Rok później *Unię* obezwładnił spór o sukcesję Księstwa Julii i Kliwii (Jülich-Kleve), jaki – związany z Polską kuratelą Prus – elektor brandenburski Jan Zygmunt Hohenzollern wszczął z księciem na Palatynacie-Neuburgu, Wolfgangiem Wilhelmem Wittelsbachem (†1653). Sprzyjała też polityce polskiej korekta polityki niemieckiej. W maju 1611 roku lojalny wobec Zygmunta III arcyksiążę Maciej Habsburg, przyjąwszy koronę czeską, odsunął od wpływu swego niepoczytalnego brata, cesarza Rudolfa, by po jego śmierci w styczniu roku 1612 przyjąć władzę cesarską i wkrótce zrównoważyć inspirację biskupa Khlesla mianowaniem Hansa von Ulm zu Erbach (†1627) na wicekanclerza Rzeszy. Na swój sposób również koniunkturę na rubieży północnomorsko-bałtyckiej korygowało dla polityki polskiej korzystnie nasilanie się od roku 1611 rywalizacji, jaką angielska *East India Company*, narzu-

ciła swej siostrzycy holenderskiej, *Vereenigde Oostindische Compagnie*. Nie pozostawała bowiem ona bez wpływu na zbliżenie Holandii również do Hanzy, której politykę burmistrz Lubeki Heinrich Brockes (†1623) i syndyk Johann Domann (†1618) orientowali ku Hiszpanii. Rzucała też cień na dolę Karola Wazy. Wspierany przez kalwinistów szkockich, z którymi tak „nie po drodze” było królowi Anglii, od wiosny 1611 roku był on w stanie wojny z Danią. Wydał mu ją Christian IV, brat żony Jakuba I Stuarta – królowej Anny Duńskiej (†1619), katoliczki. Finału katastrofalnej dla Szwecji *wojny kalmarskiej* uzurpator szwedzki nie dożył. Trudno więc nie zauważyć, że jego śmierć, w listopadzie 1611 roku, otwierała następny rozdział walki o jagiellońsko-wazowską unię bałtycką w koniunkturze dla Rzeczypospolitej pomyślnej jak nigdy.

Nie wydaje się, by wykorzystanie pomyślnej koniunktury europejskiej przekraczało ówczesne zdolności Rzeczypospolitej. Już choćby drugi, nadzwyczajny Sejm 1613 roku, dał sprawdzoną okazję wyrazu hojności Izby Poselskiej i możliwości Kraju w drażliwej sferze podatków. Tym bardziej nie przekraczało możliwości militarnych, weryfikowanych jak dotąd nie gorzej, w znakomitej większości konfrontacji pierś w pierś, na obydwu frontach, szwedzkim i rosyjskim. Pod Moskwą, obok resztek pierwszego *opolczenia*, w lipcu 1611 roku rozłożyła się armijka Jana Piotra Sapiehy (†1611), dowiodłszy zaopatrzenie załozce stolicy, w grudniu aprowizowanej przez Chodkiewicza, choć z już większym trudem. Drugie *opolczenie* – w październiku powołane pod wodzą księcia Pożarskiego i Kuźmy Minina (†1616) w Niżnym Nowogrodzie z ideą wyboru królewicza szwedzkiego na cara – dotarło do Jarosławia dopiero latem roku 1612, nadto w sytuacji zmienionej śmiercią Karola Wazy. Wprawdzie jego syn, szesnastoletni Gustaw Adolf, jeszcze na przełomie 1611 i 1612 roku został uznany królem przez Riksdag, to władza przyszłego protestanckiego „Lwa Północy” wisiała na włosku.

Kompromitacja w toczącej się wojnie z Danią – jeszcze dotkliwsza od doznawanej w Inflantach – wraz z umęczeniem społeczeństwa podatkami, sprzęgało się z dyskomfortem wyznaniowym nie tylko prześladowanych katolików. Także i ortodoksyjnej części luteranów nie mogła nie niepokoić postawa intelektualna głównych rzeczników sprawy następcy księcia Karola. Osobistość tak wpływowa jak Peter Kenicius (†1636) arcybiskup Uppsali, wprawdzie nie propagujący zakazanego ustawowo kalwinizmu, lecz był więcej niż pobłażliwy dla modnej wśród kalwinistów, antyarystotelesowskiej doktryny filozoficznej, jaką był *ramizm*. Ulegał jej również bardzo wpływowy tutor i doradca Gustawa Adolfa – ezoteryk, kabalista i badacz runów,

Johannes Bureus (†1652). Dodatkowo musiała luteranów żenować pamięć o roli, odegranej w roku 1599 przez arcybiskupa, gdy książę Karol usuwał z urzędu jednego z jego poprzedników, arcybiskupa Angermannusa, przedstawiciela wybitnej rodziny pionierów szwedzkiej Reformacji, zmarłego w roku 1608, w więzieniu. Nim tedy mógł Kenicius dokonać koronacji Gustawa Adolfa – dopiero w październiku roku 1617 – musiało od lata roku 1612 upłynąć pięć lat niepewnych, nie bez terroru i pokazowych procesów „szpiegów polskich”, w których zdarzało się, że syn musiał zeznawać przeciw ojcu. W takich to trudnych czasach prowadząc stronnictwo, o którym mowa, utrwalił swą pozycję jego filar główny, kanclerz Axel Oxenstierna.

Tak więc nie tylko do nieszczęsnego Sejmu 1611 roku, lecz jeszcze latem 1612 – gdy król i królewicz, ze szczupłą armią przekroczywszy granicę zmierzali do Moskwy, zaś z mniej więcej podobnego dystansu w tym samym czasie od wschodu wyruszało ku niej z Jarosławia *drugie opolczenie* – pozostawała nadal otwartą sprawa miejsca, jakie w konfiguracji układu sił europejskich zajmie Kreml, nadal zajęty przez polską załogę. Dopiero we wrześniu 1612 roku, podjęta przez Chodkiewicza – nieudana tym razem – próba przebicia się do niej przez gęstniejących *opolczyńców*, dowiodła już wyraźnego pogorszenia się sytuacji militarnej. Źródłem bezpośrednim porażki nie było jednak osłabienie stratami zadanyymi przez Rosjan, ale protesty nieopłaconego wojska. Pośrednim zaś – naganne skąpstwo Sejmu odprawionego rok wcześniej. Królowi nie pozostawało nic innego, jak – nie po raz ostatni – przykładem własnym zagrać armię, by głodującej załodze Kremla jednak ruszyła na odsiecz. Doszedł do Wołokołamska, gdzie – wobec wieści o jej kapitulacji – 8 grudnia zarządził odwrót. Odwrót ten nie oznaczał końca wojny. Ciągnęła się ona na terytorium Rosji, też na wschód od Moskwy – z przerwami bez formalnego rozejmu – aż do *rozejmu w Dywilinie*, zawartego w grudniu 1618 roku. Pierwszą z tych przerw Rosjanie wykorzystali, by zwołać Sobór Ziemski, który, w blisko cztery miesiące po opuszczeniu Kremla przez Polaków, osadził na tronie carów Michaiła Romanowa (†1645), koronowanego po kolejnych czterech miesiącach, w lipcu roku 1613.

Tak oto rok 1612 – przed progiem którego Izba Poselska Sejmu Rzeczypospolitej zachowała się tak lekkomyślnie, a u kresu którego skutki jej lekkomyślności ujawnił niepomysłny zwrot w przebiegu interwencji w Rosji – stawał się momentem zwrotnym również dla koniunktury kontynentalnej.

To w tym przecież roku doszło do – by tak rzec – pierwszych rozdań w grze, jakiej wynikiem stał się sześć lat później wybuch *Wojny Trzydziestoletniej*. Nie sprzyjały one polityce polskiej, a z pewnością nie jest możliwa odpowiedź na żadne z dwóch pytań. Ani na pytanie, na ile zahamowanie ofensywy polskiej postawą Izby w roku 1611 stało się dla tych rozdań bodźcem, ani tym bardziej, na ile utrzymanie owej ofensywy mogło zahamować obrót koniunktury, jaki dokonał się w roku 1611 ze szkodą Rzeczypospolitej i pokoju w Europie. Brak jednak wątpliwości, że pomyślnie zakończenie wyprawy króla Zygmunta III i królewicza Władysława, podjętej w roku 1612, do minimum redukowałoby szanse utrzymania władzy w Szwecji przez stronnictwo Gustawa Adolfa Wazy i – jako dowód determinacji polityki polskiej – efektywniej mobilizowałoby szwedzką opinię do odbudowy jagiellońsko-wazowskiej unii. Jej zaś odbudowa razem z akcesją Rosji, poszerzałaby perspektywę uniknięcia katastrofy *Wojny Trzydziestoletniej* i ograniczenia zagrożeń ze strony Osmanów.

Bez wyrokowania – na ile decydująco do niekorzystnego dla Polski i całego Kontynentu obrotu koniunktury przyczynił się w listopadzie 1611 brak sejmowej zgody na podatki w wymiarze zbliżonym choćby do uzgodnionego na grudniowym Sejmie Nadzwyczajnym 1613 roku – wypada założyć, że przebieg i skutki Sejmu roku 1611 wywołały przynajmniej u Axela Oxenstierny wzrost nadziei na bezpieczne przetrwanie kryzysu otwartego śmiercią Karola Wazy. Nadzieję tę umocniłby zresztą zwrot w układzie sił zaszły właśnie nad Tamizą, nawet gdyby nie był on rezonansem odgłosów znad Melaru i Wiśły. Jest faktem, że u progu roku 1612 polityka angielska skręciła ku ścieżce, z jakiej niedawno król Jakub ją sprowadził. Jeszcze bowiem w styczniu udał się do Sztokholmu, jako jego ambasador, sir James Spens (†1630) – zaprzyjaźniony z Oxenstierną, jeden z wielu Szkotów pozostających na służbie u księcia Karola – z wyraźnie ratunkową propozycją mediacji między osieroconym Gustawem Adolfem, a królem Danii Chrystianem IV. Mediacja ta królowej Anny, małżonki Jakuba I, chyba – jako siostry zwycięskiego Chrystiana – nie zachwycała. Oxenstierna poddał się jej rzecz jasna z pełnym zaufaniem, a król Danii z wyczuciem konieczności. Ciągnęła się ona jednak przez cały rok 1612, by owocować *Pokojem w Knäred* – ku oburzeniu Zygmunta III – przynajmniej Gustawowi Adolfowi tytuł królewski, a podpisanym w styczniu roku 1613, na miesiąc przed elekcją cara Michała I.

Z dotkliwym ciosem dla królowej Anglii wiązał się inny symptom zasadniczej zmiany polityki dynastycznej jej męża. Ledwie bowiem w styczniu 1612 roku sir James Spens ruszył do Sztokholmu, król Jakub wbrew jej woli

obiecał rękę królowny Elżbiety Stuart (†1662) palatynowi Renu, księciu Fryderykowi V, o którą w tegoż imieniu poprosił hrabia Hans von Schönberg (†1616) – członek rodziny z dworem Wittelsbachów nadreńskich związanej od pokoleń, oddany sprawie kalwińskiej i *Unii Protestantkiej*, a od roku doradca Jana Zygmunta Hohenzollerna. Nie wyrokując, który z kandydatów do ręki jej córki był królowej od palatyna bliższy – przyznać wypada, że podpisując w maju 1612 roku w Londynie kontrakt ślubny – z woli Jakuba I Stuarta – otrzymywał go hrabia Hans. W tym momencie wola króla Jakuba była już całkowicie inna od tej manifestowanej przezeń jeszcze w roku 1608, gdy do rokoszan polskich apelował o posłuszeństwo dla króla Zygmunta. Czy gdy w 1609 roku – w rozmowie z marszałkiem wielkim koronnym Zygmuntem Myszkowskim (†1615) – rozwinął plan wydania królowny Elżbiety za królewicza Władysława, co aplauz jego duńskiego szwagra wzbudzało jeszcze w roku 1611. Oczywiście – jak wypada sądzić – przyczyną tej zmiany stosunku Jakuba I do kalwińskiego *networku* z Kontynentu, była chęć neutralizacji opinii purytanów z Wyspy, która aktywność podatkową Izby Gmin hamowała nie inaczej, jak działało się to na Mazowszu – tyle, że nad Tamizą w imię innej opcji, której kompatybilność z *networkiem* Walsinghama hrabia Schönberg potwierdził na pewno z przyjemnością⁷⁶.

Zapewne też rady – jakich hrabia Schönberg udzielał swemu mocodawcy z Berlina – miały istotny wpływ na decyzję o przejściu z luteranizmu na kalwinizm Jana Zygmunta Hohenzollerna, jaką ten ogłosił na Boże Narodzenie roku 1613. Dopiero więc dwa lata od chwili, kiedy to na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie złożył z Prus Książących hołd lenny Zygmunтови III, na koniec pamiętnego Sejmu 1611. Stało się to zaś wbrew woli króla, który zmierzał do sekwestracji lenna, ale ustąpił woli Izby Poselskiej, przeciwnej mu i w tym względzie, byle nie stracić tych trzech z takim trudem wytargowanych podatkowych poborów.

Z wyżyny swego urzędu król widział bowiem, że – pod takimi to auspicjami Sejmu 1611 roku – otwarty rok 1612 zmieni też Hohenzollernów, dotąd lojalnych lenników Korony. Widział również i to, że – po protestanckiej stronie – palatyna Fryderyka V, królów Chrystiana IV i Gustawa Adolfa, a także kanclerza Axela Oxenstiernę, ten sam rok wypromuje na czołowych aktorów bliskiej już wojny. Dwa małżeństwa, które wkrótce umocniły po

⁷⁶ Przy okazji swej misji londyńskiej hrabia Schönberg odniósł też znaczący sukces osobisty – zdobył bowiem serce i rękę panny Anny Sutton (†1616), córki z *networkiem* Walsinghama związanego wielorako, 5-tego barona Dudley (†1643).

stronie tej solidarność, ukazały postęp, jaki na północnomorsko-bałtyckiej rubieży Europy osiągała kompozycja układu dla Polski nie do przyjęcia. Było to – w czerwcu 1615 roku – małżeństwo siostry przyrodniej Gustawa Adolfa, księżniczki Katarzyny Wazówny (†1638) z Janem Kazimierzem Wittelsbachem (†1652) hrabią Palatynatu-Zweibrücken, mediatorem w czasie rokowań w Knäred. Ich związek dał Szwecji króla Karola Gustawa (†1660), zapamiętanego w Polsce z *Potopu*. Małżeństwo drugie – zawarte w lipcu roku 1616 w Heidelbergu – połączyło syna elektora Jana Zygmunta, księcia Jerzego Wilhelma (†1640) z Elżbietą Wittelsbach (†1660) siostrą palatyna Renu, a więc rodziców Fryderyka Wilhelma Hohenzollerna (†1688), wpisanego w dzieje Prus jako „Wielki Elektor”.

Oba stadła dopełniły kompozycję eksponując miejsce zajmowane w niej przez księcia Maurycego Orańskiego. Ten przez króla Jakuba przyjęty w roku 1613 do Orderu Podwiązki przyjaciel Gustawa Adolfa, był przecież wujem palatyna Renu i jego do Berlina wydanej siostry. Tymczasem to w Berlinie właśnie, w roku 1618, zachowujący *incognito* w poselstwie kanclerza Oxenstierny, postanowił Gustaw Adolf swoje mężne serce oddać Marii Eleonorze Hohenzollern (†1655) – jak to razem z jego kanclerzem ustalił jej ojciec elektor Jan Zygmunt. Był rok 1618 dla księcia Maurycego dobry z innego też powodu. W sierpniu *stadhouder* Niderlandów wprowadził swe oddziały do miast Holandii, co pozwoliło usunąć z urzędu i uwięzić *wielkiego pensjonariusza* Johana van Oldenbarnevelta – rzecznika pacyfikacji stosunków z Hiszpanią i wyznaniowej tolerancji. Zwołany zaś w listopadzie do Dordrecht synod kościoła kalwińskiego potwierdził heretycką naturę obu idei. Uczynił to z akcentem dobitnym, jakim było, w maju 1619 roku, ścięcie Oldenbarnevelta – wybitnego holenderskiego republikanina, wiernego gałązce kalwinizmu, oddalonej od pnia przekonaniem o niezbywalności wolnej woli.

Doszło do tego przewrotu przecież w okresie, który objął początek powstania Czechów przeciw królowi Ferdynandowi Habsburgowi w czerwcu 1618 i dwie konferencje z listopada tego roku. Na jednej z nich, w Królewcu, hofrat elektora Achacy von Dohna (†1619) omówił pomysł uszczęśliwienia Czechów kandydaturą palatyna Fryderyka V do Korony Św. Wacława. Na drugiej, w Londynie, ten sam pomysł prezentował Jakubowi I syn radcy Achacego, Krzysztof (†1637) – wtedy minister palatyna, a rychło szwagier księcia Fryderyka Henryka Orańskiego (†1647), brata i następcy *stadhoudera* Maurycego. Król nie był zachwycony pomysłem, który na los jego córki i rodu miał wpłynąć tak dotkliwie, a który bił w plany mariażu księcia Walii

z infantką hiszpańską Marią Anną Habsburżanką (†1646) – jakie snuł razem z ambasadorem Gondomarem. Presja jednak na króla opinii purytańskiej wtedy wzrastała, z pewnością nie bez wpływu ugody jaką pod jego okiem, przez całą drugą połowę 1618 roku negocjując w Londynie, sir Dudley Carleton (†1632) i sir Thomas Roe (†1644) z jednej strony, a z drugiej ambasadrowie Jacob Boreel (1552-1636) i Constantijn Huygens (†1687), pojednali obie kompanie wschodnio-indyjskie. Mieściło się w tym okresie także wejście do Czech najemnej armii Ernesta von Mansfelda (†1626), którą sfinansował – skłócony podówczas z Habsburgami – książę Karol Emanuel I Sabaudzki (†1630), we wrześniu 1618 roku inaugurując *Wojnę Trzydziestoletnią*.

W tym samym czasie – w porównaniu ze stroną protestancką – po katolickiej, podobnie efektywnych zabiegów integracyjnych raczej nie dawało się dostrzec. Z pewnością miał w tym udział wpływ stanowiska Stolicy Apostolskiej.

Niewolna od atawizmu niechęć wobec Medyceuszów – jaką po zacnych przodkach gwelfickich z Florencji i Sieny dziedziczyli papieże Klemens VIII Aldobrandini (†1605) i Paweł V Borghese (†1621) – łączyła się z dobrą pamięcią w jakiej obaj zachowywali papieża Pawła IV Carafę (†1559), który wycierpiał wiele od tychże Medyceuszów. Mogła też dodatkowo natchnąć ich politykę włoską, inspirowaną względem przecież zrozumiałym, na bezpieczeństwo Państwa Kościelnego – jako materialnej podstawy Misji zleconej Apostołowi Piotrowi. Nie tylko bowiem królestwa Neapolu i Sycylii pozostawały pod rządem hiszpańskiej linii Habsburgów. Pod ich wpływem była również Toskania, której wielki książę Cosimo de' Medici (†1621) trwał od roku 1608 w związku z Marią Magdaleną Habsburżanką (†1631), siostrą dwóch kolejnych żon Zygmunta III. Może więc pobożnością stryjecznej siostry księcia, Marii królowej Francji – córki zresztą innej Habsburżanki, Joanny (†1578) – obaj papieże tłumaczyli zaufanie, jakim darzyli jej męża, który rzucając kalwinizm zyskał tron, podobno z komentarzem, że *Paryż wart jest mszy*. Utrzymywana zaś przez nich linia filofrancuska wpływała na dezintegrację katolickiej Italii i uwrażliwiała – rzecz by można – jej podzieloną opinię na rozwój międzywyznaniowej debaty po północnej stronie Alp.

Już choćby stanowisko Klemensa VIII, któremu w latach 1602-1603 bliższa była myśl osadzenia na tronie Anglii, po Elżbiecie Tudor, króla Henryka IV niż Jakuba Stuarta – wtedy bynajmniej nie popieranego przez Madryt – psuło szyki synowi Marii Stuart (†1578), który katolikom dawał wytchnienie, a anglikanów umacniał w oporze wobec kalwinizmu. Zapewne też nie służył ani sprawie króla, ani katolicyzmu, rezonans polityczny polemiki, jaką wywołał list

gratulacyjny Pawła V do króla Jakuba w czerwcu 1606 roku, będący nietrafioną reakcją na ustawę *Popish Recusant Act*, wydaną przez Parlament w listopadzie 1605 roku, po *spisku prochowym*. Rezonans ów niósł oddźwięki reformacyjnej idei nacjonalizacji Kościoła w imię obrony zagrożonego przez papieski Rzym i jezuitów bezpieczeństwa – czy to moralnego, czy politycznego – tak w państwach katolickich, jak w protestanckich. Im zaś cichsze były o to obawy po stronie luteranńskiej, tym głośniejszy odzywały się one po kalwińskiej. Szczególnie tę ostatnią niepokoiła spiskowa akcja jezuitów, choć – przyznać trzeba – kiedy jak kiedy, ale to właśnie za obu tych pontyfikatów synom Świętego Ignacego przyszło trwać między rzymskim młotem a madryckim kowadłem.

Z pewnością przesadną ostrożność okazał Senat Republiki Weneckiej, gdy ustawami z lat 1600-1601 uprawnił słabo uzasadnioną ingerencję rządu w stosunek miejscowej hierarchii do Rzymu. Na pewno też jego zbyt mała odporność na opinie kół zauroczonych księdzem Paolo Sarpim (†1623)

– przyjacielem takich gwiazd kalwińskiego *networku*, jak Philippe de Mornay (†1623), czy Krzysztof von Dohna – wyjaśnia powód, dla którego aż trzykrotnie musiał Rzym rozpatrywać, zawsze z negatywnym skutkiem, prośbę o jego biskupią nominację. Jednakże interdykt, jakim w 1606 roku Najjaśniejszą Republikę pokarał papież Paweł V, a chyba nieco za mocno – za aresztowanie dwóch księży – a jaki Wenecja odwzajemniła wygnaniem zakonu jezuitów, z zupełną pewnością nie zmartwił ambasadora Anglii. Był nim sir Henry Wotton (†1639), upamiętniony kilkunastoletnią służbą na posterunku w Wenecji i mało wesołym dowcipem, definiującym dyplomatę jako *człowieka uczciwego, a zagranicą, dla dobra swego kraju zmuszonego kłamać*. Rzecz w tym, że nie wnikając, czy w istocie nie mówił on prawdy zagranicą i czy w kraju nie kłamał, na pewno sir Henry przyczynił się do zażegnania groźby przyptywu ducha czasu niedawnego Lepanto, wiążąc trzy chrześcijańskie potęgi adriatyckie i z różnych powodów także kontynentalne – Państwo Kościelne, Wenecję i Neapol – klinczem zastarzałego braku zaufania. Solidaryzował on Wenecję z Francją i z Niderlandami, izolując Rzym i jednocześnie habsburskie królestwa Neapolu i Sycylii. Trudno byłoby w tym widzieć dobro samej Anglii. Niełaska w jaką sir Henry popadł u króla Jakuba utrudnia sąd, by miał on na względzie dobro swego monarchy. Nietrudno natomiast w tym dostrzec dobro sprawy – tyle że sprawy wyłącznie kalwińskiego *networku*.

Miała się sprawa ta nieźle również we Francji. Nie tyle, co prawda, z uwagi na *Edykt Nantejski*, którym w roku 1598 król Henryk IV przyznał kalwinistom swobodę wyznania, ile na wspomnianą już obecność księcia de Sully

w administrującym tandemie z markizem de Villeroy – katolikiem. Śmierć króla, w roku 1610, podniosła wpływy katolików w radzie regencyjnej, której przewodniczyła Maria Medycejska, a z której w roku 1611 ustąpił Sully. Wprawdzie zwrot ten przyniósł w listopadzie 1615 roku dwa kontrakty małżeńskie – małoletniego króla Ludwika XIII z infantką Anną Habsburżanką (†1666) i następcy tronu Hiszpanii, również młodocianego infanta Filipa Habsburga księcia Asturii (†1665) z Elżbietą Burbon (†1644) córką Henryka IV. Jednakże już w sierpniu 1616 roku pierwsza dymisja markiza de Villeroy ze stanowiska sekretarza inaugurowała przełom – zrazu niezauważalny, lecz wkrótce stwarzający jedną z podstawowych okoliczności dramatu *Wojny Trzydziestoletniej*. Markiza bowiem na jego urzędzie zastąpił biskup – a wkrótce kardynał – już tu wspomniany Jean Armand de Richelieu. Względy królowej zdobył on – rzecz godna podziwu – jako jeden z matadorów ostatniego przed rewolucją 1789 roku zebrania Stanów Generalnych, zwołanego w roku 1614. I choć po zamachu z kwietnia 1617 roku, którego ofiarą padł człowiek królowej, marszałek d’Ancre, Richelieu powierzył urząd wdowcowi po wnuczce markiza – Pierre’owi Brûlart de Sillery (†1640), który sprawował go do marca 1626 – to przecież nadal grał rolę pierwszorzędną, jako mediator między wciąż darzącą go przyjaźnią królową-matką, a nie pogodzonym z nią Ludwikiem XIII. Gra, jaką Richelieu narzucił kalwinistom w kraju, może mu nawet ułatwiała zwrócenie europejskiej polityki Francji znów na drogę wytyczoną przez tradycję, której kustoszem był Sully.

W ostatnich latach przed wybuchem wojny jedynie w Hiszpanii i w Cesarstwie można było dostrzec wolę stawienia czoła wyzwaniom jakie kalwiński *network* rzucił *status quo* – determinowanemu przez dwa czynniki. Jeden stanowiła pacyfikacją stosunków Hiszpanii z Francją, Anglią i Niderlandami na froncie zachodnim. Drugi czynnik – na froncie wschodnim – to utrzymujący się, wyraźny prymat Rzeczypospolitej w przestrzeni od Bałtyku po granice Imperium Osmanów.

W Hiszpanii, brak zrozumienia jaki dzielił małżonkę Filipa III – zmarłą w 1611 roku królową Małgorzatą Styryjską (szwagierkę Zygmunta III) – i ministra księcia de Lermę, wpływu na planowanie dyplomacji nie miał. Nie miało też wpływu na nie odejście ministra z urzędu, który – w roku 1617 – objął jego syn, książę Cristòbal de Uceda (†1624), w wyniku intrygi hrabiego Gaspara de Olivares (†1645). O wymowie zwrotu – zdecydowanie ofensywnej – decydowało bowiem wejście do *Consejo de Estado*, w lipcu tego samego roku, hrabiego Baltasara de Zuñiga y Velasco (†1622) – inspiratora traktatu

familijnego, jaki jeszcze w czerwcu uregulował stosunki między madrycką a wiedeńską linią Habsburgów. Traktat przewidywał przyjęcie korony czeskiej i następnie cesarskiej przez brata zmarłej królowej Hiszpanii i aktualnej królowej Polski, arcyksięcia Ferdynanda Styryjskiego.

W Cesarstwie, ostatnie lata niespokojnego pokoju upływały pod znakiem nie tylko traktatu familijnego Habsburgów i wrzenia w Czechach, ale też konsumpcji rezultatów wojny o sukcesję Księstw Juliaku i Kliwii, które *Traktat z Xanten*, w listopadzie roku 1614 podzielił między obu współzawodników – Juliak przyznając księciu Palatynatu-Neuburga, Wolfgangowi Wilhelmowi Wittelsbachowi, a Kliwię elektorowi Janowi Zygmuntowi Hohenzollernowi. Tak jak przy tej okazji elektor Jan Zygmunt przeszedł z luteranizmu na kalwinizm, podobnie z luteranizmu – ale na katolicyzm przeszedł palatyn Wolfgang Wilhelm.

W obu przypadkach były to konwersje o znaczeniu politycznym daleko sięgającym, w przestrzeni i w czasie. Pierwsza wprowadzała Hohenzollernów nad Ren, podnosząc ich cenę i w Wiedniu i w Paryżu. W wieku XVII pozwoliło to Berlinowi grać z Warszawą o Królewiec, by po wygranej rozpocząć – w XVIII wieku – grę z Wiedniem o Niemcy, wygraną po klęsce, którą Berlin zadał Paryżowi w wieku XIX. Skutki konwersji palatyna Wolfganga Wilhelma, mniej od tamtych widowiskowe, wydają się przecież nie mniej trwałe. Umocniła ona katolicyzm w całej nadreńskiej części historycznego *Działu Lotara*, wpisując się w odbudowę autorytetu trzech arcybiskupstw – Kolonii, Moguncji i Trewiru – obciążonych konstytucyjnie obowiązkami politycznymi w Rzeszy. Za syna konwertyty, księcia Filipa Wilhelma (†1690) – od roku 1685 już elektora Palatynatu Renu – i obu synów tegoż, Jana Wilhelma (†1716) i Karola III Filipa (†1742), Nadrenia i Palatynat stały się osobnym centrum decyzji politycznej w Rzeszy. Jego kulturowa i polityczna tożsamość zasługuje na większą niż dotąd uwagę historyków – w tym również historyków polskich – nie tylko ze względu na ducha wyznaniowej tolerancji, jaki wtedy tam przeważał, oraz ważki udział tego centrum w grze w zasięgu całej zachodniej dzielnicy Kontynentu. Również z racji związków dynastycznych, jakie księcia palatyna Filipa Wilhelma łączyły z Polską, przez ożenek jego samego z córką Zygmunta III, królowną Anną Katarzyną (†1651), w roku 1642 w Warszawie, a w roku 1691 przez ślub jego córki Jadwigi Elżbiety (†1722) z królewiczem Jakubem Sobieskim (†1737).

W przededniu *Wojny Trzydziestoletniej*, książę Wolfgang Wittelsbach (†1652), żonaty z Magdaleną Wittelsbachówną (†1622) – siostrą szefa *Ligi katolickiej*, księcia Maksymiliana I Bawarskiego (†1651) i szwagierką

arcyksięcia Ferdynanda Styryjskiego, niedługo cesarza – bez porównania bardziej osłabiał miejscową partię kalwińskiego *networku*, niż ją wzmacniała akcesja księcia Jana Zygmunta. A przecież obok Czech, właśnie Palatynat stał się głównym teatrem nadchodzącego konfliktu, w jego akcie pierwszym.

W ciągu niecałych sześciu lat, jakie chwilę odstąpienia armii króla Zygmunta spod Moskwy dzieliły od chwili wybuchu *Wojny Trzydziestoletniej* – od grudnia 1612 do września 1618 roku – dokonywały się więc główne akty procesu konfiguracji układu, w jakim do niej przystąpiły obie strony, protestancka i katolicka. Analiza ówczesnej polityki polskiej pozwala przytakujuco odpowiedzieć na dwa pytania istotne. Po pierwsze, czy zdołała ona – na tyle, na ile było to możliwe – zareagować na zdeterminowaną już w roku 1612, zmianę koniunktury europejskiej? I po drugie, czy była to reakcja zgodna z doktryną, a bez ustępstw w zakresie zasad i celów?

Odpowiedź na pytanie pierwsze pozostaje przytakująca, aczkolwiek nie bez istotnego zastrzeżenia. Narzuca je refleksja nad wydarzeniami tychże lat sześciu, do jakiej zresztą też dawały okazję wydarzenia nieco wcześniejsze, choć dopiero następne okresy historii polityki polskiej zaobfitują okazji podobnych bezwstydną eskalacją. Rzecz bowiem w upokarzającym i z biegiem czasu coraz ostrzejszym, kontraście między planem polityki, a jego wdrożeniem. W kontraście, jaki dzieli więc z jednej strony planowanie o wysokiej próbie intelektualnej, od z drugiej strony – realizacji, którą utrudnia zwykły niedostatek moralnej próby osób za nią odpowiedzialnych.

Wyzwanie, jakie polityce polskiej rzucała koniunktura europejska swoim zwrotem ku wojnie, nie wywołało zmiany kursu, utrzymanego w normie jagiellońskiej. Stąd też nie mogło ono – pod rygorem zejścia z tegoż kursu – inspirować akcesji Rzeczypospolitej do koalicji, w której przewagę decyzyjną uzyskały czynniki jej polityce bałtyckiej przeciwne tradycyjnie, a wtedy, pod hasłem obrony protestantyzmu, integrujące się do ofensywy. Nadto akcesja podobna nie przysporzyłaby Polsce sprzymierzeńców po stronie luteranńskiej, która do ofensywy tej nie kwapiła się wcale, a nad Bałtykiem dominowała. Tak w proklamujących neutralność miastach Hanzy, jak w Szwecji – do udziału w wojnie pchniętej nie opinią publiczną, a drogą manipulacji Axela Oxenstierny. Rygor utrzymania kursu sugerował tym samym umocnienie związku z Wiedniem i Madrytem jako oczywistość strategiczną, niezależnie od wyznaniowych i rodzinnych uczuć króla. Król, razem z większością politycznego przywództwa,

wątpliwości co do tego nie miał najmniejszych. Dowodzą tego działania dyplomacji – kwitowane realnymi efektami w obu zaprzyjaźnionych stolicach i gdzie tylko to postulował rozwój wydarzeń w Szwecji i w Rosji.

Kontrast między planowaniem polityki zewnętrznej Rzeczypospolitej – czego kierownictwo należało do króla – a jej wdrażaniem, wynikał z konstytucyjnej natury państwa, jaka władzą stanowiącą w zakresie podatków na to potrzebnych czyniła Sejm. Ten poniekąd naturalny, a więc nieunikniony kontrast, stwarza państwu chyba mniej zagrożeń, w porównaniu ze sprowadzanymi na nie przez – sprzeczny z samą naturą polityki – absolutyzm władzy rządzącej. Dotyczy to również polityki zagranicznej, czego dowodów nie brak. Gdy nie ma powodów, by jakoś intelektualną planowania polityki Zygmunta III oceniać ujemnie, to kontrast, jaki ją dzieli od jakości wsparcia udzielanego jej przez Sejmy po roku 1612, ujawnił znowu ciemne strony aktywności Izby Poselskiej. Wystarczy rzec, że cały dochód z podatku uchwalonego w wysokości dziewięciokrotnej przez Sejm Nadzwyczajny 1612 roku poszedł na wypłacenie żołnierzom zaległego żołdu, którego wypłata w porę odmienić mogła losy interwencji w Rosji. W położeniu podobnym na Sejmie 1615 roku Izba Poselska powieliła swe zachowanie z roku 1611. Tego, że kontrast ów miał w swojej głębszej przyczynie naturę moralną, dowodzi cynizm komentarza jednego z notabli, do wyniku Sejmu 1616 roku, jaki na potrzebę moskiewską dał skromny zasiłek. Pisał bowiem ówże: *nie wiem jako to na taką wojnę jechać, którą to przeciwko sumieniu swemu być baczy* – z dodatkiem – *która ta wojna naprzód w Rzymie, nie w Warszawie uchwalona*, dając lekcję czujności, bardziej partyjnej niż obywatelskiej. Tak jak to działo się, z żałosnymi skutkami podczas rokoszu i na Sejmie roku 1611.

Maksymalizm cechujący planowanie polityczne w latach 1613-1618 budzi szacunek z tej prostej przyczyny, że nie uwłaczał on zdrowemu rozsądkowi błędną oceną realiów – ani w sferze sytuacji zewnętrznej, ani w stosunkach wewnętrznych. Przebieg pierwszego starcia *Wojny Trzydziestoletniej* wykazał przekonująco, że stwarzało ono warunki zewnętrzne, jakie – przy odpowiednim wysiłku wewnętrznym – umożliwiały objęcie rządów w Moskwie przez królewicza Władysława, co przesądziłoby, być może jeszcze na etapie tego samego starcia, restaurację jagiellońsko-wazowskiej unii bałtyckiej, a więc osiągnięcie maksimum. Z drugiej strony realia wewnętrzne nie wykluczały przecież, że opinia publiczna zdoła uwolnić się od partyjnych presji i do sprawy da się przekonać. Możliwy tu zarzut naiwności nadziei wypada oddalić, jako że plan maksymalny mieścił w sobie potencjał korekt potrzebnych dla realizacji

optimum możliwego. Optimum takim byłaby stabilizacja obu państwowości – rosyjskiej i szwedzkiej – obywatela się bez unii dynastycznej, ale dostateczna na tyle, by jedna i druga były odporne na nieprzyjazne Rzeczypospolitej inspiracje zewnętrzne. W latach 1613-1618 założenia oba – planu maksymalnego i planu skorygowanego do możliwego – determinowały aktywność polityki polskiej na obu scenach jej realizacji. Realizacji bezpośredniej, na froncie szwedzkim i rosyjskim, oraz realizacji pośredniej, na zachodnioeuropejskim.

Na froncie szwedzkim, co jest oczywiste, wobec napaści Chrystiana IV Duńskiego na Szwecję pozostającą pod władzą księcia Karola, nie mógł Zygmunt III – jej prawowity król – postąpić inaczej, jak najpierw napaść tę królowi Danii odradzać, a gdy do niej doszło, już w kwietniu 1611 roku zawrzeć z Karolem rozejm. Po śmierci uzurpatora, nim wojnę zakończył *Pokój w Knäred* (styczeń 1613), rozejm przedłużany był dwukrotnie, a po raz kolejny jeszcze w styczniu 1614 roku – do września 1616. W momencie przesilenia decydującego o klęsce Szwecji, Zygmunt III akcentował jej integralność terytorialną żądaniem, żeby Chrystian IV zwrócił mu prowincje szwedzkie okupowane w wyniku działań wojennych. Wspomniane układy o rozejmie formułowane były w sposób nie pozostawiający wątpliwości, że Zygmunt III swych praw do tronu Szwecji nie odstępuje. Co więcej, rokowaniom towarzyszył inicjowany przezeń dialog, w którym król ujawnił swą wolę kompromisu ze stronnictwem Gustawa Adolfa Wazy i kanclerza Oxenstierny – w formach różnych, między innymi przez uposażenie pierwszego z nich księstwem udzielnym. Tę kompromisową postawę dyktowała królowi wielkoduszność – wykluczająca interwencję militarną w obronie swoich praw do korony państwa, które toczyło narzuconą sobie wojnę, jak też tym bardziej w tej sytuacji możliwy udział w jego rozbiore. Wypada uznać, że za wielkodusznością podobną stał zdrowy rozsądek. Mówił on, że każda postawa determinowana ideą *wzięcia tego, co się da*, dla niektórych „realistyczną”, poza prawdopodobieństwem stawiałaby realizację maksimum, możliwe optimum zmniejszając. Za postawą kompromisową, przemawiał też brak rozstrzygnięcia na rosyjskim skrzydle frontu.

Sytuację bowiem wewnętrzną w Rosji – podobnie jak w Szwecji – determinowała nadal niepewność ostatecznego wyniku współzawodnictwa o władzę i brakiem rozstrzygnięć na polu militarnym. Powołanie Michała Romanowa na tron carski nie uniemożliwiło rozmów, prowadzonych przez bojarów w Londynie z myślą o ewentualnej intronizacji króla Jakuba. Z kolei przedstawiane w Warszawie powody wyboru Michała Romanowa – owe wszystkie znane i przez część historyków brane poważnie, supozycje obciążające odpowiedzial-

nością króla – były na tyle pokrętne, by jej cel realny upatrywać w zwłoce niezbędnej do zamknięcia sprawy nadal otwartej. Otwartą pozostawała również sytuacja na froncie świeżej przyjaźni szwedzko-rosyjskiej – niezmaconej mimo zajęcia Kexholmu i Nowogrodu przez Jakuba de la Gardie, po klęsce obu sojuszniczych armii pod Kłuszynem. W latach zaś 1613-1614 potwierdzanej w paradach ich armii – od Tichwina po Nowogród – przypominających bardziej wspólne manewry, niż starcia. Tak otwarty charakter potęgowała aktywność części weteranów *opolczenij*. Należał do nich ataman Iwan Zarucki (†1614) – kwestionujący wybór cara Michała i okupujący całe południe Rosji od wiosny 1613 do wiosny 1614 roku, na którego to roku początku zbuntowali się inni weterani, w samej już Moskwie. Bunt z kolei innych jeszcze, od wiosny roku 1614 do lata 1615, objął większość Rosji północnej. Tę bowiem opanował ataman Michaił Bałowień (†1615), gdy dowodzeni przezeń Kozacy – z ciągnącej pod Nowogród armii księcia Dymitra Trubeckiego (†1625) – zmienili kierunek, by przez rok oblegać punkt strategiczny, jakim przecież była Wołogda, z racji usytuowania w niej kantoru *Muscovy Company*.

Tak jak posunięciem jedynie doraźnym, a dyktowanym szczupłością środków, było zawarcie rozejmu na skrzydle szwedzkim w styczniu 1614 roku, tak też podobny charakter i podobnie warunkowany miała ekspedycja, jaką na skrzydle rosyjskim prowadził pułkownik Aleksander Lisowski (†1616). Rozpoczęta w marcu 1615 i zakończona w styczniu 1616 roku, musiała zweryfikować tę część kalkulacji rosyjskich, których optymizm roznieciła żenująca postawa polskiej Izby Poselskiej. W czerwcu została pod Karaczewem rozbita armia księcia Jurija Szachowskiego (†1640). Kiedy w lipcu szwedzkie manewry, pod dowództwem Gustawa Adolfa, przekształciły się w rzeczywiste oblężenie Pskowa, już w sierpniu Lisowski zniósł pod Orłem armię, którą wiódł przywódca drugiego *opolczenija* i niedawny rzecznik kandydatury szwedzkiej na moskiewski tron, książę Dymitr Pożarski. Gdy zaś – w tym samym miesiącu – książę Wasyl Achamaszukow-Czerkasski (†1652) z wyjątkowo okazałą świtą ruszył z Moskwy pod oblężony Psków na rozmowy ze Szwedami, kawalerzyści Lisowskiego znieśli jedną część armii dowodzonej przez bojara Fiodora Szeremietiewa (†1650), która miała poselstwu dodać powagi, drugą jej część, aż do odstąpienia Szwedów w listopadzie, blokując pod Rżewem, by bez pośpiechu, w nowym już roku, wrócić z wyprawy. Demonstracja siły nie tylko odwlekła początek rokowań szwedzko-rosyjskich, ale – dając do myślenia po obu stronach – wydłużyła ich czas do z górą roku – do zawartego przez nie w marcu roku 1617, *Pokoju w Stolbowie*.

Tak dokonana neutralizacja wschodniego frontu polityki polskiej na obu skrzydłach – szwedzkim i rosyjskim – uwiarygodniła jej aktywność na froncie priorytetowym, zachodnim. Godna podkreślenia wydaje się trafność rozpoznania tego właśnie frontu, jako decydującego; podobnie jak świadomość – łatwa zresztą do domniemania – która rozpoznaniu towarzyszyć musiała. Mianowicie, że rozwiązanie każde, osiągnięte na każdym z obu tych skrzydeł – bez względu na to, czy stanie za nim jedynie polska siła militarna, czy też wolny wybór Szwedów i Rosjan – stanie się rozwiązaniem tym bardziej stabilnym, im czytelniej wpisze się ono w rozwiązania osiągnane zbieżnie i kompatybilnie z nim, przez partnerów w zachodniej dzielnicy Kontynentu. Także świadomość, że wola i możliwość rozwiązań takich realnie determinują partnerów, do aliansu z którymi, w toczącym się sporze, skłania zdrowy rozsądek. To dzięki takiej świadomości lata 1613-1616 można zaliczyć do tych chwil z dziejów polityki polskiej, w których na pytania stawiane przez nią sprzymierzeńcom, ci ostatni nie mogli odpowiadać inaczej, jak zgodnie z realiami, a nie pozorami, ich woli i mocy.

Potrzebę pozytywnego wpisania aktywności polityki polskiej na jej froncie wschodnim w dynamikę projektującą alianse i ich cele, w zachodniej dzielnicy Kontynentu bezpośrednio przed wybuchem wojny, zrealizowała skutecznie jej dyplomacja w dwu tamtejszych stolicach – Wiedniu i Madrycie.

W Wiedniu – na ogólnej podstawie, jaką dawał wspomniany już pakt Zygmunta III z cesarzem Maciejem, zawarty przez Mikołaja Wolskiego w marcu 1613 roku – sekretarz króla i wkrótce podkanclerzy koronny, ksiądz Andrzej Lipski (†1631) już latem tego samego roku zasugerował cesarzowi i Reichstagowi mediację w sporze między królem i jego przeciwnikami w Szwecji i Rosji. Mediacji w Szwecji cesarz podjąć się nie mógł, co było jasne, dopóki nie miała rozstrzygnięcia mediacja, z której inicjatywą wystąpił w styczniu 1612 roku Jakub I Stuart, czego ideę poparł elektor brandenburski Jan Zygmunt Hohenzollern. Z ideą taką król zgadzał się – żądając, by w wyznaczonych na lato 1615 roku, rokowaniach w Szczecinie, obok Anglii i Niderlandów uczestniczyła również Francja. Z chwilą, gdy kanclerz Oxenstierna – nie chcąc poddać się mediacji raczej mu życzliwszej, niż cesarska – do Szczecina delegacji nie wysłał, nie tylko zbędna stawała się mediacja cesarza, ale też wytłumaczenie znajdowała jego decyzja w kwestii zasadniczej, to jest wydana latem 1616 roku zgoda na dokonanie w Rzeszy zaciągu do armii polskiej, na potrzebę kampanii w Szwecji. Decyzję cesarza Macieja uprzedziły zupełnie jednoznaczne wyrazy postawy Madrytu. Wsparcie udziałem arcyksięcia

Ferdynanda Habsburga inicjatywy dyplomacji polskiej – między innymi poselstwa sekretarza króla Krzysztofa Korycińskiego (†1636) w roku 1614 – przyniosły tu dwie wymowne decyzje. Na szwedzką potrzebę swego szwagra król Filip III przeznaczył sześć tysięcy żołnierzy, zaś podległym jego suwerenności portom nakazał konfiskować szwedzkie mienie. Z kolei nadany królewiczowi Władysławowi order Złotego Runa, w roku 1615, równie jednoznacznie wyrażał stanowisko Hiszpanii w kwestii rosyjskiej.

Tymczasem przy tej kwestii można było w latach 1613-1616 dostrzec jeden z niewielu zwrotów w dziejach planowania niemieckiej polityki na wschodzie, zazwyczaj odurzonej ideą, że najlepszymi jej partnerami mogą być wyłącznie wschodni sąsiedzi jej sąsiadki wschodniej. Idei tej – od której dwór cesarza Rudolfa II uwolnić się nie umiał – cesarz Maciej trzymać się nie myślał. Wysyłani przezeń do mediacji z rządem cara Michała – Erazm Heideus (†1617), Karol Hannibal von Dohna (†1633), z katolickiej linii śląskiej rodu oraz Jakub Henckel von Donnersmarck (†1617) – nie zostawiali partnerom rosyjskim złudzeń, że prawa królewicza Władysława mogłyby podlegać dyskusji, ani tym bardziej, że Wiedeń stosunkiem Moskwy do Warszawy chciałby, starym zwyczajem, manipulować. Można by rzec, że swą zmienioną tak postawą, dyplomacja habsburska podpisywała się pod polską wizję Rosji, w połowie wieku XV skodyfikowaną przez króla Kazimierza Jagiellończyka i odtąd kontestowaną przez rywali Rzeczypospolitej, bardziej zresztą z zachodu. Inaczej mówiąc, stawkę rokowań rozpoczętych w Warszawie już jesienią 1613 i z przerwami trwających do lutego 1616 roku w Smoleńsku, stanowił wręcz model Europy właśnie policentrycznej. Europy bowiem promowanej synergią dwóch wysiłków. Tego, co kreował solidarność państw habsburskiej wspólnoty dynastycznej – nie bez trudu, a bez woli naruszenia ich suwerenności – z tym, co zmierzał do utrzymania powiększonej o Rosję, bałtyckiej unii jagiellońsko-wawazowskiej, jaka suwerenność podmiotów swych szanowała tak samo.

Toteż solidarne ze stanowiskiem Warszawy stanowisko Wiednia – w lutym 1616 roku odpowiedzialnością za niepowodzenie rokowań obciążające Moskwę – potwierdzało siłę owej synerгии, przynajmniej w sferze planowania i praktyki dyplomacji. Nad wdrożeniem przecież ciążyły czynniki już sygnalizowane: postawa Izby Poselskiej, karygodna na Sejmie roku 1615 i żałosna na Sejmie 1616 – odbytym natychmiast po fiasku rokowań z Rosją – oraz dywersja propagandowa. Choć wsparł je sabotaż ze strony Turcji, aktywowany pilnie, nie zmieniły one woli wdrożenia. Ograniczyły jednak dorobek osiągnięty w jego procesie.

Niedostatek środków zapewnionych przez Sejm wykluczał akcję na obu jednocześnie skrzydłach wschodniego frontu, a rozsądek polityczny odrzucał sugestie, by ustępstwami na jednym kupować posiłki do użytku na drugim. Podobną sugestią kanclerza Oxenstierny – z lutego 1616 roku, siedem miesięcy przed upływem rozejmu z Gustawem Adolfem – przyjęło milczenie. Inne stanowisko było nie do pomyślenia, także w świetle doktryny stosunku do obydwu sąsiadek, słusznej i przyjętej – jakby z wolą ekspiacji za skąpstwo – przez Sejm roku 1616 w dwóch konstytucjach: *O Szwecyi* i *O Moskwie*. Przewidywały one miejsce dla obu nie w sferze polskich zdobyczy, a we wspólnym z Polską systemie politycznym. Zerwanie rozmów smoleńskich wykazało, że dyplomacji Moskwy – bardziej niż taka perspektywa – odpowiadają upokarzające warunki rychło potem zawartego *Pokoju w Stołbowie*, jakie od Bałtyku odcięły Rosję na następnych sto lat. Dowodziło też autorytetu, jaki w Moskwie zyskiwała mediacja, której dla ułożenia na takiej to podstawie stosunków Rosji ze Szwecją podjęli się: wspomniany tu już sir John Mericke w imieniu Anglii i Reginald van Brederode (†1633) w imieniu Niderlandów. Potwierdzało pogląd, że to przez Rosję wiedzie droga do Szwecji, gdzie władza obozu rządzącego na oczekiwania tej samej mediacji musiała być czuła przynajmniej tak samo, a to podpowiadało, że ofensywę na froncie wschodnim wypada zacząć od skrzydła rosyjskiego. Stąd też w zaledwie miesiąc po pokoju stołbowski, w kwietniu 1617 roku, na swoją drugą wyprawę po koronę carską wyjechał królewicz Władysław – już pełnoletni.

Granicę rosyjską oddziały królewicza przekroczyły jednak dopiero 4 października, by złączyć się z wojskiem, z którym hetman Chodkiewicz – uproszony o objęcie dowództwa całej blisko dziesięcioletniej armii – już oblegał Drohobuż, rychło wzięty, co pozwoliło we dwa tygodnie później wejść do Wiaźmy, a następnie stanąć pod Możejkiem, którego książę Borys Łukow-Oboleński (†1646) bronił siłami przeważającymi liczebnie oblegających. Wobec przewagi tej i mrozu zapadła w połowie grudnia decyzja o zimowaniu we Wiaźmie. Bezpieczny powrót i postój w niej zapewnili *lisowczycy*, dowodzeni – po śmierci swego twórcy, trąfionego rok wcześniej pod Starodubem apopleksją (gdy ich musztrował) – przez pułkownika Stanisława Czaplińskiego (†1618). Ich bowiem zagon pod Kaługę zniósł idącą z południa Możejskowi na odsiecz armię księcia Pożarskiego (odtąd obciążanego obowiązkami w zakresie jedynie transportu i bezpieczeństwa).

Półroczna zwłoka z otwarciem kampanii w czasie właściwym – jaka sposobem takim odraczała jej zamknięcie – miała źródło w wydarzeniach na frontach szwedzkim i tureckim. Na pierwszym, pod osłoną rokowań – od wczesnej wiosny prowadzonych w związku z bliskim końcem rozejmu – i porozumienia o jego prolongacie na lat dziesięć, paraflowanego przez obie strony w początkach czerwca, w połowie czerwca oddziały szwedzkie lądowały w Inflantach i Kurlandii, okupując większość portów – oprócz Rygi. Trudno powiedzieć, co Gustawa Adolfa, czy raczej kanclerza Oxenstiernę, skłoniło do posunięcia, które mogło bardziej dziwić, niż budzić podziw. Nie podniosło ono prestiżu władcy, jeśli taki był cel, przed jego koronacją celebrowaną w październiku, przez już wspomnianego arcybiskupa Keniciusa – dopiero po blisko sześciu latach od objęcia władzy. Jeszcze przed nią, również już wspomniany hetman polny litewski Krzysztof Radziwiłł, sprawnie i tym razem bez skrupułów moralnych, oczyścił z desantu wybrzeże, zaś podpisany w grudniu rozejm zobowiązał Szwedów także do zwrotu nieodbitej przezeń Parnawy. Trzy miesiące wcześniej usunięty został drugi powód zwłoki – naprężenie w stosunkach z Turcją, jakie w roku 1615 wywołało dwóch szwagrów – księżęta Samuel Korecki (†1622) i Michał Wiśniowiecki (†1616) – spędzając z tronu Mołdawii hospodara, którego protegował Stambuł i wprowadzając nań swego szwagra mołdawskiego. Do tego doszły dokonane w latach 1614-1615 wyprawy czajek kozackich przez Morze Czarne na przeciwległe wybrzeże Turcji i Stambuł, zaś ostatnio rejs flotyli hetmana zaporoskiego Piotra Konaszewicza-Sahajdacznego (†1622), która latem 1616 roku u ujścia Dniepru rozbiła flotę turecką, by desantem na Krymie uwolnić więzionych w Kaffie niewolników-chrześcijan. Przygaszenie zarzewia tłącego się na tym pograniczu tradycyjnie – a roznieconego wbrew woli króla – było zasługą hetmana Żółkiewskiego, który w końcu września 1617 roku z wiszącym nad granicą Iskanderem Paszą (zm. 1620) podpisał *Ugodę z Buszy*. Umożliwiało to rozpoczęcie działań armii królewicza i jej wzmocnienie, jako że już w Rosji dołączyła do niej wysłana Żółkiewskiemu w sukurs dywizja Marcina Kazanowskiego (†1636).

Zwłoka spowodowana wydarzeniami w Zatoce Ryskiej i nad Dniestrem boleśnie zaciążyła nad przebiegiem kampanii roku 1617. Jeszcze boleśniej nad kampanią roku 1618 zaciążył czas zimowania we Wiaźmie – wydłużony nie przez lenistwo wojska, czy kłopoty, jakie miały źródło w charakterze Marcina Kazanowskiego, a jakimi przyszły hetman polny koronny psuł stosunki w naczelnym dowództwie, któremu przewodniczył hetman wielki litewski.

Był to przede wszystkim czas zmarnowany daremnym oczekiwaniem na twórcze zachowanie się Izby Poselskiej na Sejmie 1618 roku, który obradował w Warszawie w lutym i marcu. I który – wbrew stanowisku króla i Senatu – uchwalił podatek w rozmiarze nie wystarczającym nawet na wypłatę żołnierzom zaległego żołdu. Różne próby wybrnięcia z kłopotu i ich przewlekłość, nie mogły nie obniżyć gotowości bojowej wojska, co razem sprawiło, że jego dalszy pochód zaczął się późną wiosną. W lipcu minąwszy Możejsk, którego obrońcy nie dali się wyciągnąć na pole otwarte, w początku października Chodkiewicz stanął w Tuszynie, u wrót Moskwy, dokąd po tygodniu dotarł też hetman Konaszewicz-Sahajdaczny, z osiemnastoma tysiącami Kozaków.

Wbrew opinii królewicza Władysława i hetmanów wielkich, koronnego Żółkiewskiego i litewskiego Chodkiewicza oraz hetmana zaporoskiego Konaszewicza-Sahajdacznego, a ze zgodą króla zaczęte w październiku pertraktacje z bojarami, uprzedził szturm Moskwy, przez obrońców odparty. W jego chwili decydującej rozegrał się epizod, którego obraz oddaje ducha chwili. Ku murom Kremla rusza oddział szturmowy, na czele którego idzie siedemdziesięcioletni weteran osmańskich frontów Europy przełomu XVI i XVII wieku, Bartłomiej Nowodworski (†1625) z dwiema minami – takimi, jakimi w maju 1603 roku otworzył swoim braciom z Zakonu Maltańskiego twierdzę w Lepanto i jakimi, w 1611 poddał Smoleńsk królowi Zygmuntowi. Oslaniają go dwaj wojewodzie – lubelski Jakub Sobieski (†1646), w przyszłości ojciec króla Jana, i sandomierski Jerzy Ossoliński (†1650), przyszły kanclerz. Za nimi posuwają się spieszeni husarze koronni z litewskimi, a oddział zamykają Kozacy. Pierwsza mina otworzyła bastion chroniący Bramę Arbacką, drugiej – pod samą bramę – postrzelony z murów kawaler Nowodworski podłożyć nie zdołał. O tym, by niepowodzenie ledwie pierwszego szturmowania miało być przyczyną zlekceważenia przez króla zapału dowództwa i nadziei na wzrost determinacji wojska (mimo żalów spowodowanych sprawą żołdu), rzecz prosta nie było mowy. Nie wydaje się też, by decyzję o rokowaniach z Moskwą motywowała niewiara w otrzeźwienie Izby Poselskiej, choć w istocie, odprawiany od końca stycznia do początku marca Sejm 1619 roku, słuszność niewiary takiej potwierdził. Z pewnością na decyzję tę wpływ większy wywarła kompromitacja, do jakiej doszło na Podolu, pod Oryninem, wczesną jesienią roku 1618. Tu bowiem – w niecały rok po podpisaniu *Ugody z Buszy* – doszło do starcia sporych sił polskich, pod wodzą świeżo mianowanego kanclerzem i hetmanem wielkim koronnym Żółkiewskiego oraz kilku czołowych notabli Wołynia, Podola i Ukrainy z dorównującą liczebnie ekspedycją Kantemira

Murzy i kałgi Chanatu Krymu, Dewlet Giraja (zm. 1631), podjętą na zlecenie Stambułu. Po pierwszym dniu bitwy, przez kolejnych sześć, polskie dowództwo toczyło spór w kwestii taktyki, gdy przeciwnik bezkarnie łupił okolicę.

Przyczyną walną był jednak wybuch *Wojny Trzydziestoletniej*, we wrześniu 1618 roku. To on zmuszał do zamknięcia rozejmem sprawy, której w porę pokojem zamknąć nie zdołano. Brak powodu, by podpisany 11 grudnia układ ganić inaczej, niż uczynił to król – nierad, że nie zobowiązał on Moskwy do wspólnej z Polską postawy wobec Szwecji, a jedynie by, bez rezygnacji królewicza z jego tytułu, przyjęła twarde warunki terytorialne. *Rozejm w Dywiliźnie* pozwalał zwrócić całą energię państwa tam, gdzie wojna oba skrzydła jego frontu dotąd wschodniego – szwedzkie i tureckie – związała już bezpośrednio z jego frontem głównym, to znaczy zachodnim. Jak tego dowiodła przyszłość, dawał on Rzeczypospolitej komfort operacji na tymże froncie niezagrożonej przez Moskwę, przez następnych lat z górą trzynaście, to jest do końca panowania Zygmunta III, a więc do półmetka *Wojny Trzydziestoletniej*.

Za jego trwałością przemawiało chyba coś więcej, niż tylko potwierdzenie stosunku sił, jakie stało się jego podstawą. Do odpowiedzi na pytanie o tę dodatkową – z pewnością nie mniej ważną podstawę – zbliża porównanie składów obu delegacji rosyjskich na rokowania z Polską z 1616 i z 1618 roku. Pierwszej nadawali ton ludzie z najbliższego otoczenia cara Michała. Tacy, jak książę Iwan Worotyński (†1627) – w *radzie siedmiu bojarów* rzecznik też patriarchy Hermogenesa i zaciekle przeciwnik porozumienia z Polską oraz bliski krewny cara, książę Aleksy Sicki-Jarosławski (†1644), a w roku 1608 *worowski* – jak mówiono o nim – *sowiec* u Dymitra Samozwańca II, w Tuszynie. Lata 1617-1618 zmniejszyły ich wpływy – podobnie jak księcia Pożarskiego – o czym świadczyło powołanie na kierownika delegacji drugiej, Fiodora Szeremietiewa, wybitnego przedstawiciela skrzydła *rady siedmiu bojarów*, jakie optowało za unią z Rzeczpospolitą. Z pewnością jego nominacja dowodziła wzrostu wpływu w Rosji tych miejscowych sił, którym Aleksander Sałtykow przyznał, w esej *Dwie Rosje*, główną rolę sprawczą w zamknięciu *wielkiej smuty* – już w roku 1610 – przez wybór cara Władysława. W istocie rzeczy można było też, po tym – powiedzmy – *przyptywie*, spodziewać się i *odptywu*, a więc ponownego wzrostu znaczenia środowisk gotowych do aliansu ze współzawodnikami Rzeczypospolitej, bez względu na tego konsekwencje dla charakteru państwowości rosyjskiej, z reguły bolesne. Tak też i stało się, gdy po śmierci króla Zygmunta – jeszcze przed upływem rozejmu – jesienią 1632 roku Rosjanie podjęli wojnę, realizując marzenia patriarchy Filareta i kanclerza



Oxenstierny. Fakt, że patriarcha, przez całe wcześniejszych lat trzynaście – jakie upłynęły od zezwolenia mu na wyjazd z Polski (na mocy *rozejmu w Dywilinie*) – jedynie mógł o tym marzyć, ma znaczenie dowodu dodatkowego i potwierdza niezłe wyczucie rzeczywistości po stronie polityki polskiej i wysoką próbę realizmu jej planowania. Trafne rozpoznanie przez nią różnych nurtów wewnętrznej polityki rosyjskiej połączyło się w *rozejmie w Dywilinie* z protekcją tego nurtu, który w historycznym procesie formowania Rosji jako państwa był czynnikiem jej suwerenności realnej. Rozejm ów dając tedy Rosji szansę, dał Rzeczypospolitej czas na pewno wystarczający do wykorzystania ponownie korzystnego obrotu koniunktury na froncie zachodnim.

W pełni uprawnione jest więc stwierdzenie, że w poprzedzających wybuch *Wojny Trzydziestoletniej* latach 1613-1618, przy tak ubolewania godnym braku wsparcia wewnętrznego, zewnętrzna polityka polska swe możliwe *maximum* zrealizowała. Dzięki temu osiągnięcie możliwego *optimum* stało się ponownie zadaniem wykonalnym.

Oba skrzydła – bałtyckie i naddunajsko-czarnomorskie – tak jak do wybuchu *Wojny Trzydziestoletniej* komponowały wschodni front polityki polskiej, podobnie też od roku 1618 komponowały jej front zachodni. O ile jednak dotąd działania na froncie wschodnim miały – w stosunku do założonego priorytetu zachodniego – sens defensywny, jako reakcja na tegoż priorytetu dywersję, o tyle teraz, rozwój wypadków w zachodniej dzielnicy Kontynentu, przy zneutralizowaniu istotnego czynnika dywersji (Moskwy), umożliwiał nadanie polityce polskiej charakteru ofensywnego właśnie na jej froncie priorytetowym – zachodnim. Determinowało to ofensywę na jej obu skrzydłach, dotąd będących skrzydłami jej frontu wschodniego.

Sytuację na skrzydle południowym, wczesną wiosną 1618 roku zdeterminował zwrot, w wyniku którego władzę w Stambule objął sułtan Osman II (zm. 1622). Wraz z nim wzięła górę w miejscowej polityce tendencja koncentrująca siły osmańskie do ekspansji w Europie – za rządów poprzednich równoważona przez tendencję, która priorytet umieszczała w Azji. Miały też na to wpływ porażki w wojnie z Persją, z którą nowy sułtan zawarł pokój już we wrześniu 1618. Wyprawiając zaś jednocześnie Kantemira Murzę i Dewlet Giraja na Podole, Osman II dowiódł, że podpisanej za jego poprzednika *Ugody z Buszy* przestrzegać nie zamierza. Akcję turecką przeciw Rzeczypospolitej zabezpieczał autorytet, jakim Stambuł cieszył się w trzech Księstwach



Naddunajskich. To jest w Siedmiogrodzie, którym z nominacji tureckiej rządził wojewoda Gabor Bethlen (†1626). W Mołdawii, którą po usunięciu wprowadzonego tu przez Polaków Aleksandra Mohyły (†1620), Turcy oddali członkowi wołoskiego rodu Besarabów, wojewodzie Radułowi Mihnea (†1626). Na Wołoszczyźnie, gdzie protegowany Polski, brat stryjeczny wojewody Aleksandra, wojewoda Gabriel Mohyła (†1635) utrzymał się przy władzy tylko do lipca 1620 roku, a więc do początku działań wojennych na froncie polsko-tureckim, kiedy to musiał ją oddać wojewodzie Radułowi. Co znamienne, tak Raduł Mihnea, jak inny z oddanych Stambułowi potentatów lokalnych, Aleksander Elias (†1666) – w latach 1616-1618 wojewoda wołoski, a mołdawski w 1620-1621 – jako nominaci sułtańscy nie spodziewający się dla swych rządów szerszego wsparcia społecznego, urzędników sprawdzali sobie z Fanaru, dzielnicy Stambułu pozostawionej arystokracji Bizancjum i Patriarchatowi Konstantynopola.

Trwająca od zdobycia Konstantynopola przez Turków (1453) symbioza Patriarchatu z władzą sułtańską, od samego początku wpływała głęboko na stosunki w całym Prawosławiu i na stosunki poszczególnych państw z Prawosławiem. Dotyczyło to zarówno Rosji, jak Mołdawii i Wołoszczyzny oraz Rzeczypospolitej, ponieważ w Wielkim Księstwie Litewskim i na Ukrainie, także na Wołyniu, Rusi Czerwonej i Podolu – wszędzie tam prawosławni stanowili większość. Również w wieku XVII, na jedne i drugie stosunki wpływało współzawodnictwo dwu poglądów, jakie stanowisko Patriarchatu Konstantynopola wobec Rzymu determinowało już na długo przed Wielką Schizmą z 1054 roku. Podtrzymywane było też po niej, jak i po upadku Cesarstwa Bizantyńskiego. Pogląd pierwszy łączył uprzedzenia do łaciny z ideą cesarskiej autokracji. Drugi – od kulturowych uprzedzeń wolny – kultywował ideę odbudowy jedności Konstantynopola z Rzymem.

Współzawodnictwo obu poglądów inspirowało ideę Moskwy jako *Trzeciego Rzymu* – dziedziczącego po Konstantynopolu jako *Rzymie Drugim*, a ukaranym upadkiem za kościelną unię z papieskim *Pierwszym*, zawartą w roku 1439 przez cesarza Jana VIII Paleologa (†1448). Idea ta już w XV wieku przyznała stolicy właśnie rodzącej się Rosji rolę stolicy Chrześcijaństwa. Swą postawę ówczesną polityka polska manifestowała promując małżeństwo księżniczki Zoe Paleolog (†1503), bratanicy Jana VIII i rzeczniczki unii kościelnej, z carem Iwanem III (†1505). Zaś w Moskwie pogląd przeciwny ujawnił się na dworze Heleny Mołdawianki (†1505) – żony syna Iwana III z pierwszego małżeństwa, Iwana Młodego (†1490) – córki nielojalnego lennika Korony,

hospodara mołdawskiego Stefana III (†1504), współautora fiaska wielkiej wyprawy króla Jana Olbrachta przeciw Turcji z 1497 roku. To razem z tym małżeństwem i z ostantacyjnie antyjagiellońskim tytułem *cara Wszech Rusi*, dotarła do Moskwy bizantyńska idea *autokracji (samodzierżawia)* – w tytule *autokrator* używanym przez epigonów Cesarstwa Wschodniego.

Niezależnie czy hospodarem Mołdawii był Aleksander Eliaz (potomek Stefana III), czy Raduł Mihnea (z rodu, którego część muzułmańska skarbiła zaufanie Sambułu dla jego części prawosławnej, przez co w obu księstwach rumuńskich uprawnionej do władzy). Dlatego też – jak na przełomie XV i XVI tak i na początku wieku XVII – poddana była Mołdawia synergii obu wrogich Polsce czynników: antykatolickiego nurtu polityki Patriarchatu Konstantynopola z orientacją kierującą ekspansję Turcji na Zachód. Synergii tę neutralizowały liczne *awantury mołdawskie*, jakimi przez cały wiek XVI broniła Rzeczpospolita swych wpływów nad dolnym Dunajem – zwykle z powodzeniem. Znaczenie zaś jej wpływów także tutaj nie ograniczyło się do doraźnej sfery taktyki. W obu bowiem księstwach interwencje polskie protegowały lokalne ambicje konstytucyjne, przeciwko absolutystycznym ambicjom kolejnych hospodarów. Nadto – bez najmniejszej chęci zamachu na autorytet miejscowej Cerkwi – wzmacniały one kontakt kulturowy Rumunii z Zachodem, zresztą również z bezpośrednią korzyścią Rzeczypospolitej i Prawosławia zadomowionego w jej granicach.

Symptomatyczny pod tym względem był kilkupokoleniowy związek z Rzeczpospolitą rodu Mohyłów (Movilă), owocny zarówno jej aliansem z pochodzącymi z niego hospodarami Mołdawii, jak dalekowzroczą aktywnością Piotra Mohyły (†1647) – metropolity Kijowa od roku 1632, a bratanka latynizującego metropolity Mołdawii w latach 1588-1591 i 1595-1605, Jerzego (†1605). To właśnie metropolicie Piotrowi zawdzięcza Kijów rozkwit Akademii Mohylańskiej, a prawosławna metropolia kijowska renesans, którego bodźcem był zintensyfikowany przez metropolitę, wolny od uprzedzeń kontakt ze światem kultury łacińskiej. Renesans więc, jaki z jednej strony zapewnił Prawosławiu w Rzeczypospolitej lepszą kondycję w dialogu z tą jego częścią, która na mocy Unii Brzeskiej z 1596 roku uznała zwierzchnictwo Rzymu, a z drugiej – dał Kijowowi kulturowy prymat w całym Prawosławiu wschodnioeuropejskim, do władzy nad którym zgłaszała pretensje Moskwa powołując się na fakt ustanowienia w niej Patriarchatu, siedem lat wcześniej. Konsekwencja, z jaką obaj następcy metropolity Piotra – Sylwester Kossów (†1657) i Dionizy Bałaban (†1663) – trwali na obranym przezeń, kulturowym

i politycznym kursie, definiowała postawę prawosławnej metropolii kijowskiej w trudnej dobie połowy XVII wieku. Ugodzonej rebelią Bogdana Chmielnickiego (†1657) Rzeczypospolitej, dał metropolitalny Kijów wsparcie tym bardziej wymowne, im chętniej kozaccy rebelianci przybierali pozę jego obrońców. Twardo stał przy niej podczas zamachów Moskwy. Był też ważną placówką obrony idei dialogu z Rzymem – wciąż nie poddającej się w Patriarchacie Konstantynopola. Wszystko to do czasu, gdy idei przeciwnej posłuszny patriarcha Dionizjusz IV (†1696) sprzedał metropolię kijowską swemu koledze z Moskwy (1686). Co znamienne, w politycznym zapleczu Dionizjusza IV nie zbrakło członków rodziny Kantakuzenów – ćwiczonej w krwawych bojach o byt na sułtańskim dworze – jak książę Andronik (†1601), którego potomkowie zwalczali Mołyłów na Wołoszczyźnie i w Mołdawii, a syn Tomasz dwakroć posłował od sułtana do Moskwy (1621, 1627).

W takim stanie rzeczy ze stosunkami w obu prawosławnych rumuńskich księstwach wiązały się bezpośrednio wizyty prawosławnego patriarchy Jerozolimy Teofanasa III (†1644), który w czerwcu 1619 roku w Moskwie formalnie intronizował patriarchę Filareta (na mocy *rozejmu w Dywilinie* wypuszczonego z Polski), zaś w październiku 1620 w Kijowie, odnowił prawosławną hierarchię kościelną Rzeczypospolitej – nieistniejącą od zaprowadzenia Unii Brzeskiej. W roku 1632 powołanie Piotra Mołyły na metropolię kijowską neutralizowało ów nieprzyjazny Polsce gest Patriarchatu Konstantynopola, Wysokiej Porty i Fanaru. Poziom zagrożenia, jakie na froncie czarnomorsko-dunajskim od początku *Wojny Trzydziestoletniej* stwarzały Mołdawia i Wołoszczyzna, podnosił Siedmiogród – trzecie z naddunajskich księstw rządzone przez nominata Turcji – księcia Gabriela Bethlena (†1629). Siedmiogrodzki książę był bowiem kolejną postacią ważącą na wszystkich frontach militarnych i wyznaniowych tej wojny. Zdecydowanie przeciwny mołdawskim i wołoskim stronnikom Polski. Przydatne mu w stosunkach z Prawosławiem rumuńskim wsparcie, w protegującym go Stambule znajdował u kalwinizujących patriarchów i wybitnych działaczy kalwińskiego *networku*, sprawujących tu funkcję ambasadorów. Należał do nich sir Paul Pindar (†1650), ambasador od roku 1611, sekretarzujący swemu poprzednikowi już za Mehmeda III (zm.1603) i faworyt matki sułtana, Safije Sultan (zm.1605) – korespondującej z królową Elżbietą Tudor. Zmiana, do jakiej w roku 1620 doszło w ambasadzie Anglii przy Wysokiej Porcie, gdy służbę podjął tu sir Thomas Roe (†1644), nie zmieniła kursu, jaki w roku 1583 ustalił ambasador William Harborne (†1617), a od roku 1588 realizował jego następca, sir Edward

Barton (†1598) – kursu nieprzyjaznego więc państwu katolickim. Z kursem tym zgadzała się aktywność pierwszego ambasadora Holandii w Stambule. Był nim Cornelius Haga (†1654), do roku 1611 poseł w Szwecji przy księciu Karolu Wazie, zaś nad Bosforem – wraz z kolegami angielskimi – protektor tej części prawosławnego kleru, na czele której stał patriarcha Cyryl I Lukaris (†1638), a nie myślącej tolerować zgorszenia, jakie w Hadze i Londynie było nie do pojęcia. To jest jezuickiej misji i szkoły, którą w roku 1583 założył prekursor kultu Najświętszej Marii Panny Królowej Korony Polskiej, ojciec Giulio Mancinelli (†1618).

Dzieje zwycięstw i klęsk patriarchy Cyryla I spłotyły się symbolicznie z przewrotami na dworze sułtańskim i ze służbą w Stambule ambasadora Hagi. Żegnał się bowiem ambasador z placówką w roku 1639, rychło po ostatecznym upadku Lukarisa i jego śmierci w czerwcu 1638, kiedy na tronie patriarchalnym zasiadał Cyryl II Kontares (†1640). Okazał się on rzecznikiem jedności na tyle zdecydowanym, że już w 1633 roku papież Urban VIII (†1644) dał mu *ad personam* zwolnienie z rygoru restrykcji obciążających Prawosławie, za czym na synodzie – zwołanym w grudniu 1638 – złożył patriarcha wyznanie wiary w formule katolickiej. Co znamienne, bezpośrednim powodem klęski i egzekucji Lukarisa była prowadzona przezeń dywersja w stosunku do działań Murada IV (zm.1640) na froncie perskim, w czasie których ortodoksyjny patriarcha inspirował kozackie rajdy na turecki brzeg Morza Czarnego, mające odwrócić na zachód uwagę wojowniczego sułtana. W podobnie znamiennej sytuacji Stambuł witał Hagę w roku 1620. Wtedy to, otwierająca wojnę z Turcją wrześnieowa klęska armii polskiej w odwrocie spod Cecory, po raz pierwszy oddała Lukarisowi tron patriarchalny, odebrany przez Osmana II (zm.1622) zorientowanemu na Rzym patriarche Tymoteuszowi II (†1620/1621) – zmarłemu po obiedzie u ambasadora Holandii. Nie mogła zaskakiwać sekwencja wydarzeń zaszłych rychło potem. Klęska, jaką jesienią 1621 roku – w ostatniej swej kampanii – hetman Chodkiewicz zadał armii tureckiej pod Chocimiem, w znacznej mierze ułatwiła zmianę w Stambule, gdzie janczarzy powiesili Osmana II, a już raczej symboliczną władzę oddali jego stryjowi, Mustafie I. Otworzyło to, wiosną 1622 roku, półtoraroczną reorientację aktywności Turcji i próbę zwrócenia jej na wschód, pod rządami wezyra Mere Husajna Paszy (zm.1624). Co też odnotował koniuszy wielki koronny Krzysztof Zbaraski (†1627) – kordialnie podejmowany w Stambule podczas wielkiej legacji w latach 1622-1624. I co odczuł również patriarcha Lukaris, którego w kwietniu 1623 roku zastąpił na urzędzie kolejny rzecznik unii z Rzymem – Antym II (†1628).

Ów półtoraroczny interwał środkowoeuropejskiej aktywności Turcji niewiele przecież przetrwał zdjęcie – we wrześniu 1623 roku – sułtana Mustafy z tronu, na którym posadzony został jego bratanek, jedenastoletni Murad IV, z jednoczesną dymisją wezyra Husajna i podporządkowaniem władzy faktycznej zmiennym wyrokom gry, której protagonistami byli kolejni wezyrowie, ich kolejni współzawodnicy i matka Murada, Kösem Sultan (zm.1651). Do czasu przejścia pełni władzy przez jej syna – w roku 1632 – wyroki te nie osłabiły jej pozycji. Podobna stałość w tym samym czasie cechowała nad Bosforem pozycję patriarchy Lukarisa, przywróconego na urząd przez sabotującego wojnę z Persją wezyra Kara Ali Paszę (zm. 1624) we wrześniu 1623 roku, a usuniętego ponownie w październiku roku 1633, przy nominacji – po raz pierwszy – patriarchy Kontaresa.

Stąd od początku *Wojny Trzydziestoletniej* po jej półmetek i zarazem kres panowania Zygmunta III, dyplomatyczne i militarne poczynania Rzeczypospolitej na jej południowym – naddunajsko-czarnomorskim – froncie, zachodziły w rzadko przejrzystym tle ruchliwej głębi rozległego zaplecza strony przeciwnej.

Z pewnością mniej trudności niosło rozpoznanie analogicznego zresztą zaplecza gry, jaka w chwili wybuchu wojny, na jej froncie zachodnim, determinowała stosunki wzajemne Madrytu, Paryża i Londynu. Zauważalną od przełomu stuleci, chwiejną przewagę tendencji pacyfikującej stosunki między nimi, niwelowało wewnętrzne współzawodnictwo, którego bieg promował czynniki zdeterminowane do udziału w konflikcie, jaki podzielił Rzeszę Niemiecką. W Madrycie, odsunięcie księcia Lermy od rządu, w październiku roku 1618, osłabiało wpływ środowiska, które mając za aksjomat koalicję z Wiedniem, tym mniej chciało rezygnować z układów z Londynem, im bardziej król Anglii był do nich gotów. Otwarty z wybuchem *Wojny Trzydziestoletniej* okres przejściowy w Hiszpanii – na jaki przypadła śmierć króla Filipa III i koronacja jego syna, Filipa IV (†1665) w marcu 1621 oraz rząd, którym kierował Baltazar de Zuñiga – przesądził o zdecydowaniu, z jakim Madryt wsparł Wiedeń militarnie. Jednakże brzemienne w skali kontynentalnej fiasco pacyfikacji stosunków Madrytu z Londynem nastąpiło już w położeniu wewnętrznym ustabilizowanym na dalszych lat z górą dwadzieścia – pod rządem, który w październiku 1622 roku objął siostrzeniec Zuñigi, książę Olivares. To on przecież i faworyt króla Jakuba, książę Jerzy Buckingham (†1628) odpowiadali za fiasco rokowań o małżeństwo następcy tronu Anglii księcia Karola Stuarta z infantką Marią Anną, wszczętych w roku 1617,

w końcu 1621 zgłoszonych w Rzymie z prośbą o dyspensę, a storpedowanych w lutym 1623, podczas nieformalnej wizyty księcia Walii i Buckinghama w Madrycie. W tle incydentu tego miała swą wymowę wizyta paryska, jaką złożyli oni wracając do domu. W jej to trakcie następca tronu poznał królową Henriettę Marię (†1628), o małżeństwie z którą zdecydował układ, jaki wynegocjował rychło między innymi sir James Hay (†1636) – mąż zasłużony dla sprawy kalwinistów francuskich na dworze w Luwrze i sprawy palatyna Renu na dworze w Whitehall. Powodzenie negocjacji układu miało swą wymowę w obu stalicach z uwagi, że po powrocie do Londynu w październiku 1623 roku, książę Karol i Buckingham od króla Jakuba żądali publicznie, by wypowiedział wojnę Hiszpanii. Przeciwny temu aż dotąd Jakub I uległ – również pod naciskiem parlamentu – dopiero w marcu roku 1624. Dłużej niż politykę Anglii w ambiwalencji podobnej, rywalizacja wewnętrzna trzymała politykę Francji. Z jednej strony miejscowi kalwiniści, niezadowoleni ze swobody kultu katolickiego, którą rząd w roku 1617 zarządził w prowincji Béarn, w roku 1620 podnieśli rokosz pod wodzą wspomnianego już Filipa de Mornay i księcia Henryka de Rohan (†1638). Dopiero w październiku 1622 został on uspokojony *Edyktem z Montpellier*. Z drugiej strony lekcję daną rządowi przez kalwinistów zrównoważyli katolicy stając przy skłóconej z Ludwikiem XIII królowej-matce, co biskupa de Richelieu skłoniło do pośrednictwa między Marią Medycejską i jej synem, w sierpniu 1620, i zgody na jej powrót do *Conseil du Rois*. Prawdopodobnie to właśnie owa – umożliwiona obiema lekcjami – równowaga pozwoliła dyplomacji francuskiej zdobyć się na misję pośrednictwa, które w lipcu 1620 owocowało *traktatem z Ulm*, zawartym między niemieckimi frakcjami wyznaniowymi, a przewidującym neutralność *Unii Protestanckiej* w konflikcie cesarza Ferdynanda z palatynem Renu.

Gdy w pierwszej fazie *Wojny Trzydziestoletniej* – wojna o Czechy i Palatynat (1618-1623) – sytuację w Madrycie, Paryżu i Londynie cechowała pewna przejściowość, istotne zmiany w Rzymie przyniosło w lutym 1621 roku objęcie władzy papieskiej przez Grzegorza XV (†1623), po Pawle V, a w sierpniu 1623, przez Urbana VIII (†1644). O ile papież Paweł V – życzliwy był Polsce z pewnością bardziej niż Habsburgom – o tyle jego następca pomocą finansową darzył tak Polskę jak cesarza Ferdynanda, a podnosząc jednocześnie Paryż do rangi arcybiskupstwa, wspierał francuski katolicyzm. Natomiast wybór Urbana VIII przywracał tradycyjnie chłodną normę stosunków Papieństwa z Cesarstwem, z pewnością nie bez przyczyny, jakiej dostarczył wzrost prestiżu Wiednia i Madrytu, wywołany powodzeniami pierwszej fazy wojny.

Działania na froncie zachodnim rozpoczęła we wrześniu 1618 roku kampania Ernesta von Mansfelda (†1626) – kondotiera (w tym czasie już raczej epigona tej profesji), obrażonego na Habsburgów katolika – który przez protestanckich książąt Rzeszy z dwoma tysiącami żołnierzy wysłany został z pomocą Czechom zbuntowanym przeciw cesarzowi. Jego akcję zwieńczyło zdobycie Pilzna w listopadzie. W kwietniu 1619 roku, ubiegającemu się po śmierci cesarza Macieja o elekcję cesarską Ferdynandowi II opór stawiały stany prowincjonalne Austrii. Czerwcową klęska pod Budziejowicami nie przeszkodziła armijce Mansfelda przenieść się do Dolnej Austrii. Formalnej elekcji Ferdynanda w lipcu 1619 ripostował w sierpniu wybór palatyna Renu na króla Czech. We wrześniu Koszyce, a w październiku Bratysławę zajął książę Gabor Bethlen, który w listopadzie – gdy w Pradze trwały uroczystości koronacyjne, których bohaterem był Fryderyk V palatyn Renu i zięć Jakuba Stuarta – razem z Czechami i Niemcami, dowodzonymi przez Heinricha von Thurn (†1644) i Georga Friedricha von Hohenlohe (†1645) dotarł pod Wiedeń. O zasadniczym zwrocie w kampanii przesądziła decyzja króla Zygmunta III. W sukurs cesarzowi wysłał on dziesięcioletnią armię *lisowczyków*, która 23 listopada pod Humiennem rozbiła Siedmiogrodzian, zmuszając w ten sposób Bethlena do odstąpienia spod Wiednia i zawarcia *rozejmu w Bratysławie* w styczniu 1620 roku. *Lisowczycy* – pod wodzą Hieronima Kleczkowski (†1620) i Stanisława Rusinowskiego (†1622) – mieli też walny udział w dalszym ciągu kampanii – osłaniali przygotowania kontrofensywy cesarza i uczestniczyli w bitwie na Białej Górze, gdzie 8 listopada 1620 roku „zimowoy król” Czech poniósł klęskę decydującą. W roku 1622 ich mocny korpus powiodł nad Ren Stanisław Stroynowski (†1624). Wsparło to trwającą od sierpnia roku 1620 ofensywę hiszpańską w Palatynacie, którą błyskotliwie zaczął Ambrogio Spinola (†1630), a zakończył Don Gonzalo Fernández de Córdoba (†1645) – latem 1622 zdobywając stołeczny Heidelberg. Upadek zaś Heidelbergu przesądził o upadku Mannheimu, podobnie bronionego przez stacjonujący w Palatynacie od 1620 roku korpus angielski, którym dowodził sir Horace de Vere (†1635). Przebieg obu kampanii – czeskiej i palatynackiej – sprawił, że już w styczniu 1621 roku cesarz mógł palatyna Fryderyka ogłosić banitą, a w lutym 1623 oddać Palatynat księciu Bawarii Maksymilianowi Wittelsbachowi, jeszcze zanim pod Stadtlohn, w sierpniu 1623 roku, zwycięzca z Białej Góry i głównodowodzący wojsk cesarskich, generał Johan van Tilly (†1632) rozbił armię księcia Chrystiana Brunszwickiego (†1626).

Ofensywną postawę Hiszpanii, ważącą na przebiegu pierwszej fazy wojny – a przez to mobilizującą wtedy podobnie obiektywnie wpływową postawę Polski – determinował związek, jaki sprawę Palatynatu i „zimowego króla” Czech łączył z sytuacją po obu stronach Kanału La Manche. Z sytuacją więc, w której książę Maurycy Orański i jego stronnictwo oraz palatyn Fryderyk, domagali się od Jakuba I, by stanął przy sprawie kalwinizmu i przy zięciu, w czym Parlament wspierał ich żywo, a czego – niezależnie od sentymentów rodzinnych – król Anglii nie chciał uczynić. Oznaczałoby to bowiem wejście Anglii do wojny domowej w Rzeszy i jednoczesną wojnę z Hiszpanią, do której stronnictwo orańskie gotowało się od przejęcia rządów w Holandii – nie tylko w związku z bliskim terminem upływu dwunastoletniego rozejmu – w kwietniu 1621 roku. W wojowniczym stanowisku księcia Maurycego, a polubownym Hiszpanii – w rokowaniach o jego prolongatę – można chyba i warto dostrzec doniosłość roli czynnika kulturowego w procesie podejmowania decyzji politycznych. Prawdopodobnie podobna bezkompromisowość cechowała obydwie stanowiska w kwestii wyznaniowej – hiszpańskie żądające tolerancji dla katolików, przy odmownym strony holenderskiej – oraz odmowę rządu Holandii zaprzestania praktyk wymierzonych w wolność handlu tych miast niderlandzkich, co z dynastycznego związku z Hiszpanią rezygnować nie chciały (np. Antwerpia). Zapewne mniej ograniczeń wewnętrznych odstręczało rząd hiszpański – w porównaniu z holenderskim – od ugody w kwestii udziału Holandii w ekspansji w Ameryce i w Azji. Brak wątpliwości, że w równym stopniu, co lojalność habsburskiego Madrytu wobec habsburskiego Wiednia, ówczesną postawę Hiszpanii warunkowała aktywność kalwińskiego *networku* w Anglii i Holandii. Mógł wprowadzić Jakub I opędzić naciski ze strony zięcia śląc mu cztery tysiące ludzi pod wodzą przyjaciela – zarówno palatyna Renu i Krzysztofa Dohny jego kanclerza, jak i księcia Maurycego – którym był sir Horace de Vere, kombatant kolejnych interwencji Anglii w Niderlandach, zasłużony dla wodza holenderskich kalwinistów choćby przy tłumieniu oporu, jaki w latach 1618-1619 stawili mu zwolennicy Oldenbarnevelta. Nie mógł jednak król Jakub zapobiec decyzji swego następcy, który wyprawą połączonych flot Anglii i Holandii na Kadyks, jesienią 1625 roku, związał swe państwo kolejną wojną z Hiszpanią na następnych lat pięć. Tymczasem w czerwcu tegoż roku upadek strategicznie kluczowej na wybrzeżu holenderskim Bredy oblężonej przez Spinolę, a w listopadzie bolesna odprawa, z jaką spotkała się wyprawa sojuszników do Kadyksu, zamykały pierwszą fazę wojny pod znakiem wyraźnej przewagi Hiszpanii na froncie zachodnim.

Przewagę tę – w latach 1618-1625 obiektywnie korelowaną z oddziaływaniem Polski na wschodnim froncie *Wojny Trzydziestoletniej* – trudno uznawać za groźbę dyktatu ze strony Papiestwa. Przeczy temu doświadczenie pontyfikatu Urbana VIII, co znamienne, powołanego na Tron Piotra także z manifestacją jakby powściągliwości Stolicy Apostolskiej wobec właśnie wtedy ujawnionej przewagi głosu Madrytu, Wiednia i Warszawy, w europejskim koncercie. Z równą pewnością Habsburżanki austriackie – wychowane wzorowo – raczej wspierały swoich królewskich małżonków, w Warszawie czy w Madrycie, niż definiowały ich wolę, jak zresztą i w Wiedniu i w Paryżu czyniły to ich krewniaczki hiszpańskie. Tymczasem przewaga państw katolickich powodowała po stronie protestanckiej emocje łatwo zrozumiałe. Wzmagał je lęk o majątki pochodzące z sekularyzacji dóbr kościelnych, zestrojony z dyskomfortem biorącym się z fiaska aktów przemocy głównie fizycznej, jakimi notable protestanci pragnęli odeprzeć ofensywę katolicyzmu odnowionego przez Sobór Trydencki, która czynnik misyjny wiązała z wysokiej próby czynnikiem kulturowym. To konstruowana takimi resentymentami bardziej niż faktami, propaganda strony protestanckiej już wtedy demonizowała katoliczką w obrazie *kontrreformacji*, wypełniającym osobny rozdział dobrze znanej „czarnej legendy”. Ale – zanim pod wpływem pseudonaukowych ideologii zagościł w umysłach Europejczyków jako legitymacja ich poniekąd oświecenia – obraz ów przemawiał bardziej do żywiołu oznaczanego terminem *tłum*, co w terminie *nienawiść wyznaniowa tłumu* znalazło wyraz teoretyczny. Jego wyrazy praktyczne – w przededniu *Wojny Trzydziestoletniej* i w jej dobie, jak w Donauwörth (1606), czy w Wilnie (1611 i 1639), lub Toruniu (1638) – przejawiał się przede wszystkim w napaściach, których ofiarą padały procesje katolickie. Rzecz prosta, akty podobne mogły obniżyć poziom opinii publicznej, jak i podminowywać fora polityczne. Nie to przecież inspirowało polityczne planowanie, będąc – co najwyżej – jednym ze środków realizacji planu. Planu rywalizacji raczej banalnej, bo o wpływ polityczny, czy po prostu o władzę – rywalizacji, której propaganda towarzyszy zwykle.

Nie inaczej niż śluby Habsburżanek – nie stwarzające politycznej tendencji, a jedynie będące jej wyrazem – przedstawiało się kojarzenie małżeństw po stronie przeciwnej. Tyle, że tendencja ujawniana po stronie przeciwnej była dla Rzeczypospolitej nie do przyjęcia. Była to bowiem ta sama tendencja, z którą polityka polska ma do czynienia już u jej genezy i w całej historii. Tendencja więc, jaka Polskę odcina od Bałtyku i zakleszcza, wspierając tym samym aspirację do hegemonii kontynentalnej, a jaką to tendencję prezentują

rzecz prosta podmioty historycznie różne, jak różne są podmioty dążeń hegemonistycznych. U kresu interwału, jaki apogeum właśnie takich dążeń Habsburgów (*pokój w Cateau-Cambrésis* z 1559 roku) dzielił od pierwszej manifestacji podobnych dążeń kardynała Richelieu (*traktat z Bärwalde* z 1631 roku), doszło nad Bałtykiem do zawarcia związków małżeńskich, eksponujących tendencję zasadniczo sprzeczną z bezpieczeństwem Polski. Wszystkie zaś – a zawierane na poziomach różnych – wiązały się z miejscem tu newralgicznym szczególnie, bo z Królewcem.

Stąd bowiem jesienią 1620 roku przybyła do Sztokholmu, by połączyć się z królem Gustawem-Adolfem, Maria Eleonora Hohenzollern (†1655), siostra księcia Jerzego Wilhelma, żonatego z siostrą „zimowego króla” Czech, Elżbietą – od niedawna nowego lennika Korony na Księstwie Pruskim po ojcu, elektorze Janie Zygmuncie. Niecałe sześć lat później druga z sióstr Jerzego Wilhelma, księżniczka Katarzyna (†1626) oddała dłoń Gaborowi Bethlenowi – właśnie zwracającemu Siedmiogród kalwińskiej koalicji, nie pierwszy zresztą raz od *pokoju w Nikolsburgu* (1622). Wprawdzie książę Jerzy Wilhelm złożył Zygmunтови III hołd z pruskiego lenna, we wrześniu 1621 roku, a tendencja odbita we wspomnianych mariażach, była dobrze znana choćby z praktyk jego ojca. Jednak gdy jej tolerowanie do wybuchu wojny mogło być uzasadnione potrzebami dyplomatycznej gry w planie szerszym – zawsze przecież toczony w sytuacji dla żadnej ze stron nie do końca czytelnej i nie determinującej ich ostatecznie – to z wybuchem wojny sprawa wyglądała już inaczej.

Wybitnym aktorem sceny politycznej książę Jerzy Wilhelm nie był. Po ojcu przecież odziedziczył suflerów, przybyłych z Brandenburgii i urozmaicających elitę Prus Książęcych – dotąd ujednolicaną nie tylko pamięcią o daninie krwi, złożonej przez ich rody przed dwoma wiekami pod Grunwaldem, albo o pokoleniu, które wiek potem z wyznaniem Lutra przejęło ziemie, odtąd dziedziczone jako ojcowizna. Postawę miejscowej elity, w latach dwudziestych XVII wieku wzmacniało też doświadczenie stu lat jakie mijały od *Hołdu Pruskiego* z 1525 roku. Doświadczenie władzy Korony Polskiej posłusznej prawom gwarantującym wolność sumienia i mienia, nadto udział instytucji przedstawicielskich – budziło uznanie zarówno mieszczan w Królewcu, jak też pierwszych rodzin Księstwa. Dowodzili tego swą postawą, nie mówiąc już o plejadzie Denhoffów, Otto von der Groeben (†1644), dwaj von Kreytzenowie – Andreas (†1641) i Wolfgang (†1649) – czy Albrecht von Schlieben (†1656), Meinhard von Lehndorff (†1639) i Hans Truchsess von Wetzhausen (†1635). Często dowodem tym bywała zasługa wojskowa dla

Rzeczypospolitej, przez Sejm kwitowana indygenatem. Podobnie wymowna była postawa stronnictwa *kwerulantów* – przeważnie luteranów – żywiącego wolę wzmocnienia związku Księstwa z Koroną. To z nim starli się kalwińscy przybysze z Brandenburgii, jak Thomas von dem Kneesebeck (†1625) i jego synowie Levin (†1635) i Hempo (†1656), czy Samuel von Winterfeld (†1643), czy też Sigismund von Götzen (†1650) – rzecznicy „zimowego króla” Czech i Gustawa Adolfa Wazy. Ze starej elity pruskiej wsparło ich raczej niewielu, wśród których wybijał się Krzysztof von Dohna.

Dla hrabiego Krzysztofa rok ślubu siostry księcia Jerzego Wilhelma z królem Szwecji Gustawem Adolfem był doniosły z jeszcze jednego powodu. Sam też bowiem wtedy pojął za żonę Urszulę zu Solms-Braunfels (†1657), siostrę Amalii (†1675) – dwórki żony „zimowego króla” Czech, Elżbiety Stuart (córkę Jakuba I) – która w trudnym dla sprawy protestanckiej roku 1625 poślubiła następcę księcia Maurycego Orańskiego, księcia Fryderyka Henryka (†1647). Trudno tymczasem nie zauważyć doniosłości paranteli dynastycznych, w pierwszej połowie lat dwudziestych XVII wieku potęgujących tendencję, którą zarysowana wówczas przewaga Madrytu, Wiednia i Warszawy, zdawała się wygaszać. Tendencji tej, w okresie symbolicznie ujętym datami *pokoju w Cateau-Cambrésis* z 1559 roku i *traktatu z Bärwalde* z 1631, nie animowały dążenia hegemonistyczne dworów Europy – bo takowych nie było. Prowokowała ją gra transkontynentalnych *networków* – od kupieckich po wyznaniowe – mających udział przy konfigurowaniu protestanckich koalicji, w kolejnych stadiach *Wojny Trzydziestoletniej*. Próby wykorzystania tej tendencji, podjęte przez Francję kardynała Richelieu i Ludwika XIV, nadały jej wprawdzie rangę narzędzia podmiotowej polityki państwa, jakie dąży do prymatu. Jednak to dopiero – nie bez wpływu wspomnianych prób Francji – wnukom pokolenia, które w latach dwudziestych parantelę wspomnianą zawiązało, przypadł udział bardziej realny, w trwałych korzyściach wynikających z układu potęg Kontynentu, skonfigurowanego wciąż tą samą tendencją, na przełomie XVII i XVIII wieku.

Do wnuków, o których mowa, zaliczali się dwaj królowie Anglii – Wilhelm III Orański (†1702) i Jerzy I Hanowerski (†1727). Pierwszy z nich zajął tron angielski po rewolucji 1688 roku jako mąż Marii Stuart (†1694) – córki obalonego wtedy króla Jakuba II (†1701), który ją za niego wydał jeszcze w roku 1677, by zrównoważyć wymowę swego drugiego małżeństwa, z Marią Este księżniczką Modeny – katoliczką. Natomiast drugi – prawa do tronu odziedziczył po babce Elżbiecie żonie „króla zimowego”. Szwagrem króla

Jerzego – pierwszego z panującej w Anglii do roku 1901 dynastii hanower-
skiej – był mąż jego siostry Zofii-Szarlotty (†1705), inny wnuk pokolenia lat
dwudziestych, pierwszy król Prus, Fryderyk I (†1713). Wnuk więc księcia
Jerzego Wilhelma – szwagra „Lwa Północy”, jak to kalwiński *network* kom-
plementował króla Gustawa Adolfa – a syn „Wielkiego Elektora” Fryderyka
Wilhelma Hohenzollerna (†1688). Co oczywiste, właśnie w owym sukcesie
pokolenia wnuków gruntowały się fundamentalne dla Europy XVIII i XIX
wieku fenomeny. To jest przede wszystkim nowa odtąd rola Prus w dzie-
jach Niemiec oraz konstrukcja systemu kontynentalnej równowagi, oddająca
Anglii hegemonię kontynentalną.

Nie mniej oczywista jest zależność powodzenia pokolenia wnuków od bie-
gu wydarzeń, z udziałem obu poprzednich pokoleń, paranteli zaszłych nad
Bałtykiem od lat 1623-1625, czyli od fiaska ofensywy prowadzonej pod egidą
„zimowego króla” i wypełniającej pierwszą odsłonę *Wojny Trzydziestoletniej*.
Tym samym więc w stopniu znacznym, jeśli nie najznaczniejszym, zależność
od postawy polityki polskiej. Ujmując rzecz ściśle, od jej posłuszeństwa dok-
trynie bałtyckiego priorytetu.

Odsiecz, z jaką Zygmunt III pośpieszył Wiedniowi jesienią 1619 roku, na
pewno nie stanowiła wykroczenia przeciw doktrynie. To nie ona spowodo-
wała dwuletnią wojnę Polski z Turcją – przesądzoną objęciem władzy przez
Osmana II (luty 1618) i zawarciem przez niego pokoju z Persją (wrzesień
1618). Stronnictwo, jakie – bynajmniej nie w armii tureckiej – parło w Stam-
bule do wojny z Polską, wspierał ambasador Anglii, choćby wstawiając się za
Kacprem Gratiani (†1620). Polecały go zaś sir Paulowi Pindarowi persony
miarodajne, jak wspomniany już sir Henry Wotton i sir Dudley Carleton
(†1632). W lutym 1619 roku sułtan oddał Gratianiemu tron Mołdawii, jej
hospodara dotychczasowego (Raduł Mihnea) przenosząc na tron Wołoszczy-
zny – odebrany lojalnemu wobec Rzeczypospolitej, Gabrielowi Mohyle. Stąd
kiedy w maju 1619 roku referendarz koronny Piotr Ożga (†1627) prolongował
w Stambule *traktat z Buszy*, obie strony dawały sobie jedynie czas – turecka
na przygotowanie ofensywy, a polska na jej przyjęcie.

Obowiązek organizacji obrony spadł na Stanisława Żółkiewskiego, który
na Sejmie 1618 roku, odprawionym o przedwiośniu – licząc lat siedemdziesiąt
jeden – objął wakujące od śmierci Jana Zamoyskiego hetmaństwo wielkie
koronne, otrzymując zarazem większą pieczęć kanclerską. Uczeń swego gło-

śnego poprzednika na urzędzie hetmańskim, po śmierci którego opuścił jego obóz, by podczas *Rokoszu Sandomierskiego* stanąć przy królu, w czasie zaś interwencji w Moskwie błyskotliwy zwycięzca pod Kłuszynem i co najmniej nieostrożny negocjator z Rosjanami, na koniec życia modelowy wódz armii Pierwszej Rzeczypospolitej. Żółkiewski otrzymał obie jej najbardziej prestiżowe godności z pewnością jako dowód pełnej wiary, pokładanej w nim przez monarchę, a nie jako nagrodę za – na przykład – opuszczenie szeregu mal-kontentów. Już choćby stanowisko Sejmu 1619 roku do jego projektu reformy skarbowości wojskowej wykazało, że opozycja trzyma się mocno, co – jak można sądzić – znalazło wyraz też w trudnościach mobilizacyjnych i rozdźwiękach w naczelnym dowództwie, w czasie kampanii.

Samej kampanii odwołanej do czerwca 1620 roku – także misją „ostatniej szansy” posła Hieronima Otwinowskiego (†1620) w Stambule (nie został dopuszczony przed oblicze sułtana) – nadał kanclerz-hetman formę działań obronnych, prowadzonych na terytorium Mołdawii, której nowy hospodar – Kacper Gratiani – zgłosił tymczasem gotowość zmiany protekcji tureckiej na polską. Ostatecznie Żółkiewskiemu udało się zgromadzić niecałe dziewięć tysięcy żołnierzy. Natomiast nie zawiedli sułtana Tatarzy i Wołosi, których Kantemir Murza i Raduł Mihnea przyprowadzili osobiście, ani Gabor Bethlen, wysławszy pokaźny oddział Siedmiogrodzian. Armia turecka przeważała nad polską około trzykrotnie. Tymczasem rozdźwięki po stronie polskiej zmieniły zaczepną obronę umocnień Cecory, prowadzoną od 18 do 21 września ze stratami Turków większymi niż własne, w układy – wymuszone odejściem z obozu jednej trzeciej obrońców – w czasie których hetman przygotował marsz odwrotowy. Mistrzowsko prowadzony od 29 września do 6 października – i z nadal przeważającymi stratami przeciwnika – dotarł pod Mohylów Podolski. Tu, jeszcze po mołdawskiej stronie Dniestru, przy kolejnym pęknięciu dyscypliny, gdy nie czekając rozkazu część wojska rzuciła się przez rzekę i wywołała popłoch, hetman podstawionego mu przez towarzyszy konia przebił szablą, ze słowami: *nie wsiądę, miło mi przy was umrzeć*. Co też się i stało – na dowód szczerości wyznania jakie złożył wcześniej, że *nad jego wolę* nie było żywot położyć dla wiary świętej, dla służby Waszej Królewskiej Mości, dla Rzeczypospolitej.

Śmierć hetmana, w trakcie działań, które dowództwu turekiemu wyrażnie odebrały chęć przeprawy przez Dniestr, zobowiązała Sejm. W grudniu 1620 roku uchwalił on podatek pozwalający sfinansować wojsko czterdziestotysięczne. Powierzono je dowództwu Jana Karola Chodkiewicza. Zostało ono

zasilone przez trzydziestotysięczny korpus kozacki, który – mimo wspólnej dywersji Moskwy i Konstantynopola – w obozach Rzeczypospolitej utrzymał niezawodny hetman Piotr Konaszewicz-Sahajdaczny. Stając na szanach pod Chocimiem, armia realizowała plan spod Cecory, przez cały wrzesień 1621 roku odpierając ataki ponad dwukrotnie liczniejszych sił przeciwnika, dowodzonych przez samego sułtana. Kontrataki husarii – w tym jeden poprowadzony osobiście przez śmiertelnie chorego Chodkiewicza – siały spustoszenie po stronie oblegających na tyle skuteczne, by w dwa tygodnie po śmierci hetmana kasztelan bełski Stanisław Żórawiński (†1624) z Jakubem Sobieskim mogli rozpocząć rokowania z Turkami, które zakończyła ponowna prolongata *traktatu z Buszy*. Zgodnie z ustaleniami, na polski brzeg Dniestru armia Rzeczypospolitej powróciła 13 października, to jest dopiero w trzy dni po odmarszu tureckiej – co w ten sposób pokwitowało większy udział militarny strony polskiej, w zamknięciu sprawy na warunkach w istocie honorowych.

Chłodna analiza okoliczności i przebiegu wojny tureckiej lat 1620-1621 bez wątpienia – heroizmem i kunsztem militarnym obu hetmanów – słusznie wpisuje ją do najważniejszych rozdziałów historii polskiej wojskowości. Natomiast w dziejach polskiej polityki zagranicznej zajmuje miejsce bardziej skromne, co nie oznacza, że nieistotne. Jest to miejsce pośród drugoplanowych działań defensywnych, uprzedzających dywersję zewnętrzną wobec działań planowanych jako pierwszorzędne – to jest działań na froncie zachodnim. Na tym więc, właśnie na którym sytuacja stanowiła wtedy – jak dzieje się to zwykle – czynnik najbardziej doniosły wśród wszystkich innych czynników warunkujących planowanie i realizację polityki Rzeczypospolitej na froncie bałtyckim. Toteż rozgłos nadany klęsce cecorskiej miał przyczynę nie tylko w odruchu narodowej emocji, czy w taktyce mobilizowania opinii obywatelskiej przed grudniowym Sejmem 1620 roku. Przede wszystkim – na ile było to możliwe – dezawuował on w opinii europejskiej dywersję, jaka na drodze polityki polskiej stawiała na całej północnomorsko-bałtyckiej rubieży Kontynentu. Rozpoczętą w czerwcu 1617 roku przez Gustawa Adolfa półtoraroczną kampanię inflancką – nieudaną a sabotującą moskiewską wyprawę królewicza Władysława – można było jeszcze uznać za ornament jakim kanclerz Oxenstierna, zapewne na użytek wewnętrzny, ozdobił długo odwlekaną koronację swego pupila koroną, którą prawo przyznawało królowi Polski. Inaczej sprawy stały w roku 1621. Bowiem gdy dnia 19 sierpnia tegoż roku, z dwudziestotysięczną armią Gustaw Adolf lądował pod Parnawą – tysiąc trzysta kilometrów na południe kończyła się koncentracja pięćdziesięciolet-

sięcznej armii Rzeczypospolitej. Teraz więc – przynajmniej w tej części opinii europejskiej, która trwała pod urokiem zasady legitymizmu oraz solidarności chrześcijańskiej i kulturowej – Zygmunt III uosabiał jedność spraw obu.

Gotowość ich obrony w stolicach Europy, dyplomacja polska badała od wczesnej wiosny 1621 roku. Rekonesans potwierdził głębię polaryzacji dzielącej Kontynent. Sekretarz królewski Piotr Żeroński (†1633), zimno przyjęty w Hadze, zaręczenie wsparcia materialnego dostał od namiestnika wiernej królowi Hiszpanii części Niderlandów, arcyksięcia Albrechta Habsburga (†1621). Kasztelan sieradzki Maksymilian Przerembski (†1639) łatwo od cesarza Ferdynanda uzyskał potwierdzenie traktatu z roku 1613, aprobatę translokacji *lisowczyków* nad Dniestr oraz deklarację poparcia dla idei aliansu zaczepnego przeciw Turcji. Natomiast bez sukcesu – z życzliwej Francji i ambasadorowi Wottonowi – Rzeczypospolitej Weneckiej, powrócił do kraju książdz-sekretarz Mikołaj Starzeński (†1632). Z kolei niechęć do Wiednia i Madrytu – przemagająca żywiony przez papieża Pawła V gniew na skłóconą z nimi Wenecję – przesądziła fiasko rzymskiej misji księdza-biskupa wileńskiego Eustachego Wołłowicza (†1630). Jednak już wkrótce wynagrodził to Rzeczypospolitej nowy papież – Grzegorz XV – nader hojnym zasiłkiem finansowym, o jakim jeszcze w lecie 1621 roku poinformował kolejnego posła, księdza-sekretarza Achacego Grochowskiego (†1633).

Z kolei poselstwo stanowiące debiut Jerzego Ossolińskiego z pewnością umocniło w Londynie – z korzyścią dla Polski – wpływ tendencji nieskorej ulegać dyktatowi ze strony *networku* integrującego europejskich koalicjantów „zimowego króla” Czech. Zgodnie z nią bowiem król Jakub nie tylko jeszcze w maju 1620 roku zapewniał króla Zygmunta, że Szkoci zwerbowani do armii Rzeczypospolitej będą walczyli za Polskę jak za drugą ojczyznę, ale też – już po Cecorze – naciskał na Gustawa Adolfa, by przedłużył on rozejm z Polską, jaki wygasł w dramatycznym listopadzie 1620 roku. Jeszcze też przed klęską „zimowego króla” Czech na Białej Górze król Anglii prosił Zygmunta III o wstawiennictwo za swoim zięciem u cesarza. Prośbie tej dyplomacja polska czyniła zadość również po klęsce palatyna Renu, co zbiegało się ze staraniami, podejmowanymi równolegle przez ambasadora Gondomara, które doprowadzić miały do małżeństwa księcia Walii z infantką hiszpańską i które – po wyborze papieża Grzegorza XV – mogły liczyć na pomoc Stolicy Apostolskiej, wykluczoną za jego poprzednika. Współpraca i przyjaźń, zadziergnięte przez Ossolińskiego i Gondomara podczas misji polskiego posła w Londynie (maj-sierpień 1621 roku), potwierdzała wspólnotę interesów obu

państw w regionie Morza Północnego i jej obiektywną komplementarność z niepodważalnym interesem europejskim. To znaczy z dekonfesjonalizacją stosunków wewnątrzpaństwowych i międzypaństwowych w Europie – do czego małżeństwo przyszłego króla Anglii z infantką Marią Anną stałoby się bodźcem wcale nie błahym. Tym samym, mogło to prowadzić do takiej pacyfikacji na zachodnim froncie *Wojny Trzydziestoletniej*, jaka by z jednej strony pozwalała pokonanym przez stronnictwo katolickie notabdom Rzeszy Niemieckiej wybrnąć z politycznego zaułka, do którego wpędził ich *network* kalwiński, i jaka by przez to – z drugiej strony – zmniejszyła siłę pochodzących z zachodu, a nieżyczliwych Polsce sugestii, zawsze zdolnych znaleźć na wschodzie – nad Bosforem czy w Moskwie – jakichś życzliwych klientów.

Taktycznym osiągnięciem misji londyńskiej Ossolińskiego, obok zgody króla Jakuba na nabór najemników szkockich – częściowo przez niego finansowanych – i dyplomatycznego wsparcia w Stambule, były – może nawet w pierwszym rzędzie – kłopoty ze zrozumieniem nad Tamizą dla sprawy Gustawa Adolfa, podczas jego rocznej kampanii inflanckiej, zakończonej kolejnym rozejmem w sierpniu 1622 roku. Kłopoty dyplomacji angielskiej przy zadaniu nad Bosforem – tu chyba wyraźnie kadrowe – być może zaciążyły na karierze następcy ambasadora Pindara. Był nim sir John Eyre (†1639) – jak można sądzić bliski londyńskim stronnikom Hiszpanii – przyjęty przez sułtana w kwietniu 1620 roku, zwalczany przez rodaków z *Levant Company*, a zastąpiony w listopadzie 1621 przez dobrze w niej notowanego sir Thomasa Roe. O ile przecież słabo zbadana misja sir Johna przypadła na krytyczny dla Polski czas Cecory, o tyle sir Thomas, jako że było to już po Chocimiu, z pewnością mniejszym wpływem cieszył się u Wysokiej Porty, niż przybyły tu dopiero w listopadzie 1622 roku – nieśpiesznie, z ponad tysiącosobową świtą – poseł, koniuszy koronny książę Krzysztof Zbaraski (†1627). Nadal nie śpiesząc się, wyczekawszy powrotu Mere Husajna Paszy na urząd wielkiego wezyra, w lutym 1623 roku podpisał on traktat powielający ustalenia z Chocimia, które – aby lepiej wyrażały obustronną wolę pokoju – doprecyzowano staraniem Krzysztofa Serebkowicza (†1648) wiosną 1624, jeszcze przed ratyfikacją dopełnioną przez sułtana.

Wolę pokoju po stronie tureckiej uwiarygodniała wojna Turcji z Persją – we wrześniu 1623 roku wznowiona zajęciem Bagdadu przez Abbasa I (zm.1628) – oraz rebelia, jaką Abaza Pasza (zm.1634), doradca powieszono Osmana II, nękał rządy Mustafy I i Murada IV. Bunt wprawdzie, o którym mowa, był czymś więcej, niż tylko aktem rywalizacji o władzę. Był także aktem

presji reorientującej ekspansję Wysokiej Porty ze wschodu na zachód. Tego zaś, że nie była to presja bez mocnego zaplecza miejscowego, dowodziła łatwość, z jaką regencja Kösem Sultan wybaczyła Abazie Paszy – poskromionemu już we wrześniu 1623 roku przez wezyra Mehmeda Ali Paszę (zm.1625) i w niezmiennym duchu aktywnemu nadal, a uduszonemu dopiero za osobistych rządów Murada IV. Tymczasem zażyłość Abazy Paszy z Kantemirem Murzą – parokrotnie tu wspomnianym kombatantem cara Wasyla Szujskiego i Tuszyńców, a potem Osmana II – jak też z chanem Krymu, Dżanibekiem Girajem (zm.1636), była dodatkowym czynnikiem zapalnym na pograniczu Polski i Turcji. Tatarzy z *Ordy Nogajskiej*, pod wodzą Kantemira koczujący między ujściami Dunaju i Dniestru – pozostającymi wtedy pod władzą Turcji – nadawali ton łupieżczym najazdom przeprowadzanym, wraz z braćmi z Krymu, na ziemię Rzeczypospolitej. Zresztą właśnie takim najazdem – zimą z roku 1605 na 1606 – Kantemir zainaugurował swe stosunki z Polską. Został wtedy srodze ukarany przez Żółkiewskiego, pod Niemirowem i Kalnikiem. Pochocimski interwał pokojowych stosunków z Turcją – obok fiaska buntu Abazy Paszy – objął też inne widowiskowe wydarzenia. Jeszcze w lipcu 1623 roku zdjęty został z urzędu chan Dżanibek i z polecenia Stambułu zastąpiony przez Mehmeda III Giraja (zm.1629). W czerwcu 1624 roku hetman polny Stanisław Koniecpolski (†1627) rozbił Kantemira pod Martynowem, co nie pozostało bez wpływu na utrzymanie się chana Mehmeda u władzy, którą próbował zabrać mu Dżanibek. Jesienią 1626 roku podobną próbę pokrzyżował – znosząc zagon Nogajców pod Białą Cerkwią – chorąży bracki Stefan Chmielecki (†1630).

W takich to okolicznościach miało wymowę odrzucenie propozycji aliansu przeciwko Turcji, jaką szach Abbas złożył za pośrednictwem chana Mehmeda – skądinąd deklarującego wolę zerwania więzi lennej z sułtanem i włączenia Krymu do Rzeczypospolitej. Potwierdzało to determinację, z jaką polityka polska utrzymywała interesy bałtyckie w sferze priorytetu. Podnosiło to również jej prestiż nad Bosforem – niezależnie od miejscowych różnic w orientacji strategicznej. Determinację zapewnienia w ten sposób pokoju na południu, utrudniał inny, zapalny czynnik miejscowy, jakim po stronie Rzeczypospolitej byli Kozacy Zaporoscy. Rzecz w tym, że tak jak nie wszystkie najazdy tatarskie na ziemię Rzeczypospolitej zlecał Stambuł, tak też nie wszystkie *chadzki* Kozaków na tureckie brzegi Morza Czarnego inspirowały polskie władze. W takim stanie rzeczy, podobnie jak za wyprawami Tatarów, także i za wyprawami Kozaków nie zawsze stała tylko ich własna pomysłowość,

lecz też sugestia z innych stron – sabotujących polską politykę zachodnią aktami jednocześnie sabotującymi wschodnią politykę Turcji, albo odwrotnie. Była aktem takim choćby inwazja czajek kozackich atamana Jakuba Borodawki (†1621) na Stambuł, gdy trwały tam – jeszcze przed Cecorą – ostatnie próby ratowania pokoju. Borodawka – już po Cecorze – na tyle jawnie sabotował wysiłek mobilizacyjny przed Chocimiem, że sami Kozacy pozbawili go i urzędu i głowy. Jego aktywność wychodziła naprzeciw – zwykle równie dywersyjnej – trosce hetmana polnego litewskiego Krzysztofa Radziwiłła, o wyznaniowe swobody. Jednak za propozycją prawosławno-protestanckiego sojuszu, którą ataman Jakub przedstawił hetmanowi Krzysztofowi, stało głównie to skrzydło Cerkwi w Rzeczypospolitej, dla którego miarodajne były dyrektywy ze strony kalwinizującego środowiska w Patriarchacie Konstantynopola. Wybitnego przedstawiciela tego środowiska, patriarchę Lukarisa – którego wpływ skłócił część Kozaczyzny z Rzeczpospolitą pod hasłem obrony Prawosławia – w 1638 roku Murad IV, poniekąd w ramach przygotowań do zwycięskiego pochodu na Bagdad, kazał utopić właśnie za aranżowanie kozackich *chadzek* na brzegi tureckie.

Warunkowaną w taki to sposób osłonę rewindykacyjnych działań polityki polskiej na północy i zachodzie, przed sabotażem ich od strony południowo-wschodniej, wypada ocenić jako skuteczną jedynie względnie. Brak militarnego rozstrzygnięcia sprawy Chanatu Krymu zgodnie z wolą i interesami obu stron – co w dobie wojny Turcji z Persją mogło wydawać się możliwe nawet przy uruchomieniu niekoniecznie całego potencjału państwa – mścił się plagą zagonów tatarskich. Stanowiły one nie tylko płacną przez społeczeństwo cenę stosunkowo niskiego kosztu obrony, prowadzonej tu siłami niewielkimi – chociaż zwycięskimi w starciu niemal każdym, to przecież nie zawsze wczas. Winiony za pochodzące stąd straty, rząd płacił cenę dodatkową. Malało zaufanie doń społeczeństwa, niezbędne do planowanych działań. Z drugiej strony, trudno odmówić skuteczności osiąganey tą drogą prewencji bezpieczeństwa strategicznego na południowo-wschodniej rubieży Rzeczypospolitej. Co więcej, praktyka taka pozwalała kozackiemu bractwu swą postać polityczną i militarną aktywność konfigurować z ustrojem i zadaniami państwa. Dowodziła tego z pewnością *Uгода kurukowska* z listopada 1625 roku – normująca status bractwa, jego liczebność i zasiłek otrzymywany przez nie od Skarbu. Co znamienne, zawarł ją hetman Koniecpolski z tą jego częścią, która wykazywała nie tylko odporność na zewnętrzne dywersje, ale także zdolna była jednostki mniej odporne izolować sama. Tak bowiem jak w roku 1621

większość skupiona przy hetmanie Sahajdacznym dała sobie radę z dywersją Borodawki, podobnie z dywersją Marka Żmajły w 1625 poradziła sobie większość, którą reprezentował hetman Michał Doroszeńko (†1628). O zupełnie zaś przyzwoitym poziomie konfiguracji obu ważnych czynników bezpieczeństwa na południowo-wschodniej rubieży świadczyła brawura, z jaką w kwietniu 1628 roku hetman Doroszeńko dał odsiecz chanowi Mehmedowi, roznosząc pod Bachczysarajem Nogajców Kantemira, gdy ów ponownie próbował osadzić na Krymie chana Dżanibeka.

Uzasadniony więc jest pogląd, że przez lata dwudzieste XVII wieku – podobnie jak na froncie wschodnim, tak i na całym południowym – brak było zagrożeń, jakie wykluczałyby zdecydowaną akcję rewindykacyjną nad Bałtykiem. Ponadto położenie na zachodzie akcji takiej sprzyjało dość wyraźnie, nie tylko w półtorarocznym interwale pokojowym, dzielącym faktyczny koniec wojny o Czechy i Palatynat, od początku drugiej fazy Wojny Trzydziestoletniej – otwartej w maju 1625 roku inwazją na Westfalię, dokonaną przez króla Danii, Chrystiana IV. Akcja króla Danii nastąpiła w chwili militarnej krytycznej dla obozu, który nadal integrowała sprawa „zimowego króla”. Zmianom – w Anglii, której tron w marcu 1625 roku zajął Karol I i w Niderlandach, gdzie od kwietnia po Maurycym Orańskim rządził jego brat, książę Fryderyk Henryk – towarzyszyła wszakże pamięć niedawnego fiaska inicjatywy palatyna Renu, rezydującego teraz w Hadze na emigracji, jak i uwidoczniona pod Bredą przewaga Hiszpanii na froncie holenderskim, a pod Kadyksem na angielskim. Mało wydajna okazywała się też aktywność dyplomatyczna pokładająca nadzieje we Francji. Nie stanowiła bowiem dla państw habsburskich poważniejszej dywersji *wojna o Dolinę Valtelliny* – od roku 1623 toczona przez Francję, Sabaudię i Wenecję z Hiszpanią – zaś *Traktatem w Monzón* z marca 1626 zakończona polubownie, ku zgorszeniu pozostałych aliantów, których kardynał Richelieu pozyskał *Traktatem z Compiègne* zawartym w czerwcu 1624 roku i trzy miesiące później *Traktatem z Saint-Germain-en-Laye*. Pierwszy z tych aliansów, obok już wymienionych, obejmował też Danię i Szwecję. Drugi – o małżeństwie następcy tronu Anglii z królewną Henriettą-Marią – nie przetrwał próby, na jaką stosunki Paryża i Londynu wystawiła nowa rewolta kalwinistów z La Rochelle, w czerwcu 1627 roku wsparta popisowym desantem Anglików na wyspie Ré. Stąd można było mówić o poważnej izolacji sygnatariuszy *Układu w Hadze*, podpisanego w grudniu 1625 i ograniczającego skład strony protestanckiej – jak miało się okazać, do końca okresu duńskiego Wojny – do Danii, Niderlandów i Anglii.

Co charakterystyczne, od udziału w aliansie tym wymówiła się Szwecja, co kanclerz Oxenstierna – w liście do Ludwiga Kamerariusza (†1651) szefa emigracyjnego rządu palatyna Renu – usprawiedliwiał koniecznością *walki o wspólną sprawę* na froncie polskim. Z czym bez wątpienia zgodziłby się i Chrystian IV, skoro – jeszcze przed swą akcesją do wojny – nie przepuścił on przez Sund tej części Szkotów zwerbowanych przez Ossolińskiego, która wtedy właśnie śpieszyła do Rzeczypospolitej. Jednak zgodność podobna nie zapobiegła pewnej izolacji Gustawa-Adolfa w obozie protestanckim, odkąd wszedł on w konflikt z królem Danii. Dawało się to odczuć i w Londynie, pomimo wciąż rosnącego tu wpływu stronnictwa wojny. Wprawdzie od stycznia 1623 roku, sympatyzujący z Hiszpanią sekretarz stanu George Calvert (†1632) zmuszony był tolerować, jako kolegę na urzędzie, sir Edwarda Conwaya (†1631), wielce zasłużonego w kalwińskim *networku*. Ale dopiero ponad rok później sir James Spens – już wspomniany tu przyjaciel kanclerza Oxenstierny – od Rady Królestwa Szkocji (a nie, co znamienne, Anglii czy samego króla Jakuba) otrzymał zgodę na werbunek tysiąca dwustu żołnierzy dla Gustawa Adolfa. Wprawdzie dymisja, do której Calvert podał się jeszcze na miesiąc przed śmiercią króla Jakuba, dowodziła przewagi stronnictwa wojny. Ale nie tylko fiasko także dalszych starań Conwaya o wciągnięcie do niej Szwedów, czyniło mało prawdopodobnym angielskie wsparcie dla Gustawa Adolfa, gdyby Zygmunt III upominał się o swe prawa zbrojnie. Uniemożliwiały to obie wojny, w jakie *network* wciągnął króla Karola I. Pierwsza to wojna z Hiszpanią, toczona od jesieni 1625 roku i zakończona klęską militarną, skwitowaną *Traktatem Madryckim* w listopadzie 1629 roku. Druga – trwająca od czerwca 1627 roku – przegrana wojna z Francją, zaczęta odsieczą z jaką książę Buckingham pośpieszył kalwinistom z La Rochelle i zakończona *Układem w Susa*, który dyplomacja angielska – pod kierunkiem już wyłącznym i ortodoksyjnie kalwińskim sir Dudleya Carletona – wynegocjowała od dyplomacji francuskiej, wiosną 1629 roku. Co wymowne nie mniej, udziałem w pracach nad traktatem tym w ekipie Francji, wielką kartę swej kariery otworzył minister Claude Bouthillier (†1652), autor – wraz z kardynałem Richelieu i jego szarą eminencją François du Tremblay (†1638), słynnym jako „Ojciec Józef” – francuskiego rozdziału *Wojny Trzydziestoletniej*. Jednak ówczesne możliwości wsparcia Gustawa Adolfa przez Luwr ograniczało nadto obciążenie Francji finansowaniem armii księcia Fryderyka Orańskiego, oraz eskalacja konfliktu z Hiszpanią, skutek toczącej się od wiosny roku 1628 *wojny o sukcesję mantuańską*.

W istocie więc przez całą duńską fazę *Wojny Trzydziestoletniej*, zakończoną porażką króla Chrystiana IV i podpisanym w maju 1629 roku *Pokojem w Lubece*, wszystkie sympatie dla sprawy Gustawa Adolfa – cokolwiek by je miało uzasadniać po stronie Anglii, Francji, czy Holandii – mogły zyskiwać wyraz jedynie werbalny. Protestancki „Lew Północy” i jego kanclerz nie takiego przecież potrzebowali, gdy zawarte w sierpniu 1622 roku zawieszenie broni na froncie bałtyckim zamknęło podjętą przez nich tu rok wcześniej dywersję zbrojnego wysiłku, jaki w dobie Cecory i Chocimia był udziałem Rzeczypospolitej na froncie naddniestrzańskim. Skarb szwedzki ział bowiem nie tylko pustką, ale też poważnym zadłużeniem, co wykluczało nowe zaciągi zagranicą, przy fermencie w kraju, a uwolnieniu blisko pięćdziesięcioletniej armii polskiej od kłopotów z Turcją. Przewaga sił Rzeczypospolitej nad siłami Szwecji – wtedy niewątpliwa w ich stosunku aktualnym i w ich potencjale demograficznym i finansowym – współbrzmiała z faworyzującą Polskę koniunkturą zewnętrzną. Wszystko to zaś dostatecznie tłumaczy zapał, z jakim Zygmunt III już zaraz po Chocimiu czynił, co mógł, by dokonać tego, co stawało się możliwe bardziej, niż kiedykolwiek od początku stulecia – a więc przywrócić do życia jagiellońsko-wazowską unię bałtycką.

Tłumaczy to także gniew króla na wieść o zawieszeniu broni, które hetman Krzysztof Radziwiłł zawarł z Gustawem Adolfem w sierpniu 1622 roku, a które poprzedziło paraflowany we wrześniu rozejm, mający obowiązywać do czerwca 1625 – jeśli nie byłby wypowiedziany do kwietnia 1624. Z okazji jego wypowiedzenia nie skorzystał Sejm – ani walny w 1623, ani też nadzwyczajny, w lutym 1624. Pierwszy z nich wyznaczył delegację do rozmów ze Szwedami, drugi natomiast – ukojony dochodzącymi od niej informacjami o pokojowych intencjach strony szwedzkiej – wpłynął na satysfakcjonującą Gustawa Adolfa korektę jej plenipotencji. Żaden też nie zezwolił na niezbędne podatki. Na obu Sejmach stronnictwo pokojowe znów wzięło górę nad stronnictwem, które, skupione przy królu, posłuszne było – wypada to przyznać – zgodnemu głosowi sumienia i zdrowego rozsądku, jakie narzucał stan rzeczy, konfrontowany z sugestią ze strony historycznych doświadczeń. Dramatyczne cztery lata, dzielące zwycięstwo chocimskie od lądowania Gustawa Adolfa w Inflantach latem 1625 roku, weryfikowały bynajmniej nie doktrynę a morale obywateli.

Owo morale wyraziło się gotowością obywateli do akceptacji sugestii, jaką metodą należy *szlacheckie oczy otwierać*, zalecanej przed Sejmem 1624 roku księciu koniuszemu Krzysztofowi Zbaraskiemu, przez jego brata kasztelana

krakowskiego Jerzego (†1631) – demaskując rząd, że *co się tknie wojny inflanckiej, nie tej oni chcą, lecz Szwecyi i obawą, że pewnie Gdańsk stracim*. W ten sposób umacniano w przekonaniu o braku powodów do wojny o Szwecję, *której nam jeno nie trzeba*. Podobnie odnoszono się do wojny i o same Inflanty – jak to polityczny przyjaciel kasztelana krakowskiego, hetman polny litewski jątrzył już na Sejmie – *które dziś łatwo byłoby do tej Korony powrócić, niewartej podjęcia, jako że tyle razy zwyciężając bez użytku w Inflanciech, mamy raz jeszcze niepotrzebnie krew tam naszą przelewać? Któż zaręczy, że to, co oręż polski zagarnie, zdrowa rada lepiej, niż dotąd zatrzymać potrafi? I cóż nas do tej wojny zapali? Czy te igraszki, co wyprawiają ze swobody i wolnościami naszymi?*. Tym zaś boleśniejszy był stan morale, z im większą siłą perswazyjną nęciła polskie ucho nuta, jaką marszałek sejmowy Jan Łowicki (†1640) – już na otwarciu sesji – intonował solennie: *gorąco prosimy Waszą Królewską Mość, abyś się w wojny niemieckie nie mieszał*.

Albowiem brak dwóch zdań, że nawet szlacheckie oko, właśnie półprzy-
mknięte – gdy nie tylko zmęczenie czy sen, odwracało uwagę od trosk i uciech
codziennych – widziało to, co widać było, jak to mówią, okiem gołym. Choć-
by więc kontrast dwóch różnych postaw tego samego hetmana polnego litew-
skiego w obu jego kampaniach inflanckich. W tej, którą wiodł od czerwca
1617 do lutego 1618 roku i w której Szwedów zmiotł oraz w prowadzonej mię-
dzy sierpniem roku 1621, a sierpniem 1622, kiedy zrobił wszystko, by tego
nie powtórzyć. Jakże zaś dobitnie kontrast ów wzmacniała krążąca pogłoska,
że hetmana polnego w czas kampanii pierwszej zagrzewała nadzieja na lenno
kurlandzkie, odebrane księciu Wilhelmowi Kettlerowi (†1640) w roku 1616,
gdy ów dokonał mordu sądowego na przywódcach sejmikowej opozycji. Fakt,
że ofiary – bracia Gotard i Magnus von Nolde (†1615) – to nie tylko rzecznicy
praw i wolności obywatelskich, lecz także bracia cioteczni sporej gromadki
Denhoffów, wydaje się symbolicznie potwierdzać niewrażliwość hetmana po-
lnego litewskiego na sprawę bałtycką w jego drugiej kampanii w Inflantach,
gdy Kurlandię król już dał w lenno księciu Fryderykowi Kettlerowi (†1642).
Bowiem przypadek poległego pod Cecorą pułkownika Hermana Denhoffa
(†1620) wypada przecież uznać za wyjątek potwierdzający regułę, że polem
popisu gromadki, o której mowa, był przede wszystkim Bałtyk. Tak było
w przypadku wojewody pomorskiego Gerharda (†1648) i wojewody dorpac-
kiego Kacpra (†1645), starosty dyneburskiego Henryka (†1626) i wojewody
wendeńskiego Teodora (†1622), jak też w przypadku pozostałych braci i ko-
lejnych pokoleń.

Tymczasem gołemu oku dostępny był nadto fenomen jeszcze jeden. Fenomen synergii, jaka inflanckie manewry księcia hetmana łączyła z nieco wcześniejszymi manewrami matrymonialnymi jego przyrodniego brata – księcia Janusza Radziwiłła, wodza *rokoszu Zebrzydowskiego* na Litwie. W postępującej polaryzacji bałtyckich elit nie była to synergia przychylna odbudowie systemu jagiellońsko-wazowskiego. Już chyba dla wszystkich stało się to jasne w listopadzie 1620 roku, podczas chrztu, któremu poddany został owoc wspomnianych manewrów z gruntu cywilnych. Nader przecież smutnej pamięci księcia Bogusława Radziwiłła (†1669) – którego na świat wydała księżna Elżbieta Zofia Hohenzollern (†1629), ciotka elektora Jana Zygmunta – do chrztu podawał *per procura*, nie kto inny, a *zimowy król* Czech, Fryderyk V palatyn Renu. Wprawdzie książę kasztelan Janusz osierocił rychło i syna i brata, pierwszy znalazł przecież oparcie w drugim – swym stryju Krzysztofie, a ten u księcia kasztelana Jerzego Zbaraskiego – co też było oczywiste i wiadome wszystkim.

Byłoby naiwnością sądzić, że przyczyną klęski rządu na Sejmie 1624 roku był spisek. Spisek kilku notablów, którzy interes państwa widzieli inaczej, niż go definiował zwykły zdrowy rozsądek i rutyna tradycji wtedy jeszcze przejrzystej, bądź nawet nie myśleli o nim wcale. Ale byłoby też demonizowaniem tego dobrego plemienia – jak zresztą każde nieufnego z natury, zwłaszcza wobec notabli – sądzić, że cytowane wyżej wybryki intelektu mogły nie budzić zdziwienia jego członków. Z kolei godną ubolewania jego idealizacją byłoby twierdzić, że to wzgląd na polityczną poprawność powstrzymał myśl ogółu od wejścia na drogę podejrzeń o spisek i – tym samym – od podjęcia reakcji stosownej. Co oczywiste nie mniej, właśnie brak stosownej reakcji ogółu – jako poniekąd rękojmnia sukcesu opozycji – odsłania walną przyczynę klęski rządu.

Jeżeli więc zdziwienie nie zamieniło się w zgrozę – usprawiedliwioną łatwo widoczną wielkością szkód, równie łatwo przewidywalnych, owych zdumiewających bredni – to czym jak nie lekceważeniem prawdy można wyjaśnić brak odpowiedzi proporcjonalnej do realiów? A cóż innego, jak nie właśnie morale zobowiązuje swoją władzę, by trzymać się prawdy.

Klęska rządu w stoczonej w latach 1621-1625 wojnie z opozycją, o zbrojną odbudowę jagiellońsko-wazowskiej unii bałtyckiej, nie była jedyną wtedy okolicznością niesprzysługującą realizacji zadań jakie polityce polskiej dyktowała jej rutyna. Drugą stanowiła postawa jej sprzymierzeńców – w większym

stopniu chyba w Madrycie niż w Wiedniu. Sądzić wypada przecież, że tak zwane okoliczności obiektywne – po stronie Madrytu – przesądziły o fiasku kooperacji polsko-hiszpańskiej w stopniu znacznie mniejszym, niż mniema się to zazwyczaj. Rzecz prosta dystans geograficzny dzielący Warszawę i Madryt utrudniał łączność szybką, choć chyba niewiele bardziej, niż dystans między Madrytem a Wiedniem. Zapewne wywierała swój wpływ znana inercja biurokratycznej maszyny hiszpańskiego imperium, wraz z jej ciągłymi kłopotami finansowymi. Można też powiedzieć, że owa dywersyjna specyfika, jaka nękała oprzyrządowanie instytucjonalne zewnętrznej aktywności Hiszpanii, harmonizowała z podobnie dywersyjną specyfiką instytucjonalną po stronie Polski, gdzie politykę zagraniczną kontrolował Sejm, a pozostającą pod jego władzą politykę fiskalną i budżetową determinował naturalny odruch oszczędności. Jednak uważniejszy ogląd zdarzeń w sferze polskiej polityki zagranicznej lat dwudziestych XVII wieku wyklucza, by to specyfika ustroju miała przesądzić nie dojście do skutku zamierzeń planowanych przez rząd. Uzasadnia zaś myśl, że o fiasku przesądził tu nie czynnik obiektywny, a zespół czynników subiektywnych – skonfliktowanych w rywalizacji o polityczny wpływ, w chwili niemocy opinii publicznej. Stąd uzasadniony jest chyba pogląd, że także po stronie Madrytu o fiasku – o którym mowa – bardziej od czynników obiektywnych, decydowały subiektywne.

Czynnikiem, który w latach dwudziestych zyskiwał wpływ na politykę Hiszpanii coraz bardziej decydujący, bez wątpienia były wyobrażenia polityczne i wola pierwszego ministra króla Filipa IV, księcia Gaspara de Olivares, członka ścisłej elity państwa zasłużonej już od wieków i – mimo zrozumiałych podziałów wewnętrznych – zdolnej zachować dziedzictwo epoki *królów katolickich*, gdy rządy przejął Dom Habsburski. W tym stanie rzeczy trudno rozstrzygnąć, co przesądziło o wyraźnym odejściu od zasad i środków politycznego działania – w sferze tak polityki wewnętrznej, jak zewnętrznej – pod rządami tego męża stanu. Odejściu, które pojąć trudno, skoro doszło do niego, gdy zasady i środki dotychczasowe, choć zapewne nie idealne, jednak święciły triumf wyraźny. Dodatni bilans pierwszej fazy Wojny Trzydziestoletniej oraz zdobycie Bredy i zwycięstwo pod Kadyksem u progu jej fazy drugiej, wszystko to pozostawało zasługą tego kręgu elity, który wiódł rej od schyłku panowania Filipa II, a który prowadził pierwszy minister jego syna, książę de Lerma. Wchodzili w jego skład dwaj wspomniani już twórcy polityki Hiszpanii wobec Rzeszy i Holandii bezpośrednio przed wybuchem wojny

– don Baltazar de Zúñiga y Velasco i ambasador Íñigo Vélez de Guevara de Oñate. Pierwszemu z nich, swemu wujowi, zawdzięczał Olivares miejsce na dworze jeszcze infanta, a teraz już króla. Rywalizacja w latach 1618-1621, której ofiarą padł najpierw sam Lerma, a wkrótce i jego syn, książę de Uceda (†1624) nie zmieniła kierunku utrzymywanego przez Zúñigę – od marca 1621 roku już jako pierwszego ministra, aż do śmierci w grudniu 1622 roku. Olivares – w istocie główny zwycięzca rywalizacji – nie tylko kierunku tego nie starał się utrzymać. I nie tylko nie oddał sprawiedliwości ofiarom dworskich rozgrywek, choćby tak wybitnej postaci, jak zmarły w więzieniu w 1624 roku książę de Osuna – godnie zapisany na wspólnej karcie dziejów Italii i Hiszpanii przyjaciel ambasadora Gondomara. Aż po swój upadek w 1643 roku szykanował Olivares zasłużonych wcześniej i nadal sprawdzających się dobrze mężów stanu i dowódców, jak: Ambrogio Spinola, don Fernández de Castro y Andrade (†1622), Gómez Suárez de Feria (†1634) i bracia Álvarez de Toledo – Fadrique (†1634) i García (†1649) – synowie don Pedra (†1627), organizatora systemu obrony obu akwenów, śródziemnomorskiego i atlantyckiego. Czynnikiem ciężącym nie mniej dywersyjnie na zewnętrznej aktywności państwa, był także duch, w jakim pierwszy minister prowadził reformę, którą zainaugurował jeszcze jego wuj, Zúñiga.

Co charakterystyczne, *Junta de Reformación* – którą Baltazar de Zúñiga powołał w kwietniu 1621 roku – słabości owe miała usuwać drogą istniejących procedur ustrojowych, gdy jego siostrzeniec zamierzał procedury te zmienić. Upór z jakim Olivares usiłował rozbroić Kortezy Kastylii – pertraktując osobno z każdym z wchodzących do nich miast – ani nie złamał ich jedności, ani ich nie powstrzymał od odrzucenia *Capítulos de reformaición*, już po śmierci Zúñigi zadekretowanych przez Filipa IV w lutym 1623 roku. Za decyzją Kortezów Kastylii z kwietnia roku 1623, w styczniu roku 1626 poszły Kortezy Aragonii, a Katalonii i Walencji – w marcu. Tymczasem zakładniczką dobrych relacji między monarchą a stanami – obok sprawy reformy instytucji – coraz bardziej stawała się sprawa skarbu armii. Również ona została pogrzebana przez parlamenty wszystkich królestw Hiszpanii – wzburzone ideą jego centralizacji zawartą w projekcie ustawy *Unión de Armas*, zatwierdzonym przez Radę Państwa w grudniu 1625 roku. Biorące się stąd kłopoty rządu Hiszpanii raczej nie różniły się zbytnio od analogicznych kłopotów rządu Rzeczypospolitej, podobnie jak retoryka wynurzeń, jakie i tu i tam padały z obu stron parlamentarnego dialogu – z efektem podatkowym osiąganym zawsze żmudnie i w rozmiarze rzadko kiedy imponującym.

Podobieństwa, o których mowa, zmuszają przecież do refleksji. Skłaniają one nie tylko do odrzucenia poglądu o *absolutyzmie* monarchii hiszpańskiej i do definiowania jej formy terminem historycznym *monarchia złożona* (*monarquía compuesta*) – a zresztą nie z samej racji złożenia jej z królestw kilku, ale stąd głównie, że w każdym z nich, konstytucyjne prawa monarchy komponowały się z konstytucyjnymi prawami innych ciał politycznych. Bliskość ustroju Pierwszej Rzeczypospolitej i Hiszpanii – mająca potwierdzenie też w historycznym terminie *monarchia mieszana* (*monarchia mixta*), używanym niekiedy w definicji ustroju tej pierwszej – nie skłania wprawdzie, by tak definiowaną specyfikę ustroju uznać za czynnik dywersji aktywności zewnętrznej wyposażonych weń państw. Ale podsuwa refleksję w obu przypadkach ukazującą chyba trafniej synergię realnych przyczyn dywersji. Synergię słabości opinii publicznej, nie reagującej proporcjonalnie do zagrożenia państwa oraz działań, jakie zagrożenie to powodują – niezależnie czy są to działania, co paraliżują jego instytucje intrygą kilku notablów z opozycji, integrowanej mocno acz formułą intelektualnie wątplą, czy też działania pierwszego ministra, które powodują to samo, gdy rządy konstytucyjne chce on zmienić w absolutystyczne. To właśnie zakładał *Gran memorial* – tajny plan, w grudniu 1624 roku przedstawiony przez Olivaresa królowi.

Gra czynników w istocie subiektywnych, jaka w połowie lat dwudziestych XVII wieku obniżyła efektywność polityki zewnętrznej Polski i Hiszpanii, oddaliła od obu państw szansę rozstrzygnięcia konfliktu trawiącego Kontynent nie tylko z korzyścią ich własną, a także bez uszczerbku dla Europy, nadto w stosunkowo krótkim czasie. Zapewne nie była też bez wpływu na pożałowania godny przebieg i nie inne wyniki działań dyplomatycznych Madrytu, Wiednia i Warszawy – wyraźnie nie dotrzymujących miary i potrzebom, i możliwościom. Te ostatnie w całym przecież rozdziale duńskim Wojny Trzydziestoletniej odpowiadały pierwszym.

Bity w swych kolejnych wyprawach do Rzeszy, król Christian IV, który w formalnym sojuszu z Gustawem Adolfem pozostawał od stycznia 1628 roku, zmuszony został zawrzeć z cesarzem *Pokój w Lubecie*, w maju 1629 roku. Przewagę Hiszpanii nad Anglią na morzu – po bitwie pod Kadyksem z roku 1625, w sierpniu 1629 potwierdzoną na Karaibach – kwitowały rokowania, podjęte w końcu 1628 i uwieńczone *Traktatem Madryckim*, w listopadzie 1630. Zwracają uwagę obaj jego twórcy – obaj nie związani z siłami dominującymi w ich rządach. Do kręgu Olivaresa nie należał don Íñigo Vélez de Guevara de Oñate (†1658), syn ambasadora Íñiga – współtwórcy układu familijnego Habsburgów

z 1617 roku. Podobnie sir Francis Cottington (†1652) – katolik i konstruktywny partner ambasadora Gondomara za jego misji w Londynie (nadto przeciwnik Buckingham, po którego śmierci został przez króla zatrudniony w Privy Council) – nie podzielał idei sir Dudleya Carletona. Z pomyślnym zwrotem w stosunkach nad Tamizą zbiegała się ewolucja na froncie *wojny o sukcesję mantuańską*. Wojny, której jedynie zarzewiem były prawa i parantele spadkobierców księcia Mantui, Vincenzo II Gonzagi (†1627) – a więc jego bratanicy Marii (†1660) i jego żony z cesarzem Ferdynandem II siostry Eleonory (†1655) oraz jego stryjecznych braci Ferrante II Gonzagi hrabiego di Guastalla (†1630) i Karola I Gonzagi księcia de Nevers (†1637). Zarzewie dało się wszelako rozniecić dyplomacji Richelieu i Olivaresa. Ale, po militarnych satysfakcjach Madrytu i Wiednia z jednej strony, a z drugiej Paryża, działania wojenne wytraciły impet już z końcem 1629 roku, w stanie mniej wygodnym dla Francji, zaś kompromisowy *Traktat w Cherasco* zamknął wojnę latem 1631. Nie mniej jednak zdołała ona odbić się na przebiegu kampanii w Niderlandach, błyskotliwie otwartej zdobyciem Bredy, w czerwcu 1625 roku. Przesunięcie części hiszpańskich wojsk do Włoch ułatwiło księciu Fryderykowi Henrykowi Orańskiemu kontynuację ofensywy podjętej w roku 1627 i pozwoliło we wrześniu 1629 zająć Bois-le-Duc.

Na ten niekorzystny rozwój sytuacji w zachodniej części północnej rubieży morskiej Kontynentu, nałożyła się ewolucja położenia w jej części wschodniej – bałtyckiej – gdzie od czerwca 1625 roku Rzeczpospolita płaciła słony koszt zwycięstw, jakie nad rządem odnosiła opozycja na kilku kolejnych Sejmach, w tym na ostatnim, zakończonym w marcu. Zamiast – do czego dążył król – nawet trzy lata wcześniej sfinansować zorganizowaną, zwycięską armię spod Chocimia i przenieść wojnę na przeciwny brzeg Bałtyku, przyszło teraz odpierać najazd nowej armii Gustawa Adolfa, wspartego finansowo między innymi z Holandii. Zaskoczenie pozwoliło Szwedom w ciągu dwóch pierwszych miesięcy inwazji zająć prawie całe Inflanty. Zaś po jesiennych próbach pozbierania się, jazda Rzeczypospolitej, w styczniu 1626 roku – pod Walmoją – pierwszy raz w historii nie wykorzystała okazji, by i tym razem pobić, jak zwykle liczniejszą (tym razem tylko ponad dwukrotnie) jazdę szwedzką. A to, jeszcze w tym samym miesiącu, skłoniło hetmana wielkiego litewskiego Lwa Sapiechę do zawarcia rozejmu. Jeden przecież z powodów – jakie na własnie obradującym Sejmie skłoniły Izbę Poselską, by, mimo zaklinań jej marszałka Jakuba Sobieskiego, rozmiarem przyjętego podatku umożliwiła wojnę wyłącznie obronną – począł tracić swój rygor dopiero na Sejmie nadzwyczaj-

nym, odbyłym w Toruniu, w listopadzie tego samego 1626 roku. Sięgnął on do kieszeni obywateli głębiej dla dwu bowiem przyczyn. Nie tylko stąd, że Zygmunt III przybył nań omal wprost z pola bitwy stoczonej w ostatnim tygodniu września pod Gniewem, gdzie król stanął w szeregu osobiście i gdzie armia szwedzka odrzucona została od Gdańska. Gustaw Adolf, życzliwie przyjęty w Prusach Książących przez lennika Korony (swego szwagra), od lipca 1626 roku pustoszył Prusy Królewskie. Otóż listopadowy Sejm nadzwyczajny dlatego też okazał się dla króla hojniejszy, że obradował pod presją lęku tych, którzy bać się mieli czego wiedząc, o czym mówiły ich listy adresowane na Paryż, a w Brukseli przejęte i przesłane do Warszawy.

Odtąd i Sejm pracował wydajniej i operacje wojenne ruszyły żwawiej. Te ostatnie – prowadzone pod kierownictwem hetmana polnego koronnego Stanisława Koniecpolskiego, który w kolejnych bitwach wypierał i osłabiał najeźdźców przez cały rok 1627 – uwięczyła bitwa w Zatoce Gdańskiej, gdzie w listopadzie polska flotylla popisowo rozbiła eskadrę szwedzką. Rok 1628 był co prawda świadkiem apogeum wysiłków mobilizacyjnych Gustawa Adolfa; nie zmieniły one jednak coraz dlań trudniejszej sytuacji w polu. Tymczasem latem, Sejm na sesji nadzwyczajnej – znów pod laską Jakuba Sobieskiego – złożył nowy wyraz swej ofiarności fiskalnej. Ten zaś zbiegł się z przykrym dla Gustawa Adolfa i wszystkich jego sojuszników – na całym froncie od Kanału La Manche po Zatokę Fińską – wahnięciem nastrojów w Holandii. Jednym z jej objawów był wybór republikanina Jacoba de Graeffa (†1638) – wbrew nagonce ze strony partii orańskiej – na burmistrza Amsterdamu; drugim decyzja o cofnięciu zasiłków holenderskich szwedzkiemu „Lwu Północy”; trzecim wyjazd z Hagi szefa rządu „króla zimowego” Czech na emigracji – Kamerariusza. Tymczasem w lutym roku 1629, Sejm uchwalił finansowanie armii trzydziestotysięcznej, a wkrótce potem – lutowe potknięcie kasztelana kamienieckiego Stanisława Potockiego (†1637) pod Górzniem – pod Trzcianą powetował Koniecpolski bijąc w czerwcu Gustawa Adolfa, na dwa miesiące przed początkiem rokowań.

Ośłupienie, w jakie wobec takiego stanu rzeczy wprawia ich wynik – podpisany 28 września 1629 roku *rozejm w Altmarku* – dorównuje zgorszeniu, jakie wywoływać przecież musi zmarnotrawienie przez Warszawę i Madryt całej drugiej połowy lat dwudziestych XVII wieku i ujawnionych w niej możliwości. Tymczasem nie ma złudzeń w przynajmniej jednej sprawie. To w braku efektywności poczynań dyplomacji obu stolic, które zintegrować miały ich wysiłki polityczne i militarne, spoczywa nader istotna przyczyna, dla której

na progu lat trzydziestych Wojna Trzydziestoletnia, zamiast dojść kresu dzięki rozbrojeniu jej potencjału generowanego przez militarizm Gustawa Adolfa – czemu skandaliczny *rozejm w Altmarku* tak walnie zapobiegł – osiągnęła ledwie swój półmetek. Miarą skandalu był bowiem nie tylko – nie uzasadniony sytuacją militarną – zasięg terytorium pozostawionego pod okupacją szwedzką, ale też przyznanie Gustawowi Adolfowi na czas rozejmu udziału w dochodzie z ceł pobieranych w portach Prus Królewskich i Książących. Skandalu dopełniała wyrozumiałość okazana wiarołomnemu lennikowi pruskiemu, który dopuścił się oczywistej felonii, w roku 1626 jawnie ułatwiając swemu szwedzkiemu szwagrowi przeniesienie wojny z Infant do ujścia Wisły, a który w roku 1627 – gdy tylko jego ofensywa załamała się – zadeklarował wierność Koronie. Otóż Jerzy Wilhelm Hohenzollern nie tylko nie został z lenna usunięty, ale przyjęto go na pośrednika w rokowaniach i w ich wyniku otrzymał w sekwestr twierdze w Głowie i Sztumie oraz Malbork i Elbląg.

Akceptacji przez stronę polską niewiarygodnych warunków *rozejmu w Altmarku*, nie usprawiedliwiają ani tradycyjne kłopoty z dyscypliną nieopłaconego na czas wojska, ani sygnały dowodzące prawdopodobieństwa podobnie tradycyjnej dywersji, aranżowanej w Stambule – gdzie notowania patriarchy Lukarisza akurat rosły – a godzącej w system, jakim w 1625 roku bezpieczeństwo Rzeczypospolitej od południowego wschodu osłoniła *Ugoda Kurukowska*. Jej wigoru poświadczono w roku 1628 przez hetmana Doroszeńkę, jesienią 1629 dowiódł jego następca, hetman Hryćko Czorny (†1630), wraz ze Stefanem Chmieleckim znosząc nad Gniłą Lipą niestrudzonego Kantemira. To samo w 1630 wykazała postawa Kozaków i szczupłość sił jakich Koniecpolski użył, by unieszkodliwić atamana Hassana-Tarasa Fedorowicza (†1639) – Tatara i wodza buntu przeciw Czornemu. Równie nikłe pozostawało zagrożenie ze strony Rosji – pomimo aspiracji stronnictwa pragnącego odwetu na Polsce, z patriarchą Filaretem i Dymitrem Pożarskim na czele. Zabiegi Gustawa Adolfa i jego sojuszników, owocowały decyzją Moskwy o napaści na Polskę przed upływem rozejmu dopiero w roku 1632, już więc po śmierci króla. Stąd subiektywne źródła owego rozejmu – tak niefortunnego nie tylko dla Rzeczypospolitej – wypada lokalizować w układzie sił wewnętrznych, jaki postawę negocjatorów polskich i Sejmu, który układ przez nich podpisany ratyfikował, dramatycznie zderzył z wyczuciem rzeczywistości i wolą Zygmunta III.

Król bowiem nie zamierzał wojny z Gustawem Adolfem kończyć inaczej, jak w sposób, który by czynił zadość uzasadnionym w pełni, a bezkolizyjnym interesom obu jego państw – tego, które go uprosiło, by zajął tron Jagiellonów

i tego, które odziedziczył po ojcu. Tak jak w latach 1621-1624 – wbrew opozycji – parł do wojny, tak w latach 1625-1629 – gdy nie uprzedzony w porę atak nastąpił – czynił, co mógł, by doprowadzić ją do zwycięskiego końca. Nie odrzucił wprawdzie rokowań, o które w 1628 roku zabiegali pośrednicy holenderscy – republikanie Andries Bicker (†1652) i Rochus van den Honaert (†1638) oraz oranżysta Simon van Beaumont (†1654) – którzy wyjechali bez sukcesu, już w lipcu. Odprawione bowiem w Prabutach rokowania – obok zwykłej rozbieżności stanowisk – ujawniły różnicę równie przecież istotną. Rozwadze, z jaką strona polska odmawiała zgody na takie warunki rozejmu, które jedynie by oddalały pokój oparty na zasadzie każdemu zwracającej, co jego – strona szwedzka przeciwstawiała tupet żądań tego, co nie było jej należne również i w realiach stosunku sił. W Prabutach nie było różnicy zdań między Zygmuntem III a drużyną negocjatorów. Wśród nich tylko jej szef, biskup chełmiński Jakub Zadzik (†1642) – świeżo mianowany podkanclerzym, a myślący o kanclerstwie po śmiertelnie chorym Wacławie Leszczyńskim (†1628) – i jego szwagier Jan Łowicki (ów elokwentny marszałek Sejmu 1624 roku) zaliczali się do zwolenników pokoju. Z pozostałych nie należał do nich wojewoda kijowski Tomasz Zamoyski (†1638) – darzony przez króla zaufaniem syn tak wrogiemu mu kanclerza Jana, od ośmiu przecież lat trwający w związku z Katarzyną Ostrojską (†1642) – po obu dziadkach, księciu Konstantym (†1608) i Janie Kostce (†1580) prezesie Komisji Morskiej króla Zygmunta Augusta – dziedzicze lepszej części tradycji Złotego Wieku. W pełni podzielali poglądy króla Jakub Sobieski i jego szwagier – również obecny w Prabutach – marszałek nadworny litewski Krzysztof Wiesiołowski (†1637), a także szósty z negocjatorów – starosta dorpacki Ernest Magnus Denhoff (†1642).

Przerwane w marcu rozmowy – i już bez udziału pośredników – wznowione w listopadzie, z początkiem roku 1629 zakończyły się fiaskiem. Ich nową turę umożliwiła oferta mediacji, złożona przez Francję i Anglię. Tura ta właśnie, otwarta w sierpniu – w narastającej harmonii, jaka integrowała Izbę Poselską z Tronem i w aurze czerwcowego zwycięstwa pod Trzcianą – już po miesiącu zaowocowała wspomnianym *rozejmem z Altmarku*. Wynegocjowała go komisja omal w tym samym składzie, co poprzednio. Stosunku sił w niej nie zmieniło zastąpienie wojewody Zamoyskiego podstolim koronnym Jerzym Ossolińskim. Zmieniła się natomiast pozycja jej przewodniczącego – właśnie podniesionemu przez króla na kanclerstwo wielkie – i nie tyle w stosunku do kolegów z komisji, ile wobec Zygmunta III. Z pewnością była to jedna z walnych przyczyn wyniku negocjacji, które w ostatniej chwili zerwać usiłował Jakub Sobieski. Król nie

zostawiał wątpliwości co do swej woli, komentując przyslaną mu przez kanclerza Zadziką ostatnią wersję traktatu – *takim on pokojem straszniejszym się stanie, jak wojna; potrzeba więc Uprzejmości Waszej i Kolegom jego pilnie uważać, aby się tego ustrzec*. W odpowiedzi kanclerz oczywiście zaręczał – *my, jakośmy dotąd nic bez woli Waszej Królewskiej Mości nie uczynili, wolemy odjechać stąd zarażeni, niż ściągnąć na siebie zarzuty, żeśmy rozejm ten przeciw dostojęństwu i pożytkowi Rzeczypospolitej uczynili*. Z konstytucyjnie miarodajną troską kanclerską akcentował jednak – *przecież powodowany wiarą mą ostrzegam, że to wojsko dla samego ciężkiego powietrza rozejść się musi*.

Co oczywiste, troska kanclerza o zdrowie armii, z której to troski przecież – co jasne bez jego intencji – większy wynikł pożytek podobnie narażonej armii szwedzkiej, nie stanowiła decydującego powodu kompromitacji w Altmarku. Nie byłyby przecież wyrazy troski owej tak ponuro skuteczne, gdyby nie pewność kanclerza, co do kwestii decydującej tu w istocie. Co do tego więc, że w procedurze ratyfikacji, za buczeniem oburzonej traktatem Izby Poselskiej, stronnictwo pokojowe jedynie się przyczai, bynajmniej nie tracąc wpływu na jej część wciąż znaczną, która – w razie nieuniknionych przecież wahań losu wojny – delegowałaby na Sejm kolejny Izbę już zupełnie inną. Mógł kanclerz ufać, że król dobra Rzeczypospolitej i marzeń swych sejmowej zgodzie AD 1629 nie raczy zawierzyć. Chyba zaś nie przejmował się tym, że podpis króla złożony pod traktatem, z szacunku dla kanclerskiego urzędu, odpowiedzialność za bezwstyd zdejmie też z narodu i jej całością obciąży ministra. Ministra, któremu urząd ów powierzając, król dobrze wiedział, że czyni gest pod adresem rzeczników pokoju. Ci bowiem, kierowani przez „papieża” kalwinistów w Koronie, wojewodę bełzkiego Rafała Leszczyńskiego (†1637), a przez Krzysztofa Radziwiłła w Księstwie, słuchali rad podobnych tej, którą owemu drugiemu – po ujawnieniu kompromitującej go korespondencji na Sejmie 1626 roku – dał katolicki sojusznik polityczny ich obu, kasztelan krakowski Jerzy Zbaraski: *siedzieć cicho, jakoby nic nie było, jako nie wiedząc o tem [...] do Sejmu jeszcze dwie lecie*. Co więcej, książę kasztelan – sam odtąd głośny rzecznik wojny – radę daną hetmanowi polnemu litewskiemu dopełnił apelem do jego rozsądku: *Pan już stary, już sześćdziesiąt trzy lat ma, który to wiek każdemu jest najniebezpieczniejszy*.

Co przecież nie mniej oczywiste, na ratyfikację miał pewien wpływ udział w redagowaniu traktatu dyplomacji francuskiej i angielskiej. Udział ten determinowało zaś dążenie – o czym wiedzano wtedy równie dobrze jak dziś – by armię Gustawa Adolfa pchnąć do Rzeszy Niemieckiej, aby tam wsparła

protestantów, pokonanych we właśnie zamkniętym, duńskim okresie Wojny Trzydziestoletniej. Nie dziwi, co jasne, że kanclerz Oxenstierna nie przepuścił okazji, jaką mu nastręczyły Londyn z Paryżem, a zapął obu dyplomacji wykorzystał zmuszając je do działań z zasadami pośrednictwa dyplomatycznego niezgodnych jaskrawo, acz działań pod takim to tytułem przez dyplomację polską dopuszczonych. Nie dziwi także sam tychże dyplomacji zapął, tłumaczony personaliami dyplomatów, którymi byli – ze strony francuskiej baron Hercule de Charnacé (†1637), a sir Thomas Roe z angielskiej. Baron, jako syn chrzestny wybitnego przedstawiciela katolickiej linii Rohanów, księcia Herkulesa de Guéméné (†1654) – brata ciotecznego innej gwiazdy dyplomacji francuskiej, barona Charlesa d’Avaugour (†1657) – którego linia inna toczyła właśnie bój o swobody kalwińskie we Francji, wchodził do ścisłego ośrodka planowania, powierzonego kardynałowi Richelieu. Nie inaczej sir Thomas. Parokrotnie już tu wspomniany, niedawno wrócił on z misji w Stambule, gdzie ostatnio, wsparty przez patriarchę Lukarisa, organizował w roku 1626 – choć bez sukcesu – wielką koalicję turecko-siedmiogrodzko-angielsko-francusko-duńsko-szwedzką, w obronie kalwinistów z Rzeszy Niemieckiej. Zwłaszcza w poczynaniach sir Thomasa uzewnętrzniana raczej naiwnie, stronnictwo mediatorów nie stanowiła niespodzianki. W niewielkim jednak stopniu wpływała na bilans czynników, który zadecydował o żałosnym zwycięstwie, jakie w Altmarku „wola pokoju” odniosła nad polską racją stanu, postawą króla i większością opinii, gdy ta z sugestii zdrowego rozsądku nie zechciała skorzystać i nie zdobyła się na niezbędny wysiłek. Stąd, gdy analiza układu i stosunku sił wróżyła powodzenie tego wysiłku z pewnością omal zupełną, przyjąć można, że czynnikiem, który na balansie czynników decyzji podjętych w Warszawie od sierpnia do listopada 1629 roku zaważył ostatecznie, były postawy Madrytu i Wiednia.

O postawach tych, w każdej z obu stolic – nie inaczej jak było to w Warszawie – przesądzał balans miejscowych czynników decyzji, który nie ułatwiał formowania ich postaw w duchu niezbędnym do akcji jednomyślnej i stanowczej. Powodowane przez to kłopoty przy zestrzajaniu działań Madrytu i Wiednia, nie były wiele mniejsze od trudności podobnych w ich współdziałaniu z Warszawą. Fenomen wydaje się to godny uwagi nie tylko stąd, że w jego świetle niknie demoniczny obraz zagrożeń ówczesnej Europy hegemonią państw katolickich. Przecząc tezie o zagrożeniu takich obecności obiektywnej, potwierdza on tezę, że tychże państw działania ówczesne miały naturę wyłącznie defensywną. To jest więc, że Warszawa, Madryt i Wiedeń broniły

jedynie *status quo*, które – co tak istotne – nie było stanem ich hegemonii, a stanem godnym miana *politycznej wielobiegunowości* Kontynentu. Co zresztą wydaje się istotne z powodu jeszcze jednego.

Fenomen kłopotów po stronie Madrytu, Wiednia i Warszawy z zestrojeniem działań obronnych kontrastuje wymownie z fenomenem ofensywnych koordynacji działań strony przeciwnej – integrującej bardzo niejednorodne czynniki dziejotwórcze. Nadto na tyle nowe, że zdaniem części historiografii będące zwiastunami epoki, która dopiero nadchodziła. Takie tedy czynniki, jak wyobrażenia o angielskiej czy też francuskiej racji stanu – rodem z wyobraźni Johna Dee czy kardynała Richelieu – lecz w obu monarchiach nadal nie do końca miarodajne. I także takie czynniki, jak *networki* wyznaniowe, również kupieckie i jak chociażby więzi spadkobierców *networku* sir Francis Walsinghama. Ów zespół czynników niejednorodnych, a nowatorskich, wykazywał znacznie większą determinację i zdolność do współdziałania, niż państwa stabilnie osadzone w dorobku poprzednich epok i otulinie laurów aktualnych, a nie zantagonizowane wzajemnie, przeciwko którym – mimo kolejnych porażek – swoją ofensywę kierował tak uparcie i których kłopoty z koordynacją działań narzucających się z absolutną oczywistością, doprawdy mogą zdumiewać.

W latach dwudziestych XVII wieku nie byłyby to działania niespodziewane. Badając w końcu stulecia poprzedniego możliwość wspólnej akcji w Cieśninach Sundu, Rzeczpospolita i Hiszpania podejmowały wątki wcześniejszej o lat dwadzieścia rozmowy króla Stefana z nuncjuszem Vincenzo Laureo (†1592). Zrozumienie króla Filipa III dla wspólnoty morskich interesów Polski i Hiszpanii, demonstrowały wspomniane już incydenty dyplomatyczne z lat 1614-1615.

Jednak zrozumienie tej kwestii, okazane w lutym 1623 roku przez Olivaresa posłowi króla Zygmunta III, opatowi jędrzejowskiemu Adamowi Mąkowskiemu (†1623), zapewne przewyższało zapal, z jakim minister króla Filipa IV zabrał się do dzieła. Albowiem nie tylko wbrew opinii wybitnych członków *Consejo de Estado* – jak Juan Manuel de Mendoza markiz de Montesclaros (†1628), Juan Hurtado de Mendoza markiz de Hinojosa (†1628) i Fernando Girón (†1631) – już wtedy wątpił w możliwość wsparcia flotą hiszpańską bałtyckiej ofensywy Zygmunta III. Co znamienne zaś, żaden z wymienionych mężów stanu nie wchodził do kręgu politycznie bliskiego Olivaresowi. I co nie mniej znamienne, podjęta w kwietniu roku 1623 i spisana własnoręcznie przez monarchę hiszpańskiego decyzja o finansowym poparciu sprawy, aż po

rok 1626 nie wywołała posunięć z duchem jej zgodnych. Trudno bowiem przypuszczać, by duchowi współpracy Polski i Hiszpanii nad Bałtykiem odpowiadał duch zrozumienia, jaki na przełomie 1624 i 1625 roku, połączył Olivaresa – wiedzącego chyba z kim rozmawia – z przybyłym z Wiednia hrabią Georgiem Ludwigiem Schwarzenbergiem (†1646).

Bałtycki plan Olivaresa – chyba właśnie wtedy uzgodniony ze Schwarzenbergiem – sabotował polski plan wyraźnie. Sabotował nie dlatego, że współpracę Hiszpanii z Polską warunkował udziałem w niej cesarza – bo był to udział pożądany dla stron wszystkich – ale dlatego, że poddając relacje Madrytu z Warszawą niejako cenzurze ze strony Wiednia, jej wykonawstwo powierzał temu środowisku znad Dunaju, które z interesami Rzeczypospolitej – zwłaszcza bałtyckimi – pogodzić się nie myślało, niezależnie od woli samego Ferdynanda II.

Hrabia Schwarzenberg z pewnością nie podzielał poglądów ambasadora Austrii w Madrycie, Franza von Khevenhüllera (†1650), zgadzającego się z ambasadorem Hiszpanii w Wiedniu, don Íñigo de Oñate lepiej, niżeli z szefem cesarskiej Tajnej Rady księciem Hansem Eggenbergiem (†1634). Z kolei książę Hans, wraz z Olivaresem podzielał absolutystyczny gust kardynała Richelieu, żywił zaufanie do osoby nader kontrowersyjnej, jaką w Madrycie i w Wiedniu pozostawał Albrecht Wallenstein (†1634) – od czerwca 1625 roku generalissimus armii Cesarstwa, pogromca Chrystiana IV w duńskiej fazie Wojny Trzydziestoletniej. Między innymi różnicę stosunku do Wallensteina ujawniały polaryzacje stronnictw znad Dunaju i znad Manzanaresu. Przykładem może być niechęć, jaka życzliwego Wallensteinowi Olivaresa dzieliła – z nie przekonanym do obu – ambasadorem Íñigiem, którego właśnie na przełomie 1624 i 1625 roku w Wiedniu zmienił don Francisco Moncada de Aytona (†1635). Sam zaś hrabia Georg był w paranteli z Adamem Schwarzenbergiem (†1641) – dobrze znanym w Warszawie radcą księcia Jerzego Wilhelma Hohenzollerna, jako też i przyjacielem kardynała Khlesla, który za zgodą cesarza, w połowie lat dwudziestych wrócił z wygnania w Rzymie.

Ferdynand II, wyważając fawory dystrybuowane frakcjom swojego dworu – co łatwo pojąć, zważywszy powagę położenia – z pewnością panował intelektualnie nad sytuacją w Rzeszy. Jednak niezależnie od woli cesarza, topografia wiedeńskich sympatii Olivaresa nie sprzyjała kooperacji Polski i Hiszpanii. Właśnie owa topografia zdeterminowała zabójczą dla niej ideę wielkiej *Ligi Przymierza* (*Liga de Alianza*). Liga ta – z cesarzem, Polską i Hiszpanią – połączyć miała tak mało życzliwego Habsburgom papieża

Urbana VIII obok luterńskiego elektora saskiego, księcia Jana Jerzego I Wettyna (†1656) – żonatego z cioteczną siostrą księcia-elektora Jerzego Wilhelma Hohenzollerna oraz małżonek Gustawa Adolfa i Gabora Bethlena. Skazane z góry na fiasko, a przez Eggenberga przyjęte życzliwie, próby organizacji Ligi zajęły cały rok 1625.

Dyplomacja Rzeczypospolitej nie zaniedbała uprzedzić owego sabotażu. W maju 1624 roku królewicz Władysław ruszył w ponad roczny objazd Europy – między innymi z wizytami: w Rzymie i Wiedniu, a także w Monachium – u przywódcy Ligi Katolickiej, księcia Maksymiliana Wittelsbacha, u swojej ciotki – wielkiej księżnej i regentki Toskanii Marii Magdaleny Habsburżanki (†1631). Odwiedził też Brukselę, gdzie namiestnictwo Niderlandów Hiszpańskich sprawowała infantka Izabela Habsburżanka (†1633) – ostatnia z potomstwa króla Filipa II. Znalazł u niej królewicz zrozumienie szczególne. Obejmowało ono koordynację działań bałtyckich i plany związków rodzinnych. Infantka Izabela orędowniła u Filipa IV za małżeństwem swej bratanicy, a jego ciotki, infantki Marii Anny – niedoszłej narzeczonej Karola I Stuarta, w roku 1631 wydanej za przyszłego cesarza Ferdynanda III (†1657) – z królewiczem Władysławem, ostatecznie ożenionym w 1637 z arcyksiężniczką Cecylią Renatą (†1644), córką cesarza Ferdynanda II. Całej podróży królewicza, choć odbywanej *incognito*, towarzyszyła recepcja na poziomie najwyższym, czym kolejni gospodarze kwitowali prestiż państwa i dynastii, wzmocniony niedawnym zwycięstwem pod Chocimiem, gdzie miał Władysław swój udział osobisty.

Rozwiewanie się z biegiem czasu koncepcji maksymalistycznej, jaką z pewnością była *Liga de Alianza*, usprawiedliwiło wizytę w Wiedniu, którą jeszcze pod koniec 1625 odprawił marszałek wielki koronny Mikołaj Wołski. Niezwykły ów człowiek i wybitny mąż stanu, pokrewieństwem związany z wielkimi kanclerzami doby Jagiellonów – z prymasem Janem Łaskim (†1531), z jego rywalem i następcą prymasem Maciejem Drzewickim (†1535) oraz z Janem Ocieskim (†1563) – a urodzony w apogeum batalii o *egzekucję praw i dóbr*, osłuchany był w obydwu wątkach koncertu dyplomacji jagiellońskiej. Po ojcu, marszałku nadwornym Stanisławie (†1568) i stryju Mikołaju biskupie kujawskim (†1567), odziedziczył Wiarę, wraz z wyczuciem kulturowym uniwersalizmu jej wyznania rzymskiego. Intelktualista, pełen ogłady jednajacej mu wyrafinowane dwory Italii z papieskim na czele. Do misji wiedeńskiej zalecały go szczególnie dwa walory – znajomość terenu z jego wieloletniego pobytu na dworze cesarskim, gdzie po raz pierwszy

trafił jeszcze za Maksymiliana II i przekonanie o fundamentalnym znaczeniu odbudowy jagiellońsko-wazowskiej unii bałtyckiej. Jednego i drugiego mu nie brakowało, gdy w siedemdziesiątym drugim roku życia wyruszył w misji swej już ostatniej.

Przedstawioną przez niego wizję dwóch skoordynowanych ofensyw – króla Zygmunta z Inflant na terytorium Szwecji, a cesarza Ferdynanda na Danię – przyjął Wiedeń z aprobatą do przewidzenia łatwą. Tak z uwagi na trwającą już inwazję Rzeszy przez Chrystiana IV, jak na zawartą w czerwcu 1624 roku w Sjöaryd, ugodę króla Danii z Gustawem Adolfem, do której obu władców skłonili ich kanclerze, Jacob Ulfeldt (†1630) i Axel Oxenstierna, a która w styczniu 1628 zamieniła się w sojusz. Zadaniem króla Filipa byłoby wsparcie obu ofensyw operacjami morskimi, nie wymagającymi środków nadmiernych, zważywszy na stosunkowo wtedy małe rozmiary floty szwedzkiej – ledwie przekraczającej liczbę dwudziestu jednostek – i niewielką wówczas możliwość zaangażowania się flot Anglii i Holandii. Do floty polskiej, od szwedzkiej szczuplejszej, dołączyłaby hiszpańska z Dunkierki. Dowództwo obu, jak później to uzgodniono, sprawowałby królewicz Władysław – brat cioteczny króla Hiszpanii i siostrzeniec cesarza. Miałby też król hiszpański wesprzeć polskiego zasiłkiem 400 tysięcy talarów, dzięki czemu mógłby Zygmunt III zaciągnąć armię bez potrzeby zwracania się do Sejmu i – zapewne wzorem wziętym z 1609 roku – rozpocząć akcję w oparciu o postanowienie Rady Senatu.

Aprobata wizji Wolskiego w Wiedniu zobowiązała bliskiego Olivareso-
wi ambasadora Aytonę – którego marszałek odwiedzić nie zaniedbał – do poinformowania o niej Madrytu. Tu, pod nieobecność pierwszego ministra, przyjęli ją z zapalem sekretarz *Consejo de Estado* do spraw północnych – Juan de Villela (†1630) i markiz de Montesclaros. Filip IV poselstwo do Warszawy zlecił Jeanowi de Croÿ hrabiemu de Solre (†1638), wybitnemu przedstawicielowi elity Niderlandów Hiszpańskich – pomijając hrabiego Juana de Vera y Figueroa (†1638), przez Olivaresa wyznaczonego na nie wcześniej. Powołana też została *junta del mar Báltico*, między innymi do sprawy połączenia flot bałtyckich, co prawda z wygórowanym pojęciem o rozmiarze polskiej. Kontynuowaną od 1620 roku rozbudowę tej ostatniej, zakłóciła śmierć jej niezmordowanego organizatora, wojewody malborskiego Jana Wejhera (†1626) – jeszcze w czasie podróży hrabiego Solre do Warszawy, dokąd ten wyruszył w marcu 1626 roku, przez Brukselę. Tu wziął udział w naradach, których tematem głównym była sprawa koalicji

z Polską, a w których trakcie odprawiony został z niczym Erik Larsson von der Linde (†1636), przybyły tu w kwietniu z ofertą aliansu poseł Gustawa Adolfa.

Zygmunt III przyjął ambasadora Hiszpanii w Warszawie w lipcu, potwierdzając wolę realizacji wizji przedstawionej przez Wolskiego Aytonie. Od królewicza Władysława otrzymał Solre list do Filipa IV z ofertą objęcia przez siebie dowództwa połączonych flot. Zgodność tak budowanej współpracy Polski i Hiszpanii z zasadami doktryny polityki zagranicznej Piastów i Jagiellonów potwierdzało też stanowisko Madrytu w sprawie sukcesji Księstwa Pomorskiego. Definiowała je nieufność do Berlina po stronie niechętnego elektorowi Jerzemu Wilhelmowi ambasadora Oñate – w ostatnich chwilach jego misji w Wiedniu, przez właśnie goszczącego tam królewicza wprowadzonego w plany Zygmunta III. Co znamienne, hrabia Solre prosił z Warszawy Filipa IV o nacisk na ambasadora Aytonę i samego cesarza Ferdynanda, by ten nie obiecywał elektorowi inwestytury na Księstwo Pomorskie. W wysłanym w styczniu 1627 roku liście do Aytony, król Hiszpanii wyraził życzenie, by po śmierci ostatniego pomorskiego Gryfity – księcia Bogusława XIV (†1637) – otrzymał je w lenno królewicz Władysław.

Relacja, jaką hrabia Solre złożył po powrocie, spowodowała polecenie króla Filipa wypłaty 200 tysięcy dukatów, zaś *Consejo de Estado*, popierając sprawę w listopadzie 1626 roku, uczyniła to w zgodzie z don Pedrem de Toledo, który ją uznał za *sprawę najbardziej doniosłą i ważną ze wszystkich jakie można podjąć dla zachowania i pomnożenia monarchii*. Następnie w kwietniu 1627 roku – a więc synchronicznie ze zniesieniem blokady Pucka i zwycięstwem Konięcpolskiego pod Hammersztynem – król i sekretarz de Villela podpisali decyzję o sfinansowaniu hiszpańskiej floty bałtyckiej oraz o jej połączeniu pod dowództwem królewicza z flotą polską.

Rzecz w tym jednak, że chęć nadrobienia tak oto w roku 1626 zwłoki z trzech poprzednich lat, nie pociągnęła za sobą po stronie Hiszpanii – wbrew woli Filipa IV, don Pedra de Toledo i sekretarza Villeli – działań dostatecznie efektywnych w zwycięskim dla Polski roku 1627. Nie była takim działaniem aktywność agenta Gabriela de Roy (†1646) – już po upadku Olivaresa osadzonego i zmarłego w więzieniu – którego w kwietniu minister oddelegował do organizacji floty, wykluczwszy wcześniej możliwość wysłania na Bałtyk floty stacjonującej w Dunkierce. Wyraźnie nie posłużyła sprawie misja, z jaką rychło po hrabim Solre wyjechał do Warszawy Charles de Bonnières baron d'Auchy (†1668) spowinowacony z Aytoną, który – podobnie jak de Roy

i Georg Ludwig Schwarzenberg – należał do grona zwolenników Wallensteina. Myśl o oddaniu floty organizowanej przez Roya właśnie generalissimusi wojsk cesarskich, wraz z ideą cesarskiego patronatu nad całością akcji bałtyckiej i północno-morskiej – z biegiem roku 1627 zwyciężająca w tym gronie – miała w Olivaresie gorącego rzecznika, jeśli nie autora. Bez w wątplenia tu właśnie tkwiła przyczyna główna niepowodzenia pierwszej misji hiszpańskiej opata lubińskiego Stanisława Mąkowskiego (†1658) – bratanka księdza Adama. Podczas niej, w maju 1627 roku, razem z dowodem niezmienności stanowiska polskiego, Madryt otrzymał sugestię, że do wspólnych działań na Bałtyku gotów dołączyć Bogusław XIV – pan brzegów i portów od Stralsundu przez Szczecin po Słupsk – jak dotąd, mimo nacisków Wallensteina z jednej strony, a Chrystiana IV i Gustawa Adolfa z drugiej, skutecznie broniący neutralności Pomorza.

Zrozumiałemu w takim stanie rzeczy sceptycyzmowi co do dalszego rozwoju sprawy, demonstrowanemu przez króla Zygmunta baronowi d'Auchy, gdy ten w lipcu 1627 roku – po pobycie w Wiedniu – pojawił się na dworze warszawskim, towarzyszyła rezygnacja królewicza z dowództwa floty, dokonana ze skwapliwością uzasadnioną należnym wujowi szacunkiem siostrzeńca. W lutym roku 1628 Wallenstein mianowany został admirałem Mórz Północnego i Bałtyckiego. Stosunek nowego admirała do operacji morskich – entuzjastyczny w listopadzie 1627 – rychło przecież począł ewoluować w sposób na tyle złowróżbny, by w maju 1628 roku, mocno zawyżone wymagania Wallensteina odnośnie wielkości floty, którą miał dowodzić, musiały budzić obawy, co do jego zamiarów. Obaw tych jednak książę Olivares nie podzielał. Tymczasem o jego zaufanie do Wallensteina, w maju i we wrześniu roku 1628 rozbiły się kolejne apele królewicza – popierane przez sekretarza Juana de Villelę – o połączenie floty organizowanej przez de Roya z flotą polską, od zwycięstwa pod Oliwą w listopadzie 1627 oczekującą rozkazu wypłynięcia w morze. Analizy sytuacji w Warszawie, jakie do Madrytu słał baron d'Auchy podbudowywały stanowisko Olivaresa. Dezawuowały bowiem możliwości króla Polski w zakresie realizacji jego woli, jako ograniczone przez opozycję, acz dopuszczały możliwość zwrotu nastrojów, z chwilą pojawienia się hiszpańskiej floty w Gdańsku.

Przecież nie po to, by dowieść, że nie są to możliwości małe, w ostatnich dniach roku 1628 zwycięzcom spod Oliwy król Zygmunt polecił – wobec nalegań z Wiednia – popłynąć do Wismaru, do dyspozycji Wallensteina. Flotylla polska w pewnym stopniu zmieniła korzystny dla przeciwników

Rzeczypospolitej stosunek sił na Bałtyku południowo-zachodnim, w finale duńskiej fazy Wojny Trzydziestoletniej, na pół roku przed kwitującym klęskę Chrystiana IV *traktatem w Lubece*. Dla Zygmunta III, który – czując się prawowitym królem Szwecji, o przymierzu z Danią przeciw Gustawowi Adolfowi nie myślał, ani wtedy, ani podczas *wojny kalmarskiej* (1611-1613) – było oczywiste, że alians, jaki ten zawarł z królem Chrystianem w styczniu 1628 roku, przesądza o rychłym otwarciu następnej fazy *Wojny Trzydziestoletniej*, zwanej fazą szwedzką. Im szybsza i im cięższa stawała się porażka Danii, tym mniej możliwe było udzielenie przez nią pomocy Gustawowi Adolfowi, do którego o inaugurację fazy kolejnej apelowali bici w fazie obecnej Duńczycy. Z drugiej strony, wsparcie Wallensteina skromną flotą polską, mobilizowało Wiedeń do wywiązania się z obowiązków sojuszniczych militarnym posiłkiem w kampanii roku 1629 w Prusach Królewskich.

Brak woli Olivaresa do wsparcia flotą hiszpańską desantu Zygmunta III w Szwecji znajdował pewne wytłumaczenie *wojną o sukcesję mantuańską*, trwającą od wiosny 1628 roku – w jakimś stopniu sprowokowaną przez księcia – a sabotującej wysiłek zbrojny Hiszpanii również nad Morzem Północnym. Trudno jednak traktować poważnie tłumaczenia rezygnacji Madrytu z interwencji na Bałtyku kłopotami finansowymi. W tym samym przecież czasie był Olivares przygotowany na wydatek 200 tysięcy dukatów – kwoty mniej więcej wystarczającej do sfinansowania akcji bałtyckiej – które w lutym 1629 roku ofiarował księciu Henrykowi de Rohan, by zapobiec ugodzie kalwinistów francuskich z kardynałem Richelieu. Miękkie w sprawach wyznaniowych – a integralne, gdy szło o dyplomację – stanowisko okazał Olivares wtedy nie po raz ostatni. W czasie obrad *Consejo de Estado* w lutym 1629 roku przyjęcie popartego przez Spinozę, kolejnego planu królewicza Władysława – dla polskiego desantu w Szwecji przewidującego pomoc Madrytu już wyłącznie finansową – uzależnił on od Wiednia. Wkrótce zaś, w rok po inauguracji szwedzkiej fazy *Wojny Trzydziestoletniej*, przekonane o niezmienniej postawie polskiego króla, jak i o potrzebie inwazji Szwecji, *Consejo de Estado* wysłuchało opinii pierwszego ministra, że lepiej realizować tę ideę ze wsparciem króla Anglii – czyniąc zadość pretensjom jego szwagra, „zimowego króla” Czech – i króla Danii, w maju 1629 roku w Lubece, podczas rokowań pokojowych potraktowanego zdumiewająco łagodnie.

Postawa Madrytu w kwestii kooperacji polsko-hiszpańskiej na Bałtyku, przez cały rok 1629 harmonizowała z postawą Wiednia we współpracy militarnej z Rzeczpospolitą u ujścia Wisły. Przysłany Koniecpolskiemu przez

Wallensteina Hans Georg von Arnim-Boitzenburg (†1658) – poddany elektora Jerzego Wilhelma Hohenzollerna, w latach 1613-1617 służący Gustawowi Adolfowi, do którego po epizodzie służby cesarskiej wrócił rychło – po błaznieniu wybryków swoich żołnierzy zniechęcał opinię polską i do alianta i do samej wojny. Trudno oprzeć się wrażeniu, że w położeniu takim, zgoda króla Zygmunta na ratyfikację *rozejmu w Altmarku* – o zaledwie kilka miesięcy uprzedzająca inwazję Gustawa Adolfa na Cesarstwo – stanowiła rozsądną reakcję na postawy Madrytu i Wiednia. Postawy, których absurdalność ujawniana właśnie wtedy, nie obciążała samych monarchów, tak niesłusznie pomawianych o wyznaniową nietolerancję i absolutyzm polityczny.

Ojciec Guillaume Lamormaini (†1658) jezuita, spowiednik cesarza Ferdynanda II, jak i dominikanin Antonio de Sotomayor (†1648), spowiednik króla Filipa IV, na pewno dobrze wyczuwali dramatyzm relacji swoich penitentów z ministrami, Eggenbergiem i Olivaresem. Ministrowie ci wprawdzie wychodzili naprzeciw poczuciu odpowiedzialności monarchów z ideą wzmocnienia ich władzy, lecz ich polityka racją stanu w istocie żonglowała. Polityka ta oparta o zasady właściwsze dworskiej intrydze, niż debacie publicznej, obniżała wewnętrzny i zewnętrzny autorytet ich państw. Nie trudno i nam wyczuć niepokój, jaki u obu monarchów musiał wzbudzać ich instynkt religijny – potęgujący przecież ich poczucie odpowiedzialności za polityczne realia, gdy oglądu tychże nie szczędził im ich szeroki horyzont intelektualny. I nie tylko dlatego, że wraz z przesileniem na dworze, z ministrem odchodził także i spowiednik.

Dlatego również, że każdorazowemu uświadomieniu niedostatku panowania nad grą wewnętrzną, musiała obu monarchom towarzyszyć świadomość niedostatku kontroli stanu gry zewnętrznej. Tak jak było to w roku 1634, kiedy skompromitowani zdradą Wallensteina odchodzili książę Eggenberg i ojciec Lamormaini, jak i w 1643, gdy brat Antonio towarzyszył księciu Olivaresowi – kwitowanemu za politykę, jaka pod hasłem wzmocnienia władzy króla, naraziła państwo na rozpad. Nie mógł bowiem sumieniu cesarza obojętnym być fakt, że do porządku przywoływały ojca Lamormainiego – postać walnie zasłużoną dla upowszechnienia czarnej legendy jezuitów i konfesjonału manipulującego polityką – jego władze zakonne. Nie inne zapewne obawy budziła w sumieniu Filipa IV opinia brata Juana de Santo Tomás – João Painsot (†1644) – współbrata Antonia de Sotomayor i jego następcy, jako spowiednika króla. Wybitny ten tomista był bowiem zarówno orędownikiem sprawiedliwego osądzenia występków, którymi przyjaciele Olivaresa ranili

uczucia społeczeństwa, jak rzecznikiem woli ogółu, by władzy swojej król Hiszpanii nie przelewał na pierwszego ministra. Niepewność sytuacji, jako dopust ich powszedniości, cesarz Ferdynand i król Filip odczuwali przecież nie tylko w zwrotnych chwilach przesilen dworskich. Zapewne dawała ona o sobie znać na długo przed latem 1630 roku, kiedy „owoce” *pokoju w Lubece* i *rozejmu w Altmarku* dojrzały w pełni.

Już przecież w niecały miesiąc po zawarciu *pokoju w Lubece* książę Fryderyk Henryk Orański rozpoczął oblężenie Bois-le-Duc – zakończone klęską obrońców w wigilię *rozejmu w Altmarku*, w dziewięć miesięcy przed desantem armii Gustawa Adolfa na terytorium Księstwa Pomorskiego (6 lipca 1630) i początkiem *szwedzkiej fazy* Wojny Trzydziestoletniej. Nie wiemy wprawdzie w jakim stopniu pogląd, że realizacja planu marszałka Wolskiego zapobiegłaby z pewnością obu katastrofom, wzmacniał niepewność w Wiedniu i w Madrycie, ale mamy chyba prawo sądzić, że ofiarami właśnie jej ostatecznego rozwiązania się latem 1630 roku, były osoby za fiasco tego planu odpowiedzialne w stopniu wcale niemałym. Wrzesień przyniósł dymisję generalissimusa Wallensteina, co zbiegło się z końcem misji markiza de Aytony w Wiedniu, dokąd z Madrytu, jako ambasador, powrócił don Iñigo de Oñate. Wkrótce po nim przybyła nad Dunaj infantka Maria Anna, by poślubić syna i następcę cesarza – a z nią zaś kombatant don Iñiga w tej samej sprawie ambasador Khevenhüller, odtąd ochmistrz jej dworu.

Ów zwrot nie rozpraszał przecież niepewności do końca. Wprawdzie jeden z głównych rzeczników idei, by kalwińskiemu *networkowi* w Rzeszy przeciwstawić niemiecki luteranizm, a zarazem jeden z protektorów generalissimusa, kardynał Khlesl, tej samej jesieni przeniósł się do lepszego świata, ale jego następca i wierny uczeń – biskup Anton Wolfradt (†1639) – sympatyzował z tą ideą i z Wallensteinem. Trwał też nadal na urzędzie inny sprzymierzeniec Wallensteina – radca książę Eggenberg. Nadal też spowiednik cesarza ojciec Lamormaini nakłaniał Ferdynanda II do idei podobnej, uzupełnionej ideą dodatkowego aliansu z Francją. Działo się to w chwili, gdy Richelieu negocjował koszty nowej batalii o *swobody niemieckie* i kalwińską sprawę „zimowego króla” Czech – z udziałem Saksonii i Brandenburgii – toczoną pod komendą Gustawa Adolfa. Mógł – wydawałoby się – rozwiązać złudzenia wynik dwóch bitew: pod Breitenfeld 17 września roku 1631, w której protestancki „Lew Północy” rozbił armię cesarską i o pięć dni wcześniej, na Kanale Slaak, w której Bruksela straciła flotę dunkierską. Tego jednak, że niepewność nigdy nie ma końca, dowiodły konsekwencje obu klęsk. Po Breitenfeld – ku

zgrozie ambasadora de Žonate – wrócił do łask dworu Wallenstein, na ostatnie dwa lata swojej zakończonej zdradą posługi Cesarstwu. Chyba jeszcze większą zgrozę ambasadora wywołał awans winnego utraty floty dunkierskiej – tym bardziej, że była to już druga flota, na los której miał on wpływ wybitnie ujemny. Winowajca ów bowiem – a był nim tak źle w sprawie morskiej współpracy Hiszpanii z Polską zasłużony markiz de Aytona – przeniesiony został z Wiednia do Brukseli, by tu, po śmierci namiestniczki Izabeli, pełnić obowiązki gubernatora Niderlandów i w ostatnich dwu latach życia firmować kolejne porażki hiszpańskie – tym razem lądowe.

Stąd sens odprawy pożegnalnej, danej baronowi d'Auchy w maju 1630 roku, trudno analizować bez refleksji może niespodziewanej. Surowy w ocenie republikańskiego ustroju Polski, zapewne też nie bez wpływu stereotypów, jakie wrogie jej pióra już wtedy rozpowszechniały w Europie – jak rymowanką francuską uczynił to Philippe Desportes (†1606), a sir George Carew (†1613) angielską prozą – baron brał ze sobą listy króla i królewicza do Filipa IV, z deklaracją ich niezmiennego stanowiska w kwestii współpracy morskiej i z sugestią, by flotyllę polską z Wismaru cesarz odesłał do Gdańska. W podobnym duchu instruował król ambasadora podczas audiencji. Być może nawet, że dostrzegając determinację polskiego monarchy, d'Auchy mu współczuł – z racji ograniczeń konstytucyjnych, jakie przynajmniej w teorii jego wolę czyniły daremną poniekąd *a priori*. Niewykluczone też, że to jego patriotyzm własny kazał mu nie dostrzegać – mimo doświadczeń, w których niejako sam był preparatem – siły więzów pętających wolę jego własnego króla.

Ale niewiarygodna jest myśl niesiona w poglądzie wciąż modnym, że ustrój *monarchii absolutnej* państwom, które go przyjęły dał przewagę nad państwami, co tego nie uczyniły.

Brak bowiem dowodów, że słabość kontroli polityki zagranicznej przez ciała parlamentarne – pozwalając na szybkie i elastyczne nią sterowanie – w równym przeciw stopniu pozwala na kierowanie jej w stronę dowolną – w tym też w niezgodną z *racją stanu*. Nie musi to wcale wynikać ze złej woli monarchy, którego władzę – zwłaszcza absolutną – czyni władzą iluzoryczną natura jej podstawy, jaką jest Dwór. Stąd też ograniczona wartość prognoz zachowania się państw rządzonych autorytarnie – prognoz odnoszących się do subiektywnej woli określającej ich kurs. Niejednoznaczność materialnych i duchowych czynników determinujących decyzję o jego podjęciu, znacznie utrudnia prognozę też co do obiektywnej możliwości jego utrzymania.

Niepewność więc, jaka na półmetku *Wojny Trzydziestoletniej* towarzyszyła prognozom kształtu rozwiązania sporu Zygmunta III z opozycją, nie była większa od niepewności co do postaw Wiednia i Madrytu. Rozwiązanie zaś sporu tego po myśli króla łączyłoby się z trudem chyba mniejszym i z nadzieją skutków bardziej efektywnych – w porównaniu z kłopotami i nadziejami po stronie obu sprzymierzeńców. W Warszawie, rosnące koszty ustępliwości – nie uzasadnionej stosunkiem sił – kompromitowały lokalne stronnictwo pokojowe i mediatorów z zagranicy w grze, toczonych przy podniesionej kurytnie, na Sejmach i sejmikach. Tam więc, gdzie determinację króla musiał w końcu odwzajemnić odzew narodu, do jakiego uzdolnienie wykazywał on nieraz – i wcześniej i później. Zwycięstwa w sprawie choćby najśluszniejszej, ale odnoszone w przestrzeni Dworu, osłania właściwa tam dyskrejacja. Budząc aplauz dworaków, raczej nie wywołują odzewu podobnie szerokiego.

W większości rzeczypospolitych przejawia się ów odzew również w znanym zacięciu, z jakim ich armie – zrazu organizowane nie bez mozołu – wytrzymują próby dalsze, cięższe dla monarchii absolutnej, która armię swą mobilizuje z pewnością sprawniej, ale gorzej znosi próby mozołu walk toczonych bez widowiskowych powodzeń.

Nadzieję pożądanego przez króla przełomu w stosunkach wewnętrznych miały prawo budzić oba kolejne Sejmy – w roku 1631 pod laską Jerzego Ossolińskiego, a w 1632 Marcina Żegockiego (†1635). Ich szczodrość pozwoliła rządowi spłacić długi. Poruszającymi dowodami przywiązania oba też Sejmy pokwitowały legalizm króla, po raz kolejny zademonstrowany tak niedawno. Tymczasem rozgłosne powodzenia „Lwa Północy” na terytorium Rzeszy – równie niedawno bitego w Polsce – musiały budzić refleksję choćby stąd, że właśnie mijała połowa rozejmu podpisanego w Altmarku. Także stąd, że wiążąc Księstwo Pruskie i Brandenburgię z Gustawem Adolfem, książę Jerzy Wilhelm znów zdradzał Koronę Polską, stwarzając nadto jej zagrożenie walne. Skoro zaś prognozy – nawet najbardziej pesymistyczne – wykluczały brak woli walki u Habsburgów, powrót Rzeczypospolitej do wojny, jako siły przesądzającej wynik, mógł być głównym hasłem spodziewanego przełomu. Królowi jednak doczekać go nie było dane.

Latem 1631 roku zraniony śmiercią królowej i gnębiony własną chorobą, król z wyważonym dystansem przyjął posłów z Wiednia, przybyłych na Sejm 1632 roku z apelem o pomoc, pod świeżym wrażeniem utraty Wismaru i polskiej floty. Nim zmarł 19 kwietnia, dwa tygodnie po zamknięciu Sejmu, zadbał o utrzymanie kierunku, gdy swe prawa do tronu szwedzkiego

przelał na królewicza Władysława – swego pewnego następcę na tronie polskim. Uniezależnił przez to bowiem od wpływu nastrojów sprawę jagiellońsko-wazowskiej unii bałtyckiej, do jakiej przed czterdziestoma pięcioma laty wezwwała go Polska.

Czterdzieści pięć lat służby tego odważnego króla – który swej gwardii przybocznej, nie przekraczającej liczbą ludzi dwudziestu, mimo zamachu nań zwiększać nie myślał – dało wzór polityki przysiędze koronacyjnej posłusznej i realistycznej, bo utrzymującej kierunek z racją stanu zgodny wbrew obu zawsze możliwym dywersjom – tej, która zniechęca oporem napotykanym na nim i tej, która kusi względną słabością oporu na kierunku przeciwnym. Odzyskując kraje wcześniej zajęte przez Rosję, bardziej niż inni królowie uczynił on zadość poprzysiężonemu obowiązkowi przywracania Rzeczypospolitej ziem utraconych. Zygmunt III uczynił to jakby mimochodem, bo zabezpieczając tyły przed natarciem w kierunku głównym – w kierunku, którego realizm potwierdziło to dodatkowo. Głównym dowodem realizmu owego kierunku był przecież – dzięki uporowi, z jakim go utrzymywał król – rosnący prestiż zewnętrzny państwa.

Rozdział VII

Nad Bałtyk i nad Morze Czarne (1386–1587)

Dobrze Jagiellonów daje tradycja miano *Wiek Złoty*. Komplement ten może mylić. Nie złościły bowiem tego czasu, ani wygody i spokój pozwalający je używać, ani brak powodów do lęku o przyszłość. Co więcej, cały ów płynął też pod znakiem niepokoju wywołanego rozbiciem jedności Kościoła. Odniesione do epoki Polski Jagiellonów, pojęcie *Złotego Wieku* uwalnia się od obu swych znaczeń pierwotnych: nie oznacza mitu i nie jest komplementem. Dzieje się tak, gdy dopełnione zostają dwa wymagania. Gdy więc obraz epoki budowany jest z faktów historycznych, a nie z mitologicznych stereotypów oraz gdy fakty te – i złożoną z nich całość obrazu – wiąże zasada kompozycji w istocie godna uznania za „złotą”. Rzec można, że taką jest zasada wymiaru i zgodności dwóch horyzontów życia, jakie świat w każdej chwili udostępnia każdemu pokoleniu, a jakie z epoki na epokę ulegają zmianie. To znaczy wysokości i głębi horyzontu aspiracji kulturowych świata danej epoki oraz dystansu, jaki od tego horyzontu dzieli współczesny mu horyzont możliwości realnych. Jako że zasada głosząca, że im wyżej mierzą kulturowe aspiracje i im są one głębsze, a zarazem im bliżej nich biegnie życie realne, pozwala jego obiektywną jakość analizować z pewnością skuteczniej, niż to czynią zasady dyktowane ideologiami⁷⁷. Obiektywizm tej zasady zdaje się przeto potwierdzać sam zdrowy rozsądek. Zgodnie właśnie z takim jej sensem epoka Jagiellonów – w której, jak i w żadnej epoce i w świecie podksiężycowym nigdzie,

⁷⁷ Mówiąc o jakości życia myślimy przede wszystkim o komforcie, jaki jednostce ludzkiej stwarzają okoliczności kulturowe w stosunku do niej zewnętrzne. O komforcie, którego jednym z czynników jest indywidualna kultura jednostek konkretnych, jaka nie tylko wpływa na stopień ich komfortu osobistego, lecz też stanowi okoliczność, która nie pozostaje bez wpływu na rodzaj ich udziału w kształtowaniu postaci obu horyzontów życia i ich relacji. Indywidualna kultura jednostek konkretnych, jako czynnik właśnie taki – i wspólnie z innymi czynnikami wobec niej zewnętrznymi – czasem aspiracje poszerza, a czasem zawęża, nie inaczej jak czasem ulepsza realia życia, a czasem je rujnuje, zawsze mogąc zbliżać lub oddalać oba horyzonty.

realiów i aspiracji nie łączył horyzont wspólny – w terminie *wiek złoty* znajduje jedynie cechę jakości, zobiektywizowaną przeciw chybą przyzwoicie. Jeśli więc godzimy się z cytowanym komplementem, to stąd, że barwę, o której on mówi, widzimy nie w czasie samym, lecz w odpowiedziach na wyzwania, jakie stawiał tamtym pokoleniom.

Rodzaj dóbr, które trwały wówczas w centrum horyzontu aspiracji, wskazuje na wolną wolę, jako władzę odpowiedzialną za ich wybór. Tylko bowiem ona może wybrać i osadzić w nim wolność, jako dobro na świecie tym podstawowe. Niezależnie od tego, czy ono w nim już bytuje z woli pokoleń minionych, czy też jest dobrem porzuconym – pod wpływem subiektywnych odczuć wartości, kiedy te promują nie wolność a dobra inne. Rzecz w tym, że głębię polskiemu wyobrażeniu wolności z doby *Złotego Wieku* nadawało jej pojęcie Arystotelesowskie. W jego optymistycznym świetle, wolność – jako naturalne dobro człowieka – stanowi *wolność do* tego, do czego człowieka ludzka natura powołuje, a zarazem *wolność od* tego, co mu ludzką naturę odbiera. W takim samym świetle jawi się – jako dobro naturalne – państwo, bez którego obejść się mogą zwierzęta i bogowie, ale nie człowiek. Toteż właściwe mu z natury jego *usposobienie gromadne* (*politikē*) – w samym centrum horyzontu aspiracji – obok wolności stawia gwarantujące ją państwo. Stąd wygórowanie norm stawianych z takiego właśnie horyzontu i państwu i polityce. Fakt, że za Jagiellonów, to jest w latach 1386-1572, Polska mogła wybrać inny horyzont aspiracji, a wybrała ten właśnie, niejako potwierdza świadomość i wolność jej wyboru. Krótki przegląd horyzontu alternatywnego usprawiedliwia ów wybór dodatkowo.

Potrzebę wyboru stwarzał wówczas Polsce stan rzeczy, uznawany za przełomowy przez historyków upatrujących w nim proces przejścia – całego zresztą Zachodu – z epoki Średniowiecza do epoki Nowożytności. Bez wątplenia był to więc stan kryzysu. Nie brak świadectw, również artystycznych, istoty jego dramaturgii, jaka wstrząsała horyzontem aspiracji i horyzontem realnego życia, wydłużając dystans dzielący oba. Proces zarówno tych wydarzeń intelektualnych i politycznych, które rozchwiały horyzonty średniowieczne, jak i tych, które skonsolidowały ich postacie nowożytne, odbił się w realiach oznaczonych terminami znanymi powszechnie. Ogół kolejnych sekwencji procesu – demonstrujących realia *humanizmu*, *renesansu*, *protestanckiej reformacji* i *katolickiej reformy* – zaczął się, rozwinął i zamknął, w latach nader bliskich tym, które datują epokę Jagiellonów. Stąd u genezy jej specyfiki leży też kontakt z całym przekładańcem perspek-

tyw przyszłości – często sprzecznych fundamentalnie – prezentującym się w dobie ówczesnego przełomu. Fakt, że w przejście ze Średniowiecza do Nowożytności – trwające dwa krytyczne wieki – weszła Polska pod berłem jagiellońskim, inaczej niż większość państw Kontynentu, bo bez wstrząsów, stanowił z pewnością kolejny czynnik specyfiki *Złotego Wieku*. Dowodzi to także zasadniczej niesprzeczności ducha Polski Jagiellonów z duchem jej poprzedniczki – Polski Piastów.

O mało-konfliktowym przebiegu wejścia Polski Jagiellonów w sukcesję po Polsce Piastów w dużej mierze zdecydowała właśnie specyfika stosunku do realiów przełomu, jaki charakteryzował tu opuszczaną, średniowieczną formację kulturową. Sukcesja po Piastach nie budziła bowiem tych wątpliwości, które były źródłem kryzysu XV wieku, w reszcie ówczesnego Zachodu. Postać dziedzictwa, w tym również dorobek dwu ostatnich pokoleń, nie uzasadniała ich wcale. Zgadzała się z obiema oryginalnymi odpowiedziami cywilizacji europejskiej na oba odwieczne pytania: czy zasadą władzy publicznej ma być *zasada republikańska* czy też *zasada władzy dla władzy*, i pytanie o zasadę porządku międzynarodowego, czy ma nią być *zasada solidarności* czy *zasada dominacji*. Obydwu odpowiedzi w obu kwestiach doświadczył tak Antyk, jak Średniowiecze. Rzecz w tym, że w Polsce – tak zresztą, jak w Hiszpanii i Anglii – wzrost powagi reprezentacji stanowych i terytorialnych dowodził sił tendencji republikanizującej stosunki polityczne, właśnie u schyłku Średniowiecza. Także w tym, że w Polsce (i w Hiszpanii), to zasada solidarności chrześcijańskiej w stosunkach zewnętrznych, pokazywała swój pożytek w praktyce tego czasu. Przede wszystkim jednak rzecz w tym, że w *Italii*, *Galii* i *Germanii*⁷⁸ – tam więc, gdzie konfliktowy charakter przejścia ze Średniowiecza do Nowożytności dał znać o sobie najmocniej (i zainspirował Anglię) – przyczyn tego obrotu spraw wypada szukać w miejscowym wyniku gry dwóch ogólnych tendencji politycznych Średniowiecza. Była nim przewaga absolutystycznej i dominacyjnej tendencji *gibelińskiej* nad republikańską i solidarystyczną tendencją *gwelficką*. To ona rozchwiała horyzonty wywołując kryzys.

Stawką gry o kształt jego rozwiązania była w istocie tożsamość Europy. Czy więc utrzyma ona swą postać oryginalną, w dobie zarania krystalizowaną przez Arystotelesa i Cyserona, przez pamięć o obrońcach Troi i Ter-

⁷⁸ Trzy ostatnie terminy geograficzne są tu użyte w ich znaczeniu historycznym, przyjętym ówczesnie, gdy nadal miało ono pewien sens polityczny, a w zasadzie też odpowiada dzisiejszemu zasięgowi Włoch, Francji i Niemiec.

mopil, a odkąd nastało Chrześcijaństwo aktualizowaną przez Benedykta z Nursji i Tomasza z Akwinu, oraz przez wierny wzorom hrabiego Rolanda i Gotfryda z Bouillon, zastęp średniowiecznych rycerzy? Czy też będą ją modelować aspiracje nieoryginalne, bo znane też z kultur innych? Czy weźmie więc górę aspiracja do naprawy rzeczywistości, jakoby rozdartej na sfery rzekomo nawzajem sobie nieprzyjazne – *intelektualną* i *zmysłową* – jak u Platona i jego kontynuatorów średniowiecznych? Czy ustawom wystarcza do władzy wola władcy niezwiązanego zgodą rządzonych, jak utrzymywali legiści? I czy powodowana tym redukcja aspiracji – również rycerskich – nie spowoduje surowego oblicza wojny i nie zagrozi samemu rycerstwu? Tam, gdzie u progu XV wieku stan pojęć przytakiwał nie pierwszej, lecz drugiej z powyższych serii pytań – nawet z właściwym wczesnemu humanizmowi entuzjazmem – rozwiązanie kryzysu odłożone aż na wiek XVII, nie obeszło się bez złowróżbnej na dalszą przyszłość obrazy wolności politycznej, wskutek implementacji monarchii absolutnej⁷⁹.

Stan pojęć, jaki u progu kryzysu zapowiadał uszczerbek tożsamości kulturowej europejskiego państwa, sprzyjał degradacji zasad normujących europejską solidarność. Skądinąd wciąż nie brakło aktów, które potwierdzały ich władzę – zmniejszającą straty powodowane współzawodnictwem wewnątrz-europejskim, oraz powstrzymującą spadek wrażliwości na wspólnotę zagrożeń zewnętrznych. Imperatyw obrony Chrześcijaństwa – w głębi Średniowiecza gromadzący Europejczyków w Wąwozie Ronsewalskim (778) – tak samo wiódł ich pod Nikopolis (1396), nad Worsklę (1399), czy pod Warnę (1444). Nadal modlitwa do Ducha Świętego towarzyszyła dyplomacji, jak było to choćby w roku 1393 w kościółku św. Maurycego w Leulinghem, gdy Jan diuk Berry i Henryk diuk Lancaster przyklękli wspólnie, by od niej zacząć rokowania, które dały kolejny rozejm – roczny – w stułtniej waśni królów Francji

⁷⁹ Podręcznikowego przykładu dostarczyła tu Francja, gdzie polityczna tendencja, do której wyrazicieli zaliczyć wypada króla Ludwika IX Świętego (†1270), nie zdołała przezwyciężyć tendencji reprezentowanej przez jego wnuka, Filipa IV Pięknego (†1314), upamiętnionego aktywnością dalekosiężną historycznie. Zmieściło się w niej manipulatorskie ustanowienie Stanów Generalnych, jako politycznej reprezentacji kraju, swoim statutem zobowiązanej do zgody na każdy wyraz woli monarchy, a zwołanej, by pozorowała poparcie jego dwóch aktów: uderzenia w papieża Bonifacego VIII (†1303) promotora gwelfizmu, i zniszczenia ostoji moralnej rycerstwa Francji – Zakonu Templariuszy. Rywalizację tendencji tych i jej rezultat, komentował kardynał Retz (†1679) oskarżając twórcę francuskiej monarchii absolutnej – kardynała Richelieu – o to, że zaprowadził *w najbardziej prawowitej monarchii najbardziej skandaliczną tyranię, jaka kiedykolwiek panowała nad jakimkolwiek ludem*.

i Anglii. Ale już wtedy komponował się ciąg zdarzeń wprowadzających kryzys w apogeum. To w jego fazie, pojmany przez króla Hiszpanii w bitwie pod Pavią, (1525), król Francji – wbrew słowu, które dał i któremu zawdzięczał uwolnienie – znowu wszczywał wojnę i o wsparcie prosił sułtana. Również i w tym była niemała zasługa klerków. Oni to do gibelinijskich ambicji (nie tylko cesarzy z niemieckiego rodu Staufów) dopasowali interpretację terminu *imperium*, przeinaczając jego pierwotny sens, który wskazywał na suwerenność republikańskiego Rzymu.

Przypomnijmy, że za Rzeczypospolitą Rzymską, pojęcie *imperium* nie mieściło w sobie realiów stanowiących przedmiot bezpośredniej i pośredniej władzy politycznej państwa – nie odnosiło się ani do jej ustroju, ani do jej terytorialnego zasięgu⁸⁰. Dopiero po upadku republiki sam tytuł *imperatora* wszedł do tytułatury kolejnych *princepsów* i *dominusów* – jako przydomek, razem z przydomkiem *cezar* dodawany do ich nazwisk i imion. Wiązanie *imperium* z fizyczną osobą tak tytułowanych cesarzy – a odjęcie go tym samym od wyobrażenia państwa – sankcjonowała ich urzędowa deifikacja.

⁸⁰ *Imperium* rozumiane było jako atrybut państwa, szczególny stąd, że państwo jest dobrem, bez którego człowiek nie zaspokaja swego usposobienia gromadnego, właściwego mu z natury. Ów atrybut więc, to *najwyższa moc rozkazodawcza*, jaką z takiej właśnie racji posiada państwo. Stąd też wyłącznie ono może pozostawać *podmiotem imperium*. Atrybut mocy rozkazodawczej państwa, jako najwyższej, miał za swój *przedmiot* najwyższy cel każdego bytu, czyli *samozachowanie*. Związane z tym jego bezpieczeństwo zewnętrzne stanowiło bezpośredni *przedmiot imperium*; zaś z celem tym związany jego ład wewnętrzny podlegał *imperium* jedynie pośrednio. Egzekwowały go urzędy, którym nadawało ono *moc wykonawczą*, jaką była ich *potestas*. Tożsame z mocą względu, jaki obywatele mają na państwo z natury. Delegowane było *imperium* w ustalonej procedurze ustrojowej, ukazującej najwyższą zwierzchność Rzeczypospolitej. Przekazywane w całości wodzom jej armii, w przypadku zagrożenia militarnego. Choć nieuprawnione do użycia w Murach Miasta, *imperium* pilnowało jej suwerenności także wewnątrz nich – gdzie jej władzy strzegła delegowana przez nie *potestas* urzędników. Acz za Rzeczypospolitą *imperatorami* nazywano magistratów z delegowaną im *najwyższą mocą rozkazodawczą* (*magistratus cum imperio*). Nie byli oni uważani za jej posiadaczy, a jedynie za jej wykonawców. Posiadania *imperium* nie sugerował też tytuł *imperatora* – *najwyższego rozkazodawcy* – u schyłku republiki nadawany jej zwycięskim wodzom przez armię. Podobnie *imperium romanum* – oznaczało ono nie jej terytorium, ale jej tytuł. Tym bardziej termin *imperium* nie był współcześnie rozumianą nazwą formy ustrojowej państwa. Nie było tak za republiki ani po jej upadku, kiedy republikański *ustrój mieszany* (*regimen mixtum*) zastąpiły jego kolejne deformacje: *pryncypat* i *dominat* – dopiero po wiekach oznaczone terminami pochodnymi od *imperium*: jak francuski *l'Empire* i angielski *The Empire*, oraz od imienia jednego z ich sprawców, Cezara – tak jak niemiecki *Kaisertum* i polski *Cesarstwo*.

Sakralizacja osoby panującej⁸¹, właściwa kulturom Wschodu, odbierając państwu status podmiotu władzy politycznej, nieuniknienie zamieniała je w jej przedmiot. Przedmiot powierzany woli jej urzędnika, czy będzie nim – jako *Pomazaniec Boży* – cesarz lub król dziedziczny o władzy absolutnej, czy też król, prezydent, rząd i parlament, którzy władzę polityczną otrzymują i sprawują w procedurze ujętej konstytucją. Przedmiot będący przedmiotem niezależnie od tego, czy to Oleje Święte podnoszą zdolność *Pomazańca* do używania go w imię realizacji *Państwa Bożego* na ziemi, jak i od tego, którzy urzędnicy używają je, a od tego też, która z ideologii zastępuje im Olej. Wprawdzie odnowione w roku 800 przez Karola Wielkiego (†814) Cesarstwo Rzymskie na Zachodzie nie tylko nie poddało się tej uprzedmiotowiającej państwo tendencji, lecz dało mocne impulsy oryginalnej tendencji republikańskiej – w istocie w ciągu kolejnych sześciu wieków przeważnie górującej nad absolutystyczną. Jednak wielostronna natura kryzysu XV wieku zdawała się wróżyć tej drugiej zwycięstwo już ostateczne.

Kryzys XV wieku uderzył bowiem w główne węgła rzeczywistości kulturowej, jaką oznaczył już w czasach karolińskich termin *Rzeczpospolita Chrześcijańska* (*Respublica Christiana*). Był kryzysem tym bardziej złowieszczy, że analizowany od strony genezy, w pierwszym rzędzie ujawniał swoją istotę bynajmniej nie instytucjonalną, ale moralną. Bogatą infrastrukturą polityczną Zachodu – krystalizowaną przez Cesarstwo, zarówno karolińskie jak i salickie, a obronioną przez gwelfów w starciu z gibelinami spod znaku Cesarstwa Staufów – wstrząsnęła anarchia biorąca się nie ze słabości instytucjonalnej urzędu monarchy, czy ciał przedstawicielskich i sędowniczych, a ze słabości ludzkiego charakteru. Hamując proces konstytucjonalizacji średniowiecznej *monarchii stanowej*, anarchia – w mniejszym stopniu feudałów, a w większym monarchów, dążących śladem Filipa IV Pięknego do władzy absolutnej – zwiększała groźbę, że rozsypującym się wraz z monarchią życiem publicznym zawładnie tyrania. Otwartą przez słabość charakteru ludzkiego, perspektywę rozkładu politycznych węgieł rzeczywistości, rozszerzał spadek rygoru pojęć – zwykle równoważącego naturalne niedostatki charakterologiczne, jeżeli tylko skłania on wyobraźnię do kontaktu z realiami. Analogicznie, to nie intelektualny

⁸¹ Wprawdzie formalna chrystianizacja Cesarstwa w IV wieku wykluczyła deifikację osoby cesarza, jednakże przeniesienie ośrodka władzy cesarskiej z Rzymu do Konstantynopola i poddanie jej małoazjatyckiej inspiracji kulturowej – również w zakresie teologii politycznej – bez wątpienia wpływało też na rozumienie skutków liturgii koronacji monarchy, a zwłaszcza namaszczenia, także na łacińskim Zachodzie.

komfort, jaki w wieku XIII dzieło św. Tomasza z Akwinu (†1274) zapewniło każdej sferze i wszystkim piętrom europejskiej refleksji – w tym także politycznej – autoryzował zgodę z anarchią. Autoryzował ją bunt przeciw Arystotelesowskiemu porządkowi pojęć – dzięki św. Tomaszowi – zwróconemu wyobraźni Zachodu, po wiekach dominacji Platońskiej⁸².

⁸² Istotną i zwykle pomijaną cechą buntu, jaki myśl piętnastowiecznych humanistów wiódł na *drogę nowoczesną (via moderna)* z *drogi starożytnej (via antiqua)*, była nieco romantyczna aprobata Terencjuszowej maksymy – *człowiekiem jestem i nic, co ludzkie, nie jest mi obce* – jako zawołania dystansującego, w ich mniemaniu, nie tyle od myśli Antyku, ile Średniowiecza. Jak wiadomo, optymistyczny obraz owego buntu upowszechnili historycy XIX i XX wieku. Zrozumiały też jest wpływ ideologii wówczas modnych, na wyobrażenie naczelnej przesłanki optymizmu, jaki kierował nimi samymi, a jaki – ich zdaniem – antycypować mieliby humaniści XV stulecia. To one, upatrując jedno z naczelných dóbr człowieka w *wolności* – pojętej nie jako *wolność do*, a jako *wolność od* – sugerowały zgodność z nimi w tej kwestii również wyobrażeń bohaterów humanistycznego buntu. Na pewno nie były to sugestie bezpodstawne; oba przypadki zbliża analogia – i subiektywnych przyczyn zerwania z tradycją, i jego celów. Jednak zauroczenie tą analogią przesłania głębszy sens obu zerwań, tkwiący w ich wpływie na samą wizję natury ludzkiej. Oba wprawdzie potwierdzały jej złożoność, jako natury *intelektualno-zmysłowej*, czy też – mówiąc inaczej – *duchowo-cieleśnej*. Oba jednak podważały Arystotelesowskie wyobrażenie stosunku jej dwóch czynników – *intelektu* i *zmysłów* lub *duszy* i *ciała* – stwierdzające ich *naturalną zgodność*. Oba też posiłkowały się Platońskim wyobrażeniem *naturalnego konfliktu* mającego czynniki te dzielić. Humanizm XV wieku – na *via moderna* – przywracał Platońskie rozstrzygnięcie konfliktu, absolutyzujące czynnik intelektualny, a degradujące czynnik zmysłowy. Był to jednak nie tylko akt powrotu do tradycji starszej niż Chrześcijaństwo, w pierwszych jego czternastu wiekach omal monopolicznej, a wcale nie oryginalnie zachodniej. Był to bowiem akt kontestacji dośrodku *renesansu XIII stulecia* – reaktywującego młodszą od Platońskiej wizję Arystotelesowską i, geniuszami św. Franciszka z Asyżu i św. Tomasza z Akwinu, z pożytkiem intelektu zwracającego sferze zmysłowej jej optymistyczne miejsce w ładzie naturalnym. Dorobek ten przynosi zaszczyt scholastyce z *via antiqua*, jak zwali ją humaniści z *via moderna* – specyfiką swych pojęć uwolnieni od naukowego rygoru dociekania prawdy procedurą *questiones disputatae*. Porządki zastawane niejako u kresu obu dróg wykazywały różnicę rygoru myśli. Rygor z *via antiqua* autoryzował władzę republikańską, jako rękojmię obywatelskiej *wolności do*. Stawiał opór wyobrażeniu władzy cesarskiej, jako rządzącej *całym światem i wszystkim, co na nim*, które w XII wieku Martino Gosia (†1167) – współtwórca Szkoły Prawa w Bolonii – prezentował Fryderykowi I Rudobrodemu. Piętnastowieczny humanista Poggio Bracciolini (†1459) głosząc, że *prawa nie są potrzebne ludziom wielkim, którzy je sobie nadają sami, a tylko małym, którym nadają je oni* i czyniąc to na *via moderna*, jedynie wykorzystał lokalną swobodę pojęć, by autoryzować starą i banalną ideę władzy absolutnej. To jest władzy, właśnie przed jaką, zgodnie z republikańską zasadą *wolności do*, chroni imperatyw *wolności od*. Jest godne uwagi, że bunt humanistów XV wieku, w swej istocie absolutyzujący władzę intelektu, nie harmonizował ze współczesnym mu fenomenem sztuki *quattrocento* – zapowiadającym się przy *via antiqua* już w sztuce Giotto (†1337). W sztuce więc, która pełnił wyrazu znalazła w *formie klasycznej*, w dobie *renesansu XVI wieku*, zaś darząc satysfakcją także czysto zmysłową, potwierdza harmonię złożonej natury człowieka i świata.

Tło obrazu całej epoki Jagiellonów – wielostronny kryzys kulturowy Europy XV wieku i brzemienne na przyszłość próby jego rozwiązania w renesansowym wieku XVI – wskazuje, że królowie z tego rodu rządili w Polsce podczas najpoważniejszego od czasu wielkiej wędrówki ludów z wieków V i VI, przewrotu na Kontynencie. Inaczej mówiąc, że Średniowiecza przeprowadzili oni Polskę do Nowożytności. Stąd rodowi – w którego pokoleniu pierwszym, *Akt Unii Horodelskiej* z 1413 roku ogłosił zasadą polityki *miłość*, a z którego król ostatni orzekał, że *nie jest królem sumień* – przypada zasługa niemała. Miał bowiem udział kierowniczy w procesie podwójnie oryginalnej odpowiedzi polskiej, na wyjątkowe i wspólne dla Zachodu wyzwania czasu. Oryginalnej, bo niepoddającej się wpływowi modnych wtedy idei, które skazywały na wybór między *monarchią absolutną* i *anarchią*, jako jedynymi możliwymi – z ich wyroku – formami państwa. I oryginalnej, bo republikański *ustrój mieszany* Pierwszej Rzeczypospolitej – będący polityczną częścią riposty na te wyzwania – odpowiadał renesansowemu postulatowi odrodzenia form nie tylko klasycznej sztuki Antyku, determinujących tożsamość cywilizacyjną Zachodu⁸³.

Dodajmy, że kierowniczej służbie Jagiellonów Koronie, towarzyszyły okoliczności nadzwyczajne z jeszcze innego powodu. Zbieżne z ryzykownym przewrotem kulturowym w całym ówczesnym zasięgu Zachodu wznawiały one, na jego wschodniej i południowej krawędzi, ryzyko materialne, odwieczne i jakby arbitralne wobec sporów wewnętrznych. Tym większe, im bardziej kryzys degradował kondycję europejskich Koron oraz pojęcia królów o tym, co wolno im w stosunkach wzajemnych, a co jest im zabronione – burząc węgiel *Rzeczypospolitej Chrześcijańskiej*. Było to militarne ryzyko skutków inwazji – od wschodu ze strony Złotej Hordy i Kalifatu Osmanów od południa. Dwóch królów z rodu Jagiellonów, węgierskich i czeskich – którzy, jak i ich polscy bracia, bronili na krawędzi tej praw Krzyża i Europy – legło śmiercią rycerską.

1386-1492

Pierwszy król i założyciel tej niezwyklej dynastii – Władysław II Jagiełło (†1434) – w roku 1386 zaślubiony królowej Świętej Jadwidze (†1399) i od jej śmierci panujący już samodzielnie – kierował państwem w sytu-

⁸³ Charakterystyczny jest żal, z jakim w roku 1513, w swoich *Rozważaniach*, renesansowy republikanin i chwalcza rzymskiego *regimen mixtum*, Machiavelli, zwracał uwagę na brak naśladownictwa starożytnych wzorów – również politycznych – analogicznego do znanego z twórczości artystów tego czasu.

acji, z perspektywy ogólnoeuropejskiej w istocie nieobliczalnej. Wynikało to z ówczesnego stosunku sił obu części rozpołowionej Europy, zachodniej i wschodniej a napierającym Islamem. Był to stosunek dramatyczny, o czym przekonują trzy dotkliwe klęski poniesione na przestrzeni lat zaledwie dziesięciu. Pierwszą – w roku 1389 na Kosowym Polu Serbom, posiłkowanym przez Bośniaków, Wołochów, Węgrów i prawdopodobnie Polaków, zadali Turcy Osmańscy – i to pomimo, że dowodzący nimi sułtan Murad I poległ w trakcie bitwy. Drugą – armii Węgrów, Czechów i Niemców, wspieranych przez rycerstwo z pozostałych krajów zachodniej Europy w tym i Polaków, stanowiącą kolejną krucjatę, którą wiódł cesarz Zygmunt Luksemburski (†1437) – zadał w roku 1396 pod Nikopolis sułtan Bajazet I (zm.1403). Trzecią – nad rzeką Worskłą w roku 1399 – ponieśli Litwini, Rusini i Polacy dowodzeni przez księcia Witolda (†1430) – pobici przez emira Edygeja (zm.1419), rządzącego Złotą Hordą z ramienia chana Tamerlana (zm.1405). Natomiast stosunek sił obu potęg wschodnich ukazuje wynik ich starcia w roku 1402, kiedy to Bajazeta I, zwycięskiego nad Dunajem, pod Ankarą pobił Tamerlan. Ale stosunku sił Zachodu i Wschodu wiek XV nie zmienił. Od roku 1443 – niemal bez przerwy – trwał napór Osmanów. Turcja zajęła resztki Serbii i Bośni, Albanię, część posiadłości Wenecji na Morzu Egejskim i w roku 1453 stolicę Cesarstwa Wschodniego – Konstantynopol. Inwazja turecka dwakroć dotknęła samą Italię – w okolicach Wenecji i na adriatyckim wybrzeżu Królestwa Neapolu. Powodowała też wątpliwości w obu księstwach rumuńskich, Wołoszczyźnie i Mołdawii, co pozwoliło Turkom zająć porty u ujść Dunaju i Dniestru do Morza Czarnego, w Kili i Białogrodzie. Realny opór inwazji stawiały Węgry i Wenecja.

Tymczasem obok presji nieobliczalności przebiegu wypadków w planie kontynentalnym, na politykę Korony Polskiej oddziaływała presja najzupełniej obliczalnych zdarzeń miejscowych, na między przeciwległej w stosunku do wschodniej i południowej krawędzi Zachodu, jaką biegła też wschodnia granica zasięgu jej odpowiedzialności. Na między więc rozgraniczającej Koronę z Zakonem Niemieckim i z Cesarstwem Zachodu – formalnie nadal *Rzymskim*, lecz dojrzewającym do aktów, które w latach 1486 i 1512 uściśliły jego tytuł dodatkiem przymiotnika *Niemieckie*. Po obu zaś stronach tej granicy wiedzano, że jej biegu historia jeszcze nie wytyczyła ostatecznie. O woli dalszego przesunięcia jej na wschód świadczyły aspiracje wspomnianego Zakonu i jego protektorów, nieograniczających się do niektórych podmiotów Rzeszy Niemieckiej, zaś przemieszczenie jej na zachód stanowiło imperatyw rewindykacji schedy po Piastach.

Wolę rewindykacji deklarowało choćby imię przybrane przez Jagiełłę przy chrzcie – na cześć zjednoczyciela Królestwa, króla Władysława Łokietka (†1333). Wola taka szła w parze z koniecznością wywołaną agresywną postawą niemieckich Szpitalników. Nader wymowne w tej mierze było zachowanie ich wielkiego mistrza, który – mimo formalnie już lat z górą czterdzieści obowiązującego pokoju z Polską – w roku 1385 odrzucił zaproszenie z Krakowa na chrzest Jagiełły i jego ślub z Jadwigą. Z drugiej strony, to zachowanie potwierdzało doniosłość i wymowę samego wydarzenia.

Stwierdzić jednak wypada, że waga ta przerastała wagę realiów, zwykle przywoływanych oboma jej wyobrażeniami stereotypowymi. Myślimy o stereotypie, jaki swą siłę czerpie z sentymentu dla zwycięskiej *bitwy pod Grunwaldem* (1410), z początku epoki Jagiellonów i o drugim, zasilanym przez sentyment dla wydarzenia z czasu jej schyłku, to jest *Unii Lubelskiej* (1569). Co znamienne, oba sentymenty niejako falują, zależnie od przypływów resentymentów je podnoszących, a więc antyniemieckiego oraz antyrosyjskiego. Wydaje się istotne, że ten stan pojęć jest nie tylko używką odurzającą poglądem, że Polsce można nadać każdą postać i zadać każdą rolę. Nie tylko utwierdza stereotypowe wyobrażenie różnicy założeń polityki, jaka miałyby państwo Jagiellonów dzielić od państwa Piastów. Tak bowiem, jak stereotypowy obraz czterdziestu pięciu lat panowania króla Zygmunta III Wazy, tak też podobny obraz czterokrotnie dłuższej doby jagiellońskiej pomija realia determinujące rzeczywistą ciągłość wyborów dokonywanych przez politykę polską i ignoruje jej zasadę główną, jaką kierowała się ona faktycznie – z mocy suwerenności państwa bytującego w środku Kontynentu. Wiele zaś przemawia za tym, że również pod rządami Jagiellonów, naczelną zasadą polskiej polityki zewnętrznej pozostawała przewencja jej suwerennego udziału w formowaniu relacji między zachodem i wschodem Europy.

Realizm tej zasady – choć poświadczony słabo w zachowanych dokumentach z epoki, lecz wyjaśniającej meandry ówczesnej polityki lepiej, niż czynią to wspomniane stereotypy, udokumentowane jeszcze słabiej – wykluczał suponowane przez nie wybory jednego z dwóch kierunków ekspansji: *na wschód* czy *na zachód*. Natomiast swą wysoką próbę realizmu politycznego, potwierdzał decyzjami ujawniającymi znaczną świadomość sensu zdarzeń i kierunku determinowanych nimi zmian europejskich perspektyw. Brak wątpliwości, że świadomość kierunku i związanych z nim zagrożeń i szans, sugerowała wybór na tron właśnie Jagiełły.

Poddanie się sugestii i realizacja jej podpowiedzi, jest zasługą pocztu mężów stanu, w tym osobistości, których przodkowie już za pierwszych Piastów sprawowali najważniejsze urzędy, a których potomkom przyszło to samo czynić również za Jagiellonów. Przeważali tu, co nie dziwi, a co ich postawę determinowało dodatkowo, potomkowie osób z kręgu wielce zasłużonego dla zjednoczenia Królestwa, przez obydwu ostatnich Piastów docenionego dostatecznie wyrażnie, by nie stracił on wpływu również pod berłem Ludwika Węgierskiego. Byli wśród nich zarówno panowie – jak ich zwie tradycja *krakowscy*⁸⁴, jak też przedstawiciele Wielkopolski⁸⁵ – mimo podziału jej elity wywołanego wojną Grzymalitów z Nałęczami, której kres położyła dopiero wizyta pary królewskiej (bezpośrednio po koronacji Jagiełły), wiosną 1386 roku.

Sprawa Zakonu była elementem szerszej polityki bałtyckiej. W jej ramach mieściły się stosunki z Pomorzem i Meklemburgią, dwoma księstwami zachodniosłowiańskimi w XII wieku włączonymi do Cesarstwa, ale rządzonymi nadal przez dynastów rodzimych, a także porozumienie z księciem słupskim Warcisławem VII i jego hołd Jagielle w 1390 roku. Stosunki dyplomatyczne były trwałym czynnikiem relacji z Anglią od czasów Jarosława z Iwna (†1423), który przed wielką wojną z Krzyżakami posłował na dwór Henryka IV (1399-1413)⁸⁶.

⁸⁴ Może słuszniej byłoby zwać ich *panami sandomierskimi* – choć wywód kilku z nich z Ziemi Krakowskiej jest oczywisty – bo to właśnie województwo sandomierskie zdaje się przedstawiać jako kolebka, nie tylko polszczyzny Złotego Wieku, ale też jagiellońskiej polityki. Wprawdzie obaj wielce dla Unii Krewskiej zasłużeni Tęczyńscy – kasztelan krakowski Jan (†1405) i jego syn Andrzej (†1414) kasztelan wojnicki – z Ziemią Krakowską związani są jak najbardziej bezpośrednio, to przecież nie tylko dziad pierwszego z nich, Nawój (†1331) – osobistość dla rządów Łokietka w Krakowie kluczowa – był już w nie mniejszym stopniu związany z Sandomierskiem (jako wojewoda). Podobnie było w przypadku Jana Ossolińskiego (†1396) kasztelana wiślickiego, protoplasty młodszej linii Toporów z Tęczyna. Tej samej służbie oddani byli dwaj inni obywatele Ziemi Krakowskiej – zięć kasztelana Andrzeja, marszałek wielki koronny Zbigniew Lanckoroński (†1425) i wojewoda krakowski Piotr Kmita (†1409), syn Jana (†1376) starosty generalnego Rusi. Niemniej jednak to przede wszystkim z Sandomierskiego rozeszły się impulsy, jakie na drogę do Krewa sprowadziły pozostałe dzielnice państwa. Bez wątpienia ułatwiały to koligacje, jakie budowały jedność miejscowych rodów – oddanych monarchii obu ostatnich Piastów i Ludwika Węgierskiego – jak i te, co miejscową elitę łączyły z elitą Wielkopolski i Rusi.

⁸⁵ Byli to m.in. Grzymalita Jarosław z Iwna (†1423), którego można uznać za zawodowego dyplomatę i Pałuka Sędziwój z Szubina (†1406).

⁸⁶ Henryk IV – jeszcze jako książę – miał okazję osobiście poznać rzeczywistość stosunków krzyżacko-litewsko-polskich. Otóż przez cały rok 1390, wraz z grupą 300 rycerzy, gościł u krzyżaków – m.in. brał udział w nieudanym oblężeniu Wilna; zakupił też 300 jeńców, których prawdopodobnie zabrał do Anglii. Ponownie wybrał się na Litwę w 1392 roku z oddziałem liczącym ponad 100 ludzi (w jego skład wchodził też łuczniczy z długimi łukami i 6 minstrel). Koszty tej wyprawy wyniosły 4360 funtów.

Tenże Jarosław z Iwna negocjował też w roku 1419 traktat z Erykiem Pomorskim – królem państw unii kalmarskiej (Dania, Szwecja, Norwegia) – wymierzony w zakon krzyżacki. Regułą stał się – od czasu *Wojny Trzynastoletniej* – alians z Lubeką, głównym miastem Hanzy.

Odejście od zasady rewindykacji schedy piastowskiej na zachodzie wykluczone zostało zwycięstwem grunwaldzkim. Rewindykacja postąpiła wraz z *Wojną Trzynastoletnią* (1454-1466), prowadząc do inkorporacji zachodniej części ziem Zakonu Niemieckiego (Prusy Królewskie) oraz objęcia jego samego i Prus Wschodnich – nadanych mu w lenno – suwerennością Korony Polskiej.

W doświadczeniu wieku XV odnalazł się też i inny aspekt polityki doby Piastów. Była nim spolegliwość wobec Czech, wynikająca ze wspólnoty dążeń narodowych i politycznych. Wyrazem tego było w roku 1438 zaproszenie przez sejm w Kutnej Horze królewicza Kazimierza na tron czeski, zaś w roku 1471 inauguracja przez jego syna, Władysława (†1516), ponad pół wieku trwających rządów jagiellońskich w Pradze. Dynastyczny związek z Czechami – sformalizowany traktatowo w latach 1492 i 1498, po przyjęciu przez Władysława Jagiellona także tronu Węgier (1490) – oddawał polityce polskiej pod współodpowiedzialność nie tylko cały Śląsk, w efekcie rozbicia dzielnicowego utracony na rzecz Korony Czeskiej, ale i związane z nią Łużyce. Nadto, w zasięg polskiej sugestii wchodził przysługujący królom Czech, pierwszy z czterech świeckich głosów elektorskich – decydujących o wyborze króla niemieckiego i polityce Rzeszy. Udział więc Jagiellonów w rywalizacji dynastycznej o Czechy i Węgry, z zachodnim zorientowaniem polityki polskiej komponował się dobrze.

Otóż doświadczenie wieku XV – jagiellońskiego w całości – potwierdza ciągłość właśnie taką, w stosunku do doświadczenia epoki Piastów. Ukazuje znaczną stałość, tak zasad polskiej polityki zewnętrznej, jak też konfiguracji czynników jej przeciwnych. Nie ma tu mowy o jakiejś reorientacji priorytetu z zachodu na wschód.

Nie sposób też nie zauważyć stałości zasad i w polityce wewnętrznej, a także jej strony jakościowej. Jest nią dyscyplina myśli orędującej za państwem, jako nieodzowną formą życia publicznego. Za króla Jagiełły przejawiała się ona – w praktyce wewnętrznej – kontynuacją reformy uniezależniającej sądy, oddaniem emisji pieniądza pod kontrolę Rady Królewskiej (1422), czy ustawą *neminem captivabimus* o nietykalności obywatela (1430). Doktryna prawa międzynarodowego autorstwa Stanisława ze Skarbimierza (†1431) i Pawła Włodkowica (†1436) wyraziła ją w praktyce zewnętrznej na soborze w Konstancji (1414-1418).

W obu sferach praktyka ta szła pod prąd tendencjom, jakie w Europie wieku XV wprowadzały późnośredniowieczne państwo w stan kryzysu. Nie była więc w swej istocie praktyką inną od tej z doby inauguracji piastowskiej.

Jednak mniej więcej w połowie XV wieku polityka polska staje bezpośrednio przed nowym wyzwaniem – z ekspansją monarchii Osmanów. Do zderzenia dochodzi z dwóch powodów. Jeden, to przyjęcie w roku 1440 tronu Węgier przez króla Władysława Warneńczyka (†1444)⁸⁷. Przede wszystkim miało to na celu, by nie dopuścić do niego Władysława Habsburga (†1457) – po ojcu i matce (córcie Zygmunta Luksemburskiego) uprawnionego do roszczeń

⁸⁷ Było czymś jak najbardziej oczywistym, że królowi Polski obejmującemu tron węgierski licznie towarzyszyli polscy dostojnicy i rycerze – otrzymywali wysokie stanowiska dworskie i administracyjne, ale przede wszystkim uczestniczyli w bitwach toczonych przez niego z wrogami, w tym z głównym z nich – Turkami. Ale też jest faktem, że w tym czasie Polacy byli już na Węgrzech dobrze „zadomowieni” i mieli okazję poznać muzułmańskiego przeciwnika. Bowiem – w większej liczbie – pojawiali się tu od momentu, gdy Ludwik Węgierski objął tron polski, to jest od lat siedemdziesiątych wieku XIV. A nawet wcześniej, gdyż Ludwik – jeszcze za życia Kazimierza – dokonywał nadań w krajach Korony Świętego Stefana na rzecz polskich możnowładców dla zapewnienia sobie na przeszłość ich przychylności. Polscy rycerze równie chętnie podejmowali służbę u jego następcy, Zygmunta Luksemburskiego (od roku 1382 króla Węgier, od 1411 również cesarza). Byli wśród nich m.in.: Dobiesław Puchała, Jędrzej z Brochocic, Jan Brogłowski, Skarbek z Gór, Tomasz Kalszycki, Wojciech Malszycki i Jan Farurej z Garbowa herbu Sulima a przede wszystkim jego brat, Zawisza Czarny – zarówno wówczas jak i dziś uważany za ikonę rycerstwa polskiego. Stanowili oni prawdziwy „kwiat” rycerstwa polskiego – wszystkich odnotowuje Jan Długosz na stanowiskach dowódczych w swoim opisie wojny z Krzyżakami, w bitwach pod Grunwaldem czy Koronowem. Czynili to dla pieniędzy, łupów, nadań ziemskich, stanowisk, a także – a niektórzy może przede wszystkim – kierowani etosem stanu rycerskiego: dla sławy i zasługi w niebie wynikającej z udziału w walce z poganami. Analogicznie jak czynili to rycerze z Zachodniej Europy, wspierający Zakon Krzyżacki, walcząc z „litewskimi poganami”. Z pewnością czysto ideowymi względami – nawiązującymi wprost do wzorca Rolandowego – kierował się, wspominany już przy innych okazjach, Jarosław z Iwna, który walczył z Saracenami w Hiszpanii. Wielu też z nich straciło życie z tureckiej ręki. W roku 1428 właśnie w walce z Turkami poległ Zawisza Czarny. Najbliższą karierę zrobił na Węgrzech, w czasach Zygmunta Luksemburskiego, Ścibor ze Ściborzyc herbu Ostoja, który pod Nikopolis miał uratować życie cesarzowi, uczestniczył po stronie Zygmunta w walkach wewnętrznych, został wojewodą Siedmiogrodzkiem, posłował do Krzyżaków i Jagiełły, a nawet w roku 1410 – kiedy rycerstwo polskie walczyło z Zakonem – prowadził działania zbrojne przeciw Polsce. Dziś byłoby to uznane za oczywistą – godną najostrzejszego potępienia – zdradę. W realiach epoki – dominacji feudalnych relacji między suwerenem (monarchą) a wasalami (rycerzami) nad identyfikacją świadomości narodowej z konkretnym państwem – takie postępowanie nie było oceniane tak jednoznacznie. W każdym razie bezsporny jest fakt, iż Ścibor zmienił pana i ojczyznę [przyp. – Red.].

o Czechy i Węgry, których spełnienie zastępowałoby luksemburską propozycję uniwersalizmu – habsburską. Klęska pod Warną ostatniej krucjaty europejskiej, prowadzonej przez polskiego króla, który legł w bitwie, wykazała jedynie przedwczesność militarnej części przedsięwzięcia. Samego kierunku nie zmieniała. Pół wieku potem koronę Węgier włożył jego bratanek Władysław Czeski. Tendencję tę wzmacniał drugi powód konfrontujący politykę polską z Osmanami. Był nim związek frontu osmańskiego z frontem wschodnim, od *Traktatu z Krewa* odsuniętym za Dźwinę i Dniepr, w głąb obszaru wciąż zdominowanego przez Złotą Hordę, którą ojciec Jagiełły książę Olgierd (zm. 1377) wyparł na wschód. Panowała ona nadal jednak na Rusi wschodniej. Tę zaś – wspólnie z podległością Hordzie – integrowała więc dynastyczna książąt z rodu Ruryka i wrogość dla *herezji łacińskiej*, jeszcze przed upadkiem Konstantynopola szerzona przez odłam Prawosławia niechętny walce z Osmanami, a po jego upadku protegowany przez sułtana, powołującego odtąd zwierzchników Patriarchatu.

Nieobliczalność cechowała postawę nie tylko prawosławnych książąt Wołoszczyzny i Mołdawii. Wahała się też część establishmentu Rusi litewskiej i krewniacy Jagiełły. Za aktami rozluźniającymi ustalony w Krewie stosunek prawny Litwy do Korony (1401, 1432) – obok litewskiego partykularyzmu – stała zapewne polska niechęć do udziału w korekcie ambicji litewskich, które korygować winna sama wspólnota zagrożenia. Fakty dowodzą, że korekty takie były możliwe, a postawa rządu Korony nie wynikała z jakiegoś szkodliwego lenistwa. Plany, w latach 1429-1430, koronacji królewskiej wielkiego księcia litewskiego Witolda, jak też próby secesji z lat 1431-1435 podjęte przez jego następcę Świdrygiełłę, pokrzyżowali Litwini w istocie sami, bo z dość ograniczoną pomocą ze strony Korony. Dywersyjny sens obu incydentów – inspirowanych przez Zygmunta Luksemburskiego i Zakon Niemiecki – był zaś jawny zupełnie. Dalej, na wschód od Księstwa, nieobliczalność sytuacji rosła. Sprawiała to postępująca z biegiem XV wieku zmiana stosunków wewnątrz Złotej Hordy, a tym samym na Rusi wschodniej.

Wyścig do władzy uszczuplał wprawdzie zasięg władzy Saraju, od którego odrywały się kolejne chanaty – Krym (1427), Kazań (1438) i Astrachań (1466) – ale z którego nadal szła nominacja książąt Moskwy na stanowisko uprawniające nominata do ściągania haraczu na rzecz Hordy z pozostałych książąt wschodniej Rusi. Przywilej i obowiązek taki – nadany w roku 1328 przez chana Ozbega (zm. 1342) Iwanowi I Kalicie (†1340) – próbował w roku 1480 zanegować Iwan III Srogi (†1505). Sam jednak wykonywał go jeszcze

w latach 90-tych, a w roku 1505 o procedurze jego spłaty pouczał swego następcę. W dezintegracji wschodu podległego Złotej Hordzie polityka polska miała swój udział, ale sama dezintegracja nie zmniejszała ryzyka płynącego ze stosunków miejscowych. Tak jak pięć wieków wcześniej z Cesarstwa Zachodnio-Rzymskiego wyodrębniły się średniowieczne monarchie, namnażając jego formę polityczną jakby przez pączkowanie, tak też i pączkowanie Złotej Hordy mnożyło byty wyodrębniane z niej i inspirowane jej formą. System ów tworzyły chanaty razem z księstwami Rusi, z wyróżnioną przez Saraj Moskwą. Płynne położenie sprawiało, że w wieku XV wschodnia granica zasięgu odpowiedzialności polityki polskiej biegła krawędzią równie niebezpieczną, jak w dobie narodzin państwa. Z uznaniem więc wypada pokwitować ruch przeczyny, jaki – przed zwrotem ku ścianie zachodniej – wykonała na wschodzie dyplomacja króla Kazimierza Jagiellończyka. Była nim delimitacja granicy Litwy z Moskwą, uzgodniona w roku 1449.

Akt ten – zamykając ekspansję na wschód, jaką Wielkie Księstwo Litewskie prowadziło przed unią z Koroną – usuwał jeden z czynników subiektywnych, trzymających Moskwę pod protekcją Hordy. Miejsce jego zajmowała świadomość, że spoza granicy, która przebiegała około 150 kilometrów na zachód od Moskwy, władzy jej książąt nie zagraża już nic. Zwiększony przez to komfort operacyjny otwierał perspektywę integracji – pod ich egidą – pozostałych księstw Rusi wschodniej, impet zaś samej integracji kierował tam, gdzie musiała ona budzić sprzeciw, a więc na wschód. Reorientowało to dynamikę dezintegracji wschodu, co pozwalało polityce polskiej skierować swój wysiłek główny na zachód – z ryzykiem już mniejszym. Zgodnie z taką też logiką nie mógł Kazimierz przychylić się do próśb o inkorporację, jakie słane były doń z różnych ziem wschodniej Rusi, gdzie metody integracyjne Iwana Srogięgo nie budziły zachwyty. Przyznać przecież wypada, że nie zaniedbał król starań, by z perspektywą reintegracji politycznej wschodu – tym razem pod egidą nie Hordy, lecz Moskwy – nie sprzęgły się zagrożenia znane z przeszłości.

Co jasne, zagrożenia te mógł – w pewnym stopniu – zmniejszać udział Moskwy w szerszym, a przez Polskę współkreowanym, systemie europejskim. Taki właśnie system formował się między innymi w wyniku małżeństwa, zawartego w roku 1472 przez Iwana III z bratanicą dwu ostatnich cesarzy Konstantynopola – księżniczką Zoe Paleolog (†1503). Opowiadając się za tym związkiem, polityka polska współdziałała tu z obiema potęgami zaangażowanymi realnie na tym froncie – z Rzymem papieża Pawła II (†1471) i Sykstusa IV (†1489) oraz z władczynią wschodniej części Morza Śródziemnego

– Wenecją. Promocja Paleologów, symbolizujących opór stawiany Turcji do końca i pojednawczą postawę wobec Kościoła Rzymskiego, równoważyć mogła wpływ tego skrzydła Cerkwi, którego wrogość wobec łacińskiej herezji płynęła ze wspólnej sankcji sułtana i patriarchy Konstantynopola, i dla którego stąd był do przyjęcia udział w każdej antypolskiej koalicji. Sprzyjając emancypacji Moskwy spod jej zależności dotychczasowych, Polska otwierała przed nią udział – na równych prawach – w europejskim procesie kulturowo-politycznym, z jakiego cała wschodnia Ruś dotąd była wykluczona. Zasady polskiej polityki wschodniej – oparte na założeniu, że kierunkiem priorytetowym dla niej jest zachód – sprzyjały narodowemu i państwowemu modelunkowi tego bytu, który właśnie wtedy stawał się Rosją.

Impuls państwowotwórczy, jakiemu w taki to sposób poddana została wschodnia dzielnica Kontynentu, zmniejszał nieobliczalność pochodzącą ze specyfiki stosunków miejscowych, narzuconych przez jej kolejnych zdobywców. Rzecz prosta, sam impuls ów nie przesądzał jeszcze, która z obu zasad życia publicznego nada postać powstającemu państwu. Czy będzie nią zasada czyniąca państwo *przedmiotem władzy absolutnej* – bliższa stosunkom jakie tu panowały dotąd, czy też weźmie górę duch republikański, czyniąc z młodego państwa *podmiot rządów konstytucyjnych*. Ewolucja ustroju państw nadających ton koncertowi, udział w którym dawał Rosji impuls wspomniany, na rozstrzygnięcie musiała mieć swój wpływ.

Tymczasem zachodnie zorientowanie punktu ciężkości polityki polskiej, łączyło się z jej nader wyraźną orientacją właśnie republikańską. Budzi uznanie zgodność, z jaką ta ostatnia jawiła się i w teorii, i w praktyce. Broniąc zasady naturalnej wolności narodów, to integralność i suwerenność państwa – jako podmiotu ją gwarantującego – Stanisław ze Skarbimierza (†1431) i Paweł z Brudzenia (†1436) uczynili aksjomatem polskiej doktryny prawa narodów. Już na Soborze w Konstancji (1414-1418) ujęła się ona za zagrożonymi przez Zakon Niemiecki i Zygmunta Luksemburskiego. Pochwały też żąda praktyka, w której w tym samym duchu, biskup Zbigniew Oleśnicki (†1455) – w roku 1435 negocjując w Brześciu Kujawskim traktat pokojowy z Zakonem – osiągnął od strony przeciwnej uznanie jej poddanych za poręczycieli przyjmowanych przez nią zobowiązań. Protekcja tą drogą ambicji obywatelskich na ziemiach utraczonych, ich rewindykację ułatwiała. Wykazała to w czasie *Wojny Trzynastoletniej* postawa miast pruskich – od Torunia po Królewiec, na czele z Gdańskiem.

Towarzyszące ekspansji dynastycznej Jagiellonów promieniowanie republikanizmu polskiego z pewnością było determinowane także zasadą elekcyj-

ności tronów Węgier i Czech. Ukłon wobec miejscowych aspiracji nie miał jednak charakteru koniunkturalnego. Dowodził tego rozkwit miejscowych parlamentów i ustawodawstwo jagiellońskie wyrażające nie tyle osłabienie władzy monarszej – jak orzeka to historiograficzny przesąd rzeczników ab-solutyzmu – ile postęp procesu konstytucjonalizacji życia publicznego. Stąd formalna restytucja Królestwa Chorwacji – trwającego od XII wieku w unii z Węgrami – przez króla Władysława w roku 1496.

Nie da się ukryć, że ześrodkowana na zachodzie, piętnastowieczna polityka polska miała trzy osiągnięcia istotne. Po pierwsze – dokonała postępu w zakresie rewindykacji ziem odpadłych na zachodzie w dobie dzielnicowej. Po drugie – wkład jagiellońskiej Europy Środkowej wsparł tendencję krystalizującą państwo konstytucyjne w przestrzeni całego Zachodu – od Hiszpanii króla Ferdynanda Aragońskiego (†1516), poprzez państwa Italii z Wenecją i Sycylią na czele, po Anglię, gdzie ze zgliszcz *Wojny Dwóch Róż* rósł autorytet parlamentu. Po trzecie – na Wschodzie wygenerowała układ tamujący ekspansję wschodnich form zbiorowego życia na zachód, a otwierała perspektywę ruchu o kierunku odwrotnym: i kulturowo i geograficznie. Wszystkie trzy osiągnięcia mnożyły ciężar gatunkowy polityki polskiej, zwiększany wytrwałością, z jaką dbając o bezpieczeństwo narodowe, przyczyniała się też i do zmniejszenia groźby anarchizacji stosunków międzynarodowych – pochodzącej z ambicji partykularnych, a nieczułych na prawa państw żadnych, w tym i własnego.

Toteż nie dziwi syndrom działań powodowanych ambicjami podobnymi, a godzącymi już wtedy nie tylko w politykę polską, ale też w militarne bezpieczeństwo Kontynentu i w zachodnią tożsamość polityczną. Podziw budzi raczej sprawność, z jaką z tym pod sam koniec XV wieku ujawnionym syndromem, polityka polska dawała sobie radę w obu jej wielkich stuleciach następnych – XVI i XVII. Co prawda, tak dramaturgię syndromu, jak i jego czynniki, cechowała trwałość równie uderzająca. O ile bowiem zasadą dramaturgii wciąż pozostawała odwracająca aktywność polityki polskiej na wschód, dywersja w Moskwie, o tyle akty dywersji tej firmowane były z jednej strony przez zachodnioeuropejskie dynastie, a przez osmańską Turcję z drugiej.

Dramaturgię skomponowali Fryderyk III (†1493) i Maksymilian I (†1519) Habsburgowie, przy udziale – chyba nie uzgodnionym – sułtana Bajazeta II (†1512). Ekspansji obu potęg stawał bowiem na przeszkodzie układ integrowany przez Jagiellonów w Europie Środkowej. Ograniczał on szanse transkon-

tyntentalnej dominacji rodu Habsburgów – panującego w Rzeszy Niemieckiej i w Niderlandach, a od roku 1500 stojącego przed perspektywą dziedziczenia też tronu Hiszpanii, po Ferdynandzie II Aragońskim. Ten sam układ trwał zaś na całej lądowej części frontu, jakim na Kontynent napierała inwazja Osmanów. Obiektywna zbieżność obu interesów, habsburskiego i osmańskiego – niezależna od ich uzasadnień subiektywnych – zastępowała potrzebę uzgodnień formalnych. Aby realnie skojarzyć działania obu stron, wystarczył czynnik trzeci.

Był nim zwrot sytuacji w Moskwie, dokonany przez rzeczników tezy, że mniej przystoi patriarchom Konstantynopola być pod tiarą papieża, niż pod turbanem sułtana. Tymczasem dodatkowo zwrot taki sugerowały inicjatywy wpisujące się w tradycję zainaugurowaną już pięć wieków wcześniej, przez saskiego króla Niemiec i normańską księżnę Kijowa. Wznawiane przez cesarza Fryderyka III – długi czas bezskutecznie – dodatkowe wsparcie zyskały w rywalce Zoe Paleolog, którą była wdowa po synu księcia Iwana III z pierwszego małżeństwa, księżna Helena Mołdawska (†1505). W znacznym stopniu to stan gry stronnictw skupionych przy obu księżnych – a każde miało swą frakcję w Cerkwi – decydował, czy Iwan III trwał w systemie jaki dotąd promował młodą Rosję, czy też dokonywał dywersji, sugerowanej układami przezeń zawartymi. Jednym – w 1490 roku z cesarzem Fryderykiem oraz drugim – z Turcją w roku 1495.

Dwukrotna dywersja militarna Rosji – w latach 1492-1494 i 1500-1503 – nie poprawiła notowań Maksymiliana I ani w Czechach, ani na Węgrzech. Ograniczyła jednak polską zdolność riposty na wyzwania, jakie od razu ujawniły się gdzie indziej. To jest nad Morzem Czarnym, gdzie od roku 1485 po 1502 trwało starcie z Turcją – z różnym szczęściem i z chwilowymi rozejmami w latach 1489, 1495 i 1501 – a pamiętne nieudaną próbą odbicia portów w Białogrodzie i Kiliu (1497). I nad Bałtykiem, gdzie nie pogodzony z wynikiem Wojny Trzynastoletniej Zakon Niemiecki – wsparty przez Maksymiliana – w roku 1498 wszczął rebelię. Wiedzy o roli swego sąsiada z zachodu, król Jan Olbracht (†1501) dał wyraz w liście do królewicza Aleksandra (†1506), z listopada 1493 roku: *przeciw nam wszędzie snuje intrygi, wśród Moskali, Wołochów, Tatarów i Prusaków, abyśmy – rozerwani naszymi sprawami – opuścili brata* (tj. Władysław króla Czech i Węgier). Idea ożenku królewicza Aleksandra z księżniczką Heleną (†1513), córką Iwana III i Zoe Paleolog, jako remedium na te intrygi, zrealizowana w roku 1495, okazała się skuteczna chwilowo⁸⁸.

⁸⁸ W roku 1492 Aleksander został wybrany przez Litwinów – bez zgody szlachty polskiej – Wielkim Księciem Litewskim. Oznaczało to zerwanie unii personalnej między Litwą a Polską. [przyp. – Red.]

Świadomość sytuacji determinującej postawę moskiewskiego księcia, zarejestrował list, jaki doń wysłali w styczniu 1501 roku królowie Jan Olbracht i Władysław. Nawołując go do zgody z jego zięciem, królewiczem Aleksandrem, zauważali: *jeśli do zgody przyjdziecie, siły i władza was obu tak się wzmocni, iż wspólnej obronie chrześcijaństwa wielce pomocni być będziecie mogli*. Zasadą bowiem – także za Aleksandra już króla – nadal był synchronizm besy wpływów księżnej Heleny Mołdawskiej na dworze moskiewskim, z hossa miejscowej tendencji do pokoju z Polską i ze skwapliwością, z jaką uwalniana od wschodniego balastu polityka polska skupiała się nad sprawą Zakonu. Tak było i w roku 1501, i w roku 1503, acz za każdym razem rozstrzygnięciu – już przygotowanemu – przeszkodziły kolejne śmierci królów, Jana Olbrachta i Aleksandra. Nie inaczej przedstawiały się zasady gry w pierwszych dziesięciu latach panowania ich brata, króla Zygmunta Starego. Reakcja na wzrost wpływów stronników Heleny Mołdawskiej, po jej śmierci, a w pierwszych latach rządów syna Iwana III i Zoe Paleolog, Wasyla III (†1533) – ograniczyła się do półtorarocznej ekspedycji przewencyjnej (1507-1508).

Potwierdziła podporządkowanie planu polityki wschodniej planowi zachodniej, gdzie synowie króla Kazimierza ześrodkowali aktywność swej dyplomacji. Właśnie sprawa tu priorytetowa – jaką sprawę Prus Wschodnich uczynił nowy bunt Zakonu zbieżnie ze zwrotem w sytuacji międzynarodowej – egzaminowała jakość podjętych w związku z nią działań i ich zasięg. I to właśnie ją rozwiązując, w ramach zachodniej determinacji swojego ciążenia i ze świadomym, a znacznie bardziej wymagającym sztuki i wysiłku, oddziaływaniem na koniunkturę właśnie zachodnią – współtworzoną przez polską dyplomację, z głęboką znajomością jej specyfiki – polityka jagiellońska weszła w apogeum swego nie tylko zasięgu, ale i charakteru.

1492-1526

Kolejne panowania trzech synów króla Kazimierza Jagiellończyka (†1492) – Jana Olbrachta (†1501), Aleksandra (†1506) i Zygmunta Starego (†1548) – wprowadziły politykę jagiellońską w apogeum, w jakim pozycja Polski w polityce europejskiej utrzymywać się miała jeszcze ponad wiek od roku śmierci ostatniego z rodu Jagiellonów – króla Zygmunta Augusta (†1572). Zostało ono osiągnięte w roku 1525, czego dekoracyjnym odzwierciedleniem był pamiętny *Hołd Pruski*. Rzecz tkwi w specyfice drogi, którą ku owemu apogeum poszło przedostatnie pokolenie zasłużonej dynastii, wspierane przez wybitnych mężów stanu i dyplomatów, z kanclerzem i prymasem Janem Łaskim

(†1531) na czele. Jest to specyfika instruktywna. Ujawnia logikę krajobrazu politycznego Europy – mało zmienną mimo kolejnych trzęsień ziemi, zmieniających nieco tylko wygląd powierzchni. Tłumaczy też logikę marszruty. Ta zaś, pod berłem wspomnianych trzech królów nie uległa najmniejszej zmianie, w porównaniu z zasadami i założeniami, którym posłuszni byli ich ojciec i dziad, a które w istocie podpowiadało doświadczenie epoki Piastów.

Jak wtedy tak i teraz położenie określała rywalizacja o hegemonię w Europie zagrożonej z zewnątrz, a wewnątrz nękanej aspiracjami do rządów absolutnych. Role egzekutorów tej ponurej strony logiki położenia europejskiego, na przełomie XV i XVI wieku przyjęli sąsiedzi Polski – Habsburgowie i Turcja. Konfrontacja właśnie z nimi – już w wieku XV – ułatwiła Polsce opowiedzenie się po stronie, którą logika europejska tradycyjnie przedstawia jako jasną. To jest po stronie przeciwnej hegemonii, a ceniącej bezpieczeństwo zbiorowe i dobrodziejstwo rządów konstytucyjnych.

Co jasne, wszystkie trzy imperatywy, w dzisiejszej narracji politycznej tak obecne, wtedy głosiła polityka polska w języku pojęć epoki. Ówczesnego też instrumentarium używała przy ich realizacji. Natomiast sama zasada diagnozy oraz rozpoznania priorytetu i drogi wiodącej do jego osiągnięcia, wszystko to trzymało się wzoru ustanowionego pięć wieków wcześniej – dyplomacją i mieczami Mieszka i Chrobrego. Zasada więc suwerennego, równoprawnego i czynnego udziału Polski we wspólnocie państw Zachodu. Zasada przeto traktowania sytuacji na Wschodzie jako drugoplanowej, a wymagającej interwencji jedynie gdy jej rozwój szkodzi polskiej polityce zachodniej.

Zauważyć wypada, że tureckie zagrożenie od południowego wschodu pozostawienia tej zasady nie osłabiło. Przeciwnie, wydaje się, że raczej zoptymalizowało ono wysiłki niezbędne, by – realizując priorytet zachodni – można było jednocześnie front turecki przynajmniej utrzymać, bez uszczerbku honoru i bezpieczeństwa własnego, a tym samym i Europy.

Wyzwanie priorytetowe czasu sprzęgało nad Bałtykiem trwający od roku 1498, nowy bunt Zakonu Niemieckiego przeciw Koronie Polskiej, z globalnymi aspiracjami Habsburgów, dla jakich teatrem stały się całe obie wielkie dzielnice Kontynentu – zachodnia i środkowa. Na przeszkodzie zbrojnemu złamaniu buntu stały czynniki różne. W mniejszym stopniu były to obawy dywersji Moskwy, zamawianej przez Zakon, Habsburgów i Turcję; więcej ciążył front turecki, jeszcze więcej kolejne śmierci królów – Jana Olbrachta i Aleksandra – do których dochodziło w ostatnich fazach przygotowań do walnej rozprawy z lennikami z Prus Wschodnich. Główny wpływ jednak miała koniunktura za-

chodnioeuropejska, determinowana rywalizacją miejscową i stosunkiem rywali do ekspansji Habsburgów. Związek koniunktury środkowoeuropejskiej z zachodnioeuropejską znalazł wyraz w dwóch systemach, formowanych z udziałem dyplomacji Jagiellonów, w latach 1500 i 1515. Oba systemy łączyło to, że uniemożliwiały hegemonię. Pierwszy izolował cesarza dążącego do hegemonii; drugi go objął, kwitując i gwarantując jego rezygnację.

Dążenia Maksymiliana I opierały się o dwa filary: o perspektywę zajęcia tronu Hiszpanii przez Filipa Habsburga (†1506), prawnego następcy po żyjącym jeszcze królu Ferdynandzie II Katolickim (†1516) oraz o roszczenia do jagiellońskich Czech i Węgier. Przęsłem, które oba filary łączyło, był alians sprzymierzeńców z północnomorsko-bałtyckiej rubieży Kontynentu, wywierający nacisk zarówno na Francję, jak północne kraje Rzeszy i Polskę. Alians ów tworzył Zakon Niemiecki i monarchie Skandynawii, w ramach *Unii Kalmarskiej* rządzone przez króla Jana I Oldenburskiego (†1513). Koligacje sytuowały monarchę tego w istocie w samym centrum sprawy. Żona jego Krystyna Wettyn – siostrzenica Albrechta Bawarskiego (†1508), szwagra cesarza – była bratanicą Fryderyka (†1510), od 1498 roku przywódcy rebeliantów z Malborka. Spajała całe przęsło tendencja ekonomiczna, której Maksymilian I i Jan Oldenburski ulegali wspólnie. Generowała ją niechęć kupieckiego establishmentu Niderlandów habsburskich do Hanzy, monopolistki północnomorskiego i bałtyckiego handlu. Wpływ tendencji tej sięgał Londynu i Edynburga, zaś przedłużeniem spajanego nią przęsła na wschodzie stać się miała Rosja. Jak za Bolesława Chrobrego, jego siostry Świętosławy i syna jej Kanuta Wielkiego (króla Anglii i Danii) – bałtycka polityka Polski, kolejnym hegemonicznym aspiracjom przeciwstawiła swój udział w obu wspomnianych systemach.

Pierwszy, z roku 1500, ustanowiły dwa traktaty, formalnie i faktycznie ujmujące się za sprawą Chrześcijaństwa, zagrożonego przez Turcję. Jeden – w Budzie – państwa jagiellońskie zawarły z Francją i Wenecją, którą Turcja wypierała właśnie z Zatoki Korynckiej i Peloponezu. Drugi – w Granadzie – podpisali królowie Francji i Hiszpanii, Ludwik XII (†1515) i Ferdynand II (†1516). Ich porozumienie zapowiadało kres sporu o Królestwo Neapolu, jaki dzielił obie dynastie – już godzące się na jego zwrot stronie francuskiej, z uzasadnieniem, że jego posiadacz aktualny jest wobec Turcji mało stanowczy. Zyskiwał na tym król Ferdynand, skłócony z zięciem Filipem, zaś całość skonsolidowały dwa śluby. W roku 1502 Władysław Jagiellon król Węgier

i Czech (czwarty z braci i najstarszy) pojął Annę de Foix (†1506), siostrzenicę Katarzyny de Foix (†1519) królowej Nawarry i Anny Bretońskiej (†1514) żony króla Ludwika. W roku zaś 1505 z Żermeną de Foix (†1538) – siostrzenicą Ludwika XII, a bratanicą stryjeczną Anny królowej Węgier i Czech – ożenił się król Ferdynand.

Do systemu Polska wносиła aktywa bałtyckie z minionego wieku, doinwestowane w roku 1491 ślubem królowny Anny Jagiellonki (†1503) z księciem Bogusławem X Pomorskim (†1514) i stabilizujące orientację utrzymaną przez wiek następny – co za życia księcia wyraziła też jego wola uznania zwierzchnictwa Korony. Plan ożenku (1509) króla Zygmunta Starego († 1548) z siostrą Henryka V (†1552) księcia innej posłowaniańskiej krainy Rzeszy – Meklemburgii, wprawdzie nie został zrealizowany. Jednak nie zmieniło to polskiej opcji dworu w Szwerynie – a choć królewicz Zygmunt nie przyjął korony, o co go prosili Szwedzi (1496 i 1502) nie uznający rządów Jana I – to sprawę pokoju z Rosją dyplomacja polska wiązała z ustaniem inspirowanej z Danii agresji Iwana III na Szwecję. Gdańsk wspierał Lubekę, a Pomorze, Meklemburgia i Hanza krzyżowały próby odsieczy zbrojnej dla Zakonu, podejmowane w Rzeszy.

Król Aleksander i kanclerz Łaski nie ulegli dywersji, jaka koniunkturę tę mąciła w Europie Środkowej, a do jakiej dał się pozyskać król Anglii, Henryk VII Tudor (†1509), w roku 1502 proponując Jagiellonom alians antytyurecki, z udziałem króla Niemiec i mistrza Zakonu Niemieckiego. Należy się im uznanie za klarowny wykład doktryny jagiellońskiej – w orędziu na Sejm 1503 roku – tłumaczący brak woli udziału w takim systemie. Król zwracał uwagę, że Henryk VII nie przewiduje udziału papieża (który traktatom z Budy i Granady błogosławił), a włącza do niego królów Szkocji i Danii, którzy walczą z bliskim Polsce namiestnikiem Szwecji (Stenem Sture Starszym) i z miastami Hanzy, *nad którymi król Polski ma zwierzchnictwo*. Nadto podkreślał, że w projekcie z założenia antytyureckim brak mowy, *jakimi drogami* na froncie z Turcją u boku Polski i Węgier, ze sprzymierzeńcami stawia się Anglia.

Śmierć króla Jana Olbrachta i wznowiony spór Francji i Hiszpanii, odroczyły zamknięcie sprawy Zakonu. Rychłej zaś poprawy stosunków obu państw romańskich i pomyślnej kampanii prewencyjnej przeciw Moskwie, przeprowadzonej przez Zygmunta Starego po objęciu rządów, nie pozwolił spożytkować obrót koniunktury na zachodzie, spowodowany porozumieniami o *Lidze w Cambrai* (1508) i o *Lidze Świętej* (1511). Oba wprawdzie odciągały Maksymiliana I na zachód, nadto kierując go przeciw przyjaciółom Polski. Jednak z tym samym Maksymilianem wiązały one innych jej przyjaciół.

Modelowało to stosunek Jagiellonów do obu *Lig*. Zapraszany do pierwszej – przeciw Wenecji – król Władysław nie dał się skusić Dalmacją (przeznaczaną na część węgierską w sojuszniczym łupie), choć do wątpliwej sprawy dali się Habsburgom wciągnąć i papież Juliusz II (†1513), i Ludwik XII, i Ferdynand II – każdy z nich zresztą z ujemnym saldem korzyści i strat. Drugą – Jagiellonowie zdecydowali się przeczekać.

Tymczasem z *Ligi w Cambrai* wychodził Maksymilian Habsburg przy najmniej z tytułem cesarskim, uzyskanym od papieża (1508). Z *Ligi Świętej* – dogorywającej już jesienią roku 1513 – w dobrej komitywie ze swym kombatantem na froncie francuskim, Henrykiem VIII (†1547) nowym królem Anglii – z satysfakcją przewagi nad Francją. Wzrost jego prestiżu na zachodzie był skutkiem *Ligi Świętej*, przykrym nie tylko dla Francji. Od śmierci – zaraz po urodzeniu (1509) – syna Żermeny de Foix, reszta epoki Ferdynanda II mijiała pod znakiem przyszłej intronizacji Karola V, dokonanej w roku 1516. Do uległości koniunkturze ogólnej nie trzeba było zachęcać nowego króla Danii i Norwegii, Chrystiana II (†1559), żonatego z Izabelą Habsburżanką (†1526), siostrą króla Karola. Powzięty w marcu 1513 roku plan koalicji przeciw Zygmuntowi Staremu – od czterech miesięcy zmuszonemu oganiać się od kolejnych zamachów na Litwę, na jakie, mimo kolejnych porażek, zdobywał się wyczuwający koniunkturę Wasyl III – zwińczyło zaprzysiężenie przez cesarza przymierza z Rosją, w sierpniu roku 1514.

Łatwość, z jaką obie *Ligi* kruszyły zachodnie ogniwo systemu opartego o idee z roku 1500, narzucała potrzebę jej weryfikacji. Dokonali tego Jagiellonowie w koniunkturze, która na zachodzie – w porównaniu z rokiem 1500 – była dla Cesarstwa i Zakonu już lepsza. Rzecz w tym, że do swej idei, skrojonej na miarę potrzeb roku 1515, pozyskali głównego antagonistę – cesarza. Była to idea ugody generalnej. Wykluczając wzajemną dywersję interesów, potwierdzała ona pełną równoprawność obu stron. Nie narzucając im obowiązków sojuszniczych, stabilizowała pluralizm stosunków europejskich. Samą siłą rzeczy wykluczało to możliwość hegemonii. Ugodę z cesarzem przypieczętował *Kongres Wiedeński z roku 1515*, manifestując tym samym działanie systemu już nowego.

Za pacyfikację stosunków obu dynastii strona habsburska zapłaciła wycofaniem wsparcia dla Zakonu w Prusach i zerwaniem z Moskwą oraz formalną i polityczną aprobatą panowania Jagiellonów na Węgrzech i w Czechach – przez małżeństwa dzieci króla Władysława, Ludwika i Anny, z wnuczką i wnu-

kiem cesarza. Dla Jagiellonów zgoda na oba małżeństwa była w istocie jedyną realną ceną pacyfikacji. Wobec realnego charakteru ustępstw, jakie zmuszony był czynić cesarz, nadto zawieranych z jego inicjatywy, jedynie formalizowały one podniesienie stosunku obu dynastii na poziom pełnej równości.

Z takiego zaś sensu wynikający wachlarz możliwych konsekwencji realnych, z realnymi celami polityki polskiej nie kłócił się bynajmniej. Jej celem wcale nie było – i jak najśluszniej – połączenie Czech i Węgier z Polską, drogą unii realnej czy federacji. Celem jej była jedynie praktyka dobrego sąsiedztwa, jako zabezpieczenia swobody jej działań na innych frontach. Gdy do 1515 roku środkiem po temu musiała być ekspansja dynastyczna Jagiellonów, to po pacyfikacji, ewentualne rządy habsburskie w Czechach i na Węgrzech stawały się tego samego gwarancją formalną. To zresztą, że praktyka zasady przyjętej w roku 1515 – mimo nieuniknionych potknięć po obu stronach – jej słuszność potwierdziła, znalazło wyraz również w układzie zbliżonym, jaki w roku 1637 połączył polską linię Wazów z austriacką linią Habsburgów.

Do zgody na układ taki skłaniała cesarza nie tylko determinacja i potencjał polityczny partnerów. Wzrost prestiżu Habsburgów – niepokojący Francję Walezjuszy, podobnie jak Polskę Jagiellonów – nie do końca uszczęśliwiał opinię samych Niemiec. W nastroje rywalizacji, jaka dzieliła feudalny establishment, elekcyjna władza królów Niemiec wczuwać się musiała. To one decydowały o sukcesji na tronie niemieckim, tym od sześciu wieków pomoście do cesarskiej korony, którą dysponował papież. Miała tu i Polska swój udział, wcale nie sprowadzony do roli jednego z tematów. Jej głos liczył się nie tylko z tej racji, że liczyć się z nim chciał król Czech – jako pierwszy elektor Rzeszy – którym do 1516 roku był brat polskiego króla, a potem bratanek jego, Ludwik Jagiellon (†1526), którego Zygmunt Stary był opiekunem prawnym. I nie tylko dla wspólnoty interesów, jaka ku Polsce kierowała wpływową nadal Hanzę, i dla resentymentów, co podobnie kierowały uwagę innych graczy z niemieckiego boiska. Koniunktura, acz korzystna, nie dawała pewności, że na przyszłej elekcji część opinii Niemiec nie poprze nowego króla Francji, Franciszka I (†1547), lub faworyzowanego przez papieża Leona X (†1521), króla Polski, przeciw wnukowi cesarza, Karolowi. System determinujący przychylne Habsburgom stanowisko Polski w tej sprawie miał więc swoją wartość.

Decyzja poparcia niemieckiej elekcji Karola V była tymczasem najzupełniej trafna. Uzasadniał ją fakt, że kandydaturę francuską wspierały w Niemczech kręgi te same, co Zakon buntowały przeciw Polsce, a kandydat był ze szkoły innej, niż jego poprzednik, król Ludwik XII. Przesądzić o zwycięstwie

Karola V kazała – obok ducha porozumień wiedeńskich z 1515 roku – zwykłą przezorność. Natomiast zachowanie zdolności i praw do samodzielnej analizy panujących stosunków jedynie podnosiło urok polskiej opinii. Stąd nie mógł mu nie ulec – ledwie pięć lat po swej porażce na niemieckiej elekcji – Franciszek I, wychodząc z inicjatywą odnowienia polsko-francuskich porozumień z roku 1500, przez króla Zygmunta Starego przyjętą układem z 1524 roku. Przede wszystkim jednak pozwolił nowy system wreszcie zamknąć historię Zakonu w Prusach Wschodnich – od 1519 roku zajmowanych zbrojnie.

W roku 1522 rozejm przerwał wojnę z Rosją, która kosztowała utratę Smoleńska, powetowaną walnym zwycięstwem pod Orszą. Wygasła ona w incydentach coraz rzadszych, z udziałem sił malejących, a i pod murami Moskwy. Opór Szwecji złamał wprawdzie król duński wiarołomną ugodą i mordem, którego ofiarą padła elita szwedzka, w *Krwawej łaźni* z 1520 roku. Jednak walkę w roku 1521 podjął Gustaw Waza (†1559). W samej Danii kres rządów Chrystiana II położył – stając na czele opozycji – jego stryj Fryderyk I (†1533), żonaty z Zofią Pomorską (†1568), siostrzenicą Zygmunta Starego, i w roku 1523 koronowany. W tymże roku tron Szwecji zajął Gustaw Waza i *Unia Kalmarska* przeszła do historii. Sytuację nową odzwierciedlił w roku 1524 *Układ Gdański*. Łączył on cały południowy brzeg Bałtyku – Meklemburgię i Pomorze z Polską – przymierzem *przeciwko każdemu przeciwnikowi*.

Konsekwencją tak zamkniętego obrotu koniunktury był *Hołd Pruski* z roku 1525. Był to akt wyrafinowany. Król Zygmunt nie poprzestał na usunięciu Zakonu z pruskiego lenna Korony. Powierzył je zbuntowanemu i przyciśnietemu zbrojnie wielkiemu mistrzowi, księciu Albrechtowi Hohenzollernowi (†1568) – co część historyków ocenia surowo i znów niesłusznie. Uzależniając bowiem formalnie od Korony Polskiej całą rodzinę Hohenzollernów, związał akt ten z polityką polską jeden z filarów opozycji antyhabsburskiej w Rzeszy i zarazem niemiecką ostoję wpływów Francji. Dał polityce polskiej instrument wpływu na stosunki w zachodniej części Kontynentu, niosący korzyści i później. Odpowiedzialność za szkody – jakie po stu latach począł on wyrządzać Polsce – spada nie na pokolenie, które go wynalazło, ale na te, które dały go sobie odebrać.

Akt, którym w roku 1525 Polska poszerzyła instrumentarium swej polityki zachodniej i jej zasięg, Karol V skomentował po jednym ze spotkań z jej współtwórcą, wybitnym dyplomatą i poetą Janem Dantyskiem (†1548). Uczynił to

opinią kwitującą dwie sprawy – wrażenie jakie wywarły ostatnie akty polskiej dyplomacji i sprawę środka na nie zaradczyego. Otóż jego zdaniem wyłącznie odwrócenie ekspansji polskiej z zachodu na wschód mogłoby zmienić perspektywę, w której Polska jawiła się jako *największa potęga europejska, od Moskwy po Madryt*.

Co jasne, założenia rzeczywiste jagiellońskiej polityki wykluczały zarówno reorientację tak niedorzeczną, jak też niemniej niedorzeczne dążenie do hegemonii. Założeniem tym bowiem było bezpieczeństwo suwerenności Polski – im bardziej zwyczajowo zagrożone, tym też pilniej wymagające dostatecznych środków prewencji i interwencji. Co istotne, prewencja i interwencja nie szukały uzasadnień innych poza samym prawem, w granicach zresztą którego trzymane były i jej środki. Co znamienne, frontowe – z nadal obowiązującego, kulturowego punktu widzenia – usytuowanie Polski, na europejskim pograniczu z deklarującymi wrogość światami Islamu i Prawosławia, nie stawało się pretekstem do jakichś uroszczeń pod adresem świata własnego, co Chrystusa czcił wciąż po łacinie, nadal pozostającej językiem nauki i dyplomacji. Ta ostatnia – mówiąc o Polsce, a także o Węgrzech – stosowała wprawdzie termin *przedmurze*. Czyniła to jednak, by argumentować własne potrzeby obronne, a nie uzurpacje wobec swego zaplecza.

Integralny *realizm* polityki jagiellońskiej, widoczny w trzeźwości jej założeń, wyraźnie wykluczał jakąkolwiek ich *ideologizację*. Jej szczęśliwy brak nie wyróżnił polityki polskiej w ówczesnych stosunkach międzynarodowych. Plaga ta poczęła bowiem – w imię ich poprawy –szerzyć się później. Jednak z polityką jagiellońską zdaje się współbrzmieć pewien ton zmian w samej tychże stosunków podstawie; ton uchwytny w dwóch wątkach.

Pierwszy z nich toczy się biegiem życia publicznego w państwach uczestniczących w grze europejskiej. Natomiast ich wzajemne stosunki w kolejnych aktach gry, tworzą wątek drugi. W pierwszym, jak zawsze, bieg życia to zbliża je, to oddala, od łożyska *konstytucjonalizmu*, w jakim od helleńskich i rzymskich początków aspiracje *republikańskie* starają się je utrzymać. Drugi wątek manifestuje tendencje ustrojowe – te, które charakteryzują państwa do Polski w kolejnych konfiguracjach zbliżone, jak i te, które kolejne konfiguracje od Polski oddalały.

W polskiej strudze wątku pierwszego tradycjonalizm wizji polityki zagranicznej księdza kanclerza Jana Łaskiego (od roku 1503) zbiega się z równie silnym tradycjonalizmem jego wizji ustrojowej. Łaski – współautor *Konstytucji Nihil Novi* z 1505 roku – to przecież jeden z fundatorów reformy, jaka pod hasłem *egzekucji praw i dóbr* wzmocniła szesnastowieczne państwo. Jeden więc cel nadaje obu wizjom spójność. Jest nim państwo.

Drugi wątek koreluje obie tendencje – tę do *władzy konstytucyjnej* i tę do *absolutnej* – ze stanowiskiem jakie w europejskiej grze zajmują partnerzy Polski. Choćby w Skandynawii – w cztery lata po usunięciu przeciwnego Jagiellonom absolutysty Chrystiana II, bliski Polsce król Gustaw Waza rozwinął swymi ustawami parlamentaryzm szwedzki. W tym samym wątku widać też protekcję, jaką republikańskie ambicje otoczyli Jagiellonowie w Czechach i na Węgrzech. Z kolei synchroniczne z rywalizacją z Jagiellonami, ambicje Maksymiliana I sabotowały niemiecki konstytucjonalizm, kojarzony z osobą kanclerza Bertolda von Henneberga (†1504). To Francję króla Ludwika XII – protektora, a potem patrona *konstytucjonalizmu* francuskiego – połączył z Polską układ z 1500 roku, gdy później, mimo kolejnych prób zbliżenia, oba kraje począł oddalać wpływ ekspansji francuskiego absolutyzmu.

Można by więc powiedzieć, że Jagiellonowie wprowadzili europejską politykę Polski w jej apogeum, niejako przechadzając się po znanych ścieżkach po to, by utrzymać wciąż te same, niezwykle miejsce w środku Kontynentu. I by mogło ono zachować swoje oblicze.

Dodajmy, że owa przechadzka służyła zdrowiu – jak widać – także tych monarchii, które decydowały się brać w niej udział razem z Polską. Zapewne skłaniała do niej i pogoda, jaką niósł renesansowy wyż pory przełomu Średniowiecza i Nowożytności.

1526-1572

Mohacz dowiódł, że w granicach możliwości nie leży pogodzenie dwóch zadań. Zadania skutecznej obrony interesów bałtyckich, z zadaniem skutecznej obrony środkowoeuropejskiego południa przed Turcją. Niemożność pogodzenia obu spraw wynikała nie tyle z niedostatku sił własnych i koalicyjnych, jakich nad Bałtykiem i nad Dunajem nie brakło. Wynikała ona głównie z rozwoju sytuacji w zachodniej dzielnicy Kontynentu. Wspomniane już, a zasadnicze znieczulenie na imperatyw solidarności państw w ramach *rzeczypospolitej chrześcijańskiej*, dawało komfort dywersji, właśnie stamtąd sabotującej politykę polską na obu jej frontach, północnym – bałtyckim i południowym – dunajskim. Co – zauważmy na marginesie – prezentuje oba fronty jako flanki na froncie głównym, skierowanym tym samym zdecydowanie na zachód, nie zaś na wschód, jak głosi mitologia pseudo-jagiellońska. Priorytet miała flank bałtycka, gdzie przed Mohaczem odbył się *Hołd Pruski* z 1525 roku, poprzedzony *Traktatem Wiedeńskim* z roku 1515, kończącym dywersję habsburską na środkowoeuropejskiej północy,

a umożliwiającym wspólną obronę południa, już od roku 1521 poddanego ofensywie tureckiej – od Banatu po Lwów. Wciąż aktywny, prymas Jan Łaski (†1531) o zmianie priorytetu rzecz prosta nie myślał. Nie myśleli o tym i jego uczniowie, do których – z Piotrem Opalińskim, negocjatorem traktatu z 1533 roku – należą dwaj inni z tego pokolenia, Stanisław Sprowski (†1543) i Jan Tęczyński (†1545). Pierwszy parał w roku 1525 rozejm Polski z Turcją odstępując od żądania, by objął on Węgry, a drugi go przedłużył na dalsze pięć lat, w roku 1528. Poza poświęceniem półtora tysiąca ludzi, których pod Mohacz powiodł pułkownik Leonard Gnoiński (tam też poległ), nie można tu było przyczynić się niczym.

Bezpomna śmierć już drugiego Jagiellona – po Władysławie Warneńczyku (†1444) – poległego w obronie Krzyża, wywołała potrzebę korekty zasad środkowoeuropejskiej polityki Polski, dotąd uwzględniających jej dynastyczny związek z Węgrami i Czechami. Dokonano jej w zgodzie z bezpieczeństwem państwa, lojalnie wobec Czechów i Węgrów oraz ducha *Traktatu Wiedeńskiego* z 1515 roku, dopuszczającego objęcie spadku po królu Ludwiku – przez męża jego siostry Anny Jagiellonki (†1547) – Ferdynanda Habsburga (†1564). Zasad skorygowanych podczas ogólnoeuropejskiego przesilenia, jakie pod Mohaczem doznało jednego z bodźców głównych, wypadło polityce Rzeczypospolitej trzymać się aż do przesilenia kolejnego – na przełomie XVII i XVIII wieku. Okoliczności owej korekty tłumaczą jej istotę.

Otóż elekcyjność tronów Polski, Czech i Węgier wykluczała efektywne rządy jednocześnie na wszystkich. Wykluczała więc kandydaturę Zygmunta Starego, jak i jego jedyne, sześcioletniego syna. Stąd raczej jedynie sondażowe próby dyplomacji w tym kierunku. Stąd też brak dąsów do Czech, gdzie za Ferdynandem opowiedziała się większość, czy w stronę Węgier, gdzie wybrali go ludzie królowej-wdowy Marii Habsburżanki (†1558), gdy wcześniej, od większości przyjął koronę Jan Zapolja (†1540) – brat Barbary (†1515) pierwszej żony Zygmunta. Wydarzenia te zaszły bez inspiracji polskiej, a zbieżny z turecką inwazją, rozłam na Węgrzech komplikował sprawę korekty. Wraz z węgierską koronacją króla Ferdynanda I, witając Habsburgów jako odtąd sojuszników realnych na froncie tureckim, Polska nie mogła opuścić tych przyjaciół węgierskich, co skupili się przy królu Janie. Narodowy król Węgier zyskał w Polsce azyl oraz rękę Izabeli Jagiellonki (†1559) – córki Zygmunta Starego i Bony – i mediację, która obu węgierskich królów przywiodła do ugody, w roku 1538. Podobny był stosunek do syna króla Jana – księcia Siedmiogrodu Jana Zygmunta (†1571).

Mniej zmieniał Mohacz stosunki z sąsiadującą z Siedmiogrodem Mołdawią. Jej związek lenny z Koroną Polską zawarty za Jagiełły – potem zrywany i odnawiany (zawsze z inicjatywy rumuńskiej) – nie bronił przed dywersją, jaką od Suczawy po Moskwę szerzył przeciw Polsce Patriarchat Konstantynopola, gdy wrogość do *herezji łacińskiej* brała tu górę i gdy woli sułtana to odpowiadało. Współzawodnicy do tronu Mołdawii, autokratyczni bracia Heleny Mołdawianki (†1505) – synowej moskiewskiego księcia i ostoji antypolskich wpływów na jego dworze – tępil jednomyślnie życzliwą Polsce elitę kraju, co ukazał los osoby wybitnej jak Luca Arbore (†1523). Skłonność w Suczawie do sympatii dla tych partnerek Polski, których stosunki z Polską ulegały aktualnie naprężeniu – niezależnie czy była to Turcja, czy Austria, jak choćby za Piotra IV (†1546) – była nie do przewyciężenia. Stąd podporządkowanie relacji z Mołdawią relacjom z głównymi partnerkami polskiej polityki środkowoeuropejskiej, czego instrumentem stało się kondominium nad rumuńskim księstwem, wykonywane przez Polskę i Turcję. Używany do połowy XVII wieku, instrument ów czerpał siłę z traktatu, jaki w roku 1533 wynegocjował Piotr Opaliński (†1551). To właśnie zawarcie tego traktatu ujawniło istotę korekty wymuszonej klęską pod Mohaczem.

Nie sam wzgląd na priorytet bałtycki skorygował zasady polityki na flance południowej. Sytuację po Mohaczu determinowała nie tylko wojna z Turcją, którą król Ferdynand I Habsburg przejął po szwagrze Jagiellonie i którą toczył do roku 1547. Udział miała też wojna, jaką w latach 1527-1530, jego bratu Karolowi V (†1558) – królowi Hiszpanii i cesarzowi – narzucili sojusznicy z zaskakującej swoim składem *Ligi z Cognac*. Liga ta nie musiała dziwić tym, że papieża Klemensa VII (†1534) łączyła z Wenecją i Anglią przeciw cesarzowi. Udział papieża nie rzucał też cienia na Francję – jej przewodniczkę. Mrokiem spowijał intencje Rzymu alians, jaki króla Francji łączył coraz wyraźniej z sułtanem, właśnie w roku 1529 oblegającym po raz pierwszy Wiedeń. A choć z *Ligą* jej członkowie rozstali się rychło, osad jaki zostawiła po sobie, po kres XVII wieku wpływał na polityczną sejsmikę Francji i Italii. To ręką swej bratanicy – Katarzyny Medycejskiej (†1589) – oddaną w roku 1533 przyszłemu królowi Francji Henrykowi II (†1559) – zrekompensował Klemens VII swe przejście na stronę cesarza Franciszkowi I. To znosząc republikę we Florencji i oddając Toskanię stryjecznemu bratu Katarzyny – księciu Aleksandrowi (†1537) – dał w roku 1530 cesarz czterem pokoleniom Medyceuszy silne wejście do gry normującej bezpośrednio bezpieczeństwo Państwa Kościelnego.

Ze stanowiska polityki polskiej oznaczało to stabilizację na zachodzie wpływu czynników, które z ekspansją Turcji wiązały nie lęk a nadzieję. Także i sił wrogich bałtyckiej polityce Polski, co psuło relacje prymasa Łaskiego z Rzymem za papieża Klemensa – wcześniej doskonałe. Doba Mohacza oddaliła od steru Nawą Piotra tendencję uosobioną w Juliuszu II (†1513) – papieżu, który przed dwudziestu laty nad Bałtykiem monitował Zakon Niemiecki, zbuntowany przeciw Koronie Polskiej, a na granicy tureckiej ufundował Kamieńcowi Podolskiemu Wieżę Papieską. Której to wieży, obok innych, towarzyszyły dwie, nazwiskami swoich fundatorów oddające istotę, realia i dramatyzm ówczesnej korekty założeń polskiej polityki zachodniej. Były to Wieża Jana Łaskiego i Wieża Krzesława Kurozwęckiego (†1503) – mistrza i poprzednika prymasa na kanclerstwie.

Tendencja górująca za papieża Juliusza – co jak równy z równym, o *istotę Piękną* spierał się z Michałem Aniołem, a z pancerzem na piersi ścigał tyrana Bolonii – miała przecież nie raz jeszcze tchnąć w żagle Nawy Piotra. Skorygowane po Mohaczu zasady determinowały suwerenną reakcję Polski na jej kolejne odpływy i przypływy. Tak było w roku 1595, gdy od akcesu do *Ligi antytureckiej* – jaką organizował papież Klemens VIII (†1605) – odstręczał opinię polską pamflet autorstwa prymasa Stanisława Karnkowskiego (†1603) – wybitnego rzecznika spraw bałtyckich. Nie inaczej działo się w roku 1683, kiedy pod Wiedeń inny tych spraw rzecznik szedł z odsieczą, którą pobłogosławił papież Innocenty XI (†1689). Z grą obu tendencji komponuje się jeszcze jeden ton polskiej polityki europejskiej XVI i XVII wieku, nadany jej też w dobie Mohacza i odbierany odtąd w Stolicy Apostolskiej zawsze z podziwu godną wrażliwością niezależnie od stanu gry.

Myślmy o *pokoju wyznaniowym*, jako zasadzie polityki Pierwszej Rzeczypospolitej – tak wewnętrznej jak zewnętrznej. Przeciwwstawia ją Polska kryzysowi, jaki inicjował trwający do dziś rozłam Chrześcijaństwa zachodu. To przecież na oba medycejskie pontyfikaty – Leona X (†1521) i Klemensa VII – spada część odpowiedzialności za skalę skutków, które wywołał akt w formie i treści omszały bogatą już wówczas tradycją intelektualną i społeczną, czym była prezentacja tez doktora Marcina Lutra, w roku 1517. Skalę skutków mierzyły fenomeny znane – ideologizacja polityki, w tym międzynarodowej, i konfesjonalizacja państwa. Oba wynurzyły się z codzienności pierwszych dwu wieków nowożytnych, nękanej religijnymi wojnami

– europejskimi i domowymi. Oba też – jak wiadomo – w zasadzie ominęły przestrzeń osłoniętą przez Kamieniec od południa, a coraz szerzej otwierającą się na północy, z Gdańska i okolic.

Imperatyw *pokoju wyznaniowego* adresował się głównie do ładu życia, w tej przestrzeni właśnie. Czynił to skutecznie przez cały czas zauroczenia protestantyzmem, mimo prowokacji, których nie zabrakło, zwykle – co przyznać wypada – ze strony protestanckiej, zwłaszcza od lat trzydziestych XVII wieku, kiedy to zastęp zauroczonych przerzedził się ostatecznie. Mocą ustawy gwarantował władzę imperatywu słynny akt *Konfederacji Warszawskiej* z 1573 roku. Wykluczał on cenzus wyznaniowy przy mianowaniu na urzędy Rzeczypospolitej. Analiza list urzędników z nominacji królewskiej i kolejnych składów Izby Poselskiej ukazuje posłuszeństwo prawu z 1573 roku ze strony królów i obywateli. Bezpośrednio po śmierci ostatniego Jagiellona, *Konfederacja Warszawska* utrzymała myślowy standard, jakiego król Zygmunt August przestrzegał, gdy na prośby, by zerwał z Rzymem i stanął na czele *kościół narodowego* odpowiadał: *nie jestem królem sumień*.

Standard ów blokował modną wtedy tendencję konfesjonalizującą nowożytne państwo i czyniącą je *wyznaniowym* w takim stopniu, w jakim *państwowym* stawał się jego Kościół. Widać ją było nie tylko w krajach protestanckich, gdzie władca stawał na czele Kościoła, jak w Anglii, czy w Skandynawii i części krajów Rzeszy. Miała też sukcesy na gruncie katolickim, jak przy obronie *swobód gallikańskich* Kościoła Francji, proklamowanej w roku 1595, a podejmowanej ilekroć meandry polityki skłaniały do tego miejscowy dwór. Im zaś głębiej tendencja ta drażyła życie nowożytne – obojętnie, czy na gruncie protestanckim czy katolickim – tym bardziej przerażały jej skutki. Nie ograniczały się one do tragedii wojen religijnych w skali nieznanej Średniowieczu. Po każdej stronie frontu erodowały oba autorytety – wyznania i państwa.

W sedno zagrożeń, jakie stwarzało to dla samej instytucji państwa, trafił św. Robert Bellarmino (†1621). Dokonał tego w polemice z tezą polityczną kalwinizmu, wedle której władza kościelna winna sprawować w państwie władzę ustawodawczą dlatego, że inaczej niż państwo, ma Kościół moc zobowiązania sumień. Proponowany przez protestantyzm układ pojęć z tezą taką związał inną, nie mniej znamieną. Zawarł ją w poglądzie, że obok uprawnień władzy świeckiej ma władza publiczna *uprawnienia kościelne*, niezbędne do politycznej ochrony wyznania. Otóż swą niezgodę z tezą pierwszą uzasadniał Bellarmino przekonaniem, że ustawy władzy publicznej zobowiązują sumienie nie inaczej jak ustawy Boże. Tym samym – co zdziwi nie jednego – jezuita ów, kardynał, Doktor i Święty Kościo-

ła Rzymskiego, chronił integralność praw władzy świeckiej. Rzecz prosta takiej władzy świeckiej, która – wbrew drugiemu stanowisku protestantyzmu – nie rości sobie *uprawnień kościelnych*, bo tym bardziej ich nie pragnie, im bardziej nie chce władać sumieniami obywateli. O których to sumieniach katolicyzm mówi – choćby przy okazji spowiedzi usznej – że są wolne z natury.

Zgodność tonu obu wypowiedzi – króla, co sumieniami władać nie chciał i wybitnego przedstawiciela Reformy katolickiej – to na pewno fakt z samych wyzyn, na jakie w wiekach XVI i XVII wznosiła się europejska refleksja nad porządkiem ziemskim, chyba nie tylko jej czasów. Obecność w dwugłosie tym opinii właśnie Bellarmina nie była przypadkowa, zważywszy na jego preferencję ustrojową – jako wyznawcy poglądu – że ustrojem optymalnym jest *ustrój mieszany*. Ustrój więc uznawany za taki przez większość pisarzy europejskich epoki i przypisywany przez nich także Pierwszej Rzeczypospolitej. Poziom, na jakim wtedy polityka jej potwierdzała znaną zależność między ustrojem państwa, a jego stylem bycia w stosunkach międzynarodowych, był równie wysoki, czego ton polskiej dyplomacji dowiódł nieraz. Choćby w roku 1573 w Paryżu – kiedy to po rzezi, jaką Katarzyna Medycejska urządziła w *Noc Świętego Bartłomieja* kalwinom francuskim, to podczas rokowań związanych z powołaniem Henryka Walezego na polski tron, dyplomaci polscy wynegocjowali im zwrot swobód wyznaniowych.

Jeszcze jedno przecież uderza w obrazie tej Europy, nad którą, od czasu Franciszka I Walezjusza po kardynała Richelieu, unosił się duch francuskiej manipulacji protestantyzmem niemieckim⁸⁹, destrukcyjny nie tylko dla Niemiec, ale nie mniej – co wykazało doświadczenie – dla Francji. Jest to duch odpowiedzi króla Polski na zachowane w Archiwum Koronnym listy, dowodzące chęci niemieckich notabli protestanckich wyrządzenia mu grzeczności podobnych – w jego relacjach z Cesarstwem. Ten duch zaleca pojednanie.

Można sądzić, że poziom na jakim trwała polityka polska za obu ostatnich Jagiellonów, miał istotną gwarancję w harmonii, jaka w sprawach zagranicznych łączyła obie części opinii – katolicką i protestancką. Stan i jednej i drugiej raczej łatwo wykluczał wtedy, by mógł argument solidarności wyznaniowej podważać władzę obywatelskiego imperatywu *obrony Ojczyzny*. Brak też wątpliwości, co do istoty siły restrykcyjnej, która – obok obywatelskiego morale – stała tu na straży dodatkowo, a którą było przywiązanie do tradycyjnego repertuaru zachowań i działań, jaki Polsce do wykonania tego imperatywu służy w Europie.

⁸⁹ Anglia też tu nie próżnowała – choć broniła się za Stuartów – pierwsza zresztą sięgając do Rosji.

Po wyjściu z wirażu, do jakiego doprowadziła klęska pod Mohaczem, zmodyfikowane nią stanowisko w sprawach południowych, wspólnie z tradycyjnym stanowiskiem we wschodnich, podtrzymywało zachodni kurs przez całą pierwszą fazę apogeum Pierwszej Rzeczypospolitej (1526-1572). I na południu i na wschodzie, było ono defensywne. Na południu, gdzie polityce zachodniej przed Mohaczem używała swobody dynastyczna wspólnota z Węgrami i Czechami, teraz jej bezpieczeństwo gwarantował konflikt obu jej współzawodniczek – Austrii i Turcji. Różne dowody dbałości Polski o Siedmiogród i Mołdawię towarzyszyły odnowieniu traktatu z Turcją z roku 1533, które w 1553 wynegocjował Stanisław Tęczyński (†1561), a które w roku 1568 przedłużył Piotr Zborowski (†1580). Równoważyły to dwa kolejne małżeństwa Zygmunta Augusta z córkami Ferdynanda I Habsburga – w roku 1543 z Elżbietą (†1545) i w 1553 z Katarzyną (†1572) oraz układ z Ferdynandem I i Karolem V (1549) aktualizujący ducha *Traktatu Wiedeńskiego*, wynegocjowany przez Stanisława Hozjusza (†1579).

Spokój od wschodu aż po rok 1562 zapewniły dwa czynniki. Jednym były rozejmy z Moskwą, zawierane bez woli wznowienia wojny, ale bez podpisywania pokoju, który – co ukazał pokój z roku 1508 – dyplomacja rosyjska miała za instrument wiążący tylko partnerów. Choć przy rozejmie Moskwa pewność co do tego mieć mogła podobną, ale bez podobnego komfortu. Przez lat czterdzieści dowiodły tego wszystkie rozejmy z Moskwą zawarte od roku 1522 i dotrzymane przez nią. Drugim czynnikiem bezpieczeństwa na wschodzie – jak dawniej tak i obecnie – była efektywność polskiej reakcji na kolejne inicjatywy, jakie z zachodu animowały Rosję przeciw Polsce. Chwilami bowiem na dwory habsburskie wracało marzenie, by *mieć świat cały w swych kleszczach* – co zauważał Zygmunt August w roku 1553 komentując wspólną akcję Ferdynanda I i Iwana Groźnego, jaka miała dać władcy Rosji uznanie tytułu *cara całej Rusi* przez papieża. Wyperswadowanie tego Rzymowi było dziełem podkomorzego płockiego Wojciecha Kryskiego (†1562), w roku 1555 obarczonego kolejną misją, w Londynie.

W jej wyniku królowa Anglii, katoliczka Maria Tudor (†1558), wydała zakaz eksportu materiału wojennego do Rosji, co ograniczało proceder właśnie tworzonej spółki *Muscovy Company*, córki konsorcjum *Company of Merchant Adventurers to New Lands*, które już za poprzedniego panowania powołał John Dudley książę Northumberland (†1553) – regent Anglii po Henryku VIII i radykał reformacji angielskiej – wspólnie między innymi z Richardem Chan-

cellorem (†1556), odkrywcą drogi morskiej do Archangielska. Droga ta wiodła do Rosji przez Morze Białe, z pominięciem Bałtyku, u którego wrót – to jest Cieśnin Sundu – po obu wtedy brzegach czuwała Dania, nad którego zaś wschodnimi zatokami od północy panowała Szwecja a od południa – Zakon Niemiecki, w tej swojej dzielnicy nadbałtyckiej, która po stracie Prus mu pozostała, a więc w Inflantach (dziś Łotwa i Estonia).

To właśnie w sferze swej priorytetowej sprawy bałtyckiej – jak widać determinowanej koniunkturą przede wszystkim zachodnią – miała swe osiągnięcie największe polska polityka zewnętrzna w tej fazie. Było nim poszerzenie Rzeczypospolitej o Inflanty. Dokonane w latach 1557-1561, miało ono prolog tradycyjny, na któryłożyły się kolejno: spotkanie Zygmunta Augusta z księciem Barnimem IX Pomorskim (†1573) w Gdańsku w roku 1552 i potwierdzenie ważności wieczystego przymierza z Koroną Polską (z tytułu *Traktatu Gdańskiego* z roku 1524), w roku 1556 identyczny krok księcia Jana Alberta I Meklemburskiego (†1576). Podobnie też – jak było w przypadku Prus – część Inflant (z Rygą) została inkorporowana do Rzeczypospolitej, gdy utworzone z reszty Księstwo Kurlandzkie (ze stolicą w Mitawie) we władanie dziedziczne otrzymał ostatni mistrz tej dzielnicy Zakonu, książę Gotard Kettler (†1587), w roku 1566 ożeniony z córką Jana Alberta I. Takim sposobem, u progu lat sześćdziesiątych, cały południowy brzeg Bałtyku – od Wyszomierza (Wismar) po Tallin – znalazł się bezpośrednio albo pośrednio pod władzą Rzeczypospolitej.

Bałtycki prymat Polski nie wiązał się z roszczeniem do regionalnego dyktatu politycznego lub ekonomicznego. Akcesji Inflant do Rzeczypospolitej – tak jak wcześniej Prus – towarzyszył wzrost wolności politycznej podmiotów miejscowych. Obrona przez Polskę doktryny *władztwa Morza Bałtyckiego* (*dominium maris Baltici*) – wedle której wody pozostają pod suwerennością państw nadbrzeżnych – wyrażała interes ziemian zarówno Korony, jak Pomorza i Meklemburgii. Nie stała za tym idea ograniczenia swobody handlu. Embargiem na fracht do Rosji obejmował Zygmunt August jedynie towary zbrojeniowe; handlu lądowego z Moskwą nie hamowały nawet działania wojenne.

Umocnienie nadbałtyckiego statusu Polski wpisało się w kolejny retusz sytuacji ogólnej, dokonany jesienią 1555 roku, gdy podwójna abdykacja Karola V zamknęła trzydziestoletnią unię personalną Cesarstwa i Hiszpanii, dając jego bratu Ferdynandowi I koronę cesarską, a synowi Filipowi II (†1598) – hiszpańską. Miesiąc wcześniej, Reichstag w Augsburgu przyjął słynną ustawę o *pokoju religijnym* zrównując w prawach luteranizm z katolicyzmem. Usuwała

ona wprowadzie pretekst, jaki ponad ćwierć wieku maskował i nasilał anarchię zwierzchników krajów Rzeszy, ale i pozwalała narzucać wyznanie poddanym. Ów sukces króla Francji Henryka II – jako protektora protestantów niemieckich – pokwitowany rychło *rozejmem w Vaucelles*, stabilizował korzystną dlań sytuację na wszystkich frontach wojny toczonej z Habsburgami, a w sojuszu z Turcją. Równowagę wyrównał w roku 1554 ślub Filipa II z Marią Tudor królową Anglii, której o rok wcześniejsza koronacja zapowiadała kres schizmy z Rzymem, wprowadzonej przez Henryka VIII – jej ojca. Otóż przedsięwzięcie inflanckie dokonywało się zbieżnie ze zwrotem, jaki w drugiej połowie lat 50-tych zmieniał zasadniczo stosunki ukształtowane w połowie pierwszej.

Porażkę, którą Henryk II poniósł wtedy w Italii i nad Kanałem La Manche – zerwawszy rozejm z Filipem II – wyrównała śmierć królowej Marii Tudor i objęcie tronu Anglii przez jej siostrę protestantkę, Elżbietę I (†1603). Wprowadzie *pokój w Cateau-Cambrésis* (1559) z Francją, Elżbieta I podpisała jeszcze razem z hiszpańskim szwagrem, lecz rychło stała się gwiazdą wrogiej mu koalicji.

Co jednak nie mniej istotne, właśnie wtedy luterkański pretekst integracyjny począł tracić siłę przyciągania na rzecz kalwińskiego. Wsparty przez Katarzynę Medycejską – od roku 1559 wdowę po Henryku II, wraz z synami współrządzającą Francją – w tym samym roku zyskał nad Renem wpływowego protektora w palatynie Fryderyku III Wittelsbachu (†1576), a w roku 1560 stał się państwowym wyznaniem w Szkocji. W Niderlandach począł integrować środowisko do 1559 roku wiernie stojące przy Habsburgach, a odtąd – nie bez wpływu Henryka II na księcia Wilhelma Orańskiego (†1584), wtedy nadal katolika – przez lat osiemdziesiąt będące głównym komponentem antyhiszpańskiego sojuszu. Wpływ kalwinizmu sięgnął Szwecji, co w roku 1558 wyraziło się próbą wydania nowej królowej Anglii, za przyszłego króla Eryka XIV (†1577). Król Gustaw Waza nie chciał jednak Elżbiety Tudor za synową; raiał mu ją jego ambasador londyński, Denis Beureu (†1568) – Francuz i kalwinista, wzięty na szwedzką służbę za jeszcze habsburską poręką. Nie trudno zauważyć, że wzmocnieniu bałtyckiego statusu Polski towarzyszyła presja, jaką na region Bałtyku wywierały czynniki globalizujące konflikt w istocie zachodnioeuropejski.

Presji tej przeciwstawił się Zygmunt August, wydając po objęciu władzy przez Eryka XIV, swą siostrę Katarzynę (†1583) za jego brata i rychło następcę – Jana III Wazę (†1592). Na razie jednak, od roku 1560 – w którym zmarł król Gustaw I, wypróbowany aliant Jagiellonów – ton zewnętrznej polityce Szwecji

cji nadał minister Eryka XIV, Goeran Persson (†1568), razem z odsuniętymi ludźmi lat 50-tych, jak Denis Bereu i jego rodak i współwyznawca, Charles de Mornay (†1574). Wiódł ów ton Szwecję do zaczętej w roku 1563 *Pierwszej Wojny Północnej*, w której Zygmunt August stanął obok Fryderyka II (†1588), syna Chrystiana III, drugiego z nordyckich kombatanów Polski doby *Hołdu Pruskiego* (1525). Jednak pat militarny na froncie szwedzko-duńskim skłonił – jak się wydaje – króla Fryderyka do szukania wsparcia po tej samej stronie, co wsparła Eryka XIV, czego potwierdzeniem był powrót do łaski monarszej Pедера Oxe (†1575) – zdymisjonowanego jeszcze przez Chrystiana III. Tymczasem oblędy, w jaki zapadał król Eryk i krwawy terror, którego ofiarami padli przeciwnicy orientacji firmowanej przez Perssona, w 1568 roku doprowadził do przejścia władzy przez Jana III Wazę. W prowadzonych – już po przewrocie – rozmowach pokojowych, pomoc Francji stała się dla Danii atutem głównym. Wiązała się też z jej akcesją do koalicji, wspierającej rewoltę przeciw królowi Filipowi II, wszczętą w Niderlandach w roku 1565, pod przywództwem księcia Wilhelma Orańskiego. Oznaczała oddanie pod jej kontrolę Cieśnin Sundu i – komunikacji między Bałtykiem a Morzem Północnym.

Co więcej, dochodziło do tego wkrótce potem, jak – korzystając z niezdecydowania części elity Inflant w kwestii akcesji do Rzeczypospolitej – Iwan IV Groźny zajął w roku 1558 estoński port Narwę, otwierając Rosji okno na Bałtyk, natychmiast wykorzystane do importu technologii militarnej. W toczących się do końca 1562 roku przetargach z carem Iwanem, Zygmunt August nie mógł więc przyjąć ani rosyjskich propozycji zawarcia przymierza, ani tym bardziej rozbioru Inflant. Jednoczesne napaści – Iwana IV na Połock i Eryka XIV na Rygę – otworzyły w 1563 roku drugi front tej samej rywalizacji, której frontem głównym była rozpoczęta właśnie *Pierwsza Wojna Północna*. Rekonstrukcję transkontynentalnego systemu blokady jej potrzeb bałtyckich, polityka polska przyjęła rutynowo. Dana Rydze odsiecz wojskowa była szybka i skuteczna; umiarkowanie reakcji na upadek Połocka wyraźnie dowiodło tradycyjnie drugorzędnego miejsca Rosji w polskim planowaniu strategicznym. Luksus rutyny umożliwiła tu przewaga wojskowa Polski nad Rosją, potwierdzona w polu wielokrotnie przed rutynowym zwyczajowym rozejmem – zawartym w roku 1570 przez Jana Krotoskiego (†1577) i Mikołaja Talwosza (†1578), zwycięskiego dowódcę w bitwie ze Szwedami pod Tallinem w roku 1565.

Umiarkowany charakter reakcji na napaść Rosji i brak przesady w militarnym wysiłku w stosunku do Szwecji, można tłumaczyć nie tylko nadmierną pewnością siebie, jaką zwykła dawać rutyna. Miał on przyczynę w pierwszeń-

stwie, jakie w dobie *Pierwszej Wojny Północnej* otrzymały sprawy wewnętrzne. Na lata 1563-1569 wypadło apogeum reform ustroju i *Unia Lubelska* – akty, które zjednoczyły *egzekucjonistów* z królem, co nie chciał być panem sumień. *Egzekucja praw i dóbr* zwiększała siłę zasady *konstytucjonalizmu*. Zwiększając jej władzę we wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej – wbrew legendzie – nie była *Unia* aktem ekspansji na Wschód, czy reakcją na zagrożenie ze strony Rosji. Nie była po myśli jej możliwych oponentów na Litwie. Tych zaś łączył i wstręt do ustroju dopuszczającego do rządu czynnik demokratyczny i chęć pchnięcia Wielkiego Księstwa w próżnię, którą opanować usiłowała tworząca się Rosja. Ich porażka na Sejmie 1569 roku wyrażała rozmiar uznania zasady priorytetu celów polityki zachodniej – konfrontowanej z nową koalicją reanimującą system dominacji na bałtycko-północnomorskiej rubieży Kontynentu.

Tymczasem udział Francji – jego tym razem animatorki flagowej – nazwała stronnicość, jaką w roku 1568, zaraz po przewrocie w Szwecji, okazał ambasador Charles de Dançay (†1589). Mediator w rokowaniach w Roskilde – pod nieobecność delegacji polskiej – narzucił on niepewnym siebie delegatom Jana III Wazy warunki do przyjęcia wyłącznie dla Fryderyka II – na tyle, na ile król duński podzielał interesy koalicji, która go wspierała. Stanowcza postawa Polski z pewnością ułatwiła Wazie odrzucenie układu z Roskilde. A to, na *Kongresie Szczecińskim* w roku 1570, dało możliwość popisu ekipie, w której obok Jana Dymitra Solikowskiego (†1603) i Marcina Kromera (†1589) błyszczeli kanclerz Kurlandii Michał Brunnow (†1583) i bankier szczeciński Stefan Loitz (†1584), a której sekretarzował notabl gdański Marcin Lange. Postanowienia przyjęte – przy pokazie integracji całego bałtyckiego południa pod egidą Polski – wykluczyły odbudowę unii, która zdominowałaby bałtycką północ siłami Danii i jej sojuszników, a warunki pokoju Danii ze Szwecją zrewidowane zostały w sposób bardziej obiektywny. Ceną pokoju – co właśnie miał dla Rzeczypospolitej wagę strategiczną – nie stało się ani prawnomiędzynarodowe podważenie integralności granic Inflant (o ich rozbiorze myśleli Duńczycy i Szwedzi), ani negacja ich związku z nią, istniejącego *de facto* (a przyjętego w Szczecinie do wiadomości przez Cesarstwo). I chociaż sprzeciw Francji zapobiegł uchwaleniu przez Kongres zakazu żeglugi narewskiej, to fakt ten jedynie wzmacniał poczucie wspólnoty interesów Polski i Szwecji, choć mącone trudnościami, jakie Jan III Waza miał z myślą o wyrzeczeniu się Tallina.

Na przełomie lat 60-tych i 70-tych, topografię polityczną Europy Zachodniej naznaczyła zmiana istotna, spowodowana względami, jakie panujący od roku 1564 cesarz Maksymilian II Habsburg (†1576) – mimo zawartego

w roku 1570 małżeństwa swej córki Anny z Filipem II – okazał kalwinistom niemieckim i ich współwyznawcom holenderskim, zbuntowanym przeciw królowi Hiszpanii, a orientującym się na Elżbietę I Angielską. Zaciążyło to na stosunkach wodza kalwinów francuskich Gaspara de Coligny (†1572) z królową Katarzyną Medycejską i wiodło do rzezi w *Noc Świętego Bartłomieja*. Wyjaśniało też brak udziału Austrii w wojnie Hiszpanii z Turcją, zakończonej zwycięstwem pod Lepanto (1571).

Z taką transformacją układu zgadzała się również odmowa cesarza wydania zakazu żeglugi narewskiej – czego żądał Zygmunt August. Zgadzał się też zapłacić z jakim flotą duńską walczyła z polską, która żeglugę tę tępiła. Król ripostował ostro. Poselstwem Andrzeja Taranowskiego (†1580) wygładził stosunki z Turcją. Natomiast przez Michała Haraburdę (†1586), któremu Iwan IV wyjechał naprzeciw (co prawda, uciekając z Moskwy palonej właśnie przez Tatarów) – okazał życzliwość wyniszczonej wojną Rosji. Ale w tym samym czasie daleko siedł też papież Pius V (†1572) – współautor koalicji spod Lepanto – północno-morskie sympatie cesarza widzący źle, a stałym kontaktem z Polską związany przez Stanisława Kłodzińskiego (†1585), rezydenta króla Zygmunta Augusta przy dworze królewskim hiszpańskiego podówczas Neapolu. Skutecznie leczył on tu rany, jakie stosunkom Polski i Hiszpanii zadała sprawa słynnych *sum neapolitańskich*, po królowej Bonie. Wypada zauważyć, że tak otwierająca się perspektywa nie była nowa. Była podobna do perspektywy z lat 1500-1505 otwartej próbami współpracy państw jagiellońskich z Hiszpanią, Francją i Wenecją. Jak wtedy, tak i teraz – z polskiego stanowiska patrząc – widać w niej było przede wszystkim Bałtyk. Otwierać się też miała i w następnej fazie apogeum polityki polskiej.

1572-1587

Śmierć króla i wygaśnięcie rodu Jagiellonów w linii męskiej, w dniu 7 lipca 1572 roku, postawiło przed nie lada wyzwaniem decydującą o losie państwa część opinii publicznej. Jednak zaopatrzona w *ustrój mieszany*, Pierwsza Rzeczpospolita z powodzeniem zdała ten egzamin. Dla jej elity było oczywiste, że należy zachować jagielloński kurs polityki zewnętrznej oraz sprzężenie zwrotne obu sfer polityki: wewnętrznej z zewnętrzną. Pomimo, że w przeciągu szesnastu lat doszło aż do trzech bezkrólewí, ukształtowany za obu ostatnich Jagiellonów obóz ustrojowej reformy, z powodzeniem utrzymywał tradycyjny kurs państwowej nawy na wzburzonym, bardziej niż zwykle, oceanie polityki europejskiej.

Siłą rzeczy lata te cechował więc brak stabilizacji władzy wykonawczej, również – wbrew naiwnej opinii – za *króla niemalowanego*, jakim proklamował się Stefan Batory (†1586). Dwom aktom uchwalonym w pierwszym bezkrólewiu, a stabilizującym ład wewnętrzny – *Konfederacji Warszawskiej*, która umacniała pokój wyznaniowy i *Artykułom Henrykowskim*, które zwieńczyły *ustrój mieszany* – towarzyszył duch doktryny wyraźnie zachodni i bałtycki, przesadzający o wynikach kolejnych trzech elekcji.

Tego, że duch taki stał w roku 1573 za wyborem Henryka Walezego (†1589) z francuskiej dynastii Walezjuszy, dowodzi równie dobrze klimat dominujący na Sejmie elekcyjnym jak też treść *Paktów Konwentów*, zaprzysiężonych przez elekta. Na elekcji grunt owemu duchowi przygotowały pisma, między innymi autorstwa propagatora doktryny *dominium maris* – arcybiskupa lwowskiego, Jana Dymitra Solikowskiego – szerzące opinię, że *wszystko idzie, kiedy owo siła okrętów za Latarnią gdańską stoi*. W zgodzie z doktryną brzmiały sejmowe wystąpienia innych zwolenników kandydata Francji, w tym tak wybitnych jak kolejni prezesowie *Komisji Morskiej* powołanej przez Zygmunta Augusta w roku 1568 – kasztelan gdański Jan Kostka (†1581) i biskup kujawski Stanisław Karnkowski (†1603), późniejszy prymas. Zaś starosta żmudzki Jan Chodkiewicz (†1579) zwracał uwagę, że alians z Francją będzie czynnikiem presji na sprzymierzoną z nią strażniczkę Sundu – Danie. Rozgrzewał nastroje w takim samym duchu poseł Francji na Sejm elekcyjny, biskup Jean de Montluc (†1579) mówiący o flocie, *która potrzebna jest ku dostaniu zacnego którego portu ... [i] ... uzbrojeniu około żeglugi narewskiej*, a z którą królewicz francuski *was tam w Gdańsku pozdrowiwszy (...) prosto by do Inflant ciągnął*. Pakta Konwenta wraz z *Artykułami Henrykowskimi* – obok innych postanowień ustrojowych zaprowadzającymi obowiązek co dwuletniej sesji sześciotygodniowej Sejmu – w maju 1573 uwieńczyły elekcję króla Henryka wiążąc Francję zobowiązaniami o sensie, jaki nie budził trudności interpretacyjnych. Przewidywały one między innymi sfinansowanie polskiej floty wojennej i negocjację generalnego porozumienia obu państw – w tym także o zakazie żeglugi narewskiej.

Koronacja polska króla Henryka (21 lutego 1574 roku) nie tylko pląsała w sferze absurdu dalszą francuską dywersję nad Bałtykiem, przynajmniej w zakresie, w jakim prowadził ją ambasador de Dançay, właśnie w roku elekcji króla Henryka odwołany z Danii. Trwałość związku Polski i Francji zdawała się – z perspektywy Paryża – wynikać z chęci zrównoważenia przezeń symetrycznego związku Austrii z Hiszpanią pod egidą Habs-

burgów. To zaś z pożytkiem Europy całej czyniłoby już jawnie bezzasadną, dywersję francuską w Turcji, tłumaczoną w Luwrze okrażeniem habsburskim, które z kolei presja turecka czyniła w istocie iluzorycznym. Corocznie płacony przez Wiedeń sułtanowi haracz w wysokości trzydziestu tysięcy dukatów – od *Traktatu w Adrianopolu* (1568) po wybuch *Długiej Wojny* (1593-1606) – nie dowodził zdolności Habsburgów do akcji zaczepnej przeciw Francji, tym bardziej, im wyraźniej od bitwy pod Lepanto dawał o sobie znać rozdźwięk między obiema ich gałęziami, austriacką i hiszpańską. Stąd życzliwe przyjęcie wyboru Henryka przez cesarza Maksymiliana II, którego syn arcyksiążę Ernest (†1595) był przecież jednym z rywali do polskiego tronu, dowodziło raczej możliwości szerszego obrotu koniunktury. Obrót, który wiódłby do generalnej pacyfikacji europejskiej, której myślą przewodnią byłaby obrona Kontynentu.

Byłaby taka pacyfikacja z pewnością po myśli nie żyjącego już Piusa V, którego wybitnym współpracownikiem był kardynał Giovanni Francesco Comendone (†1584), na Sejmie elekcyjnym 1573 roku reprezentujący papieża Grzegorza XIII (†1585). Mowa i integralny republikanizm papieskiego posła wpisywały się znakomicie w dramaturgię tak sejmowej debaty, jak i postępującego procesu ustrojowej dekompozycji we wczesnonowoczesnej Europie. Bo- wiem gdy gratulował zebranim przodków, którzy ustrojowi Rzeczypospolitej swojej nadali *formę cudownie temperującą jedynowładztwo i rozpasanie rzeszy*, to wyrażał pogląd, jakiemu dał już wyraz w młodości, w mowie na cześć Francesco Donà, nowo wybranego doży jego rodzinnej Wenecji. Nuncjusz Stolicy Apostolskiej i światły apologeta triumfującego w Rzeczypospolitej *ustroju mieszanego*, radził powołać na jej tron królewicza Francji, którą właśnie wtedy do ustroju tego – przy częstych jak nigdy sesjach Stanów Generalnych – podobne aspiracje miejscowych katolików i kalwinów zdawały się zbliżać bardziej niż kiedykolwiek. Z jego radami współbrzmiały *postulata polonica*, w jakich w Paryżu wielkie poselstwo polskie przybyłe po króla Henryka domagało się z powodzeniem, by rząd Francji poczynił kroki, dzięki którym bliższy stałby się i tu pokój wyznaniowy, na wzór niedawno gwarantowanego Rzeczypospolitej *Aktem Konfederacji Warszawskiej*.

Tego, że w Paryżu przeważał wtedy duch inny, dowiódł sposób, w jaki w czerwcu roku 1574 Walezy opuścił Rzeczpospolitą, by zająć po zmarłym bracie francuski tron, a także wewnętrzna i zewnętrzna polityka Francji – już pod rządami byłego króla Polski – zwrócona w kierunku, jaki ostatecznie stał się dominującym za Burbonów. A jaki z francuskiej monarchii uczynił mo-

delową monarchię absolutną, o równie modelowej skłonności do owej szczególnej ekspansji zewnętrznej, co nie liczy się z jej moralnymi i materialnymi – wewnętrznymi i zewnętrznymi – kosztami.

Co oczywiste, niepowodzenie jakim okazał się wybór Henryka Walezego nie było porażką doktryny, a jedynie jej nieudaną aplikacją. Stąd duch podobny do rządzącego pierwszym bezkrólewem mógł włączyć i w drugim, otwartym 12 maja 1575 – z upływem terminu wyznaczonego królowi Henrykowi na powrót – a zamkniętym w dniu 1 maja 1576 roku koronacją siostry króla Zygmunta Augusta, Anny Jagiellonki (†1596) i przydanego jej przez Sejm elekcyjny za męża, księcia Siedmiogrodu Stefana Batorego (†1586). Nie było to trudne, skoro środowisko duchem tym powodowane, łączące obie tradycje – *egzekucji praw i dóbr* oraz działań na rzecz *dominium maris Baltici* – umiało panować nad umysłami i posunięciami w zasadzie wszystkich liczących się ugrupowań ze sceny politycznej. Sceny – co godne uwagi – wolnej od śladu anarchii, mimo w sumie blisko dwuletniego braku Głowy władzy wykonawczej. Gdy bowiem zwyczajowa sekwencja w budującym porządku przeprowadzonych zjazdów partykularnych i Sejmu konwokacji, redukowałą rozstrzelanie opinii, do ostatecznie na Sejmie elekcji wykształconych dwu, to zwycięstwo każdej z nich zdawało się przynajmniej stwarzać warunki dogodne przede wszystkim dla materializacji tego ducha.

Swój wybór na króla Polski musiałby cesarz Maksymilian II opłacać wykonaniem zobowiązań w sprawach bałtyckich – w tym wydaniem zakazu żeglugi narewskiej – w istocie więc przyjęciem w nich polskiego punktu widzenia, zapewne nie bez aplauzu ze strony Hanzy, choć przez Fryderyka II Duńskiego z pewnością bez zachwyty. Żądały od cesarza tego *pakta konwentu*, przygotowane dlań przez jego zwolenników *cezarianów*. Realizacja tego z jednej strony wpływałaby na stosunki nad Morzem Północnym, a z drugiej strony, czyniłaby możliwą koalicję Polski z Cesarstwem przeciwko Turcji. O koalicję taką zabiegała Stolica Apostolska, której nuncjusz, biskup Vincenzo Laureo (†1592), radząc wybór cesarza był spraw z rubieży północnomorsko-bałtyckiej świadomy równie dobrze, jak kardynał Commendone. Natomiast powołanie na polski tron księcia Siedmiogrodu – znacznie ograniczając możliwości zarówno konfliktu z Cesarstwem, jak i wojny z Turcją – pozwalało koncentrować aktywność Rzeczypospolitej nad Bałtykiem.

Początek dziesięcioletnich rządów króla Stefana zdawał się utwierdzać w nadziei na taką koncentrację. Nie pozwalała jej zaniedbać już choćby dywersja w Gdańsku – od wiosny 1576 roku po listopad 1577 – demonstrująca

solidarność przeciwników polskiej polityki bałtyckiej. Udział mniejszy miał tu resentment części Gdańszczyzan urażonych w roku 1570 *Konstytucjami Karnkowskimi*, definiującymi ład polityczny w mieście i jego obowiązki wobec Korony – przyjętymi wtedy zresztą z entuzjazmem przez większość jego obywateli. Pewien wpływ miała partyjna lojalność z doby elekcji w stosunku do cesarza, zmarłego w październiku 1576 roku. Na wstępną odmowę uznania króla Stefana przez Gdańsk i sabotaż przez posłów miasta rozmów pojednawczych, wpływał głównie zapał z jakim część establishmentu Rzeszy deklarowała Maksymilianowi II gotowość zbrojnej obrony „jego praw” do Rzeczypospolitej (nie śpieszącego się jednak z niej – póki żył – skorzystać), a z innej strony, postawa króla Danii. Skład animatorów aktu, jaki w ten sposób przerodził się w rebelię, znalazł potwierdzenie w komplecie posiłków, które przysły miastu z pomocą, a które hetman nadworny koronny Jan Zborowski (†1603) rozbił w kwietniu 1577 roku pod Lubiszewem, jak i w rajdzie floty duńskiej, która pięć miesięcy później dotarła na Zalew Wiślany. Złożone na początku grudnia przez Gdańsk przeprosiny króla, zakończyły wprowadzić jedyny w dziejach miasta jego poważny spór z Koroną, ale nie rozwiązywały przecież żadnego z bałtyckich problemów. Tradycyjnie wikało je nadto stanowisko Rosji.

Nie wydaje się wprawdzie, by wymiana poglądów między Wiedniem a Moskwą w czasie drugiego bezkrólewia, poza grzecznościowym zapewnieniem obu stron, że wybór kandydata każdej z nich będzie przez drugą przyjęty życzliwie, miała skrywać intencje rozbiorcze – przynajmniej w przypadku stanowiska Maksymiliana II. Jednak – już po śmierci cesarza, a w kulminacji buntu Gdańska – Iwan Groźny, który w Inflantach z królem Danii współpracował nieprzerwanie od roku 1562, w lipcu 1577 roku rozwinął działanie zaczepne i na tym odcinku polityki bałtyckiej. Przemawiały one dodatkowo za pokojem z Turcją, zabezpieczonym, również w lipcu, układem zawartym przez wojewodę podolskiego Jana Sienieńskiego (†1580). Atak Rosji, do listopada odparty przez Macieja Dembińskiego (†1606) i Wilhelma Platerra (†1598), animował przecież przymierze ze Szwecją, wznowione już w grudniu tego samego roku. Natomiast zwołany w styczniu roku 1578 Sejm dał królowi prawo wprowadzenia armii na terytorium Rosji. W takiej sytuacji nie mogło nie dojść do zwrotu w stanowisku Iwana Groźnego, który nie tylko godził się z delimitacją w Inflantach przyjętą w roku 1570, lecz zdobył się również na ustępstwo w innej jeszcze kwestii zasadniczej. Rezygnował także z roszczeń do tytułu *cara Wszech Rusi* – nie do przyjęcia dla Rzeczypospolitej wobec bytowania w niej

całej Rusi Zachodniej (Rusi Białej z Czarną oraz Halicko-Wołyńskiej z Po-
dolem i Ukrainą). Był więc to odwrót Moskwy ze stanowiska zajętego po raz
pierwszy na przełomie XV i XVI wieku, co znalazło wyraz w projekcie układu,
jaki w tym samym styczniu parafował Iwan Groźny z wojewodą mazowiec-
kim Stanisławem Kryskim (†1595), a jaki przyznawał carowi tytuł *cara Rusi
Wschodniej* – nie budzący kontrowersji, bo wskazujący na Rosję.

Świadomość, że położenie więc sprzyja przeniesieniu punktu ciężkości
działań w zachodnie regiony Bałtyku przebiega z koncepcji, jaką trzy miesia-
ce później – w kwietniu 1578 roku – król Stefan przedstawił nuncjuszowi
Laureo. Zakładała ona zorganizowanie wspólnie z Hiszpanią akcji militarnej,
w wyniku której Fryderyk II straciłby tron duński na rzecz króla Szwecji Jana
III – zarówno wspierającego Koronę w sporze z Gdańskiem, jak też posił-
kującego wojsko Rzeczypospolitej aktualnie, na froncie inflanckim. Byłoby
to równoznaczne z odnowieniem *Unii Kalmarskiej*, tym razem jednak pod
egidą Wazów, związanych z Jagiellonami więzami tradycji współpracy za Jana
Olbrachta i Aleksandra ze Stenem Sture (†1503) oraz małżeństwem aktualnie
panującego w Szwecji Jana III z królowną Katarzyną Jagiellonką. Ponadto
koncepcja ta przewidywała urządzenie bazy polskiej w Kopenhadze dla gwa-
rancji obrony *dominium maris* państw bałtyckich przed dyktatem znad Morza
Północnego. Dodatkową przesłanką owej tak mało umiarkowanej koncepcji
była polaryzacja kontynentalna, łącząca Danię Fryderyka II, Francję Henryka
III i Anglię Elżbiety I z Holandią, przeciwko Hiszpanii.

Wszelako w tej samej rozmowie z nuncjuszem król Stefan przedstawił też
drugą wizję, różniącą się zasadniczo. Była to wizja wyprawy na Rosję w alian-
sie z Janem III Wazą i wobec zrujnowania przeciwnika dotychczasowymi
niepowodzeniami, a również rządami *opryczniny*, tchnąca pewnością powo-
dzenia. Brak wątpliwości, że nie była to wizja odpowiadająca poglądom śro-
dowiska, które – z Andrzejem Zborowskim (†1598), Mikołajem Sienickim,
Hieronimem Ossolińskim (†1575) i Stanisławem Karnkowskim na czele – za-
pewniło królowi Stefanowi wybór. Nie mniej pewne jest, że odpowiadała ona
Fryderykowi II Duńskiemu, z którym Batory pozostawał w kontakcie, a który
jego kampanię moskiewską poparł. Z pewnością jeszcze większą, naprzeciw
oczekiwaniom rządu królowej Elżbiety I wychodził edykt króla z 18 kwiet-
nia 1578 roku, jaki z obrazą interesów Gdańska (pogodzonego już z Koroną)
i Lubeki faworyzował handel angielski, stając się po stronie polskiej podstawą
bytowania w Elblągu *Eastland Company*, ze strony angielskiej uprzywilejowa-
nej patentem królowej w sierpniu roku następnego. Na pewno też wreszcie

konfrontacja Rzeczypospolitej z Rosją – od konfrontacji z Danią – była bardziej na rękę księciu Jerzemu Fryderykowi Hohenzollernowi (†1603), którego król w październiku 1577 roku ustanowił kuratorem Prus Wschodnich, który zaś wpływami – i interesami – zakorzeniony był środowisku królowi Fryderykowi bliskim. Co jasne, Iwan Groźny swymi prowokacjami w Inflantach ułatwił Batoremu uzyskanie zgody Sejmu na przeniesienie działań wojennych na terytorium Rosji, już jesienią 1578 roku bitej pod Kiesią przez Andrzeja Sapiechę (†1621). Entuzjazmu jednak to nie budziło, ani po stronie autorów elekcji króla Stefana, ani po stronie Stolicy Apostolskiej.

Wraz z objęciem rządów przez papieża Grzegorza XIII nastąpiła istotna korekta stanowiska Rzymu w stosunku do reformacji, czego przejawem było wezwanie w roku 1580 katolików angielskich do zachowania posłuszeństwa królowej Elżbiecie I – przez jego poprzednika ekskomunikowanej w roku 1570. Wpisywała się ta korekta w podjętą już akcję w Szwecji, opartą o zapal królowej Katarzyny Jagiellonki i wolę, jak również o możliwości manewru jej męża, o ludzi takich jak Stanisław Warszewicki (†1593), Szwed Petrus Fecht (†1576) i Norweg Laurentius Nicolai (†1622) oraz o kolegium w Braniewie. Wiązała się przecież korekta – o jakiej mowa – z równie istotną zmianą stosunków Rzymu z Madrytem, która znalazła odbicie w wyborze, w roku 1573, generała zakonu jezuitów. Został nim, pod naciskiem papieża, Ewerard Mercurian (†1580), a nie Juan de Polanco (†1576), najbliższy współpracownik św. Ignacego. W takiej też koniunkturze nominację papieską na wikariusza generalnego Skandynawii zyskał inny wybitny jezuita, Antonio Possevino (†1611), znany nie tylko z mediacji między Batorym a Iwanem Groźnym, lecz także między walczącym o koronę francuską, kalwińskim królem Nawarry, Henrykiem IV Burbonem (†1610), a jego katolickimi przeciwnikami we Francji. W mediacji drugiej był on zresztą równie skuteczny, co w pierwszej, a na rzecz Henryka IV stronnicy na tyle, by ponieść tego konsekwencje dyscyplinarne, za generalatu Klaudiusza Acquavivy (†1615). Toteż nie wydaje się, by przedstawiona przez króla Stefana nuncjuszowi wizja polskiej akcji w Cieśninach Sundu, mogła w roku 1578 liczyć na zrozumienie w Stolicy Apostolskiej. Nie mogła jednak na nie liczyć również wizja druga, to jest wojny z Rosją.

Już w czerwcu 1579 roku sekretarz stanu, kardynał Tolomeo Galli (†1607), zlecił nowemu nuncjuszowi w Polsce Giovanniemu Caligari (†1613) przekonywać króla, by z wyprawy na Moskwę zrezygnował, a przyjął dowództwo nad przygotowywaną krucjatą europejską przeciw Turcji. Krucjatowy ton wspomnianej już mediacji Possevina między Batorym a Iwanem IV uzupełniała na-

dzieja Rzymu na przyciągnięcie Moskwy do unii kościelnej, podszycona przez dyplomację cara w roku 1581 i mająca wpływ na zawarcie rozejmu między Rzeczpospolitą i Rosją w Jamie Zapolskim, 15 stycznia 1582 roku – kończącego trzy zwycięskie kampanie króla, odbyte w latach 1579-1581. Fiasko nadziei Stolicy Apostolskiej na katolizację Rosji – łatwe zresztą do przewidzenia – wzbudziło z kolei równie trzeźwą nadzieję króla, co do możliwości zdobycia uznania Rzymu dla idei przeprowadzenia krucjaty po uprzednim, zbrojnym włączeniu Rosji do Rzeczypospolitej.

Co wydaje się jednak najważniejsze, od idei króla Stefana wyprawy na Stambuł przez Moskwę opinia publiczna Pierwszej Rzeczypospolitej była równie odległa, jak od jego zamiaru podboju Rosji. Pytając *na co się to może przydać*, oponenti sejmowi przywoływali priorytet celów zachodnich, a zwłaszcza bałtyckich. Poglądy dominującego nadal środowiska egzekucjonistów wykluczały podobną rewolucję kursu.

W roku 1587 ten sam duch był motywem elekcji Zygmunta III Wazy i pozostał programem jego całego panowania.

Rozdział VIII

Na zachód i na wschód (966-1370)

Chwila i miejsce narodzin Polski zwracają uwagę i budzą zdumienie. Kiedy bowiem kończąc retrospekcję historii jej polityki zagranicznej zbliżamy się do nich, uświadamiamy sobie, że uchyla się przed nami rąbek tajemnicy. W istocie jest ona tajemnicą dramaturgii. Dramaturgii, jaka generuje siłę państwa i postać rzucanych mu wyzwań, niezależnie od specyfiki czasu, w miejscu zawsze tym samym i – jak uczy doświadczenie – centralnym.

To właśnie w połowie X wieku po Chrystusie, geograficzną przesłankę centralności miejsca – pochodzącą z jego usytuowania w środku Kontynentu – uzupełniła przesłanka inna, której obecność uderza w trakcie retrospekcji dziejów polityki polskiej, wiodącej od naszego dziś, do chwili jej genezy. To jest przesłanka znaczenia tego miejsca dla przebiegu obydwu procesów determinujących kondycję Europy, w każdej – jak to widzieliśmy – epoce kolejnej. Procesu współzawodnictwa dwu form życia politycznego o jej oblicze kulturowe i procesu, jaki w jej przestrzeni konfiguruje ich relację strategiczną. To jest rywalizacji republikańskiej formy władzy publicznej z absolutystyczną oraz tendencji protegującej policentryczny układ państw Kontynentu z tendencją poddającą je hegemonii.

Dziejopisarstwo polskie ignoruje specyfikę czasu połowy X wieku, w której przewaga tendencji hegemonistycznej nad policentryczną zdawała się przesądzać, że kulturowe oblicze Europy zastygnie w wyrazie satysfakcji z życia publicznego pod władzą absolutną. Przewaga ta ujawniała się na wszystkich rubieżach Europy: na północy – na rubieży północno-morskiej i bałtyckiej, na południu – na śródziemnomorskiej, od zachodu – na atlantyckiej, jak też na wschodniej, którą stanowił system rzek łączący Zatokę Ryską i Fińską z ujściem Dniepru do Morza Czarnego. Odczuwała tę przewagę zwłaszcza – położona między Atlantykiem a Łabą i Soławą – dzielnica zachodnia. To jest obszar, gdzie trwała odbudowa Europy w znacznej mierze dosłownie obróconej w gruzy w czasie wczesnośredniowiecznej wędrówki ludów, a z którym

sąsiadowała kraina rozciągnięta aż po wschodnią rubież Kontynentu – dotąd raczej nie poddawana historycznej mobilizacji. Tę strategicznie i kulturowo brzemienne przewagę osiągnął w połowie X wieku alians sasko-normański, integrowany przywiązaniem do obyczajów wciąż plemiennych. Zagroziła ona środowiskom związanym z fenomenem *karolińskiego renesansu*, którego patron, Karol Wielki (†814), odnowił w roku 800 *Zachodnie Cesarstwo Rzymskie*. Pod tytułem tym podejmowany był przecież nie wątek historii przeciętej w chwili, kiedy upadał Rzym cesarski, lecz historii urwanej znacznie wcześniej – w chwili, gdy wyczerpywały się energie uspołeczniające władzę publiczną w Rzymie jeszcze republikańskim. Nie inne przecież energie również na przełomie I i II tysiąclecia po Chrystusie modelowały charakter ówczesnych monarchii Zachodu, składających się na *respublicam christianam*, jakiej budowa stanowiła przedmiot deklaracji zbieżnych z karolińską deklaracją odbudowy władzy Rzymu.

Obecne w źródłach epoki, republikańskie pojęcie *respublica christiana* – łączyło nim przejętych. Kulturowy urok karolińskiego Akwizgranu był dla Sasów znad Łaby jednak wciąż słabszy od imperialnego uroku Konstantynopola. Mało też cech państwa miała korporacja handlu dalekosiężnego, jaką nad Dnieprem stworzyli Waregowie-Rusowie, czasem pewniej czując się tu pod azjatyckim tytułem *chagana* niż europejskim – *księcia*, nie mówiąc już – *króla*. Kontrast kulturowy, jaki dzielił karolińskie Cesarstwo i alians sasko-normański, razem z ogólnym położeniem strategicznym całego Kontynentu, determinowanym między innymi rozmiarem jego zagrożenia militarnego ze strony świata Islamu – to nader doniosłe czynniki dramaturgii czasu narodzin Polski.

Odnowienie Zachodniego Cesarstwa nie kończyło doby niepewności, wywołanej rozpoczętą cztery wieki wcześniej, wielką wędrówką ludów. Inwazji arabskiej nie powstrzymało na trwałe zwycięstwo Karola Młota (†741), działo Karola Wielkiego, w roku 732 pod Poitiers. Utrzymując się na Półwyspie Pirenejskim, Arabowie w roku 828 zajęli Sycylię, a w 903 zdobyli Baleary. Swoje bazy militarne usadowili na Sardynii i Korsyce oraz w Prowansji – w położonym o krok od Saint-Tropez porcie La Garde-Freinet (888). Stąd rychło zajęli Grenoble, a następnie alpejską przełęcz św. Bernarda – przez co zapanowali nad komunikacją Francji z Italią. Tę ostatnią – może jeszcze bardziej zagrożoną – Arabowie napastowali nie tylko wypadami z przyczółków

sardyńskich i korsykańskich, ale też i ofensywą ciągnącą z Sycylii. Napierała ona na system księstw Italii południowej, jaki rządzone przez miejscową dynastię Księstwo Neapolu współtworzyło z pozostającymi pod władzą rodów longobardzkich księstwami Benewentu, Kapui, Salerno i Amalfi. W roku 846 arabski najazd zburzył bazylikę św. Piotra na Watykanie i św. Pawła za Murami. Wprawdzie trzy lata później udało się koalicji chrześcijańskiej w bitwie pod Ostią zatopić muzułmańską flotę, która z Sardynii zmierzała znów do wrót Rzymu. Następny najazd, w roku 883, zainstalował kolejną bazę w połowie drogi z Neapolu do Rzymu, u ujścia rzeki Garigliano – przy okazji zniszczono klasztor na Monte Cassino.

Ofensywę arabską walnie wspierała dywersja Normanów, którzy od roku 841 zdobywali kolejne przyczółki we Francji, a w roku 885 zameldowali się pod Paryżem. Wypływali też na Atlantyk. W roku 859 napadli Nawarrę, co zbliżyło ją do Asturii i dało wspólne zwycięstwo nad napastnikami, którzy wszakże tu odpędzeni, szukali szczęścia dalej. Opłynawszy przez Cieśninę Gibraltarską Półwysp Pirenejski, atakowali karoliński system obronny również od południa.

Wypada też dodać, że w takie to położenie, panujące na południowych kresach Europy karolińskiej, wpisywała się też inwazja Węgrów, którzy od roku 899 naciskali na Marchię Friulańską – przez Karolingów ustanowioną do obrony Italii od strony północno-wschodniej. W ciągu pierwszej połowy X wieku – śladem Hunów i Awarów – pojawiali się na terenach dzisiejszych Niemiec oraz Francji i Hiszpanii. Ich agresywność została powstrzymana dopiero w roku 955, kiedy to połączone siły niemiecko-czeskie zadały im dotkliwą klęskę w bitwie na Lechowym Polu pod Augsburgiem.

Z kolei aliansu sasko-normańskiego bynajmniej nie kojarzyły jedynie instynkty szczepowe, wolne od wpływu planowania strategicznego. Sasów od nowego Cesarstwa Zachodu odstręczać mogła pamięć działań na Kanale La Manche, udanych dopiero po upadku starego Rzymu i oporu, którego symbolem był książę saski Widukind (†807) – przeciwnik chrześcijaństwa i Karola Wielkiego. W przypadku Normanów czynnikiem tu istotnym mógł być charakter ich życia publicznego, jakie swoją pełnię wciąż uzyskiwało w instytucji – znanej i spod polskiego nieba – a zwanej *zajazdem*. Normańską wspólnotę w wiekach IX i X bardziej dzieliły związki przedstawicieli jej elity z innymi protagonistami z rubieży północnomorsko-bałtyckiej – z przedstawicielami elit saskiej, słowiańskiej i nawet karolińskiej. Już w latach 70-tych VIII wieku sympatie i antypatie lokalne polaryzowały układ, który Widukin-

da, oraz spowinowaconych z nim Normanów z rodu Skjoeldungów, Zygryda (†798) i Gudreda (†810), a także słowiański Związek Wielecki znad Sprewy i środkowej Łaby, przeciwstawił monarchii Karola Wielkiego i słowiańskiemu Związkowi Obodrytów znad Łaby dolnej.

Ekspansji Skjoeldungów towarzyszyły motywy handlowe zdumiewająco dalekosiężne. Jeszcze w wieku VII objęła ona północną Anglię z jednej strony, a z drugiej – wschodnie zaplecze Bałtyku, gdzie zainstalowano osadę kupiecką Holmgård (Nowogród Wielki). Z początkiem wieku IX wspomniany Gudred spustoszył podobną osadę Obodrytów w Rerik nad Zatoką Wismarską, przenosząc z niej kupców do Hedeby, opodal Szlezewiku. Zaś jego stryjeczny wnuk Gotfryd (†885) inicjował podbój – przodującej gospodarczo nad Morzem Północnym – Fryzji. Tej samej, którą półtora wieku wcześniej – po dwudziestu latach obrony – podbił w roku 734 Karol Młot, a której Karol Wielki przyrzekł, że będą Fryzowie rządzić się sami *w pełni wolni – ci już urodzeni, jak ci nienarodzeni jeszcze, dopóki wiatr dmie z niebios, a dziecko kwili, trawa porasta i rośliny kwitną, i póki wschodzi słońce, a świat trwa.*

Można powiedzieć, że tak oto starły się dwa czynniki kulturowe. Z jednej strony – tendencja koncentrująca władztwo polityczne łączone z dalekosiężnym handlem. I z drugiej – tendencja polityki policentrycznej, promowana rozsądnymi odpowiedziami na odwieczne wyzwanie wolności własnej i cudzej. Odpowiedź daną Fryzom przez Karola Wielkiego determinowało jakby same miano plemienia, któremu królował, a którym byli Frankowie, co znaczy – *wolni*. Współbrzmiał też z nią cały proces protegujący tendencję policentryczną. Taką też ujawniały kolejne akty decentralizacji frankijskiego Cesarstwa – traktaty w Verdun (843), w Pruem (855) i w Meerssen (870) – kładące podwalinę, na której w wieku X widniały wyraźne już zarysy dwu monarchii: francuskiej i niemieckiej. Wbrew przesądowi, jaki źródło siły politycznej skłania upatrywać w centralizacji władzy politycznej, to właśnie policentryzacja pokarolińskiej wspólnoty ratowała Zachód przed zagrożeniami ze stron w istocie wszystkich. Trzem wiekom epopei, której prologiem jest *Pieśń o Rolandzie*, a epilogiem *pierwsza krucjata* – towarzyszył wyrazisty duch kresów i pospolitego ruszenia.

Rzecz prosta, nie zawsze był to duch tak krystaliczny, jak w przypadku Wilhelma Akwitańskiego (†815). Pochodzący z Burgundii towarzysz broni hrabiego Rolanda – zasłużony przy poszerzaniu granic Marchii Hiszpańskiej, którą zarządzał – po odejściu ze służby zadowolił się azylem w uposażonym przez siebie klasztorze benedyktynów w Gellone. Nie mniej to właśnie taki

duch towarzyszył zaciągom ludzi wyruszających na południe pod wodzą karolińskich komesów – z Burgundii, Ardenów, znad Kanału La Manche, czy Bawarii⁹⁰. Choć z bohaterów tej epopei kanonizacją uhonorowany został jedynie Wilhelm Akwitański, to przecież z jej biegiem i klimatem rozwijał się proces o znaczeniu cywilizacyjnym – proces krystalizujący wczesnofeudalne instytucje polityczne Zachodu i ich etos.

Proces ów normował stosunki własnościowe, rozwijające się w dwu formach. Jedną z nich było *alodium*, czyli dziedziczna i pełna własność dóbr ziemskich, jaka nie powodowała po stronie właściciela żadnych zależności o naturze politycznej. W drugiej, którą było *feudum*, to jest dziedziczny urząd i uposażające go dobra ziemskie – własność nadal pozostawała ograniczona, bo uwarunkowana obowiązkiem lojalności politycznej posiadacza, w stosunku do zwierzchnika, który nadawał mu je w lenno. Alodializacja promowała własność ziemską – raczej średnią i małą – tam zwłaszcza, gdzie żyło wciąż prawo rzymskie, uważane zresztą za *matkę alodiów* (*lex romana, mater alodiorum*). Tymczasem, w tych właśnie stronach napierał front arabskiej inwazji. Stąd obok miecza również alodium stabilizowało stan posiadania Europejczyków. Co w okolicznościach ówczesnych było zrozumiałe, sprzyjała alodializacja także formowaniu się owej znanej duchowości, jaka jej posiadaczom nakazuje prędzej stracić życie, niż prawo do własnej ziemi. Skutki podobne wywoływała feudalizacja. Zainaugurowało ją ustawodawstwo cesarza Karola II Łysego (†877) w *Kapitularzu z Quierzy* z 877 roku, ustanawiające dziedziczność feudów wasali samego cesarza, a zamknęła konstytucja *De feudis* z roku 1037, w której cesarz Konrad II (†1039) przyznał ją wasalom ze wszystkich szczebli feudalnej drabiny. Podnosiło to rangę feudałów obdzielanych częścią władzy politycznej przez suwerena, a na cenzurowanym

⁹⁰ Należał do nich założyciel pierwszego rodu margrabiów Toskanii, Bonifacy (†823) – wysłany przez cesarza do obrony Lukki oraz jego syn Bonifacy II (†847), który umiał nie tylko bronić Korsykę przed desantami Arabów i odbudowywać na niej życie, lecz też prowadzić desant odwetowy na brzegi Afryki. Był pośród nich Unroch z Ternois (†853) z synem Berengarem Mądrym (†835) – pełniący służbę w Hrabstwie Barcelony i jego brat Eberhard (†866) – obrońca Marchii Friulańskiej. Syn tego ostatniego, Berengar I (†924) – od roku 888 król Italii; w roku 915 dowodził koalicją, której zwycięstwo nad rzeką Garigliano zniosło arabski przyczółek i przyniosło zwycięzcy nagrodę w postaci godności cesarza. W zastępie tym stał też Anskar I (†902) – od 870 roku pierwszy margrabia Ivrei i ojciec Adalberta I (†930), zięcia Berengara I, a dziadek Berengara II (†966) króla Italii – pierwszego króla w rodzie Anskarydów, który pięćset lat później, ślubem Izabeli Kastylijskiej i Ferdynanda Aragońskiego, zjednoczył Hiszpanię.

stawiało rangę monarchy. Stawiało także pytanie odwieczne o adres, pod jaki kierować się winna polityczna lojalność. Stąd podobnie ani po raz pierwszy ani ostatni, obie strony – tym razem monarcha i feudałowie – otrzymywały szansę wspólnej i dobrej odpowiedzi, wyłącznie jaka zgadza się z oryginalnym standardem wyobraźni politycznej Zachodu. To znaczy, że o ile w relacjach wzajemnych monarcha i feudałowie mogą być adresatami lojalności prywatnej, o tyle adresatem politycznej lojalności może być po obu stronach wyłącznie samo państwo.

Do narodzin Polski w wieku X dochodziło w chwili, gdy na zachód od jej miejsca, odpowiedź na pytanie to wcale nie była przesądzona. Brak rozstrzygnięcia, tak istotnego kulturowo, raczej w małym stopniu wynikał z kulturowego czy politycznego autorytetu bizantyńskiego Cesarstwa Wschodu – nieprzyjaznego Zachodowi już od wieków sześciu. W stopniu o wiele większym oddziaływały miejscowe uwarunkowania wyboru. Zacierały one ostrość jego przedmiotów i osłabiały jego determinację.

Resentyment dzielący Rzym i Konstantynopol wynikał z przyczyn, których zespół nie jest tu głównym przedmiotem rozważań. Warto jednak zwrócić uwagę na dwie z nich. Jedną były mentalne skutki odmienności wyobrażeń władzy politycznej i własności ziemskiej. Idea władzy politycznej, jako absolutnej i w całości bytującej w cesarzu, odstręczała umysł bizantyński od aprobaty rozpraszających ją struktur zachodnich. Koncentracja decyzji politycznej na bizantyńskim Dworze, czyniła wielką własność ziemską przedmiotem nie lokalnego autorytetu, lecz obrotu i zysków umożliwiającymi wpływy u Tronu. Drugim czynnikiem, jaki resentyment bizantyński pogłębiał, był spadek respektu otaczającego Konstantynopol, jako *drugi Rzym* i więdnącego w miarę wzrostu przewagi świata Islamu. Przewaga Islamu, wraz z polityką cesarzy Wschodu z dynastii amoryckiej (820-866) oraz macedońskiej (887-1056), redukowały wyrazy resentymentu do formy jedynie dywersji.

Godziła ona głównie w papieski Rzym, na który oglądała się niechętna bizantyńskiemu *cezaropapizmowi* część wschodniego duchowieństwa, integrowana przy okazji wielkich sporów teologicznych, ujawniających rozbieżność tendencji krystalizujących kulturowe realia uogólniane parą pojęć *Zachód* i *Wschód* – jak przy sporze o kult obrazów i o naturę Ducha Świętego. Jednakże w obu sporach przejawiała się też raczej wyraźna wspólnota niedoprecyzowania kulturowego, w jakim późny Antyk zostawił Rzym i Konstantynopol,

a jakie trwało nadal we wczesnym Średniowieczu. Wschodni rodowód tezy potępiającej kult obrazów nie zmniejszał jej popularności nad Rodanem, na Sycylii, czy w Piemoncie – może nawet większej, niż nad Bosforem. Również w samym Rzymie nie brakło jej zwolenników. Nie tyle zresztą na rzymskiej ulicy, używającej kiepskiej łaciny i uczestniczącej jeszcze w skądinąd trafnym wyborze papieża Mikołaja I Wielkiego (†867), ile w preferującej kiepską grekę części miejscowego establishmentu. Poza tym – tak jak duchowieństwo na Rzym papieski, tak również na katolicki Akwizgran oglądała się część elity politycznej Bizancjum. Dało to o sobie znać nie tylko za dwuletnich (811-813) rządów cesarza Michała I (†844), który uznał odnowienie Cesarstwa Zachodu, ale również w postawie cesarzowej Teodory (†867) i jej brata Bardasa (†865), którzy przywrócili kult obrazów.

Natomiast sto lat później pozbawiony tronu przez cesarza Ottona I, król Italii z dynastii Anskarydów, Adalbert II (†971), szukał pomocy na dworze bizantyńskim u cesarza Nikifora Fokasa (†969). I to właśnie w rządy Fokasa uderzyła wyprawa, jaką Otton I w roku 967 poprowadził na włoskie posiadłości Bizancjum – z tym wszakże jedynym rezultatem, że nad Bosforem doszło do zamachu stanu, w wyniku którego miejsce po zamordowanym Fokasie zajął cesarz Jan I Cymiskes (†976). Nie dziwi więc specjalnie, iż tenże Otton I w roku 972 swatał w Konstantynopolu – i to z powodzeniem – swego syna Ottona. Cesarz Jan, szwagier generała Bardasa Sklerosa, zgodził się jego bratanicę, księżniczkę Teofano Sklerinę (†991), wydać za późniejszego cesarza Ottona II (†983).

Wyraźnie probizantyńską orientację saskiego Cesarstwa Ludolfingów potwierdzał też „takt”, z jakim Otton I przyjmował tytuł cesarski – bez użycia przymiotnika *rzymski*, zastrzeżonego dla cesarzy z Konstantynopola. Potwierdzały ją nie tylko same zaręczyny jego wnuka, cesarza Ottona III (†1002), z bratanicą cesarza Bazylego II Bułgarobójcy (†1025), księżniczką Zoe (†1050) – nie uwieńczone małżeństwem wyłącznie z powodu śmierci narzeczonego. Znajdywała ona również wyraz w wizji zrękowinom tym towarzyszącej. Była bowiem to wizja zjednoczenia całej Europy poprzez połączenie obu cesarstw – Zachodniego i Wschodniego – pod władzą spodziewanego syna Ottona III i Zoe. Po stronie saskiej sama możliwość podobnych pomysłów była piramidalną naiwnością, lekceważącą dramatyczną rozbieżność kulturowych procesów, jaka cesarstwa te dzieliła. Za tym, że na wyobraźnię twórców polityki Ludolfingów wzorce bizantyńskie mogły mieć swój wpływ, przemawiają dwa przynajmniej fakty. Po pierwsze

– absolutystyczny charakter polityki wewnętrznej Ottona I. Po drugie – supozycja zwierzchnictwa władzy cesarskiej nad papieską, przez cesarza ujęta w ustawie *Privilegium Ottonianum* z roku 962.

W trwającej od czasów Konstantyna Wielkiego politycznej rywalizacji pomiędzy Rzymem a Konstantynopolem ważny – jeśli nie najważniejszy – element stanowiła nieprzerwana rywalizacja na polu religijnym. Co pewien czas antagonizmy między *grekami* i *łacinnikami* przybierały formę ostrych konfliktów. Do największego z nich doszło w drugiej połowie IX wieku. Do teologicznego sporu o *Filioque* – doktrynę dotyczącą pochodzenia Ducha Świętego o wyrażnie zachodniej genezie – dochodzą rozbieżności w interpretowaniu *prymatu biskupa Rzymu* – zwłaszcza w zakresie jurysdykcji oraz rywalizacja na polu misyjnym wśród Słowian – czego przykładem są dramatyczne dzieje misji św. Cyryla (†869) i św. Metodego (†885). Sytuację dodatkowo komplikuje zaistniały w roku 858 rozłam w Kościele bizantyńskim i walka między Ignacym (†877) i Focjuszem (†891) ze zmiennym szczęściem rywalizującymi o godność patriarchy konstantynopolitańskiego. Dochodzi do szeregu dramatycznych wydarzeń i nagłych zwrotów sytuacji: wzajemnych potępień i ekskomunik, wygnań i pojednań, publikacji listów i encyklik, ingerencji papieża i cesarza. Poszczególne fazy konfliktu są powodem do zwoływania kolejno czterech synodów (859, 861, 863 i 867) oraz soboru (IV Sobór Konstantynopolitański obradujący w latach 869-870). Konflikt zażegnany został dopiero na synodzie obradującym w Konstantynopolu w latach 879-880 (tzw. *synod focjański*), na którym doszło do uroczystej rehabilitacji Focjusza oraz kończącego schizmę pojednania między Kościołami rzymskim i konstantynopolitańskim.

Dalej jednak dochodziło do mniejszych lub większych napięć między obydwoma stolicami chrześcijańskimi, ale dopiero blisko dwa wieki później, w roku 1054 – na tle starych kontrowersji, jak *prymat papieża* czy *Filioque* oraz nowych, między innymi celibatu duchownych – nastąpiło ostateczne zerwanie Rzymu z Konstantynopolem (tzw. *schizma wschodnia*).

Specyfika kulturowa stron skonfrontowanych w połowie X wieku, przewagę – jaką ta, co panowała na rubieżach Kontynentu zyskała nad tą, co na jego zachodzie walczyła o byt – pokazuje dramatyzm ciągu zdarzeń właśnie wtedy komponujących współzależność położenia jego dwóch dzielnic – dzielnic zachodniej czynnej historycznie od dawna i biernej dotąd dzielnicy środkowej. To bowiem właśnie wówczas ku wnętrzu tej drugiej wyruszyły dwie

ofensywy o zasięgu i skutkach przekraczających dotychczasowe. W roku 945 do swej kolonii w Kijowie, Normanowie dołączyli zachodnie pobrzeże Dniepru, a w 955, na wschodnim brzegu Łaby już mocno stanęli Sasi, rozbiwszy miejscowych Słowian. Potwierdziła sasko-normański alians wizyta posłów z Kijowa w roku 959, u króla Ottona I z saskiej dynastii Ludolfingów – od 919 roku rządzącej wschodnią częścią Cesarstwa, w konflikcie z lokalnym środowiskiem karolińskim.

Pierwszy król niemiecki z dynastii Ludolfingów, Henryk I Ptasznik (†936), skierował się przede wszystkim przeciwko królowi Franków Zachodnich i Lotaryngii, Karolowi III Prostakowi (†929). Uczynił to w okolicznościach rokujących pomyślnie rozwiązanie problemu, symbiozy Normanów norweskich z karolińskim Zachodem. Udało się bowiem Karolowi III zhołdować i ochrzcić księcia ich, Rollona (†932) – pokonanego przez króla w bitwie pod Chartres w roku 911 – w wyniku czego narodziła się *francuska Normandia*. W osobie nowego lennika Karolingowie zyskali oparcie przeciw rywalizującemu z nimi od dwóch pokoleń, rodowi Robertynów. Niestety, już za rządów syna Rollona – księcia Wilhelma I Długiego Miecza (†942)⁹¹ – normańscy wasale, ze strony karolińskiej zaczęli przechodzić do partii Robertynów, którzy w międzyczasie związali się z Ludolfingami. Henryk Ptasznik stał za buntem, który we Francji doprowadził do detronizacji Karolinga i wyboru przodka Kapetyngów, Roberta I (†923). Odebraną zaś Karolowi Lotaryngię Henryk oddał hrabiemu Gislebertowi z Hainaut (†939), swemu lennikowi – od roku 928 mężowi Gerbergi (†989), swej córki.

Kolejny Ludolfing na tronie niemieckim, Otton I Wielki (†973) już w pierwszym roku panowania (937), oddał rękę swej siostry Jadwigi (†965) hrabiemu Paryża Hugonowi Wielkiemu (†956), bratu Roberta I – tego samego, który czternaście lat wcześniej zbuntował się przeciw Karolowi III, a którego syn – Hugo Kapet (†996) – w roku 987 ostatecznie odebrał Karolingom tron Francji.

Antykaroliński charakter aliansu odczuły też inne dzielnice Cesarstwa. W roku 951 Otton I wyprawia się do Italii. Pokonawszy króla Berengara II Anskarydę i poślubiwszy (jako wdowiec) wdowę po jego poprzedniku, królu

⁹¹ Od końca lat trzydziestych małżonką Wilhelma I Długiego Miecza była Lutgarda z Vermandois (†977), siostrzenica Hugona Wielkiego. Koligacje rodzinne władców Normandii z Kapetyngami kontynuowało zawarte w roku 960 małżeństwo syna i następcy księcia Normandii – Ryszarda I (†996) – z córką tegoż hrabiego Hugona – Emmą (†966) – siostrą więc Hugona Kapeta, którego właśnie książę Ryszard I w roku 987 wprowadzić miał na tron Francji.

Lotarze II (†950) Biwinidzie – królową Adelajdę (†999) z burgundzkich Welfów⁹² – przyjmuje tytuł *króla Italii*. W ten sposób rozpoczął grę, która przyniosła mu w roku 962 koronę cesarską, z nominacji papieża Jana XII (†963).

Jednym z pierwszych posunięć Ottona I, w roku 937, było przeprowadzenie reformy karolińskiego systemu marchii wschodnich. Część północną podzielił na dwie marchie. Nadbałtycką powierzył Hermanowi Billungowi (†973) – stąd zwaną odtąd *Marchią Billungów*. Brat Hermana – Wichman I (†944) – ożeniony był z wnuczką księcia Widukinda, Frederuną (†971) – prawdopodobnie siostrą matki Ottona I, królowej Matyldy z Ringelheim (†968). Druga – *Marchia Wschodnio-Saska* – przypadła Geronowi z Merseburga (†965)⁹³, synowi hrabiego Thietmara (†932), wychowawcy samego

⁹² Święta Adelajda Burgundzka (931-999), córka króla Burgundii Rudolfa II i Berty Szwabskiej – córki księcia Szwabii Burcharda II, od 951 roku żona Ottona I – regentka syna Ottona II i wnuka Ottona III; teściowa niechętna synowej Teofano. Jej bratanicą była Gizela Burgundzka – od 972 roku żona księcia bawarskiego Henryka II Kłótnika.

⁹³ Marchie w cesarstwie Karola Wielkiego i królestwie niemieckim Ludolfingów były specyficznymi jednostkami administracyjno-wojskowymi tworzonymi na obszarach przygranicznych i mającymi zabezpieczać państwo przed najazdami pogańskich sąsiadów. W rzeczywistości – zwłaszcza marchie „wschodnie” istniejące na pograniczu sasko-słowiańskim – stały się głównym narzędziem ekspansji terytorialnej i podboju Słowian Połabskich. W realizacji tego zadania niewątpliwie pierwszoplanową rolę odegrał wymieniony powyżej margrabia Marchii Wschodniej – Geron. Chociaż w owym czasie bezwzględność, okrucieństwo i wiarołomstwo były – również w „chrześcijańskiej Europie” – raczej zjawiskiem powszechnym, to z pewnością pierwsze miejsce w ich „praktykowaniu” należy się margrabiemu Geronowi. Lista i rodzaj jego sukcesów jest rzeczywiście imponująca. W roku 939 zaprosił na ucztę 30 naczelników plemion słowiańskich (Łużyczan i Serbów) i ... otruli ich. Chcących ich pomścić współplemieńców pobił w bitwie pod Łączynem – pokonani Wieleci i Obodryci musieli uznać zwierzchnictwo niemieckie. Okazał się też mistrzem organizowania wręcz perwersyjnych intryg. W roku 955, gdy Otton I z trudem odpierał kolejny najazd Węgrów (zakończony ostatecznie jego zwycięstwem w bitwie nad rzeką Lech pod Augsburgiem) Saksonii groził atak ze strony Słowian Połabskich. Geron udał się do świątyni jednego z plemion słowiańskich – Ranów – w Arkonie, gdzie zadeklarował porzucenie chrześcijaństwa i chęć przyjęcia kultu Świętowita. Przekonał ich do wsparcia sił niemieckich, co umożliwiło mu zwycięstwo nad Obodrytami i Wioletami w bitwie nad Reknicią (niem. Recknitz). Swych słowiańskich sprzymierzeńców nagrodził hojnymi nadaniami ziemskimi kosztem Wioletów. Co nie było trudne do przewidzenia, spowodowało to walki między Wioletami i Ranami. Kilka lat później sam zakończył ten konflikt – tym razem rozbijając Ranów. Oczywiście – wszystkim tym działaniom przyświecała szczytna idea „nawracania pogan”.

Najprawdopodobniej Geron był też inicjatorem najazdów Wioletów, dowodzonych przez Wichmana II na państwo Polan. W roku 962 doszło do spotkania Gerona z Wichmanem (synem Wichmana I Billunga) – osobnikiem choć spokrewnionym z Ludolfingami, ale w owym czasie posiadającym już status wygnanego z kraju banity. Wszelkie podejmowane przez niego działania były więc uznawane za „prywatne” inicjatywy niepodlegającego nikomu awanturnika. W roku następnym dochodzi jednocześnie do dwóch akcji zbrojnych

Henryka Ptasznika. Obu margrabiów w roku 953 połączył dodatkowo ślub syna Gerona, Zygryda, z Jadwigą (†1014) córką wspomnianego hrabiego Wichmana I. Można by powiedzieć, że to normańska krew płynąca w żyłach Matyldy i Frederuny po ich matce Reinhildzie (†929), niejako kompletowała ogół przesłanek polityki wschodniej nowego, saskiego Cesarstwa. Powstanie owych marchii – już w nieodległej przyszłości – miało przynieść niezwykle brzemienne skutki dla ich słowiańskich sąsiadów.

Oszalałająca ruchliwość Normanów nie wydaje się być skutkiem jakiegoś długofalowego planowania strategicznego. Na to nie pozwalała im namiętność i częstotliwość ich sporów wewnętrznych – na tyle żywych, by zaryzykować sąd, iż normańskie życie publiczne w dwóch ostatnich wiekach I tysiąclecia ogniskowało się głównie w instytucji nad wyraz nieskomplikowanej i dla której – jak już wcześniej stwierdzono – trudno znaleźć inny termin niż ów polski *zajazd*. Można by też rzec, że zajazdami były również wyprawy na Kontynent, na Wyspy Brytyjskie, czy na Atlantyk – dokonywane, gdy powodów do

– Geron uderza na Łużyczan a Wichman na Mieszka I. Obie też kończą się sukcesem inicjatorów. Łużycanie zostają zmuszeni do uznania zwierzchnictwa królów niemieckich, a w walkach z Wieletami ginie nieznany z imienia brat Mieszka. W roku 964 lub 965 dochodzi do kolejnej wyprawy Wichmana i jego Wieletów na ziemię Polan. Wynik starć również nie jest pomyślny dla Mieszka, który zostaje zmuszony do płacenia królowi niemieckiemu *trybutu z ziem aż po rzekę Wartę* – prawdopodobnie dotyczyło to ziemi lubuskiej, której stolica, Lubusz, była położona po lewej – a więc już „niemieckiej” – stronie Odry. Być może w wyprawie tej brał udział i margrabia Geron, który zmarł od odniesionej rany (brak informacji w jakich okolicznościach) 20 maja 965 roku.

W ciągu niecałych trzech dziesiątków lat margrabia Geron przesunął granicę Marchii Wschodniej – a tym samym i granicę królestwa niemieckiego – z nad Soławy (niem. Saale) będącej lewym dopływem Łaby nad Odrę czyli ok. 200-250 km. Stał się osobą numer 2 w państwie. Otton I – i to chyba nie bez racji – czuł się zagrożony wzrostem potęgi margrabiego. Dlatego też po śmierci Gerona jego marchię podzielił na kilka mniejszych.

Następcy Gerona kontynuowali jego politykę wobec Słowian – ale już tylko z częściowym powodzeniem. Trzecia wyprawa Wichmana i Wieletów na państwo Mieszka (967) – który uzyskał już czeskie wsparcie wojskowe – kończy się ich całkowitą klęską, a uciekający z pola bitwy Wichman zostaje zabity. Zaś Mieszko – lojalny lennik cesarski i *przyjaciel cesarza* (*amicus imperatoris*) – napadnięty przez pogan dowodzonych przez jakiegoś opryska-banitę informuje o tym cesarza i przesyła mu miecz zabitego banity. Podjętą w roku 972 przez Hodona, margrabiego Marchii Łużyckiej (jednej z „nowych” marchii powstałych z podziału marchii Gerona) próbę opanowania prawego brzegu Odry powstrzymali pod Cedynią Mieszko I i jego brat Czcibor. Było to pierwsze w dziejach „formalne” starcie zbrojne polsko-niemieckie. [przyp.- Red.]

zajazdu zabrakło w zaściankach z najbliższego sąsiedztwa skandynawskiego. Z zastrzeżeniami też tylko można mówić o jakiejś *duńskiej*, *norweskiej*, czy *szwedzkiej* orientacji politycznej, skoro była to epoka dopiero początków fragmentacji normańskiej wspólnoty. Jinglingowie (Ynglingar) i Skjoeldungowie (Skjoeldungar) – potomkowie synów legendarnego króla Odyna, Jingwigo i Skjoldra, z których pierwszy odziedziczył Szwecję, a drugi – Danię czuli się i tu i tam, i w Norwegii, zawsze jak na swoim. Jako też zresztą byli „swoi” i tak przyjmowani przez miejscowych, po ustaleniu wyniku kolejnego zajazdu. Nie ulega wątpliwości, że już wtedy można było mówić i o zasadniczych kierunkach owych zajazdów bardziej dalekosiężnych, i o pewnych predylekcjach w wyborach aliansów – uzewnętrznianych przez protagonistów z ogólnoskandynawskiej sceny, w ramach stosunków na całej północnomorsko-bałtyckiej rubieży Europy. Zaś w wiekach IX i X głównymi aktorami tej sceny byli – obok karolińskiego establishmentu, elity saskiej i zwierzchności normańskiej – książęta Słowiańszczyzny Północno-Zachodniej.

Otóż wypada uznać, że miejscową logikę aliansów oraz układ sympatii i antypatii, generowało zawarte już w roku 780 porozumienie, łączące frankijską monarchię, ze słowiańską państwowością Obodrzyców, rozłożoną nad dolnym biegiem Łaby, u nasady Półwyspu Jutlandzkiego – a więc pomiędzy dziedzicami Sasów na zachodzie (obecna Dolna Saksonia) i Normanów na północy (obecna Dania). Ostrze porozumienia skierowane było głównie w Sasów, buntujących się przeciw Frankom. W zgodzie z jego duchem poległ w roku 795 książę Wiczana, gdy śpieszył do obozu Karola Wielkiego. W roku 798 następca Wiczana, książę Drożko (†809), rozgromił Sasów na tyle skutecznie, że w roku 804 uhonorował go cesarz tytułem *króla*. Frankijsko-obodrzycki układ kierował się również przeciw Normanom sprzymierzającym się z Sasami, a także przeciwko słowiańskim książętom z nad środkowej Łaby i Szprewy (obecna Brandenburgia), zrzeszonym w Związku Wieleckim – bliższym zaś myśli o przymierzu z Sasami i Normanami, niż z Obodrzycami i Frankami. Predylekcji takiej dowiódł rok 789 wspólnym zwycięstwem księcia Wiczana i Franków nad Wioletami, zaś w roku 809 potwierdziła ją wspólna napaść na księcia Drożka ze strony Wioletów, Sasów i Normanów, pod wodzą osiadłego na południu Jutlandii króla Gudreda (†821), z rodu Jinglingów.

Jednak drużyna króla Gudreda nie myślała zatrzymywać się na duńsko-słowiańskim pograniczu. To właśnie stąd Normanowie rozpoczęli podbój karolińskiej już Fryzji, którą przedsiębiorczość wolnych Fryzów uczyniła emporium kupieckim o znaczeniu ogólnokontynentalnym, a której podbój

– w latach 841-873 – następcom Gudreda ułatwiła znacznie rywalizacja wnuków Karola Wielkiego, w tak newralgicznym punkcie polaryzująca również cały miejscowy establishment. To właśnie Fryzja stała się podstawą operacyjną dla innego Jinglinga – pustoszącego Flandrię (880) oraz Nadrenię i Lotaryngię (882) – króla Godfryda (†885). To właśnie też w tej drużynie miał oparcie kolejny Jingling – król norweski Harald I Pięknowłosa (†933).

Ta sama drużyna miała też swój udział w jeszcze innym normańskim przedsięwzięciu. Przejawem tego było między innymi uczestnictwo w roku 920 syna wspomnianego króla Harald I – Eryka I Krwawego Topora (†954) – w akcji zainaugurowanej w Europie Wschodniej jeszcze w roku 862. Wówczas bowiem, pod wodzą księcia Ruryka (†879), normański szczerp Waregów-Rusów rozpoczął ekspansję, która od Bałtyku ku Morzu Czarnemu ciągnęła bałto-słowiańsko-ugrofińskim pograniczem, a która do lat czterdziestych wieku X oparcie strategiczne znalazła w dwóch podbitych przez nich emporiach Słowiańszczyzny Wschodniej – w Nowogrodzie Wielkim i w Kijowie.

Zdumiewać musi rozmach i równoległość – w przestrzeni i w czasie – tej transkontynentalnej ekspansji wschodnich Wikingów, do atlantyckiej ekspansji ich zachodnich braci. Kierunek, w którym zmierzały obie, pozostawał ten sam. Wiódł on ku obu morzom łączącym trzy kontynenty – Czarnemu i Śródziemnemu. Aby dostać się tu od strony Atlantyku, Normanowie zachodni musieli przepłynąć przez Cieśninę Gibraltaru – wąską i z obu brzegów kontrolowaną przez Arabów. Z okolicznością podobną mieli do czynienia również Normanowie wschodni, którzy w drodze z Morza Czarnego na Śródziemne wpływali do Cieśnin Bosforu, nad którymi panował Konstantynopol. Pod jego murami stanęli Waregowie już około roku 907, zawierając z Bizancjum umowę handlową, w roku 944 potwierdzoną przez kijowskiego księcia Ingwara-Igora (†945). Wskazywało to na kierunek wyraźnie południowy ich ekspansji, jak nie mniej wyraźnie handlową naturę jej celu. Taki zaś jej charakter tłumaczyłby powody, dla których pierwsi Rurykowicze używali tu miecza raczej tylko wtedy, gdy trzeba było oganiać się od koczowników podchodzących pod Kijów od wschodu, lub też gdy można było ów miecz wynająć za bizantyński żołd, czy to do służby w Italii (rok 936), czy też – jak w latach 967-972 – w napaści na Bułgarię, czy wreszcie od roku 988 w przybocznym wojsku cesarskim, zwanym *gwardią wareską*. Próby zaś podporządkowania Słowian, którzy zasiedlali obszary położone na zachód od szlaku wiodącego *od Waregów do Greków* nie sięgały zbyt daleko, skoro jeszcze w roku 945 próba wymuszenia haraczu od plemienia Derew-

lan – osiadłego między środkowym Dnieprem a wschodnią granicą Wołynia – zakończyła się porażką i księcia Ingwara-Igora kosztowała życie. Nie mniej, z jego śmiercią zdaje się zachodzić zmiana istotna, zmieniająca zdecydowanie południową – jak dotąd – orientację ekspansji. Oto wdowa po Ingwarze, księżna Helga-Olga (†969), nie tylko pomściła męża i zajęła ziemie Derewlan, ale i – porozumiewając się w roku 959 z królem niemieckim z dynastii saskiej, Ottonem I (†973) – dopełniła perspektywę ekspansji Waregów-Rusów o jeszcze jeden kierunek – na zachód.

Co zrozumiałe, gest księżnej Helgi nie mógł nie spotkać się ze zrozumieniem po stronie Ludolfingów, gdzie nie brakło woli poszerzenia granic saskiego władztwa w zdecydowanie wschodnim kierunku. Tu, jako pierwsi padli ofiarą Wieleci. Dotychczasowi sascy sprzymierzeńcy, pobici jeszcze przez Henryka Ptasznika w roku 929, których Otton I – przywoławszy do porządku – obdarzył w roku 948 biskupstwami w Hobolinie (Havelberg) i w Brennie (Brandenburg), okraszając w ten sposób założone wcześniej marchie hrabiów Hermana Billunga i Gerona z Merseburga. Można mówić o symboliczności tej akcji chrystianizacyjnej, której zwieńczeniem instytucjonalnym stało się ustanowienie w roku 968 arcybiskupstwa w Magdeburgu. Nie tylko przejęło ono – od założonego w roku 804 przez Karola Wielkiego biskupstwa w Halberstadt – misję u Słowian znad Łaby i Soławy, a wraz z nią połowę jego uposażenia i zwierzchnictwo nad nim. Uzyskało też – jako swego pierwszego biskupa – świętego Adalberta (†981), jeszcze w roku 961 wysłanego do Kijowa, w wyniku porozumienia Ottona I z Helgą. Niezależnie zaś od zasług i cnót samego biskupa Adalberta, pod symboliką tych okoliczności kryły się zatrwające realia saskiej misji, które saski kronikarz uogólnił zdaniem, że niosła ona Słowianom *nie Ewangelię, lecz miecz, ogień i truciznę*. Z taką zło-wieszczą perspektywą cywilizacyjną wiązała się perspektywa geostrategiczna dostatecznie przejrzysta, a oparta o dwa czynniki główne, jakie stwarzała aktywność dwóch skrzydeł tego samego, sasko-normańskiego układu.

Z jednej strony, skrzydło wschodnie tego układu, oparte o alians Ludolfingów i Rurykowiczów, determinowało sasko-normańską dominację nad całą północną częścią Europy Środkowej – od Bałtyku po łuk środkowo-europejskich gór, między Łabą i Soławą na zachodzie a Dźwiną i Dnieprem na wschodzie. Z drugiej strony, jego skrzydło zachodnie promowało dominację północno-morskich peryferii Europy Zachodniej nad jej częścią kontynentalną. Czyniło to na tyle skutecznie, na ile w Anglii i w Skandynawii, brały górę te sympatie, których przykładu dostarczyli w latach trzydziestych

X wieku – bywały również i u Rurykowiczów – król Norwegii Eryk I Krwawy Topór (†954) i król Anglii Athelstan (†939). W latach dziewięćdziesiątych, tendencję tę będą kontynuowali wychowany w rurykowiczowskim Nowogrodzie prawnuk Haralda Pięknowiącego, król Olaf I Tryggvasson (†1000), z posłusznym jego dyktatowi, królem Ethelredem II Bezradnym (†1016). Obie zaś dominacje stwarzały pełny komfort władzy gardzącej prawem i despotycznej, respektującej wyłącznie materialną przewagę – do jakiej skłonność cechowała zarówno Ludolfingów jak i Jellingów dosyć wyraźnie.

W połowie X wieku, w tak oto determinującej się perspektywie geostrategicznej, oczywistemu załamaniu ulegała konstrukcja karolińskiego Zachodu – dotąd pracowicie rewindykującego swą schedę śródziemnomorską i rozszerzającego się na wschód, pod prąd stamtąd ciągnących inwazji, oraz odzyskującego swą antyczną tożsamość kulturową i polityczną. Załamanie było nie tylko tym dotkliwsze, im bardziej wyczerpywała się siła twórcza epigonów epoki karolińskiej, im bardziej kurczyły się ich wpływy i malał autorytet. Było to tym groźniejsze, im większą przewagę zyskiwali ich sascy i normańscy rywale, opanowując północną część wschodniego przedpiersia Zachodu. Było wreszcie ono nie tylko tym trudniejsze do powstrzymania, im bardziej ziała polityczną pustką całą przestrzeń ujęta obiema południkowymi granicami Europy Środkowej – na zachodzie granicą sasko-słowiańską i słowiańsko-wareną na wschodzie. Załamanie to było tym bardziej nieuchronne, im większego wysiłku wymagało wypełnienie środkowoeuropejskiej pustki politycznej, której sam fakt istnienia stwarzałby znaczny komfort operacyjny dyktatowi, tak złowróżbnemu cywilizacyjnie dla Zachodu i całego Kontynentu.

Stąd nie tylko zdumienie ale i uznanie, musiało towarzyszyć narodzinom politycznego bytu, który – właśnie w takim czasie i w takiej koniunkturze – pustkę tę począł zagospodarowywać, wzięty niejako we dwa ognie, przez dwie wrogie mu siły, pracę nań z dwóch przeciwległych stron. Jak wiadomo, bytem tym okazała się Polska⁹⁴.

⁹⁴ Tak jak w innych podobnych przypadkach, również w przypadku księcia Mieszka (†992) i króla Bolesława Chrobrego (†1025) – twórców Państwa Polskiego – brak źródeł ujawniających treść ich woli, która mobilizowała ową władzę jaką było *Ja* każdego z nich, gdy odnajdywało się ono w takich to okolicznościach czasu i przestrzeni. Jeśli jednak prawdą jest, że to z siły *Ja* pochodzi siła odczucia odrębności własnej oraz siła instynktu, jaki

Tradycja podkreśla ściśle *rzymski* charakter Chrztu Polski, przyjętego w roku 966 bez pośrednictwa ze strony Cesarstwa. Niezależność od wówczas już istniejących hierarchii lokalnych Kościoła – co nie stało się udziałem Czech ochrzczonych znacznie wcześniej, bo w roku 925, lecz aż po rok 1344 podległych arcybiskupowi Moguncji – zapewniło Polsce biskupstwo misyjne w Poznaniu ustanowione w roku 968, podległe bezpośrednio Rzymowi, a wkrótce – w roku 1000 – pierwsza archidiecezja polska w Gnieźnie. Można by więc powiedzieć, że gdy Sasów chrzcić musieli, z takim mozołem Frankowie, to Polacy ochrztili się niejako *sami*. Co istotne, inaczej niż w przypadku *cesarskiej genezy* monarchii obodrzyckiej króla Drożka (804) i monarchii czeskiej króla Wratysława (1075), a tak jak było to w przypadku monarchii chorwackiej króla Tomisława (925) – polska monarchia króla Bolesława Chrobrego (1025) miała *genezę papieską*. Także wcześniejsza darowizna na rzecz Stolicy Apostolskiej, jaką w akcie *Dagome iudex* z roku 991 uczynił ze swych ziem książę Mieszko I († 992), sytuowała suwerenność rodzącej się Polski pod gwarancją tej samej władzy, która od 800 roku gwarantowała suwerenność Zachodniego Cesarstwa Rzymskiego. Pod gwarancją więc władzy nie pochodzącej z żadnego fizycznego gwałtu, ani politycznego kontraktu, a przez wszystkie ówczesne podmioty polityczne uznanej za władzę miarodajną w stopniu najwyższym. Jednak myliłby się każdy, kto by taką postawę obu Piastów wobec Stolicy Apostolskiej miał za wyraz politycznego wyrachowania – mniej lub bardziej cynicznego. Pogląd taki przecież pozostaje chyba całkiem bezzasadny, wobec rozmiaru politycznego poniżenia, w jakim Papieństwo trwało, zarówno pod upamiętnionym Chrztem Polski pontyfi-

jej strzeże, to słuszny wydaje się nie tylko pogląd, że w przypadku obu wielkich Piastów mamy do czynienia z *Ja* o sile doprawdy niezwyklej. Dostatecznie znane okoliczności czasu i przestrzeni pozwalają przecież definiować zasady, w imię których *Ja* Mieszka i Chrobrego poświadczyło swoją obecność, stawiając okolicznościom tym czoło. Gdy bowiem okolicznością staje się przemoc o naturze wyłącznie materialnej, to determinacja niezdolnego poddać się jej *Ja* wynikać może jedynie z jego pewności, że słuszna jest zasada pozwalająca ulegać przewadze wyłącznie duchowej. Tu istotne wydaje się i to, że duchowa przewaga jest jedyną, której uznanie nie garbi, lecz prostuje, a poddanie się jej uskrzydla. Tak oto rozmiar przewagi materialnej dowodziłby jakości i siły ducha tego *Ja*, które się jej oparło. Obecność – po stronie zwycięskiego *Ja* – takiej to właśnie siły dowodzi z kolei obecności także i tej siły, której każde *Ja* mieć musi tym więcej, im większy jest format ducha, z którym ma ono do czynienia. Tymczasem jest nią, rzecz prosta, siła rozumu, pochodząca – jak wiadomo dobrze – z siły woli prawdy. O ile aktem poddania się przewadze o naturze duchowej stał się w roku 966 Chrzest Polski, o tyle aktem rozumu pozostawało wsparcie, jakiego już ledwie co narodzona Polska udzieliła sprawie zdawałoby się przegranej – to znaczy karolińskiej. Decyzja ta zmieniała więc całą europejską perspektywę.

katem Jana XIII (†972), jak za Sylwestra II (†1003) – kreatora Metropolii Gnieźnieńskiej, jak wreszcie za Jana XIX (†1032) – papieża, który koronę królewską przesłał Chrobremu. Im więc bardziej poniżenie Rzymu jawiło się oczywistym, tym bardziej czysto duchowym okazywał się wymiar posłuszeństwa jego władzy. W czym też uzewnętrzniała się i treść, i jakość intencji.

Brak wątpliwości, że obok wspólnoty zagrożenia też powinowactwo duchowe złączyło z elitą karolińską księcia Mieszka. Dwukrotnie wsparł on księcia Henryka II Kłótnika Ludolfinga (†995) – męża Gizeli Burgundzkiej (†1007), córki króla Konrada III Welfa (†993) – którego opozycja przeciwstawiła najpierw w latach 974-978 cesarzowi Ottonowi II, a w latach 983-984 – w koalicji z przedostatnim Karolingiem francuskim królem Lotarem (†986) – regencji małoletniego Ottona III (†1002). Ta sama logika rządziła bałtycko-północnomorską polityką obu wielkich Piastów, czego świadectwem były dzieje córki Mieszka I, księżniczki Świętosławy (†1016) – królowej Szwecji, Danii, Norwegii i Anglii – przez skandynawskie sagi opiewanej pod mianem *Sygyrdy Dumnej* (*Sigrid Storraade*). W początku lat osiemdziesiątych X wieku wydana za króla Eryka (†994) ze szwedzkich Jellingów, w roku 995 poślubiła Swena Widłobrodego (†1014) króla Danii. Związała też obie skandynawskie monarchie przeciw Olafowi Tryggvassonowi, który – wsparty przez Nowogród – w roku 987 odbił duńskim Skjoeldungom Norwegię, a którego król Swen i syn Świętosławy z pierwszego małżeństwa, król Szwecji Olaf Skotkonung (†1022) pobili w roku 1000 pod Svolder.

To z koalicją, jaka łączyła Kijów Waregów-Rusów, Normandię czasu księcia Ryszarda II (†1026), cesarza Henryka II Ludolfinga (†1024) i króla Francji Roberta Pobożnego (†1031) wiązały się próby zawładnięcia bałtycko-północnomorskim traktem. Były one krzyżowane przez króla Swena (usunięciem króla Ethelreda Bezradnego z Anglii w roku 1014) oraz przez syna jego i Świętosławy, króla Kanuta Wielkiego (†1035) – gdy ten, w roku 1028, usuwał z Norwegii króla Olafa Świętego (†1030).

To jednak przecież Polska wzięła na siebie główny ciężar działań militarnych, w których rozerwana została owa tak dla całego Zachodu groźna, sasko-normańska obręcz. To Bolesław Chrobry, w trwającej szesnaście lat wojnie (1002-1018) pokonał ostatniego Ludolfinga, cesarza Henryka II. Następnie, po szybkim zajęciu Kijowa (1018) zmusił Waregów-Rusów do zwrotu Ziemi Czerwieńskiej (późniejszej Rusi Czerwonej) i Wołynia, podbitych – w ramach

rozpoczętego w roku 945 ich pochodu na zachód – przez księcia kijowskiego Woldemara-Włodzimierza Wielkiego (†1015), w latach 981 i 992. To działania na *polskim froncie* katalizowały *front zachodni* wojny karolińskich elit z saskim Cesarstwem Ludolfingów, prowadzonej przez koalicję z udziałem Baldwina IV (†1035) hrabiego Flandrii (po kądzieli wnuka Anskarydy, króla Italii Berengara II), hrabiego Burgundii Odon-Wilhelma (†1026) z rodu tychże Anskarydów, także i Biwinidów w osobach synów hrabiego Wilhelma Wyzwolicieła, hrabiów Prowansji Wilhelma II (†1018) i Fulkona Bertranda (†1051), oraz – może na miejscu pierwszym – bohaterskiego króla Italii, Arduina z Ivrei (†1015), ostatniego Anskarydy uwieńczonego koroną włoską.

Niepowodzenie w wojnie z Polską, kompromitując stronnictwo saskie przyczyniło się do odzyskania przez postkarolińskie elity przewagi również w samym Królestwie Wschodnio-Frankijskim, czego skutkiem stała się w roku 1024 – po bezpotomnej śmierci Henryka II – elekcja na jego tron księcia Frankonii z rodu Saliów – Konrada II (†1039) oraz jego koronacja cesarska, w roku 1027. Można by powiedzieć, że już w 1025 roku postanowione małżeństwo syna Konrada II i jego następcy, Henryka III (†1056) z Gunhildą (†1038), córką Kanuta Wielkiego – wróżyło trwałość nowej koniunkturze kontynentalnej. Koniunkturze więc stwarzanej przez trzy czynniki główne: zwrócone ku karolińskiej tradycji, „salickie” Cesarstwo Zachodnio-Rzymskie, angielsko-skandynawski blok pod egidą duńskich Skjoeldungów i Polskę.

Trzeba przyznać, że temu w znacznej mierze militarnemu wysiłkowi, towarzyszył wysiłek dyplomatyczny – nacechowany już wtedy przyzwolitą szerokością spojrzenia. Było ono życzliwe wszystkim czynnikom, które po stronie przeciwnej zdawał się trzymać nie wrogi karolińskiej tradycji przesąd a okoliczności obiektywne. Takie choćby, jak więź szczepowa. Aksjomatycznemu orientowaniu dyplomacji Mieszka I i Bolesława Chrobrego ku ostojom tradycji karolińskiej – w Rzymie, po obu brzegach Renu i w Lombardii – towarzyszyły kontakty i saskie i normańskie, gdy były możliwe. Stąd wsparcie Mieszka I dla regencji małoletniego Ottona III i *Uśmiechnięta Polka* w katedrze w Naumburgu – rzeźba przedstawiająca Regelindę (†1032) córkę Bolesława Chrobrego, poślubioną synowi sprzymierzeńca króla po stronie saskiej. Podobną wymowę i dalekosieżne skutki miały skandynawskie małżeństwa siostry króla, Świętosławy. Książętom ziem z obu stron Cieśnin Duńskich ułatwiały emancypację spod biorącej ich we dwa ognie, egidy Sasów (od południa) i pozostałych Normanów (od północy). Emancypacja zaś taka zmieniła stosunki nad Morzem Północnym pod rządami siostrzeńca króla Pol-

ski – Kanuta Wielkiego (†1035) – który rządząc w ojczystej Danii otrzymał koronę od Norwegów (1026), a lat dwadzieścia królował przede wszystkim w Anglii, którą podbił w roku 1016.

Dalekosiężna aktywność Polski inaugurującej swój byt, odwracała koniunkturę w skali kontynentalnej. Ułatwiała powrót ośrodka władzy Cesarstwa znad Łaby nad Ren – do dynastii Saliów, dziedziczki tradycji karolińskich (1024). Szczypota polskiej soli w sasko-normańskim tyglu nad Morzem Północnym nie zmieniała proporcji plemiennych. Zapewne jednak ułatwiła anglosaskiej miksturze odzyskać kondycję, jaką nadały jej rządy Alfreda Wielkiego (†899) i Edgara Pokojowego (†975), a jaką obniżył Ethelred Bezradny (†1016) uległy konsorcjum znad Łaby i Dniepru, a jaką po roku 1066 poddały próbie nowej, oparte o te same konsorcjum, rządy dynastii normandzkiej. Nie dziwi, że beneficjenci zewnętrznej aktywności Polski na przełomie X i XI wieku przybyli jej z odsieczą, gdy w latach 1031-1039 przechodziła poważny kryzys wewnętrzny.

Godne uwagi jest, że gdy po opanowaniu kryzysu przez Kazimierza Odnowiciela (†1058), samobójczą próbę reorientacji polskiej polityki zagranicznej podjął jego następca, król Bolesław Śmiały (†1081) – w obronie zasad wystąpiło już same społeczeństwo. Tak przecież interpretować wypada detronizację monarchy, po zabójstwie sprzeciwiającego się mu biskupa – Świętego Stanisława – w roku 1079. Jego sprzeciw musiał bowiem uwzględniać okoliczności zewnętrzne.

Spór króla z biskupem wpisał się w historycznie pierwszy spór Cesarstwa z Papiestwem – ale Cesarstwa konkretnego z równie konkretnym Pontyfikatem. Na czele Cesarstwa stał wtedy Henryk IV Salicki (†1106) – z dynastii wiernej karolińskim tradycjom, a nękanej normańsko-saską opozycją. Dynastii zasłużonej dla reformy Kościoła, postulowanej przez klasztor w Cluny, a uzasadnianej dodatkowo stosunkami w Rzymie – konsekwencją patronatu Ludolfingów. Pontyfikat papieża Grzegorza VII (†1085) był nie mniej wyrazisty. Uzależniony od tej części establismentu Rzymu i Italii, co pod patronatem tym czuła się nieźle – godząc w Henryka IV – Grzegorz VII nie tylko wiązał się z kolejną ofensywą normańsko-saskiego konsorcjum. Bunt książąt saskich i ukorzenie się w roku 1077 cesarza przed papieżem w Kanossie, wszystko to groziło załamaniem się koniunktury nie tylko strategicznej, ale i kulturowej. Tej mianowicie, którą otworzył papież Gelazy I listem *Duo sunt* w 494 roku, a w roku 1122 przywrócił *Konkordat Wormacki* i która uznawała zasadę rozdziału kompetencji obu władz – kościelnej i świeckiej – i ich wzajemnego wsparcia, czemu doktryna Grzegorza VII przeczyła.

Stając u boku przeciwników Henryka IV, Bolesław Śmiały wyprowadzał Polskę z układu w jakim trwała dotąd, a wprowadzał do takiego, w którym sama obecność równała się politycznemu i kulturowemu samobójstwu. Jego zaś detronizacja i wycofanie polskiego wsparcia militarnego dla saskich rebeliantów, wpłynęły nie tylko na ich ostateczną klęskę, która ich pochod na wschód zatrzymała nad Łabą – aż po połowę XII wieku.

Gest Świętego Stanisława i odzew społeczny na jego śmierć, owocowały powrotem Polski do układu, w którym stawiała swe pierwsze kroki. Wpłynęło to również na koniunkturę ogólną. W komplikujących się stosunkach wewnętrznych Cesarstwa – czego wyrazem był bunt wzniecony w roku 1105 przez cesarskiego syna, późniejszego cesarza Henryka V (†1125), a potem opór jaki temu ostatniemu stawiał w roku 1115 Lotar z Supplinburga, późniejszy cesarz Lotar III (†1137) – polityka Władysława Hermana (†1102) i Bolesława Krzywoustego (†1138) umacniała oba środowiska: karo-lińsko-salickie i kościelne reprezentowane przez świętych Hugona z Semur (†1109) i Bernarda z Clairvaux (†1153) oraz papieża Kaliksta II (†1124). Koniunkturze kulturowej wtórowała polityczna. Spór Polski z Cesarstwem (1109) wypadł na rządy Henryka V. Za Henryka IV i Lotara III współpraca obu państw stabilizowała polski stan posiadania nad Bałtykiem – od Gdań-ska po wyspę Rugię.

Doświadczenia lat dwustu, jakie w połowie wieku XII upływały od chwil inauguracji polskiej polityki zagranicznej, kodyfikowały doktrynę raczej przejrzystą. Jej użyteczność w kolejnych latach dwustu – od Bolesława Krzywoustego do Władysława Łokietka – sprawdzały okoliczności zmienione. Nowość stwarzał, z jednej strony, *Statut Krzywoustego*, otwierający w roku 1138 *epokę rozbicia dzielnicowego*. Z drugiej strony do istotnych zmian – z poważnymi konsekwencjami dla Niemiec i całej Europy – doprowadziły cesarskie aspiracje rodziny Staufów, otwierając drugą rundę walki Cesarstwa z Papiestwem o prymat. W rundzie otwartej teraz przez stronę świecką, znów zderzyły się obie tendencje polityczne – *absolutystyczna* forsowana przez cesarzy i *konstytucjonalistyczna*, za którą obecnie ujęli się papieże.

Tak w Polsce, jak i w Niemczech, ofiarą zmian padało przede wszystkim państwo. W Polsce zasady *Statutu* jego kondycję degradowały obiektywnie. W Niemczech czyniła to subiektywna siła kosmopolitycznego imperializmu nowej dynastii. Jej postępowanie dorzucało zarzewia do wewnątrzniemiec-

kiej rywalizacji, gdy stopniowe niwelowanie różnic plemiennych i kulturowych zdawało się ją wygaszać. Wewnątrzniemiecki konflikt cesarskiego obozu *gibelinów* z propapieskim obozem *gwelfów* – nićmi sympatii i antypatii z czasów karolińskich i salickich – ogarniał cały Kontynent. Pokusa udziału w globalizującej się grze, mogła tłumić głos doktryny, którą książęta Polski dzielnicowej dziedziczyli wraz z państwem. Stał za tym zresztą nie tylko sam urok nowości, ale zapewne też i poczucie bezpieczeństwa. Mogło je budzić dotychczasowe powodzenie Piastów, międzynarodowy status ich państwa, jak i stan jego obu pograniczy – na zachód od Odry wciąż nie opanowanych naporem znad Łaby, a na wschodzie już dystansujących się od *chaganatu* znad Dniepru. Tak oto doktrynę poddała próbie rywalizacja dzielnicowych książąt, zestrojona z ogólnoeuropejską rywalizacją gibelinów i gwelfów⁹⁵.

⁹⁵ Terminy *gwelfowie* i *gibelini* (*gibelinowie*) stanowią nazwy stronnictw politycznych dominujących w życiu politycznym Włoch w wiekach XII-XIV a w zmienionych formach nawet i później. Na cesarza należało koronować się w Rzymie, a wcześniej uzyskać tytuł *króla Italii* lub *króla Rzymu*. Zacięte boje toczono też o tron Sycylii. W związku z tym Italia była miejscem niemal nieustannych walk. Na przykład cesarz Fryderyk I Barbarossa (†1190) – w trakcie 38 lat swego panowania – 6 razy wyprawiał się do Włoch. W latach 1197-1215 dochodzi do wojny o tron cesarski między niemieckimi rodami Welfów i Hohenstaufów. I ona też nie ominęła Italii. Gwelfowie to stronnicy Welfów i przeciwnicy rządów niemieckich cesarzy (*tedeschi*) w Italii, którymi głównie byli przedstawiciele rodu Hohenstaufów – oprócz wspomnianego już Fryderyka I byli to: Henryk VI (†1197), Fryderyk II (†1250) i Konrad (†1254). Z rodu Welfów pochodził jedynie Otton IV (†1218). Opowiadali się za samodzielnością i republikańską formą rządów. Trzonem stronnictwa gwelfów były miasta Lombardii. Natomiast gibelinowie popierali cesarzy – o czym świadczy już sama nazwa ich stronnictwa, która pochodzi od zamku Waiblingen, siedziby rodowej Hohenstaufów.

Na rywalizację o tron cesarski nakładała się kolejna odsłona walki cesarstwa z papieństwem o prymat w świecie chrześcijańskim (zachodnim). O uniezależnienie Kościoła od władców świeckich walczył z cesarzem Fryderykiem I – i to ostatecznie z powodzeniem – papież Aleksander III (1159-1181). Na przełom wieków XII i XIII przypada pontyfikat jednego z największych papieży w dziejach Kościoła – Innocentego III (1198-1216). Wyznaje on „totalną” koncepcję roli papieża w kierowaniu sprawami tego świata – papież jest *zarządcą Boga na ziemi* (*Dei vice gerens in terris*) i stąd krótki logiczny wywód: Chrystus posiada pełnię władzy – skoro papież jest Jego namiestnikiem – więc również ma pełnię władzy. Wszystkie sprawy doczesne – a więc i polityka – powinny być podporządkowane sprawom duchowym. Chciał bezpośrednio mianować cesarzy i ustanowić zależność wasalną między Stolicą Apostolską a królestwami chrześcijańskimi. Trudno się dziwić, że władcy chrześcijańscy – przede wszystkim cesarze – nie mieli ochoty tego akceptować. W tej sytuacji dochodzi do szeregu „pojedyneków” papiesko-cesarskich. Sam Innocenty III, najpierw osadził na tronie Ottona IV a potem z powodu niesubordynacji ekskomunikował i tego tronu pozbawił. Czterech jego następców: Honoriusz III (1216-1227), Grzegorz IX (1227-1241), Celestyn IV (1241) oraz Innocenty IV (1243-1254) konfrontowało się z Fryderykiem II. Logiczną konsekwencją było, że gwelfowie w zasadzie opowiadali się po stronie papieża. Natomiast gibelini i w tej rywalizacji byli stronnikami cesarza.

Tymczasem skutki ich polityki – żałosne w przypadkach orientacji gibelńskiej, a budzące otuchę w przypadkach gwelfickiej – dowiodły, że próbę tę doktryna przeszła pomyślnie. Co charakterystyczne, gdy skutki żałosne potwierdziły ją nie wprost, to najzupełniej wprost czynią to skutki budzące uznanie.

Nie wprost przytaknęły doktrynie smutne skutki orientacji gibelńskiej, wiążące udział w kosmopolitycznym obozie Szaufów, z preferencją modelu rządu nie krępowanego prawem i opinią publiczną. Orientacja ta – za Władysława Wygnańca (†1159) – naraziła kraj na wojnę domową, a Niemcom dała dostęp do Odry. Gibelńską inspirację miały nieudane próby likwidacji zagrożenia od wschodu, stwarzanego przez nadal poza Chrześcijaństwem bytujących Bałtów i przez inwazję Mongołów, jaka w latach 1223-1240 poddała Złotej Hordzie księstwa ruskie, zaś w 1241 rozbiła Polaków pod Legnicą a Węgrów nad rzeką Sajó. To również wpływ Piasta-gibelina – Henryka I Brodatego (†1238) – osadził Zakon Niemiecki na pograniczu Polski z Prusami (1228)⁹⁶. I to polski gibelinizm, razem z europejskim, w roku 1254 fundował

W takim też znaczeniu terminy *gwelf* czy *gibelin* używane są w pracach naukowych. Natomiast Autor rozszerza wykładnię tych terminów i odnosi do całej rzeczywistości ideowo-politycznej tej epoki – tak jak, np. do opisu postaw politycznych XX wieku stosuje się terminy *socjaldemokrata* czy *chadek*. Zabieg taki uznać można za dopuszczalny o tyle, iż trudno założyć, aby jakiś król czy książę – ze względu na ciężar gatunkowy dylematu: cesarz czy papież? – był w stanie nie dokonać wyboru jednej z tych opcji. Z pewnością dla piastowskich książąt i książątek dzielnicowych nie mógł to być wybór w pełni suwerenny czy wyłącznie intelektualny. Papież bowiem przebywał w Italii lub Francji, a cesarz tuż za miedzą. Zresztą cesarze szereg razy interweniowali w konfliktach między polskimi książętami.[przyp.- Red.]

⁹⁶ To stwierdzenie Autora z pewnością u 99,99 proc. czytelników wywoła zdziwienie a u części być może nawet i szok, ponieważ „od zawsze” w polskich szkołach podstawowych, średnich i na uniwersytetach uczy się, że w roku 1226 książę Konrad Mazowiecki sprowadził do Polski Krzyżaków. Jest to jedna z „prawd” żelaznego kanonu historii Polski – niemal tak oczywistego i niepodważalnego jak *Dziesięć Przykazań*. Jednak w tym przypadku – jak i w szeregu innych – historia okazuje się być bardziej skomplikowaną.

Niepowodzenie III wyprawy krzyżowej i prawie całkowita likwidacja posiadłości chrześcijańskich w Ziemi Świętej zmusiła zakony rycerskie – w tym i rycerzy *Zakonu Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie* – do poszukiwania dla siebie nowych „zajęć” w krajach łacińskiej części chrześcijańskiej Europy. Król węgierski Andrzej II – toczący walki z pogańskimi Połowcami – w roku 1211 zaprosił Krzyżaków do siebie i uposażył nadaniami ziemi w Siedmiogrodzie. Jednak stosunkowo szybko zorientował się, że rycerze NMP zdobytych na nawracanych Połowcach terenami nie zamierzają powiększać Królestwa Węgier, lecz próbują stworzyć własne państwo zakonne. Przestali uznawać zwierzchnictwo króla i biskupa siedmiogrodzkiego, a 30 grudnia 1224 roku ogłosili, że swoje posiadłości przekazują papieżowi. Wówczas król – pomimo protestów Stolicy Apostolskiej – natychmiast wypędził ich z granic swego państwa. W ten sposób Krzyżacy znów stali się „bezrobotnymi”.

obie efemerydy – *królestwo Litwy* Mendoga (†1263) i *królestwo Rusi* Daniela Halickiego (†1264) – co osłaniać miały Polskę i cały Zachód od Złotej Hordy, a nim padły w lat kilka, stały się źródłem zagrożenia dla promotorów.

Natomiast wprost potwierdziły słuszność doktryny doświadczenia orientacji gwelfickiej. W oparciu o powstający europejski obóz gwelfów młodszy bracia Władysława Wygnańca obronili się przed popierającymi go królem Konradem III i cesarzem Fryderykiem I Barbarossą, zaś praktyką zjazdów konstytucyjnych w Łęczycy (1141 i 1180), w Gnieźnie (1145) i Jędrzejowie (1168), utrzy-

Od początków XII wieku książęta piastowscy walczyli z pogańskimi sąsiadami, Prusami, którzy swymi najazdami pustoszyli przygraniczne terytoria, a przede wszystkim Mazowsze. W roku 1166 w walce z Prusami zginął książę Henryk Sandomierski. Chcąc uniknąć udziału w kolejnej krucjacie przeciwko Saracenom w Palestynie lub Egipcie – w latach 1222-1223 – zorganizowali dwie wyprawy przeciwko Prusom. Uczestniczył w nich również książę Henryk Brodaty, który właśnie w roku 1222 zaprosił krzyżaków do siebie na Śląsk i osiedlił ich koło Namysłowa. Sukcesem krucjaty było odzyskanie ziemi chełmińskiej. Henryk odbudował grody w Chełmnie i Kwidzynie i obsadził je śląskimi załogami. Ponieważ krucjata była przedsięwzięciem wspólnym książąt, którzy – zarówno uprzednio jak i później – niejednokrotnie ze sobą walczyli, to wspólna zdobycz nie mogła przypaść jednemu z nich. Ziemię chełmińską przekazano więc misyjnemu biskupowi pruskiemu Chrystianowi. Pozostawał jednak problem trwałego zabezpieczenia granicy przed pruskimi najazdami. W tym celu zorganizowano stałą *stróżę rycerską* składającą się z rycerzy z różnych dzielnic Polski. Nie powstrzymało to jednak pruskich najazdów. Z oczywistych względów władcą najbardziej zainteresowanym kwestią bezpieczeństwa był książę Konrad Mazowiecki. Postanowił on stróżę rycerską zastąpić rycerzami-krzyżowcami. Z inicjatywy biskupa Chrystiana zwerbowano w Meklenburgii 15 rycerzy (1228). Ponieważ od księcia Konrada otrzymali oni gród Dobrzyń nad Wisłą wraz z okolicznymi terenami – nazywani byli *braćmi dobrzyńskimi*. Książęta pomorscy sprowadzili joannitów (1198) i hiszpańskich kalatrwersów (1228). W tym kontekście ulokowanie na tym terenie również krzyżaków wydaje się pomysłem oczywistym – ale nie można też wykluczyć i sugestii ze strony Henryka Brodatego i jego żony św. Jadwigi. Jest to tym bardziej prawdopodobne, iż wojska Henryka pozostawały na ziemi chełmińskiej do przybycia tam rycerzy zakonu NMP. W każdym razie faktem niepodważalnym jest, że pierwszy Krzyżak, który postawił stopę na polskiej ziemi – przybył na zaproszenie Henryka Brodatego.

Wątpliwa jest też data: *rok 1226*. Wynika ona jedynie – i to pośrednio – z datowanego na ten rok dokumentu cesarza Fryderyka II (tzw. *złotej bulli*), w którym znajduje się informacja jakoby już wówczas Krzyżacy byli w posiadaniu Ziemi Chełmińskiej nadanej im przez księcia Konrada. Współcześnie ustalono jednak, że dokument ten świadomie został antydatowany, a w rzeczywistości powstał w roku 1235. Trudno też sobie wyobrazić, aby Konrad dokonywał darowizny bez formalnej zgody biskupa Chrystiana, a skądinąd wiadomo, że pierwsze kontakty między księciem a biskupem miały miejsce w roku 1228. Również dopiero w styczniu 1230 roku nadania dla Krzyżaków potwierdził papież. Stąd wniosek: w roku 1226 mogły jedynie rozpocząć się rokowania między księciem Konradem Mazowieckim a wielkim mistrzem zakonu, Hermanem von Salza. Natomiast realne przybycie Krzyżaków na pogranicze mazowiecko-pruskie mogło mieć miejsce najwcześniej w roku 1228.[przyp.- Red.]

mali procesy ustrojowe państwa w gwelfickiej normie konstytucjonalizmu. To polski gwelfizm – z małżeństwami księżniczek piastowskich – promieniując w XII i XIII wieku na Ruś, neutralizował skutki podboju normańskiego, z pewnością stanowiące przyczynę łatwości, z jaką władani przez Rurykowiczów Słowianie ulegli podbojowi mongolskiemu. Gdy – po upadku Staufów – gibelińską sprawę podjęli król Francji Filip IV Piękny (†1314) i cesarz Henryk VII Luksemburski (†1313), to w gwelfickim obozie papieża Bonifacego VIII i dynastii Andegawenów znaleźli pomoc odnowiciele Królestwa i współautorzy jego konstytucyjnego charakteru, jakimi byli obaj ostatni królowie z rodu Piasta – Władysław Łokietek († 1333) i Kazimierz Wielki (†1370).

Poddanie Papiestwa opiece francuskiej – tak zwana *niewola awiniońska* (1309-1377) – nie zmieniło logiki sytuacji, a jedynie ją komplikowało. Pobyt w Awinionie niewiele zmniejszył gibeliński nacisk, którego papieski dwór chcąc uniknąć usunął się z Rzymu, gdzie prymat przejęli gibelini – z Giacomo Colonna (†1329) na czele – do defensywy spychając gwelfów, tu skupionych przy Orsinich – kardynał Mateusz (†1342) oraz senatorowie Gentile (†1315) i Bertoldo (†1333). Przewaga ogniskującego ambicje gibelińskie, sojuszu Kapetyngów francuskich i Luksemburgów z Rzeszy Niemieckiej – który za następców Filipa Pięknego nie był już aksjomatem – jednak nie była absolutna. Jej presji nie ulegał trzeci z awiniońskich papieży – choć Francuz – Benedykt XII (†1342). W roku 1339 wydał on wyrok skazujący Zakon Niemiecki z pozwu króla Polski – co wzmacniało autorytet Kazimierza Wielkiego, gdy dojrzewała inkorporacja Ziemi Czerwieńskiej i Wołynia (1340). Oczywiście, że jeśli presja na Awinion odnosiła skutek, zmieniała się postawa Papiestwa. Tak było za gibelińskiego, a smutnego też obyczajowo, pontyfikatu Klemensa VI (†1352), który – w rozpoczynającej się wojnie stuletniej – poparł przechodzącą recydywę gibelinizmu Francję pierwszego Walezjusza na tronie, Filipa VI (†1350), przeciw pozyskanej dla gwelfizmu Anglii króla Edwarda III (†1377), jak i przeciw królowi Kazimierzowi, wsparł Zakon Niemiecki.

Nie dziwi więc zbieżność dwóch procesów. Z jednej strony emancypacji Papiestwa spod presji gibelińskiej – już po powrocie do Rzymu – za Urbana VI (†1389) i Bonifacego IX (†1404). I z drugiej – procesu, który pod berłem królowej Polski, Świętej Jadwigi Andegaweńskiej (†1399), stał się praktycznym zwieńczeniem założeń doktryny, właśnie jaką można by uważać za *piastowską*. Rzecz prosta – myślimy o złączeniu Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego w jeden twór państwowy. Krok ten na trzy stulecia

zdeteterminował sytuację geopolityczną w środkowej części Kontynentu, z ewidentnie pozytywnym dla niej skutkiem – bowiem umocnił jej podmiotowość w stopniu, jakiego nie osiągnęła ani przedtem ani już nigdy potem.

W istocie trudno szukać mitu, który zniekształcałby realia historyczne równie przewrotnie, jak czyni to mityczna *polityka piastowska*. Nad tym nieszczęsnym tworem historiografii polskiej ciąży jej dwa grzechy główne: nadmiar intencji dydaktycznych w służbie politycznym ideałom oraz lekceważenie politycznego faktu – tak minionego jak aktualnego. Synergia tych grzechów, to mocna podstawa obu aksjomatów piastowskiej mitologii. Aksjomatu idei jednokierunkowej i bezalternatywnej ekspansji państwa Piastów na zachód oraz aksjomatu autorytarnej natury jego władzy. Tymczasem rzeczywiste okoliczności czasu jego narodzin, wspólnie z faktami, jakie złożyły się na inaugurację jego polityki zewnętrznej i wewnętrznej, aksjomatom tym przeczą wyraźnie.

Lekceważenie istoty okoliczności zewnętrznych wręcz uniemożliwia interpretację sensu samego debiutu polskiej polityki zewnętrznej, jaki zbiegł się z zagrożeniem całej ewoluującej wspólnoty kulturowej i politycznej Zachodu, którą w roku 800 powołał Karol Wielki. Stwarzały je zaś dwa nie pogodzone z nią czynniki plemienne – Sasi i Normanowie. Wtedy to saska dynastia Ludolfingów – nie wolna od mrzonek o dominacji nad Kontynentem, a z dzieżdzicami cesarza Karola skłócona – powstające Niemcy skierowała w latach 937-955 znad Łaby na wschód. Jednocześnie w roku 945 znad Dniepru na zachód, żwawiej niż dotąd ruszyli normańscy Waregowie-Rusowie. Sasko-normańską wspólnotę woli zajęcia całej przestrzeni między Łabą a Dnieprem, stanowiącej dotąd historyczny ugór, kwitował w roku 959 układ króla Ottona I z księżną kijowską Helgą-Olgą. Uderza związek saskich i normańskich inwazji na Europę Środkową z ich próbami dyktatu w stosunku do pokarolińskiego Cesarstwa. Odpowiedź na wyzwanie, jakie rzucało to Europie Środkowej, dały słupy graniczne wbite nad Łabą przez Chrobrego (1002) i poszczerbienie jego mieczem Złotej Bramy w Kijowie (1018).

Odpowiedź dana przez Polskę w chwili debiutu wydaje się dostatecznie dwukierunkowa, by wykluczała sens podejrzeń o jakąkolwiek jednokierunkowość sugestii wynikających z niej na przyszłość. Natomiast sugestia rzeczywiście w niej zawarta zobowiązywała do dogmatycznego strzeżenia suwerenności własnej, w stosunkach z partnerami – bez względu na ich usytuowanie geograficzne, a także na ewentualne sentymenty, jakie ze stosunków tych wynikać by mogły.

Wolę, która za taką odpowiedzią stała, odgadnąć łatwo. Była *wolą samostanowienia*, co nie musi tłumaczyć się przed nikim, bo wynika z natury wolności ludzkiej. Nie dziwi więc, że to *wola samostanowienia* stała się *materią*, jaka na przełomie I i II tysiąclecia, w samym środku Kontynentu, znalazła dla siebie ową szczególną formę życia zbiorowego, nazywaną *państwem*. Wysilek, co je tu budował, już wtedy miał znaczenie podwójne, podobnie jak wysiłki późniejsze, dzięki którym ono trwało. Wpływał na położenie strategiczne i kulturowe w obu perspektywach – polskiej i ogólnoeuropejskiej.

Odsuwając sasko-normańskie kleszcze znad środkowej dzielnicy Kontynentu, Polska nie tylko zmniejszała groźbę zakleszczenia jego dzielnicy zachodniej. Ewentualna hegemonia Sasów i Normanów – nadal obcych zasadom integracji Zachodu z doby Karola Wielkiego – tamowałaby proces, jaki w pokarolińskiej Europie zachodził w oparciu o zasady te same. W tym o zasadę decentralizacji i uspołecznienia władzy politycznej oraz solidarności podmiotów nią uposażonych. Podziały w obrębie Cesarstwa Karolingów były bowiem pączkowaniem jego formy politycznej. Każde z królestw mnożonych pod jego egidą, powielając formę rodzicielską, mnożyło władzę rządzących nią zasad. Także tej, co władanie ziemią wiązała z powinnościami obywatelskimi i z przywilejem partycypacji politycznej, która do wczesnofeudalnej monarchii wносиła ducha – na miarę czasu – *republikańskiego*. I przez to potęgowała jej zdolność do bycia tym, czego żądał czas ciągłych zagrożeń wewnętrznych i zewnętrznych – do bycia państwem. Wysilek, jaki na przełomie I i II tysiąclecia budował państwo polskie z tych szczepów i ziem między Łabą i Dnieprem, które były gotowe go podjąć, i złożyć się na nie, nie tylko więc grał na rzecz wytrwania Europy Zachodniej w standardach karolińskich, ale także przenosił kulturowy zasięg Zachodu daleko poza jego granicę karolińską, bo po wschodnie granice Polski.

Traktat podpisany w roku 1385 w Krewie, poprzedzający małżeństwo królowej Polski Jadwigi Andegaweńskiej z wielkim księciem litewskim Jagiełłą – przyszłym królem Polski (a faktycznie współkrólem), przewidując inkorporację Wielkiego Księstwa Litewskiego nie odwracał Polski – co jasne – od Zachodu, ani dowodził woli ekspansji na wschód. Wola obrony przed wspólnym zagrożeniem przez Zakon Niemiecki łącząc obie strony traktatu, aktywność obu orientowała wyraźnie na zachód, gdzie realnego wsparcia użyczali Polsce jedynie obaj „gwelficcy” papieże – Urban VI i Bonifacy IX. Zapewne też układając się z Jagiełłą polscy mężowie stanu nie kierowali się ideą *dziejowej misji Polski na Wschodzie*. Nie szło więc o to, by Polska miała *europeizować* Li-

twę – jak sądzą jedni, czy też ją *chrystianizować* a *rekatolizować* Ruś – jak chcą drudzy, czy by je *wyzyskiwać* – jak mówią inni jeszcze. Oczywiście związek Wielkiego Księstwa Litewskiego z Królestwem Polskim skutkował likwidacją ostatniego państwa pogańskiego w Europie, ale bez najmniejszej wątpliwości ich ideą główną było zwiększenie sił państwa, potrzebnych dla rewindykacji strat poniesionych w dobie dzielnicowej na zachodzie oraz dla przymnożenia mu autorytetu. Nie oznacza to jednak, by obca im była świadomość zadań – również misyjnych – jakie decyzyja ta pociągała za sobą i związanego z nimi ryzyka. Godząc się na Krewę, podejmowali bowiem ryzyko, bynajmniej nie znikające na wschodzie wraz z inkorporacją Księstwa – kryzysowi Złotej Hordy zawdzięczającego nie tylko terytorialny przyrost o zachodnią Ruś z Kijowem. Ruś wносиła przecież ze sobą całą hipotekę nieobliczalności skutków okupacji poprzednich, jakie dodatkowo wiksłały polityczny obraz Wielkiego Księstwa Litewskiego – sam w sobie niedający gwarancji, jeśli idzie o jakość i stałość, a także jedność woli jego elity rodzimej.

Rola polityki polskiej w przemianie sytuacji kulturowej na całym rozległym Wschodzie, jaki w Krewie reprezentował Jagiełło, jest niezaprzeczalna. Prawdą jest przecież, że nieudana za Mendoga, giblińska próba Chrzta Litwy, powiodła się dopiero za Jadwigi i Jagiełły. Prawdą jest, że to ułatwiony wspólnotą państwową z Polską, kontakt z kulturą łacińską ożywił społeczeństwo zachodniej Rusi. Wszystko to było skutkiem spotkania z tym właśnie Wschodem, jakie stało się udziałem polskiego Kościoła i narodu. Spotkanie, o którym mowa, sprawdziło obie umiejętności – z jednej strony *darzenia*, z drugiej *przyjmowania*. Zapewne ocena popisu, jaki przy tej okazji obie strony dały, wypada umiarkowanie optymistycznie.

Traktat w Krewie ujawnił więc wolę podjęcia ryzyka, którego dwukierunkowość jest równie oczywista, jak i suwerenność podejmującej je decyzji. Oboma więc przesłaniami traktatu – zachodnim i wschodnim – Święta Królowa inaugurowała *politykę jagiellońską* w zgodzie z duchem rzeczywistej *polityki piastowskiej*.

Polskie doświadczenie

Napoleon, pisząc o Polsce jako *kluczu sklepienia* równowagi Kontynentu widział taką właśnie globalną funkcję *polityki polskiej*. Interpretacja ta – oparta o mylącą ideę *równowagi sił*, jaką w dobie Oświecenia głosili Wolter, Fryderyk II Pruski i Hume – acz mąci istotę rzeczy, to doniosłość sprawy potwierdza. Sama bowiem suwerenność Polski, tylko z faktu położenia jej w tym miejscu Europy, nie mogła pełnić funkcji, jaką w sklepieniu pełni element zwany *kluczem* stąd, że zamyka on strukturę całości – unieruchamiając elementy pozostałe. Ale dokonana retrospekcja historyczna wykazuje, że ożywienie stosunków europejskich – do jakiego *polityka polska* szereg razy na przestrzeni dziejów przyczyniała się – powodowała ruch podnoszący kondycję polityczną nie tylko Polski.

Retrospekcja historycznych faktów zwraca aktorom i okolicznościom międzynarodowej sceny ich miejsce rzeczywiste – na jej planach i w tle. Retrospekcja faktów składających się na tysiącletnią historię polskiej polityki zagranicznej, ujawnia jej miejsce z całą pewnością pierwszoplanowe, tak w jej chwilach dobrych jak złych. Retrospekcja – widząc wyjątkowość miejsca w specyfice jego sąsiedztwa zachodniego i wschodniego – dostrzega ją w wadze odpowiedzi, jakie na kolejne wyzwania stawiane całemu Kontynentowi, ze swego szczególnego na nim miejsca, daje Polska.

Retrospekcja – demonstrując wagę znaczenia polskiej odpowiedzi – nie dowodzi, by jej danie skuteczne wymagało wysiłku nieproporcjonalnego do możliwości Polski. Dowodzi, że wymaga ono jedynie rozpoznania ogólnych wyzwań czasu, wsłuchania się w odpowiedź, jaką na nie podpowiada każdemu zdrowy rozsądek, oraz rzetelnego opowiedzenia się za nią. Właśnie takie akty budowały moralny i materialny autorytet monarchii Piastów i Jagiellonów oraz Pierwszej Rzeczypospolitej. To jest autorytet państwa, którego zachowa-

nie dowodzi, że jedynymi siłami, jakim gotowe jest ono poddać się w stosunkach zewnętrznych, są zasady prawa i solidarność cywilizacyjna. Retrospekcja faktu ukazuje też słuszność polityki Drugiej Rzeczypospolitej, planowanej właśnie tak, zgodnie z tradycją – niezależnie od tego, kto był jej ministrem spraw zagranicznych.

Co oczywiste, kolejne akty takich zachowań polityki polskiej, skryształizowały jej tożsamość.

Retrospekcja nie omija cieni. Nie może więc pominąć zasadniczej cezury, jaką w dziejach Europy – ale przede wszystkim Polski – stanowi okres lat 1696-1717. Ów osiemnastowieczny próg, wyraźnie rozgranicza dwie różne epoki. To właśnie na nim ulega wyczerpaniu proces opisywalny jako historia *polskiej polityki* i jednocześnie zainaugurowany zostaje proces, który za swój przedmiot ma tak zwaną *sprawę polską*. Doświadczenia obu procesów są doświadczeniami nie tylko dwóch różnych postaci Europy i polityki europejskiej. Są również doświadczeniami dwóch diametralnie różnych typów tego, co można by nazwać *behaviourem* polskiej dyplomacji. Łatwo zaś zauważyć, że wyobraźni – nie tylko polskiej zresztą – zarówno dyplomacji jak opinii politycznej, pojęcie *polskiej polityki* kojarzy się jeszcze dziś z jej typem drugim, w którym Rzeczpospolita prezentuje się nie jako *swej polityki podmiot*, lecz jako *swej sprawy przedmiot*.

Nie omija więc też retrospekcja błędów marnotrawiących dorobek dyplomacji lat 1918-1939 i Września 1939, już w dalszym biegu II wojny światowej. Cofając się ku początkom państwa dostrzega wszystkie błędy wcześniejsze i ich koszt. Mijając więc te z doby zaborów, pochyla się nad występkami całego wieku XVIII, obejmuje wszystkie grzeszki epoki świetności, dociera do doby rozbicia dzielnicowego. Stwierdza jednak, że ich źródłem zawsze było jakieś zaniechanie, w zakresie ochrony moralnych i materialnych dóbr Polski. A więc polityka tracąca historyczną tożsamość.

Pozbawiona tożsamości polityka, nie może być autentyczna, co czyni ją mało wiarygodną. Zwłaszcza, gdy przybierana przez nią poza schlebia wyobrażeniom przejściowym – tym bardziej zaś, im bardziej ufają im jej autorzy. Z wyzwaniem czasu mijają się one równie przykro, jak towarzysząca im taktyka mija się z realiami gry. Trudno jest polityce tak ugruntowanej wróżyć prawdziwy respekt.

Tak właśnie determinowane niedostatki dyplomacji Trzeciej Rzeczypospolitej, winny wreszcie trafić na porządek dzienny refleksji. Tym pilniej, im bardziej – ze skutkiem znanym – zajmuje się ona wszystkim, tylko nie sprawą

zasadniczą. To jest sprawą aktualnej zdolności polskiej samodzielnego definiowania wyzwań czasu, wspólnych całemu Zachodowi oraz odpowiedzi na nie – odpowiednio zgodnej z wielkoduszną tożsamością historyczną państwa.

Budzi to pilną potrzebę głębokiej refleksji nad ogółem przyczyn niepowodzeń. Oprócz wspomnianych powyżej kłopotów z wyobrażeniem tożsamości polskiej polityki zagranicznej tkwią one w kłopotach z dwoma jeszcze wyobrażeniami podstawowymi – wyobrażeniem zasad rządzących polityką zagraniczną powszechnie i z wyobrażeniem aktualnego stanu stosunków międzynarodowych.

Z nietrafną oceną dynamiki stosunków międzynarodowych, często łączy się mylna interpretacja zachowań jej podmiotów. Może powodować nie tylko ich uznanie za ofensywne, gdy są defensywnymi – i odwrotnie. Możliwe staje się przespanie chwili, kiedy *grę* – w aktualnej koniunkturze międzynarodowej o stawki banalne – w *grę o wszystko* zmienia okoliczność niezauważana dotąd i otwierająca koniunkturę nową. Wyobraźni unieruchomionej wygodnym przekonaniem o słuszności swej tezy, trudno sprostać wyzwaniom dynamiki sytuacji. Przyjmuje ona tezę alternatywną, albo szuka aprobaty w doświadczeniu historii. Rzecz w tym, że dociera nie do historycznego *faktu*, a do *poglądu pseudohistorycznego*, który ujęte nim historyczne *realia* przykrawa do potrzeb tezy, choćby *liberalnej* lub *realistycznej*.

Przyczyny nieskuteczności obu wyobrażeń i przywiązania do nich, zdają się mieć korzenie w pewnym dystansie, jaki od realiów oddala oba paradygmaty, także w ich wersji nie uproszczonej. Prawidłowo analizowane doświadczenie historyczne nie potwierdza idealistycznej tezy liberalnej, że o przebiegu międzynarodowej gry decydują – w różnych formach obecne zawsze – sieci powiązań ponadpaństwowych. Nie ma również potwierdzenia konserwatywnej tezy realistycznej, że przesądza o tym występujący między państwami stosunek ich sił materialnych – przy całym tych sił zróżnicowaniu historycznym. Historia potwierdza nierozłączność i równorzędność wpływu obu tych czynników na *grę*, o której mowa. Pozwala nadto stwierdzić decydujący wpływ czynnika oczywistego, acz dla pojęć kursujących dziś w Polsce, będącego pewną niespodzianką. To jest wpływ właściwego człowiekowi agregatu, jaki współtworzą jego *wola* i *intelekt*.

To on – w obliczu okoliczności czasu, ujawnianych proporcjami, w jakich sąsiadują potencjały sił poszczególnych państw, i w aktualnych nastrojach transgranicznych *networków* – ocenia położenie, cele i drogi mające do

nich wieść. Od niego zależy, czy pomnoży dziedzictwo i zostawi je przyszłości. Czy wyrówna debety zostawione przez przeszłość, czy doda do nich koszt błędów własnych. Historia dowodzi zawilosci gry o decyzje, których podmiotami formalnymi są państwa. Nie dowodzi jednak, by – realnie – jej wynik był determinowany inaczej, jak grą owych agregatów. To z sił ludzkiej woli i intelektu pochodzi trójstronny napór, jaki warunkuje każdą decyzję manifestującą politykę państwa. Napór na tych, co ją podejmują, wywarty naciskiem woli i intelektu czynników wewnętrznych; takiż napór z zewnątrz; oraz napór jakim każdego z decydujących dotyka jego własna wola i intelekt.

Zróznicowanie konstytucyjnych procedur normujących procesy decyzyjne poszczególnych uczestników międzynarodowej gry, dodatkowo wiks obraz jej pola, a od stopnia jego rozpoznania zależy realizm oceny dynamiki w nim zachodzącej. Także weryfikacja znaczenia tych zachowań, co monopolizują idealizującą uwagę liberałów i realistyczną konserwatystów.

Brak odpowiedniego zinstytucjonalizowania analiz do tego koniecznych i dziwny brak zaciekawienia ich przedmiotem – występujący wyraźnie na przestrzeni istnienia Trzeciej Rzeczypospolitej – obraża dwie istotne zasady planowania i prowadzenia polityki zagranicznej: *zasadę wrażliwości na każde wyzwanie czasu* oraz *zasadę realizmu*.

W trakcie przeprowadzania retrospekcji ze źródeł też przeglądają fakty ciekawe z jeszcze innego powodu. Pozwalają one nie tylko na próbę rekonstrukcji obiektywnego, historycznego procesu, powodowanego nie mniej obiektywną współzależnością działań partykularnych, a współtworzących *politykę* i *dyplomację* w całym kontynentalnym teatrze. Dzięki nim możemy sobie pozwolić również na próbę rekonstrukcji subiektywnych założeń, jakimi kierowali się twórcy nowożytnej polityki polskiej, a może nawet rekonstrukcji jej doktryny. Co więcej, możliwa zdaje się także próba rekapitulacji pewnych szczególnych zdarzeń intelektualnych, których wątek prezentuje historię godną tytułu *historii wyobrażenia europejskości*.

Wyobrażenie europejskości jako pewnej specyfiki kulturowej – specyfiki traktowanej jako norma czy standard istotnych sfer życia indywidualnego i zbiorowego – wypada przecież odnosić także do sfery politycznej. Sprawada się ono tu do wyobrażenia określonej postaci politycznych stosunków wewnętrznych, uznawanej za właściwą państwom europejskim, oraz do wyobrażenia podobnie specyficznej postaci stosunków między tymiż państwa-

mi zachodzących. Rzecz prosta wyobrażenie, o którym mowa, w obu swych składnikach ulega zmianom. Jednak sam wzgląd na nie, podobnie jak wzgląd na każdą normę, zawsze stanowi czynnik istotny, niezależnie od stopnia swego realnego wpływu na polityczną praktykę. W samej rzeczy wydaje się on czynnikiem co do ważności może nawet już drugim, wyprzedzanym jedynie przez czynnik wzglądu na bezpieczeństwo państwa. Stąd, właściwe badanej epoce *wyobrażenie europejskości*, to czynnik, którego specyfikę trudno ignorować przy badaniach polityki zagranicznej państw Kontynentu, w tym oczywiście także i Polski.

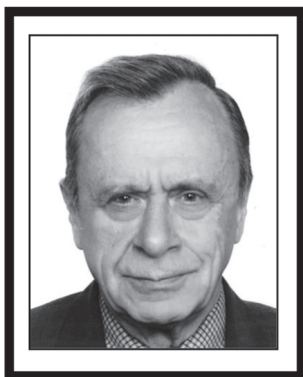
Bytowanie państwa w samym środku Kontynentu, położonego między jego dzielnicą zachodnią przyległą do Atlantyku, a otwartą ku Uralowi – wschodnią, powoduje stałą konieczność obrony jego suwerenności. Zobowiązuje to elitę polityczną do czynnego udziału w formowaniu relacji między zachodem i wschodem Europy, a jest to możliwe jedynie przy jednoczesnym równoprawnym i czynnym udziale całego społeczeństwa we wspólnocie państw Zachodu.

Stałym elementem tego bytowania pozostaje współzawodnictwo dwu tendencji, jakie modelują polityczną postać Europy. Z jednej strony jest to tendencja do objęcia Kontynentu hegemonią legitymizowaną względami zwykle ideologicznymi, stabilizowaną jednak z pomocą rozmaitych form presji materialnej – od militarnej po finansową – natomiast konfigurowaną z lokalnych systemów dominacji. Tymi ostatnimi są państwa, niezależnie od ich historycznej formy rozwoju. Tymczasem tendencja druga zmierza ku ładowi legitymizowanemu względem wyłącznie na prawo, jakie stosunki wewnętrzne państwowe i międzypaństwowe normuje w myśl rzymskiej zasady sprawiedliwości, nakazującej *oddawać każdemu, co jego*. Państwa, które w zgodzie z nią swym obywatelom gwarantują historyczną normę wolności politycznej, skłonne są bez przymusu ujmować się za ładem, jaki gwarantuje im równy udział w bezpieczeństwie zbiorowym. Wprawdzie żadna z obu tendencji nigdy nie osiągnęła celu, zmaterializowanego w pełni, podobnie jak żadna z obu zależnych od nich wizji Europy. Jednak doświadczane w historii skutki ich aktywności sugerują wnioski jak dotąd wyjątkowo jednoznaczne. W ich świetle tendencja hegemoniczna – pod właściwymi epoce pretekstami ideowymi protegująca kolejne wersje historyczne *Ojczyzny Europy* – zagrażała bezpieczeństwu Polski, ilekroć brała w Europie górę. Z natury rzeczy wymowę przeciwną

ma doświadczenie współzawodniczącej z nią tendencji policentrycznej, która zawsze proteguje *Europę Ojczyzn*. A jak ukazuje retrospekcja pozytywne doświadczenia polityki polskiej z tendencją sprzyjającą utrzymaniu przez Europę jej policentrycznej formy politycznej – jako można by rzec formy naturalnej – sięgają doświadczeń już u samej genezy Państwa Polskiego.

Stąd myśl, że specyfika doświadczenia tradycji polskiego sposobu obecności w Europie – gdy była to obecność skuteczna – może być podstawą do rozważań nad modelem polityki europejskiej – nie tylko Polski, ale i Europy – również w wieku XXI.

Pro memoria



Janusz Władysław Ekes
(1943–2017)

Piętnastego października 2017 r. zmarł wybitny historyk, politolog, specjalista i badacz w dziedzinie filozofii i myśli politycznej oraz historii I Rzeczypospolitej, profesor Janusz Władysław Ekes.

Profesor Janusz Ekes urodził się we Lwowie 21 marca 1943 r. Pochodził z rodziny o korzeniach węgierskich. Najstarsza wzmianka na temat przodków profesora zawarta została w dokumencie habilitacyjnym z 1664 roku, znajdującym się obecnie w archiwum w Segedynie. W dokumencie tym wymieniony jest György Ekés, syn Anny Csetkei i mąż Barbàli Vàraljai, który w uznaniu zasług w działaniach wojennych, 3 grudnia 1664 roku otrzymał prawa szlacheckie. Na początku wieku XVIII, po upadku antyhabsburskiego powstania pod dowództwem Franciszka Rakoczego II, potomkowie protoplasty rodu zmuszeni zostali do emigracji. Rodzina osiedliła się w Polsce, w starostwie Janowskim. W wieku XIX Ekesowie otrzymali prawa obywatelskie miasta Lwowa, gdzie zamieszkiwali do 1944 roku. Dziadek Profesora, Adolf Ekes, urodzony w 1877 roku syn Franciszka i Karoliny, był jednym z pionierów elektryfikacji Lwowa i okolic; właścicielem cieszącego się renomą przedsiębiorstwa „Błyskawica”. Brał czynny udział w życiu społecznym. Był członkiem paramilitarnej organizacji sportowej „Sokół”. Po wybuchu I wojny światowej został wcielony do armii austriackiej i w pierwszych dniach wojny

dostał się do niewoli rosyjskiej. W obozie jenieckim w pobliżu Kazania dał się poznać jako wybitny inżynier uruchamiając fabrykę ogni i baterii galwanicznych. Osiągnięciem tym wzbudził podziw władz guberni, dzięki czemu uzyskał pozwolenie na uruchomienie własnej firmy „Elektroda”, a następnie Towarzystwa Akcyjnego. Uzyskał również możliwość zaproszenia rodziny – żony Ludwiki oraz dzieci Marii i Bolesława. W Jełabudze Adolf wstąpił do 5. Dywizji Syberyjskiej Wojska Polskiego uformowanej przy armii rosyjskiej, a pozostającej pod zwierzchnictwem Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu. Opuścił Rosję w 1920 wraz z powracającą 5. Dywizją i jeszcze w tym samym roku dotarł z rodziną do rodzinnego Lwowa. Syn Adolfa – Bolesław (ur. w 1907 r. we Lwowie), ojciec Janusza, towarzyszył ojcu w tułaczce po Syberii. Po powrocie do Lwowa podjął studia na Politechnice Lwowskiej, a następnie poszedł w ślady ojca i założył przedsiębiorstwo instalacji elektrycznych. Zajmował się między innymi elektryfikacją lotnisk wojskowych oraz konstruowaniem aparatury doświadczalnej dla Politechniki Lwowskiej. Po wybuchu II wojny światowej Bolesław ze względu na stan zdrowia nie został zmobilizowany i 17 września udał się do Rumunii. W trakcie podróży był świadkiem zastrzelenia przez żołnierzy Armii Czerwonej wybitnego polskiego pisarza i publicysty Tadeusza Dołęgi-Mostowicza. Z Rumunii Bolesław udał się do Włoch, gdzie przez pewien czas przebywał u stryjecznego brata – Romana Ekesa, wicekonsula RP w Rzymie, a następnie udał się do Francji. Pomimo starań o wcielenie do formowanych oddziałów, Bolesław ponownie ze względu na stan zdrowia nie został zmobilizowany. Pracował w Paryżu aż do momentu wkroczenia wojsk niemieckich, których defiladę obserwował w przeddzień wyjazdu z Francji, skąd przez Belgię powrócił do Warszawy. Razem z narzeczoną Janiną wyjechali do Lwowa, gdzie w 1942 roku pobrali się i pozostali do roku 1944. W 1943 roku przyszedł na świat ich syn – Janusz. W 1944, gdy do Lwowa zbliżała się Armia Czerwona, rodzina opuściła rodzinne miasto. Po trwającej przeszło rok wędrówce Bolesław z żoną i synem przybył do zrujnowanej Warszawy, gdzie rodzina mieszka do dzisiaj. Bolesław był członkiem założonego w 1928 r. Związku Sybiraków oraz jednym z dwudziestu jeden sygnatariuszy statutu reaktywacyjnego organizacji w 1988 r.

Profesor Janusz Ekes związany był od dzieciństwa z Warszawą, gdzie odbył całą swoją edukację – od szkoły podstawowej, poprzez Liceum Ogólnokształcące im. Joachima Lelewela, aż do studiów uniwersyteckich, które podjął na kierunku historycznym Uniwersytetu Warszawskiego. W trakcie studiów ujawniły się Jego przyszłe zainteresowania badawcze z zakresu hi-

historii ustroju I Rzeczypospolitej. W 1970 r. ukończył studia na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego uzyskując tytuł magistra historii na podstawie pracy pt. „Sarmacka świadomość życia i świata”, której promotorem był prof. Jarema Maciszewski. Następnie Profesor Ekas rozpoczął studia doktoranckie w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego, a w roku 1973 został zatrudniony w tymże instytucie na stanowisku asystenta. W 1975 r. przedstawił rozprawę doktorską pt. „Państwo Zgody. Studium z dziejów ideologii politycznej szlachty polskiej w latach 1587–1605” napisaną pod kierunkiem prof. Jaremy Maciszewskiego i 4 marca 1975 r. mocą uchwały Rady Wydziału Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego otrzymał stopień naukowy doktora nauk humanistycznych. Dalszą pracę naukową prowadził przy Instytucie Historycznym Polskiej Akademii Nauk, gdzie w latach 1975–1978 zatrudniony był na stanowisku adiunkta. W kolejnych latach brał czynny udział w życiu naukowym, tak publikując jak i referując na międzynarodowych konferencjach, m.in. na: „XIIIe Colloque de l'Association Internationale des Sociologues de Langue Francaise” zorganizowanym w 1988 r. w Genewie, gdzie wspólnie z prof. Włodzimierzem Pańkowem zaprezentował referat pt. „Ressources et limites du changement sociale en Pologne”.

Kontynuował prace badawcze z zakresu historii kultury europejskiej i nowożytnej myśli politycznej, jednocześnie zajmując się publicystyką, czego odzwierciedleniem są liczne publikacje prasowe na łamach czasopism: „Miesięcznik Literacki”, „Warmia i Mazury”, „WTK”, „Słowo Powszechne”, „List”, „Ład”, „Życie Warszawy”, „Nowy Świat” oraz „Kierunki”. W redakcji ostatniego z wymienionych periodyków Profesor Ekas pracował w latach 1979–1992, równolegle będąc zatrudnionym jako specjalista ds. studialnych w Ośrodku Dokumentacji i Studiów Społecznych w Warszawie (1983–1984). Od roku 1983 był członkiem Stowarzyszenia ZAiKS. Pełnił również funkcje recenzenta dla takich czasopism jak: „Przegląd Historyczny”, „Komunikaty Mazursko-Warmińskie” oraz był członkiem komitetu redakcyjnego czasopisma „Szkice Podlaskie” (z. 10, 2002).

W roku 1992 objął stanowisko adiunkta w Katedrze Historii Nowożytnej w Instytucie Historii Wyższej Szkoły Rolniczo-Pedagogicznej w Siedlcach (od 1999 r. Akademii Podlaskiej). Z uczelnią tą związany był kolejnych szesnaście lat (do 2007 r.). W roku 1996 rozpoczął również pracę w Wyższej Szkole Biznesu–National-Louis University w Nowym Sączu (WSB–NLU).

W roku 2001 Profesor Ekes ukończył rozprawę habilitacyjną pt. „Natura–Wolność–Władza. Studium z dziejów myśli politycznej Renesansu”, na podstawie której został dopuszczony do kolokwium habilitacyjnego, przeprowadzonego 17 czerwca 2002 r. przed Radą Wydziału Nauk Historycznych i Społecznych Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Recenzentami przewodu byli: prof. dr hab. Jarema Maciszewski z Uniwersytetu Warszawskiego, prof. dr hab. Wacław Uruszczak z Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz ks. prof. dr hab. Janusz Andrzej Zbudniewek z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Centralna Komisja ds. Stopni i Tytułów zatwierdziła decyzję Rady Wydziału 16 grudnia 2002 r. Od roku 2005 Profesor Ekes piastował stanowisko adiunkta w Zakładzie Historii XIX wieku w Katedrze Historii Nowożytnej Instytutu Historii Akademii Podlaskiej.

Jako badacz i dydaktyk związany był z Instytutem Historycznym UW, Instytutem Historii PAN w Warszawie, Instytutem Historii Akademii Podlaskiej oraz Wydziałem Studiów Politycznych WSB–NLU. Badania naukowe Profesora Ekesa od początku koncentrowały się na dziejach Rzeczypospolitej w czasach nowożytnych, jednakże Jego szerokie spektrum badawcze obejmowało również zagadnienia z zakresu europejskiej specyfiki kulturowej, w szczególności myśli politycznej Renesansu, metafizycznej teorii państwa oraz historycznych i współczesnych realiów tożsamości cywilizacyjnej Zachodu.

Będąc pracownikiem Instytutu Historycznego PAN zajmował się pracami pomocniczymi w przygotowaniu map województwa sandomierskiego w wieku XVI. Prowadził też prace nad wydawnictwem diariuszy sejmowych z XVII w. Wydana w 1987 r. monografia *Złota demokracja*¹, będąca podsumowaniem badań Profesora Ekesa w zakresie historii politycznej Polski nowożytnej, stanowiła syntezę fenomenu staropolskiej „monarchii mieszanej” od jej ukształtowania po dekadencję. Autor przedstawił w niej studium dziejów politycznych państwa polskiego od wieku X po jego upadek w wieku XVIII. Obalając wiele utrwalonych w historiografii stereotypów na temat I Rzeczypospolitej odnoszących się m.in. do takich haseł jak: *liberum veto*, *demokracja szlachecka*, *oligarchia magnacka*, *konstytucja nihil novi*, czy kwestie związane z polityką zagraniczną wobec ziem wschodnich, nakreślił obraz państwa polskiego i jego miejsca w ówczesnej Europie, analizując źródła jego potęgi oraz przyczyny upadku.

¹ J. Ekes, *Złota demokracja*, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1987; wyd. 2, Biblioteka Myśli Politycznej – Ośrodek Myśli Politycznej; 71, Kraków 2010.

W książce *Europa wierna sobie – próba syntezy*² bronił tezy o arystotelesowych źródłach oryginalności kultury europejskiej z jednej strony i o rzymsko-republikańskich źródłach oryginalności europejskiego życia publicznego. Zamierzająca żywotność obu wątków stanowiła jeden z aspektów badań prowadzonych przez Profesora Ekesa.

Monografia zatytułowana *Natura–Wolność–Władza. Studium z dziejów myśli politycznej Renesansu*, opublikowana w 2001 r. stanowiła kontynuację badań nad epoką nowożytną a w szczególności ustrojem mieszanym. Celowość podjętego tematu została zdefiniowana we *Wstępie* do publikacji: „analiza renesansowej wizji ustroju mieszanego musi [...] dotknąć specyfiki całego korespondującego z nią układu trzech pojęć – wolności, władzy i państwa – jako układu spojonego wewnątrznie przez nie mniej specyficzne wyobrażenie natury. Natomiast historycznie przełomowy charakter fenomenu Renesansu oraz jego założenie programowe, zawarte w haśle odrodzenia antyku, narzuca oczywistą potrzebę rekapitulacji antycznych i średnio-wiecznych dziejów owego pojęciowego układu, i jego specyfiki, jego losów doniosłego fragmentu dziedzictwa, które mogli chcieć – u progu nowożytności – odrodzić twórcy przełomu”.³

Kontynuację badań nad problematyką realizacji ustroju mieszanego w realiach I Rzeczypospolitej stanowiła książka *Trójpodział władzy i Zgoda Wszystkich. Naczelne zasady „ustroju mieszanego” w staropolskiej refleksji politycznej*⁴ będąca kompleksową analizą XVI-wiecznego polskiego pisarstwa politycznego w kontekście identyfikacji ustroju I Rzeczypospolitej jako formy mieszanej. Powyższe publikacje stanowią jedynie część Jego znacznego i wielopłaszczyznowego dorobku naukowego. W kolejnych latach zainteresowania badawcze Profesora Janusza Ekesa objęły zagadnienia z dziedziny politologii i historii współczesnej. Do tematyki tej wraz z tokiem prowadzonych badań włączona została kwestia aplikacji dorobku metafizyki klasycznej w ujęciu arystotelesowsko-tomistycznym do analizy i syntezy w dziedzinie politologii. Profesor Janusz Ekes, będąc aktywnym członkiem środowiska historyków podejmujących problematykę odnoszącą się do specyfiki ustrojo-

² J. Ekes, *Europa wierna sobie – próba syntezy*, Wydział Nauki Katolickiej Kurii Metropolitalnej Warszawskiej Warszawa 1987.

³ *Wstęp*, [w:] *Natura–Wolność–Władza. Studium z dziejów myśli politycznej Renesansu*, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 2001.

⁴ *Trójpodział władzy i Zgoda Wszystkich. Naczelne zasady „ustroju mieszanego” w staropolskiej refleksji politycznej*, Instytut Historii Akademii Podlaskiej, Siedlce 2001.

wej I Rzeczypospolitej, czynnie przyczyniał się do jego konsolidacji oraz rozpowszechniania rezultatów prowadzonych przez nie prac badawczych, czego świadectwem jest zorganizowana w roku 2005 na WSB–NLU w Nowym Sączu konferencja „Dziedzictwo Pierwszej Rzeczypospolitej w doświadczeniu politycznym Polski i Europy”.

Ważną rolę w życiu zawodowym Profesora Janusza Ekesa zajmowała praca dydaktyczna. Będąc nauczycielem akademickim prowadził różnego rodzaju zajęcia, począwszy od ćwiczeń, poprzez wykłady kursowe i monograficzne, po proseminaria i seminaRIA magisterskie i doktorskie – wypromował dr Katarzynę Kozak. Był promotorem i recenzentem licznych prac magisterskich. W ciągu całego swojego życia zawodowego Profesor Ekes niezależnie od prowadzenia działalności naukowej starał się dotrzeć do jak najszerszego grona czytelników, wykraczając poza relatywnie wąskie grono odbiorców publikacji naukowych. Rezultatem Jego pracy popularyzatorskiej są liczne publikacje na łamach prasy, a także na portalach internetowych.

Niezależnie od prowadzonej pracy naukowej i dydaktycznej Profesor Janusz Ekes brał czynny udział w życiu organizacyjnym środowiska akademickiego. Był członkiem założycielem Siedleckiego Towarzystwa Naukowego powołanego w dniu 23 września 1993 r.⁵ W latach 2004–2005 piastował stanowisko dziekana Wydziału Studiów Politycznych WSB–NLU, a od roku 2005 kierował Katedrą Historii i Teorii Państwa na tymże wydziale.

Profesor Janusz Ekes do końca aktywnie uczestniczył w życiu naukowym publikując, recenzując⁶, udzielając wywiadów oraz biorąc czynny udział w debatach na temat politycznych dziejów Europy oraz współczesnych zagadnień politycznych. Współpracował z Klubem Jagiellońskim, kwartalnikiem „Pressje”, miesięcznikiem „Nowa Konfederacja” oraz Ośrodkiem Myśli Politycznej. W latach 2015–2016 Profesor Ekes zaangażowany był w działalność naukową Archiwum Akt Nowych w Warszawie. Jako członek rady programowo-naukowej (razem z prof. Janem Dziegielewskim, prof. Markiem Kornatem, prof. Janem Odziemkowskim oraz ks. prof. Januszem Zbudniewkiem) wziął udział w pracach podjętych na rzecz upamiętnienia

⁵ Członkowie Założyciele Siedleckiego Towarzystwa Naukowego w dniu 23 września 1993 roku, [w:] G. Korneć, *Siedleckie Towarzystwo Naukowe 1993–2008*, red. T. Boruta, D. Grzegorzczuk, A. Ziótek, Siedlce 2008, s. 103.

⁶ „Studia Claromontana”, 2010, t. 28; *Udział obywateli narodu szlacheckiego w sprawowaniu władzy w Rzeczypospolitej (1573–1795)*, (red.) Makieła Dariusz, Warszawa: Wyższa Szkoła Finansów i Zarządzania, 2017.

osoby dr. Władysława Horsta *Księgą Pamiątkową „Vir bonus”* oraz kwestią upodmiotowienia sprawy polskiej na arenie międzynarodowej w latach 1916-1919 w świetle źródeł AAN. W kwietniu 2017 r. wziął udział w seminarium naukowym zorganizowanym przez Rosyjski Państwowy Uniwersytet Humanistyczny oraz Ambasadę RP w Moskwie poświęconym Romanowi Dmowskiemu. Wydarzenie stanowiło element promocji nowo wydanej w języku rosyjskim pracy Romana Dmowskiego *Niemcy, Rosja a sprawa polska*. Śmierć Profesora przerwała prace badawcze z zakresu metafizycznej teorii państwa. Ostatnie lata poświęcił pracy nad historią dyplomacji polskiej – dziełem, którego niestety nie zdążył ukończyć.

Profesor Janusz Ekes pozostawił syna, dwie córki oraz czworo wnucząt. Profesor pochowany został na Cmentarzu Bródnowskim.

W zmarłym tracimy nie tylko doskonałego, twórczego naukowca, wybitnego historyka i nauczyciela, ale także człowieka niezwykle życzliwego i pogodnego, który swoją pasją i pogodą ducha dzielił się z innymi.

Publikacje autorstwa i pod redakcją Profesora Janusza Ekesa

Monografie

Trójpodział władzy i Zgoda Wszystkich. Naczelne zasady „ustroju mieszanego” w staropolskiej refleksji politycznej, Instytut Historii Akademii Podlaskiej, Siedlce 2001.

Natura–Wolność–Władza. Studium z dziejów myśli politycznej Renesansu, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 2001.

Polska – przyczyny słabości i podstawy nadziei, Biblioteka Kwartalnika „Życie i Myśl”, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1994.

Europa wierna sobie – próba syntezy, Wydział Nauki Katolickiej Kurii Metropolitalnej, Warszawskiej, Warszawa 1987.

Złota demokracja, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1987; wyd. 2, Biblioteka Myśli Politycznej – Ośrodek Myśli Politycznej; 71, Kraków 2010.

Cztery tradycje polskiego demokratyzmu, Wektory–Aneks, Polskie Towarzystwo Ekonomiczne, Warszawa 1980.

Prace pod redakcją

Dziedzictwo Pierwszej Rzeczypospolitej w doświadczeniu politycznym Polski i Europy, red. J. Ekes, WSB-NLU, Wydział Studiów Politycznych, Nowy Sącz 2005.

Encyklopedia Historii Polski: dzieje polityczne: [praca zbiorowa], zespół red. Janusz Ekes [i in.], t. 1, Wydawnictwo MOREX: „Egros”, Warszawa 1994.

Encyklopedia Historii Polski: dzieje polityczne: [praca zbior.], zespół red. J. Ekes [i in.], t. 2, Wydawnictwo MOREX: „Egros”, Warszawa 1995.

Artykuły naukowe

Polska roku 1573 na kulturowych i politycznych frontach Europy [w:] *Rok 1573. Dokonania przodków sprzed 440 lat.* pod red. Jana Dziegielewskiego, Krzysztofa Kolehlera, Doroty Muszytowskiej, Wydawnictwo Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, Warszawa 2014, ss.31-44.

Natura-Polityka-Etyka, [w:] *Szlachta polska i jej dziedzictwo*, Księga na 65 lat Profesora Jana Dziegielewskiego, Instytut Informacji Naukowej i Studiów Bibliologicznych Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2013, ss. 341-368.

Perspektywa restauracji „narodu porewolucyjnego”, [w:] *Polska czyli...: idee wspólnoty politycznej i tożsamości narodowej w polskiej tradycji intelektualnej*, pod red. A. Rzegockiego, Ośrodek Myśli Politycznej, Polskie Tradycje Intelektualne; 13, Kraków 2011. <http://www.omp.org.pl/artukul.php?artukul=189>, [dostęp: 10/04/2018]

Decydująca odsłona historii III Rzeczypospolitej, Ośrodek Myśli Politycznej, Kraków 2010, <http://www.omp.org.pl/artukul.php?artukul=178> [dostęp: 10/04/2018].

Sila państwa w refleksji obywateli Pierwszej Rzeczypospolitej, [w:] *Władza w polskiej tradycji politycznej: idee i praktyka*, pod red. J. Kloczkowskiego, wstęp M. Szuldrzyński, [aut. tomu W. Bernacki et al.], Ośrodek Myśli Politycznej, Polskie Tradycje Intelektualne; 11, Kraków 2010. <https://nowakonfederacja.pl/silapanstwa-w-refleksji-obywateli-i-rzeczypospolitej/> [dostęp: 15/04 2018].

Z czego zrobione jest państwo?, [w:] *Vetera novis augere: studia i prace dedykowane profesorowi Wacławowi Uruszcakowi*, t. 1, pod red. S. Grodzkiego [et al.], Uniwersytet Jagielloński, Kraków 2010.

Aleksander Skrzyński. (Przyczynek do szkicu sylwety męża stanu), [w:] *VERITATI SERVIRENS. Księga Pamiątkowa Ojcu Profesorowi Januszowi Zbudniewkowi*, Warszawa 2009, ss. 575–609.

Lublin 1569–Bruksela 2009, Unia lubelska: idea i jej kontynuacja, [pod red.] L. Glemża, Ramunė Šmigelskytė-Stukienė, Muzeum Narodowe – Pałac Wielkich Książąt Litewskich, Vilnius 2011, ss. 432-439.

- Historia ostatnich dwudziestu lat Polski*, [w:] *Rzeczpospolita: niedokończony projekt*, „Pressje”, Teka XVIII, Kraków 2009, ss. 78–81.
- Polska–Rosja–Europa*, „Pressje”, Teka XIII, Kraków 2008, ss. 129–140.
- Stereotyp Zachodu*, „Pressje”, Teka XII, Kraków 2008, ss. 73–82.
- Piis Manibus*, [w:] *Patriotyzm Polaków. Studia z historii idei*, red. J. Kloczkowski, Ośrodek Myśli Politycznej; Wyższa Szkoła Europejska im. ks. Józefa Tischnera, Polskie Tradycje Intelktualne; 1, Kraków 2006, ss. 60–71.
- „Tradycja” czy „Postęp” *Dylemat epoki Oświecenia w Polsce*, [w:] *Drogi do Nowoczesności*, red. J. Kloczkowski, M. Szuldrzyński, Polskie Tradycje Intelktualne; 2, Kraków 2006, ss. 59–44.
- Proces kompozycji ustroju mieszanego Rzeczypospolitej*, [w:] *Dziedzictwo Pierwszej Rzeczypospolitej w doświadczeniu politycznym Polski i Europy*, red. J. Ekes, WSB-NLU, Wydział Studiów Politycznych, Nowy Sącz 2005, ss. 53–68.
- Samorząd terytorialny a państwo w tradycji europejskiej* [w:] *Tradycje i współczesność samorządu terytorialnego na Południowym Podlasiu*, (red.) Rafał Dmowski i Piotr Matusak, Instytut Historyczny Akademii Podlaskiej, Siedlce 2002, ss. 9–10.
- Od końca II wojny światowej do utworzenia Gminy*, [w:] *Historia Białoleki i jej dzień dzisiejszy*, red. A. Sołtan, Gminny Ośrodek Kultury, Warszawa Białoleka 2002, ss. 67–68.
- O wizję ustrojową Rzeczypospolitej*, [w:] *Polska i świat współczesny*, Warszawa, 1995, ss. 1–13.
- [Hasła autorskie], [w:] *Encyklopedia Historii Polski: dzieje polityczne*, [praca zbiorowa], zespół red. J. Ekes [i in.], t. 2, Wydawnictwo MOREX: „Egross”, Warszawa 1995.
- [Hasła autorskie], [w:] *Encyklopedia Historii Polski: dzieje polityczne*: [praca zbiorowa], zespół red. J. Ekes [i in.], t. 1, Wydawnictwo MOREX: „Egross”, Warszawa 1994.
- [wspólnie z Włodzimierzem Pańkowem], *Polska czyli duch wspólnoty w poszukiwaniu przestrzeni*, [w:] *U progu zmian, Szkice socjologiczne o polskim społeczeństwie lat osiemdziesiątych*, red. Paweł Kuczyński, Uniwersytet Warszawski. Instytut Socjologii, Warszawa 1990, ss. 13–35.
- [wspólnie z Włodzimierzem Pańkowem], *Pologne ou l'esprit communautaire a la recherche de l'espace*, *Ressources et Limites du Changement Sociale en Pologne*, CNRS-IRESCO, Geneve 1988, *Travaux sociologiques du Laboratoire de sociologie du changement des institutions*, No. 13.
- Słowiańskie wątki w dziejopisarstwie i w polityce Księstwa Meklemburskiego w początkach Odrodzenia*, „Przegląd Zachodni” R. 1978, z. 2, ss. 37–58.

Działalność Samuela Łaskiego na terenie Prus Książęcych, Franciszek Mincer, „Śląski „Kwartalnik Historyczny-Sobótka” R. 30, 1975, nr 2: [recenzja] „Komunikaty Mazursko-Warmińskie” nr 1, 1976, ss. 124-127.

Andrzej Lisiecki, PSB, t. XVII, 1972, s. 452-453.

[wspólnie z H. Kotarskim], *Aleksander Lisowski*, PSB t. XVII, 1972, ss. 470-472.

Sarmacka świadomość życia i śmierci, „Odrodzenie i Reformacja w Polsce” t. XVI, 1971, ss. 97-116.

Rozmowy o historii i pamięci, „Miesięcznik literacki”, 1971, nr 1(53), ss. 54-61.

Publicystyka (lista niepełna)

Jak uczyć historii, „Nasz Dziennik” R. 2012, nr 104, s. 16.

Przywłaszczona firma realizmu, „Nasz Dziennik” R. 2011, nr 141, s. 20-21.

Prawdziwa polityka nadziei, „Nasz Dziennik” R. 2011, nr 59, s. 22-23.

Magnetyzm Rzeczypospolitej, „Nasz Dziennik” R. 2011, nr 29, s. 12-13.

Przémówienie na Inaugurację Wydziału Studiów Politycznych WSB-NLU, „Praktyka Polityczna” R. 2003, nr 0, ss. 31-32.

Gwarantka praw czy etykieta reklamowa, „Nowy Świat” R. 1993, nr 24, s. 4.

Elita polityczna, „Przegląd Katolicki” R. 1993, nr 12, ss. 1-3.

Polska 1992 – jakie Państwo? – jaka Konstytucja?, Biuro Prasowe RNSD, Warszawa 1992.

Młodość Europy, „Ład” R. 1983, nr 10.

Granice Europy, „Ład” R. 1982, nr 33.

Życie i struktury, „Kierunki” R. 1980, nr 41, s. 8

Historyczne imponderabilia dialogu, „Kierunki” R. 1980, nr 38, s. 6.

Świadomość i czyn, „Kierunki” R. 1980, nr 26, s.8.

Osobowość i twórczość Narodu, „Kierunki” R. 1979, nr 42, s. 3.

Od równowagi sił do równowagi ducha, „Kierunki” R. 1979, nr 28, s. 3.

Nie ma wydarzeń samotnych. W 900 Rocznicę śmierci Św. Stanisława Biskupa, „Kierunki” R. 1979, nr 18, s. 9-10.

Wybrane referaty

„Między »wolnością do...« a »wolnością od...« czyli o wczesno-nowożytnej sytuacji pojęć”, Konferencja: „Postawy decydentów wspólnot politycznych i kościelnych wobec wolności obywatelskich oraz wyznaniowych mieszkańców we wczesnonowożytnej Europie. Różnice i podobieństwa doświadczeń I Rzeczypospolitej i innych krajów” Wydział Nauk Historycznych i Społecznych UKSW, Warszawa 2015.

- „Państwo – Dialog”, Ogólnopolska Konferencja Naukowa pn. „Udział społeczeństwa we władzy i zarządzaniu. Społeczeństwo obywatelskie w Rzeczypospolitej w czasach wczesnonowożytnych (XVI–XVIII w.)”, Katedra Powszechnej Historii Ustroju i Prawa oraz Doktryn Politycznych i Prawnych Wydział Prawa i Administracji Wyższa Szkoła Finansów i Zarządzania w Warszawie Warszawa 2015.
- „Rok 1573: Polska na kulturowych i politycznych frontach Europy”, Konferencja: „Rok 1573. Dokonania przodków sprzed 440 lat”, UKSW, Warszawa 2013.
- „Wykład–gawęda o dwóch sarmatyzmach – »bajecznym« i »rzeczywistym«, III Sympozjum Sarmackie, Muzeum Pałac w Wilanowie i Kolegium Wigierskie, Warszawa 2012.
- „Lublin 1569 i Bruksela 2009 (sprawa zachodniej tożsamości Zachodu)”. Konferencja „Unia lubelska: idea i jej kontynuacja”, Muzeum Narodowe – Pałac Wielkich Książąt Litewskich Wilno 2009.
- „Dylematy polskiej polityki zagranicznej. Przeszłość i teraźniejszość”, Wydział Studiów Politycznych WSB–NLU – 10–11 styczeń 2008.
- „Patriotyzm Polaków – między tradycją a współczesnością”, Konferencja: „Patriotyzm Polaków”, Ośrodek Myśli Politycznej, Wyższa Szkoła Europejska im. Ks. Józefa Tischnera, Kraków – 13–14 października 2006.
- „Idea modernizacji w polskiej myśli politycznej”, Konferencja: „Idea modernizacji w polskiej myśli politycznej i literaturze”, Ośrodek Myśli Politycznej, Wyższa Szkoła Europejska im. Ks. Józefa Tischnera Kraków – 23 czerwca 2006.
- „Proces kompozycji ustroju mieszanego Rzeczypospolitej” Konferencja: „Dziedzictwo Pierwszej Rzeczypospolitej w doświadczeniu politycznym Polski i Europy”, Wydział Studiów Politycznych WSB–NLU – kwiecień 2005.
- „Rola instytucji ustrojowych I Rzeczypospolitej w integracji politycznej państwa”, Międzynarodowa Konferencja Naukowa „Rzeczpospolita Obojga Narodów i jej tradycje (XIV–XX wiek)”, Akademia Podlaska, Siedlce 2002.
- Samorząd terytorialny a państwo w tradycji europejskiej, Sesja naukowa *Tradycje i współczesność samorządu terytorialnego na Południowym Podlasiu*. Akademia Podlaska, Siedlce 20 kwietnia 1998.
- „Znaczenie Odsieczy Wiedeńskiej dla kultury europejskiej”, Sesja Pamiątkowa w Ośrodku Dokumentacji i Studiów Społecznych, Warszawa 1983.
- [wspólnie z Włodzimierzem Pańkowem], „Pologne ou l’esprit communautaire a la recherche de l’espace”, XIIIe Colloque de l’Association Internationale des Sociologues de Langue Francaise, Genève – Août 1988.

Wywiady

To braterstwo jest warunkiem rozwoju Polski, Teologia Polityczna, <http://www.teologiapolityczna.pl/prof-janusz-ekes-to-braterstwo-jest-warunkiem-rozwoju-polski> [dostęp 15/04/2018].

Republikański ład vs absolutystyczna anarchia, Teologia Polityczna, <http://www.teologiapolityczna.pl/janusz-ekes-republikanski-lad-vs-absolutystyczna-anarchia>, [dostęp 15/04/2018].

Prawdziwa polityka nadzieje, Blogmedia24.pl, <http://blogmedia24.pl/node/46166> [dostęp 15/04/2018].

Bibliografia

Kadra naukowa Instytutu Historii WSRP, [w:] *Bibliografia publikacji pracowników Instytutu Historii Wyższej Szkoły Rolniczo-Pedagogicznej w Siedlcach za lata 1991–1998*, red. T. Boruta, R. Dmowski, Siedlce 1999, ss. 38–39.

Biogramy pracowników Instytutu Historii Akademii Podlaskiej, [w:] *XV-lecie Instytutu Historii Akademii Podlaskiej, Historia–biogramy–bibliografia*, pod red. T. Boruty i D. Grzegorzuka, Siedlce 2007, s. 31.

W. Ważniewski, *Instytut Historii*, [w:] *X lat Wydziału Humanistycznego Akademii Podlaskiej w Siedlcach (1991–2001)*, praca pod red. J. Cabaja i P. Matusaka, Siedlce 2001, ss. 91, 93, 97.

C. Pawlik, *Bibliografia publikacji pracowników Instytutu Historii Wyższej Szkoły Rolniczo-Pedagogicznej w Siedlcach*, [w:] *Bibliografia publikacji pracowników Instytutu Historii Wyższej Szkoły Rolniczo-Pedagogicznej w Siedlcach za lata 1991–1998*, red. T. Boruta, R. Dmowski, Siedlce 1999, s. 77.

Bibliografia publikacji pracowników Instytutu Historii, oprac. D. Grzegorzuk, W. Ważniewski, [w:] *Bibliografia publikacji naukowych pracowników Wydziału Humanistycznego Akademii Podlaskiej w Siedlcach z lat 1991–2000*, oprac. zbior. pod red. K. Wojtczuk, Siedlce 2001, s. 36.

Bibliografia publikacji pracowników Instytutu Historii, oprac. M. Chmielewski, D. Grzegorzuk, [w:] *Bibliografia publikacji naukowych pracowników Wydziału Humanistycznego Akademii Podlaskiej w Siedlcach z lat 2000–2005*, pod red. E. Jarmocha i K. Wojtczuk, Siedlce 2006, s. 31.

Bibliografia publikacji pracowników Instytutu Historii Akademii Podlaskiej za lata 1991–2006, oprac. M. Chmielewski, D. Grzegorzuk, [w:] *XV-lecie Instytutu Historii Akademii Podlaskiej, Historia–biogramy–bibliografia*, pod red. T. Boruty i D. Grzegorzuka, Siedlce 2007, ss. 115–116.

Bibliografia opublikowanego dorobku pracowników Wyższej Szkoły Biznesu – National-Louis University w Nowym Sączu w latach 1993-2013, pod red. M. Sidor, Nowy Sącz 2014, ss. 90–93.

Członkowie Założyciele Siedleckiego Towarzystwa Naukowego w dniu 23 września 1993 roku, [w:] G. Korneć, *Siedleckie Towarzystwo Naukowe 1993–2008*, red. T. Boruta, D. Grzegorzczuk, A. Ziótek, Siedlce 2008, s. 103.

Sprawozdanie roczne AAN za 2015 r.

<http://bip.ap.gov.pl/plik.php?id=6608> [dostęp: 15/04/2018].

Sprawozdanie roczne AAN za 2016 r.

<http://bip.ap.gov.pl/plik.php?id=7244> [dostęp: 15/04/2018].

Katarzyna Kozak
Uniwersytet Przyrodniczo-Humanistyczny w Siedlcach